Bibljoteka Sejmu Śląskiego
4501
1872 k.

Biblioteka Sejmu Śląskiego

ROK VI.

KWARTAŁ III.

Miesiące:

Styczeń, Luty, Marzec, 1872 r.

SPIS RZECZY

zawartych w Tomie trzecim.

Str.

O literaturze politycznéj sejmu czteroletniego (1788-1798), napisał Dr. *Roman Pilat* 3

O zadaniu i systemie filozofii prawa, przez *Gustawa Roszkowskiego* . 51

Ufność bez granic, przysłowie dramatyczne w 1 akcie, przez *Leona Kaplińskiego* 69

Pielgrzymka Ottona III do Gniezna 1000 r., przez *Józefa Szujskiego*, 88

Notatki podróżne, przez *H. Lisickiego* 102

Przegląd literacki 120

Przegląd literacki i bibliograficzny, przez *L. Powidaja* . . . 133, 286

Wspomnienie pośmiertne o h. A. Przeździeckim, przez *Józefa Szujskiego* 146

Przegląd polityczny, przez *St. Koźmiana* 148, 304

„ „ „ *Henryka Lisickiego* 140

O stowarzyszeniu międzynarodowem robotników (l'International) Dra *Maksymiliana Machalskiego* 59

Błędy Cesarstwa i jego Spadkobierców, przez *Henryka Lisickiego* . . 58

Aleksander hr. Przezdziecki, przez *J. Łepkowskiego* 113

Stefana Garczyńskiego „Wacław i drobne poezye“ przez *Stanisława Tarnowskiego* 177

Historyczna wędrówka po Krakowie, przez *Józefa Szujskiego* . . . 224

Małżeństwo kościoła katolickiego, przez Dra *Franciszka Kasparka* . 242

List Mickiewicza 283

Teatr 153, 147, 310

Ekonomiczne sprawy krajowe, przez *C. Halera* 318

Zwracamy uwagę Szanownych pp. Prenumeratorów na mylną paginacyę: tak zeszyt Styczniowy jak i Lutowy rozpoczyna się od stronnicy 1széj, ztąd ta sama liczba stronnic dwukrotnie się powtarza.

PRZEGLĄD POLSKI.

Zeszyt VII. Miesiąc Styczeń 1872.

ROK VI.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor L. Powidaj.

W KRAKOWIE
W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem K. Mańkowskiego.
1872.

4501.1872.6.3-4

II

X-11130

4501/II

/RG./1872

Biblioteka Śląskiego Sejmu

30.000/-

O LITERATURZE POLITYCZNÉJ

sejmu czteroletniego (1788–1792).

napisał

Dr. ROMAN PILAT.

III.

Sprawa polityki zewnętrznéj.

Drugą z kolei sprawą, która weszła pod obrady sejmowe i równoczesnie poruszoną została przez publicystykę—była sprawa polityki zewnętrznéj. Nagła zmiana stosunków politycznych Europy, rozdzielenie się mocarstw w dwa przeciwne obozy i gotujące się w najbliższym czasie starcie między niemi, wszystko to pociągało za sobą konieczność bliższego rozpatrzenia się w położeniu rzeczy i wyznaczenia drogi, którą kraj wśród odmiennych stosunków miał postępować. Konieczność rozwiązania zawczasu polityki zewnętrznéj stawała się tém naglejszą, im w ściślejszym związku pozostawała sprawa reformy wewnętrznéj ze stanowiskiem, jakie kraj zajmie wobec mocarstw sąsiednich, i im jaśniéj wszyscy światlejsi ludzie pojmowali, że zachowanie zupełnéj neutralności wśród ówczesnych stosunków i przy wewnętrznéj państwa słabości jest prawie niepodobném [1]). Dwie tu otwierały się drogi: jedna przymierza z Prusami i wydobycia się za ich pomocą z pod zawisłości Rossyi, — druga sojuszu z Rossyą i powolnego pod jéj opieką i protekcyą organizowania stosunków wewnętrznych. W dwóch tych kierunkach rozstrzeliły się też dążenia stronnictw ówczesnych, które za pomocą publicystyki starały się pozyskać opinię publiczną dla swych celów politycznych.

---

[1]) Pominąwszy jednego Staszyca, który w „Przestrogach doradzał zbrojną neutralność, wszyscy pisarze i publicyści uważali kraj zanadto słabym do prowadzenia takiéj polityki.

Przeważna część kraju, zwłaszcza wszystkie żywioły młodsze, ruchliwsze, wzrosłe wśród nowego prądu oświaty i nadzieją lepszéj przyszłości ożywione, powitały z radością oświadczenia przyjaźne Prus i parły całą siłą do przymierza z tym nowym *„szczerym, bez obłudy aliantem i przyjacielem.“* Idąc przeważnie za popędem uczucia i sympatyi, upojeni notami Buchholza, który zręcznie podsycał ogień szerzącéj się opozycyi przeciw Rossyi, zażądali oni stanowczego zerwania wszystkich z nią stosunków i przyjęcia najspieszniéj robionych ze strony przeciwnéj propozycyi. Usposobienie to pełne najlepszych chęci, ale zbyt mało rachujące się z rzeczywistemi okolicznościami, maluje się w większéj części pism, które wychodziły z samym początkiem sejmu 4-letniego i rozwijając ogólne zasady reformy rządowéj, dotykały zarazem mniéj lub więcéj szczegółowo sprawy polityki zewnętrznéj. W tym kierunku działało też mnóstwo drobnych ulotnych pisemek i świstków, rozrzucanych i szerzonych gorliwie przez zwolenników przymierza pruskiego, (*„Uwagi względem gwarancyi* 8-vo str. 18). *„Uwagi nad traktatami między Rossyą i Polską zawartemi zwłaszcza traktatem w r. 1768 uczynionym“* (f. str. 10) *„Uwagi dobrego obywatela nad memoryałem rossyjskim i pruskim dnia 11 list. podanym* (f. ark.) *„Do prześwietnych Stanów* (f. ark.) itd.) Najlepszym jednak i najdokładniejszym wyrazem dążności i zapatrywań tego licznego stronnictwa jest książka p. t.: *„Listy posła do ojca na wsi mieszkającego i odpowiedne w okolicznościach sejm teraźniejszy zatrudniających* 1788 8-vo, części XI: I i II niel. następne str. 76, 34, 31, 38, 40, 38, 76 str.)“ Jest to zbiór korespondencyi jednego z posłów ówczesnych z ojcem, prowadzonéj w czasie układającego się i silnie dyskutowanego aliansu pruskiego. Syn młody człowiek pełen zapału i uniesień przedstawia nam w osobie swojéj dążności ówczesnéj młodszéj generacyi, odsłania piękne jéj strony jakotéż wady. Przemawia on gorąco i wymownie za przymierzem z Prusami dowodząc, że łączenie się z Rosyą pomimo tylu doznanych krzywd i upokorzeń sprzeciwia się wprost godności narodowéj, i że kraj tak hańbiącą polityką kierować się nie powinien. Uważa zresztą alians pruski za znacznie korzystniejszy nawet pod względem materyalnym: skarb państwa tego w lepszym jest stanie, wojsko bitniejsze a samo położe-

nie geograficzne kraju, przemawia stanowczo na jego korzyść. Jako dowód dobrych i szczerych chęci Prus przytacza noty posła pruskiego: „*Niechże mówią dzisiaj zwolennicy mocy arbitralnéj* „(polityki rossyjskiéj) *w kraju, że Berlin wzmocnienia się polskiego nie żąda i nie chce.*“ Wszelkie wahanie się i wyczekiwanie dalszych wypadków potępia jako „*sceptycyzm polityczny karmiący się martwą irrezolucyą*,“ który gotów krajowi największe przynieść szkody. Książka ta, w któréj zresztą inne kwestye polityczne tylko zlekka są dotknięte, staje się przezto tem ciekawszą, że w odpowiedziach ojca, zwolennika polityki rossyjskiéj, znajdujemy zapatrywania przeciwnego obozu i tak jakby w żywym obrazie widzimy walkę ścierających się między sobą stronnictw ówczesnych.

Polityką taką przeważnie uczuciową kierowała się wprawdzie znaczna część zwolenników stronnictwa patryotycznego, ale nie można jéj jednak brać za wyraz całego obozu. Należeli tu i ludzie trzeźwiejsi i wytrawniejszego sądu, nie łudzący się tak bardzo obietnicami pruskiemi, a którzy jeśli mimo to popierali przymierze z tém mocarstwem, to jedynie z głębokiém przekonaniem, że jest ono koniecznym środkiem odrodzenia się politycznego i przeprowadzenia dzieła reformy. Rozważniejsza ta część stronnictwa szukając poparcia w Prusiech rozumiała jednak dobrze, że zawarcie przymierza bez poprzedniego wzmocnienia się pod względem sił materyalnych byłoby niczém inném jak prostém oddaniem się w zawisłość, zamianą protekcyi rossyjskiéj na pruską. Z téj przyczyny zażądali, aby tak długo nie wiązać się żadnym sojuszem, póki postawieniem odpowiedniéj siły zbrojnéj kraj się nie wzmocni i nie będzie w stanie zaważyć rzeczywiście na szali wypadków politycznych. Zapatrywanie to, rzeczywiście nader trafne i słuszne, znajdujemy podniesione z wielkim naciskiem i wypowiedziane z całą siłą przekonania w kilku broszurach ówczesnych, któremi ludzie światlejsi i wyrobionego sądu starali się wpłynąć na opinię publiczną. Wspomnieć tu należy mianowicie następujące pisma: „*Kalkulacya okoliczności politycznych z pobudkami gorliwości obywatelskich*“ [1]). *Negocyacya pru-*

[1]) Egzemplarza broszury téj nie mieliśmy pod ręką—ale znamy ją z przedruku umieszczonego w Pamiętniku pol. i hist. r. 1788 paźdz. str. 878.

ska w Polszce“ (8-vo kart niel. 14). *List obywatela do autora testamentu politycznego*“ (4-to str. 8). „*Z Krymu moskiewskie dla Polaków życzenia*“ (8-vo str. 32.) Oświadczając się w zasadzie za potrzebą zbliżenia się do Prus, których pomoc do wydobycia się z pod przemocy rossyjskiéj i dokonania reform jest konieczną, wskazują one z drugiéj strony, że głównym czynnikiem w polityce jest interes, i że Prusy z saméj sympatyi dla Polski nic nie uczynią. Jak długo nie przekonają się one, że Polska ma w sobie rzeczywiście źródła potęgi i jest siłą, z którą liczyć się trzeba, tak długo wszelkie układy i przymierza nie będą mieć prawdziwéj podstawy, a rozerwie je lada zmiana okoliczności i stosunków. Wzywają przeto, aby powstrzymać się na razie od stanowczego przechylenia się na jedną lub drugą stronę, a pracować nad postawieniem jak najliczniejszéj armii.

Na drogę polityki téj, która umiała uczucie narodowe godzić z rozwagą i rozsądkiem politycznym, weszli przewódcy stronnictwa patryotycznego, a głównym jéj obrońcą był Kołłątaj. Jeszcze przed rozpoczęciem sejmu z nadzwyczajną trafnością oceniając istniejącą sytuacyę polityczną, wskazał on ją jako konieczną na razie i jedynie zbawienną: „*Kiedy Moskwa* —pisze on w listach do Małachowskiego—*z jednéj strony zatrudniona wojną turecką, z drugiéj nadspodziewanie musi dzielić swe siły przeciw Szwecyi, trzeba wnosić, że ta sama umiejętna ręka, która kieruje obrotami teraźniejszéj wojny, postara się o to, ażeby i cesarz pvdobną Moskwie miał rozrywkę. W takiem tedy położeniu rzeczy, byleśmy tylko drogą neutralności do jakiego czasu iść chcieli, nie tylko dokażemy, cośmy sobie zamierzyli, ale téż corazbardziéj menażowani będziemy od tych, którzy dotąd z dobrowolnéj niedołężności naszéj korzystali. . . . . Mojem przeto zdaniem co do interesów zewnętrznych ścisłéj trzymać się neutralności, nie odstręczając ani dwóch cesarskich dworów ani króla pruskiego, lecz tak jednéj jak drugiéj stronie wystawiać należy, że póty do żadnych związków przyjść nie możemy, póki kraj nasz nie wzmocni się w przyzwoite siły, mogącéj odpowiadać tak szanownéj sąsiadów przyjaźni.* (Część I. list Iszy) *Byleśmy reszty marnie strwonionego czasu dobrze użyć chcieli, byleśmy usiłowania nasze całości krajowéj poświęcali nie marząc sobie próż-*

nego między mocarstwami znaczenia, a pewien jestem, że nam jeszcze dosyć wystarczy czasu na podźwignienie nasze, bez najmniejszego obrażenia dworów, których przypadek uczynił o nas zazdrośnymi. (Część I. list 8my).“ Dodać należy, że z tego właśnie koła wychodziły wszystkie owe głosy wołające o gotowość zbrojną i szybkie zebranie potrzebnych na to funduszów, które niestety, tak bezskutecznie przemijały.

Sprawa przymierza pruskiego z początkiem sejmu ogólnie tylko traktowana, wystąpiła jaśniej i wyraźniéj, gdy w r. 1790 Prusy sformułowały żądania swoje, a poseł Luchesini następca Buchholza postawił imieniem dworu jako warunek odstąpienie Gdańska i Torunia. Odjęło to ducha w ogóle całemu stronnictwu pruskiemu, a przeraziło zwłaszcza tych, którzy zawierzając oświadczeniom serdecznym posłów pruskich rachowali na bezinteresowną protekcyę i obronę ze strony nowego sprzymierzeńca. W jednéj też prawie chwili osłabły sympatye pruskie, a myśl przymierza z tém państwem do niedawna tak silnie głosem opinii publicznéj popierana, traciła zwolenników i stawała się rzeczą niepopularną. Ale nagły ten zwrot w usposobieniu ogółu nie zdołał jednak zachwiać przekonaniem przewódców stronnictwa patryotycznego i otaczających ich ludzi, którzy trzeźwiéj biorąc rzeczy wiedzieli dobrze, że Prusy postawią pewne warunki przy zawarciu traktatu, że prędzéj czy późniéj trzeba go będzie okupić ustępstwami ze swojéj strony. Odstąpienie Gdańska i Torunia jakkolwiek dla kraju bolesne, a nawet upokarzające, uważali oni za krok głębszéj polityki, która w zamian za chwilową stratę przyniesie pewne i rzeczywiste zyski. Pozostała ta w przerzedzonych szeregach zwolenników polityki pruskiéj szczuplejsza garstka ludzi usiłowała wszelkimi sposobami doprowadzić do skutku zachwiane przymierze i związać nowego alianta nietylko węzłem sympatyi ale obopólnego interesu. Przyznać jednak trzeba, że na przekonania ich wpływało pod wieloma względami także poczucie wewnętrznéj państwa słabości i rozprężenia, w jakiem pomimo rozbudzonego patryotyzmu kraj zawsze jeszcze się znajdował. Nadzieja szybkiego postawienia armii, na którą zrazu liczyli, a od któréj zależała wszelka samoistniejsza na zewnątrz polityka, zawiodła ich zupełnie, a im mniéj można się było teraz spuścić na własne siły, tém potrzebniej-

szym stawał się alians z Prusami i przybierał nareście cechę konieczności, którą wszelkimi sposobami okupić należało.

Zabiegi przewódców reformy znajdowały silne poparcie ze strony dyplomacyi nieprzyjaźnych Rossyi mocarstw, a zwłaszcza ze strony ministra angielskiego Hailes'a, który był duszą i głównym autorem przymierza polsko-pruskiego. W chwili, gdy sprawa aliansu tak niepomyślny wzięła obrót i najgorliwsi jéj zwolennicy zaczynali tracić nadzieję, wystąpił tenże w celu pozyskania napowrót opinii publicznéj z osobnym memoryałem p. t.: *Mémoires sur les affaires actuelles de la Pologne* [1]), który w tłumaczeniu polskiém rozrzucić kazał po całym kraju. Była to ze strony Anglii i federacyjnych mocarstw jakby urzędowa propozycya przyjęcia Polski do związku przeciw Rosyi i Austryi. Zręczny dyplomata angielski podniósł w niéj i wyświecił wszystkie korzyści polityczne przymierza pruskiego, nie zaniedbując położyć najsilniejszego nacisku na pożytki pod względem materyalnym, które spadłyby w takim razie na podupadły kraj i ubogą, potrzebującą wsparcia szlachtę. Prusy, twierdzi on, zniosą istniejący system celny na Wiśle i pozwolą za umiarkowaną wypłatą przewozić towary do morza Bałtyckiego, ogromny handel potrzeb okrętowych wynoszący cztery miliony czerw. złotych polskich, a dostarczany dotychczas Anglii przez Rossyę przejdzie na Polskę. Gwarancyę traktatu bierze na siebie Anglia. Do tych obietnic dołącza jednak i groźbę, że Anglia w razie ociągania się Polski, z Rossyą znieść się będzie musiala.

Memoryał Hailes'a nie wywarł żadnego skutku i dał tylko przeciwnikom polityki pruskiéj sposobność do tem silniejszego uderzenia na przymierze z Prusami. Głos przeciwny

---

[1]) p. List króla do Bukatego (w dziele W. Kalinki. Ostatnie lata pan. St. Aug. cz. II. str. 172. Pismo to krążyło w kilku odbiciach. Jedno we francuskim tekście a obok polskiém tłumaczeniu, p. t.: *Memoires sur les affaires actuelles de la Pologne. Pamiętnik ściągający się do niniejszych interesów Polski.* Warszawa, 1791 (4-to str. 23); drugie tylko po polsku: *Myśli stosujące się do teraźniejszych okoliczności handlowych i politycznych Polski pismo z franc. przetłumaczone.* Warsz. 1791 (4-to 2 ark. niel.)

odstąpieniu Gdańska i Torunia był tak ogólnym w kraju, że przewódcy stronnictwa patryotycznego nie śmieli otwarcie występować w obronie tak niepopularnéj sprawy, i ograniczali się przeważnie na agitacyę w sejmie, w którym większością głosów wbrew opinii publicznéj przymierze pruskie do skutku przyprowadzić myśleli. Do nielicznych broszur, które jednak głosem swoim poparły pismo Hailes'a, należy: „*List sąsiada do sąsiada* (4-to str. 7) i obszerne dzieło p. t.: „*Widok polityczny w teraźniejszych okolicznościach Polski.* Warszawa, 1791 (8-vo str. 144)“ napisane przez ks. Kajetana Skrzetuskiego, pijara, profesora historyi przy szkole kadetów [1]). Nieznajdujemy w nich zresztą nic innego, jak podniesione przez Hailes'a argumenta i wywody.

Łatwo zrozumieć, że usilném staraniem zwolenników polityki pruskiéj było występować przeciwko przymierzu rossyjskiemu i depopularyzować je w obec opinii publicznéj. Rozwinęli oni w tym kierunku czynną propagandę i wydawali raz wraz pisma szerzące opozycyę i nienawiść do Rossyi. Pominąwszy drobne i ulotne świstki, które w tym duchu działały, a których ogromna krążyła liczba [2]), wychodziły i obszerniejsze dzieła w tym celu jako to: „*Portret Moskwy czyli odpowiedź na pytania: Co jest Moskwa, i w jakim znajduje się stanie? Jakie krzywdy Moskwa poczyniła Polsce? I dla czego Polska z Moskwą poszła do rozwodu?* przez F. M. Warsz. 1790“ (8-vo str. 32) [3]) i „*Kuryer petersburgski czyli intrygi moskiewskie od panowania Jana Olbrachta czyli Alberta ciągnące się, a przerwane pod panowaniem N. Stanisława Augusta dnia 3 maja 1791 r.* Warsz. (8-vo str. 348). Autorowie ich usiłowali odkryć ukryte zamiary Rossyi, przypomnieć narodowi cały szereg doznanych od niéj krzywd i upokorzeń, i ostrzedz przed kłamaną przyjaźnią. Dla uspokojenia obawy przed potę-

---

[1]) Sz. Bielski Vita et scripta... Varsaviae 1812 str. 164.

[2]) Były to wierszem lub prozą pisane satyry, bajki, listy. Niektóre z nich wymienimy na końcu pomiędzy drobniejszemi pismami ówczesnéj literatury politycznéj.

[3]) Autorem pisma tego był Franciszek Makulski, o którym przyjdzie nam jeszcze wspomnieć.

gą i przyszłą jéj zemstą, która wielu trzymała po stronie Rossyi, rozrzucali oni pogłoski o wewnętrznéj państwa tego słabości: „*Rossya*“ mówi popularnie napisane pismo Portret Moskwy, skierowane przedewszystkiem do niższych warstw narodu *„dziś jest w ostatnim gradusie suchot. Udaje ona grafa, jak czynią ci powszechnie, którzy podłość swoją lub ubóstwo fałszywym blaskiem chcą pokryć.“* Twierdzi daléj pismo to, że wybuch wewnętrzny lada chwila jéj grozi, że skarb wycieńczony, a wojsko w skutek ciągłych wojen uszczuplone. *Moskwa*—woła inny publicysta— *on posąg ogromny bez krwi i nerwów, własnym się przytłoczy ciężarem. Nie trzeba nam już Turczyna, nie trzeba Szweda, w sobie ma niezawodne skazy i wyniszczenia zaczyny* [1]). Wspomnieć należy, że cała agitacya ta, jakkolwiek jako środek walki politycznéj pomiędzy stronnictwami zupełnie uprawniona, przechodziła jednak bardzo często

---

[1]) Ponieważ sprawa aliansu Polski z Prusami lub Rossyą była nietylko sprawą wewnętrzną kraju ale zajmowała do pewnego stopnia całą Europę, pojawiały się i za granicą pisma w obych językach, które ją w tym lub owym duchu roztrząsały. Pomiędzy niemi najbardziéj zwracała na siebie uwagę książka napisana w języku francuskim przez pewną wysoką osobę w Szwecyi p. t.: *Du peril de la balance politique de l'Europe ou exposé de causes qui l'ont alterée dans le Nord depuis l'avénement de Catherine II. au trône de Russie* 8-vo (p. Allg. Literaturzeitung Halle und Leipzig Intelligenzblatt 1790 str. 154 i 327). Pismo to występujące przeciw zbytniéj przewadze Rossyi szerzone było przez przeciwników polityki rossyjskiéj w kraju nietylko w oryginale ale i w polskiém tłumaczeniu: *O niebezpieczeństwie wagi politycznéj, albo wykład przyczyn, które zepsuły równoważność na północy od wstąpienia na tron Katarzyny.* Warszawa 1790 (8 vo str. 150). Autor daje w niém bardzo trafny obraz zaborczéj polityki moskiewskiéj od czasów Piotra Wielkiego, ukazuje w właściwém świetle pojedyńcze jéj objawy jakoto zabór Kurlandyi, podział Polski i coraz silniejszą grawitacyą ku Szwecyi, i przestrzega Europę przed grożącém niebezpieczeństwem. Zarazem stara się dowieść, że jest to interesem saméj Rossyi porzucić drogę ciągłych podbojów, będącą nienaturalném wysileniem na zewnątrz i zająć się urządzeniem wewnętrznych stosunków, które w tak opłakanym znajdują się stanie.

granice rozsądku i rozwagi. Odgrażanie się na Rossyę, niepotrzebne obrzucanie jéj obelgami, a nawet szyderstwa ku pojedyńczym wymierzone osobistościom, stały się zwłaszcza z początkiem sejmu, gdy sympatye pruskie miały górę w opinii, sposobem zyskania popularności, a smutno wyznać, że krzykliwym takim patryotyzmem popisywała się nietylko gawiedź podrzędniejszych publicystów, ale nawet urzędowe głosy posłów na sejmie, nie poczuwając, jak srogo kraj nierozwagę tę miał odpokutować [1]).

Obóz zwolenników polityki rosyjskiéj składał się bądź z żywiołów wstecznych i anarchicznych, nie czujących potrzeby odrodzenia się, a których częstokroć sama chęć opozycyi popchnęła w przeciwną dążeniom stronnictwa reformatorskiego politykę, bądź też z ludzi sprzyjających zresztą reformie, ale bez wiary w przyszłość narodu i bez głębszego poczucia obowiązków obywatelskich. Przez dwa pierwsze lata sejmu, jak długo nadzieja ścisłego połączenia się z Prusami brała górę nad rozumowaniem i porywała za sobą większość narodu, stronnictwo polityki rosyjskiéj, jakkolwiek dość liczne, nie śmiało występować przeciw powszechnemu prądowi. Rzadkie głosy w publicystyce dawały się z koła tego słyszeć. Ale postawione przez Prusy warunki przymierza, dały mu doskonałą sposobność do rozpoczęcia propagandy przeciw polityce pruskiéj. Sprzeciwienie się odstąpieniu Gdańska było rzeczą popularną, pod któréj osłoną można już było łatwiéj ukryć tendencye rosyjskie i wpływać na opinię publiczną. Nie omieszkali też korzystać z tego zwolennicy polityki rosyjskiéj, rozrzucając znaczną ilość działających przeciw Prusom broszur. Do najważniejszych z pomiędzy nich należą: „*Adama Wawrzeńca Rzewuskiego, kasztelana witebskiego, o proponowanéj przez dwór londynski cessyi miasta Gdańska cum territorio dla dworu berlińskiego uwagi*“ (4o 2 ark.) „*Szczęsny Potocki gen. art. kor. poseł bracł. do Benedykta Hulewicza posła wołyńskiego d. 22 czerw. 1790 z Wiednia*“ (4to. str. 3)[2]) „*Rozmowa Polaka, Rosyanina,*

[1]) Wiadomo, iż pomiędzy punktami deklaracyi rozbiorczéj podniesionem było znieważanie osoby Imperatorowéj przez sejm i naród.

[2]) Stanisław Szczęsny Potocki, syn Fr. Salezego, generał artyleryi koronnéj i poseł wojew. bracławskiego, był wraz

Anglika w okoliczności Gdańska Warszawa 1791 (8vo str. 79) „*Roztrząśnienie pisma pod tytułem Pamiętnik ściągający się do niniejszych interesów Polski tłumaczony z francuskiego.* Warszawa 1791“ (4to str. 24) [1]) „*Antimemoryał nad interesami teraźniejszemi polskiemi w narodowym języku wydany r. 1791*

---

z Branickim głową i kierownikiem działań opozycyjnych na sejmie 4letniem. Z razu popularny, hojne czynił ofiary dla kraju, ale gdy przekonał się o powszechnem prawie usposobieniu ku reformie, rozpoczął agitacye, wichrzenia przeciw robotom stronnictwa postępowego. Z końcem 1789 roku wyjechał do Wiednia, zkąd daléj wraz z Rzewuskim pracowali w kierunku reakcyjnym. Po ogłoszeniu konstytucyi stanął na czele konfederacyi Targowickiéj. Jako osobistość historyczna zajmuje on wybitne stanowisko; znacznie mniéjszą rolę odegrał jako pisarz polityczny. Zbieramy to mowy ulotne pisma i odezwy, które wydał w ciągu sejmu: *Mowa J. W. Stan. Potockiego posła bracł. gen. art. kor. na sessyi sejmowéj d. 27 paźdz. r. 1788 miana* Warszawa (f. kart. niel 2). *Mowa J. W. Stanisława Potockiego posła bracł. gcn. art. kor. d. 5 list. 1788 r. miana* (f. kart. niel. 2). *Mowa J. W. Stan. Szczęsnego Potockiego posła bracł. gen. art. kor. na sessyi d. 24 list. 1788 r. miana* (f. str. 4). *Stan. Potocki gen. art. kor. posł. bracł. do Benedykta Hulewicza posła wołyńskiego d. 22 czerw. 1790 r. z Wiednia* (4o str. 3) *List odpowiedni Stan. Szczęsnego Potockiego do najjaśń. Stan. Augusta króla polskiego pisany z Wiednia dnia. 23 listopada 1790* (4o kart. niel. 2.) *List odpowiedny J. W. Stan. Szczęsn. Potockiego do J. W. Zaleskiego posła woj. trockiego z Wiednia 1790* (4 ark.) *List Stan. Potockiego gen. art. kor. do autora pisma. pod tytułem Czamarka i Sarafan,* (8vo kart. niel. 15) *Kopia listu J. W. Potockiego posła bracł. gen. art. kor. do prześw. komisyi wojskowéj 18 grudnia 1791 z Jass* (4o $1/_2$ ark.) *Listy JJ. WW. Pana St. Potockiego gen. art. kor. do prześw. komissyi wojskowéj y Seweryna Rzewuskiego k. p. k. do J K. Mci* 1792 (4 ark.) *List. J. W. Szczęsnego Potockiego do J. O. Ks. Sułkowskiego kancl. W. kor. pod d. 13 junii 1793 z Petersburga pisany* (4vo kart. niel. 3).

[1]) Drugie odbicie pisma tego wyszło pod odmiennym tytułem *Rozbiór pisma p. t. Myśli stosujące się do teraźniejszych okoliczności handlowych i politycznych Polski pisma z francuskiego przetłumaczone.* Warszawa 1791 (4o str. 33).

(4o str. 74)[1])“ *Rzut myśli nad dziełem mającym za tytuł: Mémoires sur les affaires i t. d.* (4o. str. 10).

Pisma te dowodziły, że oświadczenia przyjazne Prus i Anglii są obłudnem udawaniem, komedyą mającą na celu zapewnić Prusom posiadanie Gdańska i Torunia, a Anglii przychylność Prus. Przedkładają one, że alians taki nie przyniesie żadnych korzyści, ani politycznych ani handlowych, lecz same tylko straty. Prusy nie zniosą istniejących ceł na Wiśle a zabraniem Gdańska zadadzą handlowi polskiemu na morzu bałtyckiem cios śmiertelny; z drugiéj strony straci Polska handel czarnomorski z Rosyą, która przez zemstę za traktat pruski zerwie wszelkie stosunki. Gwarancya Anglii jest zdaniem ich, nic nieznaczącą i żadnéj nie daje rękojmi. Główny przytem nacisk kładą one na popularny argument, że Gdańsk jest własnością Rzeczypospolitéj, która przy jakichkolwiek bądź nawet korzyściach żadnéj swéj części zrzekać się niema prawa a że odstąpienie takie byłoby *„drugim podziałem kraju, dokonanym tym razem nie przez obce mocarstwa, ale własnych kraju obywateli. „Dzieje się z nami“* mówi popularnie napisana książka Rozmowa Polaka i t. d. mówiąc o stosunku Polski do Prus *„dzieje się z nami tak, jak między dwoma na pozór przyjaciołmi z których możniejszy podoławszy wprzód słabszemu odebrać kontusz bogaty, a zlitowawszy się nad obnażonym do połowy i zimnem przejętym proponowałby zamianę i żupana ostatniego na kożuch wytarty“. „Niechcę przemawiać za Rosyą“* odzywa się inne z wspomnianych pism *„aby niedać niechętnym pretekstu wołania, ale przecież ta Rosya, którąśmy tysiącznemi obrazili sposobami, która przy granicach naszych ma sto tysięcy wojska, która po bliskiem zawarciu pokoju będzie miała podług wszelkiego prawdopodobieństwa w ręku swojem los połowy Polski, utrzymując panowanie nad czarnem morzem i rzekami, przez które produkta nasze jedynie zbyć możemy, ta Rosya nie bierze takich opłat, nie wymaga ofiar i zostawia nas przecie w spokojności!“*

Od tych pism, będących wyrazem ludzi przesądnych, małoduszných, ale którzy w każdym razie garnęli się do Rosyi

[1]) Znajduje się tu z jednéj strony przedrukowany Memoryał Hailes'a a z drugiéj odpowiedź na niego.

więcéj z potrzeby i konieczności politycznéj, jak z sympatyi, odróżnić należy inne, które wychodziły prawdopodobnie z pod piór płatnych ajentów i czerpały natchnienie bezpośrednio w ambasadzie rosyjskiéj. Te nietylko przemawiają na korzyść aliansu moskiewskiego, ale posuwają się do obłudnego kłamania szczerych chęci Rosyi, do usprawiedliwienia wszystkich na Polsce popełnionych gwałtów. Z bezczelnym cynizmem tłumaczą one rozbrojenie kraju chęcią ulżenia narodowi niemogącemu płacić zbyt wysokich podatków, a rozbiór koniecznością, któréj Rosya jak najniechętniéj uległa pod wpływem gróźb i przymusu ze strony innych sąsiadów! Do rzędu takich publikacyi należy w języku francuskim wydana książka p. t: „*L'esprit du vrai patriotisme — avis aux vrais Polonais.* Hamburg 1791“ (4o. str. 45) i „*Maska odkryta na marsowem polu w Paryżu z francuskiego przetłumaczona 1790* (8vo str. 263). Ostatnie zwłaszcza dzieło przechodząc historyę stosunków Polski do mocarstw sąsiednich, stara się dowieść że Rosya w najcięższych czasach dawała Polsce zawsze dowody szczeréj przyjaźni, i że Polacy winni jéj wdzięczność za protekcyę, za wójsk utrzymywanie, przez które miliony rubli w kraj wchodziły, za czuwanie nad porządkiem i tysiączne inne dobrodziéjstwa, bez których Polska była by „pustą Arabią“! W tłoku bezwstydnych takich kłamstw znajdujemy tu jednak nadzwyczaj ciekawe szczegóły, dotyczące polityki Prus, których ukryte zabiegi autor dzieła stara się odsłonić.

Zupełnie odrębne stanowisko w sprawie polityki zewnętrznéj zajmowali król i stronnicy jego. Z przekonania więcéj Rosyi jak Prusom przychylni, ale z drugiéj strony pojmując całą doniosłość przymierza pruskiego dla sprawy reformy, nie wiedzieli oni przez długi czas, jaką obrać z tych dwóch dróg, którą nowy rozkład stosunków politycznych przedstawił do wyboru. Obawa potęgi rosyjskiéj, poczucie słabości wewnętrznéj kraju i nieufność do Prus sprawiały, że sprzeciwiali się stanowczemu zerwaniu istniejących z Rosyą stosunków, ale równocześnie propozycye pruskie i ogólny prąd opinii publicznéj zachwiały do pewnego stopnia uległością ich ku Rosyi i wznieciły nadzieję zajęcia samoistniejszego względem niej stanowiska. Na takiem wahaniu się między jedną a drugą stroną przepędziło stronnictwo królewskie całe dwa pierwsze lata sej-

mu czteroletniego. Łatwo pojąć, że nie mając jasno wytkniętego celu, nie mogło występować czynnie na zewnątrz i że w rozprawach piśmiennych mały brało udział. Całe działanie jego ograniczało się przeważnie na uśmierzaniu zbytniego zapału zwolenników polityki pruskiéj i ostrem karceniu szerzącego się coraz bardziéj krzykactwa politycznego. W tym duchu działały wszystkie prawie pisma, które wychodziły z koła stronnictwa królewskiego, zarówno dzieła zajmujące się ogólnym projektem reformy, które tylko pobieżnie dotykały sprawy polityki zewnętrznéj: *Testament polityczny*, *Próbka pióra* i t. d. jak umyślnie w tym celu wydane pisma: *Lord Burke do Polaków*, *pismo z angielskiego przełożone* r. 1790 (8vo egz. brosz. niekompl. „*Tajemnica podziału Polski odkryta* r. 1789“ (8vo str. 103). Nie były to wprost przeciw Prusom wymierzone pociski w tym rodzaju, jak je rzucali inni bezwzględni zwolennicy obozu rosyjskiego, jak raczéj ostrzeżenia i przestrogi, aby nie zawierzać i nie dawać się powodować Prusom, które w chwili stanowczéj Polskę porzucą. „*Polacy*“ ostrzega autor „Próbki pióra“ *nigdy nadto baczności mieć nie możecie na ścianę pruską, nigdy nadto ostrożności od pruskich sideł na nas zastawionych; opadliśmy już w jedne, chrońmy się smutnem doświadczeniem nauczeni od innych a może niebezpieczniejszych.* Radzi przeto trzymać się polityki, która „*z każdą potencyą, gdy pożytecznie, a nie ślepo się łączy, żadnéj nadto nie ufa ani wpływu dozwala, ani téż żadnéj nie obraża. „Podobno dotąd macie oczy polityki waszéj zaślepione pozorami przyjaźni i szczerego ku wam przywiązania* czytamy w piśmiku „Lord Burke“ uderzającem śmiało na niepotrzebne miotanie obelg na Rosyę *radziłbym wam mieć więcéj ostrożności ku jednéj, a wcale nie wzgardy ku drugiéj potędze, żeby wam nie przyszło napić się téj wody, w którą teraz plujęcie.*“

Rok 1790, w którym nastąpiło bliższe zetknięcie i porozumienie się stronnictwa patryotycznego i królewskiego w celu przeprowadzenia reformy, przechylił politykę króla na stronę Prus. Wiedzieć wszakże należy, że uczynił to nietyle z przekonania i wewnętrznych pobudek, jak raczéj ulegając parciu opinii publicznéj i większości narodu, która popierała alians pruski [1]).

[1]) Od chwili, kiedy król przystąpił do aliansu pruskiego i ów znany okrzyk: król z narodem, naród z królem stał się

Znacznie czynniéj w sprawie polityki zewnętrznéj wystąpił król po ustawie 3go maja pod sam koniec sejmu 4letniego. Gdy po wypowiedzeniu wojny ze strony Rosyi, król pruski tak haniebnie zawiódł położone w nim zaufanie, a pierwsze kroki wojenne okazały, że nieprzygotowany i zaskoczony w pracy nad reformą naród obronić się nie zdoła, powziął St. August myśl zawiązania napowrót stosunków z Rosyą i ratowania się przymierzem ze smutnego położenia. Do kroku tego, nad którego uskutecznieniem pracował usilnie drogą stosunków dyplomatycznych [1]), starał się także pismami przygotować opinię publiczną. Należy tu wydana z polecenia jego broszura p. t. „*Raczéj piórem niż orężem*“ (8vo str. 18) [2]). Wystawia ona gro-

---

jakby ogólnem hasłem wszystkich zwolenników reformy stronnictwo patryotyczne, pozyskawszy króla starało się osobę jego, w oczach wielkiéj części narodu niepopularną, oczyścić z zarzutów i podnieść w opinii publicznéj. W tym duchu działała obok kilku drobniejszych pism głośna broszura p. t. *Co téż to się dzieje z nieszczęśliwą ojczyzną naszą wiadomość poświęcona prawdzie i przyszłości.* W Chełmnie 1790 (8vo str. 56) napisana jak wspomnieliśmy poprzednio, przez Kołłątaja. Broni on w niéj króla i uważa za przyczynę jego dotychczasowéj polityki jakotéż w ogóle wszystkich nieszczęść kraju magnatów, którzy umyślnie szerząc nieufność między królem a narodem zmuszali króla łączyć się z Moskwą, sami zaś, ilekroć tenże wyciągnął ręce, aby iść z narodem, Moskwie się zaprzedawali. Odsłania wichrzenia ich w czasie konfederacyi radomskiéj, barskiéj, podłość i zdradę podczas sejmu porozbiorowego i nareście obecne zabiegi przeciwko reformie, i wzywa naród, aby teraz, kiedy król postanowił działać z nim wspólnie, zawierzył dobrym jego chęciom i niedał się powodować rzucanemi na niego potwarzami. Ciekawa ta broszura, mieszcząca wiele szczegółów co do ugrupowania stronnictw ówczesnych, pokilkakroć była odbijaną (w Warszawie (8vo str. 43) w Warszawie 1790 (8vo str. 56) w Chełmnie 1791 (8vo str. 46). Niektóre szczegóły pisma tego poprawiała i uzupełniała wydana z polecenia króla broszurka p. t. *List senatora do przyjaciela* (12o str. 7).

[1]) List króla do Katarzyny II z d. 22 czerwca 1792 w ost. lat. pan. St. Aug. cz. II str. 70.

[2]) Pamiętniki ks. J. Kitowicza Poznań 1845 t. II str. 287. Nieznajomy autor wydał także allegoryczne pismo, odnoszące się do stosunków sejmu 4 l. p. t. *Pogoda zabytek prawdy*

źne stanowisko Rosyi względem uchwalonéj konstytucyi, zdradę Prus, i bezsilność kraju, który własnemi siłami utrzymać się nie może, i przemawia za pojednaniem się z Rosyą. W tym celu podaje projekt, aby córkę elektora saskiego uznaną przez konstytucyę za infantkę polską, ożenić z wielkim ks. Konstantym i oddać mu tron polski. Podnosząc wszystkie korzyści, które wybór taki za sobą pociągnie, twierdzi, że Polska nie tylko nie będzie potrzebowała obawiać się więcéj Rosyi, ale że ta odda w takim razie wszystkie swoje zabory i przymusi cesarza i króla pruskiego do podobnéj restytucyi, co więcéj nawet, w przypadku wygaśnienia panującéj linii monarchów rossyjskich, Polska mogłaby się stać panią Rosyi i największą całéj Europy potęgą! Myśl zawiązania napowrót stosunków z Rosyą znajdujemy jeszcze w drugiem ulotnem pisemku p. t. *Uwagi nad aliansem z Moskwą*, które prawdopodobnie wyszło także z najbliższego otoczenia królewskiego (f. ark)[1]). Autor jego uważa za rzecz przeciwną rozsądkowi z dwónastoma lub piętnastoma tysiącami stawiać opór Rosyi i żąda aby się udać pod jéj opiekę. Przyznaje on wprawdzie, że rząd przez nią gwarantowany nie ze wszystkiem odpowie żądaniom kraju, że niejeden ucisk znosić od niéj będzie trzeba, ale pociesza się tém, że Rosya za to bronić będzie Polski, jako *części siebie saméj, jako ręki dla siebie saméj przybyłéj. Będziemy mieć przynajmniéj wolne i bezpieczne plecy* zakończa on argumentacyę swoją a powiedzenie to maluje lepiéj niż wszelkie wywody ogólny upadek ducha i małoduszność, jaką wywołały znane deklaracye posłów, rosyjskiego i pruskiego, i to nie tylko w kole zwolenników króla, ale niestety w przeważnéj części narodu.

Wiadomo, że po bezskutecznych próbach pojednania się z Rosyą, król straciwszy nadzieję utrzymania konstytucyi, przystąpił do konfederacyi targowieckiéj. Głównem odtąd staraniem jego było wytłumaczyć się z postępowania swego w obec opinii publicznéj. Akces jego wywołał bowiem ogromne w kraju

---

z greckiego wyjęty przez autora raczéj piórem niż orężem na dokończenie bajki Wiatry (8vo str. 39.

[1]) Na egzemplarzu, który mamy przed sobą, dopisano ręką spółczesną: podane od tronu.

wrażenie; jeźli najumiarkowańsi nawet ludzie przyjęli wiadomość tę z oburzeniem, obwiniając króla najsłuszniéj o brak energii i małoduszność, to ze strony ludności całéj a zwłaszcza nieprzyjaciół osobistych dawały się słyszeć najniegodziwsze i najdotkliwsze zarzuty zdrady, złéj woli i tajemnego porozumienia z Rosyą. Dla odparcia rzucanych potwarzy i oczyszczenia się przed powszechnością narodu wydawał St. August broszury, które podnosiły, rozbierały i wyjaśniały sprawę akcesu do Targowicy. Najważniejszą z nich jest *Zdanie o królu polskim 1792* (8vo str. 35), Autor jéj, Mikołaj Wolski [1]) ten sam, który późniéj napisał znane nam: *Uwagi nad ustanowieniem i upadkiem konst. 3 m.* rzuca w niéj ogólny pogląd na politykę króla podczas sejmu czteroletniego i zestawia powody, które zmusiły go do przystąpienia do konfederacyi targowickiéj. Wymienia pomiędzy nimi brak środków materyalnych do dalszego prowadzenia wojny, ogólny upadek ducha w kraju, stanowcze i bezwzględne kroki imperatorowéj, obrażonéj zrzuceniem gwarancyi i konstytucyą 3 maja i porozumienie jéj z królem pruskim, który tak podstępnie złamał uświęcone traktatem przyrzeczenia. Podnosząc względy te wy-

[1]) Wypada powiedzieć słów kilka o osobistości pisarza tego o którego po raz drugi już potrącamy. Mikołaj Wolski ur. 1762 znany w literaturze z tłumaczenia „Noc Younga“ i Georgików Wirgilego, wielki znawca klasyków rzymskich i greckich, zresztą w ogóle z usposobienia więcéj literat jak mąż polityczny, należał do najgorliwszych stronników króla. Stan. Augusta, który lubił się otaczać ludźmi zdolnymi a zaufanymi, wprowadził go w karyerę polityczną i mianował podczas sejmu 4-let. członkiem komisyi skarbowéj, następnie szambelanem przybocznym, a w r. 1794 komisarzem do ułożenia taryf celnych mających w skutek zawartego z królem pruskim przymierza handlowego, obowiązywać obie strony. Równocześnie używał pióra jego do działania na opinię publiczną. Prócz wspomnianéj broszury zdaje się, że niejedną rzecz puścił Wolski w obieg podczas sejmu z polecenia króla. Jemu jak wiemy powierzoną została obrona i odpowiedź na dzieło Kołłątaja: O ust. i up. konst. Wierny królowi do śmierci Wolski wyjechał z nim do Petersburga. Po śmierci Stan. Augusta wrócił do kraju i osiadł w Białymstoku przy kasztelanowéj krak. Branickiej. Umarł w roku 1802 mając zaledwie lat 40 (Pamiętnik warsz. 1804 styczeń. str. 93).

jaśnia, że do kroku tego dla siebie tak bolesnego i upakarzającego król nie z innéj przyczyny się skłonił, jak tylko aby ratować kraj od zupełnéj zagłady. Obok téj oficyalnéj obrony, w któréj ułożeniu sam król brał udział, wychodziły ze strony zwolenników polityki królewskiéj pisma, które także miały na celu uśmierzać surowy sąd opinii publicznéj o królu i tłumaczyć postępowanie jego, jako to: *Ja lepiéj trzymam o królu* (8vo str. 15) *Rozmowa podsędka z szambelanem o przystąpieniu króla do konfederacyi targowickiéj* (8vo egz. brosz. niekomp.) i t. d.

Na ogólne usposobienie kraju, w tych ostatnich chwilach działania sejmu 4let. tak krytycznych i tak niepewnych pod względem przyszłości rzuca jaskrawe światło broszura p. t. *Biesiada ojczyzn czyli Rzeczypospolitéj polskiéj z Austryą, Rossyą i Prusami rozmowa, dzieło dla przestrogi narodu przez M. Józefa Skorupskiego napisane roku pańskiego 1792* (8vo 31), któréj autor zbiera i podnosi szerzące się pogłoski o umowach i układach trzech sąsiadów, i z bolesną goryczą wyśmiewa łatwowierność, z jaką naród dał się po raz wtóry usidłać. Zwątpienie, upadek ducha i gorączkowe jakieś wyglądanie gotujących się wypadków malują się w piśmie tem w jak najsmutniejszy sposób.

IV.

Sprawa dziedziczności tronu.

Żadna z poruszonych na sejmie czteroletnim kwestyi nie zajęła w tym stopniu uwagi publicznéj, nie dała powodu do tak burzliwych sporów i nie wywołała tyle najrozmaitszych dzieł, broszur, pism i odezw, co kwestya dziedziczności tronu. *Natargała ona* — mówi dowcipnie ks. F. S. Jezierski w jednem z swych ulotnych pisemek *tylę — piór, żeby można z niéj zro bić wygodny materac dla spracowanéj tylą pismami prawdy.* I rzeczywiście począwszy od ostatnich miesięcy 1789 r, cały rok 1790 był jakby jedną nieprzerwaną dyskusyą nad tym

przedmiotem — dyskussyą, która w jednéj prawie chwili ogarnęła naród cały i podzieliła go na dwa przeciwne, walczące ze sobą obozy, zwolenników sukcessyi i elekcyi. Odłożono na bok wszystkie inne sprawy polityczne, a skierowana raz w tę stronę uwaga powszechna wzrastała w miarę powiększającego się rozdrażnienia i namiętności. Liczba wychodzących pism tak była wielką, że dla lepszego rozpatrzenia się w niezmiernéj ich powodzi zaczęto nareszcie wydawać książki, które zbierały treść poprzednich broszur, zestawiały obustronne argumenta i tak gotowy niejako materyał stawiały czytelnikom przed oczy [1]).

Tak powszechne zajęcie się, ten ruch tak rozległy i potężny łatwo zresztą zrozumieć, jeźli się weźmie pod uwagę doniosłość podniesionéj sprawy. Zasada obieralności królów należała do najgłówniejszych podstaw istniejącéj formy rządu: była to druga obok liberum veto „źrenica wolności“, do któréj odwieczna tradycya odniosła początek swobód obywatelskich, na którą przez tyle wieków spoglądał z dumą i chlubą naród cały. Obalenie takiéj instytucyi tak silnie zrosłéj z duchem narodu musiało wywołać silne starcie i poruszyć do żywego namiętności. Nastąpiła reakcya tego samego rodzaju, jak ta, którą przed dwudziestu kilku laty wywołał Konarski projektem zniesienia liberum veto, z tą jednak różnicą, że odbyła się teraz na szersze rozmiary i wśród większego rozdrażnienia. Zwolennicy dawnego porządku rzeczy nie poprzestali tym razem na bezsilnych krzykach i na paleniu ksiąg nowatorskich, ale uderzyli pierwsi z całą namiętnością na projekta reformatorów i rozpoczęli zaciętą walkę na polu piśmiennictwa. Rozumiejąc dobrze, że około sprawy téj obraca się cała przyszłość reformy, od niéj zależy zwycięstwo lub upadek przeciwnego sobie stronnictwa, skupili oni w tym punkcie wszystkie swe siły i niezaniedbali niczego, coby mogło przytłumić szerzącego się ducha czasu i uczynić ich panami opinii publicznéj.

---

[1]) *Kopia responsu na list bywszego senatora polskiego do urzędnika woj. pisany w materyi elekcyi królów r. 1790* (8vo str. 70) *Treść pism różnych względem formy rządu i sukcessyi tronu polskiego tak dawniéj jako téż i świeżo wydanych i t. d.* w Sandomierzu (prawdopodobnie w Warszawie) r. 1791 (8vo str. 67).

Na czele téj propagandy opozycyjnéj, wymierzonéj przeciw sukcessyi tronu, a prowadzonéj systematycznie i wedle naprzód ułożonego planu, stanął hetman polny koronny Seweryn Rzewuski. Był to mąż wielkiéj w kraju powagi i znaczenia, i bez wątpienia najzdolniejsza głowa z całego obozu staroszlacheckiego, ale utopista, trudniący się więcéj alchemią niż życiem rzeczywistem, namiętny wielbiciel starodawnych Rzeczypospolitéj urządzeń, przytem dumny magnat, który z powodu uszczuplenia władzy hetmańskiéj od lat wielu nie chciał przebywać w kraju [1]). Pierwsza jego broszura, p. t. *Seweryna Rzewuskiego hetmana polnego koronnego o sukcessyi tronu w Polsce rzecz krótka* bez m. d. i r. (8vo str. 45 [2]), pisana w Dre-

[1]) Syn trzeci hetmana wiel. kor. i kasztelana krak. Wacława Rzewuskiego, urodził się w roku 1743. Skończywszy szkoły początkowe u Teatynów w Warszawie, wysłany został wraz z braćmi pod dozorem margrabiego Caraccioli do Niemiec, Włoch, Francyi i Hollandyi. Po powrocie otrzymał stopień generał-majora (1760), zasiadał w r. 1764 po raz pierwszy jako poseł podolski na sejmie konwokacyjnym i elekcyjnym i należał do największych przeciwników St. Poniatowskiego, przeciw któremu wydał nawet ostrą satyrę p. t. *Iter Polydori ad arcem, quae vocatur Dei gratia.* Za opozycyę przeciw Repninowi na pamiętnym sejmie 1767 r. (na który także obrany był z woj. podolskiego) wywieziony został wraz z ojcem, Sołtykiem i Załuskim do Kaługi gdzie przesiedział lat pięć (1767—1772). W r. 1774 powróciwszy do kraju otrzymał godność hetmana polnego koronnego. Uszczuplenie wolnéj buławy na sejmie r. 1776 spowodowało wyjazd jego za granicę. Odtąd po większéj części nie brał czynnego udziału w życiu publiczném: z otwarciem sejmu 4 let. zjechał do kraju ale widząc sprzyjającego reformom ducha czasu, wyjechał do Wiednia i już tylko jako publicysta działał przeciw reformie. Rola jaką odegrał pod koniec sejmu jako jeden z naczelników konfederacyi Targowickiéj, każdemu znana. W roku 1793 złożył buławę i w prywatnem odosobnieniu dokonał reszty życia. Umarł w Wiedniu 1811 r. (kronika Podhorecka Kraków 1860 i artykuł F. M. Sobieszczańskiego w Encykl. powsz. Org. t. XXII str. 637).

[2]) Sądząc z tytułu pisma, które Kołłątaj wydał jako odpowiedź przeciw Rzewuskiemu, wnosić by można, że broszura Rzewuskiego wydaną została w kraju i to w Warszawie. Znamy prócz tego dwa inne odbicia, zdaje się pó-

źnie i z końcem 1789 roku do kraju przesłana, dała pierwsze hasło do walki między zwolennikami sukcesyi i elekcyi. Uderzył w niéj hetman z namiętnością fanatyka i godną zaiste lepszéj sprawy wymową na projekt dziedziczności tronu wyrzekając na spodlone plemię, któremu przypominać trzeba, że naród polski od wieków królów obierał. Zniesienie elekcyi uważa za krok pierwszy do wprowadzenia despotyzmu królewskiego, a zwolenników sukcessyi nazywa wprost zdrajcami kraju. Nie w elekcyach leży zdaniem jego przyczyna wpływu obcych mocarstw i zaburzeń wewnętrznych, ale w ogólnem osłabieniu rządu, zbytku, zniewieściałości i rozwiozłości obyczajów. Wystawiwszy rozmaite przeszkody i trudności, na jakie sukcesya tronu natrafi, zwłaszcza ze strony obcych mocarstw, z niesłychaną śmiałością zapowiada rokosz w razie jéj ustanowienia. *Jeszcze w Polakach nie wygasła miłość wolności* — woła on na końcu pisma swego—*uczują jéj stratę, mogą pójść do oręża, a jako ci, co sukcessyą tronu ustanowią, nie będą pewnie bez poparcia, tak i tym, co ją ustanowioną zechcą obalić, na niem schodzić nie będzie.* Urzędowem niejako potwierdzeniem wypowiedzianych tu myśli był manifest protestacyjny puszczony w ślad za broszurą, a podpisany przez Rzewuskiego i Szczęsnego Potockiego *(Protestacya przeciw sukcesyi tronu w Polszcze Sew. Rzewuskiego h. p. k. i Stan. Szczęs. Potockiego gen. art. koronnéj posła z prześwietnego województwa bracławskiego* 1790 (f. kart. 2). Aby zapatrywaniom swoim osobistym dodać wagi i tem większy wpływ wywrzeć na opinię publiczną, wystąpił Rzewuski w tym samym jeszcze roku z drugiem dziełem p. t. *O tronie polskim zawsze obieralnym z dziejów i prawa dowody.* Warszawa 1789 (8vo str. 109). Była to obszerna rozprawa historyczna, w któréj przechodząc panowanie pojedyńczych królow, starał się dowieść, że od najdawniejszych czasów królowie polscy byli obierani, i ani jeden z nich nie zasiadł na tronie prawem sukcesyi. Dzieło to napisane bez

---

źniejsze: *Sew. Rzewuskiego hetm. p. k. O sukcessyi tronu w Polsce rzecz krótka* w Amsterdamie 1789 *Ru.* (8vo str. 45) *i Sew. Rzewuskiego hetm. p. k. O sukcesyi tronu w Polsce rzecz krótka* w Amsterdamie 1789 r. (8vo str. 47). Mylnie podaje Szujski tytuł dzieła: *O sukcessyi i elekcyi* Dzieje Polski t. IV str. 619).

wszelkiéj krytyki na podstawie dawnych kronik mianowicie Długosza i Kromera, zestawione z najdowolniej wybranych źródeł i dokumentów, nie ma żadnéj historycznéj wartości, ale było zręczną pracą publicystyczną, zastósowaną do okoliczności i naprzód obmyślanego celu.

Pisma Rzewuskiego, a zwłaszcza pierwsze z nich, zrobiło wielkie wrażenie. Dawały się wprawdzie już nieraz w publicystyce słyszeć głosy przeciw dziedziczności tronu a w ogóle przeciw projektom reformatorów, ale na tak śmiałe i stanowcze wystąpienie nikt dotychczas nie był się odważył. Siła wymowy i popularne imię autora podniosły nie mało zgubną tendencyę książki, która i tak mogła liczyć na powodzenie między masą narodu, bo odzywała się do zadawnionych przesądów i namiętności. Powitały ją też z radością wszystkie wsteczne żywioły w kraju, a jeszcze gorliwszych propagatorów znalazła w rządzie rosyjskim i jawnych jego kreaturach. Poseł rosyjski w Warszawie miał ją jeden z pierwszych w ręku i publicznie chwalił, a Branicki, będąc wówczas w usługach Potemkina, którego za pomocą elekcyi chciał osadzić na tronie polskim, tysiącami kazał ją drukować i po kraju rozrzucać [1]). W obec takich okoliczności nic dziwnego, że światlejsza część publiczności przyjęła pismo to z oburzeniem; niechciano zrazu wierzyć, żeby zacny Rzewuski był autorem téj bezecnéj książki a pojedyńcze głosy zarzuciły nawet nieznanemu pisarzowi zdradę i przekupstwo. Zarzuty i podejrzenia te znajdować musiały dość silne echo w opinii ogółu, kiedy Rzewuski czuł się spowodowanym publicznie przeciw nim wystąpić. W pisemku p. t. *Seweryna Rzewuskiego h. p. k. odpis na list przyjaciela względem listu I. M. księdza Krasińskiego biskupa kamienieckiego* (4vo str. 9) zaprzecza stanowczo takim insynuacyom. *Cały świat polski wie, mówi on, że hetman polny nie jest ani moskalem, ani prusakiem, ani austryakiem. Polakiem jestem, i Polakiem da Bóg umrę, ale Polakiem wolność i prawa szlacheckie utrzymującym, a nie Polakiem wolność i prawa szlacheckie gnębiącym.* Szumny ale czczy frazes; w niespełna dwa lata ten sam człowiek był jednym z hersztów Targowicy [2]).

[1]) Ostatnie lata pan. Stan. Aug. p. list króla do Bukatego s. 144.

[2]) Prócz wspomnionych dwóch broszur w sprawie sukcessyi wydał Rzewuski w tym samym czasie kilka drobniejszych pism,

Ośmielone wystąpieniem Rzewuskiego stronnictwo staroszlacheckie podniosło głowę i rozwinęło nadzwyczajną czynność. W ślad też za dziełami hetmana polnego pojawiła się wielka liczba pism i broszur, których celem było poprzeć całą siłą opozycyę Rzewuskiego i zniszczyć za pomocą gwałtownéj reakcyi w opinii publicznéj plany reformatorów. Należą tu mianowicie następujące, które wspólnie się wspierając, posił-

---

w których równie namiętnie i gwałtownie uderzył na inne projekta reformatorów. W piśmie p. t. *Nad prawem, któreby szlachcie bez posessyi activitatem na sejmikach odbierało uwagi.* Warszawa 1790 (8vo str. 16) wystąpił przeciw, odsunięciu nieposessyonatów. Projekt ten nazywa on najniegodziwszym zamachem na równość szlachecką, wprowadzeniem nowéj nieznanéj dotychczas zasady, że zagon więcéj znaczy niż szlachectwo, i przepowiada, że ostatecznym tego skutkiem będzie rozdrobnienie fortun szlacheckich, i absolutyzm królewski. Oskarża autorów projektu o chęć zagłady stanu szlacheckiego, w celu, aby natomiast podnieść i przypuścić do praw politycznych mieszczaństwo. Ogólne zapatrywania swoje na reformę rządu, niejako wyznanie wiary politycznéj złożył Rzewuski w ulotnem pisemku p. t. *Seweryna Rzewuskiego punkta do formy rządu* (8vo str. 15). Jestto rodzaj katechizmu politycznego, złożonego z 39 artykułów, pomiędzy którymi mieszczą się jako dogmata wszystkie instytucye dawnéj Rplitéj a mianowicie liberum veto, elekcya królów, wolna buława. Artykuł każdy kończy się potępieniem zdania przeciwnego przez: hostis patriae sit. Pisemko to, rozrzucone po kraju w różnych odbiciach (drugie odbicie f. kart. 2) przeznaczone było dla szlachty po powiatach służyć za program polityczny. Jakkolwiek Rzewuski jest najwybitniejszą i prawie jedyną znaczniejszą osobistością literatury staroszlacheckiéj, to jednak nie można go uważać za reprezentanta stronnictwa. Ekscentryk stojący na uboczu spraw publicznych, zresztą człowiek starszéj daty, szedł on w zapatrywaniach znacznie daléj niż reszta przeciwników reformy i wypowiadał żądania, które nie wchodziły wcale w program stronnictwa staroszlacheckiego, (jakoto n. p. liberum veto i wolnéj buławy). Ale za to był on ogromną moralną potęgą w ręku przewódzców opozycyi, takiego Szcz. Potockiego i Branickiego, którzy za pomocą jego imienia skupić się starali około siebie tłumy mniéj oświeconéj szlachty i stworzyć silne stronnictwo. Dla uzupełnienia działalności literacko-politycznéj Rzewuskiego dodać należy, że już

kując i uzupełniając zbitym niejako szeregiem a z wielką namiętnością uderzyły na postawiony przez stronnictwo reformy projekt dziedziczności tronu: *Bezstronne zastanowienie się nad projektowaną ustawą następstwa tronu w Polsce przez pewnego szlachcica z ziemi łukowskiéj* (8vo str. 142). *Uwagi nad wyborem między elekcyą a sukcesyą w Polsce* (8vo str. 54). *Uwagi dla utrzymania wolnéj elekcyi króla polskiego dla Polaków.* Warszawa 1789 (8vo str. 31). *Przeciwko tym, którzy myślą o sukcessyi tronu polskiego, obywatel woj. podlaskiego ziemi bielskiéj d. 24 stycznia 1790* (8vo str. 24). *Odpis na list biskupa kamienieckiego* (8vo egzm. brosz. niekompl). *Przyjaciela Seweryna Rzewuskiego do Adama Krasińskiego list na list* (8vo str. 16), *Do publiczności, jakie korzyści da przy wolnéj z familii elekcyi, sukcesya w Rzeczypospolitéj polskiéj oraz i projekt poprawy elekcyi przez Kujowianina L. W. O. S. S.*

---

przed sejmem 4let. wydał znaczną liczbę odezw i mów, mianych podczas sejmu 1776 r. które, przyznać trzeba, są pięknymi wzorami wymowy sejmowéj. Należą tu: *List J. W. Sew. Rzewuskiego h. p. k. do prześw. województw ziem i powiatów na sejmiki przedsejmowe poselskie pisany r. 1776 d. 1 julis z Stulna* (f. ark). *Mowa J W. Rzewuskiego h. p. k. miana na sejmie d. 28 aug. 1776* (f. $^1/_3$ ark). *Mowa J. W. Sew. Rzew. h. p. k. miana na sejmie d. 6 sept. 1776 r.* (f. kart. niel. 2) *Zdanie J. W. Sew. Rzew. h. p. k. ex turno die sept. 1776, u na propozycyą, czy mają być dawane głosy lub nie, ante turnum* (f. $^1/_2$ ark.) *Mowa J: W. Sew. Rzew. h. p. k. miana na sejmie d. 23 7bris 1776 r.* (f. kart. niel. 2) *Mowa J. W. Sew. Rzew. p. h. k, na sejmie d. 10 8bris 1776 r. miana* (f. kart. niel. 2) tłumaczenie francuskie dwóch ostatnich mów wyszło p. t. *Discours de S. Ł. Monseigneur le comte Sev. Rzew. gen. de la couronne prononcé en pleine diete dans la séance du 23 sept. et 10 oct 1776* (4o kart. niel. 3). *Mowa JW. Sew. Rzew. h. p. k. d. 12 8bris 1776 r. miana* (f. kart. niel. 2). Po sejmie 4 l. jako jedno z naczelników konf. targ. wydał: *Uniwersał do Wszystkich, Seweryn na Rzewuskach, Księstwie Oleskiem, Księstwie Kowalskiem, Podhorcach, Jezierzanach i t. d. Rzewuski h. p. k. doliński, stuleński.... i t. d. starosta, orderu orła białego kawaler Dan w Targowicy w miejscu gen. konf. d. 14 mies. maja 1792* (f. ark) *i Głos J. W. Sew Rzewuskiego h. p. k. na sesyi konf. d. 31 stycznia 1793 r. względem wkroczenia wojska pruskiego w granice Polskie 1793* (f. ark.)

(8vo str. 84 [1]). *Reszta rozmowy domatorów Kijowianina z Wołynianinem o pożytkach z sukcesyi z wolną w familiach elekcyą, a stąd o skutkach uskromienia arystokracyi i innych ważnych niebezpieczeństwach* (8vo str. 170). *Odezwa zmarłego Szlawskiego posła krakowskiego do publiczności polskiéj, a mianowicie do Stanów skonfederowanych z tamtego świata* (8vo str. 47). *Odpowiedź na list J. P. Bartłomieja Werpechowskiego na starych Werpechach przez J. P. Szymona po Kazimierzu na nowych Werpechach Werpechowskiego d. 3 stycznia 1790 r.* (8vo str. 22). *I ja też* (8vo str. 16). *Treść pism różnych względem formy rządu i sukcessyi tronu polskiego tak dawniéj jakotéż i świeżo wydanych z przyłączeniem niektórych uwag z nichże wypływających* w Sandomierzu (prawdopodobnie w Warszawie) 1791 (8vo str. 67), i wiele innych.

Pisma te za przykładem Rzewuskiego uderzyły na alarm zagrożonéj „złotéj wolności“. Głosząc się szumnie obrońcami Rzeczypospolitéj i wiernymi dawnych swobód stróżami odepchnęły one z największem oburzeniem projekt dziedziczności tronu i wezwały naród, aby się nie dał omamić nowemi *zarażonemi mniemaniami* i nie schodził z drogi, którą szedł od wieków. Wybór między elekcyą a sukcessyą jest zdaniem ich niczem innem jak alternatywą wolności lub niewoli. W najja-

[1]) Autorem tego jakoteż następnego pisma jest Ludwik Wołczkiewicz Olizar, podrzędna zresztą i nieznana osobistość która jednak jako typ zasługuje na uwagę. Człowiek dawnego kroju, z wszystkimi przesądami i wyobrażeniami wieku, patrzący niechętnie na nowego ducha czasu, nie bez dobrych chęci ale o nadzwyczaj ciasnym widnokręgu, jest on jakby przedstawicielem owego całego tłumu przesądnéj i ciemnéj szlachty po powiatach, ktorymi posługiwali się w działaniach przewódzcy opozycyi. O wartości wewnętrznéj pism jego można wnosić niemal z samych tytułów. Napisał prócz wymienionych dwóch broszur wspomniany poprzednio projekt reformy p. t. *Co ma uważać Rplta. polska w prawodawstwie tak przed dopuszczeniem jako i po dopuszczeniu składu Rządu angielskiego, stanu politycznego różnice i podobieństwa między sobą tych dwóch wolnych państw stosując przez L. W. O. r. 1789 wydana a w początkach 1791 przedrukowana i poprawiona* Cz. I. (8vo stron XLVIII i 144). a prawdopodobnie także pisemko: *O wolności człowieka* (8vo kart. niel. 17).

skrawszych kolorach malują one obraz klęsk i nieszczęść, jakie dziedzictwo tronu na kraj sprowadzi: ucisk i tyranię królów, wichrzenie ministrów i faworytów dworu i nareszcie spodlenie całego narodu, który szerzącéj się z góry zarazie oprzeć się nie zdoła. *Lepsza burzliwa wolność jak spokojna niewola* powtarzają wszystkie jednogłośnie, przesadzając się wzajemnie w miotaniu obelg na zwolenników sukcessyi, *podłych zauszników despotyzmu i tyraństwa.* Aby tem większe zrobić wrażenie na drobną i nieoświeconą szlachtę, do któréj cała ta propaganda przedewszystkiem została skierowaną, starali się zwolennicy elekcyi rozszerzać niepokojące wieści i pogłoski. Pisma ich wspominają o tajemnych zamiarach stronnictwa reformatorskiego wymierzonych przeciw całemu stanowi szlacheckiemu, straszą podatkami, które świetny dwór królewski za sobą pociągnie, a które nikomu tak się we znaki nie dadzą jak drobnéj i uboższéj szlachcie, straszą rozruchami, wojną domową a nawet powtórnym podziałem ze strony obcych mocarstw, obrażonych śmiałymi zamysłami reformatorów — słowem cokolwiek mogło zatrwożyć i roznamiętnić przesądne umysły, wszystko poruszyła i podniosła opozycya. Jedna z wspomnianych broszur posuwa się tak daleko, że przepowiada jako skutek przeprowadzenia sukcessyi rozerwania unii z Litwą, twierdząc, że W. ks. Litewskie, któremu obwarowano prawo należenia do elekcyi, stanie się w razie ustanowienia sukcesyi przedmiotem uroszczeń ze strony spadkobierców krwi Jagiellońskiéj!

Takimi i tym podobnymi niedorzecznymi argumentami, frazesami szumnymi bez treści zapełnione są wszystkie pisma zwolenników elekcyi. Nie była to bowiem z ich strony dyskusya prowadzona bronią godziwą w celu wyświecenia prawdy jak raczéj agitacya, któréj chodziło o to, aby jakimkolwiek bądź sposobem wichrzyć i podburzać umysły. Zadanie to ułatwiał im nie mało ów prąd rewolucyjny czasu, który rozbudzał do najwyższego stopnia anarchiczne dążenia jednostek, i każdéj walce z rządem i zwierzchnością ogromne dawał poparcie moralne. W czasie, gdzie najpotężniejsze trony chwiać się zaczynały, a władza królewska traciła na powadze, propaganda przeciw dziedziczności tronu mogła być łatwo i skutecznie przeprowadzoną. W dziełach przedrewolucyjnéj literatury francuskiéj znachodzili zresztą zwolennicy elekcyi gotowy za-

pas argumentów, które przejmowali żywcem, okrywając płytkie rozumowania swoje powagą imion J. J. Rousseau, Diderot'a, Raynal'a i innych sławnych wówczas polityków francuskich.

Jednak szkodliwość elekcyi, tylekroć przez kraj doświadczana i tak świeżo jeszcze w pamięci narodu przechowana, była rzeczą tak jawną i ogólnie uznaną, że trudno było łudzić się pod tym względem. Najbardziéj zaślepieni nawet zwolennicy elekcyi nieśmieli temu wprost zaprzeczać, ale pomijali zwykle milczeniem albo starali się ile możności zatrzeć wszystko, cokolwiek świadczyło przeciwko bronionéj przez siebie instytucyi, ograniczając się prawie wyłącznie na saméj agitacyi przeciw dziedziczności tronu. Wszakże obok takich fanatyków nierządu, znajdowali się w obozie staroszlacheckim i ludzie lepszéj woli, których namiętności nie zupełnie były zaślepiły, a którzy na bezowocnem wichrzeniu przeciw projektom reformatorów poprzestać nie chcieli. Ci nietylko, że przyznawali i podnosili sami nieszczęścia i klęski, na jakie od najdawniejszych czasów wystawiony był kraj z powodu burzliwych bezkrólewiów, ale zajmowali się nawet gorliwie sposobami zazaradzenia temu nadal. Dziwny jednak obłęd czynił niestety dobre ich chęci bezskutecznemi. Zamiast odnieść istniejące złe do właściwego źródła, do instytucyi saméj, składali oni winę całą na niedostateczne i złe jéj zastósowanie. Zdawało im się, że gruntowna naprawa praktykowanéj formy obierania, dokładne, a ścisłe przepisanie mających się odbyć przytém czynności usuną zupełnie zaburzenia wewnętrzne i wpływy obcych mocarstw, i że zachowując narodowi tym sposobem starodawną instytucyę, ubezpieczyć będzie można zarazem rząd i lepszy porządek rzeczy. Było to prostem złudzeniem, złudzeniem tego samego rodzaju, jak za czasów Konarskiego owe próby pogodzenia liberum veto z trwałością sejmów, które Konarski tak słusznie nazwał chęcią *pogodzenia ognia z wodą*. Ale jak wówczas tak i teraz przesąd odejmował ludziom tym zdrowy rozsądek i prąwdziwe pojęcie rzeczy. Nad wyszukaniem nieszkodliwéj formy elekcyi jakby nad wynalezieniem kwadratury koła mozolili sobie napróżno głowy przez cały czas sejmu czteroletniego występując z coraz nowymi projektami, które śmiesznością i dziwacznością swoją przechodzą rzeczywiście

wszystko, co kiedykolwiek pojawiło się w zakresie polityki. Smutno tylko wyznać, że obłęd ten podzielała nie mała część ludzi, że dziwaczne projekta te nie były wyrazem pojedyńczych niedorzecznych głów, ale pochodziły z całego koła stronników którzy w skuteczność usiłowań swoich jak najbardziéj wierzyli, i gorliwie nad niemi pracowali. Z pomiędzy pism, które w kierunku tym działały, wymienić należy następujące: *O polepszeniu sposobu elekcyi królów polskich, Myśl obywatela województwa podlaskiego ziemi bielskiéj 1788* (8vo str. 32 [1]). *Myśli pewnego obywatela nad ustanowieniem porządnéj królów polskich elekcyi, a przez te środki odwrócenia burzliwych interregnów* (8vo str. 16 [2]). *Coś nowego* (8vo str. 16). *P. S. do pism za sukcessyą tronu polskiego i przeciwko niéj wyszłych przez J. Spławskiego* (8vo kart. niel. 4) *Treść pism różnych względem formy rządu i sukcessyi tronu polskiego, tak dawniéj jako też i świeżo wydanych z przyłączeniem niektórych uwag z nichże wypływających w Sandomierzu* (prawdopodobnie w Warszawie. 1791 (8vo str. 67).

Wszystkie te projekta jakkolwiek pod względem szczegółów dość różne stoją na jednem stanowisku, a raczéj jedno i to samo dzielą zaślepienie: przepisaniem najdrobniejszych formalności i najbardziéj błachych szczegółów, środkami czysto policyjnéj natury usiłują uchronić elekcyę od zaburzeń i nieporządków. Zbytecznem i bez celu byłoby téż wdawać się w bliższe roztrząśnienie rozmaitych wniosków i rad tu podanych, które dziś pozostały nam niestety tylko jako smutne dowody przesądu i zaślepienia i żadnego innego nie mają znaczenia. Dość będzie przytoczyć treść któregokolwiek z nich, aby powziąć dostateczne wyobrażenie o innych [3]): Następca

---

[1]) Autor projektu tego jest zarazem autorem wymienionego poprzednio pisma p. t. *Przeciwko tym, którzy myślą o sukcessyi tronu i. t. d.*

[2]) Na egzemplarzu biblioteki Sieniawskiéj dopisano ręką T. Czackiego: *wydał te myśli Bukar sędzia ziemi żytomierskiéj.*

[3]) Dodać i to należy, że pierwszy projekt poprawy elekcyi podał jeszcze kilkanaście lat przed sejmem 4let. Wielhorski w dziele: „O przywróceniu dawnego rządu i t. d.“ i że wszystkie wymienione projekta są po większéj części jego przerobieniem.

tronu—żąda autor projektu p. t. Treść pism różnych i t. d.—obierać się powinien za życia panującego króla. W oznaczonym dniu wybierają wszystkie województwa równocześnie z podanych sobie kandydatów następującym sposobem. Każdy wrzuca kartkę z napisem swego kandydata do skrzynki, na ten cel zrobionéj, która ma mieć pewną przepisaną miarę i zdjęciem wieczka ma się otwierać. Po skończeniu aktu wyborów, marszałek powiatowy z assesorami pieczętuje skrzynkę *„tym sposobem, ażeby od niéj kluczyk był wszystkiemi pieczęciami przypieczętowany“*, i odsyła w oznaczonym dniu do Warszawy. Tu w obec senatu i deputatów z prowincyi składają się przesłane z województw wszystkich skrzynki w umyślnie sporządzony *duży kufer żelazny o czterech zamkach łańcuchem przykuty do ziemi, kratą żelazną i ostrymi kolcami opatrzony.* Osobna komisya pieczętuje go, a warta z czterech żołnierzy ustawicznie strzeże. Codzień oficer warty obowiązany jest przekonać się czy pieczęć nie naruszona, w razie jakiegokolwiek nadużycia prezes senatu i komissya ma prawo sądzenia winnych karą śmierci. Wszystko to trwa aż do śmierci panującego króla, poczem następuje uroczyste obliczenie głosów i obwołanie następcy. Podczas samych wyborów ma być w celu przeszkadzania wpływom obcym granica wzdłuż wojskiem obsadzona, a żaden list ani z kraju ani do kraju nieprzepuszczany.

Autor projektu tego, zabawiający się z wielką skrupulatnością najdrobniejszymi szczegółami, jako to przepisami względem szerokości stołu, przy którym głosowanie ma się odbywać, względem porządku podawania z rąk do rąk i głośnego czytania kartek i t. d. jest jak najsilniéj przekonany o skuteczności rad swoich i z całym zapałem namawia do przyjęcia wniosków, z których ogromne dla kraju obiecuje korzyści.... Wśród innych stosunków i okoliczności projekta tego rodzaju, stanowiłyby ciekawą a śmieszną illustracyą czasu, przedmiot do wesołego śmiechu, ale postawione na tle wypadków ówczesnych, w obec odbywającéj się z tak wielkiem wysileniem pracy odrodzenia się, którą cała zacniejsza część narodu wśród najtrudniejszych warunków z niesłychaną wytrwałością i poświęceniem prowadziła, są one nadzwyczaj przykrem zjawiskiem, bo dowodzą aż zbyt jasno ile pomimo niezaprzeczonego

postępu brakowało jeszcze ogółowi oświaty i dojrzałości politycznéj.

Kiedy tak wszyscy pisarze umiarkowańsi obozu staroszlacheckiego mozolili się napróżno proiektami poprawy elekcyi i w coraz większe wikłali się trudności, to garstka magnatów stojąca na czele całego ruchu nie łudziła się wcale pod tym względem, ale pracowała potajemnie na korzyść widoków osobistych. Wywołana przez nich zacięta walka między zwolennikami sukcessyi a elekcyi, nie miała innego celu jak rozdrażnić umysły i posłużyć za środek do urzeczywistnienia znacznie daléj sięgających zamiarów. Nie dość już było im paraliżować za pomocą elekcyi działania rządu i władzę królewską w ustawicznym trzymać szachu; ośmieleni duchem czasu, korzystając z nadarzającéj się sposobności przeobrażenia stosunków politycznych, postanowili zrobić krok dalszy na drodze owego fałszywego republikanizmu, który tak był sposobnym do dogodzenia własnéj ambicyi, i wystąpili z myślą zupełnego zniesienia władzy królewskiéj. Rzeczpospolita bez króla musiała być de facto oligarchią, w któréj przypadała kilku najznaczniejszym rodzinom cała władza polityczna i połączone z nią korzyści materyalne i moralne. Tendencye te, zresztą nie nowe, bo w ciągu dwóch ostatnich wieków Rzeczypospolitéj już kilkakroć podejmowane [1]) przebijają się nieznacznie w piśmie Rzewuskiego, a coraz śmieléj i otwarciéj w miarę jak zwiększało się rozdrażnienie i wzrastały namiętności, występowali z niemi przewódzcy opozycyi. Zrazu uderzając namiętnie na sukcessyę tronu i szkodliwe jéj skutki, zwrócili niebawem wszystkie pociski przeciwko saméj władzy królewskiéj, którą wszelkimi sposobami starali się zohydzić w oczach narodu. Przyznać trzeba, że agitacya ta prowadzoną była zręcznie z wyzyskaniem wszystkich korzyści, które dawały im w tak wysokim stopniu brak oświecenia w narodzie i dziwne krzyżowanie się prądów politycznych. Pomiędzy pismami, które w duchu tym działały, i za cel miały przygotować powoli opinię publiczną do zamierzonego celu, zasługuje na uwagę ob-

[1]) K. B. Hoffman Historya reform politycznych w dawnéj Polsce. Poznań 1869 str. 228.

szerne dzieło p. t. *Rozwagi o królach polskich, bezkrólewiach, elekcyach, sukcessyi tronu, z powodu pism za sukcessyą pod imieniem refleksyi, uwag, listów i innych wielu. Warsz. 1790* (8vo str. 384). Książka ta stara się usilnie dowieść, że wszystko złe, które kraj od tylu wieków cierpiał, wszystkie klęski, nieszczęścia i niepowodzenia płynęły zawsze od królów, i że jeźli naród stoi teraz u brzegu przepaści, to winę tego ponosić powinien nie kto inny, jak oni. Najbezczelniejsze fałsze historyczne, najniedorzeczniejsze zarzuty, oszczerstwa i potwarze wypowiada ona z rzadką śmiałością na poparcie zapatrywań swoich. Wzywa naród, aby nie przypatrywał się bezczynnie grożącemu ze strony królów niebezpieczeństwu, ale wystąpił energicznie i garnął się pod skrzydła możniejszéj braci, którzy od tylu wieków będąc swobód narodowych obrońcami i teraz dla wolności narodu, wszystko poświęcić gotowi. Całe dzieło pisane zresztą z największą nieudolnością i najlichszą polszczyzną, pełne jest namiętnych podburzeń, a główną jego myślą, którą ustawicznie powtarza, jest przedstawienie, że radykalnymi jedynie środkami kraj od despotyzmu królów uwolnić się może.

Ostatnie słowo dążeń tych wypowiada śmiało już i otwarcie: „*Projekt bezkrólewia wiecznego przez pewnego r. 1790*“ (8vo str. 121 [1]). Autor dziwi się, że naród po tylu doświadczeniach i zapasach z królami, ciągle jeszcze tą samą idzie drogą, „*w tych samych kala się błotach*“. Wzywa go, aby nie dał się ciągle wodzić na pasku i raz już zaczął rządzić się bez królów. „*Źródło wszelkich intryg i kabał* woła on, *zawierało się zawsze w królu i partyi jego; trzeba zatkać ten kanał, przez który wszelkie do nas intryg prowadzono smrody.*“ Układ istniejącéj konstytucyi odpowiada, zdaniem jego, zupełnie projektowi bezkrólewia wiecznego, zrobić tylko należy krok jeden daléj, który utrwali na wieki wolność i stanie się koroną i chlubą prawodawczych narodu czynności. Co najdzi-

[1]) Dzieło to wydane zostało według wszelkiego prawdopodobieństwa przez Szcz. Potockiego, który jak to świadczy korespondencya jego z przewódzcami opozycyi a zwłaszcza Rzewuskim, głównym był autorem myśli obalenia władzy królewskiéj (Szujski Dzieje Polski t. IV str. 590).

wniejsza, autor, który chciałby koniecznie wydać się za zażartego jakobina, zdradza pochodzenie swoje ustawiczném powoływaniem się na pismo św. i uchwały koncyliów i oburzeniem, z jakiém powstaje przeciw nałożeniu większego podatku na duchowieństwo. —

W obozie zwolenników elekcyi znajdował się jednak prócz ciemnéj szlachty i ambitnych magnatów inny jeszcze żywioł — rzecz dziwna a godna uwagi — ślepi wielbiciele rewolucyi francuskiéj, fanatycy i zapaleńcy polityczni. Ludzie ci, niewahający się apoteozować krwawych gwałtów rewolucyi francuskiéj i namawiać nawet kraj otwarcie, aby szedł za przykładem Francyi, która *„tak pięknie zagaiła“* — stanęli teraz w jednym szeregu ze zwolennikami rzeczypospolitéj szlacheckiéj i z większą jeszcze zapalczywością i namiętnością uderzyli na władzę królewską i projekt dziedziczności tronu. Mimo całéj różnicy zapatrywań, jaka zachodziła między tymi wyznawcami komunizmu francuskiego, a zwolennikami złotéj wolności, jedna rzecz była im wspólną, która złączyła ich do wspólnego działania: dążność destrukcyjna przeciwna wszelkiéj pracy organicznéj, nienawidząca rządu i stałego porządku rzeczy, który nie cierpi samowoli jednostek.

Reprezentantem frakcyi téj politycznéj — szczęściem zbyt szczupłéj aby wywierać jakikolwiek wpływ na sprawy sejmowe — był znany delator w sprawie Adama Ponińskiego, krzykacz i awanturnik polityczny Wojciech Turski. Zrazu zausznik ks. Michała Poniatowskiego, który mu wyrobił u króla szambelaństwo i pensyę, stał się późniéj, gdy zawiodły go nadzieje szybkiéj i świetnéj karyery, zapalonym wielbicielem rewolucyi francuskiéj, wyznawcą teoryi komunistycznych i sprzymierzeńcem politycznym stronnictwa staro-szlacheckiego. Nikt gwałtowniéj nie występywał w obronie nierządu i nikt z taką bezczelnością nie okrywał go pozorami postępu. Pierwszém pismem, które puścił w ślad za broszurą Rzewuskiego, były *„Wojciecha Turskiego myśli o królach, o sukcessyi, o przeszłym i przyszłym rządzie.* Warszawa. 1790.“ (8vo str. 44). Jestto zbiór najzjadliwszych zarzutów i obelg na rząd i władzę królewską, podanych w formie napuszystéj i ckliwéj deklamacyi — słowem ramota w całém słowa tego znaczeniu, która jeźli

zasługuje na uwagę, to tylko jako smutny symptom czasu. Autor, na którego *„samo wspomnienie dziedzicznego króla ten skutek czyni, jaki dla zdrowego człowieka podany szarlatańską ręką proszek emetyku“* — uważa nawet elekcyę królów za niedostateczny środek do złamania tyranii, i radzi chwycić się radykalniejszych środków, usunąć zupełnie króla i władzę rządu oddać na wzór dawnéj rzeczypospolitéj rzymskiej wybranym konsulom. [1]) Równocześnie przemawia za równością majątków i żąda, aby w celu zniesienia przewagi arystokracyi ustanowić *„jako silną wolności zasadę kardynalne prawo, iżby żaden syn bogaty nie żenił się z bogatą córką; a każda bogata obywatelka szła za ubogiego męża.“* Prostem powtórzeniem tych i tympodobnych zapatrywań było drugie pismo p. t. *„Wojciecha Turskiego odpowiedź na ks. H. Kołłątaja referendarza w. ks. lit. Uwagi nad pismem i t. d.* Warsz. 1790.“ (8vo kart. niel. 42), w którém przywłaszcza sobie emfatycznie tytuł obrońcy narodu, twierdząc, że wszystkie wydane dotąd dzieła przemawiają albo za królami przeciw przemocy arystokratów, albo za arystokratami przeciw władzy królewskiéj, on zaś jeden przeciw arystokratom, przeciw królom — za narodem! Najciekawszém i najcharaktystyczniejszém ze wszystkich pism jego jest ostatnie *„Turskiego nawrócenie się polityczne.* Warszawa. 1792“ [2]), w którém ze skruchą odwołuje wypowiedziane poprzednio zdania i zasady.

Cała postać Turskiego zanadto była karykaturą, a on sam za mało miał zdolności, aby wywrzeć większy wpływ na opinię publiczną, a jednak wystąpienie jego w obozie zwolenników elekcyi, było dla opozycyi nie małém poparciem, bo dawało dążeniom reakcyjnym pozory postępu i sprawę anar-

---

[1]) Potężnie schłostał go za ten projekt Trembecki we wierszu p. t. *Sarkasmus:*

„Wojciech Turski, cóż na pisma czele?
„O tém, o tém i o tém! Dalibóg coś wiele:
„„Mamy ołów, wystrzelajmy królów,
„„I tyranów i panów, i zróbmy konsulów.
„Witajże polski Gonto, witaj polski Brucie!
„Daj mi rękę konsulu, czyńmy krok do sławy —
„Gdzież mnie wiedziesz? — Gdzie trzeba — do domu poprawy.

[2]) Broszury tej nie mogliśmy dostać.

chistów szlacheckich wiązało ze sprawą szerzących się z zachodu dążności rewolucyjnych. [1])

Przeciwko agitacyom i zabiegom zwolenników elekcyi rozwinęło stronnictwo reformatorskie ze swojéj strony silną i skuteczną propagandę. Zaledwie pojawiły się pierwsze pisma z obozu przeciwnego, a już wystąpił cały szereg zdolnych pisarzy i publicystów, którzy wzięli sobie za zadanie gruntownymi dowodami zbić twierdzenia fałszywe i niedorzeczne zarzuty opozycyi i przekonać naród o koniecznéj potrzebie ustanowienia dziedziczności tronu. Najznaczniejsze niemal broszury i pisma sejmu czteroletniego należą tutaj, i można powiedzieć, że w tym samym stopniu jak pisma opozycyi w sprawie téj są wyrazem przesądu, namiętności i uprzedzeń politycznych, zaleca te jasność, zdrowe i trafne zapatrywanie i poczucie godności, dalekie od nieuczciwych podburzeń.

---

[1]) Dalsze koleje życia Turskiego są ciekawą illustracyą do pism jego i w ogóle całéj osobistości. W r. 1792 w czasie wkroczenia wojsk rosyjskich do Polski, wyłudził od rządu pod pozorem środków obrony przeciw nieprzyjacielowi dwa tysiące złotych p., z którymi zniknął. Wypłynął znów na wierzch w Paryżu, gdzie zapoznawszy się z Robespierre'm, Marat'em, Saint-Just'em i innymi grał rolę reprezentanta interesów Polski i nazwał się Albert le Sarmate (p. w ręk. bibl. Oss. N. 451. str. 222: *Mowa I. P. Alberta Sarmate miana w Zyromadzeniu narodowém w Paryżu d. 30 grudnia 1792).* Za czasów powstania legionów wyrobił sobie patent na półkownika, gdy jednak przed bitwą pod Hohelinden chciał się oddalić od swego pułku, Kniaziewicz zmusił go do dymisyi. Zapomocą stosunków udało mu się później otrzymać prywatną misyę do Carogrodu i znaczną na tę podróż sumę, narobiwszy jednak długów został odwołany. Dla polepszenia finansów ożenił się z niemłodą, niepiękną ale majętną Francuzką. W r. 1812. zjawił się raz jeszcze w Warszawie, chcąc odegrać jakąś rolę polityczną. Rozrzuciwszy majątek żony umarł w Wielkopolsce. (Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich. Paryż. 1848. str. 139.) Dodać należy, że prócz wymienionych pism wydał także mowy, które miał jako delator na sądach sejmowych: *Mowa urodzonego Wojciecha Turskiego d. 29. sierp. r. 1789.* (f. str. 8.) — *Mowa urodzonego Wojciecha Turskiego na sądach sejmowych d. 7. grudnia 1789 r. miana. Warszawa.* (8vo str. 46.)

Jak wszędzie prawie tak i tu był Kołłątaj jednym z najpierwszych i najczynniejszych obrońców sprawy reformy i duszą całego działania. W lot za pismem Rzewuskiego, którego zgubne tendencye pojął odrazu w całéj doniosłości, wydał on znakomitą odpowiedź p. t. *X. Hugona Kołłątaja referendarza W. X. Litewskiego. Uwagi nad pismem, które wyszło w Warszawie z drukarni Dufourowskiéj p. t. Sew. Rzew. h. p. k. o sukcessyi tronu w Polszcze rzecz krótka.* Warszawa. 1790. (8vo str. 125.) [1]). Z nadzwyczajną trafnością argumentowania i świetną wymową zbija on w niej fałsze historyczne i nieprawdziwe twierdzenia wypowiedziane przez hetmana polnego, wykazuje mu płytkość rozumowania i nieznajomość dziejów ojczystych. W krótkim przebiegu historycznym dając obraz przeobrażeń społeczeństwa polskiego, dowodzi, że dzieje Polski przedstawiają nietylko walkę królów z narodem, ale i narodu z możnowładztwem, i, że jeśli groźną dla wolności stać się może władza królewska, to jeszcze niebezpieczniejszą i szkodliwszą jest przewaga magnatow. Zasadę elekcyi w teoryi piękną i słuszną, uważa wśród istniejących stosunków wprost za niewykonalną, i odwołuje się w tym względzie do wszystkich bezkrólewiów, które zamiast rozszerzyć i utrwalić swobody obywatelskie, przynosiły ze sobą same tylko upokorzenia i krzywdy ze strony obcych mocarstw. Zdziera nareszcie zasłonę ze słów przyszłego Targowiczanina i przestrzega naród przed ową fałszywą wolnością, która odwołując się do urządzeń republikańskich, głosząc szumnie zasady postępowe, dąży w istocie do dogodzenia własnéj ambicyi i w tym celu knuje projekta zniesienia władzy królewskiéj. — Broszura ta, pełna trafnych dowodów z historyi, głębokich poglądów na isniejące stosunki

---

[1]) Wydania, o którym wspomina Bentk. (t. II. str. 97.) a które miało wyjść p. t. *Uwagi nad pismem Sew. Rzewuskiego o prawie tronu dziedzicznego w Polszcze. Warszawa. 1789.* — nie widzieliśmy nigdzie, i sądząc z różnych wskazówek zdaje nam się, że go wcale nawet nie było. Tłumaczenie francuskie dzieła ma tytuł: *Observations sur un ouvrage intitulé: Essai sur le droit de Succession au trone de Pologne par M. Kołłątay referendaire du Grand duché de Littuanie. Varsovie. 1791.* (8vo str. 175 i XLVI. przypisków przyłączonych przez wzgląd na cudzoziemców). —

i przyszłe państwa polskiego przekształcenie, należy do najznakomitszych prac publicystycznych czasu owego.

Druga mniejsza, ale równie znakomicie napisana broszura, którą Kołłątaj wydał z końcem 1790 roku, w chwili zwołania sejmików, mających rozstrzygnąć ostatecznie spór o elekcyę i sukcessyę — była „*Ostatnia Przestroga dla Polski. Warszawa.* 1790“ (8vo str. 54) [1]). Jeżeli pierwsze pismo miało przedewszystkiém na oku polemikę i walkę z publicystami obozu staro-szlacheckiego, a mianowicie głową ich Rzewuskim, to tutaj odwraca się Kołłątaj do szlachty, do narodu całego, i używa całéj wymowy, aby pozyskać go dla postawionego przez reformatorów projektu dziedziczności tronu. Nie wdając się w szersze wywody i dowodzenia, rzuca tu jednym tchem prawie mistrzowski obraz grożących niepodległości kraju niebezpieczeństw, wystawia intrygi magnatów, zmowy obcych mocarstw, potrzebę wzmocnienia rządu na zewnątrz i wzywa naród, aby skorzystał z chwili sposobnéj, która niepowrotnie przejść może, skazując kraj na wieczną zagładę: „*O Polacy* — odzywa się on — *jeżeli was obca zdrada lub źle zrozumiana ambicya nie łudzi, spojrzyjcie w przyszłość na wasze i potomstwa waszego losy. Ostatnia to pododno pora, w któréj litościwa Opatrzność pozwoliła wam zaradzić o was samych. Jeżeli jéj uchybicie, wszystkie usiłowania wasze są próżne, staną się ohydą grobów waszych i źródłem nieszczęścia potomstwa waszego..... Mieliście dawniéj królów z domu jednego, byliście wolnymi, pisaliście sobie prawa, granice wasze sąsiad szanował, narody łączyły się z wami nietylko w przymierze, ale nawet pod słodycz rządu waszego. Zaezęliście sobie obierać królów, cóżeście na tém zyskali? Oto zmarnotrawiliście dziedzictwo i zdobycze Jagiełłów, nie dotrzymaliście słowa tym narodom, które się z wami w dobréj wierze połączyły. Gdzież są Prusy? Gdzie Inflanty narody przez was nie zawojowane, ale przez miłość wolności złączone? Sąsiedzi*

[1]) Inne wydanie ten sam ma tytuł, format i liczbę stronnic, ale bez roku i miejsca druku. — Tłumaczenie niemieckie pisma tego wyszło w dziele Kansza: Nachrichten über Polen 1793. Salzburg. II. Theil. Tłumacz pisze, że zaledwie pismo się pojawiło, w lot je rozchwycono co do jednego egzemplarza.

wasi wydarli wam z wnętrzności Polski obywatelów ziemi wolnéj, tak dalece, że odtąd zaczyna być wątpliwością, czy jeszcze jesteście Polakami, kiedy te kraje, które dzisiaj Galicyą zowią, składają się z województwa krakowskiego, sandomierskiego, ruskiego, bełzkiego itd. i czegóż ociągacie się, czegóż spodziewacie się daléj..... Teraz, albo nigdy możecie się postawić w stanie siły i przyzwoitéj powagi. Teraz albo nigdy możecie zabezpieczyć sobie sukcessyę tronu i stosowny do sukcessyi rząd przepisać!“—

Z wymownym głosem Kołłątaja, który pojmując znaczenie toczących się na polu piśmiennictwa rozpraw, pracował niezmordowanie nad pozyskaniem opinii publicznéj, łączyły się niemniéj świetne i znakomite odezwy, przestrogi i rady reszty publicystów obozu reformatorskiego. Zwolennicy stronnictwa patryotycznego jako téż królewskiego zakrzątnęli się z równą gorliwością około propagandy piśmiennéj i w odpowiedź na pisma zwolenników elekcyi rozrzucili ogromną ilość broszur, pism, i innych tego rodzaju publikacyi.

Do najznaczniejszych należą następujące: *Adama Krasińskiego, biskupa kamienieckiego list w materyi sukcessyi tronu do przyjaciela pisany 9. stycz. 1790.*“ (4to pół. ark.) — pisemko ulotne, spowodowane przez Kołłątaja, który popularnemu imieniu Rzewuskiego chciał przeciwstawić równie poważane i szanowane dawnego konfederata barskiego [1]) — Księdza F. S. Jezierskiego: „*O bezkrólewiach w Polsce i o wybieraniu królów począwszy od śmierci Zygmunta Augusta Jagiełły aż do naszych czasów — dzieło w teraźniejszych okolicznościach do wiadomości przydatne.* Warszawa. 1790. (8vo str. 99). [2]) — *Krótkie uwagi*

---

[1]) p. w „Uwagach“ Kołłątaja na notę *u* — Pierwsze téż odbicie pisma Krasińskiego wyszło wraz z Kołłątaja Uwagami (in 8vo i ze wspólną pag. od 115—125 str.) — Krasiński wydał także kilka mów, mianych podczas sejmu 4l.: *Głos J. W. Imci x. Adama Krasińskiego, biskupa kamienieckiego, kaw. orderu orła białego na sessyi sejmowéj in turno d. 18 sierp. r. 1789 miany. Warszawa.* (f. str. 2.) — *Mowa J. W. Imci x. Ad. Krasińskiego bisk. kam. d. 25 maja 1790 w okoliczności duchowieństwa miana.* (f. str. 4.)

[2]) Że autorem pisma tego jest ks. F. S. Jezierski a nie Kołłątaj, jak niektórzy twierdzą — okażemy późniéj w życiorysie Jezierskiego. —

nad pismem Wojciecha Turskiego. O królach, o sukcessyi, o przeszłym i przyszłym rządzie. Warsz. 1790. (8vo str. 36). [1])— „*Tadeusza Morskiego uwagi nad pismem Seweryna Rzewuskiego h. p. k. o sukcessyi tronu w Polszcze r. 1790.* (8vo str. 48) [2])— „*Jana Krzywkowskiego obożnego pow. grodzkiego o sukcessyi tronu*

---

[1]) Na kartce rewersowéj w bibl. Ossol. znajduje się dopisek Przyłęckiego, że autorem pisma tego jest Kołłątaj. Wiadomość ta zdaje nam się nieprawdopodobną, gdyż autor na kilku miejscach wspomina z najwyższém uznaniem o Kołłątaju („mąż tylu chwalebnemi dziełami wsławiony“ „ten godzien prawdziwie wieku 18 przyjaciel ludzkości i prawdy.“); — reklamy takiéj nie potrzebował Kołłątaj dla siebie robić i pewnie nie robił. Sądząc z tego, jakotéż i ze sposobu pisania, należy pracę tę przypisać ks. Jezierskiemu. Wszakże niektóre ustępy noszą na sobie widoczne cechy pióra Kołłątajowskiego. Zdaniem naszém broszurę tę policzyć należy między owe pisma, które wychodziły za inicyatywą Kołłątaja z najbliższego jego otoczenia, a które w ostatniéj chwili prawdopodobnie przychodziły jeszcze pod jego pióro.

[2]) Morski Tadeusz szambelan królewski, urodzony 1752 r. należał do zdolniejszych pisarzy sejmu 4 l. Był członkiem komisyi skarbowéj i trzymał w niéj pióro, sprawozdanie czynności komisyi wydał p. t. *Relacya z examinu komisyi skarbu koronnego za lat cztery od d. 1. 7bra 1786 do d. ostatn. aug. 1790.* Warszawa. (4to str. 106). W r. 1790 wysłany został przez Ignacego Potockiego w charakterze posła prywatnego do Berlina, aby prowadzić rokowania o odstąpienie Gdańska i Torunia. Gdy układy się nie powiodły, a większość sejmowa stanowczo sprzeciwiła się jakiéjkolwiek cessyi territoryalnéj, wyrobił Potocki dla zatarcia całéj sprawy Morskiemu godność posła do Hiszpanii. (Wspomnienia od r. 1788 po 1792. str. 55—58). Prócz wspomnianéj broszury w sprawie sukcessyi wydał ważne pismo p. t. *Uwagi o chłopach.* Warszawa. (8vo str. 52), o którém później przyjdzie nam wspomnieć i obszerne dzieło p. t. *Tadeusza Morskiego posła Rpltéj polskiéj do Hiszpanii myśli o potrzebie i sposobach przysposobienia młodzieży do służby dyplomatycznéj w Polszcze.* Warszawa. 1792. (8vo str. 254). Po upadku Rpltéj ogłosił drukiem ulotne pisemko: *Lettre de M. le comte Morski à M. l'abbé de Pradt exarchevèque de Malines, ci-devant ehevalier de l'ordre de la reunion de Hollande et ambassadeure de France à la cour de Varsovie.* Varsovie. 1815. (4to str. 6). Umarł w r. 1825.

i władzy stanów. Warszawa.“ (4to str. 36). — „*O wolności polskiéj przez Leonarda Krzywkowskiego szambelana J. K. MCi.* (8vo kart. niel. 24.) — *Jacka Jezierskiego kaszt. łuk.: „Zdanie o panowaniu dożywotném i sukcessyonalném“* i t. d. Warszawa. 1790. (8vo str. 72.) — „*Reflexye nad pismem wydaném pod imieniem J. M. P. Rzewuskiego h. p. k.* Warszawa. 1790.“ (8vo str. 32). [1]) — „*Uwagi jednego szlachcica nad listem pisanym z Drezna przez pewnego Pana — w Lipsku.* (zdaje się w Warszawie) 1790.“ (8vo str. 27). [2]) — „*Kosmopolita do narodu polskiego*“ (8vo str. 76). — „*List J. P. Bartłomieja Werpechowskiego obywatela wojw. podlaskiego do J. W. Rzewuskiego h. p. k. z okazyi pisma jego względem sukcessyi tronu.* 1790.“ (8vo str. 24). — „*List posła weterana do somsiada.*“ (8vo str. 20). — „*Zdanie Polaka o wolności, czyli myśli w teraźniejszych okolicznościach do najjaś. sejmujących stanów przez obywatela wojw. sandomierskiego podane.* 1790.“ (4to str. 28.) — „*Głos J. W. J. Urs. Niemcewicza posła infl. d. 16. września r. 1790 o niebezpieczeństwie elekcyów, potrzebie następstwa i konieczności zapytania się narodu, co obiera i co sejmowi stanowić każe.*“ (4to 1 1/2 ark.). — „*List do publiczności czyli uwagi krótkie nad listem Szcz. Potockiego gen. art. kor. do Benedykta Hulewicza posła woł. z Wiednia d. 7, 14, 21. 25 sierpn. r. 1790*“ (f. 2 ark.) — „*Odpowiedź do J. W. Szczęsnego Potockiego gen. art. kor. posła woj. bracł. na odezwę jego do narodu przed sejmikami z determinacyi stanów 16. Novembr. nastąpić mającemi, pisana i powszechności udzielona.*“ (4to ark.) — „*Zdanie obywatela ziemi czerskiéj podczas sejmiku tejże ziemi d. 6. list. r. 1790 przeciw bezkrólewiu.* (4to str. 12). [3]) —

---

[1]) Wzmianki niektóre znajdujące się na końcu dzieła Rzewuskiego: *O tronie polskim...* zdają się wskazywać, że autorem pisma powyższego jest wspomniany ks. F. S. Jezierski.

[2]) Byłato odpowiedź na broszurę: *Uwagi dla utrzymania wolnéj elekcyi....* To też autor wydał ją w inném odbiciu wraz z Uwagami p. t. *Pismo w dwóch zdaniach, lecz jedno uskutecznione dla dobrego patryoty, podane.* —

[3]) Przytoczony powyżéj spis broszur podaje zapewne wszystkie ważniejsze i rozgłośniejsze publikacye, ale jest zaledwie częścią tego, co wychodziło w sprawie sukcessyi. Niemała liczba pism jest nam znaną z tytułów, ale nie mogliśmy

Pisarze reformatorscy starali się wystawić narodowi w całéj pełni szkodliwe skutki elekcyi i przekonać go, że tu a nie gdzieindziéj leży główna przyczyna niemocy państwa, źródło nieszczęść i upadku. Przywodząc na pamięć historyę bezkrólewiów, odwołując się zarówno do dawniejszych jak świeżo w pamięci zachowanych wypadków, dowodzą oni w pismach swoich, że instytucya elekcyi do stosunków kraju i istniejącego stanu rzeczy zastosowana, okazywała się ciągle i zawsze jak najzgubniejszą. Korzystały z niéj obce mocarstwa, osadzając przemocą królów na tronie, rozrzucając po kraju coraz bardziéj siecie wpływów swoich, demoralizując społeczeństwo intrygami i pieniędzmi; korzystała z drugiej strony ambicya niewielu możnych panów, którzy przy nieszczęściach krajowych za własnymi gonili zyskami: kraj zawsze najsroższe ponosił klęski. Ilekroć szczęśliwsze czasy pozwalały nieco odetchnąć skołatanemu tylu nieszczęściami narodowi, i świtać zaczynała nadzieja lepszéj przyszłości, wywracały wszystko i niszczyły napowrót bezkrólewia, zapalając ogień wojny domowéj i oddając kraj na pastwę nieprzyjaźnych mocarstw. Okazują daléj pisarze reformatorscy, na jak wielkiém złudzeniu i zaślepieniu polegało przywiązanie do téj instytucyi. Przez tyle wieków zdawało się narodowi, że posiada jeden z najdroższych klejnotów wolności, i że zaburzeniami i klęskami okupuje przynajmniéj prawo wyznaczania sobie naczelnika i rządzcy kraju, — a tymczasem nie masz w dziejach Polski ani jednego przykładu wolnéj elekcyi, w któréjby naród sam o sobie stanowił! Brało w nich udział w rzeczy saméj tylko kilkanaście rodzin magnackich wspieranych potęgą lub postrachem obcych mocarstw, reszta zaś nieoświeconéj szlachty grała przytém smutną rolę złudzonych

---

mieć ich pod ręką. Dodać do tego należy mnóstwo lekkich i ulotnych pisemek, które już tylko ogólnie roztrząsały sprawę sukcessyi, a które tu pominęliśmy, bo na inném miejscu przyjdzie nam o nich wspomnąć. W ogóle powiedzieć można, że w ciągu 1790 roku żadne prawie nie wyszło pismo, któreby mniéj lub więcéj dokładnie, szczegółowo lub téż ubocznie nie dotknęło sprawy dziedziczności tronu i nie wmieszało się w ten spór, tak ważny i znaczący, około którego obracało się całe niemal powodzenie reformy.

narzędzi lub nawetp rostych jurgieltników „*Aby naród mógł sam obierać królów* — mówi Morski w piśmie swojém — *trzeba, aby był powszechnie oświeconym, aby czuł z bliska skutki złego lub dobrego wyboru, aby je znał, aby był niepodległym, i aby ta równość, która jest między obywatelami w słowie, była w rzeczy. Pytam się, czyli Polska kiedy w tym się widziała stanie? czyli rząd dawny do niego ją prowadził? i czyli z dziejów wszystkich elekcyi niewypada prawda: że możnych kilkadziesiąt wybierało króla i to, gdy go im obca przemoc nienarzuciła. Zbiór Polaków na elekcyjném polu niewłaściwie zwał się zgromadzeniem narodu, był on tylko zgromadzeniem partyzantów mniéj wiedzących, o co rzecz idzie, jak któremu z możnych Polaków służą.*“ — „*Nie Polacy* — woła autor pisma: Zdanie Polaka — *nie te są prawdziwe wolności kondycye. Być pewnym życia, majątku, całości granic swojego kraju, nie ulegać przemocy ani ambicyi majętniejszych, mieć ubezpieczoną a od intrygi zasłonioną sprawiedliwość — te to są owoce istnéj wolności. Te gdy zobaczę w kraju naszym ugruntowane, powiem, żem wolny Polak — dziś inszéj na zapytanie nie dałbym odpowiedzi, jak że mię tylko wolnym zowią Polakiem.*“ — Nauczone własném doświadczeniem lub obcémi nieszczęściami wszystkie państwa w Europie zniosły u siebie elekcyę królów, w jednéj tylko Polsce istnieje jeszcze tron obieralny, a z nim anarchia wewnętrzna, przemoc obcych mocarstw, a w niedalekiéj przyszłości może i ostateczna narodu zagłada.

Trafne te przedstawienia popierali zwolennicy sukcessyi dowodami z dziejów ojczystych i obcych, a jeźli stronictwo staro-szlacheckie używało historyi jako środka do propagandy politycznéj, to jeszcze zręczniéj i śmieléj mogli się do niéj odwołać pisarze reformatorscy. Dzieje ostatnich dwóch wieków były jaskrawym obrazem klęsk i nieszczęść, spowodowanych elekcyami, i dość było sięgnąć w chwilę każdorazowego bezkrólewia, aby znaleźć najsilniejsze dowody przeciwko téj instytucyi. Korzystali téż z tego zwolennicy sukcessyi i nieograniczając się na krótkich poglądach historycznych, wydawali obszerne nawet rozprawy, których celem było wystawić w całym i pełnym obrazie szkodliwość bezkrólewiów i dowieść, ile się do upadku kraju przyczyniły. Do najznaczniejszych tego rodzaju

publikacyi policzyć należy wymienione dzieło Jezierskiego: „*O bezkrólewiach* i t. d.“, oparte na rękopiśmiennéj pracy Orzelskiego.

Występując przeciwko elekcyom stawali pisarze reformatorscy równocześnie w obronie dziedziczności tronu i usiłowali usunąć płonne obawy despotyzmu, szerzone tak gorliwie przez stronnictwo staroszlacheckie w celu zohydzenia sprawy reformy. W pismach swoich dowodzą oni nieustannie, że dziedzictwo tronu nie stoi w żadnym związku z utratą wolności i nie potrzebuje pociągać za sobą wcale ucisku lub tyranii. Jasne a dokładne określenie władzy królewskiéj, odjęcie prerogatyw mogących zagrozić swobodom narodu wskazują oni jako najlepszy i najskuteczniejszy środek przeciw despotyzmowi. Odwołują się w tym względzie do rządu angielskiego, w którym instytucya dziedzicznego tronu istnieje bez uszczerbku wolności i swobód obywatelskich. „*Nie trzeba* — objaśniają oni — *wystawiać sobie tronu w widoku własności dziedzicznéj, jak sobie wystawia dobra ruchome i nieruchome każdego w szczególności człowieka. Jestto wielka różnica powiedzieć: król ma państwo albo państwo ma króla. Ktokolwiek się podejmuje być urzędnikiem narodu, przestaje być sam dla siebie, a zaczyna być dla narodu. Urząd czyni go własnością narodową.*“ Tym sposobem za pomocą jasnego i trafnego wyłożenia rzeczy zbijali pisarze reformatorscy jeden za drugim zarzuty zwolenników elekcyi i rozsiewane przez nich potwarze, okazując z nadzwyczajną zręcznością ich niedorzeczność i dowodząc wymownie, że sukcessya nie tylko nie zagrozi swobodom narodowym, ale stanie się podporą rozumnéj i prawdziwéj wolności, która niepolega na samowolném zaburzaniu, ale na korzystaniu z wspólnych wszystkim praw i swobód politycznych.

Ale na saméj polemice i zbijaniu zarzutów stronnictwa przeciwnego, pisarze reformatorscy poprzestać nie mogli. Głównie i przedewszystkiém chodziło tu o to, aby jasno i prawdziwie postawić w oczach narodu toczącą się kwestyę i wskazać mu stanowisko, z jakiego roztrząsać ją powinien. Pisarze obozu staroszlacheckiego pojęli ją tylko jako sprawę wolności, w imię któréj sprzeciwili się projektowi dziedziczności tronu; należało więc otworzyć narodowi oczy i przekonać go, że kwestya ta

sięga znacznie daléj i że od rozwiązania jéj zależy już teraz istnienie i niepodległość narodu. Nie ograniczając się przeto na bezowocnéj szermierce piśmiennéj, która stając się coraz namiętniejszą groziła zejść nareście na pole czysto osobistych zarzutów, starali się zwolennicy sukcessyi wyjaśnić głębokie to znaczenie projektu dziedziczności tronu, przedstawić położenie zewnętrzne kraju i grożące mu ze strony obcych mocarstw niebezpieczeństwa i dowieść, że stoi u brzegu przepaści, przed którą prócz sukcessyi niema innego ratunku. Wszystkie też pisma ich są pełne ognistych odezwań się do narodu i przestróg, aby nie targując się o urojone swobody złożyli na ołtarzu ojczyzny najdroższe nawet przekonania i zasady, i zgodzili się na zmianę, która jedynie ojczyznę uratować zdoła. Nikt jednak wymowniéj i z większym zapałem nie podniósł i nie wyjaśnił znaczenia tego sukcessyi tronu, jak Staszyc w znaném już nam dziele „Przestrogi dla Polski.“ W zasadzie przeciwnik dziedziczności tronu, otwarcie wyznając wszystkie niebezpieczeństwa, które wolności od niéj grożą, żąda on przecie całym głosem bezzwłocznego jéj zaprowadzenia i zaklina naród, aby nie kładł wyżéj wolności nad niepodległość i dla pięknéj instytucyi nie poświęcał bytu. — Wolność da się utrzymać, a nawet utracona odzyskać, państwa podbite pod obce jarzmo nie powstają nigdy. „*Prawda* — woła on — *że następstwo tronu jest jednym krokiem do zatracenia wolności, ale elekcya jest już połową drogi do zatracenia narodu. Pierwéj naród — potém swobody, pierwéj życie — potem wygoda.*“

Najmocniéj i najbardziéj stanowczo występowali jednak zwolennicy sukcessyi przeciw myśli zupełnego zniesienia władzy królewskiéj. Pojmując całą jéj szkodliwość, pracowali oni usilnie i wszystkiemi siłami nad udaremnieniem niebezpiecznego projektu, i przestrzegali naród przed tym krokiem, który pociągnąć za sobą może nieuchronną zagładę kraju. Aby otworzyć oczy szlachcie i pokazać w jakim celu i z jakich pobudek działają autorowie projektu „bezkrólewia wiecznego“, starali się zedrzeć zasłonę z tajemnych zabiegów możnowładztwa, i wystawić w prawdziwém świetle fałszywy ich republikanizm, nie mający w rzeczy saméj innego celu prócz — ambicyi i zysków osobistych. „*Nie uwodźcie się Polacy pozorami*

cudzych swobód — pisze Kołłątaj (do którego pozwalamy sobie raz jeszcze wrócić, bo mistrzowskiém piórem swojém lepiéj niż kto inny skreślił grożącc z obalenia tronu niebezpieczeństwa) — *Nie jest ten czas, nie ta pora, nie to kraju położenie abyście tron polski, tę ostatnią całości waszéj obronę z ustaw rządowych wymazać chcieli. Spojrzyjcie na siebie i na wasze granice, właśnie tego potrzeba waszym sąsiadom, aby przyspieszyć mogli ostatnią zgubę imienia polskiego. Nie dopiero ten zamiar stał się tajemnicą mocarstw was otaczających, którą coraz silniéj do skutku przywodzą. Powstały już na ziemi polskiéj trzy jedynowładne królestwa. Imperium moskiewskie ozdobiło się ludnemi waszemi prowincyami. Wszystkie mocarstwa pragną tego, aby was zrównać z Rpltą szwajcarską, odsunięci na północ i południe od morza staliście się dziś rolnikiem narodów wojny chciwych, pracujecie tylko na wyżywienie ich wojsk, pod któremi ziemia i nieszczęśliwa jęczy ludność, nie zostaje wam więcéj tylko krok jeden do przepaści; pozbawcie się tronu, rozdzielcie się na prowincye, rozbierzcie panów możnych na szefów niebezpiecznego zamysłu, a jeżeli z tak wielką łatwością uskutecznił się niedawno gorszący całą Europę podział, łatwiej jeszcze będzie osobną prowincyę pod obce zagarnąć panowanie, jak z zjednoczonego cała odrywać milionowy lud od jedności narodu i tronu.*“ W „Ostatniéj przestrodze“ zaś tak przestrzega szlachtę uboższą przed usiłowaniami magnatów: „*O wy współbracia, wy szlachta w mierności zostająca, wy obywatele, pracy staraniem i obroną ojczyzny zajęci! Poznajcie aby raz język przewodzącego nad wami możnowładztwa, język ten przywdziawszy na siebie postać obrony prerogatyw waszych, was i naród zgubić usiłuje, język ten samochcąc dogadza zamysłom chciwych sąsiadów, którzy na rozszarpanie ziemi polskiéj całą obrócili usilność, stara się przeszkodzić temu, co by was swobodnymi od obcéj przemocy, a ziemię całą od wydzierstw zasłonić zdołało. O wy zacne imiona, których nędza i niedostatek do najdrobniejszéj części ziemi przywiązał, których zzuchwalona arystokracya pospólstwem szlacheckiém być mieni, zatykajcie uszy przed głosem rokoszu, pomnijcie na to, co w naszym wieku do was poeta obywatel napisał:*

„Nie tobie oni twoją łowią wędą
„Ty bydłem orać, oni tobą będą.“ —

Dodać jednak należy, że projekt obalenia tronu królewskiego, przeciw któremu pisarze reformatorscy tak stanowczo występowali nawet i w warstwach niższéj, mniéj wykształconéj szlachty po powiatach nie znajdował wcale dobrego przyjęcia. Szczęśliwym a trafnym instynktem przeczuwała uboższa szlachta grożące dla siebie z takiéj zmiany niebezpieczeństwo i jakkolwiek w ogóle uważała magnatów za obrońców prerogatyw stanu swego przeciwko koronie, to równocześnie pojmowała, że i korona służy za tarczę przeciwko zbytniéj przewadze magnatów. Liczne téż głosy z koła jéj, niektóre nawet przeciwne reformie, sprzeciwiły się projektowi rzeczypospolitéj bez króla oświadczając otwarcie że *„lepszy jeden król niż kilkanaście małych królików“*, że niechcą aby panowie stawali się zbyt potężnymi i uciskali biedną szlachtę [1]). —

---

[1]) Ciekawym wyrazem opinii drobniejszéj szlachty w tym względzie jest wymieniona broszurka: *„List posła weterana do somsiada“*, która tak doskonale maluje nam przekonania téj warstwy narodu, że nic ani dodać ani ująć nie można. Autor człowiek starszéj daty, zjechawszy na sejm do Warszawy, wypowiada z całą naiwnością zapatrywania swoje o ówczesnym ruchu i życiu politycznem. — Narzeka przedewszystkiém na nowo wprowadzone u panów etykiety, których odwiedzić w Warszawie nie można, gdyż stojący u bramy szwajcarowie ciągle odpowiadają, że pana niema: *„My szlachta staramy się im o przyjaciół na sejmikach; dałżeby mu dyabła zjeść pan Wojciech, żeby mu Szwajcar powiedział w Łęczycy, że mnie niemasz domu. To my tedy niby wolni, równi wszystkim Xiążętom i Paniętom, będziemy nasze pieczenie dla ich przyjaźni zjadać, a oni nam w Warszawie ani się ogrzać przy piecu w domach swych nie pozwolą, cała rzecz że czasem w kark pocałują.“* — Gniewa się na agitacyę stronnictw: *„Z czym tu przyjść do izby, każą mi czytać pisma, druki, jedna za sukcessyą, drugie za elekcyą.“*, oświadcza się jednak za następstwem tronu: *„niech sobie kto chce będzie królem, ja wiem że nim nie będę, a przynajmniéj niech mnie nie rabują, i wolę, że sobie spokojnie król po królu następować będzie.“* — Przeciw zniesieniu władzy królewskiéj najmocniéj powstaje, bo *„nie szanowanoby“* narodu bez króla a możnowładzcy założyliby *„królikarnie“* na ucisk szlachty. —

Więcéj jak rok cały trwająca walka w sprawie sukcessyi i elekcyi przyczyniła się nie mało do wyświecenia i rozszerzenia w masie narodu zdrowych pojęć politycznych. Zdolna publicystyka stronnictwa reformatorskiego pobiła na wszystkich prawie punktach dążenia reakcyjne i przechyliła na swoją stronę stanowczo opinię publiczną. W krótkim téż czasie zbierała już owoce gorliwéj swéj propagandy. Gdy z końcem 1790 roku sejm odwołał się do sejmików, aby rozstrzygły sprawę sukcessyi, przeważna część ich oświadczyła się mimo najsilniejszéj agitacyi opozycyi za sukcessyą albo téż przynajmniéj za wyznaczeniem następcy tronu za życia panującego króla, dodając tém samém chlubne votum zaufania stronnictwu reformatorskiemu, i bronionéj przez niego sprawie. —

Ze sprawą sukcessyi stała w ścisłym związku kwestya kandydata na tron. Pisma polityczne jednak zajmują się nią bardzo pobieżnie; kończy się zwykle tylko na ogólném wskazaniu kandydatów, często nawet bez stanowczego przechylenia się za jednym lub drugim. Liczba pism traktujących kwestyę tę szczegółowiéj z pewną wybitniejszą tendencyą jest nader szczupła.

Kandydatem, za którym jednomyślnie prawie przemawiał głos kraju, a którego też i publicystyka stawiała na pierwszém miejscu, był elektor saski. Prócz przeszłości historycznéj, którą miał za sobą jako wnuk Augusta III, jednała mu zwolenników i ta okoliczność, że był katolikiem i znał język polski. Wszakże kandydatura ta, tak przychylnie przez naród cały przyjęta, a ustawą 3go maja nawet potwierdzona, trafiała na opór ze strony Niemców samych, którzy odradzali elektorowi korony polskiéj, wystawiając połączone z nią dla kraju własnego niebezpieczeństwa. W tym duchu przemawiała mianowicie głośna w swoim czasie broszura p. t.: „*Uiber die Annehmung der polnischen Krone — an S. Kurfürstl. Durchlaucht Friedrich August den dritten, den Vater der Sachsen — von einem Patrioten. Teutschland.* 1791. (8-vo str. 45).“ Nieznany autor odwołując się do czasów Augusta drugiego i trzeciego twierdzi, że połączenie obu państw było zawsze ze szkodą Saksonii i że teraz w razie, gdyby elektor przyjął „ponętny ten ale niebezpieczny dar“ Polaków, kraj jego własny krok taki ciężko będzie musiał

odpokutować. Wystawia przytém trudne stanowisko, które go czeka na tronie polskim, gdzie prócz walki zewnętrznéj z trzema potężnymi sąsiadami będzie wystawiony na ustawiczne starcia ze strony niesfornego narodu, który w nowéj konstytucyi dał wprawdzie dowód opamiętania się, ale w którym mimo to burzliwe i anarchiczne żywioły wiele jeszcze znaczą. Pismo to, jednostronnie nieco ale pod wieloma względami słusznie oceniające stosunki polityczne, wywołało ze strony polskiéj żywe zaprzeczenia i odpowiedzi, które starały się zbić twierdzenia poprzedniéj broszury i dowodziły korzyści takiéj unii dla obu państw. Należą tu mianowicie następujące pisma: „*Warum soll der Churfürst von Sachsen die polnische Königskrone ausschlagen — allen sächsischen Patrioten gewidmet.* Warschau 1792“ (8-vo str. 78). — „*Etwas gegen die Schrift eines Patrioten über die Annehmung der polnischen Krone von einem Polen* 1792“ (8-vo kart. niel.). — „*Nöthige Erinnerungen an den Verfasser des anonymischen an S. Churfürstl. Durchlaucht zu Sachsen gerichteten Aufsatzes über die Annahme der polnischen Krone.* Leipzig 1792“ (8-vo kart. niel.).

Obok tego poruszały pojedyncze głosy kandydaturę domu brandenburgskiego [1]) i hanowerskiego. W ostatnim mianowicie względzie wystąpił Jacek Jezierski kaszt. łuk. z dziwacznym a znanym nam już projektem unii personalnéj Anglii z Polską w piśmie p. t. „*Kopia listu do Angielczyka pisanego.*“

Znacznie ważniejszymi i ciekawszymi od tych ogólnych wzmianek i odosobnionych projektów są ślady usiłowań czynio-

---

[1]) Do zwolenników domu brandenburgskiego należał pomiędzy innymi poeta Fr. Karpiński, który idąc za ogólnym prądem chwycił się także publicystyki. Z początkiem sejmu napisał bezimiennie listy do najznaczniejszych osobistości ówczesnych: Małachowskiego, Czartoryskiego, Radziwiłła Karola i Szcz. Potockiego, radząc aby królowi pruskiemu oddać koronę i zapewnić sobie tym sposobem przyszłość; listom tym przypisuje w pamiętnikach swoich dość naiwnie dojście do skutku przymierza pruskiego. — Wydał także za dziedzicznością tronu broszurę p. t.: „*O następstwie i wyborze królów.*“ (p. Karpińskiego pamiętniki. Poznań. 1844. str. 117—8. i życiorysy Brodzińskiego wyd. Turoskiego str. 42).

nych w interesie panującego króla i jego familii. Wychodziły one z koła najbliższych i najwierniejszych domowników królewskich, a głównym ich autorem był jak się zdaje sam sekretarz króla ksiądz Piatoli [1]). Wydana z polecenia jego broszura p. t. „*List do przyjaciela odkrywający myśl względem sukcessyi tronu i kandydata polaka.* Warszawa. 1790.“ (8-vo str. 16.) przedstawia nam zabiegi szczupłéj garstki najbardziéj oddanych dworowi ludzi. Występuje ona przeciw kandydaturze elektora saskiego, podnosząc rozmaite szkody i niebezpieczeństwa, na które kraj z tego powodu narażonym być może, jakoto: częste a niepotrzebne wojny, zaniedbanie spraw polskich dla interesów Saksonii i nareszcie zaburzenia grożące w bliskiéj przyszłości z powodu braku potomka płci męzkiéj w domu saskim. Ofiarować koronę dziedziczą jednemu z trzech sąsiedzkich dworów, moskiewskiemu, pruskiemu lub austryackiemu — uważa autor pisma za rzecz jeszcze szkodliwszą i niebezpieczniejszą „*to jedno co wilkom do owczarni drzwi otworem zostawić*“, i wyciąga ztąd wniosek, że najlepiéj zapewnić tron dziedziczny familii panującego króla, „*którego opisywać przysługi dla narodu czynione, morze w atrament, a trawy w pióra przemieniać by trzeba.*“ Za następcę Stan. Augusta wskazuje księcia Józefa. —

Nadmienić jednak należy, że król, choć już dawniéj nosił się z myślą zapewnienia rodzinie swojéj tronu, jak to poświadcza konwencya kaniowska, nie brał w zabiegach tych żadnego udziału, a nawet był przeciwny kandydaturze księcia Józefa, uważając w każdym razie ks. Stanisława [2]) za znaczenie od-

---

[1]) Ksiądz Piatoli, Włoch, były sekretarz Ignacego Potockiego, był podczas sejmu 4 l. doradcą i powiernikiem Stanisława Augusta i wywierał osobą swoją niemały wpływ na wypadki ówczesne. Za jego pośrednictwem doszło porozumienie przewódców stronnictwa patryotycznego z królem w celu ułożenia ustawy 3 maja, on z natchnienia króla wypracowywał prejekta a nawet pisał broszury. — Że nosił się z myślą osadzenia na tronie rodziny Poniatowskich, świadczy dziennik Bułhakowa (Ostatnie lata pan. St. Aug. cz. II. str. 278) — porównaj z tem List króla do Bukatego (tamże str. 168).

[2]) Tamże str. 168.

powiedniejszego na to stanowisko. Zresztą projekt powyższy przeszedł zupełnie niepostrzeżenie i nietylko, że nie został przez żadne inne pismo poparty, ale zanadto mało miał nadziei powodzenia, aby wywołać jakąkolwiek opozycyę.

(Dokończenie nastąpi.)

Dr. ROMAN PILAT.

Sprostowanie: W listopadowym zeszycie wkradła się do powyższego artykułu następująca pomyłka, którą tu prostujemy; na str. 233 wiersz 14 od góry zamiast: *referendarz, potém radca stanu, a nareszcie minister oświecenia* — powinno stać: *referendarz, potém radca stanu i członek komisyi oświecenia, a nareszcie minister stanu.*

O zadaniu i systemie
Filozofii Prawa.

LEKCYA WSTĘPNA

miana dnia 17 Października 1871 r. przy otwarciu wykładów Filozofii Prawa w Uniwersytecie Jagiellońskim

przez

Gustawa Roszkowskiego
Dra Filozofii, Magistra Prawa i Administracyi, Docenta Uniwersytetu.

Panowie!

Dwieście już przeszło lat upływa od chwili, w któréj filozofia prawa wprowadzona na katedrę uniwersytecką, zyskała akademickie obywatelstwo. Od tego czasu była ona nietylko przedmiotem głębokich i poważnych prac najznakomitszych myślicieli i uczonych, ale nadto zgromadzała zawsze w nieprzerwanym biegu czasu, rok rocznie, licznych wielbicieli filozoficznéj mądrości prawa, około katedr uniwersyteckich.

I myśmy się dzisiaj zebrali Panowie w najstarszym na naszéj ziemi przybytku wiedzy, dla uczczenia nauki, która z chaotycznego gwaru życia wprowadza nas do tajemniczéj świątyni filozoficznéj kontemplacyi nad najważniejszemi zagadnieniami życia społecznego i odrywając nas od zamętu codziennych spraw i stosunków, ukazuje nam doskonalszą jego dziedzinę. Serdecznie też witam Was Panowie po raz pierwszy z tego miejsca. Sprowadza nas tu wszystkich prawdziwa miłość nauki i chęć służenia krajowi na jedném z najpiękniejszych i najszlachetniejszych sta-

nowisk, około ołtarza poświęconego mądrości, i to nie téj mądrości oschłéj i pedantycznéj, która z dała od rzeczywistości, gdzieś tonie w nadpowietrznych obłokach, albo półsenném owiana marzeniem gubi się w fantazyjném rojeniu o tém co nie posiada rzeczywistéj wartości; ale raczéj mądrości która z życia powstaje i w imie najszczytniejszych dążności ludzkich zdąża do dobra człowieka. Bo filozofia prawa, jak to zresztą późniéj sami Panowie bliżéj ocenić będą mogli, ma właśnie prawdziwe dobro człowieka na celu. Wnikając w istotę ustroju towarzyskich urządzeń i badając najgłówniejszy nerw ich życia — prawo, filozofia prawa ukazuje strudzonéj cierpieniami życia ludzkości organizm instytucyi oparty na wszechstronnych wymaganiach rozumu, który uwzględnia rozliczne potrzeby natury ludzkiéj i tak je chce ukształtować, ażeby wszystkie cele i dążności człowieka doszły za ich pośrednictwem do swego najpełniejszego urzeczywistnienia i rozwoju.

Przyznają Panowie, że niepodobna jest żadnéj nauce wskazać bardziéj szlachetnych, wzniosłych a razem bardziéj realnych i praktycznych zadań, odpowiadających zarówno wymaganiom najidealniejszych stron ducha ludzkiego, jak i najpraktyczniejszych potrzeb empirycznego życia. To téż filozofia prawa jest pojednaniem konkretnéj, otaczającéj nas rzeczywistości z idealnym polotem ducha, który niezadowolony z tego co nie zaspakaja jego wymagań, trawiony tęsknotą za wyższą doskonałością, do niéj się zwraca i w twórczéj, niestrudzonéj swojéj działalności, wytwarza obrazy takiego stanu, któryby już ukoił jego tęsknotę, gdyby tylko urzeczywistnionym został.

Ta téż uwaga niewątpliwie dostatecznie Panom tłumaczy znaczenie filozofii prawa, a jednocześnie objaśnia Wam ten fakt niezwyczajny, że wszyscy najznakomitsi myśliciele ludzkości, jak Platon, Arystoteles i Ciceron w starożytności, Leibnitz, Kant, Fichte i Hegel w czasach nowszych, poświęcali jéj najgłębsze prace genialnego swego ducha, jak i to niemniéj, że filozofia prawa tak zaszczytne zajmuje stanowisko w ogólnym panteonie wiedzy ludzkiéj; bo jeżeli filozofia w ogóle powszechnie uważaną jest za królową nauk, to filozofia prawa jest szczytem filozofii ogólnéj, a więc kwiatem myślącego ducha.

Do studyów nad tą poważną i piękną nauką zapraszam Was wszystkich Panowie. Ożywiony témż samém co i Wy uczuciem — miłością pracy i prawdy, przychodzę przewodniczyć tym

waszym badaniom, których powaby i rezultaty nagrodzą niewątpliwie stokrotnie nieodłączne od naukowych zajęć trudy.

Będziemy więc odtąd wspólnie badać życie społeczne i organiczny strumień jego rozwoju — prawo, ale badać je będziemy nie dogmatycznie i nie historycznie, ale filozoficznie, bo przedmiotem naszych zajęć nie będzie żadna inna nauka, tylko filozofia prawa. Rozpocząć możemy Panowie nasze studya nie inaczéj jak w ten sposób, w jaki się wszelkie naukowe badania zaczynają. Cóż uczynić należy chcąc poznać jakikolwiek przedmiot? Cóż robi naprzykład botanik przystępując do zbadania jakiéjkolwiek rośliny, cóż robimy my sami Panowie mając poznać czyto jeden tylko objekt, czy rozległą dziedzinę ogarniającą ich wielość? Oto Panowie, botanik w swoim zawodzie, jak i my w naszéj poznającéj czynności, dokonywamy przedewszystkiem akt jeden: t. j. staramy się ogarnąć czyto jeden przedmiot, czy całą ich dziedzinę jednym rzutem naszego oka, rozpatrzeć się nasamprzód w téj sferze bytu, która ma być przedmiotem naszéj pracy umiejętnéj; i dopiero z tym ogólnym jéj planem na pamięci zapuszczamy się w badanie jéj szczegółów, jéj pojedynczych momentów. Ta droga badania, ten sposób rozpoczęcia poznania, zapewnia nam spokojny i pewny pochód, chroni nas od mechanicznego przerzucania się od przedmiotu do przedmiotu, nadaje nam jasne pojęcie obszaru naszych poszukiwań i w każdéj chwili dozwala nam łatwo oryentować się w którym punkcie znajduje się nasz pochód poznania.

Z téj wychodząc zasady uważałem za stósowne, na samym zaraz początku naszych badań nad filozofią prawa, rzucić raz okiem na całą jéj dziedzinę, zaznaczyć najwydatniéjsze jéj momenta, dać Panom ogólny pogląd na jéj obszar, ażeby tym sposobem zapewnić Wam i sobie niewątpliwe korzyści takiego postępowania, ułatwić i rozjaśnić pochód całych późniejszych nad nią badań.

Rozliczne strony natury ludzkiéj, różne jéj pierwiastki i z nich wynikające różne cele człowieka, wywołują rozliczne jego dążności. Najpierwsza z nich, dążność do utrzymania i zachowania jego bytu, jego egzystencyi, zapewnia najkonieczniejszą podstawę jego rozwoju. Ale zapewnienie fizycznéj i w ogóle materyalnéj egzystencyi człowieka, nie wyczerpuje wszechstronnych jego dążności. Wymagania niemateryalnéj jego istoty, jego du-

cha, nie dadzą się zagłuszyć przez nakarmienie jego ciała. Duch człowieka domaga się także pokarmu i manifestując prawa swojéj organizacyi, obudza nową działalność człowieka. Jéj kierunek i dążność, zarówno jak i cała jéj prawidłowość, jakże jest różną od téj, która poprzednio skierowaną była dla zabezpieczenia fizycznego bytu człowieka. Jak tam chodziło o zaspokojenie potrzeb ciała, tak tu idzie o potrzeby duchowe. Te potrzeby są tak rozległe i różnorodne, jak liczne i mnogie są dążności duchowe. Dążności te do trzech dają się sprowadzić, a mianowicie objawiają się jako dążność do prawdy, piękna i dobra.

Prawda jest zgodnością naszéj subjektywnéj myśli z objektywnym bytem, a ztąd dążność do prawdy objawia się głównie w zakresie myślenia, piękno obudza harmonię naszych uczuć, a dobro energię i działalność naszéj woli.

Prawidłowa czynność myślenia, skierowana do ujęcia objektywnéj treści, celem przyswojenia jéj istoty naszemu duchowi, przez obleczenie jéj w subjektywne formy umysłu, stanowi poznanie, a prawidłowa czynność poznania, uporządkowana i usystematyzowana, wydaje naukę. Nauka, Panowie, nie jest niczém inném jak uporządkowaném, ujętém w pewne kategorye i grupy poznaniem.

Z różności przedmiotów poznania wynikają różne nauki. Jedne z nich ograniczają zakres swego poznania na zewnętrzną otaczającą nas naturę, inne przenoszą środek ciężkości badania na życie człowieka, w jednym jego kierunku albo we wszystkich jego objawach. Inne wreszcie sięgają poza otaczający nas świat, do téj niezmiennéj jego zasady, do Boga.

Ale jakkolwiek różne są te nauki, nie zaspakajają one jeszcze wszechstronnych dążności ducha ludzkiego. Świat cały nie prędko daje się ująć w rozlicznych swoich szczegółach, w różnych zakresach swojego bytu. Myśl ludzka pragnie go przedewszystkiém ogarnąć w jego całości, w zasadniczych jego pierwiastkach, i ztąd powstaje filozofia. Ona świat cały ogarnia w najgłówniejszych sprężynach, które poruszają wielki organizm jego życia; ona przebiega wszystkie zakresy bytu, ujmuje główne jego momenta.

Pojąć łatwo jakie jest znaczenie filozofii w ogólnym systemacie wiedzy ludzkiéj; ona stoi ponad pojedynczemi naukami. Ale filozofia zaniedbywać nie powinna specyalnych umiejętności, ona opierać się powinna na rezultatach ich poszu-

poszukiwań, z nich, że się tak wyrażę, czerpać żywotne swoje pierwiastki i być jak wieża gotyckiéj świątyni uwieńczeniem panteonu wiedzy. W niéj wszystkie nauki powinny znaleźć swój ostatni wyraz, przez jéj dziedzinę powinny przepływać pojedyncze strumienie światła nauki, ona powinna być ostateczném spojeniem różnorodnych kierunków umiejętności, wykończeniem ich architektoniki, powinna być tém względem wszystkich nauk, czém kopuła na rzymskim kościele ś. Piotra, względem całéj budowy.

Jak dawno umysł ludzki rozwija swoją działalność na polu poznania, jak dawno człowiek zastanawia się nad zagadnieniami bytu i życia, tak dawno istnieje filozofia. Poglądy filozoficzne spotykamy u wszystkich narodów, które jakiegokolwiek dosięgły stopnia cywilizacyi, bo myśl człowieka nie mogła na żadném objawić się polu, ani teologii, ani kosmologii, ani antropologii, ażeby módz się powstrzymać od ogólnych metafizycznych na świat poglądów. One téż towarzyszą ludzkości od saméj jéj kolebki, one wypielęgnowały pierwsze objawy jéj cywilizacyi.

Ale z upływem czasu zakres filozofii się rozszerzał. Ogólny pogląd na świat cały wyrażał się pierwotnie w poglądzie na ostateczne, metafizyczne zasady bytu; a z czasem, wszelkie badanie duchowego bytu, niemniéj jak i wszelkie wnikanie w ostateczne zasady każdego bytu, włączono w zakres filozofii.

W ten sposób pierwotnie jedna metafizyczna nauka filozofii rozwinąć się musiała w wielki system pojedynczych umiejętności filozoficznych, ogarniający nietylko naukę o życiu duchowém w ogóle, tudzież ogólny metafizyczny pogląd na świat, ale nadto metafizyczne zasady każdego pojedynczego zakresu bytu, który sam w sobie jest przedmiotem specyalnych umiejętności. Historya, języki, prawo i państwo, są przedmiotami dziejów powszechnych, lingwistyki, nauki o prawie i państwie, ale ostateczne, metafizyczne ich zasady, należą do filozofii historyi, języka, filozofii prawa i państwa. Te ostatnie gałęzie specyalnych umiejętności filozoficznych powstały Panowie, dla tego, że każdy umysł filozofujący pragnie ogólną swoją filozoficzną zasadę sprawdzić i w odniesieniach do pojedynczych zakresów bytu, a powtóre umysł wszechstronnego badacza nie zadawala się bynajmniéj poznaniem samych objawów badanego przez się bytu, i znużony mozolną wędrówką w dziedzinie em-

pirycznych jego zjawisk, usiłuje przez filozoficzną spekulacyę wniknąć w wewnętrzną ich treść, w ostateczną ich zasadę, w najgłębszą ich podstawę.

Z téj właśnie podwójnéj dążności myśliciela w zakresie poznania, powstaje i filozofia prawa, która nas bliżéj w téj chwili zajmuje. Jest ona, jak Panowie widzą, filozoficznem rozmyślaniem nad naturą prawa i tych sfer w których się prawo urzeczywistnia, badaniem istoty prawa i państwa, wnikaniem w najwewnętrzniejszą i najgłębszą ich treść. A ponieważ psychologiczną władzą takiego dociekania jest rozum, przeto filozofia prawa jest jego badaniem przy świetle i za pośrednictwem rozumu.

Tak jak istnieje wielość pojedynczych nauk, tworzących wielki, wspaniały system wiedzy ludzkiéj, tak téż rozliczne zakresy rozległéj dziedziny prawa i państwa tworzą cały system umiejętności prawnych i politycznych. Filozofia prawa jest ich szczytem, najwyższą kulminacyą ich badania. Jak promienie jednego koła biegnąc na wewnątrz doprowadzają do jego środka, tak wszystkie pojedyncze nauki prawne, im głębiéj się posuwają w właściwéj sobie dziedzinie, im więcéj ze sfery, z powierzchni, z zewnętrznego obrębu przenoszą się do wnętrza zasad, tém bardziéj utracają pierwotny swój empiryczny charakter, aż w końcu w ognisku rozbieranéj przez się treści, przy ostatecznéj zasadzie prawa i państwa, spływają się w jeden wielki strumień filozoficznéj o nich wiedzy i odtąd płyną już razem wielkim korytem rozumowego ich badania.

Filozofia prawa jest zatém nauką o ostatecznych zasadach prawa. Gdzież mamy szukać tych ostatecznych podstaw prawnych urządzeń? Zauważyć proszę dobrze przedewszystkiém, jakie warunki musi mieć w sobie osteteczna podstawa prawa. Ona przedewszystkiém musi być tak rozległą, ażeby wszystkie instytucye społeczne, prawne i państwowe, cały ich organizm, na niéj się mógł oprzeć. A nadto, więcéj jeszcze, ona mieć musi niezmienny przymiot niezachwianéj i nieprzerwanéj trwałości, bo instytucye społeczne które przetrwały tyle wieków, tyle burz czasu, muszą mieć swoją trwałą, niewzruszoną podstawę. Tą niewzruszoną podstawą społecznych urządzeń, tą silną ich podwaliną, może być tylko sam człowiek, wymagania jego niezmiennéj natury i jéj organizacyi. Tylko w pojęciu istoty

człowieka znajdujemy trwały i niewzruszony grunt życia społecznego, pewną, niezachwianą jego podstawę.

Filozofia prawa bada właśnie za pośrednictwem rozumu te ostateczne jego zasady, oparte na naturze ludzkiéj. Opiera się ona na téj apriorycznéj myśli, która przewodniczy całemu jéj badaniu, że wśród wielości zjawisk społecznego życia są jednak ostateczne ich zasady, będące organiczną przyczyną ich bytu i rozwoju, że te zasady są ziarnem posianém na niwę historycznego pochodu ludzkości, z którego wielki gmach towarzyskich urządzeń wykwita, a w końcu że wszystkie te zasady niedostępne dla empirycznego jego poznania, dadzą się ująć za pośrednictwem rozumu, drogą filozoficznego badania.

Jako nauka, filozofia prawa dąży do wykrycia przyczyny, celu i prawidłowości rozwoju prawnych i społecznych urządzeń, bo w tych trzech najgłówniejszych momentach streszcza się cała istota ustroju zespolonego życia.

Z tych wszystkich uwag, jakkolwiek pobieżnie tylko naszkicowanych, można łatwo odgadnąć, w którym okresie historycznego rozwoju kultury ludzkości, zjawia się filozofia prawa.

Najogólniéj biorąc, jest ona myśleniem o prawie. Myśl zaś o prawie, istnieje od dawien dawna, ona jest tak starą jak sam człowiek, i życie społeczne, wśród którego dopełnia się cywilizacyjny jego rozwój. Ta myśl jest nieodstępną towarzyszką ludzkości, bo umysł człowieka nie może nigdy oswobodzić się od troski o to, co z najistotniejszemi warunkami bytu człowieka jak najściśléj jest związane. On nigdy nie zadawala się rzeczywistością która go otacza, ale tęskni za lepszą, doskonalszą przyszłością, a dąży do tego zarówno drogą wszelkich możliwych przekształceń rzeczywistego ustroju swego politycznego bytu, jak i drogą naukowego wniknięcia w jego istotę i kardynalne jego warunki. Ale taka myśl o prawie jest już świadomą myślą, a ta świadoma myśl zjawia się dopiero na wyższym szczeblu cywilizacyjnym. To téż dopiero starożytna Grecya jest pierwszą widownią na któréj występuje filozofia prawa, pomimo, że historycznie i cywilizacyjnie poprzedził ją wschód.

Ale myśl o prawie, chociaż już świadoma, nie odrazu wyraża się w pełnym systemie wiedzy. Pierwotnie jest ona urywkową tylko i nie bada życia społecznego w pewnym ściśle oznaczonym kierunku, ale w wielu kierunkach razem, tak że filozofia

prawa występuje pierwotnie, t. j. w Grecyi, pomięszana z pokrewnemi naukami, a szczególniéj z polityką.

Dopiero późniéj, gdy przedewszystkiém poznanie w ogóle ustaliło prawidłowy swój pochód, i filozoficzne badanie prawa zyskało ściśléj odgraniczoną dziedzinę, a nadewszystko przybrało coraz więcéj charakter systematycznego i uporządkowanego poznania życia społecznego, ze stanowiska filozofii.

Ta epoka przypada w połowie XVIIgo wieku, i odtąd już filozofia prawa szła ręka w rękę z filozofią w ogóle, tak że każdy prawie wielki myśliciel zostawił i swój filozoficzny pogląd na prawo i państwo.

Tak jak zadaniem filozofii prawa i państwa jest badanie jego istoty, tak jéj przedmiotem jest wielka dziedzina tych wszystkich zjawisk, które tworzą organizm prawnych i państwowych urządzeń. Wszystkie pierwiastki i czynniki, które wydają życie społeczne, są przedmiotem filozofii prawa, jak wszystkie istotne momenta duchowego życia są przedmiotem poszukiwań psychologicznych.

Widać więc z tego, że dziedzina filozofii prawa jest rzeczywistym bytem, a nie marzeniem fantazyjnego umysłu. Ale właśnie ta rzeczywistość przedmiotu filozofii prawa, z kardynalném jéj zadaniem: wykrycia wewnętrznéj treści, istoty zjawisk życia zespolonego, utrudniają bardzo jéj pochód, narażają ją na wielkie, nieuniknione niebezpieczeństwa. Filozofia prawa przebiega swą drogę ciągle po wązkiéj ścieżce między dwoma prądami bystrych strumieni, z których każdy zagraża jéj ciągle porwaniem w swoje koryto. Z jednéj strony rzeczywistość, gruba materyalność codziennych stosunków życia, ale w każdym razie panuje w niéj nieprzeparta konieczność; z drugiéj strony świat idei, przybytek wolności. Idzie więc o to, ażeby filozofia prawa nie stała się nauką zanadto empiryczną, ani zanadto idealną, ale ażeby z niezachwianą świadomością celu swego pochodu potrafiła wniknąć w istotę towarzyskich urządzeń, na podstawie zbadania ich samych. Prawdziwe zadanie filozofii prawa, jak to widzieliśmy już, polega na wykryciu istoty prawa; a do tego rezultatu nie można dojść właściwie inaczéj, jak przez poznanie empirycznych jego objawów. Naprzód je zatém zbadać należy, i dopiero na téj podstawie oparłszy gmach filozoficznéj wiedzy o życiu społeczném, dostarczyć przez to nowy bodziec,

nową sprężynę energicznego jego rozwoju, pełniejszego życia. Ale zważyć potrzeba, że niebezpieczeństwo filozofii prawa nie jest urojoném: tak jak przez trafny swój kierunek może ona rozbudzić wielki ruch społeczny, tak przez jednostronność w empirycznym lub idealnym kierunku zacofać go na długo.

Prócz tego jest jeszcze inna trudność filozoficznych badań prawa, w saméj ich naturze złożona i téj trudności nie mogę zataić. Filozofia prawa nie może ograniczyć się do pewnéj tylko sfery życia społecznego, ale ogarnąć musi cały, wielki krzew jego rozwoju. To zaś życie społeczne jest tak rozległe, ma tyle i tak wszechstronnie rozgałęzionych konarów, że cały obszar zespolonego życia przedstawia się jako wielka, kolosalna dziedzina. Otóż rzeczywista trudność polega w ogarnięciu téj wielkiéj masy faktów, téj niezmierzonéj mnogości najróżnorodniejszych zjawisk, w sprowadzeniu téj wielości do jedności, w odszukaniu jéj jednolitych podstaw. Słusznie powiada Treudelenburg (*Naturrecht*, Lipsk 1868) w zakresie pojedynczych nauk, gdzie idzie o wyszukanie najbliższéj podstawy danych faktów, łatwiéj jest je z sobą pogodzić, jakkolwiekby było trudno o zupełną zgodę podawanéj hipotezy z istniejącymi faktami. Ale gdzie idzie o odszukanie ostatecznych zasad, jak tego domaga się zadanie filozofii, z rosnącą liczbą pośrednich ogniw wzrasta i trudność.

Ale, trudności nie powinny nigdy zrażać uczonego, prawdziwie miłującego naukę; one raczéj podniecać powinny jego zapał do pracy, bo w walce, w zwycięztwie, najlepiéj uwydatnia się potęga ducha, energia jego siły.

Filozofia prawa, jak sama jéj nazwa to wskazuje, jest nauką stojącą na granicy między dwoma wielkiemi dziedzinami: nauk prawnych i filozoficznych. Ona jest filozofowaniem o prawie, czyli jéj przedmiot jest z dziedziny prawa, jéj dążność i jéj metoda należą do zakresu filozofii. Jeżeli się na to godzimy, to musimy wyznać, że filozofia prawa jest nauką *par excellence* filozoficzną, bo jeżeli o charakterze nauki, o jéj istotnych znamionach orzekać ma jéj metoda, to wcale wątpliwém być nie może do któréj grupy umiejętności należeć powinna filozofia prawa.

Ten dwoisty charakter naszéj nauki, sprawia przedewszystkiém, że ona do swego zakresu włączać musi wiele bardzo kwestyi z dziedziny zarówno prawa jak i filozofii; sprawia daléj, że filozofia prawa jest przedmiotem głębokich prac zaró-

wno filozofów jak i prawników, ale nie tych oschłych zwolenników sądowéj rutyny i raz ustalonych formułek, ale prawników wnikających w jądro, zasadę i ducha prawa; w końcu dualistyczny charakter filozofii prawa jest przyczyną, iż nauka ta jest przedmiotem nader licznych uniwersyteckich wykładów w obu fakultetach: filozoficznym i prawnym. W bieżących latach na przykład, w uniwersytetach niemieckich spotykamy filozofię prawa bardzo licznie reprezentowaną, a nawet można powiedzieć, że najznakomitsi profesorowie poświęcają jéj swoje prace. W Berlinie czytają filozofię prawa: Trendelenburg, Michelet, Heydemann i Berner, w Lipsku Ahreus i Heinze, w Jenie Fortlage, w Monachium Prautl, we Freiburgu znany filozof Sengler, wreszcie w Heidelbergu Zeller, Röder i Zöpfl. Uniwersytet Jagielloński wspomina na téj katedrze profesorów: Słotwińskiego, Rzesińskiego i Rydzowskiego, a i dziś traktuje ją, chociaż tylko w związku z innemi umiejętnościami etycznemi, Nestor polskich filozofów, dostojny nasz Rektor Magnificus, Dr. Józef Kremer. Szkoła główna warszawska, któréj miałem zaszczyt być uczniem, nie miała osobnego wykładu filozofii prawa, jakkolwiek uczony prawnik Dr. Kasznica, niegdy uczeń tutejszéj Akademii, przy swoim obszernym i pełnym gruntownéj wiedzy wykładzie encyklopedyi prawa pomieścił rozbiór wielu ważnych kwestyi i z dziedziny filozofii prawa.

Nauka ta, jako przeważnie filozoficzna, nosić musi piętno subjektywnego, filozofującego ducha, czyli piętno ogólnego filozoficznego jego systematu. Ztąd wynika, że różnica poglądów na istotę prawa i państwa odbić się musiała i w różnicy filozoficzno-prawnych systemów. Każdy zaś system wyrabiając sobie mniéj lub więcéj liczne grono zwolenników, wydaje nową szkołę. Ztąd systemata i szkoły w filozofii prawa.

Jakże one powstają? Gdzież jest właściwa przyczyna która je wydaje? A przedewszystkiém gdzież jest przyczyna systematów filozofii w ogóle? bo skoro filozofia prawa, jak to powyżéj starałem się uwydatnić, jest objawem filozofującego umysłu w zakresie prawa, to wszystkie okresy i stadia duchowego procesu ogólnéj filozoficznéj myśli i w zakresie filozoficznych badań prawa odbić się muszą.

Nie mogę w téj chwili prowadzić Panów przez szereg rozumowań dla uwydatnienia Wam téj myśli, że system jest zawsze

objawem, rezultatem téj metody którą umysł filozofa na samym zaraz początku swojego studyum przyjmuje, że daléj sam wybór umiejętnéj metody jest następstwem naszego ogólnego na świat poglądu. Kto twierdzi że świat cały jest jedynie objawem i modyfikacyą materyi, ten w poznaniu domagać się musi uwzględnienia jedynie zmysłowych organów, ten naturalnie oświadczy się wyłącznie za przyjęciem w nauce metody obserwacyjnéj. Dla kogo znów świat cały jest jedynie objawem pewnéj idei, ten w pochodzie poznania zaufa wyłącznie rozumowi, a jego metoda będzie jednostronnie metafizyczną. Kto wreszcie w zjawiskach otaczającego nas świata widzi objaw niemateryalnéj treści uzmysłowionéj w materyalnych formach, ten uwzględni w poznaniu zarówno doświadczenie jak i jego krytykę przez rozumowanie.

Pomiędzy metodą a systemem istnieje nierozerwany bezpośredni związek, bo metoda jest jakby narzędziem które nadaje formę i niezmienną cechę temu co wytwarza. Ztąd téż jednostronna metoda empiryczna doprowadza koniecznie do materyalizmu, jednostronna metoda metafizyczna wydaje racyonalizm i idealizm, pojednanie wreszcie metod ma za skutek system pełniejszy, unikający jednostronności i usiłujący pogodzić w harmonijném, wyższém pojęciu rozerwane pierwiastki materyi i ducha.

W ten sam zupełnie sposób powstały systemata i szkoły filozofii prawa. Ogólny, metafizyczny pogląd na życie społeczne, był podstawą ich różnic. Jedni uważali życie społeczne za objektywny, niewzruszony porządek, w zakresie którego niemożebną jest wszelka interwencya działania indywidualnego. I ta zasada wywołała bardzo liczną szkołę. Jéj wyznanie wiary stanowi system objektywny, jéj metoda była empiryczną. Ale nader liczni wyznawcy téj objektywnéj zasady podzielili się na dwa główne obozy: jedni widzieli urzeczywistnienie objektywnego porządku w historyi — a ztąd metoda i szkoła historyczna; inni w woli bożéj, w objawieniu — ztąd szkoła teologiczna.

Oprócz téj nauki była inna teorya życia społecznego. Według niéj wielki organizm towarzyskich urządzeń jest jedynie objawem subjektywnego działania człowieka, jego punktem wyjścia — idea. Ztąd metafizyczna metoda i system subjektywny. A ponieważ system ten uważa wszystkie towarzyskie instytucye za wypływ działania woli ludzkiéj, przeto jego zwolennicy uważali za odpowiednie oznaczyć pewną historyczną epokę w któréj

wola człowieka wytworzyła związki społeczne. Tą epoką historyczną było przejście ze stanu przedspołecznego do stanu związków społecznych — i oto, w jaki sposób powstaje teorya o umowie społecznéj, o stanie przedspołecznym, teorya stanu natury. Ale pojęcie stanu przedspołecznego i umowy społecznéj jest fikcyą, tak jak ani historya nie wyjaśnia nam istoty związków społecznych, ale jedynie do tego ich wyjaśnienia dostarcza empiryczny materyał, tak z drugiéj strony i objawienie nie może być źródłem nauki prawa. Ona szerszéj szukać musi podstawy, czerpać ze wszystkich źródeł do których spływa zdrój zespolonego życia i uwzględnić zarówno świadectwa historyi jak i wymagania rozumu. Nauka prawa zawierać musi, jak każda prawidłowa nauka, zarówno empiryczny jak i spekulatywny pierwiastek i dla tego w skutek historyczno-metafizycznéj metody wyrobić się musiał trzeci, pełniejszy system filozofii prawa, w duchu którego życie społeczne jest urzeczywistnieniem idei wolności wśród objektywnego porządku. Panowie widzą, że system ten jest pojednaniem dwóch poprzednich szkół. Pojednanie to było nieraz w historyi filozofii przedmiotem nader głębokich usiłowań. Pomijając inne mniéj ważne, wspomnieć musimy usiłowania na tém polu Szellinga i Hegla. Cały ustrój społeczny, tak jak i świat cały, jest w duchu genialnych pomysłów Hegla objawem rozwoju pewnéj zasadniczéj idei, jest samą tą ideą w pewném stadyum jéj rozwoju. Hegel sądził że zniósł już dualizm materyi i ducha, objektywności i subjektywności, przez pojęcie objektywnego procesu subjektywnéj idei. Ale panteizm nie jest systematem rozwiązującym zagadkę bytu, a zamiast zniesienia dualizmu i jego pierwiastków, zmaterya lizował ideę i wypełnił materyę nieodgadnioną treścią. A wreszcie zniósł samoistny byt społecznych instytucyi, odbierając im zasadę bytu któraby w nich samych spoczywała, uczynił je jedynie jedném ogniwem uniwersalnego procesu, rozwoju zasadniczego bytu.

Współczesny Heglowi getyngski filozof Krauze przedsięwziął nowe zjednoczenie rozerwanych w poprzednich szkołach systematów subjektywnych i objektywnych. Myśl tego pojednania została głębiéj osnutą, a samo pojednanie dokonano na rozległém polu pojęcia człowieka. Jego istota, wszechstronne wymagania jego natury stały się gruntem, na którym Krauze wzniósł świetny gmach swojéj nauki. A ponieważ Krauze i w filozofii w ogóle

uznawał system pojednania materyalizmu z idealizmem, przeto i w zakresie filozofii prawa przeniósł on ten zasadniczy pogląd i w jego duchu, pojął życie społeczne za objaw idei wolności wśród objektywnego porządku.

Oto są trzy najgłówniejsze systemata filozofii prawa, która w wieku XVIItym i XVIIItym i pierwszéj połowie XIXgo była przedmiotem nader wielu prac nietylko filozofów i prawników, ale nadto mężów stanu i polityków, a nawet teologów; nauki, która i dziś zajmuje uwagę i pracę najznakomitszych współczesnych myślicieli, ale która pomimo to, już dla tego że jest filozofią, razem z nią ulega gwałtownym zarzutom.

Jéj przeciwnicy głoszą: że filozofia prawa nie jest wcale nauką, bo brak jéj zarówno rzeczywistego przedmiotu badania, jak i ściśle umiejętnéj metody. Na ten zarzut nie potrzebuję już odpowiadać, bo już na dzisiejszém posiedzeniu miałem Panom zaszczyt uzasadnić zarówno jéj przedmiot jak i jéj drogę badania. W każdym razie przeciwnicy filozofii prawa zapominają, że ona jest jedyną nauką która wnika w wewnętrzną treść prawa, wykrywa na jaw jego istotę, najlepiéj tłomaczy czém prawo jest w swojéj idei, jak się kształtować powinno w życiu społeczném i jaki nadać należy kierunek jego rozwojowi. Prócz tego filozofia prawa dostarcza normę do oceny wartości praw istniejących i przedsięwzięcia niezbędnych w ich ustroju przekształceń, nadto obudza poczucie prawa w masach i zmysł prawny w prawnikach. Ona jest tłem na którém najlepiéj daje się przeprowadzić interpretacya i analogia prawna, a wreszcie praktyczne znaczenie téj nauki najlepiéj uwydatnia się w nader licznych reformach społecznych i prawodawczych, za jéj wpływem przedsięwziętych. Z wielu faktów pragnę przywieźć Panom jedynie na pamięć, że sławny traktat Hugo Grocjusa: *De jure belli ac pacis*, oddziałał w wielkiéj mierze na pamiętną międzynarodową umowę z r. 1648: daléj Duch praw Montesquieu'go rozstrzygał w wielu konstytucyjnych kwestyach; wiadoma jest niemniéj rola dzieła o prawie natury Samuelego Coeceji przy wydawaniu ustaw Fryderyka IIgo; podobnie jak i wpływ takiegoż dzieła Wolffa na Landrecht pruski.

Są to wszystko wymowne świadectwa, że głęboko pojęta i prawidłowo przeprowadzona filozoficzna nauka o prawie i państwie, oddziaływa na cały ich ustrój zarówno w teoryi jak i w ży-

ciu samém. Potrzeba tylko uchronić ją właśnie od jednostronnego kierunku, ale to już zależy od systematu i od metody wykładu. Samą naukę za wybór tych ostatnich przez uczonego obwiniać nie można.

Ażeby na samym zaraz początku naszego studyum nad filozofią prawa dać możność zoryentowania się, w którym kierunku postępować będziemy w naszych badaniach, pragnę porozumieć się z Panami co do programu moich wykładów, czyli co do ogólnego układu mego kursu.

Literatura filozofii prawa, jak ją zresztą sami Panowie późniéj poznacie, jest tak liczna, że przedewszystkiém do niéj zwrócić się należy w rozbiorze téj materyi, rozważyć zalety i wady układu najgłówniejszych jéj dzieł.

Jeden z najsławniejszych i najznakomitszych niewątpliwie przedstawicieli filozofii prawa w naszych czasach, berliński profesor Treudelenburg, autor pomnikowego dzieła, wydanego p. t. *Naturrecht auf dem Grunde der Ethik* (Lipsk 1 wyd. 1860 r., 2 wyd. 1868), ma jednę dużą bardzo wadę w układzie swojego dzieła, t. j. pominięcie systematycznego wykładu historyi filozofii prawa, historyi głównych jéj systematów, tudzież historyi literatury filozofii prawa. Nie trzeba sądzić bynajmniéj, ażeby w ogóle przez Treudelenburga zaniedbany został element historyczny, owszem, historya jest u niego na głównym planie, ale nie traktuje jéj w systematycznym obrazie. Tenże sam zarzut spotyka dzieło Stöckla: *Lehrbuch der Philosophie* (Mainz 1869), w którym w t. 1szym pomieszczony jest i ustęp o filozofii prawa, napisany, jak wszystkie prace tego autora, z niezachwianą jasnością i systematycznością.

Warnkönig: *Rechtsphilosophie als Naturlehre des Rechts* (Freiburg, 1 t. 1839, 1854), Geyer: *Geschichte und System der Rechtsphilosophie in Grundzügen* (Insbruck 1863), Michelet: *Naturrecht oder Rechtsphil. als die praktische Philosophie* (Berlin 1866 r.), a nawet Ahreus, w sławnym swoim 20ma wydaniami przedewszystkiém: *Cours de droit Naturel ou de philosophie du droit* (1sze wyd. w r. 1837, ostatnie w 1868), uwzględnili już wprawdzie historyę jako systematyczną część swoich wykładów, ale traktują ją zaraz po podaniu wiadomości wstępnych, odnoszących się do pojęcia i literatury filozofii prawa, a nie ustaliwszy poprzednio ogólnéj nauki o prawie i państwie, a przede-

wszystkiém zasadniczego ich pojęcia, które powinno być skalą według któréj teorye rożnych filozofów w téj materyi oceniane być powinny. Przez to, jedno z dwojga: albo wykład saméj historyi filozofii musi być pozbawiony wszelkiéj krytyki, a wtedy nie ma on naturalnie żadnéj wartości, albo téż, jeźli jest krytycznym, nie może być ani dla uczniów, ani dla czytelników zrozumiałym, bo jedni i drudzy nie mając przez autora podanych żadnych apriorycznych norm do krytyki, wcale zrozumieć nie będą w stanie jego poglądów.

Röder: *Grundzüge des Naturrechts oder der Rechtsphilosophie* (Lipsk 1860) uniknął téj niekonsekwencyi przez pomieszczenie historyi najgłówniejszych filozoficzno-prawnych poglądów w przejściu z ogólnéj swojéj nauki o prawie, do części szczególnéj, ale natomiast popadł w nowy błąd, ograniczając wykład filozofii prawa wyłącznie do dziedziny prawa prywatnego.

Walter w swojém *Naturrecht und Politik* (Bonn 1863) pomieścił historyę filozofii prawa na końcu wykładu. Niezawodnie można i w ten sposób postąpić, żeby rozwinięty swój system starać się sprawdzić i porównać z innymi systemami, ale w każdym razie jestto metoda postępująca wspak, bo przednie ogniwa włożone są na sam koniec, a nadto system ten pozbawiony historycznéj podstawy cierpi brak trwałego gruntu i wznosi się jedynie na apriorycznem rozumowaniu i na hipotezach.

Prócz tego, wychodząc z téj myśli, że człowiek jest cząstką państwa, ludzkości całéj i pewnego religijnego stowarzyszenia, kościoła, Walter całą filozofię prawa podzielił na filozofię państwa, związków państw i kościoła.

Że to są rzeczywiście trzy wielkie sfery prawa, to niewątpliwie, chociaż nie są one jedynemi dziedzinami jego rozwoju; ale niepodobna jest z drugiéj strony zgodzić się na układ całéj nauki filozofii prawa według nich. Cale rozumowanie nad prawem i państwem zawarte tu jest w zbyt ogólnych formach, jego treść przez to zanadto niewyraźną się czyni, a z drugiéj strony zanadto odrywa system filozofii prawa od systemu praw pozytywnych. W dziele o państwie Walter pomieszcza wszystko co inni filozofowie za całkowitą treść filozofii prawa uważają. Ztąd mnóstwo pojęć, mnóstwo materyi, jest tam rzecz o własności i o organizacyi państwa, o zobowiązaniu i o reprezentacyi narodowej

i t. p., a taki chaos przedewszystkiém sprzeciwia się pedagogicznym warunkom dobrego wykładu.

Ogólny układ wykładu filozofii prawa opierać się z jednéj strony powinien na wymaganiach saméj téj nauki, a z drugiéj na wymaganiach pedagogiki; to znaczy, że jak z jednéj strony podział materyi według najistotniejszych momentów téj nauki, a właściwie jéj przedmiotu uskutecznić należy, tak z drugiéj strony podział ten powinien odpowiadać wymaganiom systematycznego przedstawiania rzeczy, zdolnego zarówno jasno rzecz przedstawić, jak i z łatwością tok przedstawienia ująć i zrozumieć.

Mojém zdaniem, układ materyi naszéj nauki najnaturalniéj rozpada się na te główne momenta.

Osią całego wykładu jest wykład samego systemu prawa, w najrozciąglejszém pojęciu, t. j. prawa prywatnego i publicznego, bo tak go powszechnie dzielą.

Ale z jednéj strony do żadnego wykładu przystąpić niepodobna wprost; potrzeba pewnych zasadniczych pojęć, na których by można jak na fundamencie budować gmach cały. Ztąd naturalnie system filozofii prawa poprzedzić musi część ogólna wykładu, fundamentalna filozofia prawa. Z drugiéj strony, nauka jako nauka, jako oderwane myślenie nie ma właściwie żadnego praktycznego znaczenia, ażeby go uzyskać potrzebuje stanąć w bezpośredniéj łączności z wymaganiami życia. Otóż Panowie, czyniąc zadość temu warunkowi, sądzę, że oparłszy na zasadniczych pojęciach fundamentalnéj filozofii prawa całkowity jéj system, należy w końcu zwrócić się do życia społecznego w historycznym jego pochodzie, i rozważyć o ile zbadana przez nas idea prawa dotychczas w historyi urzeczywistnioną została, a co jeszcze zostaje zadaniem w przyszłości. Ztąd powstaje część trzecia wykładu, historyozoficzna, a cały wykład rozpada się, jak Panowie widzą, na 3 główne części:

fundamentalna filozofia prawa,
jéj system,
historyozofia prawa.

Ażeby znaleźć rozdział każdéj z tych części na dalsze ustępy, co do części 1széj zapytać się przedewszystkiém musimy, jakież to ogólne pojęcia mają być zasadą, fundamentem dalszego wykładu. Oto Panowie, 3 są główne kategorye tych pojęć zasadniczych: 1. Pojęcie saméj filozofii prawa jako nauki, z wszystkiém

tém co do niego należy, a więc literaturą, metodą i kwestyami związkowemi — wszystko to da się ogarnąć ogólną nazwą propedeuteki filozofii prawa czyli nauki wstępnéj. 2. Pojęcie prawa i państwa, bo chcąc mówić o systemie prawa i państwa, trzeba mieć przedewszystkiém jasną ich ideę. Ztąd zasadnicza nauka o prawie i państwie. A w końcu 3. chcąc całe badanie oprzeć na historycznym materyale, rozważyć potrzeba najgłówniejsze systemata filozofii prawa; tak że cała część 1sza t. j. fundamentalna filozofia prawa rozpada się na 3 działy:

dział 1. propedeutyka filozofii prawa,
2. zasadnicza nauka o prawie i państwie,
3. historya filozofii prawa.

System filozofii prawa ogarnia zarówno naukę o prawie jak i naukę o sferach w których się prawo urzeczywistnia, ztąd część 2ga wykładu zawiera 2 działy:

dział 1. filozofia prawa w ścisłém znaczeniu,
2. filozofia sfer w których się prawo urzeczywistnia; a więc rodzina, ród, naród, stany społeczne, gmina, państwo, kościół i związki państw.

Wielu bardzo autorów dzieł o filozofii prawa traktujących pomijają całą materyę działu 2go, ograniczając się jedynie do wykładu filozofii prawa prywatnego. Mojém zdaniem jestto metoda zupełnie fałszywa, bo prawo prywatne nie wyczerpuje przecież całego zakresu materyi prawnéj; nauka o państwie i cały dział prawa publicznego wymaga zarówno filozoficznego rozważenia co i nauka o prawie w ogóle i prawie prywatném.

Część 3cia naszego wykładu, historyozoficzna, ma na celu wykazać o ile i w jaki sposób wywiedziona w poprzednim wykładzie idea prawa i rozważona w głównych swoich momentach, urzeczywistnioną została w prawodawstwach różnych narodów, czyli innemi słowy, o ile wymagania co do prawa, oparte na pojęciu jego istoty, dotąd już spełnionemi zostały, a co jeszcze zostaje zadaniem przyszłości w tym względzie. Ta 3cia część przez wielu bardzo autorów zupełnie bywa pomijaną. Ze znanych mi jeden tylko Michelet zadanie to rozwiązać się starał. A jednak także zapoznanie historyi jest wielkim błędem. Filozofia prawa pomimo swego teoretycznego charakteru powinna być przecież nauką praktyczną, a rezultaty jéj poszukiwań należy wprost do potrzeb życia narodowego skierować. Kto rozważa filozoficznie

istotę prawa, ten nie powinien zadawalać się zyskanemi teoretycznemi pewnikami, ale pytać się zaraz powinien w jakim to stosunku stoją one właśnie do życia społecznego narodu i prawodawstwa pozytywnego, które główne jego stosunki urządza, czyli które z teoretycznych wymagań uzasadnionych przez filozofię prawa, urzeczywistnionemi już zostały, a co pozostaje jeszcze do zrobienia. Przez to tylko filozofia prawa zyskuje praktyczny charakter, porzuca abstrakcyjne stanowisko czysto-rozumowych badań nad istotą prawa, a staje się nauką związaną bezpośrednio z potrzebami życia narodowego.

Studya nad tą nauką mamy rozpocząć na następném posiedzeniu. Mam nadzieję że Panowie nie odmówicie mi współudziału w téj poważnéj pracy, która obok teoretycznéj swéj ważności wziąść powinna udział w usiłowaniach zaspokojenia wymagań życia społecznego. Trudności niech Panów nie zrażają, będziemy się je starali wspólnie zwyciężać, bo tylko w takiém zespoleniu naszéj umiejętnéj pracy, spokojnie i z zaufaniem w rezultaty postępować możemy po drodze do naszych naukowych celów wiodącéj.

Ufność bez granic.

Przysłowie dramatyczne w 1 akcie.

Po Pani

WALERYI z TARNOWSKICH

MYCIELSKIÉJ.

Ośmielam się przesłać a nawet przypisać Pani tę błahostkę która na nazwę komedyi nie zasługuje, a którą nie wiem czy po polsku „przysłowiem“ nazwać można. Wspominałaś Pani nieraz, że w naszéj literatnrze posiadamy zbyt mało takich lekkich a krótkich scenicznych utworów, coby się przedstawić z łatwością dały na zaimprowizowanym domowym teatrze, dla skrócenia zimowego wieczoru. Czy temu celowi niniesza próbka dramatyczna odpowie? Czy zasłuży sobie ona, by ją kiedykolwiek odegrano na domowym lub publicznym teatrze? — tego bynajmniéj nie wiem. Napisałem ją dla tego, aby życzeniom Pani zadość uczynić, a podobno i dla tego, by mieć sposobność wyrażenia téj czci głobokiéj z jaką dla Pani od tak dawna zostaję.

L. K.

Kraków 9 Grudnia 1871.

OSOBY.

ROMAN.
ANNA, jego żona.
RODRYG.
SŁUŻĄCY.

(Rzecz dzieje się w mieście.)

(Pora wieczorna. — Scena przedstawia salon, z którego jedne drzwi prowadzą do pokoju Romana drugie do pokoju Anny. — Roman wychodzi od siebie trzymając w ręku poszyt Revue de deux Mondes i stuka do drzwi żony.)

Roman.

Czy można?

Anna (za drzwiami).

Zaraz kończę się ubierać i wychodzę za chwilę.

Roman.

O nie spiesz się wcale, mogę ci i przez drzwi zrobić moje przedstawienie.

Anna.

Jakie przedstawienie?

Roman.

Wszak jeśli się nie mylę to umówiłaś się z ciotką, aby pojechać na dzisiejszy wieczór do Dziedzickich,

Anna (zawsze ze swego pokoju).

Ale bynajmniéj — wcale się z nią o to nie umawiałam.

Roman.

A!.... bo wystaw sobie, ja się czuję tak jakoś źle usposobiony i żadną miarą nie mogę ci towarzyszyć na ten niefortunny wieczór,

Anna (wchodzi raptownie w stroju balowym kończąc zapinać bransoletkę).

Żartujesz sobie mój kochany Romanie! — doprawdy tym razem nie pozwolę na to. Powiedzianoby żeś od pewnego czasu wziął sobie za zasadę, aby niegrzeczności robić w kole naszych najbliższych znajomych. Proszą nas na obiad do Państwa Adamów — wysyłasz mnie nań i sam nie przychodzisz. W Bia-

łowoli gdzie dla nas tacy grzeczni i uprzedzający — noga twoja jeszcze nie postała. Pomijam już, że co poniedziałek obiecujesz pójść ze mną do prezesostwa i że jeszcze ani jednego poniedziałku nie miałam szczęścia być tam w twojém towarzystwie...

Roman.

Ale moja Anno ten raz tylko...

Anna.

Nie, nie mój drogi. Zresztą będę z tobą szczera — tu nie tylko o względy towarzyskie chodzi, ale chodzi też trochę o moją własną przyjemność a nawet i o moje osobiste dobro. Być może, że są kobiety, którym to dogadza, gdy się mogą puszczać w świat bez mężów, ale co do mnie, to mam ci honor oświadczyć, że rola samotnéj, opuszczonéj, choćby wielce interesującéj małżonki wcale mi do gustu nie przypada. Nie masz wyobrażenia na jakie rozdrażnienie nerwów jestem za każdym razem wystawiona, gdy przy wejściu do któregokolwiek z naszych salonów posypią mi się w uszy zapytania: — A gdzież to P. Roman? — Czy mąż Pani cierpiący? — Czy mąż Pani tak bardzo zajęty?... Ta odwieczna Księżna Teresa czatuje na mnie wszędzie ze swym odwiecznym i niezmieniającym się nigdy frazesem: *Et ce cher Comte il n'est donc jamais visible?* Wreszcie Pani Laura, która także bez męża przez świat się przesuwa tylko że z innych jak ja powodów... ta Laura któréj żadną miarą znieść nie mogę, coraz miléj się do mnie od pewnego czasu uśmiecha, z coraz większém spółczuciem za rękę mnie ściska, jakby mi poznać dawała, że ona lepiéj jak ktokolwiek położenie moje rozumie.

Roman (wzruszając ramionami).

Cóż cię to wszystko obchodzić może!

Anna.

To wszystko zaczyna mnie w nieopisany sposób drażnić i nudzić, a temu wszystkiemu tylko ty koniec położysz, jeśli zechcesz być taki miły, taki kochany, jak to kiedyś, kiedyś bywało i zwłaszcza jeśli towarzyszyć mi będziesz na dzisiejszy wieczór.

Roman.

Ale moja najłaskawsza, ukochana i gorąco kąpana Anno.

Wierzaj, że jeśli ci na ten wieczór nie towarzyszę, to nie przez żaden kaprys, ale dla tego, że mam swoje powody.

Anna.

Ciekawam jakie powody? proszę powiedz mi choć jeden?

Roman (nieco zakłopotany).

Są w życiu ludzkiém chwile...

Anna (przerywając).

W których rozsądni i prawdomówni ludzie uciekają się do lichych wykrętów i dziecinnych figli, aby zakryć swoją złą wolę.

Roman.

Przysięgam ci, że żadnéj złéj woli nie mam, ale mam po prostu wielką ochotę zostać dzisiejszy wieczór w domu. Nie wystawisz sobie moja Anno ile mi nudów i kłopotów sprowadza ten nieszczęśliwy proces z Heimbergiem...

Anna.

Zawsze tylko słyszę o tym procesie!

Roman.

Ale na miłość boską bądźże sprawiedliwą... Zaledwie oto powróciłem z sejmu: jeszcze mi ciążą na umyśle wszystkie kadastry, serwituty, rezolucye, propinacye i drogi krajowe o jakich się przez dwa miesiące nasłuchałem, aż oto spada mi na głowę ten nieszczęśliwy proces. Siedzę już trzeci dzień pogrążony w zapleśniałych aktach i papierach sądowych! Dla rozrywki — niechaj ci P. Bóg tego nie pamięta — namówiłaś mnie na obiad do cioci kasztelanowéj, gdzie mówiąc między nami wcale zabawnie nie jest, gdzie panuje pewna atmosfera wilgoci i nudów dająca człowiekowi katar moralny... Nie mam pięciu minut wolnych, żeby cośkolwiek dla własnéj przyjemności lub pożytku przeczytać... Zaprawdę należy mi się w końcu małe na dzisiaj wytchnienie! Dorwałem się właśnie do ostatnich poszytów Revue des deux mondes, gdzie jest bardzo interesujący artykuł polityczny Klaczki i bardzo ładny romans Pani Sand. Czytam jednocześnie jeden i drugi. Skoro cynizm i przewrotność Bismarka zbytecznie mnie oburzą, orzeźwiam się sielankowością G. Sanda, a gdy śród czułych pasterek francuskiego romansopisarza zatęsknię do wilków i niedźwiedzi, to przeskakuję kilkanaście kart i powracam do polityki pruskiéj. Tak

przeplatana literatura bardzo mi do smaku przypadła — więc błagam cię pozwól mi swobodnie zostać z moją *Revue* w domu.

Anna.

Dzieciństwa mi prawisz mój Romanie, a nie myśl bynajmniéj, że jesteś oryginalnym. Wszyscy polscy czytelnicy umieją czytać w ten sam co ty sposób i wszyscy Polacy mają zwyczaj mieszać politykę z romansami.

Roman (który już chciał odchodzić).

Ta uwaga zaszczyt ci przynosi, i możnaby dodać, że nasza polska polityka...

Anna.

Oh! tylko nie wchodźmy na pole wad i przywar narodowych, boby to nas za daleko zaprowadziło. Nie odbiegajmy od przedmiotu i zakończmy dyskussyę. Ponieważ okazało się, że nie masz ważnego i istotnego powodu do zostania w domu, więc racz pomyślić o swém ubraniu, na co ci wspaniałomyślnie przeznaczam 20 minut czasu.

Roman (załamując ręce).

O mojém ubraniu! Chcesz żebym się ubierał? ale moja biedna Anno kiedy o ubraniu mowy być dla mnie nie może!

Anna.

Cóż to za nowy wykręt?

Roman.

Posłuchaj i bądź pobłażliwą... Zaczytany w moją Revue, ze zbliżającym się zmrokiem poczułem, że chwila stanowczéj decyzyi nadchodzi, że trzeba albo zdobyć się na bochaterstwo ubrania się we frak i białą krawatę, albo téż mieć odwagę i oznajmić ci, że do pójścia na ten wieczór żadnéj nie mam ochoty. Walka była bolesna ale krótka. Uprzytomniłem sobie w wyobraźni wszystkie przyjemności, jakie mnie na owym festynie czekają: ścisk, gwar, gorąco; ekspozycya biustów kobiecych nie ulanych wedle miary Fidjasza, jałowość rozmów, przenikliwy śpiew Panny Celiny i przewrotna polityka gospodarza domu. Na perspektywę takiej pańszczyzny stałem się jako człowiek upadający pod brzemieniem nieszczęścia, to też upadłem jak długi na kanapę, gdzie właśnie mój Filip rozłożył wszystkie przybory toaletowe zacząwszy od fraka i kapelusza aż do białéj krawaty...

Anna.

Czy nie mógłbyś skrócić twego opowiadania?

Roman.

...Upadek mój musiał być gwałtowny, ruchy z jakiemi się na ową kanapę rrzuciłem musiały być energiczne, może zresztą sam niewiedząc z pewną lubością gniotłem te szaty godowe... dość że kiedym powstał z kanapy aby zapalić świécę, mój frak, moja najpiękniejsza kamizelka zbite w kłębek u nóg mi leżały. — *gibus* przybrał fantastyczne kształty a na dobitkę rzuciłem przez roztargnienie niedopalone cygaro w leżącą na ziemi białą krawatę. (Anna zżyma ramionami i przebiera palcami z niecierpliwości.) Wiem co mi powiesz na to. Powiesz mi, że szkodę naprawić łatwo i że drugą krawatę odnaleźć nie trudno... wszystko to być może... ale co chcesz moja Anno, kiedy ja! w takich drobnych rzeczach przesądny jestem. Wielcy mężowie starożytni, ludzie Plutarcha nie byli wolni jak ci wiadomo, od téj słabości. Ja w tym błahym na pozór fakcie widzę jakoby ostrzeżenie z góry i od godziny słyszę wyraźnie głos, wewnętrzny, który mi mówi: „Nie idź dziś na wieczór do Dziedzickich". Teraz kiedym ci z naiwnością i ufnością dziecięcą wypowiedział wszystko, pozwól mi powrócić do siebie.

Anna.

Mężowie mają różne sposoby robienia swym żonom na przekor— bo nazywam robieniem na przekor ile razy nie czynicie zadość rozsądnym i słusznym wymaganiom naszym. Są między wami tacy, co umieją powiedzieć *nie* i to w pewien sposób odejmujący wszelką do opozycyi ochotę. Ty mój Romanie do téj kategoryi nie należysz. Nie masz odwagi być tyranem, więc jesteś liberalnym, twe despotyczne dążenia osłaniasz kwiatami fantazyi i dowcipu, rzucasz mi w oczy złoty piasek paradoksów, a zachowując pozornie liberalne formy, pozwalasz niekiedy jak *n. p.* w obecnéj chwili na wolną dyskussyę. Lecz ta dyskussya wykryła właśnie całą słabość twych argumentów i wykazała jasno, że mam słuszne i bardzo ważne powody żądać od ciebie byś mi na dzisiejszy wieczór towarzyszył.

Roman.

Czy wolno wiedzieć jakie są te bardzo ważne powody, bo ja dotąd nic o nich nie słyszałem.

Anna.

Wszak ci powiedziałam od razu z całą szczerością, że sobie nie życzę i że nie lubię występować w świat sama. Poprzestań na tym jednym powodzie i nie badaj więcéj, bo są rzeczy które najpotulniejsza żona niechętnie nawet najwyrozumialszemu mężowi powiada...

Roman.

Ale które najwyrozumialszy mąż jeśli ma nieco bystrości sam odgadnąć powinien. Nieprawda?

Anna.

Być może, odgaduj jeśli chcesz. I owszem. Nic nie mam przeciw temu.

Roman.

Kobiety lubią być odgadnięte, ale tylko w pewnych wyjątkowych rzeczach... W innych znowu nie cierpią, by ktoś uchylał zasłony i nie przebaczą nigdy temu co je odgadnie. Zadanie dla zgadującego draźliwe. Pomylić się łatwo, a nuż się pomylę?

Anna.

Więc bez zgadywania, posłuchaj méj rady i idź się ubierać.

Roman.

Wolę zgadywać... Znam kobietę obdarzoną i wszystkiemi przymiotami duszy i całym urokiem niewieścich powabów. Jest ona szanowaną i cenioną w świecie tak jak na to przez swe zalety i cnoty zasługuje. Nie dość na tém, mogłaby ona zbierać obfity plon owych hołdów i sukcesów na jakie najuczciwsze kobiety obojętnemi nie są, albowiem wielbicieli różnego wieku i gatunku krążą około niéj roje, a gdziekolwiek się w towarzystwie ukaże, słychać jakoby przyspieszone serc bicia i szmer westchnień tłumionych. Podobne tryumfy nie zawracają bynajmniéj owéj kobiecie głowy, lecz budzą w niéj jedno gorące choć zaprawdę dziwaczne pragnienie — oto chciałaby ona także mieć męża swego ciągłym i nieodstępnym owych tryumfów świadkiem!

Anna (żywo).

Jesteś nieprzyjemny i bardzo złośliwy, mój Romanie. Krążysz około prawdy, umyślnie jéj nie tykając, aby mnie drażnić i wyśmiać trochę.... A zresztą choćby istotnie tak było jak mówisz, Czyliż owa kobieta (któréj urok i powaby szyderczo przesadzasz) — czyliż owa kobiéta nie miałaby prawa

domagać się przytomności i pomocy męża w pewnych śliskich przejściach, które koniec końców obchodzić tego męża powinny? Czyliż owa kobieta uchodząca jeśli nie za opuszczoną, to za zaniedbaną żonę, ma czekać aż który z owych wzdychających na żarty czy na prawdę, przekroczy granicę przyzwoitości i odważy się wybąknąć coś nakształt wyznania swych uczuć... jak to się już raz prawie że zdarzyło?...

Roman.

A ba!... już się raz zdarzyło! No proszę... Inny mąż na mojém miejscu zapałałby gniewem i żądał od ciebie natychmiast nazwiska owego zuchwalca, — ale ja wystaw sobie nawet po takiem wyznaniu spokojny jestem, niewzruszony i zemstą wcale nie pałam.

Anna.

Ten spokój zaszczyt ci przynosi; lecz jeśli sobie żartować ze mnie myślisz, to lepiéj zakończmy tę rozmowę.

Roman.

Żartować z ciebie moja najdroższa Anno! o nie — na to się nie ważę, ale zaprawdę jakże chcesz abym brał na serio twoje obawy i przypuszczenia? Właściwie nawet nie wiem o co ci chodzi... Czy życzysz sobie abym cię podejrzywał, śledził i szpiegował? Czy pragniesz mnie na śmieszność wystawić?

Anna (nieco rozdrażniona).

Otóż mój Romanie dotykamy drażliwego punktu na którym porozumieć nam się trudno, bo wy mężczyzni pojmujecie i uznajecie tylko takie niebezpieczeństwa gdzie wasz bezpośredni interes, gdzie wasza miłość własna dotknięte lub zadrażnięte być mogą. I doprawdy trzeba być chyba już bardzo płochą i bardzo zalotną, aby czujność waszą i troskliwość obudzić, a dopóki dotykalnie i bijąco w oczy nie zostaniecie... zatrwożeni, to śpicie sobie „snem fabrykanta niemca“ nie troszcząc się o te rzeczy o które my się troszczymy....

Roman (nieśmiało).

Być może że czasem troszczycie się o zbyt wiele!... a czasem znów o zbyt mało!...

Anna.

O zbyt mało! Wiedz mój drogi że życie uczciwéj kobiety ma źródło swe we wnętrzu duszy, że tam ono się skupia, rozwija bez innych świadków prócz Boga: że do tego to we-

wnętrznego świata my kobiety zastosowujemy prawidła uczciwości i honoru, któremi wy mężczyźni kierujecie się w świecie zewnętrznym, w towarzyskich stosunkach, i to o ile wam z tem wygodnie. Ta kobieca wewnętrzna uczciwość, ten honor co jest owéj uczciwości kwiatem i ta delikatność co jest owego kwiatu najsubtelniejszym pyłkiem nie lubią być wystawione na pewne próby i hazardy. Ja przynajmniéj (a nie mam się wcale za wyjątek) potrzebuję tę pogodę wewnętrzną zachować sobie i utrzymać, to też dla tego wołałabym chodzić w świat nie sama ale oparta na twojém ramieniu...

Roman (zrywając się z krzesła).

Co za anielska kazuistyka! co za kryształowe szkrupuły! Ach jak te Polki wszystko subtylizować umieją! o liliom najczystszym i różom najbielszym głowy przed wami uchylić. Życie wewnętrze... pogoda duszy... prawidła honoru! Prześlicznie! cudownie! moja Anno... gdy słyszę z twych ust takie rzeczy to mi się wydaje, że ci błękitne skrzydła wyrastają z ramion i że mi ulecisz w sfery, w które za tobą podążyć nie zdołam. Ależ moja anielska pani, ponieważ żyjemy na ziemi i ponieważ w téj chwili mówiemy o bardzo realnych bo o światowych i towarzyskich stosunkach, więc trzeba rzeczy brać realnie i trzeźwo je sądzić. Znam ja trochę świat i znam na wylot tych wszystkich paniczów, co to niby wzdychają czule i których afekta wy nieraz bierzecie na serio. Więc z ręką na sumieniu mogę Cię zapewnić, że żaden z nich nie jest w stanie zakłócić spokoju *takiéj jak ty kobiecie.* Bywają oni niebezpieczni tylko tam, gdzie łatwe dla siebie przewidują zwycięztwo, bo te wszystkie don Juany i Lowelasy nasze są najczęściéj bardzo nieśmiałe i bardzo leniwe, a skoro ich kobieta sama nie ośmieli, skoro ich swą sztuką niewieścią sama nie pociągnie, to trzymają się oni w ogóle na dalekiéj i przyzwoitéj odległości.

Anna.

Chciałabym wiedzieć do czego to całe rozumowanie prowadzi?

Roman.

Prowadzi ono do bardzo jasnéj i prostéj konkluzyi. Ponieważ moja anielska Anna jest jedną z najszlachetniejszych a zarazem najwykwintniejszych natur jakie znam, ponieważ jéj

umysł tylko ku rzeczom wzniosłym i przeczystym jest zwrócony, ponieważ umie ona dla wszystkich być uprzejmą i uroczą, ale nigdy ani słowem, ani półsłowem, ani intencyą, ani cieniem intencyi nie jest w stanie ośmielić nikogo, więc szczęśliwy mąż takiéj wybranéj i wyjątkowéj istoty, nie tylko może spać spokojnie, ale wolno jest owemu mężowi bez wyrzutu sumienia wieczór dzisiejszy w domu pozostać. Kobieta albowiem tego rozumu i téj moralnéj wartości, co ty moja Anno, potrafi zawsze bez niczyjéj pomocy utrzymać się na wysokościach, do których męty światowe wcale nie dochodzą. Oto jest moja konkluzya, która mam nadzieję obrazić cię nie może a przekonać cię powinna. (zabiera się do odejścia).

Anna.

Nie mogę się pochlubić ani tém doświadczeniem, ani tą przenikliwością jakie ty posiadasz i jakiemi nademną górujesz, lecz zdaje mi się, że rozumowanie twoje jest z gruntu fałszywe, choć wybornie dogadza twojemu egoizmowi i twojemu lenistwu. Wynalazłeś sobie teoryę dającą się może zastósować do kobiet zalotnych i goniących za awanturami, ale o niebezpieczeństwach grożących kobietom przyzwoitym pojęcia nie masz i niebezpieczeństw tych nie rozumiesz. Ja zbijać twoich wywodów nie myślę, powiem ci tylko, że żona przywiązana do męża i uczciwa, właśnie dla tego że uczciwa, może mimo wiedzy i woli obudzić w sercu honorowego człowieka, co z tuzinkowymi don Juanami nic wspólnego niema, uczucie czyste i prawdziwe, uczucie tém głębsze, że bez przyszłości i nadziei. Ach mój bystrooki i przenikliwy Romanie, gdybym tylko chciała, tobym może znalazła bardzo bliski i przekonywający przykład, któryby cię zmusił do zmienienia niektórych twoich przekonań!

Roman (pocierając sobie czoło).

Hm, hm! zdaje mi się, że z pola teoryj ogólnych schodzimy w téj chwili do kwestyi czysto osobistéj. Jeśli się nie mylę, to masz tu na myśli kuzyna twego Stefana, który to Stefan oświadczył się o twą rękę spółcześnie ze mną i dwukrotną odmowę otrzymał. Utrzymują niektórzy, że ma on serce od owego czasu zranione, czemu się bynajmniéj nie dziwię, i że ci wiernym w uczuciach pozostał, co uważam za prawdziwe dla niego nieszczęście. Wiesz dobrze, że ja wielce

szanuję Stefana, naprzód dlatego, że jest on człowiekiem wysokiéj moralnéj wartości, a potem jeśli mam prawdę powiedzieć i dla tego, że moja miłość własna bywa na jego widok przyjemnie głaskaną. Oto — mówię sobie w duszy — takiego człowieka, takiego feniksa miałem za rywala i przecież pierwszeństwo nad nim otrzymałem! To są jedyne uczucia, jakie we we mnie obudza Stefan, a rozumiesz moja Anno, że jeśli nie trwoży mnie taki groźny i niebezpieczny rywal jak on, to bez obawy patrzę na innych drugorzędnych twych wielbicieli jak *np.* na tkliwego i wybladłego Rodryga.

Anna (nieco zmięszana).

A! to raczyłeś zauważyć Rodryga i kogo jeszcze? Bardzo cię proszę!

Roman.

Ja uważam i notuję sobie wszystkich ilu ich tam jest, ale do niebezpieczeństwa dla ciebie, ani do niepokoju dla siebie żadnych powodów nie dostrzegam. I gdyby tobie co jesteś kobietą nie zdolną do małostek przyszła kiedykolwiek ochota zazdrość we mnie obudzić, to cię uprzedzam, że na Otella materyału we mnie nie ma. Ów „smok zielonooki brzydzący się strawą jaką pożera“, ów smok na którego się skarżył czarny Desdemony kochanek, nigdy w piersiach mych nie zamieszka i nigdy, przysięgam ci, ani okazały i rycerski Stefan, ani romantyczny i wymokły Rodryg spokoju mego nie zakłócą, a ten olimpijski spokój i pogoda nie pochodzą bynajmniéj u mnie z dobrego o sobie rozumienia, ale z niesłychanéj, kolosalnéj, nieograniczonéj i niczem niezachwianéj ufności w ciebie.

Anna (sucho).

Ta ufność bez granic bardzo mi pochlebia, ale jak na dziś wołałabym twoje towarzystwo bo sama najpewniéj na ten wieczór nie pójdę.

Roman.

Ale pójdziesz moja jedyna, moja najlepsza Anno, pójdziesz i pozwolisz mi zostać w domu i gniewać się na mnie nie będziesz. Nieprawda? (wyciąga do żony rękę, Anna się od niego odwraca i z gestem nieukontentowania rękę swą chowa. Roman czeka chwilę, jakby się wahał, potem wolno zbliża się ku drzwiom swego pokoju i bierze za kłamkę.) Mam nadzieję, że tryumfy jakie dzisiejszego wieczora odniesiesz, lepiéj cię dla mnie uspo-

sobią. Będę oczekiwał na twój powrót z niecierpliwością, a jeśli cię znajdę jeszcze na siebie rozżaloną, to u nóg twoich przebaczenie wybłagam. (odchodzi.)

Anna (sama).

Odszedł do siebie i postawił na swojem. O to mu też tylko chodziło.... Ach któżby był pomyślał, że ten poetyczny, rozkochany, do średniowiecznego Paladyna podobny Roman, po trzech latach pożycia stanie się do takiego stopnia mężem, ale to mężem w najpospolitszém tego słowa znaczeniu.... upartym, ociężałym i tak bardzo pewnym siebie. W téj pewności jego, w tym spokoju uśmiechniętym i zadowolnionym z siebie, które on ufnością bez granic nazywa, jest coś co mnie w niepojęty sposób drażni... Ach, mówiąc szczerze jeszcze bardziéj podobno mnie drażni ta obojętność i lekceważenie z jakiemi traktuje on tak zwane sukcessa moje i tryumfy. Ale bo też popełniłam podobno prawdziwy błąd polityczny dotykając tego przedmiotu i mam teraz takie uczucie jakby mnie upokorzenie spotkało. Inna żona na mojém miejscu pomyślała by o jakim małym i niewinnym odwecie, ale ja... ja o niczem podobném myślić nie mogę... ja mam w obec mojego męża i pana serce zbyt miękkie, duszę zbyt niewolniczą... ja już w téj chwili o to martwię się i żałuję, żem mu nieco złego humoru pokazała. Cóż robić, trzeba z dobrą fantazyą znieść tę drobną przykrość.... obiecywałam sobie dzisiejszy wieczór spędzić przyjemnie, a spędzę go samotnie, nudno i z jakiemś niezadowolnieniem w duszy. (odchodzi do siebie).

(Roman wychodzi ze swego pokoju.)

Roman (sam).

Nie — Nie mogę spokojnie czytać — dotąd nie słyszałem odjeżdżającego powozu. Anna gotowa zostać w domu.. a do tego gniewa się podobno. Ale bo też wyprowadziła mnie na takie pole, gdzie mąż musi, albo z powagi swéj coś uronić, albo mimowolnie żonę sobie narazić. O zaprawdę te nasze Polki są jedyne w swoim rodzaju. Najlepsze i najrozumniejsze z nich chcą godzić i łączyć to, co się godzić i łączyć nie daje. Pragnęłyby przesuwać się przez najżywszy płomień światowych pokus nie osmalając sobie seraficznych skrzydeł i zachowując całą nietykalność swéj cnoty: mają duszę roztopioną w Bogu, ale z oczyma wlepionemi w niebo, lubią łykać dym ziemskich

kadzideł i rade choć zdaleka napawać się wonią zakazanego owocu — a co najciekawsze, że do pełnego kosztowania tych wszystkich rozrywek duchowych i mniéj duchowych potrzebują koniecznie uwielbienia, aprobacyi i ciągłéj obecności męża! bo mężów swych kochają, tę sprawiedliwość trzeba im oddać.... (słucha pod drzwiami żony) nie.. nie odjechała, widać że na dobre zostaje w domu. To zmienia położenie rzeczy i psuje cały mój program.... Co za szkoda! Usadowić się na cały wieczór przy domowem ognisku doskonałe paląc cygaro i z zajmującą książką w ręku doczekać się w błogim spokoju powrotu najwierniejszéj żony jest samolubną może, lecz niewinną a mnie tak rzadko trafiającą się rozkoszą! O takim to Edenie marzyłem na dzisiaj i marzenie moje prysło jak bańka mydlana! Zamiast owéj rozkosznéj siesty czeka mnie tutaj w tym salonie wieczór, który mi nic przyjemnego nie wróży. Anna zadraśnięta nieco w swéj miłości własnéj przybierze przynajmniéj na pół godziny lodowatą postać. Herbata domowa będzie wodnista i rozmowa przy niéj także. Pojednanie w końcu nastąpi, ale cóż z tego, kiedy marzony przezemnie Eden rozwiał się w nic i wrócić doń niepodobna. W obecnem położeniu rzeczy i wybierając z dwojga złego, kto wie czy nie lepiéj zdobyć się na poświęcenie i towarzyszyć żonie na ów nieszczęsny wieczór. (patrzy na zegarek) Jeszcze wcale nie późno. W kwadrans będę ubrany i podam zdziwionéj Annie moje ramie przybrawszy twarz szczęściem promienną. Takim sposobem uniknę chłodnego i ambarasującego sam na sam a zarazem będę miał w jéj oczach zasługę. Tak... to jest jedyna droga jaka mi zostaje. Pożegnajmy egoistyczne szczęście przy domowym kominku i chodźmy się ubierać (wychodzi).

(Po wyjściu Romana staje we drzwiach służący a nie widząc w salonie nikogo idzie do pokoju Anny i stuka.)

Służący.

Pan Hrabia Rodryg się pyta czy pani przyjmuje?

Anna (stojąc we drzwiach swego pokoju).

Powiedziałeś naturalnie, że mnie nie ma w domu.

Służący.

Nie — bom nie wiedział jak mam mówić i powiedziałem, że pani jest u siebie.

Anna.

To w takim razie prosić (wchodzi do salonu i siada na kanapie).

Anna, Rodryg.

(Rodryg z kapeluszem pod pachą i z wielkim bukietem w ręku. Widać człowieka zmieszanego i nieśmiałego, który sili się na pewność siebie i na sztuczną odwagą).

Rodryg (kłaniając się).

C'est moi Comtesse... to ja..... śmiem się pojawić... przepraszam.

Anna.

To bardzo grzecznie i łaskawie ze strony pana. Proszę siadać. Ach co za przepyszny bukiet!

Rodryg (wręczając bukiet).

Czy Pani przyjąć go zechce?

(Anna bukiet odbiera i ukłonem głowy zań dziękuje).

Rodryg.

Zapewne Pani przypomnieć sobie raczy zakład jaki do niéj wczoraj przegrałem. Aby się uiścić z przegranéj miałem do wyboru, albo cukierki, albo kwiaty. Wahałam się chwilę, ale przypomniawszy sobie dzisiejszy wieczór pomyślałem, że jeśli Pani przyjmiesz te biedne kwiaty.... jeśli je podczas tego wieczoru w ręku twem ujrzę to będzie dla mnie... ach!....

Anna (przerywając).

Lubię bardzo cukierki, ale za kwiatami przepadam, a ile razy te słodkie lub woniejące trofea zbierać mi się zdarzy, to mam na myśli angielskiego poetę, który utrzymuje, że w hierarchii społecznéj my kobiety zajmujemy miejsce właśnie między cukierkami a kwiatami. Jesteśmy prawie tak słodkie jak cukierki, a nie ledwie tak powabne jak kwiaty. Ta definicya zresztą nie wydaje mi się bardziéj upokarzającą od tylu innych jakie na nas wymyślono.

Rodryg.

Ach Pani ja na taką definicyę nigdybym nie przystał. Mnie wydaje się ona prostem bluźnierstwem i oburza mnie w najgłębszych tajnikach duszy.

Anna.

O! bo Pan musisz mieć lepsze o kobietach pojęcie, to zaraz widać.... Czy dawno jak Pan widziałeś Panią Kasztelanową?

Rodryg (jak gdyby ostatniego pytania nie słyszał).

To jest ja w ogóle o kobietach żadnego nie mam pojęcia, bo dla mnie, śmiem powiedzieć, jedna tylko w świecie istnieje kobieta, a ta kobieta w hierarchii istot tak wysoko jest umieszczona, że zaledwie się ważę wznieść do niéj biedną myśl moją.... (Anna, która trzymała bukiet w ręku kładzie go obok siebie) ....a jednak ta myśl wciąż za nią goni, oderwać się nie da... czuję, że jestem jéj sługą, jéj rzeczą, jéj niewolnikiem na wieczność całą...

Anna (do siebie).

Hm, hm,.. Rodrigue à du coeur.

Rodryg (zapalając się coraz bardziéj).

Życie bym wolał stracić jak ją obrazić, ale daremno ze sobą walczę. Jest jakaś siła tajemna co mnie popycha do nóg téj kobiety i głos się z piersi wyrywa błagalny.... O! Pani pozwól mi ubóstwiać ciebie.

Anna (która podczas ostatnich słów powstała z siedzenia).

Wygrany wczoraj zakład pozwolił mi ze spokojnem sumieniem przyjąć pański bukiet. Pan chcesz do tego już i tak wspaniałego bukietu, dodać coś, co się podobno w języku romansowym deklaracyą zowie... Uprzedzam Pana, że przyjąć ten zbytkowy dodatek bynajmniéj się nie czuję obowiązaną...

Rodryg.

Ach Pani przysięgam, że nie chciałem wystąpić z tych granic w jakich najgłębsza cześć jaką mam dla Pani trzymać mnie zawsze będzie. Jeźli miałem nieszczęście obrazić lub rozgniewać.....

Anna.

Nie umiem powiedzieć czyś mnie Pan obraził, nie zdaje mi się przecież byś mnie Pan rozgniewał. Dla zakończenia całéj sprawy powiem panu rzecz jedną. Oto przed kilku chwilami człowiek dla którego mam najgłębsze przywiązanie i najwyższy szacunek — mogę go Panu wymienić bo to mój mąż, otóż przed chwilą mój mąż utrzymywał mi, że tylko kobietom zalotnym i płochym trafia się posłyszeć to, czegom ja o mało

że nie posłyszała. Twierdził on daléj, że kobieta przyzwoita ma coś w obejściu i zachowaniu się całem takiego, co uniepodabnia pewne ze strony panów manifestacye. Więc teraz nie wiem co mam pomyśleć sobie. Uważam się za kobietę przyzwoitą a nawet dość uczciwą.... byłam dla pana zawsze przyjazną, to prawda, ale nigdy ośmielającą...

Rodryg (wzdychając z głębi piersi).

O Pani!...

Anna.

...I o to Pan który przecież za honorowego i przyzwoitego człowieka uchodzisz, popełniłeś przedemną ni stąd ni zowąd dość wyraźną i wcale ognistą deklaracyę.

Rodryg.

Ach Pani zlituj się nademną straciłem zupełnie głowę, nie byłem panem siebie...

Anna.

To małe chociaż nie zupełnie niewinne... przedstawienie jakie pan zaimprowizowałeś tutaj, daje mi gotowy argument przeciw mojemu mężowi i nie wiem czy wytrzymam, aby mu nie opowiedzieć całego wydarzenia... ma się rozumieć bezimiennie.

Rodryg (zrywa się jakby chciał odchodzić).

Pani jesteś bez litości i zabijasz mnie tym tonem szyderstwa i pogardy.

Anna.

Na dowód że z Pana nie szydzę, nie gardzę i że owszem chcę z panem zachować przyjazne i towarzyskie jak dawniéj stosunki, pozwolę sobie dać Panu małe zlecenie. Pojedziesz Pan zaraz na wieczór do Dziedzickich — znajdziesz pan tam Ciocię Kasztelanowę, która na mnie czeka, powiesz jéj, żeś był u nas, że ja już byłam na wieczór wybraną, ale że mąż mój nie zupełnie dobrze się czuje, a choć niema najmniejszego powodu do niepokoju, ja w takich razach wolę przy nim pozostać. Powiesz Pan to wszystko Kasztelanowéj z prośbą, aby mnie przed gospodynią domu wytłumaczyła. Nie prawda, że pan to dla mnie uczynisz? (Rodryg się kłania). Ale mój dobry Panie Rodrygu, nie popadanij Pan w recydywę, bo na recydywę byłabym bez litości i musiałabym się pognieważ na dobre. Zastanów się pan nieco. Spotykamy się najmniéj pięć razy

na tydzień w towarzystwie — znamy się od lat tylu.... pomyśl Pan tylko jakby to było śmiesznie i nieprzyjemnie gdybyśmy się dąsać na siebie mieli....

Rodryg.

Pani jesteś aniołem (klęka) pozwól mi na klęczkach błagać o twe przebaczenie, pozwól mi u nóg twoich....

Anna (żywo).

O zlituj się Pan... proszę wstać zaraz, nie mogę znieść widoku klęczącego mężczyzny....

(Podczas ostatnich słów Rodryga wychodzi ze swego pokoju Roman całkiem zajęty zawiązywaniem krawaty).

Roman.

Otóż i tym razem węzeł się wcale nie udał trzeba jeszcze raz próbować. (Staje przed zwierciadłem wiszącem tuż obok drzwi z których wyszedł i widzi w lustrze klęczącego na ziemi Rodryga, który na gest Anny zrywa się i wychodzi).

Roman, Anna.

(Roman przybiega szybko do żony chwyta ją silnie za rękę i puszcza, potem biegnie ku drzwiom jakby za Rodrygiem i od progu wraca).

Roman.

Mam nadzieję, że mi dasz wytłumaczenie...

Anna.

Wytłumaczenie czego?

Roman (tłumiąc wybuch najgwałtowniejszego gniewu.

Co znaczyła scena jaką tu w téj chwili widziałem (chwyta żonę za rękę i silnie nią wstrząsa) Co robił tu klęczący Rodryg?

Anna.

Mój Romanie przed chwilą prawiłeś mi wiele o kolosalnéj, nieograniczonéj ufności we mnie — przed chwilą, zaklinałeś się, że nic nie zdoła zakłócić tego spokoju z jakim się na tak zwanych wielbicieli moich zapatrujesz, a teraz mówisz do mnie tonem i używasz gestów (wyrywa mu rękę), które ani ufności bez granic, ani spokoju, ani delikatności nie dowodzą.

Roman (z wzrastającym gniewem).

O! nie żartuj i nie doprowadzaj mnie do ostateczności... czy chcesz żebym się ludzi zapytał (idzie ku drzwiom)?

Anna (wstrzymuje go spojrzeniem i gestem).

A nie, tego nie zrobisz, ale zapanujesz nad sobą chwilę i wysłuchasz mnie.... wszak ja tak cierpliwie słuchałam nie dawno twoich historyjek....

Roman.

Nie zagaduj mnie próżnemi słowy... słuchać cię będę skoro mi powiesz co tu robił Rodryg....

Anna (stanowczo patrząc mężowi w oczy).

Ale ja proszę i żądam, abyś mnie pięć minut posłuchał, potem zrobisz ze mną co zechcesz. Racz przypomnieć sobie, że w dzisiejszéj rozmowie naszéj, otworzyłam Ci całą moją duszę, że Ci napomknęłam, choć mnie to kosztowało trochę, o pewnych obawach moich być może przesadzonych, ale zasługujących byś je wziął pod uwagę. Ty zbyłeś to wszystko pół żartem traktując mnie jak dziecko, albo jak laleczkę drewnianą. To też po twojem odejściu miałam serce na wskróś żalem ściśnięte, zdawało mi się bowiem, że mnie już wcale nie kochasz. (Roman podczas słów Anny daje oznaki wielkiéj niecierpliwości i wewnętrznego wzburzenia). Słyszałam nieraz że jest jakiś duch dobry opiekujący się specyalnie pokrzywdzonemi żonami. Otóż w ucisku moim wezwałem owego ducha na pomoc i rzekłam doń: „Miłosierny i usłużny duchu spraw twoją sztuką czarno-księzką, aby jeden z tych panów których mój mąż tak lekceważy, ukazał się tu nagle w moim salonie, wybierz któregokolwiek z nich, wszystko mi jedno — i rzuć postać jego do mych nóg — niechaj mąż mój tę złudną postać zobaczy, aby przynajmniéj na jedną chwilę jego pycha, jego zarozumiała pewność skruszonemi zostały". Duch mej prośby wysłuchał i wybrał nie wiem czemu Rodryga.

Roman.

Na Boga daj pokój niewczesnym żartom, bo nie znasz mnie i nie czujesz jakie piekło mam w duszy (pada gwałtownie na kanapę i siada na zostawionym tam bukiecie który porywa do ręki). A to co? skąd tu ten bukiet?

Anna.

Zapomniałam ci powiedzieć, że prosiłam mojego ducha, aby ów klęczący cień pojawił się przedemną z bukietem w ręku.

Roman (rzucając bukiet na ziemię).

Po raz ostatni mówię Ci, nie igraj ze mną, bo sam nie wiem co się ze mną dzieje, ale mam szaloną ochotę tak jak te kwiaty rzucić Cię pod nogi i deptać (depce bukiet w najgwałtowniejszym gniewie).

Anna (chyląc się prawie mężowi do kolan).

Ach jakiś ty piękny w téj chwili mój Romanie.... takim Cię widzieć pragnęłam choćby na jedną sekundę. (klaszcze w dłonie z dziecinną radością). Więc kochasz mnie jeszcze mocno, gwałtownie, namiętnie jak dawniéj? więc stoisz jeszcze o mnie? A teraz dość żartu mój jedyny, najlepszy mężu przebacz, udobruchaj się i posłuchaj całéj prawdy. Rodryg z powodu dzisiejszego balu przyniósł tu bukiet za przegrany do mnie zakład. Zakład ten wczoraj przy tobie był zawarty i wiem, że o tém doskonale pamiętasz bo sam się zakładać chciałeś. Potém ów Rodryg bez żadnego powodu zaczął do mnie gruchać nieco.... romansowie. Ja nabrałam go z góry, może za bardzo. Zmieszany a jak wiesz lubiący dramatyczne sytuacye ukląkł przedemną by mnie przepraszać. Pod tę chwilę ty nadszedłeś... Oto jest wszystko, cała najprawdziwsza prawda, a teraz podaj mi ręce i patrz mi w oczy tak zbliska i śmiej powiedzieć, że Cię nie kocham i śmiej powiedzieć, że nie wierzysz moim słowom, mojemu przywiązaniu bez granic... (Roman, który miał cały czas głowę w dłoniach ukrytą, podczas ostatnich słów Anny podnosi oczy na żonę, podaje jéj ręce z rozrzewnieniem i znać że to co słyszał uspokoiło go zupełnie).

Roman.

Przywiązanie bez granic istnieje może... i w téj chwili pragnę, potrzebuję w nie wierzyć, ale ufność bez granic jest czczym i niedorzecznym frazesem, którego już nigdy z ust moich nie usłyszysz.

Anna.

O mój najmilszy, jedyny Romanie, mówiąc między nami to mnie o tę ufność nigdy zbytecznie nie chodziło i wolę już od biedy byś mnie kochał bez ufności, niż żebyś mi ufał nie kochając.

Roman (całuje żonę w rękę i wstaje).

Ha! oddycham nareszcie... Bogu dzięki, że ta piekielna zmora przestała mnie dławić!... a teraz powiedz mi jakże bę-

dzie z dzisiejszym balem?— ja jestem gotów jak widzisz, ale zwracam twoją uwagę, że mój frak zgnieciony nieco a węzeł od krawaty wcale się nie udał.

Anna.

O! jeżli węzeł się nie udał, to lepiej zostańmy w domu.

KONIEC.

Leon Kapliński.

PIELGRZYMKA
OTTONA III
do Gniezna 1000 r.

Prelekcya na dochód Tow. wzaj. pomocy uczniów Uniw. Jagiell.

W odległe czasy mam dzisiaj zamiar przenieść słuchaczów moich. Ośm wieków wstecz mam zwrócić umysły nasze, wprowadzić w świat i pomiędzy ludzi, dalekich od nas różnicą wyobrażeń, obyczajów, warunków cywilizacyi. Ale człowiek zawsze jeden i świat zawsze jeden; zmienia on tylko szatę, zmienia treść wewnętrzną pochodzącą z wrażeń go otaczających: dla tego zrozumiałym nam będzie, jeźli tę szatę i treść wewnętrzną poznamy, jeżeli zechcemy żywo się przenieść w czasy i okoliczności ówczesne.

Jesteśmy w roku pańskim tysiącznym, pod najwyższą duchowną władzą papieża Sylwestra II. Mapa Europy inaczéj trochę wygląda jak dzisiaj. Najpierwszém mocarstwem świata chrześciańskiego jest rzymsko-niemieckie państwo, powstałe z dwóch działów dawnéj monarchii Karola Wielkiego, świeżo posunięte aż do południowych kończyn Italii, na wschód zaś przekraczające granice Laby pogranicznemi markami, aby podbić, shołdować lub wytępić żywioł słowiański. Nad mnogimi a potężnymi lennymi książęty, zawładnął tam od 920 r. dom książąt saskich, który dawszy się we znaki szczególniéj Słowianom, obalił samodzielne Królestwo Italii (Berengara) i podjął myśl odnowienia zachodniego rzymskiego Cesarstwa, przeprowadzenia teokracyi cesarskiéj nad światem. Myśl ta jednakże, po pamiętnym fakcie koronacyi Karola Wielkiego przez papieża Leona pozostała,

skrzywioną została przez Ottonów saskich, przez naruszenie wolności wyboru głowy kościoła, któréj władza cesarska miała być świeckiém ramieniem. Wpłynął na to duch niemiecki autonomii kościoła uszanować nieskłonny, wpłynął przykład Cesarstwa bizantyńskiego, od dziewiątego wieku, od czasów patryarchy Focyusza zapadłego w szyzmę. Otton II ożenił się z Teofanią, księżniczką grecką, a syn ich Otton III panuje obecnie rzymsko-niemieckiemu światu, dziewiętnastoletni, wychowany pod wpływem idei wschodnio-rzymskich, które mu wpajała matka, światowładczych tradycyj swego rodu i wyobrażeń polityczno-religijnych, które czerpał z nauk św. Wojciecha i obecnego papieża Sylwestra.

Obok Cesarstwa rzymsko-niemieckiego, Cesarstwo wschodnie stoi w pozornym blasku, pokrywającym wewnętrzny rozstrój i przykre położenie zewnętrzne. Z północy cisną je Bulgary i normańskie państwo Rusów Włodzimierza Wielkiego, z południa państwa islamskie Hamadanidów, Buidów, Zeiridów. Potęga Islamu nawiedziła Sycylię i Sardynię, a Kalifat Kordowy jest panem całego półwyspu pirenejskiego z wyjątkiem walecznych Królestw Kastylii i Leonu. Francya niedawno, po wymarciu Karolowingów, weszła w nową fazę życia pod Kapetyngami. Północne brzegi morza roją się od rycerskich drużyn normańskich, które za lat kilkadziesiąt owładną królestwem anglosaxońskiém. Polska od kilkudziesięciu lat zaledwie weszła na widownię historyczną.

Pomimo, że już sześć prawie wieków minęło od wędrówek ludów, świat ówczesny dziwnie ma dziką fizyonomię. Na każdéj karcie jego dziejów spotkasz wybryki surowéj natury młodych narodów, którym Opatrzność kazała osiąść na gruzach dawnéj cywilizacyi pogańskiego świata. Krewkość przyrodzona pędzi ludzi do wojny i okrucieństw, do gwałtów i rozboju, do nieustannéj walki o władzę i znaczenie, do targania węzłów rodziny i pokrewieństwa. Zdaje się, jakoby sam kościół, z tego dzikiego świata sług swoich dobierający, nie mógł już podołać zadaniu zwalczenia téj do złego skłonnéj, twardéj natury ludzkiéj, bo oto i on sam upadać się zdaje pod ciężarem złego, pod zepsuciem obyczajów i dzikością świata. Wszakże wiek dziewiąty widział świeżo przykład sponiewierania tyary przez Jana XII, widział ograniczenie wyboru papieża mieszaniem się władzy świeckiéj cesarza

Ottona I. Zdaje się, mówię, jakby ulegał już w téj pracy przetworzenia świata prawdą moralną którą przynosił i krzewił.

Ale nie! nie uległ on i owszem, w porównaniu z poprzednimi wiekami widać ogromny postęp jego działania, widać zbliżającą się chwilę, gdzie pod pastorałem wielkiego Hildebranda, Grzegorza VII, przedsięweźmie wewnętrzną reformę, odrodzi się i jako najwyższa potęga nad chrześciaństwem zawładnie. Objawy jego działania jak nić złota snują się przez ciemny wątek dziejów ówczesnych, są to miejsca wypoczynku dla strudzonéj duszy badacza. Owdzie opactwa benedyktyńskie, jak Cluny garnące w swoje mury naukę i uczonych, między którymi Eudes Benedyktyn wojującemu światu podsuwa myśl owych zawieszeń broni zwanych *„treuga Dei"*, wprowadzonych późniéj z pożytkiem cywilizacyi — opactwa, które wedle pięknego wyrażenia protestanta Leona „wyniańczyły nasiona przyszłéj reformy kościoła i cywilizacyi" — wszędzie, gdzie świątynia pańska — szkoła, otwarta możnym i prostaczkom — tu i ówdzie mąż boży idący nawracać dzikie ludy wzbudza podziw — na puszczy przybytek anachorety, działającego przykładem na lud zdziczały — u tronów kapłani jako kanclerze i pisarze, rozbudzający cześć i poszanowanie dla nauki, która w ich wyłączném była prawie posiadaniu. W blizkiém też, bezpośredniém sąsiedztwie z ową surowizną obyczajów, ową krewkością rycerską — spotykamy dziecinne przywiązanie i poszanowanie kościoła a zabobonną cześć dla nauki, garnięcie się do niéj, wysokie o niéj wyobrażenie, dziwne uszanowanie dla ludzi będących w jéj posiadaniu. Otto I na starość uczy się po łacinie, dla synów garnie zewsząd nauczycieli, brat jego uczony Bruno, arcybiskup koloński, jest właściwą duszą jego rządów. Największą chwałą rodu Ottonów było, że prawnuk Ottona Igo Bruno jako Grzegorz V zasiadł na tronie papiezkim. Kobiety, których dzieje odkrywają nam zawsze najistotniejszy charakter wieku, wyprzedzają barbarzyńskich mężów w pobożności i zamiłowaniu nauki. Matylda, żona Henryka Ptasznika, Edyta, kochanka Ottona, Adelaida żona jego i Teofano jego synowa słynęły jako uczone i pobożne niewiasty. Władzcy świeccy, o ile czasem gwałtowną ręką posiągają się na sług kościoła, o tyle czują, że bez pomocy téj cywilizacyi którą daje, bez pomocy władzy duchownéj, którą wyższy cel kieruje, nie potrafią dać sobie rady z namiętnościami najbliższych siebie feudalnych

duków i książąt, przerastających im głowę, gotowych każdéj chwili rzucić się na nich dla odebrania im téj władzy. Pogańskie lub świeżo nawrócone społeczeństwa widzą w kościele główną rękojmię samodzielności własnéj, wolności narodowéj, bo krzyż przyjęty zażegnywa miecz zaborców, idących w imię krzyża, zapewnia opiekę innéj duchownéj, moralnéj władzy. Słowem dzikość pierwotna wiąże się już z uznaniem, pragnieniem gorącém czegoś lepszego, wyższego, a tém wyższém jest Chrześciaństwo. Świat ów półbarbarzyński ma sumienie chrześciańskie — dopuszcza się tysiąca zbrodni — ale zaraz w chwili ochłonięcia przeraża się niemi, mocarz chyli kark i odprawia publiczną pokutę, a widok złego, tém czarniejszego, że ideał Chrześciaństwa stoi przed nim jasny jak przed dziecięciem — pobudza go do uczucia strachu przed karą Bożą, dochodzącego do takich rozmiarów, że w całym świecie ówczesnym spodziewano się z r. 1000 ery, końca świata, zniszczenia ziemi i sądu ostatecznego. Ztąd obok rozpasania pobożność, ztąd liczniejsze niż kiedy pielgrzymki do miejsc świętych, do św. Jakóba z Kompostelli, Marcina w Tours, do Jerozolimy, ztąd owa niezmierna cześć dla ludzi, którzy odbijając od grzesznéj reszty, czystością życia, namaszczeniem duchowém, po śmierci policzeni w poczet świętych, modlitwami swemi mogli przejednywać mściwą rękę sprawiedliwości Bożéj.

Po tym wstępie, który nam w właściwém świetle wypadek, o którym mówić mamy wystawi, pójdźmy do wiecznego miasta, do Rzymu, w odwiedziny historyczne, gdzie znajdziemy pierwszy zawiązek naszego wypadku.

Bawi tam właśnie (pod koniec 999 r.) otoczony książętami i komesami swymi młody, zaledwie 19letni cesarz Otto III. Nazwano go cudem świata (*mirabilia mundi*) i w istocie był to młodzieniec dziwnéj natury. Po dziadku i pradziadku odziedziczył gwałtowne usposobienie książąt saskich, tak utłumiając bunt Krescencyusza przed kilku laty kazał wieszać jego wspólników za nogi, a antypapę Jana XVIgo wydał publicznie na pośmiewisko Rzymu. Matka Teofania natchnęła go dumą cywilizacyi rzymskiéj, marzył o przywróceniu starego rzymskiego państwa i kazał sobie otwierać grób Karola W., aby przypatrzyć się siedzącemu na cesarskim krześle nieboszczykowi, który go pierwszy urzeczywistnił. Gdy jeden z najgłośniejszych uczonych i znawców rzymskiéj starożytności tego czasu Francuz Gerbert, ubogich

dziecię rodziców, opuścić musiał biskupstwo w Rheims, Otton III wzywa go do siebie pokornym listem: „Wytępiaj we mnie chłopską naturę saską, znajdziesz we mnie krew starożytną. Niech umiejętności twéj płomień podziała na mnie, a duch starożytny we mnie się odezwie.“ Jakoż Gerbert zostaje doradzcą Ottona III, arcybiskupstwo otrzymuje w Rawennie, a teraz ów Gerbert jest papieżem, jako Sylwester II.

To jedna strona Ottona. Druga to głęboka pobożność, wszczepiona mu nauką i przykładem drugiego, dawniejszego nauczyciela, św. Wojciecha z Domu Sławników, Czecha rodem, późniéj biskupa praskiego. Przed trzema laty zginął ten nauczyciel i doradzca duszy śmiercią męczeńską, w krainie pogańskich Prusów. Wypadek ten głośnym się stał po całym ówczesnym świecie, a rozsławiła się z nim historya ostatnich lat biskupa. Wracającego z Rzymu nie przyjął Bolesław król czeski na dyecezyę, znalazł on gościnne przyjęcie u księcia Polan Bolesława‘ późniéj Chrobrym zwanego; ten wyprawił go na apostołkę, wykupił jego ciało od pogan, pochował je w trzemeszneńskim a następnie gnieźnieńskim kościele.

W obie te struny duszy Ottona wybornie umie uderzyć papież Sylwester II, a uderzyć w myśl zarówno wzniosłą jak dla kościoła zbawienną. Któż lepiéj od niego, największego podówczas znawcy rzymskiego świata i jego literatury, w miejscu gdzie każda piędź ziemi mówiła o wielkości Cezarów rzymskich, mógł natchnąć młodego Ottona gorącą żądzą powrotu do tych czasów tak świetnie odbijających od niemieckiego barbarzyństwa? Któż lepiéj od niego, głowy kościoła i następcy Apostołów, mógł zapanować nad umysłem pobożnym i skłonić go do expiacyi win ojców i własnych? Jakoż nigdy zwycięztwo wyższości umysłowéj i broni duchowéj nie było łatwiejszém i zupełniejszém jak to, które obecnie syn wieśniaczy w tyarze odnosił nad najpotężniejszego narodu władzcą, młodym Ottonem.

Przypatrzmy się znanym szczegółom pobytu młodego Ottona w Rzymie. Oto słyszymy jak z margrabią toskańskim Hugonem i z papieżem Sylwestrem naradza się nad „przywróceniem *imperium* rzymskiego“. I znowu z biskupem wormackim Frankonem trawi czternaście dni w kaplicy św. Klemensa, boso, w worze płócianym. Hojność jego uposaża kościół w Vercelli, gdzie się odbywały owe narady nad przywróceniem imperium.

Z dalekiego Hamaburga (Hamburga) wracają za rozkazem Ottona zwłoki papieża Benedykta Vgo, który tam z woli jego dziada (Ottona Igo) umarł na wygnaniu. Jest to zadosyćuczynienie za gwałt na kościele popełniony. Przed synodem rzymskim ma stanąć jako oskarżony jeden z najdumniejszych dostojników kościoła niemieckiego, Gisilher, arcybiskup magdeburski, za nieprawne połączenie infuły swojéj z merzeburską. Rzym ma odtąd być najwyższą świecką, jak jest duchowną stolicą, co więcéj: prawo rzymskiego obywatelstwa ma być owym najwyższym celem, o który się Niemcy, wasale Ottona III ubiegać winni, aby otworzyć sobie drogę do dostojeństw przeobrażonego państwa. Tak ów pobyt w Rzymie plecie się w dziwaczną na pierwszy rzut oka tkankę, złożoną z szaty pokutniczéj i purpury Cezarów — zrozumiałą zaś wtedy dopiero, jeżeli po za nią dostrzeże się myśl Sylwestra.

Stolica w Rzymie, to stałe panowanie wyższości chrześciańskiéj nad barbarzyńskim młodych ludów obyczajem. Formy rzymskiego państwa: to zastąpienie podbójczéj i wytępiającéj polityki niemieckiéj polityką szerszą, pozwalającą się ostać indywidualnościom innych państw narodowych. Przy wprowadzeniu tych form miał cesarz w książętach, nad którymi dotąd jak pan feodalny panować się starał, w polskim Bolesławie, w węgierskim Stefanie, zyskać sprzymierzeńców *„populi romani"*. Co zaś dla kościoła najważniejsza, kraje tych władzców, niebędące już w dawnym z Niemcami poniewolnym związku, miały otrzymać indywidualność kościelną, oddzielne metropolie, wprost od Rzymu zależne i z Rzymem się znoszące. Nie miała Polska należeć do arcybiskupstwa magdeburskiego, Węgry do dalekiego ratysbońskiego.

Jakby w porozumieniu z tą główną myślą Sylwestra, myślą tém większą, iż wychodziła z przekonania o zgubnych skutkach niemieckiego nawracania mieczem i krzyżem, o potrzebie wolności i opieki dla młodych winnic pańskich, śle Stefan węgierski opata Astryka do Rzymu, a Długosz przechowuje nam wskazówkę, że i polscy posłowie „po duchownych" jeździli podówczas do stolicy apostolskiéj. Można twierdzić prawie z pewnością, że sprawa kościoła polskiego szła przed węgierską w naradach ówczesnych między Sylwestrem i Ottonem, że posłowie Chrobrego, najprawdopodobniéj św. Gaudenty, brat św. Wojciecha,

w Rzymie podówczas obecnymi być musieli. Kanonizacya św. męczennika, nauczyciela Ottona a przyjaciela papieża, wtedy przyszła do skutku, co wymagać musiało świadków jego chwil ostatnich, a Bolesław Chrobry musiał być na czas uprzedzonym o odwiedzinach cesarza w Gnieźnie, u grobu ś. Wojciecha, skoro się mógł tak świetnie na nie przygotować i cesarza na granicy państw swoich w celu przyjęcia go i towarzyszenia mu w drodze oczekiwać. W Annałach Benedyktyńskich cytuje Mabillon dokument z 2 grudnia 999 r., na którym Gaudenty podpisanym jest jako świadek z tytułem: „Arcybiskup pod wezwaniem świętego Wojciecha męczennika", dokument, który świadczy, że Gaudenty otrzymał konsekracyę w Rzymie, że w Rzymie już z końcem r. 999 sprawa metropolii polskiéj, bez oznaczenia jéj siedziby załatwioną została.

Świeża pamięć św. Wojciecha, stósunek w jakim do cesarza i papieża zostawał, duch pokutniczéj pobożności i chęć wyprawy w celu rozpoczęcia w praktyce nowéj rzymskiéj polityki, potrzeba zyskania potężnego sprzymierzeńca, który nawet w razie oporu Niemców mógł wielkie oddać usługi; wszystko to razem złożyło się na myśl pielgrzymki Ottona IIIgo, myśl powstałą najprawdopodobniéj w genialnéj głowie papieża, któréj tém chętniéj chwycił się Otton III, że zaspakajała tyle jego marzeń i uczuć. Pomodlić się u grobu nauczyciela, a dojść tam gdzie nie sięgła stopa żadnego z Cezarów, roztoczyć blask imperatorskiéj wielkości i pokazać wszem wobec skruchę chrześcianina, stwarzać królów i metropolie, a być królem nad królami — ile tu zadosyćuczynienia dla młodéj, gorącéj, dumnéj duszy Ottona!

Patrzmy jak występuje zewnętrznie wśród onéj pielgrzymki przez Włochy i Niemcy do dalekiéj Polski. Sam nazywa się teraz: *Caesar Otto Augustus*, konsulem rzymskiego senatu i ludu. Otoczenie jego jest senatem, jego wojsko składa się z legionów. Niemcy otaczający go muszą się silić aby mówić po grecku i po łacinie. Cesarz ubiera się w koszulę z najcieńszego byssysu, chlamydę i tunikę, kładzie pas z 72 ogniw z napisem: *Roma caput mundi, regit orbis frena rotundi*, na klamrze obraz świata. Na tém dalmatyka różowa i płaszcz w wyszyte złotem figury z Apokalipsy. Urzędnicy otrzymują łacińskie i greckie tytuły. Towarzyszy cesarzowi gubernator Rzymu Ziazo, towarzyszy Robert oblacyonaryusz papiezki z kardynałami. Po drodze witają

go biskupi regeusburski, magdeburski, z którym się tymczasowo godzi (zapewnie jak się słusznie domyśla Gfrörer, pod warunkiem nie sprzeciwiania się metropolii gnieźnieńskiéj). O niemieckich książętach wyjeżdżających przeciw panu nie słychać. Widocznie nie po myśli była im cała wyprawa, nie po myśli ten przepych i formy obce, które cesarza otaczały. U wstępu do ziemi Dedoszów, w okolicach Głogowa oczekuje uwiadomiony i przygotowany na przybycie cesarskie Bolesław Chrobry.

Książę, który szedł na Ottona spotkanie był w pełnéj sile męzkiego wieku i bardzo korzystnie odbijał od młodzieniaszka cesarza, upadającego pod ciężarem teatralnéj toalety. Sława, którą już nabył, czyniła go przedmiotem powszechnéj ciekawości. O cztery lata starszą była od niego pierwsza dokładniejsza wiadomość o jego ziemi. Dopiero w 962, ojciec jego Mieczysław, jako książę Lachów pomiędzy Wartą i Wisłą, zetknął się z zaborczą i nawracającą mieczem Germanią. W 965 przyjął chrzest, wziąwszy za żonę chrześciańską księżniczkę czeską, niemłodą i niepiękną Dąbrówkę. Chroniąc się przed exterminacyjną wojną wydaną przez Niemców Słowianom, nagabywany prócz tego przez pogańskich Pomorzan, chwycił on się krzyża a w konsekwencyi przyjął i zwierzchnictwo cesarza. Pokorny nowochrzczeniec nie śmiał usiąść w obecności margrabi Marki granicznéj Udona, ale gdy się sposobność okazała, zbił go pod Cydynem tak dobrze, że Otton I nie mając czasu i ochoty wdawać się z nim w boje, zaprosił zwycięzcę i pokonanego na zjazd do Kwedlinburga, gdzie go z Udonem pogodził i obdarowanego odesłał do domu. Kmieca gospodarność i podstępność była cechą Mieczysława w obec potęgi i cywilizacyi niemieckiéj: towarzyszy on wyprawom przeciw poganom i zachowuje dobre z dworem stosunki, otrzymuje nawet od Teofanii posiłki na wojnę z Czechami, ale gdy te posiłki wpadają w ręce jego wroga, a ten grozi, że Niemców wymorduje, jeśli mu Mieczysław grodu nie odda: odpowiada Mieczysław: „Cesarz potężny, uwolni lub pomści swoich, ja nic tracić nie mogę.“

Syn jego i następca idzie śladem polityki ojcowskiéj, towarzyszy dwu wyprawom cesarza przeciw poganom, podbija dokuczające ojcu Pomorze i Gdańsk, przejmuje zawód wojen-

néj apostołki, walcząc z Prusami. Swieżo ugościł ś. Wojciecha i rozsłynął po świecie czcią mu oddaną — świeżo zdobył Kraków, na Czechach prześladowcach jego. Dzięki rozumnéj gospodarce jego ojca, dzięki jego dzielności, zasoby jego kraju, siły wojenne, urosły niezmiernie. Na obyczaj niemiecki obwarowywano grody. a obok wojska słowiańskim obyczajem, lekką tylko tarczą opatrzonego (dypeati), stanęły poważne hufce tak zwanych loricati łuskowych, ciężkich rycerzy, wedle niemieckiego obyczaju. Kościół i wojsko, oto dwa przedmioty pieczołowitości Bolesława—odpowiadające pojęciom dzisiejszym: Oświata i siła—a wyższe o jedno pojęcie, dzisiaj nie dość cenione, siła duchowa.

Bolesław Chrobry ma wszystkie cechy prawdziwego geniuszu. Pod szczęśliwą jego ręką łączą się i wiążą niesforne słowiańskie rzesze, umie on łączyć stare z nowém, umie być twardym a popularnym, nadewszystko zaś orlim wzrokiem upatrzyć chwilę stósowną. Nie uszedł jego baczności zwrot w cesarstwie, jakoż stósuje się do niego, wchodzi czynnie w wielkie, światu gotowane przetworzenie, niemiłe śmiertelnym jego wrogom, z któremi temporyzował a których całe życie bacznem śledził okiem, korzystnie jemu przetworzenie bo gotujące upragnioną niepodległość.

Otwórzmy teraz dwa walne pielgrzymki gnieźnieńskiéj świadectwa: nieprzyjazne Dytmara Merzeburskiego; spisane z tradycyi przechowanych w Polsce wiek cały późniéj, Marcina Gallusa: świadectwa, które po tém cośmy powiedzieli będą nam doskonale zrozumiałe.

„Jak przyjął Bolesław cesarza, jak prowadził go ziemią swoją aż do Gniezna, mówi Dytmar, rzecz to nie do uwierzenia i do wypowiedzenia trudna. Cesarz zobaczywszy zdała upragnione miasto, zbliżał się do niego w błagalnéj postaci, boso, przyjęty przez biskupa Ungera z uszanowaniem, wszedł do kościoła łzy przelewając, aby za modlitwą świętego męczennika łaskę Chrystusa wyjednać. Potém ufundował tam niezwłocznie biskupstwo w sposób, jak mniemam, prawny, chociaż bez zezwolenia biskupa, któremu ten cały kraj jest poddany: Oddał zaś to biskupstwo bratu męczennika Radymowi, któremu biskupów Reinberna kołobrzeskiego, Poppona krakowskiego, Jana wrocławskiego poddał, wyjmując z pod jego władzy tylko Un-

gera, biskupa poznańskiego. Ufundował tam także ołtarz i włożył weń wśród uroczystych obrządków, relikwie. Skończywszy to wszystko, otrzymał od książęcia bogate dary, pomiędzy któremi znajdowało się także trzystu pancernych rycerzy, najwięcéj sprawiających cesarzowi radości. Odjeżdżającemu towarzyszył Bolesław z wielkim przepychem do Magdeburga, gdzie wśród wielkiego natłoku ludu odprawiono kwietnią niedzielę“ [1]).

„Niemniéj godném podania pamięci mniemamy, opowiada Gallus, że za panowania Bolesława I. to jest r. 1000, Otto Rudy cesarz dla uczczenia i zjednania świętego Wojciecha i dla poznania sławnego Bolesława, przybył do Polski (jako w księdze *De passione Martiris* doczytać się można), którego Bolesław z uczciwością i wspaniałością przyjął, jako królowi cesarza rzymskiego i tak wielkiego gościa przyjąć przystało.“

„Z zadziwiającą albowiem wspaniałością wystąpił na wjazd cesarza. Na przodzie rozmaite pułki rycerstwa, za niemi na rozległéj płaszczyznie orszaki panów rozstawił, które rozmaitéj barwy ubiory rozróżniały. W ochędóstwie zaś rycerskiém niepospolita była rozmaitość wszystkiego, co kiedykolwiek najdroższego w świecie znaleźć się mogło.“

„Za czasów Bolesława rycerstwo i białogłowy u dworu, zamiast bawełnianych lub wełnianych sukien, kożuchy nosiły, których choćby były kosztowne i nowe, bez pokrycia i złotogłowiu nieużywano. Złoto albowiem wtedy tak było pospolite, jak dziś srebro, a srebro tak mało ceniono, jak barłóg.“

Zapatrzywszy się cesarz na sławę, potęgę i bogactwa Bolesława, rzekł z zadziwieniem: *Per Coronam Imperii mei!* więcéj widzę niżeli mi powiedziano; na radzie zaś z panami swoimi powiedział w obecności wszystkich: Nieprzystoi takiego męża jakby jakiego panaksiążęciem tylko albo komesem nazywać, ale trzeba go ozdobić koroną i na tron królewski wywyższyć.“ Zdjąwszy więc z głowy swojéj koronę, włożył ją na głowę Bolesława jako zadatek przyjaźni, a zamiast chorągwi tryumfalnéj, gwóźdź z krzyża Chrystusowego z włócznią św. Maurycego darował: wzajemnie Bolesław darował mu ramię św. Wojciecha.“

) Wielkanoc przypadała r. 1000 d. 30 marca. kwietnia niedziela 23.

„Tak ścisłą przyjaźnią tego dnia połączyli się, że go cesarz sąsiadem i obrońcą cesarstwa postanowił, a przyjacielem i sprzymierzeńcem ludu rzymskiego mianował. Nadto w sprawach kościelnych cokolwiek do władzy cesarskiéj należało, wszystko poddał pod władzę jego i następców jego w Królestwie Polskiém i w ziemiach pogańskich przezeń zawojowanych, lub zawojować się mających: któréj to umowy wyrok Sylwester Papież przywilejem św. kościoła rzymskiego potwierdził.“

„Bolesław tak chlubnie wywyższony od cesarza na królestwo, wynurzył się z całą wrodzoną sobie hojnością, obchodząc koronacyę swoją ucztą po królewsku i cesarsku przez trzy dni trwającą. Każdego dnia wszystkie naczynia i sprzęty odmieniał, inne kosztowniejsze zastawiając. Po skończonéj uczcie rozkazał cześnikom i tolnikom swoim zgromadzić z trzechdniowych stołów wszystkie naczynia złote i srebrne (albowiem tam nie było wcale drewnianych), wszystkie puchary, kubki, misy, półmiski, zastawy, rogi i cesarzowi, nie jakoby dary osobliwsze, ale dla uczciwości tylko złożyć. Podobnież dał rozkaz komornikom swoim zebrać opony, wiszące kotary, obrusy, ręczniki i wszystko co do używania służyć mogło, do izby cesarskiéj odnieść. Prócz tego darował cesarzowi wiele rzeczy, jako to: naczynia złote i srebrne rozmaitéj roboty, opony różnéj farby, ochędostwa osobliwsze, kamieni drogich tyle, że cesarzowi takowe dary cudem się wydawały. Panów także z cesarzem będących tak wspaniale obdarzył, że z nieprzyjaciół przejednał ich w najprzychylniejszych sobie: trudnoby było wyliczyć jakie i jak wielkie dary znakomitsi dostali, gdy w tak licznym orszaku cesarskim nie było parobka, coby bez podarunku odszedł.“

„Zadowolniony cesarz powrócił z wielkimi podarunkami do siebie.“

Dytmar widocznie niechętny, cedzi niejako przez zęby opis pielgrzymki, a przyznając, że kościół polski usamowolniono, podnosząc, że usamowolniono go zapewne prawnie a więc może nie zupełnie prawnie, pomija polityczną stronę pielgrzymki, którą Gallus wyłuszcza. Wszystko też w opisie Gallusa prócz może obrazu o zdjęciu korony z głowy i uwieńczeniu nią Bolesława, tchnie prawdą, najzupełniéj do stosun-

ków ówczesnych przystającą: symboliczne zaś oddanie włóczni św. Maurycego i gwoździa Chrystowego wychodzi na jedno z oddaniem i uznaniem władzy, bo włocznia była znamieniem władzy pretorskiéj w Rzymie, była berłem Cezarów jako pretorów, a tegoż roku co Bolesław otrzymał i Stefan węgierski też same symboliczne od Ottona III dary. Wyrażenia *cooperator imperii, socius et amicus populi Romani, imperium in superatis et superandis regionibus*: wszystko to czerpane żywcem z wielkiéj myśli Sylwestra i Ottona, która tu po raz pierwszy przyoblekała się w ciało, z myśli wprowadzenia w świat ówczesny rzymskiego systemu polityki. Nawet takie szczegóły jak zmiana sreber stołowych codzienna, wzięte się zdają z ceremoniału cesarzów, do którego się gościnny Bolesław, tak świetne odnoszący korzyści, chętnie zastósował. Układ potwierdza papież Sylwester, któregośmy jako autora całéj sprawy poznali. Gallus, chociaż o wiek późniejszy, zasługuje na najzupełniejszą wiarę, podaje rzeczy, które umyślnie jako nie miłe i niegodne wedle niego pamięci, pominął Dytmar. Zdradził się zresztą ów Dytmar na inném miejscu, że nie wszystko powiedział o pielgrzymce Ottona do Gniezna, co mógł i powinien był powiedzieć. „Bóg niech przebaczy cesarzowi (Otonowi III) pisze pod r. 1002, że z obowiązanego do płacenia dani Bolesława uczynił pana samodzielnego, gdy jeszcze ojciec jego Mieczysław nieśmiał w futrze wchodzić do mieszkania margrabiego Udona albo usiąść w jego obecności.

Ta niechęć do cesarza Ottona przebija się i w innych współczesnych, jednogłośnie potępiających reformy jego rzymskie. Większą jeszcze obudził właściwy ich autor papież Sylwester II. W ośmdziesiąt lat jeszcze po jego śmierci z tradycyi, które o nim krążyły, kleci mnich Benno, stronnik Henryka IV w jego walce z Grzegorzem VII bajką, że Sylwester diabłu duszę zapisawszy otrzymał tyarę. Dzisiaj Waitz nazywa Ottona niespokojnym chłopcem, fantastą i bigotem: Sugenheim zwie Sylwestra Mefistofilesem Ottona, a czyny młodego cesarza nazywa błazeństwami.“ Sąd niezawodnie nie dosyć spokojny i sprawiedliwy, sąd natchniony wspomnieniem ówczesnéj światowładczéj buty niemieckiéj. Młodziuchny Otton pokazał samodzielność w wyborze wpływu, któremu się poddał: przeniósł oświatę nad barbarzyństwo, pobożność nad dzi-

kość, przeniósł uczonego papieża Sylwestra nad nieokrzesanych i ponurych panów niemieckich. Stał się narzędziem w rękach papieża: ale niebezwiedném; szedł za myślą cudzą, ale myślą piękniejszą od instynktu podboju, którym tchnęło jego niemieckie otoczenie. W wyborze między polityką Girona, który trzydziestu książąt słowiańskich na biesiadę zaprosiwszy, pomordował, między duchem niemieckiego duchowieństwa, które śmiertelną nienawiścią prześladowało niedawno temu słowiański kościół Cyrylla i Metodego—a duchem polityki rzymskiéj, która wytępiała tylko współzawodników, ale żyć i oddychać ludom pozwalała, duchem wolności kościoła i centralizacyi duchownéj władzy w Rzymie,—Otton przychylił się do polityki rzymskiéj, do wolności kościoła. Młody umysł szedł za ideą wielką, ideą cywilizacyi. Idei téj zawdzięczamy my i Węgrzy powstanie metropolii naszych, myśli téj zawdzięczamy po części indywidualność polityczną, która otrzymała niebawem swój chrzest krwi w wojnach między rokiem 1002—1018 pod wodzą największego z naszych królów Bolesława Chrobrego.

Józef Szujski.

NOTATKI PODRÓŻNE.

PARYŻ i LONDYN.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Świeżo, w ostatnim miesiącu 1871 roku, już po wyjściu z druku grudniowego zeszytu Przeglądu, zaszły w Anglii wypadki, o których wspomnieć na tém miejscu niech mi będzie wolno, potwierdzają one bowiem to, co powiedziałem poprzednio o konserwatywności Anglii, poszanowaniu mas dla kardynalnych zasad instytucyj krajowych, i potędze pewnych uczuć tradycyą przekazanych. — Chcę mówić o powszechnych objawach sympatyi monarchicznych, z powodu śmiertelnéj choroby następcy tronu angielskiego, — objawach płynących z dobréj woli i biorących źródło w rzeczywistych usposobieniach narodu, które razem wzięte stanowią poważną i znaczącą manifestacyę.

Manifestacyi téj, czysto dobrowolnéj i nic sztucznego w sobie nie mającéj, tem większą wagę przypisywać można, że znalazła miejsce właśnie w chwili, kiedy propaganda radykalistyczna i republikańska szeroko się rozpostarła i obrała za cel pocisków królewskość, oraz w ogóle główne filary monarchicznéj formy rządu. Na stałym lądzie upowszechniało się od jakiegoś czasu coraz bardziej mniemanie, że Anglia stanowczo weszła na drogę wiodącą do zupełnego przewrotu wewnętrznego. Republikanie naiwni wzięli na seryo uchwałę owego meetyngu, co to naprzód mianował przyszłego prezydenta rzeczypostpolitéj Angielskiéj w osobie Sir Charles Dilke. Ogół

oderwanych symptomatów, branych bezwzględnie, rzeczywiście upoważniał w pewnéj mierze powyższy sąd opinii kontynentalnej o podkopaniu idei monarchicznéj w Anglii, zarówno usunięciem się królowéj od spraw publicznych i zachowaniem ks. Walii, tworzącem jaskrawe przeciwieństwo z pamięcią popularnego i zasłużonego ks. Alberta,— jak i wyraźnem prądem w kierunku radykalnéj reformy ogólnych stosunków. — Samo jednak prawdopodobieństwo bliskiéj śmierci dziedzica korony i okrycia żałobą rodziny królewskiéj wystarczyło do położenia kresu agitacyi republikańskiéj i wywołało w opinii zupełny zwrot na korzyść królewskości. Widzieliśmy republikanów podpisujących massami adresa do królowéj, tłumy przyjmujące kamieniami trybunów i agitatorów, którzy sądzili porę sposobną „aby kuć żelazo dopóki gorące“.

Nie trzeba też zapominać, że dawno minął czas kiedy Anglia ubóstwiała królowę Wiktoryę, że ks. Walii nie był ani kochanym, ani popularnym, ani bardzo obiecującym na przyszłość; że w końcu długa rejencya i pierwsze lata panowania młodziutkiego monarchy, mogły obiecywać pewne ułatwienia dla tych, co zamierzali obalić istniejący porządek rzeczy. Nie znalazł się przecież nikt, ktoby prostą rachubę w tym duchu śmiał głośno wypowiedzieć. Rachuba polityczna, rachuba partyi, najbezwzględniejsza ze wszystkich, najmniéj zważająca na uczucia, ucichła w obec *uczucia*, które tylko uspioném było chwilowo i które napróżno starano się zabić i wykorzenić. Nadto, ze względu iż w Anglii korona jest potęgą abstrakcyjną i niejako wyrazem zbiorowego ustroju, sympatye wyrażone dla korony stosują się tém samém do całości politycznéj budowy kraju. Kto w Anglii szanuje koronę i uznaje potrzebę korony, ten musi szanować zbiorowe czynniki, tworzące jéj racyę bytu.

Złudzeniem byłoby spodziewać się, że obecne rozbudzenie uczuć monarchicznych położy na zawsze kres dążeniom do reformy starego układu Anglii, owszem, zapewne niedługo ujrzymy nowe usiłowania w tym kierunku, bo idea reformy przyjęła się i zakiełkowała w umysłach. Sądząc jednak logicznie — a każdy Anglik, godzien tego nazwiska przedewszystkiem logiką się kieruje, — to uczucie, którego istnienie i żywotność fakta stwierdziły, niedopuści w danym razie dokonania gwałtownego

przewrotu, gdyż w stanowczéj chwili tém gwałtowniéj wybuchnie i wyrośnie do namiętności. Ponieważ zaś temperament narodu wyklucza możliwość zamachu rowolucyjnego, pozostaje przeto reformie jedyna droga normalnego processu pokojowego, w którym to samo uczucie występować będzie ciągle jako czynnik miarkujący i regulator ruchu, stokroć silniejszy i pewniejszy w skutkach niż policye i armie innych rządów europejskich. Konserwatyzm w właściwém pojęciu nie znaczy obstawanie z ślepym uporem przy tém co było lub jest, nie wyklucza możliwości zmian i reform, — odpycha tylko zupełne zerwanie z przeszłością i bezwzględne burzenie.

I nigdy dosyć nacisku nie można położyć na rolę, jaką odgrywają rozmaite uczucia w politycznym i społecznym układzie Anglii, bo one właśnie stanowią główne i niewyczerpane źródła jéj siły prawdziwéj. Wystawmy sobie coby się działo w Anglii, gdyby chrześciańska i obywatelska cnota ścisłego wypełniania obowiązku nie była tam powszechnie i szeroko praktykowaną. Akcya rządu na zewnątrz jest prawie żadną; atrybucye państwa, istoty gdzieindziej wszechmocnéj, opatrznéj, wszystko monopolizującéj, nadzwyczaj ograniczone; najważniejsze gałęzi wewnętrznéj służby publicznéj zawisły od inicyatywy zbiorowéj, poza rządem mającéj siedlisko. Państwo np. z ogólnego budżetu pokrywa zaledwie mały ułamek kosztów wychowania publicznego, resztę dostarczają gminy, hrabstwa i dobrowolne subskrypcye. Wiadomo również że administracya spoczywa cała w ręku tego, co u nas nazywają władzami autonomicznemi. Niezliczone stowarzyszenia prywatne, zawiązywane w celach ogólnéj użyteczności, doskonale wyręczają państwo, i oddają wielkie , rzeczywiste usługi. Anglia uważa za naturalny obowiązek przyjąć na swoje barki jakąś cząstkę pracy około wspólnego dobra i swéj powinności skrupulatnie dopełnić, bo poczucie obowiązku przejmuje do głębi jednostki i wszystkie klasy narodu. Inaczej taki kraj ani chwili ostać by się nie mogł.

V.

„Braćmi mymi są wszyscy ludzie, którzy pracują“ rzekł poeta Tennyson, w jednym z utworów swoich, *Loksley-Hall.*

Komentarz tego wiersza znajdujemy w mowie sędziwego lorda Brougham, mianéj na bankiecie w Edinburgh (w r. 1859). „Widzę przed sobą, rzekł, ludzi wszelkiego wieku i wszelkiego „stanowiska, zebranych tu bez różnicy partyi. Miałem już „sposobność wyrazić moją opinię o sprawach publicznych; „niech mi będzie wolno teraz dać wam radę osobistą. Win- „szujecie mi siły i zdrowia, jakie potrafiłem zachować w tak „późnym wieku. Otoż w mojém najsilniejszém przekonaniu „winienem jedno i drugie, obok opieki Opatrzności, jedynie „pracowitemu życiu, jakiego nigdy prowadzić nie przestawałem „i jakie dotąd prowadzę jak dawniej. Ludziom co się starzeją, „radzono często przestać pracować i spocząć, lecz wielki to „błąd! Prawdziwego spoczynku nie może dać nam życie niczem „nie zajęte, bo płynie on z równowagi sił, t. j. z ciągłéj czyn- „ności rozmaitych władz, skierowanéj ku rozmaitym celom. „*Trzeba zawsze pracować*, pracować jak najwięcéj, aż do znu- „żenia, a nie ma stanowiska towarzyskiego, jakieby ono nie „było, któreby zwalniało człowieka od *ciężkiéj pracy* (*Hard- „Work*)." —

Powyższe słowa lorda Brougham nie są osobistém wyrażeniem pojedyńczego człowieka, lecz celem i wyrazem przekonań całéj rassy i całego narodu. Z wszystkich krajów Europy, w Anglii najmniej jest próżniaków i najmniej ludzi niezajętych nawet w najwyższych klasach ludności. Ani położenie towarzyskie, ani wiek nie zwalnia od pracy rzeczywistéj, mozolnéj, bo tylko tym sposobem zdobywa cię znaczenie, wpływ, niezależność, szacunek i miłość ludzką. Wyłamywanie się z pod ogólnego prawa należy do wyjątków; u góry prowadzi do utraty *de facto* przywilejów obywatelskich, u dołu do nędzy i zupełnego upadku. Praca weszła w zwyczaj, stała się normą wychowania i ramami stosunków rodzinnych i towarzyskich. Nadmieniłem już, że Anglik w ogólności nie kapitalizuje części dochodu i wydaje dużo. Życie jest drogie, klimat wyłącza lazzaronizm, pociąga za sobą znaczne wydatki na opatrzenie mieszkań, opał, odzież, wymaga pokarmów skoncentrowanych i pobudzających, jak mięso, herbata, kawa, piwo i gorące napoje. Robotnik angielski konsumuje tych artykułów bez porównania więcéj niż robotnik francuski lub niemiecki, jada mięso trzy razy dziennie w wielkich ilościach, z dodatkiem masła,

sera, herbaty i *alu*. W Manchester robotnicy z fabryk machin żelaznych znani są z tego, że skwapliwie wykupują jarzyny wcześnie pokazujące się na targu. Rodziny bez różnicy pozycyi towarzyskiéj, miewają dużo dzieci, przecięciowo czworo, często sześć do dziesięciu, nie rzadko piętnaście i ośmnaście. Ojciec takiéj rodziny nie może dzieciom dać więcéj jak wychowanie; później dzieci zmuszone są pracować o własnych siłach i pracować ciężko, bo konkurencya wszędzie ogromna, wymaga rozwinięcia wszystkich środków, jakie są w posiadaniu człowieka.

Dla tych powodów wychowanie wzięło kierunek przeważnie praktyczny, ma na celu wydanie człowieka silnego fizycznie, intellektualnie zdatnego do pracy produkcyjnéj. Takie też piętno noszą na sobie klasy oświecone. Silna budowa kości, muskuły rozwinięte, nerwy spokojne, temperament limfatyczny, przeważają zaraz z pierwszego wejrzenia. Na dwóch krańcach przeciwnych leży zwierzę ludzkie, nadmiarem mięsa i krwi grzeszące, oraz milcząca machina z samych kości i ścięgn złożona. Za to piękny typ angielski, jest bezwątpienia ideałem mężczyzny i człowieka do pracy stworzonego. — Głowę Anglika można porównać do fachowéj encyklopedyi, mieszczącéj w sobie mnóstwo użytecznych wiadomości i faktów, ubogiéj w to, co Francuz nazywa: *idées larges*. Takim sprzętem umeblowano mu ją w szkole i uniwersytecie; późniéj w ciągu całego życia stara się o pomnożenie odpowiednio treścią i barwą. Młody chłopiec w szkołach już zna dokładnie całą literaturę starożytną, składa wiersze greckie, recytuje z pamięci poetów łacińskich, doskonali władzę pamięci i wzbogaca ją pewną ilością faktów, nie troszcząc się o przeniknięcie ducha czasu i wyrobienie własnego sądu lub ogólnych poglądów. Wchodząc w świat przyjmuje bez wahania wyrobione wyobrażenia religijne i polityczne, bierze je jak są, uważa za doskonałe, niewzruszone i warte bezwarunkowego poszanowania. Nie przychodzi mu na myśl pisać na białéj ćwiartce papieru własny katechizm religijny i polityczny. Wierzy w nieomylność przepisów swego kościoła i w doskonałość konstytucyi angielskiéj. Tak pospolity u nas gatunek dwudziestoletnich ateuszów i samozwańców politycznych, jest nieznaną w Anglii rzadkością. Zresztą nie ma na to czasu; zamiast budować filozoficzne zamki na lodzie, trzeba chwytać się czemprędzéj

pracy, zdobyć stanowisko na świecie i dobić się szczytu marzeń każdego Anglika: żony, dzieci i ogniska rodzinnego.

W polityce, w nauce, w literaturze i dziennikarstwie, dokument, fakt, obserwacya, praktyczne objaśnienie trzyma pierwsze miejsce, z pominięciem teoryi i idei ogólnych. Mowy parlamentarne są suchą dyskussyą interesów, zbiorem dokumentów, cyfr i pozytywnych danach. W literaturze fakta, daty przeważają bezwarunkowo i są podawane z sumiennością godną naśladowania. Korespondencye dziennikarskie stanowią wierne fotografie zdejmowane na miejscu i drukowane bez retuszu. Romanse składają się z szeregu scen wziętych żywcem z rzeczywistości, odznaczających się wykończeniem szczegółów nawzór obrazów holenderskich; imaginacya i twórczość ustępuje przed obserwacyą i prawdą codzienną. — Żaden naród nie podróżuje tyle co Anglicy, u których wycieczki po kraju i na ląd stały, do Afryki i Indyi, są zwykłém dokończeniem edukacyi u młodzieży, u starszych zwyczajem, przyjętą rozrywką, potrzebą do manii posuniętą często. Ale téż nikt nie umie do tego stopnia podróżować z korzyścią. Na dziesięciu, dziewięciu uczy się, bada stosunki obce na miejscu, zbiera spostrzeżenia i przywozi do domu zasób nowéj wiedzy. Wielu członków parlamentu spędza regularnie wakacye za granicą, jedynie w celu poznania naocznie politycznych i ekonomicznych warunków w rozmaitych krajach. — Roczny plon idei wzrosłych na gruncie Angielskim jest nieskończenie mały w porównaniu z massą idei niemieckich i francuskich, lecz każda z nich ma wartość praktyczną, bo powstała z zestawienia faktów i bezstronnego badania istoty rzeczy. Z resztą potrzebę ujęcia pewnego zbioru danych w system rozumowany, uczuwają tylko umysły wyjątkowe; większość zatrzymuje się napół drogi, nie próbując nawet sięgnąć do konkluzyi. Francuzowi zaś jedno spostrzeżenie, choćby mylne, wystarcza do wysnucia teoryi misternéj i błyszczącéj, która w zastósowaniu prowadzi do najfałszywszych rezultatów; stósować bowiem swojéj teoryi nigdy nie omieszka, niepomny że często znaczy to tyle co regulować, jak ów jenerał rosyjski, kompas słoneczny z zegarkiem. Niemiec ma przynajmniéj tę wyższość, że jest sumiennym w badaniu, a samo wydanie na świat teoryi wystarcza mu do szczęścia, bo uważa to za czyn. Taka niewinna zabawka nikomu zaszkodzić nie może.

Znaną jest anegdota o ulicznika londyńskim, który zapytany dla czego przemocą pakuje pięść w usta, odrzekł z powagą: „Każda wiadomość na coś się przyda: ja chcę zmierzyć objętość mojéj gęby“. Nie inaczéj rozumuje cały naród. To zamiłowanie w prostem gromadzeniu wszelkiego rodzaju wiadomości, odbiło się w znacznéj części kolekcyi londyńskich, które w ogóle odznaczają się doborem i ilością przedmiotów, ale często zdradzają brak daru klasyfikacyi i talentu organizacyjnego. W słynnem Muzeum Brytańskiem pod jednym dachem mieszczą się obok siebie klasyczne rzeźby i wypchane zwierzęta, starożytności assyryjskie i kolekcya nasion, etruski i ciekawości etnograficzne, bronzy i porcelany, mozaiki, preparata anatomiczne, w końcu biblioteka jedna z najbogatszych w Europie. Nic trudniejszego jak zoryentować się w tym chaosie, obejmującym niemal cały zakres wiedzy ludzkiéj. Roczne uposażenie muzeum wynosi około 2 miljonów franków, zbiory rosną nieustannie, niektóre przedmioty są już pousuwane do piwnic i na strychy dla braku miejsca, pomimo tego nie zdołano jeszcze dotąd zdecydować się na bardzo prosty środek rozdzielenia nagromadzonych skarbów między już istniejące zbiory specyalne.

W połączeniu z spekulacyą finansową, ta namiętność wznoszenia magazynów wszech rzeczy zrodziła dziwny pomysł kryształowego pałacu w Sydenham. Przed dwudziestą laty niespełna, kilka kompanii kolei żelaznych zakupiło pałac wystawy i przeniosło go za Londyn, gdzie dotąd imponuje ogromem i brzydotą, wśród przepysznego ogrodu. Zbudowany ze szkła i żelaza, wygląda na olbrzymią cieplarnię. Wewnątrz w głównéj nawie zbiór roślin zwrotnikowych, aquaria, fontanny, ptactwo ciepłych stref, przed-potopowe potwory z masy papierowéj, lalki wyobrażające Eskimosów i dzikich indyjskich, gipsowe odlewy wszystkich posągów rzymskich i greckich rozsianych po muzeach europejskich, modele rzeźb zdobiących place stolic i miasteczek, — muzeum średniowieczne, — muzeum egipskie, — muzeum indyjskie, — muzeum assyryjskie — muzeum zoologiczne, — fałszywe mumie, wypchane słonie i nosorożce, dom Pompejański, stereoskopy przedstawiające widoki Pompei dziś i przed wybuchem Wezuwiuszu, kopca Alhambry i gipsowe odciski na miejscu zdejmowane, które słu-

żyły za model. W środku sala koncertowa w formie amfiteatru. Teatr na którym grają operetki Offenbacha. W bocznych korytarzach wystawa powozów, uprzęży na konie, sprzętów domowych; sklepiki z perfumeryami, fotografie, nożyczki, hafty, koronki, bielizna, machiny do szycia. Na galeryach wystawa obrazów i rycin. — Koleje żelazne zwożą codziennie setki ciekawych „do pałacu ludowego“ olbrzymiego bazaru, w którym pod pretekstem popularyzowania wiedzy i sztuki, manifestuje się przedewszystkiem geniusz przemysłowy i handlarski Anglii. Robotnik, drobny mieszczanin, człowiek ubogi chcący się czegoś nauczyć tanim kosztem i bez straty czasu, wynosi jednak ztamtąd w końcu pewną liczbę pojęć, mniéj więcéj jasnych i do rzeczywistości zbliżonych, ale w każdym razie rozprzestrzeniających jego widnokrąg intelektualny.

Praktyczny kierunek, przeważający we wszystkich objawach życia narodowego, stał się dźwignią niesłychanego rozwoju materyalnego i pociągnął za sobą przewagę interesów materyalnych, a na człowieku i umyśle ludzkim wycisnął wybitne piętno. Anglik bywa zwykle przedsiębiorczy, odważny i wytrwały, przytem jednostronny w zapatrywaniach, ograniczonych pojęć, nieraz mułem rodzaju ludzkiego. Chętnie podejmuje walkę z losem lub z żywiołami, potrzebuje wzruszeń gwałtownych, wstrząsających espałym mózgiem, lubi żart opieprzony, komikę dosadną, kolory jaskrawe i krzyczące. W wyborze pokarmu intelektualnego nie jest trudnym, komunał go nie razi, mierność zadawalnia, byle nie raziła zdrowego sensu i przyzwoitości. Szanuje przepisy religijne i wypełnia przynajmniéj powierzchownie praktyki obowiązujące. Pod tym względem bardzo jest nauczającą niedziela w Londynie. Kiedy w krajach katolickich szerzy się przekonanie iż państwo i rząd winny być istotą bezwyznaniową, w protestanckiéj Anglii, wolnéj i wolnomyślnéj, święcenie niedzieli nakazanem jest bardzo wyraźnie i bardzo ściśle przestrzeganem. Już z epoki panowania królowéj Wiktoryi, więc z najnowszych czasów, datuje się proklamacya następująca: „My, Wiktorya królowa, zważywszy „iż naszym obowiązkiem religijnym i koniecznym jest starać się „przed wszystkiemi rzeczami o utrzymanie i pomnożenie służby „i chwały Boga Wszechmocnego, oraz wyrugowywać występek, „uczynki profanacyi, rozwiązłość i niemoralność; zakazujemy

„naszym poddanym wszelkiego stanu i położenia, oddawać się „w dniu Pańskim grze w kości, karty lub innéj jakiejkol- „wiek, w domach prywatnych czy publicznych; oraz rozkazu- „jemy im w te dnie być przytomnymi z skromnością i usza- „nowaniem służbie Bożéj i t. d.“ Daléj następuje zakaz otwie- rania w niedzielę szynków i sklepów i wszelkich lokalów pu- blicznych. To też w dnie świąteczne Londyn staje się pustym i zamarłym, ustaje wszelki ruch i życie raptem jest zatamo- wane. Opowiadają, że wielu poważnych ojców familii obchodzi „dzień Pański“ obcowaniem z butelką portweinu, ale zawsze przy drzwiach hermetycznie zamkniętych Faktem jest jednak, że w niedziele wszystkie kościoły bez wyjątku są zapełnione, głównie przez ludzi należących do klas dostatnich i wykształ- conych, męszczyzn i kobiety, młodych i starych. Kazania są zimne, metodyczne, nawet pospolite treścią i formą, obracają się najczęściej koło drobnych prawideł moralności, zastósowa- nych do życia codziennego. Duchowny powierzchownością i po- stawą trzyma środek między profesorem i sędzią, na pierwszy rzut oka wzbudza tyle zaufania co każdy śmiertelnik wyglądają- cy na uczciwego człowieka, przypomina wnętrza świątyń ogo- łocone z ozdób, poważne i sztywne. Rola duchowieństwa wy- daje mi się dość bierną i są to zapewne dobrzy ojcowie rodzin i dobrzy obywatele, dający z siebie dobry przykład cnót pra- ktycznych, od których trudno wymagać zaparcia siebie i po- święcenia apostolskiego. Misyonarzy wysyłają towarzystwa pry- watne, one także rozdają biblię i szerzą propagandę religijną wszystkimi środkami, jak np. rozrzucaniem po miejscach pu- blicznych drukowanych kartek, noszących na jednéj stronie mo- dlitwę, na drugiéj cytaty z Pisma.

Religijność Angielska uchodzi często za pusty formalizm i zewnętrzne faryzeuszostwo, bez żadnych głębszych korzeni, przeciwko temu twierdzeniu jednak świadczy ogólny poziom moralności, a mianowicie ścisłe i powszechne wypełnianie cnót i obowiązków rodzinnych, będące fundamentem zdrowego spo- łeczeństwa. W Anglii znajdujemy z pewnością największy sto- sunek dobrych małżeństw, opartych na wzajemnym szacunku i uczciwości. Skandale rodzinne należą do nader rzadkich wy- padków i zdarzają się tylko w pewnych warstwach towarzy- kich; równą rzadkością są stadła z lewej ręki, a otacza je

zawsze najgłębsza tajemnica. Młody człowiek mający metresę kryje się z tém przed światem i w obec najbliższych przyjaciół zbywa drażliwą kwestyę półsłówkami. Opinia publiczna pod tym względem jest nielitościwie surową dla mężczyzn i kobiet, ona otacza małżeństwo bezwarunkowym szacunkiem, który przebija się w rozmowcb, książkach, teatrze. Mąż któremu żona rogi przyprawi szuka zadość uczynienia przed sądem bez obawy okrycia się śmiesznością, kochanek płaci grzywny, kobieta jest potępioną na wieczne czasy, odcięta od społeczeństwa, wszystkie drzwi dla niéj zamknięte: upadek wykopuje przepaść niczem niezapełnioną.

U mężczyzn obudzenie zmysłów następuje późno, praca i ćwiczenie fizyczne zapełniają czas i chłodzą temperament; pokusa ma zazwyczaj formy nienader ponętne, przekonania religijne wiernie przechowywane, służą za hamulec przynajmniej do pewnego stopnia, i w końcu Anglik wcześnie myśli o małżeństwie i układa w wyobraźni obraz przyszłego szczęścia, które mu od dzieciństwa wskazano za cel życia, a w tem utrzymuje go cała literatura współczesna i żywy przykład. Małżeństwa kojarzą się najczęściéj na podstawie wzajemnéj skłonności; spekulacya na posagi, polowanie na bogate panny, należy do wyjątków, już dla tego że córki otrzymują zaledwie cząstkę ojczystego majątku, który głównie przechodzi na synów czy jako majorat, czy téż w skutek woli ojca i zwyczaju Ztąd pochodzi wielka ilość starych panien w Anglii. Prawie każda rodzina posiada taki okaz w swém łonie, okaz szanowany i użyteczny, albowiem stara panna zamiast chować psy, koty, kanarki, lub trudnić się plotkami, umie znaleźć sobie zajęcie odpowiednie, trudni się dziećmi, gospodarstwem domowem, szkółką, należy do jakiegoś stowarzyszenia, wreszcie zostaje autorką. Znaczna część dobrych romansów angielskich wyszła z pod piór kobiecych, równie jak najlepsze tłomaczenia z obcéj literatury, oraz małe dziełka popularne i dla dzieci przeznaczone.

Edukacya kobieca w rodzinach zamożnych obejmuje dość szeroki zakres wiadomości praktycznych i użytecznych, przecięciowo obszerniejszy i treściwszy niż u nas w Polsce dla młodzieży męzkiéj powszechnie przyjęty. Od dzieciństwa uczą się kilku języków żyjących mianowicie: niemieckiego, fran-

cuskiego i włoskiego, nieco łaciny i później otrzymują gruntowne wiadomości z geografii i historyi, czytają klasyków własnych i obcych w oryginale, przechodzą zupełny kurs botaniki, geologii i historyi naturalnéj. Nieograniczona swoboda w obcowaniu młodzieży między sobą, daje wcześnie kobietom pewną znajomość świata i ludzi, ułatwia wzajemne poznanie się i dojrzenie uczuć, miarkowane zwyczajem rozumowania i wrodzoną porcyą rozsądku. Po ślubie posag żony przechodzi najczęściéj w ręce administratora *(trustees)*, ktory na własną odpowiedzialność rozrządza kapitałem i wypłaca tylko procenta, stanowiące osobisty dochód mężatki; dzieje się tak, bo w obec prawa majątek żony należy wyłącznie do męża, będącego pod każdym względem samowładnym panem domu i naczelnikiem rodziny. Z wyjątkiem posiadaczy majoratów, ojciec może wydziedziczyć dziecko i dowolnie dzielić spadek. Natomiast dzieci wchodząc w związki małżeńskie nie potrzebują zezwolenia rodziców. Wynika ztąd pewna zależność, karność cementująca rodzinę w zasadzie i zarazem swoboda stosunków idąca w parze z osobistą odpowiedzialnością.

Podobny fenomen napotyka się w instytutach wychowawczych. Panuje tam surowy porządek, poparty karą cielesną, ale z wyjątkiem godzin wykładowych, uczeń jest zupełnie wolny, może pracować kiedy chce i gdzie chce, byle stawił się na obiad i wrócił wieczorem o naznaczonéj godzinie. Jeżeli zrobi dług, przedają mu z licytacyi jego drobne sprzęty, stanowiące osobistą własność. W szkołach też zaraz rozpoczyna się rozdział hierarchiczny i socyalny; młodzi usługują starszym, ubodzy służą za pieniądze bogatszym, nie raz brat młodszy znajdzie się w takim stosunku do starszego, a wszyscy znajdują to rzeczą bardzo naturalną.

Dla mieszkańca stałego lądu uderzającym jest fakt, jak mało zdołały przyjąć się w Anglii ideo rewolucyi francuskiéj, a głównie równość. Setki wypadków codziennych świadczą, że ścisły rozdział stanów w życiu towarzyskiém istnieje w całéj sile, jeżeli stan taki jest znośnym, to tylko dzięki wkorzenionemu poszanowaniu godności człowieka. Francuzi gniewają się okropnie na Anglików za tę „chińszczyznę“, która na miejscu nikogo nie razi. Za dowód posłuży następne zdarzenie, bardzo zabawne i charakterystyczne, które słyszałem z własnych

ust głównego autora. Pan J. B., Francuz, zapalony republikanin, właściciel kopalni smoły ziemnéj w Sabaudyi i jeden z dyrektorów towarzystwa zajmującego się założeniem w Londynie chodników asfaltowych, człowiek bardzo majętny i przyzwoity, udał się do pierwszego krawca londyńskiego, nazwiskiem *Poole*, na *Savil-row*, aby zamówić dla siebie ubranie. Na wstępie *Poole* poprosił go o nazwisko, a przekonawszy się że nie jest szlachcicem, zapytał czy zna kogo ze szlachty, ktoby go mógł zarekomendować?—Francuz sądząc, że idzie o pewność wypłaty, chciał naprzód złożyć pieniądze, lecz Poole odrzekł mu, że się myli, bo on nigdy nie wątpił o jego wypłacalności, lecz ma za zasadę pracować wyłącznie dla szlachty i osób przez szlachtę rekomendowanych; kto zaś nie jest ani w pierwszym ani w drugim wypadku, temu z żalem w niczém usłużyć nie może.

Francuz odszedł wściekły i postanowił zemścić się na krawcu arystokracie, stawiając go w dziennikach pod pręgierz opinii publicznéj. We Francyi skutek byłby niezawodnym, tutaj Francuzi znający kraj i Anglicy odradzili p. B. tego środka, bo ich zdaniem ogłoszenie faktu wyszłoby tylko na korzyść winowajcy, stawiając go wysoko w rozumieniu czytelników.

Tenże sam Poole zrobił pewnemu cudzoziemcowi, noszącemu tytuł książęcy, mundur kawalera Maltańskiego, ale nie wydał dopóty, dopóki książę nie udowodnił dokumentami, że ma w istocie prawo przywdziania i noszenia munduru.

VI.

Wiadomem jest powszechnie jakie mnóstwo arcydzieł mianowicie sztuki malarskiej znajduje się rozsianych po publicznych i prywatnych galeryach w Anglii. *Waagen* powiada, że niektórych malarzy holenderskich i flamandzkich trzeba przedewszystkiém tutaj studyować. Znawstwo prawdziwe, płynące z poczucia piękna, jest podobno najsłabszą stroną dzieci Albionu, trudno więc posądzać ich o miłość sztuki dla sztuki; lecz każdy człowiek bogaty uważa się w obowiązku kupowania obrazów i kupując stara się o towar najlepszy, bez względu

na cenę. W tém zapewne leży cały sekret galeryo - manii i wysokiéj wartości zbiorów artystycznych.

Znaczna część kolekcyi prywatnych jest przystępną zaledwie dla małéj liczby wybranych, cieszących się szczególną łaską właściciela. Główne zbiory są własnością korony, albo należą do wielkich rodzin arystokratycznych i łatwo dostępne dla publiczności. Najznakomiciéj reprezentowany jest Holbein, Rubens, Van-Dyck, Rembrandt; daléj rodzajowi malarze flamandzcy, do których istniało i istnieje wyjątkowe upodobanie, następnie Ruisdael i Hobbema, który we Francyi dopiero w ostatnich czasach wszedł w modę; w końcu Claude Lorrain, Salvator Rosa, i rzecz dziwna, Greuze, na pozór tak mało odpowiadający angielskiemu smakowi.

Buckingham-Palace zawiera małą, ale jedną z najwytworniejszych kolekcyi w świecie, złożoną prawie całkowicie z flamandów, z zupełném wyłączeniem Włochów i Hiszpanów. Galerya w *Hampton-Court* szczyci się najkompletniejszym zbiorem Holbeinów i posiadaniem słynnych kartonów Rafaela. W *Windsor* znajdują się perły pędzla Van Dycka. W rzędzie zbiorów prywatnych pierwsze miejsce trzyma *Grosvenot-House* margrabiego Westminster, mieszczący w sobie między innemi Dzieciątko Jezus i św. Łukasza malującego najśw. Pannę, Rafaela, siedm pierwszorzędnych arcydzieł Rubensa i dziewięć Claude-Lorraina. Na równi stoi *Blenheim-Castle* ks. Malborough, w sąsiedztwie Woodstock, a z londyńskich *Brigdewater-House*, bogaty w Madonny Rafaela. Europejską sławę mają galerye: *Lansdowne* (ś. Jan na puszczy Rafaela. *Northumberland* (Rodzina Carnaro Tyciana), księcia Wellington w *Apsley-House* (Chrystus na górze Oliwnej Corregia); mis Conts. T. Baring.

Główny zbiór publiczny Londynu, noszący imię *National-Gallery*, najmłodszy zapewne w Europie, bo założony w roku 1824, zasługuje na obszerniejszą wzmiankę. Jest to jedna z bardzo cennych i najmilszych kollekcyi europejskich, zawierająca około 900 obrazów „szkół zagranicznych“ (jak się wyraża katalog), pomieszczonych w kilku szczupłych salonach niskiego i niezgrabnego budynku na *Trafalgar-square*. Z małym wyjątkiem wszystkie niemal płótna są zupełnie autentyczne i pierwszorzędnéj wartości, oraz większa część wielkich mistrzów

godnie jest reprezentowaną. Już sama cyfra obrazów wskazuje, że nie może tu być mowy nawet o mniéj więcéj zupełném zestawieniu szkół w historycznym porządku, lecz tylko o zbiorze niejako indywidualnym. Brak miejsca i ubóstwo światła, plaga Londynu, pociągnęły za sobą wielki nieład w układzie wewnętrznym, pomimo tego łatwo bardzo przychodzi się zoryentować, przy pomocy doskonałego katalogu, który pod względem sumienności, praktycznych ułatwień, obfitych wskazówek historycznych i bibliograficznych, może służyć za model podobnych publikacyi

Z wielkich Toskańczyków XIII i XIV w. znajdujemy tu Cimabue Madonna z dzieciątkiem, dzieło niezmiernie ciekawe pod względem historycznym. Giotto—Apostołowie, ułamek freska *(fresco secco)* z kaplicy Santa Maria del carmine w Florencyi,—Taddeo Gaddi, Orcagna; Fra Angelico da Fiezole, Fra F. Lippi, wraz z całą plejadą współczesnych mistrzów. Wśród nich odznacza się wspaniałością natchnienia, siłą wykonania i harmonią; Madonna z św. Hieronimem i Dominikiem, Filippina Lippi. Chrystus dysputujący z doktorami, przypisywany Leonardo da Vinci, lecz podejrzanéj autentyczności, należy w każdym razie do najsłabszych płócien twórcy Wieczerzy Pańskiéj.

Trzy pomniejszych rozmiarów obrazki noszą nazwiska Michała Anioła. Największy z nich, Złożenie Chrystusa do grobu, w połowie nie skończony. Corneliusz na pierwsze wejrzenie miał zawołać: *una cosa preciosa—un vero originale*, Sen życia ludzkiego, kompozycya apokaliptyczna, zapewne był malowany cudzą ręką podług rysunku Michała. Madonna prędzéj podobno wyszła z pod pędzla Ghirlandajo, a nadto jest również niedokończoną.

Do pereł galeryi należy tryptyk Perugina, będący częścią ołtarza niegdyś w Certosa pod Pawią. W cudownym wyrazie oblicza archanioła Gabryela przebija duchowe powinowactwo z późniejszemi kreacyami Rafaela, który, jak utrzymują, miał już wówczas pomagać w pracy nauczycielowi. — Z młodości Rafaela posiada galerya Sen Rycerza, przedziwny rysunkiem i kolorytem, prawdziwy kwiat wonny młodzieńczego natchnienia. Dalej Madonnę nie wyrównającą Mona-

chijskiéj, św. Katarzynę z Aleksandryi i powtórzenie portretu Juliusza II. znajdującego się w pałacu Pitty.

Po Parmie i Dreznie tutaj trzeba szukać Corregiów. Jest ich sześć, między niemi Swięta Rodzina zachwycający miniaturowy obrazek, i pyszna kompozycya nieporównanego wykonania: Merkury, Wenus i Kupido. Z dziewięciu Tycyanów rozmaitéj wartości, Grosz czynszowy musi odpaść na rachunek niezręcznego kopisty; zato wielkiéj piękności jest portret Ariosta, i Sw. Rodzina, równie jak *Noli me tangere* i Bachus z Aryadną, w orszaku bachantek, nymf i satyrów prowadzących pijanego Sylena. W obu uderza przepych pejzażu i kolorytu, a w ostatnim bogactwo szczegółów. Jest tam mianowicie mały faun pyzaty, ciągnący na sznurku głowę cielęcą i rzucający pogardliwe wejrzenie na psa w gniewie, który sam tworzy całą komedyę.

Moretto da Brescia ma dwa płótna, Widzenie, malowane w stylu Rafaela i przepyszny portret hr. Sciarra Martinengo, w chwili gdy odbiera wiadomość o zabiciu ojca; dzieło téj wartości co Najświętsza Panna z galeryi Drezdeńskiéj.

Wielkiéj sławy używa wskrzeszenie Łazarza, Sebastiano del Piombio, trzymane w stylu szlachetnym i surowym, grzeszące nadużyciem światło-cieniu; również Chrystus, F. Francia, który tu przeszedł siebie w potędze kolorytu; nakoniec Rodzina Daryusza Pawła Weronese, odznaczająca się harmonią pomimo nawału dekoracyi i ozdób.

Z Hiszpanów muzeum posiada Polowanie na Dzika, Velasqueza, krajobraz rozległy, silnie narysowany, oświecony gorejącém słońcem; Zurbarana Mnich na modlitwie, zakupiony po Ludwiku-Filipie, istny cud ekspressyi; Murilla: Chłopiec w oknie należący do seryi Monachijskiéj, Sw. Rodzina, w któréj Chrystus nosi rysy Drezdeńskiéj Madonny, i św. Jana z Barankiem. Trudno sobie wystawić coś milszego dla oka i duszy, bardziej naiwnego, jak ten chłopczyk prawie nagi pod skórą kozią, igrający z barankiem.

Rubens, Van Dyck i Rembrandt, znakomicie reprezentowani tworzą przejście do małych flamandów, będących głównym skarbem galeryi, bo każden z nich należy do pierwszorzędnych egzemplarzy. Głowa Najśw. Panny, Quentin Ma-

tsys, jest tak piękną, że porównania dla niéj szukać trzeba dopiero u Rafaela. Paweł Potter figuruje w jednym ślicznym okazie. Skąpcy Teniersa, są niezwykłych u tego mistrza rozmiarów, a suche wykonanie podnosi smutny effekt przedmiotu.

Z czterdziestu płócien *Claude-Lorraina*, znajdujących się w Anglii, dziesięć posiada Galerya narodowa, wszystkie wielkiéj wartości. Między dwoma najlepszemi, zawieszono pejzaż *Turnera*, Założenie Kartaginy. Turner (ur. 1775 — um. 1851 r.) uchodzi za pierwszego malarza Anglii; przez jakiś czas naśladował Lorraina i nabrał w tém pewnéj wprawy, ale pejzaże jego wyglądają jak chromolitografie w porównaniu z obrazami Lorraina. Umierając, Turner zapisał swój zbiór Galeryi Narodowéj, pod warunkiem, że Założenie Kartaginy wisieć będzie między Zaślubinami Rebekki i Jakóba i Królową Saba. Co prawda, Turner ku końcowi życia, cierpiał pomięszanie zmysłów.

W Kensington zgromadzono niemal wszystkie dzieła Turnera i roboty całéj szkoły angielskiéj. W ogóle obrazki rodzajowe, wnętrza, satyry w rodzaju Hogartha, zalecają się drobiazgowem wykonaniem i humorem. W malowaniu zwierząt i w akwerelach, szczególnie przedstawiających polowania i wyścigi konne, angielscy artyści nie mają równych sobie pod słońcem. Za to, trudno wystawić sobie coś nieprzyjemniejszego dla oka jak obrazy religijne i historyczne, oraz pejzaże angielskie. Figury są porcelanowe, woskowe, wyróżowane jak stara baba w pretensyach; draperye gdyby z drewna albo massy papierowéj; mgła zgnito-żółtawa zamiast powietrza; koloryt brutalny, jaskrawy; fałszywe i twarde tony pomieszane bez najmniejszego poczucia harmonii. Na pejzażach gazony nadnaturalnéj, papuziej zieloności, trawki błyszczące jak ostrza scyzoryków, krwiste maki, zachody słońca przypominające ognie sztuczne. — *Ruskins*, przyjaciel Turnera, pisarz uczony i oryginalny, dorobił teoryę do artystycznéj praktyki angielskich malarzy. Podług niego malarz powinien najprzód wziąść sobie za zasadę prawdę realną i starać się o wierne oddanie szczegółów, przenosić na płótno rozmaite gatunki gruntu, skał, rozmaite formy obłoków, rośliny, z wiernością geologiczną, mineralogiczną i botaniczną, — czyli po prostu mówiąc winien

stać się apparatem fotograficznym. Tycyana chwali głównie za skrupulatne wymalowanie jakiegoś storczyka, aquilegii i *capparis spinoza w Bachusie z Aryadną;* Rafaela za *crambe maritima w Cudownym połowie.* Pejzażyści dawniejsi: Claude Lorrain, Poussin, Salvator Roza, Van Cuyp, Berghem, Ruisdael, Teniers, Paweł Potter, mieli w jego oczach tylko zręczność mechaniczną i dążyli jedynie do popisania się z tą zręcznością. Backhuysen, Van Ostade, spotwarzyli morze. Utrzymuje iż monarcha pragnący oddać wielką zasługę sztuce, powinien by zacząć od tego, aby zebrać wszystkie tego rodzaju płótna i spalić.

Włochom zarzuca lubowanie się w pięknie cielesnem Rafaelowi wymawia, że poniżył religię, która przed nim była celem sztuki, a po nim została środkiem oddanym na jéj rozkazy, wspólnie z mitologią pretekstem do roztaczania nagości, skróceń i materyalnych powabów kolorytu. Wracając się do wyżéj wspomnionego kartonu Rafaela, krytykuje gładko uczesane włosy i czyste sandały ludzi, którzy przepędzili całą noc na wodzie; odzież niewygodną dla rybaków, wlokące się płaszcze z frandzlami, postać Piotra klęczącego z kluczami, ustawienie Apostołów na jednéj linii, w końcu pejzaż czysto włoski, pełen kościołów i wilii. „Wiara w prawdziwość cudownego zdarzenia „rozwiewa się zupełnie, bo wszelkie pojęcia ludzkie znajdują „się w sprzeczności z tą mieszaniną postaw, draperyi, musz„kularnych członków i fryzowanych głów greckich filozofów". W św. Pawle widzi Herkulesa w zamyśleniu, opartego na mieczu zdobywcy, i dodaje że żaden malarz jeszcze nigdy nie wymalował św, Pawła prawdziwego „małego i brzydkiego żyda" jak się o nim wyraża Renan.

Dział angielski na tegoroczněj wystawie międzynarodowéj, przekonywa jak szeroko teorye Ruskinsa są upowszechnione między malarzami na wyspie. Znośne płótno jest literalnie wyjątkiem, a nie ma nic coby zwracało uwagę. Belgia i Niemcy, jak zwykle, dostarczyły znaczną ilość obrazów przecięciowo dobrych, tylko nic między niemi nie wyrosło nad pewien poziom. Wojna nie pozwoliła Francyi zrobić znacznych nadsyłek; przepyszna *Marya Antoinetta idąca na śmierć* Delarocha świadczy o szlachetnym kierunku dawniejszéj sztuki francuzkiéj, która dziś spadła na ostatnie szczeble realizmu i wy-

daje potwory obrzydliwe tego rodzaju, jak *Le Décapité* p. Regnault [1]). Proszę sobie wystawić rodzaj wązkiéj estrady o kilku stopniach, z makatą w głębi; olbrzymi Turek połą sukni ociera miecz skrwawiony, u nóg jego leży w rzucie prostopadłym tułów bez głowy, głowa potoczyła się po wschodach, na pierwszym planie, na stopniach duże ogromne kałuże krwi świeżéj, dymiącéj, których brzegi dopiero krzepnąć poczynają. Widziałem ludzi dotykających palcami téj krwi, z taką prawdą jest namalowane. Artysta zapewne w szlachtuzie robił studya do swego obrazu, to téż nic obrzydliwszego wystawić sobie nie można.

W tym samym salonie króluje i błyszczy *Unia* p. Matejki. Pierwszy to raz spotkałem się z tym dziełem krakowskiego artysty; winienem mu podziękowanie za chwilę szczeréj radości i zadowolenia dumy narodowéj, jakiego doznałem na widok jego kompozycyi, przewyższającéj o wiele głów całą wystawę. Zdaje mi się, że *Unia* równie jak i p. Matejko dotąd nie była ocenioną podług rzeczywistéj wartości. Francuzi porównywają p. Matejkę z Brukselskim Gallait, ale niech mi wybaczą, Gallait Matejce dochodzi ledwie do kolan. Nie ma ani jego daru kompozycyi, ani jego życia, ani jego kolorytu. Pokrewieństwo oparte na fioletowéj barwie, jest tylko przyznawaniem się do kuzynostwa. Nasi krytycy, tak skorzy do chwalenia rodzimych mierności, o ile sobie przypominam, nie umieli przeczuć p. Matejki w początkach zawodu, późniéj przyznając oczywiste zalety, robili mu *des querelles d'Allemand* to o krzyż w ręku króla, to o portretowanie znanych figur miejscowych, to o tendencye historyozoficzne. Tylu bazgraczy wyszło na znakomitości dzięki łaskawemu pobłażaniu i artystycznemu chauvinizmowi tych, co opinię w rzeczach sztuki fabrykują, ale nikt nie chciał wypowiedzieć prostego faktu, że nasz malarz krakowski jest jednym z najpierwszych malarzy współczesnych w Europie, jedynym polskim malarzem, który już odtąd należy do przyszłości, bo choćby zostawił po sobie tylko *Skargę* i *Unię*, to jeszcze ma prawo do nazwiska Veroneza XIX wieku

Henryk Lisicki.

---

[1]) Dzienniki donoszą, że ten obraz został zakupiony przez Dyrekcyę sztuk pięknych do Luksemburga.

Przegląd literacki i bibliograficzny.

Boje Polskie przez K. S. Bodzantowicza. Poznań nakład i druk J. K. Żupańskiego 1871.

„Z Estetyki i z Życia“ napisał Władysław Łoziński. Lwów nakład Seyfartha i Czajkowskiego 1872.

Dwie książki, które wyszły w samą porę, jak żeby umyślnie na to żeby zamknąć usta tym co się lubią skarżyć, że nasi pisarze nie dostarczają im książek, które dałyby się czytać przyjemnie i łatwo, a nie były przecież powieściami. Dzieło obszerne, poważne, naukowe, nie może być wziętém do czytania wspólnego, zanadto trudzi: powieść? powieść, niestety, najczęściéj nudzi: „Szkiców historycznych“ całe życie czytać nie można, już i tak umiemy je na pamięć. A tymczasem zima, śnieg, zawierucha, ani to wyjść, ani wyjechać, wieczory długie bez końca: dajcież nam coś takiego coby można czytać zszedłszy się razem a coby nie było czcze i puste, coby nasuwało jakąś myśl, jakąś uwagę lub wspomnienie, nad czemby zastanowić się było można, a o czem pomówić byłoby warto.

Właśnie takie są te dwie książki, których tytuły wypisaliśmy powyżéj. Jedna z nich, to nowe dzieło pisarza, którego wszystkie poprzednie spotykały się z przyjęciem najlepszém. „Rodziną konfederatów“ tak się K. S. Bodzantowicz zalecił czytającéj publiczności, tak jéj się umiał podobać, że od tego czasu chwyta ona ciekawie każdy jego utwór w nadziei że znajdzie w nim wielki i niezapomniany wdzięk pierwszego. Najnowszy „Boje Polskie“, nie jest powieścią: nie ma tu ani bohaterów ani bohaterek, ani zawikłania, ani zakończenia, jest to zbiór scen i opowiadań z wojskowego życia, z których każde mogłoby być małą całością dla siebie. Razem zebrane, składają zapas nie ubogi wspomnień pięknych i zajmujących, ciekawych przygód

żołnierskich, zadziwiających prawdziwie bohaterskich czynów waleczności, lub znowu zabawnych anegdot, albo szczegółów zapomnianych przez historyę a przecież godnych pamięci. Wszystko to opowiedziane jak ten autor zwykł opowiadać, po prostu, a obrazowo i plastycznie, z humorem gdzie humor jest na swojém miejscu, z przyjęciem gdzie rzecz opowiadana jest piękną lub smutną, stanowi książkę, którą i przeczyta się miło, i materyi do uwag i reflexyi może dostarczyć.

Autor, którego wyobraźnia z największém upodobaniem zajmuje się rycerskiemi postaciami i dziełami, który jeżeli porzuca konfederatów barskich, to tylko dla żołnierzy Kościuszkowskich albo dla Legionistów, i tym razem nie wyszedł z ulubionéj swojéj sfery, tylko tym razem przeniósł się w czasy bliższe, Barszczanów i Legionistów wspomniał na wstępie, a spisał różne przygody i dzieła waleczne Napoleońskich i żołnierzy z r. 1830. Posiadając niewyczerpany zasób dawnych opowieści i tradycyi, pamiętając ludzi, którzy jeszcze znali konfederatów a w legionach służyli, sam świadek i uczestnik wojny roku 31go, autor patrząc ze czcią i z miłością na męztwo i jego czyny, dostrzegł w tym szeregu „Polskich Bojów“ jednego faktu, który się u nich częste (zbyt często niestety) powtarza, to jest, że żołnierz polski, zwykle od swego nieprzyjaciela mniéj liczny, przecież odwagą i walecznością swoją, odnosił częstokroć świetne zwycięztwa. I takie to wypadki, takie przykłady bohaterstwa, opisuje przedewszystkiém książka napisana jak żeby na chwałę ludzi dawnych, może na upomnienie dzisiejszym.

Grunwald, Orsza, Wielkie Łuki, Kirchholm, Czarniecki, król Jan, wszystko to przykłady zwycięztw odniesionych mniejszemi siłami. Konfederacya Barska i powstanie Kościuszki, przykłady choć nie zwycięztwa, ale wojny prowadzonéj świetnie przeciw całéj nierówności środków, a ten wstęp, ten rzut oka wstecz na dawne boje nierówne a bohaterskie, zamyka świetnie cudowna prawie szarża ułanów, Somosierra.

Następują potem różne przygody z wojen Napoleońskich nie bitwy, ale z tych bitw wyrwane epizody, czyny poszczególnych żołnierzy polskich pod Mozajskiem, pod Lützen, pod Lipskiem, szczegóły zbyt drobne żeby mogły były znaleźć miejsce w historyi, ale dla polskiego czytelnika nie obojętne. Bardzo ciekawa między innemi i już prawdziwie na romans zakrawająca jest przygoda Kamienieckiego adjutanta ks. Józefa, któremu rozkazano eskortować z Krakowa do granicy Wołyńskiéj (rok 1810) oficera rosyjskiego Panina, a po drodze wykraść mu depesze, które wiózł do cesarza Aleksandra. Młody oficer polski spełnił polecenie, ale w lat kilka późniéj, znajdując się w Petersburgu z W. ks. Konstantym, na jakiéjś mustrze ujrzał tego samego Panina przez siebie zdradzonego a swojego niegdyś przyjaciela, prostym żołnierzem, zdegradowanym za to że owéj ex-

pedycyi nie doręczył. Dodać trzeba czemprędzéj, że wstawieniem się do W. księcia, udało się Kamienieckiemu wyjednać u Cesarza Aleksandra zniesienie kary i przywrócenie Panina do stopni oficerskich.

W przerwie pomiędzy upadkiem Napoleona a powstaniem Listopadowem, miał autor ciekawą wiadomość o sposobie jaki wymyślił Krzyżanowski na to, żeby bez zwrócenia uwagi Wgo księcia i policyi, znosił się z przysłanym do porozumienia od spiskowych rossyjskich Bestużewem. Oto wyzwał go na pojedynek, sam siebie ranił na placu, a potem już Bestużew mógł go odwiedzać bezpiecznie nieściągając na siebie podejrzenia, bo najprostsza przyzwoitość nakazywała mu być uprzejmym dla przeciwnika, który leżał z rany przez niego niby zadanéj.

Różne poszczególne czyny męztwa z bitw pod Grochowem pod Stoczkiem, pod Wawrem, pod Iganiami, to jak żeby pamiętnikowy dodatek do historyi kampanii 31go roku. Zajmują tu przed innymi szczegóły o udziale jaki brał w téj wojnie Jenerał Henryk Kamiński, z którym autora łączyły blizkie związki rodzinne, i jego śmierć pod Ostrołęką, daléj dany jest opis powstania Wołyńskiego, (ułożony ze źródeł dawniéj znanych jak Aleks. Jełowickiego „Wspomnienia" i „Pamiętnik" Karola Różyckiego) pomiędzy tém epizodycznie wtrącone przygody żołnierza naprzykład zwanego w pułku Faustynkiem, Czecha, dojeżdżacza i strzelca, który oficerów rosyjskich podchodził i strzelał jak kaczki, albo bardzo zajmujące przygody autora samego, kiedy podjął się na ochotnika zawieźć depesze Jenerała Giełguda do Warszawy, od któréj dzieliła ich cała armia rossyjska, i po różnych przejściach podobnych do ucieczki Leszczyńskiego z Gdańska, dostał się szczęśliwie na miejsce.

To co tu zastał, było smutne. Trafił na dzień 15go Sierpnia: a exekucye te, opowiedziane przez naocznego świadka, z żywém odbiciem wrażenia jakie na nim zrobiły przed laty czterdziestu, robią i na czytelniku wrażenie przejmujące: widzi się w tém opowiadaniu anarchię bezmyślną i krwawą zwykłą towarzyszkę i zwiastunkę przegranéj, zapowiedź dnia upadku. I na tych to smutnych scenach, w których opisie znaleźliśmy nieznany podobno szczegół o sposobie jakim Kże Adam Czartoryski dostał się z Warszawy do głównéj kwatery, kończy się książka. Potém już tylko wzięcie Warszawy opowiedziane krótko, wymarsz wojska— dalej nie było już co opowiadać.

Żadna książka, a przecież czyta się ją ze smutkiem. Dla czego? powinnoby się raczéj czytać ją z dumą, to wszystko co autor opisuje, to czyny odwagi i męztwa to prawda, prawda że żołnierz polski mniéj liczny zwyciężał po wielekroć silniejszych nieprzyjaciół. Prawda: ale jeżeli mógł tak zwyciężać siłami nierównemi to czegóż nie byłby dokazał przy równych siłach? I dla czego nigdy w równéj sile nie walczył? dla czego o tę równość sił i

liczbę nikt się stale i na prawdę nie troszczył? Konfederatom, Kościuszce, 30go roku trudno z tego robić zarzut, oni sił równych mieć nie mogli. Ale dawniéj, za Rzpltéj co przeszkadzało? Nic, tylko nasza nieszczęsna natura. A gdyby Zamoyski i Czarniecki byli w swoim czasie wojowali siłami równemi, to mielibyśmy może mniéj zadziwiających czynów rycerskiego i poetycznego bohaterstwa, ale Puławski, Kościuszko, Skrzynecki, nie byliby potrzebowali walczyć mniejszemi siłami, i bez zwycięztwa.

Pan Władysław Łoziński i jego książka „Z Estetyki i z Życia" przenoszą nas w świat inny: tu nie odwaga i męztwo, nie boje i pobojowiska, ale kwestye życia umysłowego, rozum, wysokie wykształcenie, szlachetna ogłada, dowcip, ich właściwa szermierka, rozmowa, ich plac boju, salon, to są rzeczy, o których młody autor mówi w seryi publicznych odczytów, które ogłoszone razem złożyły tę książkę ładną i zajmującą.

Czytelnik któryby nie lubił filozoficznych spekulacyi, niech się nie daje wprowadzić w błąd i odstraszyć tytułem. Ten rzeczywiście, widocznie późniéj dorobiony, nie daje z góry domyśleć się tego co się w księdze znajduje. Na jego wiarę możnaby odgadywać że znajdzie się w niéj parę oderwanych traktatów w przedmiotach estetyki i kilka illustracyi, przykładów lub kontrastów z życia. Odgadłoby się mylnie. Filozofii, dociekań, teoryi, definicyi, i tym podobnych ciężko naukowych przyborów nie ma tu wcale, a tytuł „z Estetyki i z Życia" usprawiedliwiony jest tém, że autor stawia sobie pytanie, czy nasze życie powszednie może być estetycznie ładném przynajmniéj jeżeli nie pięknem? czy jest takiém? dla czego nie jest? czy kiedyś w przeszłości było piękniejszém i dla czego? wreszcie czy możemy i co możemy zrobić na to, żeby to potoczne nasze życie było szlachetném, godném istot rozumnych, estetycznem?

Pytanie śmiałe: a niech nam wolno będzie powiedzieć na wstępie, żeśmy je powitali z prawdziwą radością. Tak rzadko w naszéj literaturze potocznéj, lżejszéj, zdarza się znaleźć jakąś myśl świeżą! jakąś myśl, nad którą pomyśleć byłoby warto. Poważni uczeni szukają prawd nowych historycznych lub naukowych i znajdują je, to wiemy, i za to dziękujemy Bogu; ale nasza literatura lżejsza, która lubi żeby jéj dawano przydomek pięknéj, jakże ta od lat i dziesiątków lat obraca się w tém samém zawsze kole, tych samych zawsze wyobrażeń politycznych, literackich, społecznych i wszystkich innych powtórzonych sto razy myśli, uczuć wyrażonych na ten sam sposób, kwestyi lub typów rozpaczliwie zużytych, a najczęściéj na ten sam zawsze sposób bezbarwny, konwencyonalny, oklepany, obrabianych. Dostać do ręki książkę w przedmiocie świeżym, którego nie wygrywały jeszcze wszystkie katarynki, to wielka łaska losu, to jakżeby długo zamknięty w tym samym pokoju przeszedł człowiek do innego i odetchnął inném powietrzem.

Z góry więc honor i wdzięczność autorowi, że znalazł sposób, mówić o rzeczy, która u nas przynajmniéj, jest prawie zupełnie świéżą i nietkniętą. W rozmowie nieraz zdarzy się słyszeć narzekanie na jednostajną bezbarwność naszego potocznego, towarzyskiego życia, na jego prozaiczność, nie estetyczność: w piśmie nie pamiętamy, żeby kto był roztrząsał pytanie, dla czego dziś tak jest, dla czego dawniéj było inaczéj, i czy znowu kiedyś inaczéj być może. A te pytania porusza i roztrząsa pan Ł. w dziełku pełném spostrzeżeń trafnych, napisanem bardzo ładnie, stylem żywym, obrazowym, a co najrzadsze własnym.

Porusza i roztrząsa — nie rozwiązuje. Czy mu zabrakło zdolności lub wiadomości po temu? Bynajmniéj: po prostu dla tego że pytanie to zupełnie rozwiązaném być nie może, sekretu na związek potocznego życia z estetyką, z poezyą, a tém mniéj przepisu na ten związek, nie na dziś w naszym wieku prozaicznym, jak go nie było w nojromantyczniejszych, jak go nie będzie nigdy. Związek ten, wdzięk i polor życia, zależy od jednéj rzeczy niezależnéj ani od naszéj woli, ani od naszego wychowania, ani od naszego otoczenia. Komuż się nie zdarzyło, w środku naszego dziewietnastego wieku spotkać ludzi i żywotów prawdziwie estetycznych, pięknych nie moralnie ale artystycznie nawet, kobiet zwłaszcza, które wszystkiemu czego się tknęły umiały nadać wdzięk i harmonię. Tak samo, bywały dawniéj istoty, i musiała ich być większość, która na tle najromantyczniejszego otoczenia zdarzeń, ludzi i form, wiodły żywot ciężki i płaski. Nie, temu nie winien ani nasz wiek, ani nasze wychowanie, i zastanawiając się nad temi kwestyami, przychodzi się do przekonania, że poezya, estetyka naszego życia nie jest ani w społeczeństwie, ani w wypadkach, ani w naturze, które nas otaczają, ale w nas samych. I ma ją ten co się z nią urodził: kto nie, temu próżno o niéj mówić, on jéj nie dostanie, nie kupi, nie wyuczy się, nawet nie zrozumie.

Autor, który się na to nasze zdanie pewnie zgodzi, może pomieszał cokolwiek estetyczność życia z jego malowniczością? Pod tym względem zgoda zupełna: Grek, Rzymianin, rycerz, trubadur, patrycyusz wenecki, husarz polski, był malowniczo, obrazowo piękny, kiedy syn XIX wieku w swoich sukniach bez koloru i formy jest prawie tak malowniczy jak Eskimos. Ale jeżeli przez estetyczność życia rozumiemy pewną harmonię ogłady i cywilizacyi, pewne staranne i systematyczne we wszystkiem unikanie tego, co brzydkie, grube i płaskie, to kto wie, czy téj estetyki wewnętrznéj, nie tak widocznéj i malowniczéj, ale rzeczywistszéj i potrzebniejszéj, nie mamy więcéj od naszych przodków. Grek, którego znamy z posągów i z Homera wydaje nam się najpiękniejszą istotą ludzką, ale zobaczmy go w rzeczywistości jego potocznego życia, wyobraźmy sobie tego półboga marmurowego, który jest tak idealnie piękny, człowiekiem żywym żyjącym tak

jak żyją bohaterowie Homera i typy Arystofana, czy w swojém życiu potocznem, w swoich obyczajach nie będzie on mniéj od nas estetycznym? Albo ten przepyszny młody magnat polski lśniący od złota i kamieni, połyskujący jaskrawemi kolorami axamitów i atłasów, który się nosi z taką fantazyą że każdy jego krok wydaje „lwią śmiałość i senatorską wspaniałość“ . . . on jadł zawiele, on zawiele pił, on spadał pod stół, miewał czkawkę itd. itd. nie mówiąc o tém, że swego giermka targał za uszy częściéj daleko niż się to teraz dziać zwykło, że damy zabawiał żartami jakich dziś niktby sobie nie śmiał pozwolić. Co więcéj, wiek XVIII uchodzi za ogładzony, światowy, elegancki jak żaden, z nim zginęła tradycya wykwintnego wychowania, pięknego ułożenia, rozmowy, dowcipu— tak, ale jak sobie przypomnieć, że dla tych wszystkich niezrównanych pań i panów koronki były potrzebą daleko konieczniejszą niż bielizna i żepodobno częściéj się zmieniały, że „Madame“ bratowa Ludwika XIV dała publicznie w twarz swojéj synowicy, że książ.ę Vendôme, jeden z pomiędzy wielu, patrz w Pamiętnikach St Simon jak przyjmował wizyty, to doprawdy, trzeba chyba przyznać, że pod prozaiczną powierzchownością człowieka naszego wieku, prawdziwego estetycznego zmysłu i wychowania kryje się może więcéj, tylko to się kryje, tylko my sami może o tém nie wiemy, w każdym razie nie dość o to dbamy.

O to téż właśnie chodzi autorowi naszéj książki. On chce żebyśmy o to dbali, żebyśmy we wszystkiem, w obyczajach w formach towarzyskich, w rozmowie, w sprzętach, w mieszkaniach, nawet w ubiorze, starali się nasze życie uszlachetnić, zrobić je pięknem. Pragnęlibyśmy tego tak szczerze jak on: a choć naszém zdaniem pragnienie to nie urzeczywistni się nigdy, bo ta zdolność estetycznego życia będzie zawsze tylko darem organizacyi szczególnie szlachetnych i dalikalnych to przecież zgodzimy się chętnie na to że, niektóre z tych środków uszlachetnienia potocznego życia jakie on podaje, mogą się do tego znacznie przyczynić.

Naprzykład salon. On to, podług p. Ł. miałby być taką szkołą estetycznego i dobrego wychowania. Nie podobny naturalnie w niczem do pedantycznej szkoły, ani do pedantycznych i pretensyonalnych salonów literackich, mógłby być ogniskiem życia rozumnego, uszlachetniać ludzi, ich obyczaj, układ, rozmowę i potrzeby. Ta wielka prawda: nie łatwo to, bo salon taki żeby wywierać wpływ, musiałby przedewszystkiem zapanować nad innemi, narzucić im swój przykład, stworzyć modą. Nie mówiąc już o tem, że takie światowe królestwo wymagałoby i wielkiej w świecie powagi i osobnego daru prowadzenia domu, (bo to warunki nie rzadko spotkać można w połączeniu), to jest jeszcze ta trudność ogromna, że salon taki, jeżeliby miał być prawdziwie różnym i wyższym od innych, musiałby być

wyłącznym i ograniczonym, a w takim razie wpływ jego nie sięgałby daleko. Jednak nie ma wątpliwości, że takich przybytków i wzorów dobrego wychowania, rozumnéj rozmowy, smaku, choćby kilka rozrzuconych po kraju, mogłoby podnieść, uszlachetnić, ucywilizować choć po mału i po części nasze życie towarzyskie, istotnie dziś podupadłe i cokolwiek zdziczałe.

Autor sam przekonany o prawdzie tego co mówi, chce i nas przekonać przykładami: przypomina znaczenie dawnych salonów we Francyi i wpływ prawdziwie dobroczynny i cywilizacyjny jaki w swoim czasie wywierały w Polsce Puławy, gdzie jak wiadomo „nie można było być głupim.“ Przeciw tym wszystkim przykładom nie mamy nic zgoła, przecież, uważamy je za słabą stronę książki, któréj usterki pozwalamy sobie wytykać właśnie dla tego że nie ważymy lekko ani jej, ani talentu jéj autora. Otóż, że o sławnych salonach francuskich począwszy od hotelu Rambouillet aż do pani Recamier pan Ł. powiedział tylko rzeczy powszechnie znane, o niemieckich Racheli Lewin to tylko w skróceniu cośmy czytali niedawno w *Revue de deux mondes* (*la societé de Berlin.*) mniejsza o to, choć pomiędzy temi rzeczami znanemi jeszcze można było wybrać ciekawsze, więcéj charakterystyczne. Ale przechodząc do życia towarzyskiego w Polsce, należało kiedy już autor chciał o niem mówić, powiedzieć więcéj i dokładniéj. Po co było naprzykład powtarzać po raz tysięczny rzeczy aże nadto wiadome o świątyni Sybilli, domu Gotyckim, Delillu w Puławach i t. d. Lepiéj było postarać się o dokładną znajomość osób które to kółko towarzyskie składały, i te odrysować z właściwą każdéj fizyognomią. Kto o tych czasach i ludziach wie mało, ten zapewne poweźmie o nich z naszéj książki pewne wyobrażenie zgodne z prawdą, ale kto je zna cokolwiek lepiéj, ten znajdzie tu same tylko elementarne najogólniejsze wiadomości tak o Puławach samych jak i o całem życiu towarzyskim w Polsce przed laty stu lub pięćdziesięcioma jeszcze.

I to jest największa naszem zdaniem wada książki. Znać po niej że powstała przypadkowo, prawie nie chcący, z odczytów. Odczyty musiały mieć powodzenie, i bardzo słuszne, i stały się książką: ale to samo co w odczycie przeszło niepostrzeżone, owszem mogło się bardzo podobać, w książce wydaje się cokolwiek pobieżném, niedostatecznem, powierzchownem, dla téj prostéj przyczyny, że *verba volant*, a *scripta manent*, że każdy ma czas nad niemi się namyślać. Gdyby autor był chciał dać obraz towarzyskiego życia w Polsce, lub jego historyę, to te wiadomości, jakie o niém miał i złożył w swojéj książce, wystarczyłyby zaledwo na początek, na podstawę takiego studyum, ale potrzebowałyby uzupełnienia. Prawda że tego nie chciał: jego założenie było skromniejsze.

Czy kiedyś nie zechce? Pragnęlibyśmy szczérze, bo przedmiot ciekawy i godzien pracy, a pisarz zdaje nam się wybornie

do niéj usposobionym. Przedewszystkiém ma p. Ł. widoczne zamiłowanie téj strony życia, powtore ma znajomość niezwykłą Polski porozbiorowéj z różnych objawów jéj życia, jak tego dowodzą n. p. jego Pierwsi Galicyanie, wreszcie ma szczęśliwy dar odgadwyania i odtwarzania właściwéj fizyognomii ludzi, a wreszcie ma i drugi jeszcze dar szczęśliwy, umie słowami cieniować, malować, modelować. Czy z tymi przymiotami mógłby pisać historyę Polski porozbiorowéj? nie wiem, ale z pewnością mógłby dać obraz i historyę jéj życia towarzyskiego. A nie byłaby to wcale rzecz błaha i lekka, taka książka o pięknych paniach, modnych kawalerach i ich życiu: sama poważna Klio znalazłaby w niéj swoją korzyść. „*Cousin*“ nie uważał za rzecz niegodną siebie napisać historyę pani de Chevreuse albo księżnéj Longueville: na mniejszą skalę książka, w któréj przesuwałyby się jedna po drugiéj damy polskie XVIII wieku, począwszy od dworu Augusta III, panie Brühlowe, Mniszkowa, Potockie, Franciszka Krasińska, księżna Augustowa Czartoryska, a przed wszystkiemi Konstancya Poniatowska, późniéj jéj córka pani Krakowska, hetmanowa Ogińska, kasztelanowa Kamińska, księżna jenerałowa Czartoryska, księżna marszałkowa Lubomirska, ta piérwsza młodzieńcza miłość Stanisława Augusta, potém jéj córki i zięciowie, byłaby i niezmiernie zajmującém czytaniem, i nie obojętnym wcale przyczynkiem do historyi polskiéj. Późniéj, za Królestwa kongresowego, jeszcze wielka obfitość i rozmaitość zajmujących postaci: stara kasztelanowa Połaniecka, pani Zamojska królująca w Warszawie godnością i cnotą jak wdziękiem i pięknością, już w późniejszych latach przyćmiewająca wszystkie, nawet własne córki: pani Wąsowiczowa walcząca nieustannie o to berło swoim dowcipem i żywą wyobraźnią, pani Rozalia Rzewuska, pani Sobolewska, księżna Michałowa Radziwiłłowa, co to pięknych lub zajmujących postaci kobiecych do opisania. A choćby wreszcie i księżna Łowicka z głową cokolwiek rozmarzoną i romansową, otoczona zawsze rojem wielbicieli, których zawsze odstraszał jéj szczupły posag, ze swojém zamężciem tak dziwném i dziwniejszém jeszcze na prawdę podobno szczęśliwém pożyciem z Wielkim Księciem, z sercem dobrém z charakterem silniejszym niż się na pozór zdawało, z uczuciem polskiém w duszy, które jéj kazało zapisać majątek królowi polskiemu, ktokolwiek nim kiedy będzie, a nie byłoby to warto i nie byłoby pięknie te wszystkie figury schwytać, odrysować ich wizerunki i uratować je od zapomnienia.

A spieszyć się trzeba: jest *periculum in mora*. Dziś jeszcze są ludzie, którzy wiele słyszeli, wiele znali, wiele pamiętają, jeszcze żywa tradycya tych czasów nie zaginęła. Ale takich ludzi coraz mniéj, a jak ich zabraknie, to przyszłe pokolenie tak się będzie z dziwieniem dowiadywało o potoczném i towarzyskiém życiu z początku naszego wieku i końca zeszłego, jak my dowiadujemy się o wygrzebanych świéżo z pod „niepamięci piasku“

córkach Zygmunta Starego, będzie znało imiona tylko, ale jak wyglądali ludzie, którzy te imiona nosili, o tém wiedzieć nie będzie.

Doprawdy praca taka byłaby godną podjęcia, a materyały do niéj, oprócz drukowanych pamiętników przecieby się znalazły. Bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy książki takiéj spodziewać się mogli od pana Łozińskiego. Ale zanim ją napisze, polecamy tymczasem bardzo tę którą świéżo napisał. Wytknęliśmy szczérze to, co się nam w niéj niedoskonałém wydało, teraz powiedzmy równie szczérze, że nam się bardzo podobała.

Czytelnicy nasi niech sądzą, czy mamy słuszność, a przeczytawszy ją, i znalazłszy w niéj niejeden temat do długiéj i zajmującéj rozmowy lub dyskussyi, niech powiedzą, czy nie jest to właśnie jedna z tych książek, za któremi tak często wzdychamy, w czytaniu miła i wdzięczna, a dla umysłu pożywna i zdrowa.

St. Tarnowski.

Beiträge zur Beantwortung der Frage nach der Nationalität des Nicolaus Copernicus von R(ömmer) Breslau. Priebatschs Buchhandlung 1872 8-vo str. 212.

Od lat pięćdziesięciu prawie toczy się namiętny spór między Polakami i Niemcami o narodowość Kopernika, oba narody rewindykują go sobie, jak niegdyś siedm miast greckich siliły się na dowody, że wielki piewca i ozdoba Grecyi był ich współobywatelem. Kwestyę tę dziś rozstrzygnąć trudno, narodowość jest wynikiem wychowania domowego i publicznego, i tego jeszcze za ogólne prawidło uważać nie można. W Galicyi przed laty dwudziestu kilka wychowanie publiczne było niemieckie, a ileż to rodzin niemieckich mimo że domowe ich wychowanie było także niemieckiém, spolszczyło się, i dzisiaj albo oni sami, albo ich dzieci są najgoręcéj szymi rzecznikami sprawy polskiéj. Narodowość ostatecznie jest rzeczą uczucia; jest się Polakiem, ba się ktoś Polakiem być czuje, a dlaczego się nim być czuje, na to racyonalnych przyczyn wskazać nie można. Nie pochodzenie, nie język, nie tradycye stanowią i rozstrzygają o narodowości w indywiduach, ale właśnie to uczucie, o którém dopiero co mówiliśmy.

Napoleon I rodem, wychowaniem domowém, tradycyą familijną, imieniem należał bez wątpienia do narodowości włoskiéj i po tych czynnikach składających się na narodowość trzebaby go koniecznie do włoskiéj narodowości policzyć, że się on jednak za Włocha nie uważał tylko za Francuza i że cały świat go za takiego uważa, dowiódł uczuciem i czynami. Takich przykładów możnaby liczyć na tysiące.

Za członka jakiéj narodowości, jakiego społeczeństwa uważał się Kopernik, mógłby on tylko sam nas objaśnić, niestety takiego kompetentnego świadectwa świat się już nie doczeka, pozostają tylko objawy zewnętrzne jego życia i działania i z tych nam o jego narodowości orzec wypadnie. Książka p. R. zawiera pod tym względem nieocenione szczegóły świadczące na korzyść pretensyi polskich do Kopernika. Że Kopernik był Polakiem, pisali o tém: Krzyżanowski, Szulc, Bartoszewicz i inni, praca żadnego z nich nie może iść w porównanie, tak co do szczegółów, jak bystrości rozumowania i sądu z niniejszém dziełem. Sądzimy, że dr. Prowe najdzielniejszy szermierz w obronie narodowości niemieckiéj Kopernika przeczytawszy tę pracę, jeżeli jest człowiekiem dobréj wiary, uzna, że przytoczone argumenta p. R. bardziéj świadczą o narodowości polskiéj Kopernika, niż argumenta jego o niemieckiéj.

Kopernik, jak wiadomo, urodził się w Toruniu, ziemi chełmińskiéj, autor naprzód historycznie dowodzi, że ziemia ta stanowiła od najdawniejszych czasów część integralną Mazowsza, a więc przez Polaków była zamieszkaną; podbojem, zdradą i podstępem dostawszy się pod panowanie krzyżackie, traktatem toruńskim z r. 1554 powróciła napowrót do Polski. Oto piérwszy fakt że Kopernik urodził się na ziemi czysto i odwieczno polskiéj. Za panowania krzyżackiego Toruń był wprawdzie mocno zniemczonym, ale Kopernik nie był autochtonem toruńskim, ojciec jego przesiedlił się z Krakowa, na to są dowody w księgach miejskich toruńskich i świadectwo Zerneckego Niemca pruskiego, żyjącego przy schyłku 18 wieku, a który wyraźnie pisze, że ojciec astronoma pochodził z Krakowa, miasta już wówczas przeważnie przez ludność polską zamieszkałego, do tego stopnia, że kiedy za ostatnich Piastów i piérwszych Jagiellonów wszystkie kościoły były w rękach niemieckich z wyjątkiem kościoła św. Barbary, gdzie co niedziela odbywały się kazania polskie, za Zygmunta I syna Kaźmierzowego, pod którego panowaniem urodził się Kopernik, można już było wszystkie kościoły oddać Polakom, zostawiając tylko tenże sam kościół św. Barbary na użytek Niemcom. W aktach miejskich krakowskich, wyraźnie stoi, że Mikołaj Kopernik w r. 1396 obywatelstwo krakowskie otrzymał, przesiedliwszy się tutaj z Frankensteinu na Szląsku, gdzie w pobliżu istnieje wieś Koperniki, a więc także z ziemi wówczas polskiéj. Ojczystym językiem Kopernika musiał być prawdopodobnie język polski, co zupełnie nie wyklucza, że i język niemiecki był mu znany. Za pochodzeniem Kopernika z Krakowa świadczy jeszcze i ta okoliczność, że w czasach Jana Kaźmierza żyli jeszcze Kopernikowie w tym grodzie. To drugi fakt przemawiający za narodowością polską Kopernika. Trzeci dowód polskości Kopernika jest w brzmieniu jego imienia; nazwy miejscowości i osób tego brzmienia tak w Polsce, jak i w innych

krajach słowiańskich znachodzą się bardzo często; de Kopernig nazywała się szlachecka rodzina w Czechach. Czwartym dowodem jest uczęszczanie jego do akademii krakowskiéj, dokąd poczucie polskości musiało jego krokami kierować, gdyby się był czuł Niemcem, zapewnie dałby piérwszeństwo piérwszemu lepszemu uniwersytetowi niemieckiemu.

Po ukończeniu nauk we Włoszech miał nawet zamiar ubiegać się o katedrę matematyki w Krakowie, co także świadczy, że na polskiéj ziemi czuł się u siebie. Ostatnim dowodem nie mniéj wymownem jest zachowanie się jego jako obywatela i człowieka; owoż gdziekolwiek zachodziły scysye między rządem polskim i ludnością miejscową, zawsze widzimy Kopernika popierającego rząd i dążności polskie, czegoby jako Niemiec uczynić zapewnie nie chciał i nie mógł. U Starowolskiego, którego o tendencyjny wywód polskości Kopernika posądzać nie można, bo wtenczas kwestya narodowości była bardzo podrzędną, wyczytać nawet można, że u ludności niemieckiéj wielkiego miru nie miał, kiedy w Elblągu osoba i system jego planetarny publicznie na ulicy wyszydzano. W towarzyskiém życiu o ile piśmienne zabytki o tém mówią, widzimy go w przyjaźni zostającego z samymi Polakami, jak z Jakóbem z Kobylina, Bernardem Wapowskim (historykiem), Marcinem z Olkusza, Mikołajem z Szadka, Janem Dantyszkiem i innymi.

Sądzimy, że dowody te dla każdego nieuprzedzonego wystarczą, jakiéj narodowości był Kopernik, a p. Römerowi nietylko należy się wdzięczność za tę patryotyczną pracę, ale powinszować sobie musimy, że tak gruntownym i bystrym badaczem siły nasze naukowe i lierackie powiększone zostały. *L. P.*

Szwycya — Obrazki z podróży przez W. bar. Eugestrom. Książka ta powstała z odczytów miewanych w Dreznie na dobroczynne cele.

Są to oderwane obrazy z życia i przyrody przeplatane rysami obyczajowemi i pełne historycznych wspomnień. Autor odkrywa przed nami urocze a mało znane północne krajo-obrazy i dla uwydatnienia dzikiej ich piękności, to nieraz przytacza strofy szwedzkich poetów miejscowościami temi natchnięte, to znowu przypomina sobie piesni ludu i legendy, jakie w wędrówkach swych zasłyszał. Tym sposobem opowiadania i obrazy mają dużo życia, koloru i budzą w czytającym zajęcie.

Lecz autor nie jest bynajmniéj kosmopolitycznym turystą zadawalniającym się tylko malowniczemi efektami: chodzi mu także o pożytek i ma wciąż na myśli publiczności dla jakiéj obrazki swe rysuje. Nie bez słuszności zarzuca on polskim turystom, że „nieczynni i bezmyślni u siebie, bez celu błądzą po hałaśnych rozdrożach świata, zarażając obczyzną zwyczaje i ducha narodowego, trwoniąc zaczęsto czas i mienie ojczyste, a w domu

ze świata najczęściej niezrozumiane i przekrzywione prawdy, a co gorsza męty i śmiecie przynoszą.“

Opowiadania z wędrówek po Szwecyi lubo nie mają pretensyi nauczania i moralizowania odznaczają się przecież chwalebnem usiłowaniem przyniesienia czytającéj publiczności pożytku. P. Eugeltröm pamięta o tém, że kraj z którym zapoznać nas pragnie przemawia do wyobraźni naszej nie tylko urokiem krajobrazów i poezyi ale i wspomnieniem historycznem długich i krwawych walk orężnych. Pewne analogie położenia z nami, pewne podobieństwo w charakterze, klęski spadające na naród i dźwiganie się z tych klęsk własnemi siłami nastręczają autorowi wiele trzeźwych sądów i uwag. Ta Szwecya bowiem zażywająca dziś błogiego spokoju i rozumnie korzystająca ze swéj wolności miewała chwile strasznego moralnego upadku. „U góry i u dołu, powiada nam Autor, były błędy i winy wielkie! były frymarki, swawola i bezład w życiu prywatnem i politycznem. Wrzała anarchia stronnictw, doktryn i osobistych ambicyi. Z zepsuciem człowieka nastał i rozstrój narodu i spadły nań groźne od wschodu bicze sprawiedliwości Bożéj! Ale serce narodu nie było jeszcze zupełnie zgangrenowane. Zachwiany w podstawach naród nie rozszalał nie rozpróżniaczył, się jeszcze; nie upadł zupełnie! Prawda nie kłuła w oczy, nie oburzała i odezwało się w piersi sumienia i obudziła się godność człowieka. Nastał czas pracy twardéj, czas wiary, zasługi i prawdy, które stworzyły ten głos opinii publicznéj, odradzający ojczyznę, a na jej skroni tę aureolę, w któréj ją dziś widzimy; więc słusznie w Szwecyi powiadają: ze naród to człowiek a jaki człowiek taki naród.“

Nieco daléj mówi nam autor:

„W historyi szwedzkiéj spotykałem się ze wszystkiemi niemal wadami i zaletami ojczyzny naszéj. Rycerski to i butny naród! szarpany ongi prywatą, dumą możnych chwiejących tronami stronnictwami, frymarką z ościennymi wrogami, demagogią hałaśną bezsumienną i nierozważną, pokątnem knowaniem i zazdrością, bratnią. Szwecya mimo wrodzonéj natury poważnéj była lekkomyślną, rozrzutną, opiłą i rozbawioną. Dużo w jéj dziejach widno serca, otwartości i poczciwości wrodzonéj, poświęcenia i heroizmu nadzwyczaj wiele, ale mimo to więcéj roztroju i swarów domowych do miecza nie brakło nigdy ramienia, ale często, bardzo często brakło zastanowienia, myśli, rady poważnéj i instynktu politycznego!

Upadek moralny zawsze prowadził naród do upadku politycznego a z nim do apatyi, próżniactwa i ostatecznego na wszystko zobojętnienia. Taką nieraz widzieliśmy Szwecyę w przeszłości. A nad nią groźne chmury i pioruny polityczne własną zaiste winą w ojczyste progi ściągane.

Szwecya po kilkakrotnie w ostatecznym już była upadku po kilkakrotnie z rzędu narodów wymazaną być miała. Żywioł

germański zawsze i wszędzie u słabych do rozwoju gotowy, rozgospodarzył się tu i rozpanoszył wszechwładnie a rugując upadłe plemie nową już szczepił Germanję. Dania w imię skandynawizmu przemocą zasiadła jéj tron w Kalmarze. Margaretha i krwawi jéj następcy z Kopenhagi stanowili o losach ziemi Svidhowów, w imię skandynawizmu bezczeszcząc ród skandynawski, a skandynawską krwią i ziemią nieoględnie frymarcząc. Nie było znikąd promyka nadzieii. Naród zajrzał do głębi duszy, tam znalazł nadzieję i siłę, ocknął się, odrodził, stanął silny i jednolity pod sztandarami samoistnego monarchy, w którego ręku pozwolił się skoncentrować olbrzymiéj sile jedności narodowéj.

..... Ciężkie przebywszy trudy i zawody utraciwszy Finlandyę, wpływ Europejski i odpowiednią swéj rycerskości siłę wewnętrzną i powagę, poczęto ostatecznie myśleć i pracować w narodzie.... odtąd Szwecya zajaśniała nowem i oczywistem życiem narodowem, rozrosła i rozwinęła się moralnie i umysłowo, a jest jak ją widzim, narodem szczęśliwym i poważanym".

Tego rodzaju poglądy i spostrzeżenia nie rzadko natrafiające się śród opowiadań o Szwecyi, podnoszą wartość książki, która formą swą do lekkiéj literatury należy, ale która zasługuje na uwagę i takich czytelników co w literaturze ulotnéj nie tylko chwilowéj zabawy szukają.

L. K.

Pamiętniki Juliana Ursyna Niemcewicza Tom II od 1813 po 1820 roku Poznań nakładem Zupańskiego r. 1871 in 8vo stronnic 145.

Te same zalety i wady w stylu i układzie Pamiętnika jakie wytknął krytyk w tomie Iszym*) panują i w Ilgim. Autor zapisywał każdy fakt ważniejszy pod bezpośrednim jego wpływem, sąd o nim nie koniecznie można nazwać wytrawnym i niezawsze ostoi się on w obec historyi, ale za to czytelnik ma wierny obraz uczuć i wrażeń ówczesnego społeczeństwa polskiego, którego Niemcewicz był najwierniejszym przedstawicielem. Nadzieje, smutki, obawy i oburzenie narodu odczuwa czytający w tey saméj mierze jak ówcześni Polacy. Fakta i osoby skreślone są żywo i głęboko wsuwają się w pamięć i serce, czytelnik niejako identyfikuje się z autorem i w pierwszéj chwili gotów nawet kruszyć kopią w obronie jego uprzedzeń, przesady i namiętności. Do pierwszych chwil utworzenia królestwa polskiego i przedwstępnych czynności, Pamiętnik ten jest pierwszorzędnéj wartości, usuwa on także ogólnie panującą opinię o Niemcewiczu że w stosunku do Moskwy należał on do stronnictwa nieprzejednanych i robił opozycyę dla opozycyi, tak niebyło, Niemcewicz nie tylko

*) Zobacz Przegląd zeszyt wrześniowy r. 1871.

godził się na roboty ks. Czartoryskiego, ale głośno przygauiał tym, którzy ufni w gwiazdę napoleońską wytrwać chcieli przy wielkim wojowniku w ten czas nawet, gdy ta gwiazda mocno ku zachodowi chylić się poczęła i tajnem nikomu być nie mogło że dla rozbicia koalicyi gotów był cesarz w każdej chwili poświęcić Polaków i Księstwo Warszawskie. Autor mówi o zamiarach cara Aleksandra jak najprzychylniéj, podnosi trudności jakie napotykał w ich przeprowadzeniu nietylko od obcych mocarstw ale od własnych poddanych.

Myśl wskrzeszenia Polski znalazła od początku w Moskalach namiętnych przeciwników, nie mogąc odrobić kroków zarządzonych z Paryża i Wiednia starali się wlać w umysł imperatora nieufność do Polaków, wywołać zaraz na wstępie jakie zajście krwawe któreby nawiązany dopiero stosunek między carem a ludnością polską stanowczo przecięły. Car cokolwiek robił na korzyść Polski, robił to wbrew opinii moskiewskiéj, która na wiadomość o zamiarze połączenia ziem zabranych z Polską i utworzenia armii narodowéj nie w dwuznaczny sposób swóje niezadowolnienie objawiła. Byłem, pisze Niemczewicz, „w dzień ten u pana Nowosilcowa na obiedzie w Królikarni gdy rozkaz ten czytano“ rozkaz dotyczący utworzenia armii polskiéj. „Trudno jest opisać wściekłość, jaką na wieść tę zdjęci byli przytomni Moskale *Szto eto* te wojska polskie. Złość ich była tak wielką, że się z nią utaić nie mogli. Posępny był objad; po nim kupkami chodząc, lub chroniąc się do oddaleńszych pokoi, wyrzekali nad szaleństwem imperatora....“ Z pojedyńczych takich rysów rzuconych w tych zapiskach widzimy całą trudność położenia cara i Polski, tu mieści się źródło wszystkich następnych zawikłań i katastrof. Car stał między prądami dwóch sprzecznych sobie opinii, dogadzając jednéj, narażał się drugiéj, menażując obydwie, żadnéj nie zadawalniał. Prędzéj czy późniéj będzie on musiał stanąć po stronie opinii moskiewskiéj, a wtedy Polsce zostawało do wyboru jedno z dwojga: albo rzucić się w objęcia rewolucyi albo przyjąć spokojnie zamach stanu. Ze wybrała pierwsze, było rzeczą konieczną i naturalną, sama loika faktów do tego ją zmuszała. Szaleństwa. W. ks. Konstantego, który często powtarzał: *le'mpereur ne veut pas être aimé. Il ne veut qu'etre craint, je ma f.... de vous et de votre pays* rozwiązanie tego procesu przyspieszyły.

Już to Konstanty zaraz na wstępie niespodobał się Niemcewiczowi. Oto co pisze o pierwszéj audiencyi „długośmy czekali aż nakoniec otworzyły się drzwi i wybiegło zwierzątko jakieś bardzo brzydkie, obszedł w około krąg, do znajomych kilka słów powiedział etc.“ w dalszym ciągu Pamiętnika nienazywa go inaczej tylko „monstrum.“

Charakterystyka niektórych wybitniejszych osób z czasów konstytucyjnego królestwa jest nadzwyczajnie dosadna, tam szcze-

gólniéj gdzie osobista niechęć nim powodowała. Dla jenerałów Krasińskiego i Zajączka bynajmniéj ona pochlebną nie jest, dla pierwszego szczególnie był stronniczym i gani go nawet tam gdzie postępowanie jego nacechowane było najwyższą lojalnością jak naprzykład niezachwiana wierność do ostatka dla cesarza. N. stosunek ten złośliwie wystawia pisze bowiem na przedpokojach napoleońskich wykrzykiwał: „że gotów jest sztylet utopić w sercu takiego co jak on duszą i ciałem nie jest oddany Napoleonowi, że on sam gotów jedynego syna swego zabić gdyby mu to Napoleon wskazał; przy złożeniu Napoleona z tronu był on jednym z ostatnich przy cesarzu i dopiero za jego pozwoleniem oddał się całkiem imperatorowi Aleksandrowi i natychmiast od Napoleona przeniósł adoracyę do Aleksandra. Rozrzutny dary (monarchów) i majątek żony Radziwiłłównéj z domu i liczne bardzo po niéj sprzęty kosztowne strwonił, między temi nieodżałowany nigdy zbiór medalow polskich, który w Paryżu stopić kazał; drugiemu zarzuca przerzucanie się z jednéj ostateczności w drugą, w młodości był rewolucyonistą kokietującym z Robespierrem i współką na starość narzędziem najwyuzdańszego despotyzmu: „Co mi“ zawołał na sessyi ministrów 22 stycznia r. 1816, „o téj konstytucyi wspominacie, kiedy mi wielki książe każe, wywrócę ją do góry nogami, co to jest konstytucya, co to jest kraj? Niczem! Cóż ten kraj uczynił dla mnie? Te dobra co mam, dał mi cesarz Napoleon, dzisiejsze miejsce winienem Aleksandrowi, a kraj co? Kraj mi jeszcze lasy do dóbr moich dysputował. Nie konstytucyi ale cesarza Aleksandra słuchać będę i co mi jego brat rozkaże, czynić będę“. Są to te same prawie słowa jakie imputują jen. Chłopickiemu: „Wasza ojczyzna butów mi nie da“ wyrzeczone w chwili ofiarowania mu dyktatury. Smutny naprawdę objaw poczucia obywatelskiego i to jeszcze u ludzi, którzy tyle krwi za kraj swój przelali, a ci stojąc na czele narodu afiszowaniem takich zasad do uspokojenia kraju przyczyniać się nie mogli, ani stanąć na czele choćby najumiarkowańszych patryotów.

Dostało się także w tych Pamiętnikach: Szaniawskiemu, Aleksandrowi Linowskiemu Okołowowi Lubeckiemu i innym.

Na zakończenie tu przytoczymy jeszcze, jakie wrażenie zrobiły Czechy ua autorze który tam po raz pierwszy był w roku 1831. Pod dniem 6 czerwca czytamy: Byłem na teatrum czeskim narodowem. Nie mają ani porządnéj, trwającéj komedyantów kompanii i lubownicy grywają czasami na wsparcie ubogich, grano tregedyę Brzetysława, w niemieckim guście napisaną i wystawioną dość dobrze. Miło było Polakowi słyszeć bracką mowę. Lubo Czesi nie mają tyle makaronizmów, co my, język ich atoli nie jest tak wydoskonalony jak nasz i dziwno, że dotąd całkiem nie zginął, gdy rząd i szlachta do tego tylko dążą. Wszystkie

loże były paste. W parterze tylko pospólstwo, czułe, gdy co patryotycznie dla Czechów powiedziano.

Równie chciałem być na kazaniu czeskiem na próżno; o $6^1/_2$ przetrzepie je gdzieniegdzie ksiądz dla przekupek, później wszystko po niemiecku. Panowie, szlachta, kupcy już nie rozumieją języka swego, niestety, taki może los i nas czeka!

Od tego czasu ileż to na lepsze nie zmieniło się w Czechach, o nas niestety tego powiedzieć nie można a obawy Niemcewicza zawsze nam przed oczami stać powinny. *L. P.*

Do historyi domu X. Ostrogskich i Lubartowiczów.

Między starożytnemi wiązkami, w książęcym Sanguszkowskiem archiwum, natrafiłem na rękopism rozszarpany, w którym wiele kart środkowych brakowało, a zachowały się ledwie początkowe i końcowe. Później potem, przepatrując jurydyczne fascykuły spotkałem karty z téj księgi wyjęte, i pozginane we czworo w plikach. Stopniowo udało się uzupełnić całą książkę zawierającą sposobem dawnych Compendii, per extensum, odpisy starych hramot przywilejów, tranzakcyi, ważne wskazówki do dziejów tak rodowych, jako i kraju tutejszego dających, które jak uważać przychodzi; księżna Beata z Kościeleckich Eliaszowa Ostrogska przy swarliwym rozdziale majątkowym, z przyrodnym mężowskim bratem Kniaziem Wasilem, kazała z najinteresowniejszych w rodowym archiwum pargaminów spisać dla swojéj dzielnicy i u królowéj Bony „co to ją chowała... jakby coś w rodzie królewskim była“... własnoręczny wyjednała podpis, na pierwszéj i ostatniéj karcie, niejako świadectwo wiarogodności.

Foljant ow obejmuje 147 dokumentów, od 1385 do 1540 r. po większéj części ruskim skoropismem i nie jedną ręką wpisanych bezładnie, bo na następstwo dat wcale nie uważano. Tedy w tem już sposobie jak idą jeden po drugim dorobiłem do tego rękopismu indeks porządkowy, ale zważając, że tu natrafiają się ślady zatracone może gdzie indziéj... a może dla wielu i nieznane, to z chęcią posługi dla pracowników Badaczy sporządziłem osobny Spis chronologiczny z dodaniem moich studyów nad odnośnością samego aktu lub jawiących się tam przedwiekowych postaci.

Spis Chronologiczny..... etc.

Naczelnie wypisane daty czy tytuły Ruskie lub łacińskie wykazują w jakim skoropisie jest dokument.

Leta 6893. (1385) Na pamiat Swiatoho muczennyka Eufimija na kanune prowod, w Subotu. A se ja Czuryło Brodowski dał jaśni seło swoje Brodowo, Kniaziu Fedoru Danyłowyczu i ditiam jeho a jemu peczałowatysia duszoju mojeju, i Żony mojéj —... A kto postupyt na moje słowo— uwidajetsia toj perod Bohom i z mojeju Duszoju — a pysał Rodumejkowycz.

Uwaga: Według téj Tranzakcyi widać że kniaź Fedko Daniłowicz sam już posiadał po ojcu księstwo Ostrogskie na wio-

snę 1385 r. a ta wioska Brodów trwa dotąd blisko Ostroga nad Horyniem.

Anno 1386 die Dominica infra Octavas OO. Sanctorum in Lutzko Władysław Jagełło wraz z bratem księciem Witoldem nadał Oświeconemu książęciu Fedorowi Ostrogskiemu zamek Ostróg z obwodem (cum districtu) i przynależnemi osadami Korczek, Zasław — Chłapotyn — Iwanu — Throsthycnyecz — Krasne Krupa — na tych warunkach jako ojciec księcia Fedora posiadał z nadania stryja królewskiego (patrui nostro) zmarłego księcia Włodzimiskiego Lubharda.....

Tego przywileju jest dwa waryanty pod jedną, datą 1szy od samego króla predsentibus his. Joannes Palatinus Sandomir (Tarnowski) Petrus Cmytha Castell. Lublinen: Cristinus de Koziegłowy Castel Sandom (Ostrowski) Włostko (z Charbinowic) pincerna—Spytko (Melsztyński) Succamerarius, Thomko de Vanglyeszyn Subpincern: Cracovia per manus Honorabilis viri Zaklice prapos: Sandom, 2gi od króla i Witolda, bez wymienienia świadków „Coram Consilio nostrorum Polonorum. Lithvanorumque Dominorum per Manus Venerabilis Zaklice Cancellarii Aulae nostrae.

I ten ostatni uważa się prawdziwszym bo król Zygmunt 1szy w Brześciu 1544 r. 24 febr. zatwierdzając nadanie Ostroga wyraził „Literae pargamenae Serenniss. Dni Vladislai Regis et „fratris ejus Vitoldi ex vero Originali transsumptae approbavimus. robor indubiae fidei apposuimus“.... A gdy wspomniemy, że Janko z Czarnkowa Archid. Gnieznień. pod rok 1344 notuje czyny Daniły Ostrogskiego „pessimus Baro Detko cum quodam Daniele de Ostróg“.... to zrozumieć przychodzi że Danile zwanemu już Ostrógskim nadał przed owym jeszcze rokiem te ziemie władca wołyńskich księstw Lubhard; którego gdy król Jagełło wyznawał Strjem to wyraźnie on, był Gedyminowiczem, nie zaś Olgerda synem, a to odkrywa bezzasadność niektórych kronikarzy—grubą nieświadomość rodową niektórych Lubardowiczów co uwierzyli w Lubarda Olgerdowicza, i pisali się Olgerdowiczami.

.... Se aż kniaź Welykij Feodor z bratem swoim Łazarom i Semenom i z matkoju, Swojeju Olhoju, dałyjeśmo Hramotu na to kniaziu Fedoru Danyłowyczu sztoz nam newstupatysia w jeho Otczyznu, i w jeho Służebnyje i po jeho zywoti szto daśt Cerkwam i komu ni otdaśt—Nam w to newstupatysia A kto na teje postupyt, toj uwidajetsia z namy perod Bohom, i z jeho duszoju....

Ta chociaż bez daty Hramota daje wskazówki, że gdy po zmarłym Lubhardzie Syn jego Fedor podpisany na Submissyi „Nos Theodorus Lubhard Dux Lucensis.... władał księstwem Łuckim, tedy żaden inny Fedor tylko Lubardowicz mógł użyć tytułu Welikij kniaż... (niby Zwierzchny) wydając ten Akt zawisłemu w księztwie Łuckim Lennikowi Ostrogskiemu, zwracając

zaś uwagę że w 1386 roku Kniaź Fedko Daniłowicz starał się u Majestatu o Przywiléj powyższy nadający mu potomne posiadanie Ostroga, widać że w tejże dobie zabezpieczał się z drugiéj strony, aby w przyszłości Lubardowicze nie rugowali go, na zasadzie praktykowanych w owe czasy praw bliższości do ojcowizny, macierzyzny i dziadowizny: a dla tego wyjednał, u nich ową Hramote. Ze zaś książe Fedor Lubhardowicz zaraz po wstąpieniu na tron Jagiełły wysłany, 1386 r. na Litwę (Stadnicki synów Gedym. t. II str. 122) z missyą królewską, nie wrócił już na księstwo Wołyńskie, tedy widocznie nie pozniéj, jak w owym lecie wydał, powyższy akt, który wykazuje jeszcze że matka księcia była Olga... a właśnie miała to imie druga żona ks. Lubarda a córka Konstantego Borysowicza Kniazia Rostowoskiego (Troick Letopis Karamzyn T. IV not 351) Spotyka się nakoniec Lazara i Semena Lubardowiczów nieznanych genealogistom.

An 1390 die Dominica proxima post festum S. Luciae in Coschyenicze Król Jagiełło ks. Fedorowi *Daniłowiczowi* za odznaczenie się wierną służbą, przy obronie Grodu Wilna; Zamek Ostróg, tudzież Zasław — Brodow, i inne sioła, które dotąd posiadał: rzeczonemu księciu Jego dzieciom i następcom dozwolił prawem wieczystego dziedzictwa mieć i dzierzeć

Uwaga: Gdy Kniaź Fedko i spadkiem i z mocy dawniejszych nadań posiadał już te dobra tedy uważa się, że król wynagrodził go chyba stwierdzeniem praw potomnego dziedzictwa bez obowiązków lenniczych zawarowanych w pierwotnym Lubardowym nadaniu dla Daniły, powtorzonych w przywileju Jagiełły Fedorowi a teraz już nie wspomnionych.

An. 1393 feria 3a infra octavas OO. Sanctorum Cracoviae Hedvigis Dei Gr. Regina Poloniae nec non terrarum Cracoviae Sandomir. Lancie, Cujav, Lithvaniae princeps suprema Pomerraniae Russiae Domina et haeres... etc. księciu Fedorowi Daniłowiczowi na zamek Ostróg z obwodem z przywileju króla małżonka tramsumpt dosłowny zatwierdziła. Praesentibus his Demetrio de Goraj Marschaleo Serenniss: principis Vladislai Regis Polon: consortis nostri charissimi. Cristino castel Sandomir Magistro Curiae Regalis Aulae nostrae, Drogomiro Judice generali, Thomkone Subpincerna Cracoviensis, Clemente de Quilina subpincerne, Jalussio de Bothuszino Succamerario et magistro Coquinae aunae nostrae. Datum per manus Honorabilis praepositi Scarbimiri Cancellarii, et Petri de Schitnek Notarii nostri.

Krom ciekawego wykazania postaci otaczających Królowę dokument ten wyjaśnia zapobiegliwość kniazia Fedka Ostrogskiego, który uważając że wnuczka Kazimierza Wgo. w niedawno przed tem samodzielną dokonała wyprawę na zjednoczenie w państwową całość zamków ruskich, jest bliższą od męża na-

turalną dziedziczką tych prowincyi starał się więc i od niej mieć osobne stwierdzenie praw na dobra posiadane.

Leta 6904 w Ponediłok poslia Petrowoha dnia w Lucku (1396 r.) my Wełykij kniaż Witowt, czynymo znamenyto... ect. nadał ks. Fedorowi Daniłowiczowi Ostróg z tem wszystkim jako Ojciec jego posiadał i dodał do tego wsie Brodów, Rudosełki, Radohoszcze, Mezyriczie, Diaków także Swiszczów i Przysiołki Ozierany, Horodnica i dwa Stawki.

Od czterech lat przedtem Witold Kiejstutowicz pojednany z Jagełłem i podniesiony na wielkie księztwo rozszerzał już wpływy swoje do Ruskich ziem Podolskich i Wołyńskich, a bacząc to Kniaź Ostrogski nie zaniedbał zabezpieczyć się wyjednaniem i od Wiel: Księcia Hramoty uznającéj, jego dziedzictwo na Ostrogu.

6909 (1401) Misiaciu Sentiabra w 24 den Indyktu Ks. w Łucku myłostiju Bożoju my Wełykij kniaz Szwitrykkaiło Olikhirdowycz czynyme znamenyto sym etc. Koniuszemu królewskiemu panu Hryńkowi nadał w Turowskim powiecie wieś Chrapyn potomnie.

„A przy tom buła Rada nasza Kniaź Mychajło Wasylewicz....? a pan Nemira Starosta Łuckij a pan Petrasz Mylskij marszałek Zemskij a Pan Andrej Myszkowycz, a Pan Fedko Krajczyj a pan Juszko Wojdatowycz a pan Senko Pidkancleryi.

Lita 6938 (1430) wo Seredu posla Matki Bożei dnia na Swiatoho Frołą i Ławra w Nowihorodce. My wełykij kniaz Witowt Czynymo znamenyto wsim etc. Księżniczce Hance.... przy wydawaniu w zamęzcie za Kniazia Wasila Ostrogskiego (syn Fedka) zapisał wieś Nowostawce z przysiołkami Ilin. Bożkowce przyczem dodał Koblin a Ozlejowkę a Stupno.

Żona Kniazia Wasila Tedorowicza Ostrogskiego znanego pod przezwiskiem Krasnéj; wydana za mąż przez Ks. Witolda, miała Imie Anafija, wyraźnie wypisane w późniejszych tranzakcyach. Tu więc zaszła myłka przepisującego „bo w oryginale Witoldowym musiało być nie Hanka lecz Hafka.

6946 (1438) Ijula w 4 deń Jndyktu XV w Łucku Myłostiju Bożoju my wełykij kniaz Szwetrykhaił Litewskij i Ruskij i inych. Czynymo znamenyto Sym naszym Łystom etc. Wiernemu Słudze swemu Oliferowi nadał w dziedzictwo potomne wieś Hłuchny i Sieliszcze Stai w Łuckim powiecie i wieś Torhowickie — „A prytom buły Swidki Wirnaja nasza rada Władyka Łuckij Teodosij, Pan Iwan Hulewycz, a Pan Kozaryn marszałok zemskij, a Pan Iwan Czermyj, a Pan Iwan Wołotowycz.

Przykaz Kniazia Borysowa Pidkancleroho — Tu mylnie zaznaczoay Indykt Xr. bowiem w r. 1438. Przypadał Indykt I.

Leon Bożawola Romanowski.

Tadeusz Kościuszko i Rozbiór Polski przez Franciszka Rychlickiego. W Krakowie, Główny skład w księgarni D. E. Friedlajna r. 1872 in 8vo str. 516.

Mało ludzi pochlubić się może tak ogólną sympatyą i poważaniem nie tylko wśród swoich ale i zagranicą jak naczelnik powstania z r. 1794. Pisało też o nim wielu tak swoich jak obcych, mimo tego jest on nawet w Polsce więcéj legendową niż historyczną postacią. Nikt nie odważył się dotąd zbadać i wykazać należycie politycznych i społecznych dążeń naczelnika, nikt nie określił natury i doniosłości jego talentu, nikt nie przyłożył krytycznego skalpelu do działań jego militarnych. Ubostwianie współczesnych, przechowało się w sercach późniejszych generacyi, wszystko co o nim piszą i mówią jest wypływem tego uczucia. Skromność, prostota, poświęcenie, trzy wielkie cnoty jakiemi jaśniał naczelnik, podbiły, zniewoliły ku nim wszystkich i postawiły go tak wysoko w opinii, jak innych potęga jeniuszu i świetny rezultat dokonanych czynów postawić nie zdołały. Z tem wszystkiem potrzeba zawsze trochę więcéj krytyki ażeby z Kościuszki zrobić historyczną nie legendową postać. Dzieło p. Siemieńskiego objecywało nam to, niestety inne zatrudnienia literackie a w ostatnich czasach groźna słabość oczów sprawiły, że praca ta dotąd ukończoną być nie mogła. Niniejsza książka p. Rychlickiego jakkolwiek zawiera nie jedno sprostowanie, nie jeden nowy rys z życia naczelnika jest więcéj panegirykiem niż krytyczno-historycznym traktatem. Mówi on o naczelniku z entuzyazmem, z synowską miłością, niedziwimy się temu, przyznajemy nawet że z dzisiejszéj generacyi mało kto inaczéj by pisać potrafił to, jednak nie wystarcza, aby praca p. Rychlickiego zaspokoiła wymagania dzisiejszéj nauki. Przemawia ona do serca, nikt jéj téż bez rozrzewnienia nie przeczyta, umysłu nie zadowolni.

Wplecione w ten życiorys mnóstwo epizodów może bardzo ciekawych ale z głównym przedmiotem w bezpośrednim związku nie stojących jak z jednéj strony urozmaica pracą tak z drugiéj uwagę czytelnika co raz w inny zwraca kierunek i utrudnia mu pochwycenie wątku w całéj ścisłości.

L. P.

Dzieła Platona. Tom II. zawierający Prawa. Zeszyt pierwszy przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Poznań, w komisie księgarni J. Prichbatscha r. 1871 8vo str. 146.

Nowsza generacya mimo, że większą część czasu poświęconego studiom spędza na nauce języków starożytnych mniej zna jednak dzieła Greków i Rzymian niż ich poprzednicy. Jeżeli ktoś wyłącznie nie poświęca się filologii rzadko kiedy do literatury starożytnéj powraca, nie wina w tem ani nauczycieli ani młodzieży, dawniéj kiedy pojawienie się książki nowéj było wypad-

kiem, łatwiéj przychodziło obznajmić się z klasykami, na nich prawie zaczynała i kończyła się nauka, oni stanowili przeważną strawę dla ludzi oddających się pracom umysłowym. Dziś nauka jest ogromnie podzielona, każda jéj gałęź ma rozległą literaturę tak że nie każdy specyalista ma czas i możność zapoznania się z tem co ludzie jego fachu wymyślili i napisali, nie dziwota więc że znajomość dzieł starożytnych co raz więcéj staje się rzadszą. A przecież w tych dziełach starożytnych jest myśl zdrowa i jędrna i jeżeli co zapłodnić może myśl jeszcze czyją jaką oryginalnością pomysłu i formy to studya nad niemi, i kto wie czy znowu tak jak przedtem ludzie poważniejsi niezadowolnieni banalnymi płodami dzisiejszéj literatury, tam nie pójdą szukać gruntowności i życidajnego pokarmu.

Brak dokładnéj znajomości języków klasycznych jest także nie małą przeszkodą do poznajomienia się z literaturą klasyczną, wszyscy się tych języków uczymy, mała w nich biegłość nikomu za zaletę poczytywana nie bywa, jednakowoż dawniéj każdy co gimnazyum kończył, przynajmniéj po łacinie umiał, dziś mało kto po łacinie umie a po grecku prawie nikt. Inaczéj prawie być nie może, jeżeli umiejętność tych języków po za szkołą praktycznéj doniosłości nie ma, a wyuczenie się kilku języków nowożytnych stało się koniecznością.

Prawdziwą oddaje zatem przysługę społeczności naszéj p. Bronikowski ułatwiając jéj zapoznanie się z płodami gieniuszów starożytności, tłomacząc je na język polski. Niestety żałować musimy że z pomysłem tak na czasie powstałym co do tłomaczenia, nie przyszedł zarazem do przekonania iż tłomaczyć je potrzeba w języku potocznym, powszechnie używanym i utartym, aby praca jego mogła być w ręku wszystkich. Autor starał się co prawda jak najwierniéj oddać oryginał, ale czytającym może on dać dokładne wyobrażenie formy w jaką myśl swoją przeoblekali starożytni, ale ducha ich trudno im przyjdzie ująć, tem bardziéj że niektóre użyte wyrażenia, mają powszechnie inne znaczenie jak to, które im tłumacz przyznawać się zdaje. Przytaczamy dla przykładu niektóre: „Podstawą dobrze uprawnionego miasta zdajesz mi się uważać to, ażeby tak było sprawione, izby wojną zdołało zwyciężyć inne miasta“; wyraz uprawniony jest tutaj widocznie użyty zamiast urządzony lub wreszcie rządzony, cały szyk nadto zdradza nieporadność i nieharmonijność z powszechnie używanymi dzisiaj zwrotami. Wyraz „gość“ nie oznacza u nas człowieka idącego gościńcem, chociaż pochodzenie dwóch tych wyrazów z jednego płynie źródła, a jednak na téj podstawie trzéj pielgrzymi tytułują się gościami, mogło to być bardzo dobrem wyrażeniem u Greków, my zaś do tego wyrazu inne przywiązujemy pojęcie. Nawet w starożytnéj Słowiańszczyznie gościem nazywano tego, który wszedł pod dach czyjś a nigdy pierwszego

lepszego spotkanego przechodnia, chociażby się z nim nawet rozmowę zawiązało i wspólnie odbywano dalszą pielgrzymkę.

Daléj „wyraziłeś się przynajmniéj w swych rytmach tak, że żadną miarą cierpieć nie można takich, którzy nie odważą się naprzeciw zewnętrznym wrogom“ dzisiaj powszechnie mówimy i piszemy: nieokażą męztwa, odwagi przeciwko wrogom.

Takie usterki w wyrażeniach i w zwrotach grzeszące przeciw dzisiejszemu sposobowi oddania swych myśli odstraszają czytających i sprawiają że tłomaczenia te nie doznają takiego przyjęcia na jakie treścią swoją zasługują. Radzimy jednak publiczności czytającéj nie odstraszać się formą, a raz pokonawszy ją, znajdą w niniejszéj publikacyi zarówno korzyść jak przyjemność. Wszakże nikomu obojętnem być nie może jak przed 2000 z górą lat najznakomitsze umysły zapatrywały się na ustawy i powołanie Państwa, która to kwestya dzisiaj jeszcze porusza do żywego umysły wszystkie.

L. P.

List z Warszawy.
(Spóźnione).

Warszawa bawi się, stroi, wyrzuca garściami pieniądze na drobnostki i fatałaszki — i żyje sobie pogodnie i wesoło z ufnością patrząc w przyszłość. Zaiste szczęśliwa to natura tych Warszawian! Po tylu bolesnych przejściach i rozczarowaniach zamiast upaść na duchu bawią się szczęśliwi, a bawią się tak, że trudno z nimi w zabawie rywalizować.

Weźmy naprzykład teatr. Czy zgadniecie, ile osób przez cztery miesiące letnie odwiédzało teatra rządowe i prywatne ogródkowe teatrzyki? Nie mniéj, ni więcéj — tylko przeszło 300000. Ale bo też i zarząd teatrów stara się przyciągać publiczność, wystawiając ciągle nowe utwory, szkoda tylko, że bardzo mało między niemi jest oryginalnych. W przeszłym tygodniu wystawiono na Wielkim Teatrze aż dwie nowe sztuki: „Powieści Królowéj Nawarry,“ Scribego i Mentora, waszego młodego Fredry. Ostatni utwór krytyka dość przychylnie przyjęła, zarzucając jednak autorowi, że posiadając tak znakomity talent, powinien opuścić drogę fars i fraszek scenicznych, a pracować na polu poważnéj komedyi. Drugi zarzut, który spotkał Fredrę, jest uwydatniająca się w jego utworach prędkość pisania, połączona z brakiem nakreślonego z góry planu. W „Mentorze,“ w głównéj roli występował po raz piérwszy p. Benda, który niewiadomo dlaczego pomimo kilkumiesięcznéj u nas bytności raz tylko ukazał nam się na scenie. Przez publiczność został on bardzo dobrze przyjętym, lubo przepowiedziano mu z góry, na mocy roli jego w „Mentorze,“ że do obsadzenia ról kochanków, to jest ról, jakich nam głównie brakuje, nie nada się. Póki był prawdziwym, pustym „mentorem,“ szło mu znakomicie, gdy prze-

szedł w rolę kochanka, pokazało się, że talent jego w tym kierunku nie rozwinął się dostatecznie. Do tego „Kuryer Świąteczny“ dodał, że ubiera się nadto po krakowsku.

Towarzystwo Dobroczynności krząta się także koło amatorskich przedstawień w celu przysporzenia sobie środków materyalnych. Uproszeni amatorzy mają w małym teatrzyku Towarzystwa odegrać trzy sztuczki: „Przemokły Kupidynek,“ kom. opera Kuczalskiego, „Ubogi margrabia“ komedyę tłómaczoną z francuskiego i operetkę: „Żona która bije męża“ Donizettego. Wszystko to będzie dla Warszawy nowością, gdyż żadna z powyższych sztuczek nie była u nas dotąd przedstawianą.

Towarzystwo Dobroczynności urządza także odczyty na dochód ubogich pod opieką jego zostających. Piérwszy odczyt z dziedziny prawa kryminalnego będzie miał p. Maurycy Kamiński, magister prawa i administracyi. Treścią odczytu będzie mianowicie: niepoczytalność i niepoczytanie, to jest kiedy sprawca nie odpowiada za swoje czyny.

Od Towarzystwa Dobroczynności przejdźmy do innego Towarzystwa, a mianowicie do Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, gdzie w tych dniach rozstrzygniono konkurs dra Milliota, który przeznaczył rs. 300 za napisanie najlepszéj rozprawy, tyczącéj się opisania topograficzno-lekarskiego któregokolwiek z powiatów Królestwa Polskiego lub gubernii Wołyńskiéj. Konkurs został rozstrzygnięty na korzyść dra Leona Bowkiewicza z Jadowa za opis powiatu Radzymińskiego.

Z wiadomości literackich nie wiele mogę wam udzielić. Wszystkie projektowane wydawnictwa wchodzą w życie. Dzieł Fredry wyszło 3 tomy. Wydawnictwo to nadzwyczaj tanie (10 złp. za 5 tomów), lubo nie jest eleganckiém, ale bardzo porządném. Papiér czysty, druk wyraźny, a nadewszystko taniość ogromnie za niém przemawiają. Do tomu drugiego jest dodany portret Nestora naszych dzisiejszych komedyopisarzy w profilu, odznaczający się dość dużém podobieństwem.

„Wieniec,“ projektowane illustrowane czasopismo, o którém zdaje się coś wam przedtém wspominałem, już niezadługo zacznie wychodzić. Redaktorem jego jest p. Mieczysław Orgelbrand, współwłaściciel znanéj zaszczytnie z wydania „Encyklopedyi“ i wielu dzieł wielkiéj wartości firmy „S. Orgelbrand.“ Wydawnictwo Wieńca“ ma być prowadzone na wielką skalę. Do téj chwili już podobno ogromne sumy zostały wydane na przygotowania, a także w celu zapewnienia sobie wszystkich znakomitszych piór polskich. Redaktor objeżdża w tym celu Galicyę i Poznańskie. „Wieniec“ ma wychodzić dwa razy tygodniowo i być znacznie tańszym od „Tygodnika Illustrowanego“ i „Kłosów.“ W Krakowie ma kosztować 3 złr. kwartalnie. Zdaje się, że wydawnictwo to pójdzie pomyślnie, jak i inne wydawnictwa

warszawskie, które pomimo różnéj wartości utrzymują się znakomicie w stosunku do waszych galicyjskich.

Przyczyną dobrego powodzenia wszelkich wydawnictw przedsiębranych w Warszawie jest praca będąca w zgodzie z zabawą Warszawian. Wszyscy pracują, rzucają się na pole przemysłowe, kiedy wszystkie urzędy zostały prawie niedostępnemi, ztąd rośnie przemysł, gospodarstwo, a wynikiem tego dobry byt materyalny, pozwalający w chwilach wolnych od pracy zabawić się i przeznaczyć pewną sumkę na pokarm umysłowy, kupowanie dzieł i prenumerowanie czasopism.

Że rzeczywiście praca u nas prowadzi do znakomitych rezultatów, można tysiące dać przykładów i co jest uajwięcéj zadziwiającém, że nawet między ludem prostym rezultaty te dochodzą do ogromnych rozmiarów. Niedawno donosiła p. Z. Ścisłowska znana autorka pism wydawanych dla młodego pokolenia o zakupieniu znacznego, milionowego majątku w Lubelskiém, przez spółkę złożoną z włościan tamtejszych. Obecnie pisma donoszą o drugim podobnego rodzaju przykładzie. Niejaki Maciej Sadowy ze wsi Trzęśniowa, gm. Kościelec pomiędzy Kołem a Koninem, otrzymał niegdyś po ojcu 15 mórg ziemi. Dzisiaj ów Maciej Sadowy ma podobno majątek wynoszący przeszło 50000 rs. (83000 złr.), nie licząc zapomogi, którą otrzymały jego dzieci. Dzieci zaś tych ma 8-mioro, 7 córek i 1-go syna. Każdéj córce dał w posagu 4000 rs. (przeszło 6500 złr.), synowi zaś kupił kolonię za 8000 rs. (13000 złr.) W ogóle w Kaliskiém włościanie mają się bardzo dobrze. Liczne są bardzo przykłady, że sprawiając wesela swoim dzieciom wydają na nie po kilka tysięcy złotych polskich. Niektórzy na święta Bożego Narodzenia kupują samych bakalii i pomarańcz za 20, 30, 40 złr. Są to wszystko fakta stwierdzone, świadczące o ogromnym u nas postępie pracy, nie zaś głupich doktryneryi, — postępie, prowadzącym za sobą ogólną pomyślność kraju, wbrew usiłowaniom rządu, starającego się wszelkiemi siłami stać na przeszkodzie rozwojowi pracy i ducha.

Nie mamy wolności, — a jednak postępujemy naprzód, — wy macie wolność, a jednak mało ona wam przynosi pożytku. Czém to wytłomaczyć?

Na zakończenie przeniosę was do owego miasta, o którym rzekł ongi Mickiewicz, „że budowały go chyba szatany, — słowem do Piotrogrodu, Pitiera, jak nazywają przez skrócenie Moskale swoją stolicę. Przeniosę was tam z powodu młodzieży polskiéj, któréj do tysiąca tam się kształci. Najmniéj jéj znajduje się w Uniwersytecie, więcéj trochę w „Szkole dróg i mostów,“ najwięcéj zaś w technologicznym Instytucie. W ostatnim na 1707 uczniów, znajduje się koło 700 Polaków, z tego téż powodu chcę wam trochę o tym naukowym zakładzie donieść, tembardziéj, że jest on prawie czysto polskim, gdyż z powodu pró-

żniactwa i niechodzenia na wykłady rosyjskich studentów, Polacy rej wodzą w Instytucie i język polski w audytoryach i korytarzach najwięcéj jest słyszanym.

Naprzód co do profesorów. W gronie ich znajduje się 5-ciu Polaków, najwięcéj Niemców, Moskali bardzo mało. Z Polaków są: prof. matematyki Krosnowski, posiadający najwięcéj sympatyi u studentów, dziekan Jewniewicz Żmudzin, najważniejsza figura w Instytucie, daléj młodzi profesorowie Wielożyński, Krupski i jeszcze jeden, którego nazwiska nie pamiętam.

Pomiędzy młodzieżą polską znajduje się wielka koleżeńskość. Jest to młodzież poczciwa, z wyrobionemi charakterami, nie dbająca o formę i pychę światową. Ubierają się, jak im się tylko podoba. Sami wyznają, że „chodzą jak szewcy, w wysokich butach, oberwani, w czerwonych surdutach etc. etc.“ Przeprowadzając się przenoszą sami na plecach szafy, stołki etc. i nie mają sobie nawzajem tego za złe.

Wyróżniają się tylko żydzi. Ogólne jest przekonanie, że wszyscy młodzi wyznania mojżeszowego jadąc na wyższe nauki do Rosyi, do stacyi Łapy (będącéj na granicy Królestwa) są Polakami, za stacyą tą zaczynają mówić po moskiewsku i stają się Moskalami. Jest to nadzwyczaj przykrém i bolesném.

Pomiędzy studentami Instytutu Technologicznego powstał niedawno projekt utworzenia Biblioteki studenckiéj i kasy wsparcia niezamożnych studentów. Projekt ten wyszedł od Moskali, którzy zaprosili do współudziału i studentów polskich, ci jednak w takim tylko razie chcą przystać na powyższy projekt, jeżeliby liczba dzieł i czasopism polskich, mających znajdować się w owéj Bibliotece była równa liczbie dzieł i czasopism moskiewskich. Zdaje się, że warunek ten nie da się urzeczywistnić, z powodu zawiści i niechęci Moskałów do wszystkiego, co jest polskiém.

Zresztą zdaje się, że projekt ten nie przyjdzie do skutku i z powodu rządu, który niechętnie patrzy na wszelkie studenckie stowarzyszenia. Nie tak dawno były z tego samego powodu zaburzenia w Medyko-Chirurgicznéj Akademii.

Niedawno odbywały się wybory w Technologicznym Instytucie na deputowanych do rozdawania stypendyów, składek i pożyczek między biednych studentów Instytutu. Na każdych 100 miał być wybranym 1 deputowany. Polacy, trzymający się zawsze na uboczu w $^1/_7$ części przystąpili do obioru i przeprowadzili swego kandydata, dzięki swojéj jedności, ale ten nie czując się na siłach ujadać z samymi Moskalami, między którymi głupioby wyglądał, odmówił przyjęcia urzędu honorowego i Polacy nie są z tego powodu reprezentowani w owéj deputacyi. Wybory te nie były upoważnione przez Dyrektora, ztąd Polaków mało brało w nich udział, bojąc się ściągnąć na siebie podejrzenia, gdyby jednak Dyrektor pozwolił urzędowo na owe wybory chcieliby

wszystkiemi siłami równą liczbę, co i Moskale, przeprowadzić kandydatów.

Co do Petersburga i objawiającego się w nim życia polskiego i katolickiego donoszę, że kościół katolicki katedralny jest już poczęści wybudowany i że powstał projekt założenia teatru polskiego i czeskiego w jednym gmachu. Pytanie tylko, czy w razie przyjścia do skutku owego projektu 40000 Polaków zamieszkujących Petersburg zdołałoby ów teatr utrzymać?

Nakoniec, gdy widzę już potrzebę zakończenia mego listu, podaję wam liczbę studentów warszawskiego Uniwersytetu według „Gońca Urzędowego.“ Według tego pisma znajduje się obecnie studentów 1015. Wykłady wszystkie odbywają się w języku moskiewskim. Między profesorami znajduje się 26 Moskali.

A teraz żegnajcie. *K. S. B.*

Aleksander hr. Przeździecki.

Bolesny cios dotknął naukę i literaturę polską w ostatnich dniach 1871 r. Do licznych strat, które od lat kilku ponosimy, przybyła strata Aleksandra hr. Przeździeckiego, zmarłego po krótkich cierpieniach dnia 26 grudnia w naszém mieście, gdzie celem naukowéj pracy nad wykończeniem dodatkowego tomu „Jagiellonek polskich“ przybył.

Tracimy w szlachetnym nieboszczyku nietylko mecenasa literatury i nauki, który z poświęceniem wygód życia, majątek po przodkach odziedziczony obracał na cele badań i wydawnictw wielkiéj wartości: ale tracimy w nim człowieka, który z znawstwem i wytrwałością uczonego, z zapałem i wdziękiem artysty pracował nad dziejami i archeologią naszą. Ubywa nam znakomity i niezmordowany badacz archiwalnych źródeł do historyi ojczystéj, biegły bibliograf i paleograf, znawca starożytności i pełen wytwornego smaku znawca sztuki. Wykształcony tak wielostronnie, pełen młodzieńczéj energii, gdy szło o rzecz piękną i dobrą, ileż zabrał ze sobą do grobu, może na długo, tych pięknych, dobrych i pożytecznych rzeczy, które wydobywać umiał na światło dzienne, za któremi mógł, chciał i umiał mozolne a bogate w owoce odbywać po téj ziemi wędrówki! Najdalszy téż nawet osoby nieboszczyka, ten który ją sądził tylko z pism i nakładów, powiedzieć sobie musiał ze smutkiem: czemuż nam taki ubywa?

Bliższym, którzy znali tę miękką, łagodną, wrażliwą naturę, ruchliwą a spokojną, pełną godności a uprzejmo-

ści i uczynności pełną, tę duszę, co w skutek ciągłego obcowania z tém, co piękne, nabrała dziwnéj harmonii, tak rzadko w generacyi dzisiejszéj napotykanéj — bliższym przychodzi powtórzyć to słowo, ale i odpowiedzieć sobie na nie w duchu, który zmarłego do ostatniego tchnienia ożywiał: *Moriendo vivas; decidendo exurgas.*

Dla pozostawienia pięknego imienia po sobie dosyć żył i pracował Aleksander Przeździecki. Nie ma prawie epoki dziejów naszych, gdzieby nie zostawił po sobie zdobyczy, z któremi nauka liczyć się musi. Bolesławy, Jagiełło i Jadwiga, ostatni Jagiellonowie, dzieje pierwszych elekcyi — wszędzie przyczyniał się Przeździecki cennemi i z trudem wydobytemi materyałami. Historya przyszła kościoła polskiego winna mu będzie wdzięczność za czynny udział w wydaniu Monumentów Theinera. Historya sztuki polskiéj za kosztowny z b. Rastawieckim wydany zbiór: Wzorów sztuki średniowiecznéj. Wydawnictwo Długosza, które jak się dowiadujemy, i nadal jest zapewnioném, łączy nazwisko Przeździeckiego z jedném z największych imion na polu historyografii średniowiecznéj.

Dla czegóż ten piękny kierunek działania dla dobra publicznego nie miałby rozbudzić nowych naśladowców, jak miał współzawodników a raczéj współzawodowych? Dla czegóż w uznaniu jego naukowéj i społecznéj zbawienności, jako niosącego światło wiedzy i ciepło serca, jako łączącego warstwy społeczeństwa wspólną dla przeszłości miłością, nie mielibyśmy się spodziewać żywszego ruchu na polu które uprawiał Przeździecki?

Będzie to niezawodnie najpiękniejsze uczczenie pamięci męża, którego z końcem roku 1871 odprowadziliśmy do przedwczesnego grobu.

J. Szujski.

Przegląd polityczny.

Kraków 31go grudnia.

Byłoby to śmiesznem a niepotrzebném kłamstwem, chcieć twierdzić, że data która dziś po raz pierwszy ukazuje się na okładce naszego pisma, jest dla nas obojętną, że nie ma dla nas ani znaczenia ani doniosłości, że nie przemawia ani do naszych umysłów ani do naszych serc, że nie odnawia ani bolesnych ran ani boleśniejszych jeszcze wspomnień. Wszędzie i zawsze począwszy od najodleglejszéj starożytności, rocznice miały tak w życiu narodowém jak i rodzinném znaczenie i doniosłość; są one bowiem potężnymi sprzymierzeńcami tradycyi, która jest jedną z największych sił tak narodów jak rodzin. Nie może więc być ani dla nas, ani dla żadnego Polaka obojętną stuletnia rocznica utraty tego co na świecie najdroższe, najdrogocenniejsze, utraty niepodległości i wolności. Przeciwne twierdzenie byłoby kłamstwem, obłudą lub szarlataneryą. Nic w rzeczach tego świata jednak nie da się sądzić abstrakcyjnie i w oderwaniu od rzeczywistości. Aby wiedzieć jakie znaczenie naród ma przywiązywać nawet do wiekopomnéj acz strasznéj rocznicy, trzeba przedewszystkiém zastanowić się nad jego położeniem, nad jego stanem moralnym i materyalnym. Nie zważając bowiem na te konieczne warunki, łatwo bardzo można sparodiować rocznicę, a zamiast obrócić ją na korzyść społeczeństwa, obrócić ją przeciw społeczeństwu.

Czyż w obecnym wypadku potrzebujemy nawet zastanawiać się nad owemi tu i owdzie pojawiającemi się, źle określonemi a pozbawionemi treści, pomysłami, obchodzenia demonstracyjnie stuletniéj rocznicy rozbioru naszéj ojczyzny? Plany te, powstałe najprędzéj w chorobliwym mózgu kobiecym, rozbiły się już o trzeźwość ogółu, do tego stopnia, że nie godzi się nad niemi poważnie zastanawiać. Lecz co należy i to z radością zapisać, oto

wielki postęp jaki w przeciągu kilku lat, wprawdzie kosztem wielkich ofiar i srogiego doświadczenia, zrobiło pod tym względem nasze społeczeństwo. Dawniéj, nim jeszcze nauczyliśmy się jak daleko doprowadzić mogą demonstracye i na jakie klęski mogą naród narazić, każdy projekt demonstracyi podchwytywany był skwapliwie, z uniesieniem i zgubną naiwnością przez ogół, i wprowadzany w życie bez namysłu, bez oglądania się na skutki. Demonstracye zadawalniały z jednéj strony uczucie patryotyczne ogółu, z drugiéj odpowiadały zgubnym wadom narodowym, nieczynności, próżniactwa i ograniczania się na pozorach, na formie bez treści. Dziś przeciwnie, mogliśmy dostrzedz, właśnie z powodu owéj stuletniéj rocznicy, niemały w naszém społeczeństwie postęp. Dziś jeszcze znaleźli się projektowicze, antreprenerzy i fanfarony demonstracyi, którzy na chybił trafił usiłowali rzucić w nasze społeczeństwo myśl bezmyślnych demonstracyi; lecz jakże odmienne znaleźli oni przyjęcie; społeczeństwo nasze nie poszło na oślep za nimi, poddało krytyce i zastanowieniu owe demonstracyjne projekta; rozważono jakie i w ogóle czy demonstracyjne obchodzenie 1872 r. miałoby znaczenie dla nas, dla naszéj teraźniejszości i przyszłości; uwzględniano nawet szczegóły, jak wyjątkowe położenie braci naszych pod panowaniem moskiewskiém, dla których wstrzymanie się od wspólnego obchodzenia rocznicy byłoby tak bolesném, a obchodzenie tak niebezpieczném. Już to zastanawianie się, już ta rozwaga społeczeństwa wobec rzuconéj myśli, niegdyś zawsze tak powabnéj, jest wielkim postępem, który zapisujemy. W skutku tego dostrzedz można było zbawienny a poważny zwrot w umysłach, który znalazł swój wyraz w dziennikarstwie narodowém, bez wyjątku stronnictw i odcieni przekonań. Widzieliśmy po raz pierwszy zdrowe, sumienne i trzeźwe ocenienie znaczenia i ujemnych stron demonstracyi, i czytaliśmy pełne doniosłości rady co do obchodu owéj rocznicy, które wszystkie streszczały się w jedném wielkiém, potężném słowie — praca. Bo któżby śmiał twierdzić, że owa rocznica nie powinna być obchodzoną? Ale właśnie w tém — że tak powiemy — mądrość narodowa, jak ją obchodzić należy. Zdaniem naszém objawy smutku i boleści, najemne płaczki i ostentacya żałoby, byłyby tu najniewłaściwszemi, byłyby paradoksami lub kłamstwami. Pojmujemy wielką boleść, wielką skruchę i żałobę w chwili upadku narodu, w dzień utraty ojczyzny. Lecz po stu latach, jeżeli pomimo klęsk i zawodów, jeżeli wśród najtrudniejszych okoliczności, naród który utracił ojczyznę, tyle jeszcze w sobie zachował siły, żywotności i wiary, że umie słusznie ocenić doniosłość i znaczenie podobnéj rocznicy — to zaiste trudno w tém dopatrzeć się powodów żałoby i smutku, a przeciwnie wiele w tém zjawisku czerpać można pociechy i otuchy. Mogliśmy płakać i rozpaczać przed stu laty, kiedyśmy w skutku błędów i ciężkich win utracili ojczyznę, ale dziś, kiedy po stu latach nie utraciliśmy

ani miłości ani wiary w przyszłość ojczyzny, to doprawdy nie mamy powodu płakać i smucić się, ale raczéj mamy powód dziękować Opatrzności, że przy wielu wadach nie odmówiła nam téj cnoty, która nas przy życiu utrzymuje! Smucić się i nosić żałobę dla tego, że pomimo strasznych klęsk nie przestaliśmy być narodem, byłoby zaiste coś potwornego, coś niezrozumiałego i wstrętnego; byłaby to żałoba z powodu żeśmy jeszcze nie umarli, lub demonstracya zwątpienia. Ale jest sposób właściwy a doniosły obchodzenia téj rocznicy wspólny całemu narodowi — oto obchodzenia go w samym sobie, wewnętrznie, a jak orzekły pisma publiczne, pracą, pracą moralną nad samym sobą, pracą wewnętrzną a duchową, płodną w przyszłość, bo opierającą się na doświadczeniu przeszłości. Tym sposobem możemy wszyscy wspólnie obchodzić smutną rocznicę od Karpat do Dniestru i Warty. Pierwszym do tego początkiem byłoby głębokie, sumienne zastanowienie się nad przyczynami owéj katastrofy 1772 roku. Należałoby rozpoznać wady i grzechy narodowe, które ją uczyniły nieuniknioną, a zarazem cnoty, które pomimo tak wielkiego ciosu utrzymały nas dotąd przy życiu. Następnie powinnibyśmy rozważyć, o ile obecnie owe wady się wzmogły lub zmniejszyły, o ile owe cnoty wzrosły lub upadły. Spisanie tego moralnego inwentarza doprowadziłoby nas niechybnie do rozpoznania jasnego, tego co rzeczywiście stoi nam na przeszkodzie do lepszéj przyszłości. I tu dopiero otwarłoby się przed nami pole do prawdziwéj, rzeczywistéj, narodowéj walki i do największego zwycięztwa, bo do zwycięztwa nad nami samymi; a niezawodnie hasłem do niego byłby tylko jeden wyraz, który często powtarzamy, lecz bez należytego przejęcia i zrozumienia — praca. Brakiem pracy upadliśmy, pracą tylko żyć możemy. A więc nie dla tego pracujmy, aby obchodzić pracą demonstracyjnie rok 1872, bo praca demonstracyjna — to absurdum, bo taka praca loicznie ograniczyćby się powinna do 1872 r., ale pracujmy dla tego, że praca jest treścią życia, a my żyć chcemy pomimo i wbrew 1772 r.

Dla narodu który żyje i żyć chce, nieuniknioną fatalnością jest pod tą lub ową formą, polityka. Chcąc więc żyć, musimy się do niéj wrócić. Lecz i tu ów rok 1872 nie jest bez znaczenia i mieści w sobie także naukę, która dla nas szczególniéj ma dziś praktyczne zastósowanie. W polityce nie można, niepodobna sądzić wypadki i zdarzenia z jakiegoś idealnego, szlachetnego, uczciwego stanowiska, trzeba je ważyć na szali interesów. Z tego punktu widzenia wychodząc, wiemy że udział w rozbiorze Polski był błędem, tylko ze strony jednego mocarstwa, ze strony Austryi. Dla tego że Austrya nie umiejąc przeszkodzić rozbiorowi Polski, zmuszoną się ujrzała wziąść w nim udział, pokutuje ona do dziś dnia za ten wielki błąd, za tę wielką słabość, za tę przeciw sobie zbrodnię polityczną. Dzisiejsze jéj niepewne, zależne stanowisko, jest prostym i bezpośrednim wypły-

wem jéj małodusznéj i bezrozumnéj polityki w 1772 r. Aby tę prawdę stwierdzić dość powiedzieć, że dziś zagrażają jéj te właśnie dwa mocarstwa, które wciągnęły ją w rozbiór Polski, a które w skutku tego rozbioru do tak wielkiéj a groźnéj doszły siły i potęgi. Lecz w czém dostrzedz można, że tak powiemy Nemezis polityczną, oto że jak w r. 1772 zapoznanie ważności kwestyi polskiéj stało się po części przyczyną następnych klęsk i powolnego upadku Austryi, tak samo 1872 r. zapoznanie przez Austryę ważności sprawy polskiéj i solidarności z nią, byłoby niezawodnie wielkim błędem. Błąd ten byłby dziś zarówno wielkim tak ze strony Austryi jak i z naszéj. Przyznać trzeba, że u nas pod tym względem zrobiono niemałe postępy, że jest koło ludzi politycznych, chcących szczerze i lojalnie sojuszu z Austryą, i że bądź co bądź ludzie ci wywierają niemały wpływ na dzisiejszą politykę polską, tak iż nawet łączność interesów polskich z austryackiemi stała się poniekąd pewnikiem téj polityki. Czy z drugiéj strony, czy w Wiedniu, zbawienne te wyobrażenia równie już znaczące zrobiły postępy? Oto pytanie chwili obecnéj, oto niejako ostateczny wynik wiekowych wypadków od 1772 r. do 1872. Smutne to już bardzo, że ten wynik przedstawia się nam jeszcze dotąd jako pytanie. W polityce bardzo często trzeba z sentezy przechodzić do analizy, a zawsze ostatecznie trzeba koniecznie dojść z ogólników do szczegółów, aby osiągnąć praktyczne rezultata. Dziś jeszcze, w naszym do Austryi stosunku, kwestya polska jest tylko idealnym ogólnikiem, praktycznym zaś szczegółem jest kwestya galicyjska, jest ostateczne urządzenie stosunku naszego kraju do monarchii i odzyskanie raz przecież normalnego stanu.

Więcéj jak ktokolwiek my jesteśmy przekonani, że aby dojść do tego pożądanego rozwiązania, trzeba dobréj woli, zrozumienia położenia i trudności położenia, z obydwóch stron. Co się tyczy kraju naszego nie przestaniemy doradzać mu umiarkowania, poświęcenia nawet szczegółów dla istoty rzeczy. Dziś jednak nie chwila moralizować pod tym względem kraj, o którego wybornie ugodowém usposobieniu jesteśmy przekonani; dziś głównie musimy mieć oczy zwrócone na Wiedeń i badać czy tam są rzeczywiste, przyjmowalne warunki ugody i pojednania. O dobréj woli Korony, o przekonaniach w naszéj sprawie ministeryum państwowego, nie wątpimy; znalazły one świetny wyraz w wielce znaczącym ustępie mowy tronowéj o naszym kraju. Nigdy jeszcze kraj nasz i nasza sprawa nie zostały w tak zaszczytny sposób wyszczególnione i uznane. Cokolwiek zajdzie i pomimo zmienności mów tronowych, w kraju konstytucyjnych experymentów, ustęp ten jest dla nas zwycięztwem moralném, jest podstawą na przyszłość, któréj nie powinniśmy nigdy opuszczać. Mowy tronowe mogą się wzajemnie lekceważyć, lecz z naszéj strony byłoby błędem lekceważyć ów ustęp tegorocznéj mowy. Dla nas

jest on niejako wynikiem kompromisu między różnemi przeważnemi dziś w Wiedniu wpływami, i dla tego niemałe ma znaczenie; ostatecznie bowiem tylko przez załatwienie sprawy galicyjskiéj, różnorodne te wpływy mogą żyć obok siebie i iść razem.

Jeżeli jednak komu to nam Polakom wolno być ostrożnymi, dopóki mamy do czynienia tylko ze słowami. Słowa zaś nawet mowy tronowéj są tylko słowami. Czynów więc oczekujmy, czynów ze strony ministeryum przedlitawskiego i większości izby, w ich bowiem rękach spoczywa dziś rozwiązanie sprawy galicyjskiéj. Nim więc ostateczny wydamy sąd o obecném położeniu, zaczekamy na rozwinięcie w praktyce przez ministeryum ustępu mowy tronowéj o Galicyi. Bezpośrednią do tego dała mu już sposobność delegacya nasza, wnioskiem posła Zyblikiewicza stawiającym znowu na porządku dziennym Rady Państwa uchwały sejmu galicyjskiego. Wniosek ten był i racyonalnym i politycznym; był on bowiem nieuniknioném następstwem mowy tronowéj, która wywoływała go niejako; politycznym zaś dla tego, że posłuży do wyjaśnienia obopólnie położenia, do stwierdzenia, jakie rzeczywiście ministeryum zajmie stanowisko wobec Galicyi. Zamiast luźnych układów jednostek, stwarza on niejako natychmiast przedmiot sporny między ministeryum a Galicyą, około którego toczyć się mogą rokowania. Co do nas, chcielibyśmy aby one do pomyślnego doprowadziły skutku. W mowie tronowéj i programie rządu nie widzimy przepaści między ministeryum a Galicyą, byle jéj stanowisko zostało raz dobrze określone, a rzeczywiste potrzeby zaspokojone. Czy nasze nadzieje zgody zostaną zawiedzione? Nie będziemy jeszcze dziś przesądzać. Jeżeli mamy dać wiarę wiadomościom z Wiednia, to pomimo ustępu mowy tronowéj o Galicyi nie wieje tam obecnie dla nas pomyślny wiatr. Zdaje się iż ministeryum i silna większość którą w izbie posiada, mniemają, że mogą się bez nas obejść i dla tego nie myślą nadać ustępowi mowy tronowéj zbyt szerokiéj interpretacyi. Zdaniem naszém byłoby to ze stanowiska, nawet stronnictwa, błędem, i nie przestaniemy twierdzić, że ministeryum i większość, które nie chcą ugody ogólnéj, nie mają długiéj przyszłości, jeżeli nie potrafią zawrzeć ugody z Galicyą.

St. Koźmian.

Teatr. — Oddawna zapewne żadna instytucya publiczna w Galicyi nie cieszyła się tak dobrą sławą, takiém wzięciem i powodzeniem, jak teatr krakowski. Między sceną i publicznością panuje rzadka i nader pożądana zgoda, któréj, spodziewamy się, zachwiać nie zdoła namiętne wyciąganie przed trybunał opinii takich osobistych sprawek i osobistych uraz autorów dramatycznych, jak ów przenudny spór o *Pół Miliona,* o którym czytamy długie procesa w różnych pismach, i który najłatwiéj rozstrzygnąćby można w sposób praktyczny. Niech autor Pół Miliona postara się o wystawienie swéj sztuki w Warszawie, Poznaniu lub Lwowie, a jeżeli jego dzieło zyska prawo obywatelstwa na repertuarze, w takim razie publiczność krakowska stanie po jego stronie przeciwko zarządowi i będziemy się targować nie o kota w worku, ale o rzecz znaną.

Mieliśmy w tym tygodniu ciekawe zjawisko na scenie krakowskiéj, które zadało kłam przeszłości, że śmiałków psy gryzą. Wystawiono mianowicie operę bez śpiewaków i z takiego widowiska kontentą była publiczność i kasa teatralna. Co więcéj, poważna krytyka poważnych dzienników nie wahała się uznać, że przedstawienie *Córki Pułku* było doskonałém po prostu, a daléj pannę Cwiklińską nie omieszkała wykierować na *Primadonnę.* Porozumiejmy się jednak. Jeżeli panna C. ma być primadonną artystek krakowskich, z których żadna śpiewać nie umié, to zgoda; jeżeli zaś ta młoda osoba ma się liczyć odtąd do primadonn śpiewaczek w technicznem znaczeniu, to szanowny krytyk albo chciał żartować z czytelników, albo nie ma wyobrażenia nawet, co znaczy wyraz, jakiego użyć uznał za stósowne. Wiadomo to oddawna, że Polacy chorują na śpiew i operę. Jest to mania chroniczna, skutkiem któréj Warszawa utrzymuje operę polską, rujnującą budżet bez korzyści dla miasta i sztuki, skutkiem któréj kusił się Lwów o coś podobnego i znowu projektuje zaprowadzić u siebie stałą polską operę. Warszawa miała przynajmniéj Dobrskiego i ma teraz w p. Filleborn tenorina pewnéj wartości, oraz jakikolwiek materyał po tému; lecz Lwów i Kraków rzuca się z motyką na słońce i kończy na parodyi. Czytamy wprawdzie od czasu do czasu w gazetach o świetnych sukcesach polskich śpiewaczek w Medyolanie, Wenecyi, Neapolu; jednak tych fenomenów nigdy żadne oko nie widziało, ani żadne ucho

nie słyszało. Nieraz także zjawia się wędrowna śpiewaczka Polka, nosząca szumny tytuł artystki teatru San Carlo, albo San Felice, ale w końcu pokazuje się, że ta gwiazda błyszczała na owych deskach jako chórzystka albo figurantka. Przypomina to wydawnictwo *Słownika malarzy polskich*, w których rzędzie pomieszczono wszystkich poczciwych mieszczan, noszących w aktach grodzkich przydomek: *pictor*, dawany każdemu, co coś malował, obrazy, drzwi albo szyldy. Nadto, jeden z krytyków warszawskich, choć zachwycony tak długą listą malarzy rodaków, stawiającą jego ojczyznę tuż obok Włoch w rzędzie narodów artystycznych, nie mógł przenieść na sobie, aby nie zrobić małéj uwagi, że w starych aktach dwie litery: *S* i *C* bywają do siebie podobne, tak iż często *pictor* znaczy *pistor*, t. j. zamiast malarza piekarz. Biorąc piekarzy i fabrykantów szyldów za malarzy, biorąc chórzystki za primadonny, dojdziemy bezwątpienia bardzo daleko i wsławimy się wielce, ale tylko w naszych dobroduszných, żeby się grzecznie wyrazić, oczach.

Scena prowadzona z poszanowaniem sztuki, powinna wystrzegać się wyskoków przechodzących jéj zadanie i ramy naturalne. Takim wyskokiem i grzéchem przeciwko naturze sceny krakowskiéj, było, przepraszamy za śmiałą otwartość, wystawienie *Córki Pułku*, opery małéj wartości i skromnych rozmiarów, pomimo zupełnego braku sił potrzebnych. Jedna *Marya* nieco śpiewała: inni artyści starali się naśladować śpiew w miarę możności. — Operetka potrzebną jest w repertuarze, szczególnie w Krakowie, gdzie artyści są przeciążeni pracą i potrzebują wypoczynku dobrze zasłużonego, ale wielka różnica zachodzi między operetką i operą. Próżno się łudzić; w operze trzeba śpiewać, ażeby śpiewać trzeba koniecznie posiadać głos i metodę.— Zostawmy wybryki odwagi scenicznéj wędrownym teatrom prowincyonalnym, które o niczém nie wątpiąc, skaczą od wysokiéj komedyi do baletu i od opery do farsy. Właśnie zasługą teatru krakowskiego jest to, że potrafił wyzwolić się od prowincyalizmu w ogóle i tylko czasem, bardzo rzadko przypomina mu się ten grzéch pierworodny. W grudniu zdarzyło się to między innemi dwa razy. Raz gdy Władysław w *Mentorze* wystąpił w popielatym szlafroku z czerwonymi kutasami, długim po kostki. Drugi raz w *Rewizorze Petersburgskim*, gdzie artyści uznali za stósowne przybrać akcent rosyjski. O ile wiemy, *Rewizora* Gogol napisał po rosyjsku, a tu w Krakowie dają go w tłomaczeniu polskiém, więc artyści powinni mówić po polsku, jak Pan Bóg przykazał, nie zarywając z rosyjska, wymawiać tak jak w sztukach Sardou albo Szyllera. Akcent rosyjski byłby na miejscu tylko w sztuce oryginalnéj polskiéj dla aktora grającego spolszczonego Rosyanina. Przy téj sposobności zamiast rozpisywać się nad sztuką powszechnie znaną i wybornie malującą pewne strony społeczeństwa rosyjskiego, zakończymy pobieżną wzmiankę o *Rewizorze*,

autentyczną anegdotą, mającą pewien historyczny interes. *Rewizor* ukazał się za panowania cesarza Mikołaja, cenzura wzbroniła przedstawienia i tylko car mógł zmienić zakaz. Po długich staraniach cesarzowa wzięła to na siebie i postanowiła, że sztuka będzie czytaną głośno u niéj przy herbacie, w obecności męża. Mikołaj słuchał uważnie, a po pierwszym akcie zawołał: „*Mais c'est admirable!... C'est presque aussi beau que du Paul de Kock!...* I *Rewizor* ukazał się wkrótce potém na scenie.

Lubiony i zasłużony artysta sceny krakowskiéj, p. Benda, zaraz po powrocie z Warszawy wystąpił w dwóch swoich rolach popisowych: w *Ślubach panieńskich* i *Dalili*. P. Benda widocznie szczególną wagę przywiązuje do roli Carniolego, bo w niéj ukazuje się podczas występów gościnnych. Zręczna i trafna charakteryzacya stanowi w niéj najgłówniejszą zaletę artysty; gra wymaga większego wykończenia szczegółów, większéj pewności i spokoju

W scenie z Rosweinem Carnioli zbyt prędko przychodzi do łez i płacze nad miarę. Żal u tego rodzaju ludzi objawia się nie tak gwałtownie, bo przywykli oni panować nad wzruszeniem, zwyczaj zaś w tym razie staje się drugą naturą. P. B., Ładnowski (Roswein) i pani Hoffmann (Dalila) grali bardzo dobrze, bo gra odpowiadała ich pojęciu ról, które mają tę wyższość, czy łatwość w porównaniu z Carniolim, że można je transponować na rozmaite skale pojęć artystycznych, nie będąc w sprzeczności z duchem sztuki i prawdą psychologiczną. Roswein i Dalila to mężczyzna i kobieta w walce z namiętnością, Carnioli zaś jest typem indywidualnym, który musi być wiernie przechowany.

Przedstawienie *Otella* dowiodło dwóch rzeczy. Najprzód, że Shakespeare był wielkim geniuszem, bo byle był granym znośnie, sprawia wrażenie na widzu i trafia do niemal każdéj intelligencyi ludzkiéj. Powtóre, że artystom krakowskim można bez obawy powierzyć wszelkie dzieło sceniczne, dramat czy komedyę, byle im śpiewać nie kazać... P. B. Ładnowski bardzo szczęśliwie przełamał trudności roli *Otella*; zrozumiał, że Shakespeare trzeba przedewszystkiém grać po ludzku, nie starając się naśladować lwa, tygrysa ani żadnéj dzikiéj bestyi.

Jago — p. Fiszer — był również człowiekiem i dobrze zrobił, choć ściągnął za to na siebie gromy krytyki lokalnéj, która chciała go mieć hyeną i to chorą na wodowstręt, *vulgo* wściekliznę. Nie wiem, dlaczego Shakespeare uchodzi pospolicie u nas za oryginała odznaczającego się głównie ekscentrycznością pomysłów. Kiedyś np. grano Hamleta w jakiémś małém miasteczku na Litwie. Podczas przedstawienia z jednéj strony stał w kulisach żandarm, stróż bezpieczeństwa publicznego, pełniący zarazem funkcye pompiera, z drugiéj zaś żyd, przedsiębiorca widowisk i oświetlenia sali. W połowie reprezentacyi żandarm zaczął

gasić i chować do kieszeni łojówki, będące świętą własnością potomka Abrahama, który wreszcie stracił cierpliwość, i gdy telegraficzne groźby nie skutkowały, popędził prosto przez scenę położyć tamę rabunkowi. W téj wycieczce trafił prosto na grób wykopany na scenie dla użytku Hamleta, i wpadłszy weń nakrył się nogami. Szlachta litewska, obecna temu, wzięła improwizowaną scenę za dobrą monetę, za osobisty wynalazek Shakespeara. Przy téj sposobności zauważano jednak, że ten wielki pisarz miał dziwne i nieco dzikie pomysły. Otóż ta sama historya powtarza się tutaj w Krakowie, ile razy estetycy dziennikarscy chcą tłomaczyć angielskiego dramaturga. Snuje im się po głowach cała menażerya dzikich potworów, o których nie śniło się Shakespearowi, bo miał zawsze na myśli ludzi i tylko ludzi, naturę i namiętności człowiecze. Głębokość poglądów w tym kierunku zawdzięczał geniuszowi swemu; ramy i formę stósował do gustów publiczności angielskiéj, wymagającéj jaskrawych efektów i wrażeń gwałtownych. Był geniuszem i dyrektorem teatru, więc w Hamlecie np. streścił filozofię niemiecką i zgromadził wszystkie warunki klasycznéj sztuki niedzielnéj: widmo, pogrzeb, szaleństwo i pojedynek. Dlatego na każdém przedstawieniu Hamleta są pełne loże i pełne galerye.

Obok wznowienia *Wesela Figara*, znanego z roku zeszłego, wystawiono po raz pierwszy drugie arcydzieło Carona de Beaumarchais: *Cyrulik Sewilski*. Słychać, że Dyrekcya ma zamiar przedstawić i ostatnią część trylogii: *Występna Matka*. Dla uzupełnienia całości byłoby to pożądaném, ale już *Cyrulik* wzniecał mniéj interesu niż *Wesele*. Artyści grali dobrze, trzeba im oddać tę sprawiedliwość, jednak brakowało im koniecznego warunku i werwy francuskiéj, która niczém zastąpić się nie da. Zresztą czas ma swoje prawa, Beaumarchais coraz bardziéj należy do przeszłości, w czytaniu ma wdzięk jeszcze, na scenie wygląda blado. Jest to los wszelkich utworów przeważnie tendencyjnych; w swéj epoce używają wielkiego rozgłosu, ze zmianą stosunków nabierają jedynie wartości historycznéj. Przytém nieuczciwą konkurencyę robi komedyi Beaumarchais'go opera Rossini'ego. Każdy mimowoli przypomina sobie tę muzykę szalonéj wesołości, niezrównaną humorem, wobec któréj sama mowa ludzka traci koloryt i powab. Opowiadają, że kiedyś ktoś, niebardzo obeznany z literaturą niemiecką, wracając z przedstawienia Fausta Goethego rzekł: „Co za dzika myśl przerabiać operę na dramat.“ Ktoś inny znowu słysząc obok nazwiska Goethego przydomek „wielki“ zapytał: „co to za Goethe?“ — „Autor Fausta“ odpowiedziano.— „Autor Fausta?...“ Chcesz pan zapewne powiedzieć Gounod!“ To samo trafia się i Autorowi *Cyrulika*. Wielcy poeci powinni prosić Pana Boga, aby nigdy nie przyszło żadnemu kompozytorowi na myśl do ich poematów dorabiać muzykę, bo który się tego doczeka, temu grozi niebezpieczeństwo zapomnienia na pewno.

Po dwudziestoletniéj przerwie ukazał się niedawno na scenie naszéj: *Wujaszek całego świata*, wesoła i milutka komedyjka płodnego pisarza niemieckiego, Benediksa. Publiczność nawykła do gwałtownych wrażeń nowoczesnéj dramaturgii, z pewném zdziwieniem przysłuchiwała się téj zręcznéj fraszce. Intryga w niéj dobroduszna i prawie naiwna, wesołość szczéra nie zarywająca rubaszności, uczucia od początku do końca uczciwe, choć jest tam i małżeństwo zawarte w sekrecie, i tajemnicze schadzki przy księżycu, i młoda kobieta w fałszywém położeniu, w któréj kochają się wszyscy, od pięćdziesięcioletniego ojca familii, do szesnastoletniego studenta.

W repertuarze miesiąca świeci zupełna nieobecność nowych, prosto z igły nowości. Pomimo tego nie brakło interesujących wieczorów, ani téż widzów w teatrze. Dowodzi to, że przy inteligentnym kierunku teatr niekoniecznie potrzebuje gonić i rozbijać się za nowalią, ale może żyć zwyczajną dobrze przyprawioną strawą. W rozpoczynającym się roku, zaraz w styczniu ujrzymy po raz pierwszy grany fragment Mickiewicza: *Konfederaci Barscy* i na benefis pana Rychtera: *Śmierć Wallensteina* Szyllera.

Z tak wykwintnych nabytków byłby szczęśliwym każdy wielki teatr europejski. Do przyszłéj kroniczki odkładamy także obszerniejsze wspomnienia o przedstawieniu Hamleta, którym nasz teatr ubiegły rok zykończył.

O LITERATURZE POLITYCZNÉJ

sejmu czteroletniego (1788–1792).

napisał

Dr. ROMAN PILAT.

IV.

Sprawa uprawnienia warstw niższych a mianowicie: mieszczańska, ludu wiejskiego i żydowska.

Sprawę mieszczańską wniósł pod obrady sejmowe i uczynił przedmiotem powszechnéj dyskusyi podany przez miasta memoryał, który dnia 18go października 1789 roku liczna deputacya reprezentantów miejskich z prezydentem warszawskim Janem Dekiertem na czele zaniosła do króla. Memoryał ten — myśl i dzieło Kołłątaja, który poruszeniem mieszczaństwa samego skłonić usiłował sejm do gorętszego zajęcia się sprawą uprawnienia warstw niższych [1]) — zrobił niesłychane wrażenie i dał hasło do starcia się zapatrywań w tym względzie. Czego dotychczas domagały się głosy publicystów, co przewódzcy reformy stawiali jako radę i życzenie, wystąpiło tu w formie stanowczego żądania całego stanu, który po długiem milczeniu po raz pierwszy otrząsł się z letargu i aktem politycznym objawiał wolę swoję. „*Nadszedł czas, najjaśn. królu, panie nasz miłościwy i prześwietny stanie rycerski* — mówi memoryał, pisany z godnością i umiarkowaniem, ale

[1]) Bardzo ciekawe szczegóły o zjeździe delegatów miejskich w celu ułożenia adresu do sejmu podaje broszura: *Listy JMci P. R.** tu w Warszawie znajdującego się do JMci P. S.** na wsi mieszkającego i Odpis* (8-vo str. 42).

w tonie śmiałym i stanowczym [1]) — *w którym znajomość sprawiedliwości i prawdy (to najużyteczniejsze ludzi oświecenie), ośmiela nas mówić w otwartéj szczerości, wynurzyć najrzetelniejsze do ojczyzny przywiązanie, a na tak ważnych pobudkach odwołać się do praw nam służących, jako obywatelom miast wolnych, jako właścicielom ziemi, od wieków przez miasta posiadanéj, jako ludziom, którzy użytek praw swoich czują, nietylko dla siebie, lecz dla powszechnego ojczyzny dobra, a w świetle sprawiedliwości waszéj najjaśn. Rzeczypospolitéj stany zaufani, wątpić nie mogą, że im to wrócić i zatwierdzić zechcecie, co prawo natury każdemu człowiekowi, a najdawniejsze i najświętsze przodków ustawy, w czasie szczęścia i sławy polskiéj, stanowi miejskiemu zabezpieczyły... Królu! a raczéj ojcze ludu wolnego! spojrzyj łaskawie i na twoją przysięgę i na nasze przywileje, a nie odmówisz prośbie naszéj. Jeżeli niewiadomość lub uprzedzenie uciskało milionowy lud miast wolnych, oświecenie i prawda niech im wróci sprawiedliwość, niech zbliży dni powszechnéj radości i panowanie twoje w księdze ludzkości za przykład królów wiecznie poświęci.“ — „Obijają się o uszy nasze zagraniczne rozruchy, lecz my w nieskażonéj, dla najjaśn. Rzeczypospolitéj polskiéj wierności ściśle się zachowujemy i zachować nie przestaniemy, i tym duchem spokojności natchnięci wszystkie kroki nasze kierujemy. Rwie gwałtownie okowy swoje niewolnik, gdzie panujący nad nim tłumi wszelkie prawa człowieka i obywatela. Lecz w Polsce, gdzie król, obywatel pierwéj, znał swobody i zaszczyty wolności nim przyjął na siebie ciężar korony, gdzie poważny senat, prześwietny stan rycerski prawdziwym stróżem jest wolności, gdzie duch jéj świetnie dziś wygórował, każdy o tem w sercu jest przekonanym, że wolność jest przyrodzoną człowiekowi, że prawa jéj są świętemi, że podupadłe dźwignąć, osłabione wzmocnić należy i na tak trwałéj zasadzie wznieść gmach ogromny wolnego i wiecznie trwałego rządu. — Taki sposób myślenia, dobru publicznemu, prawom ludzkości i prawdziwéj tak dogodny*

---

[1]) Przytaczamy tu kilka ustępów tego znakomitego pisma, nietylko dlatego, że jako praca Kołłątaja zasługuje na uwagę, ale z przyczyny, że dotąd jest prawie zupełnie nieznanem.

wolności, nie w cieniu lecz śmiało i publicznie, bo w najczystszym celu powzięty, nie wystawia nas naprzeciw władzy panującéj, nie zasila nas tylko samą prawdą. Przed Bogiem, ojczyzną i Tobą miłościwy królu zaręczyć możemy, że krok od nas przedsięwzięty tak jest rozważnie i z wszelką ostrożnością uczyniony, iż najjaśn. Rzeczpospolita polska żadnych złych skutków od przywiązanego do siebie ludu obawiać się nie powinna. Sprawiedliwości tylko żądamy! Nieszczęśliwości zaś narodu sami dopuszczać nie chcemy."

Przechodząc z ogólnych zapatrywań do praktycznych wniosków, domagał się memoryał przywrócenia dawnych przed sejmem „unionis" istniejących przywilejów miejskich, prawa neminem captivabimus, nabywania dóbr ziemskich, dostępywania wyższych godności w wojsku i stanie duchownym i nareszcie uczestnictwa w sejmie [1]).

Żądanie mieszczan, jakkolwiek tak niespodziewanie i nagle zaskoczyło sejm i opinię publiczną, znalazło jednak do pewnego stopnia przygotowane umysły. Potrzeba rozszerzenia podstawy narodowéj, potrzeba rozbudzenia i zyskania dla życia politycznego mas szerszych, mieściła się już nietylko w programie samych przewódców reformy, którzy wypowiedzieli ją otwarcie w chwili rozpoczęcia pracy prawodawczéj sejmu, ale była przez całą światlejszą część narodu ogólnie prawie uznaną. Wydane jeszcze przed sejmem dzieła Wybickiego i Staszyca, szeroki już zrobiły były wyrąb w przesądach opinii, nowe pojęcia społeczne i polityczne urabiały się szybko i zyskiwały licznych zwolenników. Przyczyniał się do tego niemało i ruch w mieszczaństwie samem po miastach, a zwłaszcza w Warszawie, gdzie rozbudzony żywioł mieszczański znajdując silne poparcie w stronnictwie postępowem, coraz widoczniéj zaczynał na jaw występować, gdzie w celu przeprowadzenia uprawnienia warstw niższych tworzyły się

[1]) Wszystkich punktów, zawierających żądania jest dziesięć; my podnieśliśmy tylko ważniejsze. — Sprostować jednak należy twierdzenie Szujskiego (Dzieje Polski t. IV, str. 613) jakoby memoryał żądał osobnéj izby dla miast; żądania takiego w memoryale nie ma.

kluby, gdzie nareszcie młodzież mieszczańska w wielkiéj liczbie zalegając ganki izby sejmowéj oklaskami lub znakami nieukontentowania wywierała nawet pewien nacisk na obrady publiczne.

Szerzący się ten duch czasu pozwalał zwolennikom reformy silną i skuteczną rozwinąć propagandę. Wnet za pojawieniem się memoryału rozrzucili oni pomiędzy publicznością znaczną liczbę pism, w których śmiało wystąpili w obronie miast i poparli ich żądania. Oto są znaczniejsze z nich: *Uwagi ogólne nad stanem rolniczym i miejskim z powodu przyszłéj rządu narodowego formy.* Warszawa 1789 (8-vo str. 46).“— „*Bezstronne uwagi nad mową J. W. Jezierskiego kasztelana lukowskiego mianą na sejmie 15 grudnia przeciw mieszczanom* (8-vo str. 64)“ — *Starych uprzedzeń nowe roztrząśnienie do reformy rządu krajowego służące r. 1790* (8-vo str. 74)“ — *Listy JMci P. R.** tu w Warszawie znajdującego się do JMci P. S.** na wsi mieszkającego i Odpis* (8-vo str. 42) — *Dwóch nieboszczyków Dekert z ministrem o miastach* (8-vo str. 43) w formie dyalogu — *Korespondencya jednego obywatela z podkomorzym pewnego województwa z okoliczności przyszłego rządu* (8-vo str. 32) — *Odpowiedź wójta na zarzuty burmistrza* (8-vo str. 72) — *Burmistrz z panem wójtem. 8-bris 1790* (8-vo str. 160) [1]) — *Rozmowa obywatela ziemianina województwa łęczyckiego z obywatelem mieszczaninem miasta Łęczycy* (8-vo str. 13) w formie dyalogu. — *Zdanie obywatela prowincyi W. X. Lit. na pismo p. t. Głos na prędce do stanu miejskiego* 1791 (12-o str. 22) — i inne.

Niemałéj wagi rzeczą było zręczne postawienie kwestyi, tak, aby wobec ciemnéj i przesądnéj szlachty nie nosiła na sobie cechy zbyt wielkiego nowatorstwa. Obrońcy miast odwołali się więc przedewszystkiem do świadectwa historyi i dowodami z dziejów starali się przypomnieć narodowi, że mieszczaństwo dawniéj już brało udział w życiu politycznem, że żądania jego nie mieszczą w sobie nic nowego, i chodzi tu

---

[1]) Pierwszą część książki téj zajmuje pismo *Burmistrz* (o którem później będzie wzmianka), daléj następuje *odpowiedź wójta na zarzuty burmistrza.*

tylko o przywrócenie dawnych praw i przywilejów, które im niesłusznie odebrano. Aby twierdzeniom tym i dowodom silniejsze dać poparcie prawdy, zakrzątnęła się część pisarzy nad zebraniem autentycznych dokumentów: zaczęto dobywać ukryte po archiwach akta i dyplomata i podawać je drukiem na widok publiczny. W pracy téj, która z pola polityki schodziła już nieco w zakres historyi, przodował innym Adam Mędrzecki, adwokat przy assesoryi koronnéj, późniejszy (1807) mecenas warszawski, jeden z najgorliwszych obrońców sprawy mieszczańskiéj [1]). Człowiek zdolny i nadzwyczaj pracowity, wydał on szereg gruntownych dzieł, w których zbierał i ogłaszał dowody historyczne, świadczące za dawnemi przywilejami mieszczan i przy każdéj sposobności nieprzestawał przypominać, że od pomyślności miast zawisło szczęście kraju całego. Należą tu mianowicie następujące prace: *Prawa miast polskich do władzy prawodawczéj, wykonującéj i sądowniczéj* i. t. d. i. t. d. Warszawa (4-to str. 64) — *Wiadomość o pierwiastkowéj miast zasadzie w Polszcze i szczególnych przywilejach i wolnościach oraz o przyczynach upadku tychże miast* i. t. d. Warszawa (8-vo str. 99) — *Zbiór praw, dowodów i uwag.... N. Deputacyi od stanów Rzpltéj do rozstrząśnienia praw i przywilejów miejskich wyznaczonéj podany.* Części 7 (f. str. 24, 23, 7, 25, 26, 13, 10) — *Do P. Deputacyi przez N. Króla Jmci i N. Stany Rzpltéj do miasta Warszawy wybranéj podane dnia 5 listopada* 1789 (8-vo str. 96) [2]). — Pomocnikiem Mę-

---

[1]) Umarł w r. 1832.

[2]) Podajemy tu całkowite tytuły wymienionych dzieł: *Prawa miast polskich do władzy prawodawczéj, wykonywującéj i sądowniczéj, wywód z praw, statutów, konstytucyi, szczególnych przywilejów i dyplomatów tak w woluminach praw, jakoteż w archiwum metryki koronnéj w oryginałach, tudzież w archiwum miast niektórych znajdujących się, wiernie zebrany, dowodzący: że miasta królewskie w Polszcze na wzór miast Rzeszy Niemieckiéj zawsze formowały stan wolny, nikomu jak tylko panom narodowym podległy, do obrad, sejmów i zjazdów, elekcyi królów, stanowienia praw, zawierania z postronnemi potencyami traktatów, równo ze stanem szlacheckim należały; owo zgoła, że miasta polskie stan rządowy wykonywający i sądzący*

drzeckiego w pracy téj był Franciszek Bars, bankier warszawski i wybrany przez miasta plenipotent do spraw politycznych [1]).

Wszakże, nie ograniczając się na samych wywodach historycznych starali się pisarze reformatorscy okazać żywotność sprawy mieszczańskiéj w obecnéj chwili, wśród istniejących

---

formowały. — Wiadomość o pierwiastkowéj miast zasadzie w Polszcze, ich szczególnych przywilejach i wolnościach, oraz o przyczynach upadku tychże miast Najjaśń. Stanisławowi Augustowi królowi i Najjaśń. Rzeczypospolitéj skonfederowanym stanom w czasie sejmu r. 1788 zaczętego i w r. 1789 kontynuowanego podana. — Zbiór praw, dowodów i uwag z treści tychże wynikających dla objaśnienia zaszczytów stanowi miejskiemu ex juribus municipalibus służących P. Deputacyi od N. Stanów Rzpltéj do roztrząśnienia praw i przywilejów miejskich wyznanéj podany.

[1]) Że Bars pisał nawet sam broszury za stanem mieszczańskim, wiemy ze wzmianek w pismach współczesnych, mianowicie wspomina o tem wyraźnie Jacek Jezierski w mowach sejmowych z d. 4 i 5 listopada, w których sprzeciwia się nobilitacyi Barsa dla tego, że pisał *„przeciw szlachcie i przeciw niemu, skłaniając mieszczan do buntu.“* — Wskazać broszur jego z całą pewnością nie możemy, ale wszystko przemawia za tem, że będzie to albo wymienione pismo p. t. *Bezstronne uwagi nad mową J. W. Jacka Jezierskiego kasz. łuk....* albo broszura: *Nie wszyscy błądzą...*, o któréj jeszcze wspomniemy. Z pism jego wydanych podczas sejmu 4-letniego znanym jest nam jeszcze: *Głos J. P. Franciszka Barsa, plenipotenta miast, miany na ratuszu miasta Warszawy w czasie przyjmowania prawa miejskiego przez J. W. Stan. Małachowskiego d. 29 kwietnia 1791* (4-to ark.); — przed sejmem zaś wydał: *Mowy za czterema stanami: kupieckim, rolniczym, żołnierskim i ludzi uczonych, który z nich jest krajowi pożyteczniejszy, a zatem pierwszy do łask i szczególniejszéj monarchii opieki przełożone z francuskiego przez Fr. Barsa* (8-vo str. 176). — *Zdanie moje o pojedynkach czyli list officyera francuskiego do jednego z swoich przyjaciół, przełożone z francuskiego przez Fr. Barsa.* Warszawa 1776 (8-vo str. 32) — i *Bewerley czyli gracz angielski, tragedya w 5 aktach.* Warszawa 1777 (8-vo). — Po upadku Rzpltéj przeniósł się do Francyi i umarł w Paryżu z początkiem bieżącego stólecia.

stosunków, wystawić ścisły jéj związek z ogólną poprawą rządu i dowieść, że jest ona niezbędnym warunkiem odrodzenia się politycznego narodu i trwalszego urządzenia stosunków wewnętrznych kraju. Z najrozmaitszych stanowisk wyświecali poruszoną kwestyę, podnosząc wszystkie względy, które przemawiały na jéj korzyść i odzywając się zarówno do rozsądku politycznego szlachty jak do jéj uczucia względem kraju i sprawy narodowéj.

Znaczna część ich postawiła się na stanowisku ekonomicznem i z niego wysuwała potrzebę reformy społecznéj. Smutny stan materyalny kraju aż zbyt dotkliwie każdemu czuć się dający, służył im za wyborną podstawę, na któréj opierali rozumowania swoje. Wystawiwszy w jaskrawych ale prawdziwych kolorach upadek handlu, przemysłu i powszechnego dobrobytu w kraju i ukazawszy grożące ztąd następstwa, wskazywali jako główną tego przyczynę upadek miast i mieszczan, objaśniali ogromne znaczenie stanu tego w życiu społecznem i ekonomicznem narodu i dowodzili cyframi, ile dobrobyt powszechny na upadku jego traci i jak srogo upośledzenie warstwy jednéj mści się na kraju całym. Niedotykając prawie zupełnie strony politycznéj kwestyi, domagali się oni uprawnienia mieszczan jako środka reformy ekonomicznéj, który jedynie kraj przed nieuniknioną ruiną uratować może. — Było to zręczne wyłożenie rzeczy, zastosowane przedewszystkiem do niemałéj pomiędzy szlachtą liczby takich, którzy ulegając jeszcze przesądom politycznym, byli żarliwymi zwolennikami reform ekonomicznych i u których względy dobrobytu i podźwignienia materyalnego kraju, były główną pobudką do dążeń postępowych.

Inni zajmowali się przedewszystkiem wyjaśnieniem politycznéj doniosłości uprawnienia mieszczan. Przyjęcie licznego, a najlepszemi chęciami ożywionego stanu — podnoszą oni trafnie w pismach swoich — nietylko da trwałość i równowagę rządowi, który na jednym nielicznym stanie oparty, ulegać musiał ciągłym przewrotom, ale stanie się dzielnym środkiem wzmocnienia kraju na zewnątrz. Będzie to zastęp nowych kraju obrońców, których zarówno wdzięczność jak interes wiązać będzie do sprawy narodowéj. Przypuszczony do spraw politycznych mieszczanin czując się ogniwem rządu,

korzystając z tak długo zatrzymanych mu swobód i korzyści, nie będzie jak dotychczas patrzył obojętnem okiem na sprawy publiczne, ale połączy się ze szlachtą i podejmie z nią wspólnie pracę nad podźwignieniem kraju z upadku. „*Jeśli mówią o potrzebie aliansu z Prusakiem, to jeszcze potrzebniejszym jest alians wewnętrzny, zgoda wszystkich stanów, która tylko uprawnieniem warstw niższych da się osiągnąć.*“ Dla poparcia rozumowań swoich nieomieszkali obrońcy miast na to przedewszystkiem położyć nacisku, że stan mieszczański wykształceniem nie ustępuje w niczem szlachcie, i że jest w stanie godnie odpowiedzieć nowym obowiązkom i prawom, których się domaga. Rozliczne wady dzisiejszych mieszczan tak chętnie przez przeciwników ich podnoszone, jakoto: gnuśność, opilstwo, obojętność względem spraw publicznych nie są wadami stanu, ale pojedynczych jednostek przez długi czas upośledzonych, wzrosłych wśród pogardy i ucisku. Uczyńmy ich uczestnikami praw i swobód politycznych — wołają oni obracając się do szlachty — podnieśmy z dotychczasowego upośledzenia i przyciągnijmy do siebie, a wtedy poznamy, że wady ich obecne nie leżą we krwi, że i mieszczanin sprawie narodowéj i krajowi nie mniejsze jest w stanie oddać przysługi jak i szlachcic.

Rozliczne te względy tak polityczne jak ekonomiczne przemawiające za uprawnieniem mieszczan a po różnych pismach rozrzucone, zbiera, zestawia i wyświeca nadzwyczaj trafnie wspomniana powyżéj broszura p. t. „*Uwagi ogólne nad stanem miejskim i rolniczym.*“ Styl, siła wymowy i pewien pogląd obszerniejszy na stosunki kraju wskazują na niepośledniego pisarza, kto wié czy nie Wybickiego [1]). Autor podno-

---

[1]) Wybicki był delegatem miast wydziału poznańskiego, zajmował się gorliwie sprawą mieszczańską, i wogóle miał wielkie między mieszczanami uznanie (Dodatek do pamiętników Wybickiego. Poznań, Żup. 1842 str. 30). Z różnych wskazówek sądząc, jest prawie niewątpliwem, że w sprawie téj wydawał broszury polityczne; o ile nie mając bliższych wskazówek można robić przypuszczenia, zdaje się że jego utworu jest powyższa broszura. Dodać jeszcze należy, że drukował także w obronie mieszczaństwa miane mowy: *Mowy J. W. Józefa*

sząc w niéj potrzebę wzmocnienia się kraju nazewnątrz i pochwalając zapał, który uchwalił sto tysięcy wojska, dowodzi, że wykonanie téj uchwały bez rozwiązania kwestyi mieszczańskiéj jest prawie niepodobieństwem. Podwyższenie podatków w tym stopniu, jak tego wymagają obecne potrzeby wojenne, wśród istniejącego stanu rzeczy i przy ogólnem zubożeniu mieszkańców, pociągnęłoby za sobą ruinę kraju i wtedy dopiero stanie się możliwem, kiedy reforma społeczna otwierając warstwom niższym pole do swobodniejszego rozwoju, pomnoży ilość rąk roboczych, powiększy dochody i podniesie dobrobyt materyalny. „*Dziś nam ludzi trzeba* — słowa są jego — *tak, dziś już koniecznie, bo naród potrzebuje majątku, a ten u nas jak i wszędzie nie może być tylko skutkiem pracy rąk ludzkich wymagającej. Uznajcie przeto, że kilkakroćstotysięcy ludzi, którzy się mienią potomkami pierwszych kraju zdobywców, nie są narodem lecz czternastą częścią onego, że naród składa się z siedmiu milionów ludzi, w których liczbie chłopi i mieszczanie są w proporcyi czternastu do jednego, jeżeli nie więcéj, że potrzeba ogólna wymaga dla każdego w szczególności mieszkańca zabezpieczenia wolności osobistéj i własności bądź gruntowéj bądź ruchomėj, że praca wspólna obywateli jest jedynem źródłem bogactwa narodowego, że nakoniec każdy mieszkaniec nie w miarę powierzchownéj zacności, lecz w proporcyi pożytków narodowi pracą własną przysposobionych, szacunek i protekcyę u władzy prawodawczéj zyskać powinien....*“ Przedłożywszy w dalszym toku dzieła, o ile rozdział między szlachtą a mieszczanami jest w interesie nieprzyjaciół kraju i jak usilnie pracują nad jego utrzymaniem wpływy obce, napomina surowo sejm, aby dla miłości ojczyzny pozbył się urojonych uprzedzeń i uprawnieniem mieszczan położył podstawę do przyszłéj kraju szczęśliwości. „*Kto prawo dla ogólności narodowéj układa* — mówi — *powinien się wyzuć z wszelkich przesądów, które mu miłość zgromadzenia, w którem on zostaje, lubemi czyni. Tych jeżeli się najzupełniéj wyrzec nie*

Wybickiego delegowanego do deputacyi plenipotenta miast wolnych z wydziału poznańskiego w różnych czasiech miane. Warszawa 1791 (4-to str. 23).

zdoła, niech rzuci pióro, bo inaczéj chcąc pisać prawo dla ogółu, będzie pisał dla części; tę uszczęśliwi biedą powszechną na czas, a naród zgubi na zawsze."

Ale nie wszystkie pisma obozu reformatorskiego stały na tak praktycznym gruncie, i zapomocą sumiennego roztrząśnienia stosunków ekonomicznych lub politycznych kraju wywodziły potrzebę uprawnienia mieszczan. Niektóre z nich zajęły znacznie ogólniejsze stanowisko względem poruszonéj kwestyi. Teorye polityczne rewolucyi francuskiéj wywierając, jak już wspomnieliśmy, wpływ niemały na zapatrywania całego stronnictwa postępowego znajdowały naturalnie w ruchliwych jego żywiołach gorących zwolenników, którzy zapatrując się na gwałtowne i radykalne przeobrażenie stosunków we Francyi, parli i we własnym kraju do szybszego załatwienia reformy społecznéj. Ludzie ci skrajniejszych zapatrywań nieuważając za rzecz potrzebną opierać się na stosunkach rzeczywistych i z nich wysnuwać żądania swoje„ zażądali w pismach swoich uprawnienia miast w imię głoszonych przez rewolucyę haseł: równości, wolności i praw człowieka. — Kiedy większość pisarzy reformatorskich miała przedewszystkiem na celu przekonać nieoświeconą szlachtę o potrzebie téj reformy, wpłynąć na zapatrywanie jéj w duchu pojednawczym, to oni uderzyli gwałtownie na istniejące przesądy, aby je wykorzenić, zwolenników nierządu pokonać siłą opinii publicznéj i zmusić do milczenia. To też ton pism tych jest śmiały, stanowczy a niekiedy i groźny, wiele w nich wprawdzie szlachetnego zapału ale i namiętności. Wychodziły one widocznie z pod pióra młodych ludzi, którzy teoryą zastępowali brak doświadczenia, a których gorące uczucie chętniéj wylewało się w żywéj retoryce niż w spokojnych rozumowaniach. Pomiędzy nimi odznacza się tak śmiałemi żądaniami, jak siłą wymowy, broszura p. t. „*Nie wszyscy błądzą, rozmowa Bartka z panem, rzecz całą objaśni*" Warszawa 1790 (8-vo str. 72). Jestto odpowiedź na pismo jednego z zwolenników obozu staroszlacheckiego, pełna trafnych uwag ale także gorzkiéj prawdy i ostrych wyrzutów przeciwko stanowi szlacheckiemu. Autor jéj, jak się sam przyznaje mieszczanin, zaraz z początku dzieła tak się odzywa do szlachty: „*Ludzie dziś od Kaima są gorsi, Kain wydarł jednemu tylko Ablowi życie. Wy zaś nam wszyst-*

kim wolność równo z życiem cenioną wydrzeć usiłujecie. Z nas jest wojsko, fabryki, chleb, pieniądz, wsparcie, a przecież za nic nas macie. Porachujcie się tylko z sumieniem waszem, do którego my odwołujemy się, a łatwo błąd się odkryje.“ Zbijając zarzuty czynione mieszczaństwu pokazuje, że na dnie tego wszystkiego leży po prostu egoizm wynikający z zarozumienia mniemanéj wyższości szlachectwa. Na przesąd ten uderza całą siłą i wyszydza go dotkliwą ironią: *Przed laty* — mówi — *nabycie szlachectwa mniéj kosztowało niż teraz. Przetrząśmy herbarze, a przekonamy się o prawdzie. Zabicie lisa, wilka, dzika, żubra, niedźwiedzia dawało herby. Ach, gdyby to tak i teraz! Ja umiem dobrze strzelać, to ubiłbym i lwa, jak go na prezent do naszego kraju wprowadzą aby z nas zdzierać pieniądze, i zaraz pysznilbym się z domu mojego.*“

Zasługuje jednak to na uwagę, że nawet i te skrajniejsze pisma, choć nieraz gwałtownością swoją niepotrzebnie jątrzyły umysły szlachty, nie dały się unieść całkiem teoryom francuskim i nie spuszczały z oka stosunków kraju. Wyznają one otwarcie, że „*niechcą iść torem Francyi*,“ a myśl zrównania stanów potępiają jednogłośnie jako utopię. W ogóle dojrzałość i umiarkowanie publicystyki reformatorskiéj, któréj na wstępie oddaliśmy uznanie, w żadnéj może sprawie nie okazuje się lepiéj, jak właśnie w téj, która dotykała tak drażliwych i tak powszechnych jeszcze przesądów. Popierając wszystkie żądania mieszczan zawarte w memoryale, nietknęła ona zupełnie projektu utworzenia osobnéj izby mieszczańskiéj, ulubionéj myśli Kołłątaja którą rozwinął i gorąco zalecił w Listach do Małachowskiego. Radykalizm taki, dążący widocznie do naśladowania stosunków francuskich, uznawano ogólnie za rzecz szkodliwą, a Staszyc zresztą tak żarliwy obrońca mieszczaństwa był jednym z pierwszych, który w Przestrogach myśl tę zganił.

Kiedy tak zwolennikom reformy memoryał miast dał dobrą sposobność do poruszenia sprawy uprawnienia warstw niższych i rozwinięcia szerszéj czynności w tym kierunku, — w obozie staroszlacheckim wywołał on ogromny popłoch i wrzawę. Nikomu tu przez myśl nie przeszło, aby stan mieszczański, od wieków upośledzony, nie dający żadnéj oznaki życia politycznego, mógł się zdobyć na krok tak śmiały i stanowczy!

Świeży przykład odbywającego się ruchu mieszczaństwa we Francyi i obawa przed podobnemi wypadkami w kraju, a przytem, dodać należy, i ton śmiały memoryału podanego nie na ręce kanclerzy izbie, ale wprost do króla, przeraził umysły nieoświeconéj szlachty, strzegącéj bacznie dawnych swych przywilejów. Niemała część izby sprzeciwiła się wprost żądaniu mieszczan, niechciano nawet dopuścić memoryału pod obrady, a pojedyńcze głosy nazwały krok mieszczaństwa buntem i zażądały wyśledzenia i ukarania tajemnych podżegaczy. Aby jednak nie pozostać w tyle po za stronnictwem reformatorskiem, które czerpało siłę swą głównie z poparcia opinii publicznéj, rozpoczęli zwolennicy nierządu równocześnie z opozycyą w sejmie i walkę na polu piśmiennictwa.

Najzaślepieńsi i najbardziéj przesądni uderzyli na stan mieszczański z namiętnością, obrzucając go obelgami i szyderstwem. Domaganie się reform i praw politycznych ze strony tych „kramarzy i szynkarzy“ było w oczach ich śmiałością nie do darowania, którą należało zawczasu i przykładnie skarcić. Pozbawieni wszelkiego zmysłu politycznego i kierując się jedynie egoizmem kasty, uważali oni każdą zmianę w dotychczasowym stanie rzeczy za *„pokrzywdzenie stanu szlacheckiego*,“ i całym głosem sprzeciwiali się żądaniu miast i ich obrońców; najgwałtowniejsze środki nie wydawały im się niebezpiecznemi i niestosownemi, kiedy chodziło o utrzymanie przywilejów stanu swego. Zwierciadłem opinii takich zagorzałych fanatyków, których garstka jednak pod wpływem ducha czasu coraz bardziéj topniała, jest kilka ulotnych pisemek, a mianowicie: *„Odpowiedź od stanu szlacheckiego miastom, żądającym posiadania dóbr ziemskich*“ (f. ark.) i *„Pytanie, czy do doskonałości konstytucyi politycznéj państwa naszego koniecznie potrzeba, aby gmin miał ucząstek w prawodawstwie i t. d.* (8-vo str. 31) [1]). Pierwsze z nich, rodzaj

[1]) Cały tytuł brzmi: *„Pytanie, czy do doskonałości konstytucyi politycznéj państwa naszego koniecznie potrzeba, aby gmin miał ucząstek w prawodawstwie? albo raczéj czyli przeto ta konstytucya jest najgorsza i potworna, iż chłopi rolnicy nie są do prawodawstwa przypuszczeni? a w przy-*

kontrmemoryału na żądania miast, wylicza z całą naiwnością ciemnoty szereg krzywd i prześladowań, których mieszczanie dopuszczają się względem szlachty, kładąc wysokie ceny na towary, zmuszając ubogą szlachtę osiadłą po miastach przysięgać na prawo miejskie, a przedewszystkiem od r. 1768, od kiedy dozwolono im mieścić się w komisyi skarbowéj i w palestrze, cisnąc się tłumnie do przeznaczonych dla szlachty posad! Jako dalszy skutek takich zmian przepowiada zubożenie i upadek stanu szlacheckiego, a natomiast rozwielmożnienie się mieszczaństwa *„jeżdżącego i tak już karetami“*; żąda przeto, aby sejm nietylko ściśléj niż dotąd przestrzegał

---

padku nieuchronnéj potrzeby przyjęcia ich, komuby raczéj tego zaszczytu udzielić, chłopom, wieśniakom czy kupcom mieszczanom, pod ogólnem imieniem gminu u nas zajętym.“ Inne odbicie téj broszury ma ten sam tytuł, format i tę samą ilość stronnic, ale na końcu dopisano M. F. K. S. Z. — Autorem jéj jest Maurycy Franciszek Karp, starosta jodaycki i poseł żmudzki, który wydał prócz tego w ciągu sejmu 4-letniego następujące pisma i mowy: *Z Rykiiwa na Żmudź 29 list. 1789* (8-vo egz. br.). *Obraz Sejmików*, Warszawa 1791 (8-vo str. 58). — *Głos JP. Maurycego Fr. Karpia, posła żmudzkiego na sesyi sejmowéj miany d. 15 lutego 1791* (f. str. 4.) *Głos M. F. Karpia posła Xięstwa żmudzkiego na sesyi sejmowéj d. 12 maja 1791.* (4-to egz. niek.) *Głos M. F. Karpia posła z Xięstwa żmudzkiego na sesyi sejm. d. 13 paźdz. 1791 miany.* Warszawa, (4-to, str. 16). — *Głos Maur. Franc. Karpia posła na sejm z X. żmudz. na sejmiku deputackim i elekcyjnym żmudzkim wydziału nowego szawelskiego w zbiorze tysiąca obywateli tegoż wydziału, o czynach sejmu trwającego, miany r. 1792 d. 14 m. lutego* (8-vo kart. nieli. 15). — *Głos Maur. Franc. Karpia posła na sejm. z X. żmudzkiego na stanach r. 1792 d. 19 marca miany* (8-vo kar. nieli. 8).— Tego pióra jest także tłumaczenie dzieła J. I. Rousseau: *Considerations sur le gouvernement de la Pologne .....* wydane p. t. *Uwagi nad rządem polskim oraz nad odmianą czyli reformą jego projektowaną przez J. I. Rousseau z francuskiego na ojczysty język przełożone 1788.* Warszawa 1789. 8-vo. cz. I. str. 190. Umarł w roku 1817 w majętności dziedzicznéj Rykijów, koło miasta Szawle. (Nekrolog jego w Dzienniku wileńskim z r. 1817 t. VI. str. 677 i Bentkowskiego hist. lit. t. II. str. 105).

granicy między stanami i zaniechał wszelkich nobilitacyi [1]), ale postanowił nawet surowe kary na tych, którzyby sobie tytuł szlachecki i przywiązane do niego przywileje przywłaszczali. Autor drugiego pisma, Maurycy Franciszek Karp, poseł żmudzki uważa podniesienie się miast, które są źródłem zbytku, chciwości i złych namiętności za wprost szkodliwe dla kraju i twierdzi, że w interesie narodowym „*zamiast podnosić i zapomagać je przez przywileje, należałoby raczéj one wyludnić albo przynajmniéj zaludnienie i wzrost ich zbyteczny tamować.*“ Z tego powodu wyznaje, że w ostatecznym razie chętniéj zgodziłby się na uprawnienie ludu wiejskiego niż mieszczaństwa.

Do grona takich zaciętych przeciwników miast, policzyć należy także postępowego zresztą pod wielu względami Jacka Jezierskiego. Niepoprzestając na wyszydzeniu żądań mieszczaństwa w izbie sejmowéj — epitet kramarzy i szynkarzy był jego pomysłu — wydał on w chwili agitującéj się sprawy mieszczańskiéj dość obszerne dziełko, w którem nic nieznaczącemi żartami i drwinami nie wahał się zbyć jedną z najżywotniejszych spraw politycznych kraju. Jestto znana nam już broszura, pod tytułem „*Wszyscy błądzą, rozmowa pana z rolnikiem.*“ Dowcipny kasztelan łukowski, który jeszcze w r. 1764 w jednem z ulotnych pisemek napominał sejm, aby „*latoroślom miejskim nad miarę niedał wybujać*“ perswaduje tu mieszczanom i stara się w nich wmówić, że udzielenie praw politycznych sprzeciwia się własnemu ich interesowi: handel i przemysł upadną, mieszczanie, którzy i tak nie są

---

[1]) Podnieść należy, że sejm 4-letni za opłatą pieniężną rozdawał we wielkiéj ilości dyplomy szlacheckie, nobilitowano w ciągu niespełna czterech lat 227 osób cywilnych, 164 wojskowych. Stronnictwo postępowe uważało nobilitacye nietylko za środek polityczny do pozyskania warstw niższych, ale także za sposób polepszenia finansów. Wszakże lekceważenie takie szlachectwa oburzało już nietylko opozycyę, ale nawet ludzi umiarkowańszych, którzy sprzeciwiali się nobilitacyom bez zasług i odznaczenia się i tworzeniu nowego stanu „*szlachty dukatowéj*“ (p. broszury: *Prawdziwy szlachcic do prawodawców* (8vo egz. brosz. nieli.) *Stary szlachcic do nowych.* Warszawa 1791 (8-vo str. 44).

kupcami ale kramarzami, oddadzą się próżniactwu i potracą to nawet co mają. Żądanie praw politycznych uważa za rzecz ponętną, która jednak nie przyniesie korzyści rzeczywistych. „*Jestto bulka z mydła w kolorach, która jest niczem.*“ Winę tych zachcianek pojawiających się teraz w stanie mieszczańskim składa na „*pismaków warszawskich,*“ którzy szerzą „*zarazę francuską i całą strukturę rzeczypospolitéj, poruszeniem miast i wolności chłopstwa podpalić i zniszczyć usiłują.*“ W ogóle autor, który w tém samém dziele kwestyę włościańską w bardzo postępowym traktuje duchu, sprawę miast dotyka lekko, ograniczając się na popisach dowcipu i namiętnych wycieczkach osobistych. Przez ton drwiący i lekki pisma przebija się jednak dość widocznie obawa przed groźnym ruchem mieszczaństwa, tego — jak się wyraża — „*dziecka strasznego, które dla niedostatku pokarmu rosnąć jeszcze nie może, ale które wrosłszy, własnąby matkę mogło udławić.*“ Pismo swoje zakończa złośliwą radą „*aby każdy stan pełnił urodzenia swego powinność, tak, jak ją pełni (nie komparując) wół i osioł.*“

Pomiędzy tymi zapamiętałymi fanatykami, grzeszącymi zresztą więcéj uprzedzeniem jak złą wolą, znajdowali się jednak i tacy, którzy uciekali się nawet do środków nieuczciwych, oszczerstwa i potwarzy, aby tylko udaremnić usiłowania stronnictwa postępowego. Pismem tego rodzaju jest broszura p. t. „*Burmistrz*“ (8-vo str. 97), któréj autor oświadczając niby w imieniu mieszczaństwa, że mieszczanie zadowoleni są istniejącym stanem rzeczy i jak dotąd tak i nadal pozostawać chcą pod „*ojcowską*“ opieką stanu szlacheckiego, — stara się rzucić podejrzenie na przywódzców ruchu miejskiego i ostrzega aby nie zawierzać „*tym kilku przychodnim osobom* [1]), *do których, choć są naszych miast obywatelami, łatwo trafi zagraniczna tych potencyi intryga.*“

Przyznać jednak trzeba, że znaczna część pisarzy obozu staroszlacheckiego, występując również przeciw żądaniom stanu

---

[1]) Ściągało się to do Dekerta, Barsa, Kapostassa i innych stojących na czele mieszczaństwa, którzy nazwiska obce mieli.

miejskiego, traktowała kwestyę tę z większem nieco umiarkowaniem i względnością. Opłakany stan miast i mieszczaństwa, upadek handlu i przemysłu, ogólna stagnacya stosunków materyalnych w kraju, oddziałująca szkodliwie na majątki szlachty saméj — dawały ludziom rozsądniejszym i lepszéj woli niemało do myślenia i jakkolwiek nie zdołały przełamać głęboko wkorzenionych przesądów, to czyniły ich przecież skłonniejszymi do ustępstw. Wprawdzie na równouprawnienie polityczne miast, a mianowicie przypuszczenie ich do prawodawstwa i ta umiarkowańsza frakcya stronnictwa staroszlacheckiego żadną miarą zgodzić się nie chciała, ale nadanie pewnych praw mających zabezpieczyć dobrobyt miast, zasilić handel i przemysł, a nawet otworzyć mieszczanom zamkniętą dotychczas karyerę w niektórych gałęziach służby publicznéj, wydawało się jéj rzeczą nietylko nieszkodliwą, ale nawet potrzebną. Zapatrywania takie znajdujemy w dość znacznéj części pism i broszur, a mianowicie w następujących: „*Uwagi nad korespondencyą jednego obywatela z podkomorzym pewnego województwa* (8-vo)“ [1]) — „*Dorywczy rozbiór pisma p. t. Głos naprędce do stanu miejskiego*“ (8-vo str. 64), — i wielu z wspomnianych już dzieł, które sprawę mieszczańską wcale obszernie traktują jakoto: „*Treść pism różnych względem formy rządu*,“ — „*Odezwa zmarłego Szlawskiego*“ i t. d. — Autorowie pism tych nie zgadzając się ze sposobem podania memoryału, który niepotrzebywał „takiéj solenności,“ uważając nawet wystąpienie miast za sztucznie wywołane, przyznają jednak wielką doniosłość podniesieniu miast i stanu miejskiego, i żądają dla niego nietylko ubezpieczenia osób i majątku, ale nadania pewnych przywilejów i praw, któreby go dźwignąć

---

[1]) Byłato odpowiedź na wspomnianą poprzednio broszurę: *Korespondencya jednego obywatela z podkom. i t. d.* Autor zwykłym wówczas zwyczajem wydrukował ową broszurę wraz z odpowiedzią swoją. Cały tytuł dzieła jest: *Korespondencya jednego obywatela z podkomorzym pewnego województwa z okoliczności przyszłego rządu i uwagi nad nią z odpowiedzią jednego nieparcyalnego arbitra* (8-vo str. 103 [1—32, 33—103]).

mogły z upadku i wpłynęły na swobodny rozwój stosunków materyalnych kraju całego. Niektórzy z nich posuwają się w koncessyach jeszcze daléj i przyzwalają na częściowy udział w sądownictwie, a nawet na wysyłanie pewnéj liczby reprezentantów miejskich na sejm, z głosem doradczym w materyach handlowych. Mimo to jednak wszyscy stanowczo i jednogłośnie sprzeciwiają się uczestnictwu miast w prawodawstwie. Odpowiadając na wywody pisarzy reformatorskich, upatrują oni przyczynę upadku mieszczan nie w upośledzeniu politycznem, ale w wadach ich, gnuśności, opilstwie, niedbalstwie i wynikającém ztąd zubożeniu. Zapewnienie warunków rozwoju materyalnego wystarczy do podniesienia stanu tego i uczyni go *„bez uwłaczania stanowi szlacheckiemu“* pożytecznym krajowi w tym właśnie zakresie, jaki mu z przeznaczenia wypada. Prawa zaś polityczne są zdaniem ich wyłącznym przywilejem szlachty, która zdobyła je sobie nie memoryałami — ale poświęceniem i rzeczywistą zasługą.

Na zapatrywania téj frakcyi obozu staroszlacheckiego, więcéj może niż przesąd wpływała obawa przed wewnętrznemi rozruchami, starciem stanów i wojną domową. Najumiarkowańsi z nich wyznają otwarcie, że chętniéj przystaliby na powolne przypuszczanie mieszczan do stanu szlacheckiego za pomocą nobilitacyi, ale uznać ich odrazu, jako stan politycznie uprawniony a szlacheckiemu naprzeciw stojący nie mogą, gdyż zmiana taka w czasach *„w których ostrożność staje się konieczną“* najfatalniejsze pociągnąć mogłaby skutki i stać się przyczyną wielkich klęsk dla kraju. Widmo rewolucyi francuskiéj przejmowało wszystkich trwogą, a ci nawet, którzy skłonniejszymi byli do ustępstw i w innym czasie zupełnie może uwolniliby się z pod przesądów, pod wpływem groźnych wypadków we Francyi stawali twardo i upórnie w obronie dawnego stanu rzeczy. Przy takiéj małoduszności, chęci ich lepsze i większa skłonność do paktyzowania pozostawały naturalnie bez skutku: zamiast trwożliwego targowania się o dawne przywileje, należało tu postawić się odrazu na wysokości wypadków i szczerem, otwartem przygarnięciem upośledzonego dotychczas stanu, zapobiedz nietylko możliwym zaburzeniom wewnętrznym, ale i wzmocnić siłę narodu nazewnątrz, ale na to w najumiarkowańszych nawet żywiołach

obozu staroszlacheckiego brak było dość światła i rozsądku, a przedewszystkiem brak téj bezinteresowności politycznéj, która dobru powszechnemu podporządkować umié interes osobisty lub przywileje stanu.

Pomiędzy pisarzami stronnictwa reformatorskiego, którzy w sprawie mieszczańskiéj głos zabierali, odznacza się zdolnościami, śmiałem zapatrywaniem i płodnością pióra ks. Franciszek Salezy Jezierski. Byłto jeden z najczynniejszych publicystów sejmu 4-letniego, który gorący brał udział we wszystkich robotach politycznych i na przemianę wyobrażeń społeczeństwa ówczesnego pismami swemi tak rozległy wpływ wywierał, jak mało który z innych pisarzy.

Franciszek Salezy Jezierski [1]), krewny Jacka, urodził się w r. 1738, i był synem pisarza ziemskiego łukowskiego, biegłego prawnika i powszechnie szanowanego obywatela. Przeznaczony od ojca do stanu prawniczego, kształcił się zrazu w palestrze i sprawował nawet urząd regenta ziemskiego, ale karyera prawnicza tak nie odpowiadała usposobieniu jego, że po niedługim czasie ojciec sam postanowił pchnąć go na inną drogę. Ponieważ właśnie część dóbr rodzinnych, mianowicie wieś Worońkowce należąca do ordynacyi Ostrogskiéj wkładała powinność służenia wojskowo, przeto Franciszek wyręczając ojca w tym obowiązku został towarzyszem Złotéj chorągwi — (tak się nazywała utrzymywana przez ordynacyą chorągiew) i osiadł w Dubnie. Byłato rezydencya ostatniego ordynata ostrogskiego, sławnego ze zbytku i rozrzutności — miejsce zepsucia i trwonienia majątków. Pochwycony wirem światowych rozkoszy, Jezierski przemarnował lat kilka na zabawach; ale niebawem życie próżniacze tak mu się sprzykrzyło, że zaciągnął się do wyprawy przeciw hajdamakom i otrzymał nominacyę na namiestnika chorągwi. Na stanowisku tem, które w rzeczy saméj więcéj wymagało prowadze-

[1]) Życiorys Jezierskiego napisany przez Kołłątaja w przedmowie do dzieła: Niektóre wyrazy i artykuł F. M. Sobieszczańskiego w Encyklopedyi powsz. Org. t. XIII str. 304.

nia otwartego domu, częstowania okolicznéj szlachty, jak służby wojskowéj, stracił cały swój majątek. Znudzony do reszty i przesycony światem, nie znalazłszy wśród tak różnych stosunków zadowolenia wewnętrznego, wstąpił do Zgromadzenia Missyonarzy w Warszawie. Od téj chwili rozpoczął nadzwyczaj czynne i pracowite życie. Aby zapełnić braki dotychczasowego wykształcenia, wziął się gorliwie do nauk, mianowicie zaś do teologii i historyi kościelnéj. Skończywszy seminaryum, wyświęcony został na księdza i umieszczony przy boku Kierskiego biskupa przemyskiego, który widząc w nim wielkie zdolności a zwłaszcza wielką łatwość wymowy, wysłał go własnym kosztem do Włoch. Po powrocie do kraju zasłynął kazaniami przy kollegiacie kaliskiéj a potem lubelskiéj, i w krótkim czasie taki zyskał rozgłos, że powołano go na kaznodzieję do katedry krakowskiéj. Gdy w r. 1776 komissya edukacyjna zajęła się urządzeniem wychowania publicznego, wezwany został na rektora wydziału małopolskiego, a niebawem od szkoły głównéj wybrany wizytatorem generalnym. Nie długo jednak pełnił obowiązki zawodu nauczycielskiego. Śmiałem nastawaniem na przesądy, naraził się niektórym obywatelom, którzy wpływem swoim sprawili, że komissya dalszą pracę wizytatorską wstrzymała [1]). W r. 1785 powołany do Krakowa zastępował przez czas niejaki miejsce bibliotekarza uniwersyteckiego Jacka Przybylskiego, wysłanego wówczas za granicę; ale gdy i tu doznał niesprawiedliwości, zrażony niepowodzeniami odsunął się zupełnie od zawodu nauczycielskiego, zwłaszcza że właśnie mianowany został koadjutorem kanonii

---

[1]) Do tego wypadku odnosi się prawdopodobnie ustęp w broszurze jego: *Jarosza Kutasińskiego.... uwagi* (str. 24 w przypisku): *Jeden akademik wizytujący szkoły, gdy w podobnym sposobie myślenia o szlachectwie mówił* (t. j. że szlachectwo jest tylko urojonym zaszczytem) *do młodzieży szkolnéj w jednéj prowincyi, takie to zrobiło oburzenie serc najpierwszych obywateli, iż przeciw niemu podano oskarżenia do przełożeństwa nauk krajowych, od których został ukarany złożeniem z urzędu i pozbawieniem stanu akademickiego, w którym kilka lat pracował. Piękna ofiara dla zaszczytów szlachetności, ale nie bardzo wystarczająca dla sprawiedliwości prawdy.*“

krakowskiéj. Kapituła dała mu niebawem nowy dowód uznania, obierając go deputatem do trybunału koronnego.

Działanie polityczno-literackie Jezierskiego przypada wyłącznie na czas sejmu czteroletniego. Połączywszy się ścisłą przyjaźnią z Kołłątajem, oddał się całą duszą sprawie reformy i pracował z niezmordowaną czynnością nad jéj przeprowadzeniem w tym kierunku, jak ją pojmował. W gronie publicystów i ludzi, którymi zręczny Kołłątaj otaczał się, w celu, aby za ich pomocą wpływać na opinię publiczną, zajmował Jezierski najznaczniejsze stanowisko — był on podporą i prawą ręką Kołłątaja. I rzeczywiście, trudno było lepszego dobrać sobie pomocnika do robót publicznych. Był to publicysta w całem słowa tego znaczeniu: pisarz nadzwyczajnie płodny, umiejący zastosować się do potrzeby chwili, umiejący w najbłahszą drobnostkę włożyć myśl polityczną — zręczny szermierz słowa, obdarzony najsubtelniejszą bronią dowcipu, — przytem śmiały, na przebój idący, względem ludzi innych przekonań bezwzględny. Nie było straszniejszego na wady i przesądy bicza jak Jezierski: odsłaniał je do naga, chłostał nielitościwie, a bystréj jego uwadze nie uszedł żaden błąd, żadna ujemna strona społeczeństwa.

Przekonaniami swojemi należał on do partyi najskrajniejszéj obozu reformatorskiego. Gorący zwolennik rewolucyi francuskiéj i głoszonych przez nią zasad, domagał się i we własnym kraju szybkiéj a radykalnéj przemiany stosunków społecznych, i w tym celu działał zarówno pismami jak czynem. Kluby ludzi najskrajniejszych zapatrywań, zawiązane w celu szerzenia zasad rewolucyi francuskiéj, odbywały się pod jego przewodnictwem; mowy swoje w zgromadzeniach tych miał on zwykle zakończać zwrotem: „*Co było na górze, będzie na dole, a co było na dole, będzie na górze* [1]). Nienawiść do możnowładców, niechęć do szlachty, śmiałe ujmowanie się za niższemi warstwami — należały do głównych artykułów jego wiary politycznéj.

Do szerzenia tych przekonań używał najrozmaitszéj formy pisania. Między pismami jego znajdujemy powieści historyczno-

---

[1]) Wspomnienia z roku 1788 po 1792, str. 40.

polityczne, opowiadanie lekkie, dyalogi, rozprawy historyczne, a nawet pod formą encyklopedyi ukryte artykuty polityczne: słowem, co tylko mogło podrażnić ciekawość, zająć umysły — z tego nie zaniedbał Jezierski nadzwyczaj zręcznie skorzystać, aby działać na opinię publiczną.

Pierwszą pracą jego [1]) był romans historyczno-polityczny p. t. *Goworek herbu Rawicz, wojewoda sandomierski, powieść z widoków we śnie.* Warszawa 1789 (8-vo str. 122)," książka rozwlekle napisana, jako utwor sztuki bez wartości, ale odznaczająca się nadzwyczaj śmiałą tendencyą polityczną. Uderzył on w niéj na możnowładztwo i dowodził, że magnaci są zawsze główną przyczyną upadku narodu. Podobna formą i treścią jest druga powieść p. t. „*Rzepicha, matka królów, żona Piasta, między narodami sarmackiemi słowiańskiego monarchy, téj części ziemi, która się nazywa Polska.*" Warszawa 1790 (8-vo str. 428), w któréj wziął sobie za cel okazać, że w każdym człowieku obywatela szanować należy, że i w najniższym stanie Opatrzność nieraz wynajduje zbawcę narodu. W czasie burzliwych sporów o dziedziczność tronu, gdy oba stronnictwa wywodami historycznemi starały się poprzeć przekonania swoje polityczne, wystąpił Jezierski z obszerną rozprawą (o któréj poprzednio wspomnieliśmy) p. t. „*O bezkrólewiach w Polsce, i o wybieraniu królów począwszy od Zyg. Aug. aż do naszych czasów. Dzieło w teraźniejszych okolicznościach do wiadomości przydatne.* Warszawa w lipcu 1790 (8-vo str. 99)" [2]). Przechodząc w niéj historyę bezkrólewiów, wy-

---

[1]) Przedtem wydał tylko kazanie, które miał podczas uroczystości otwarcia sejmu 4-letniego p. t. „*Kazanie przed stanami Rzeczypospolitéj na sejmie w r. 1788 w kościele św. Jana w Kollegiacie warsz. powiedziane przez x. Franciszka z Gołąbków Jezierskiego.* Warszawa (8-vo kart. niel. 8).

[2]) Niesłusznie przypisują niektórzy (Sobieszczański w Encykl. pow. Org. i Schmitt w biografii Kołłątaja) dzieło to Kołłątajowi, który przecie sam w przedmowie do pośmiertnego dzieła Jezierskiego „Niektóre wyrazy" wlicza je do prac Jezierskiego, tożsamo potwierdzają Wolskiego Uwagi.... str. 92. Że jednak Kołłątaj wpłynął na napisanie dzieła nie ulega prawie wątpliwości (p. X. Hug. Kołł. Uwagi nad pism. S. Rzew. nota *u*).

stawiał klęski, które elekcya na naród sprowadziła, i usiłował dowieść, że dom Jagiellonów pod którymi Polska święciła wiek swój złoty, prawem następstwa panował na tronie polskim. W całéj pracy znać publicystę, któremu więcéj zależy na przeprowadzeniu swoich przekonań, jak na ścisłéj prawdzie historycznéj. — Za sukcessyą przemawiał również w ulotnem pisemku p. t. „*Ktoś piszący z Warszawy d. 11 lutego* 1790 (8-vo str. 24); byłato odpowiedź na broszurkę: „*I ja też*“ [1]), która broniła elekcyi. W tym samym jeszcze roku, gdy w celu zmniejszenia wydatków rządowych poruszono myśl zniesienia podwójnych urzędów koronnych dla Polski i Litwy, wydał Jezierski książeczkę p. t.: „*Wzmianka krótka o zjednoczeniu ks. Litewskiego z królestwem Polski w duchu wolności i równości*, w lipcu 1790 (8-vo str. 40).“ Podniósł w niéj wymownie ścisły związek Polski z Litwą i opierając się na tem zjednoczeni puodobnem „*do szczepienia w ogrodach drzewa w drzewo, gdzie z podwójnéj drzewiny jedna tylko powstaje roślina*“ — zażądał wzajemnego uczestnictwa w zaszczytach i dla każdego obywatela prawa posiadania urzędów w obu prowincyach.

Najlepszem bezwątpienia z pism Jezierskiego jest dziełko napisane w chwili ustanowienia deputacyi, mającéj zająć się ułożeniem projektu rządowego, p. t. „*Katechizm o tajemnicach rządu polskiego, jaki był około r. 1735 napisany przez J. P. Sterne w języku angielskim, potem przełożony po francusku a teraz nakoniec po polsku* w Samborze (właściwie Warszawie) 10 stycznia 1790 (8-vo str. 24). Jestto satyra dawnéj Rzpltéj szlacheckiéj, urządzeń jéj politycznych i społecznych, pełna palącego sarkazmu i bolesnych zarzutów, ale odsłaniająca zawsze trafnie rzeczywiste błędy narodu. Nikt lepiéj nie wykrył całéj czczości, zepsucia i upadku społeczeństwa ówczesnego, nikt ich dotkliwiéj ale i słuszniéj nie napiętnował. Przytaczamy tu kilka ustępów, które dadzą nam poznać zarówno zdolności autora jak i śmiałe jego zapatrywania polityczne [2]).

---

[1]) Fałszywie podaje Bentkowski (Hist. lit. t. II str. 101) broszurę tę także za utwor Jezierskiego.

[2]) Cała broszurka pisana jest w formie zapytań i odpowiedzi.

P. Jaki jest handel w Polsce? O. Handel w Polsce jest dwojaki, jeden jest z płodów ziemi, znajomy potrzebom ludzkim, drugi jest polityczny, pochodzący z fantazyi stanu szlacheckiego, własny tylko narodowi polskiemu. P. Wieloraki jest ten handel? O. Zagraniczny i wewnętrzny. P. Jaki jest handel własnych Polaków z sąsiedzkimi krajami? O. Zaprzedanie zdania sąsiedzkich gabinetów układowi. Ten handel tylko czynią senatorowie i ministrowie, urzędnicy kraju; drobniejsza zaś szlachta w tym handlu jest jak przekupnie i kramarze. P. Jak jest handel wewnętrzny własnych Polaków? O. Przedawanie sprawiedliwości, najmowanie się na sejmiki, sprzedawanie dostojeństw i urzędów.“ Upośledzenie warstw niższych wyśmiewa w następujący sposób. „*P. Chłop rolnik w Polsce jestże człowiekiem? O. Zapewne nie jest. P. A jakże, kiedy ma duszę i ciało i jest takąż osobą z przyrodzenia jak i szlachcic. O. Chłop w Polsce ma tylko przymioty duszy i ciała, ale zaś osoba jego nie jest człowiek ale rzeczą własną szlachcica, który będąc panem jejmowładnym chłopa, może go przedawać i kupować, obracać na swój pożytek, jak bydło przedaje się z folwarkami i wpisami inwentarzów. P. Mieszczanin czyli jest człowiekiem? O Mieszczanin nie jest zupełnym człowiekiem, ale jest pośrednicem jestestwem między człowiekiem szlachcicem a nie-człowiekiem chłopem. Mieszczanin, mówiąc językiem teologii, jest substantia incompleta. P. W czymże mieszczanin podobny do szlachcic? O. Co do majątku, wygody życia, edukacyi, jest we wszystkiem jak szlachcic i szlachcic nie różni się od niego w téj mierze tylko orderami, herbami i mundurami wojewódzkiemi, nawet szlachcic kłania mu się, potrzebując pieniędzy pożyczyć. P. W czemże mieszczanin zbliża się podobieństwem do chłopa nie-człowieka w Polszcze? O. W tem, że mieszczanin niemoże posiadać wszystkich władz ozdabiających naturę człowiek. P. A to dla czego? O. Bo mu prawo przeszkadza.*“ — „*Co to jest hetman? O. Jestto wielki wódz bardzo małego wojska, którego buława przestawszy być straszną nieprzyjaciołom, zaczęła być przemocą i możnowładztwem uciążliwą obywatelom i t. d.* Szereg tych i tym podobnych dotkliwych sarkazmów, wymierzonych przeciwko całemu ustrojowi politycznemu i wszystkim głównym wadom narodu, zakończa zarzutem najboleśniejszym, ściągającym się do smutnéj

chwili dziejów pierwszego podziału: *O..... wojny w Polsce są niepodobieństwem. P. Jakto niepodobieństwem? O. Bo choćby wzięto Polakom Prusy, część Małopolski i Litwy to te wszystkie zabory stać się mogą bez rozlewu krwi i odwiedzenia kurka u flinty*“ [1]). Dziełko to przez publiczność tak szybko rozchwytanem zostało, że w tym samym roku jeeszcze przedrukowano je pod odmiennym nieco tytułem: „*Rząd polski w tajemnicach odkryty, jaki był.... przez J. P. Stan w języku angielskim a teraz ojczystym języku przedrukowany r. 1790*“ (8-vo str. 24).

W obronie stanu miejskiego i żądań jego wydał Jezierski pisemko p. t. „*Jarosza Kutasińskiego, herbu Dęboróg, szlachcica łukowskiego uwagi nad stanem nieszlacheckim w Polsce* 1790 (8-vo str. 40). W pisemku tem odznanem w lekką formę humorystycznego opowiadania uderzył ostro na uprzedzenia szlachty względem mieszczan i żądał stanowczego załatwienia żądań miast. Jeszcze śmielsze tendencye zawiera dzieło p. t. „*Duch nieboszczki Bastylii, czyniący uwagi nad karą więzienia niewoli i nad stanem pospólstwa francuskiego w dzisiejszéj odmianie rządu, — z francuskiego przetłumaczone.*“ Warszawa 1790 (8-vo str. 156). Jestto popularne wyłożenie

---

[1]) Jako dodatek dołącza Jezierski do dziełka wojego następujące: *Wyznanie rządu polskiego: „Wierzę i wyznaję wolność stanu szlacheckiego w Polsce, stworzycielkę nierządu, ucisku i ohydy, która wyzuła chłopów prawa człowieka a mieszczanina z prawa obywatelstwa z któréj poczęło się możnowładztwo panów, wyrządzającniezgodę, podłość i podział szlachty na partye idące za duchem szalbierstwa i zuchwalstwa możnych. Wierzę, że król wyzuty z władzy należącéj do tronu, cierpi przymówki często nadaremne o nieszczęścia kraju, których przyczyną jest możnowładztwa przywodzenie. Wierzę, że wojko, skarb, straż praw i bezpieczeństwa stolicy podzielone na cztery dostojeństwa, jest przyczyną ucisku, zdzierstwa, prześladowania i niesprawiedliwości. Wierzę w prekupienie senatu, posłów, wierzę w obcowanie ich z postronnymi ministrami za porozumieniem się ich łakomstwa. Wierzę w zmartwychwstanie cudzéj przemocy, nierządu Wierzę w odpuszczenie krzywoprzysięstwa i zdrady i kiedyś przecie otrzymania lepszego rządu w Polsce. Amen.*“

zasad rewolucyi francuskiéj, z zastosowaniem ich do stosunków kraju polskiego, w którem autor nietylko domaga się uprawnienia mieszczaństwa, ale wypowiada otwarcie maxymę: *„że stan szlachecki nie jest potrzebny w układzie towarzyskiego życia i że może być tylko urzędem w narodzie, ale stanem narodu przez same urodzenie być niepowinien.“* Przekonania te, jak na ówczas niesłychanie śmiałe, umiał nadzwyczaj zręcznie ubarwić dowcipem i lekkością stylu.

Torując tym sposobem pismami swemi drogę reformie społecznéj, wpadał jednak Jezierski niekiedy w ostateczność i z roli obrońcy słuszności przechodził w szkodliwego agitatora politycznego. Dowodem tego pisemko p. t. *„Głos naprędce do stanu miejskiego“* [1]) (8-vo str. 15). Gdy w roku 1790 sejm dla zjednania sobie coraz bardziéj poruszającego się żywiołu miejskiego, znacznéj liczbie mieszczan bogatych, bankierów, fabrykantów udzielił szlachectwo, Jezierski uderzył na to z całą zapamiętałością. W wspomnianem piśmie przestrzega mieszczan, aby się nie dali omamić złoconem cackiem, i nie wierzyli nobilitacyom szlachty, która przez wieki uciskała stan mieszczański, a teraz przyjąwszy zaledwie kilkunastu do swego grona, reszcie żadnych praw nie udzieli. Wzywa namiętnemi słowy nowo-uszlachconych, aby złożyli ofiarowane sobie szlachectwa. Wystąpienie takie, nie mające innego skutku prócz szerzenia nieufności i niepotrzebnego jątrzenia umysłów, dało nietylko stronnictwu staroszlacheckiemu sposobność do obrzucenia go najgorszemi obelgami, ale wywołało nawet odpowiedź ze strony mieszczańskiéj [2]), która w imieniu mieszczan zaprzeczyła wprost takiemu posądzeniu sejmu o złą wolę.

Ostatnią pracą Jezierskiego, pisaną w czasie choroby były: *„Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane i stosownemi do rzeczy uwagami objaśnione“*. Warszawa 1791. (8vo. XX. 292.) Dzieło to wydał po śmierci Jezierskiego Kołłątaj, po-

---

[1]) Wiadomość wyjęta z pisma p. t. *„Dorywczy rozbiór pisma p. t. „Głos na prędce“ i t. p.* str. 58.

[2]) Zdanie obywatela prowincyi W. X. Lit. na pismo p. t. *Głos na prędce do stanu miejskiego 1791* (12-to str. 22).

poprzedziwszy je biografią zmarłego autora, a przyjaciela swego [1]). Jestto rodzaj małéj encyklopedyi, zawierającéj w sobie także krytykę stosunków politycznych i społecznych kraju. Wiele tu rzeczy słabszych, mniéj uwagi godnych, ale niektóre ustępy odznaczają się taką siłą dowcipu i tak trafnem scharakteryzowaniem błędów czasu, że policzyć je należy do najlepszych wzorów satyry politycznéj. Pod słowem „*patryotyzm*“ znajdujemy następujące objaśnienie, które w jaskrawych barwach ale niestety prawdziwie maluje upadek społeczeństwa ówczesnego. „*Patryotyzm, będąc miłością ojczyzny, niema swojéj postaci naturalnéj, tylko jako wynalazek wyobrażenia, jakie kto dla zmysłów o nim uczynił, owóż i patryotyzm w mojéj ojczyznie nie wydaje się tylko w jakiejś zaraz przyłączonéj postaci i przeto: patryota Moskal, patryota Polak, patryota pieczeniarz, patryota przyjaciel jakiegoś dopiero patryoty, patryota arystokrata ..... gdzież dopytać się patryoty w prawdziwéj jego postaci?*“ O popularności staroszlacheckiéj tak się wyraża: „*W naszym narodzie najpierwéj zawisła na pijaństwie i obżarstwie; kto więcéj daje jeść i pić to jest popularnym, kto może sprowadzić na sejmik trzy tysięcy szlachty (którym zawsze rozkazuje i przeznaczy, aby tego, a nie innego obrali deputatem na trybunał lub posłem na sejmie) to taki pan popularny; i jeszcze, kto długów narobi i kto z dłużnikami przewodzi w trybunałach, że z nim ciężko dojść sprawiedliwości, to popularny, nakoniec kto najsilniéj wrzeszczy na obradach krajowych nie mając zdania tylko upór (czasem pomieszany ze złością) to popularny i t. d.* Gdzieniegdzie występuje nadzwyczaj śmiało jako zwolennik rewolucyi francuskiéj: *Francya*, mówi pod wyrazem imię, *wpośród licznych nazwisk szlachty, hrabiów, markizów, duków, ledwo się docisnęła do prawa człowieka, i ozdoby nazwisk Jaśnie Wielmożnych, Jaśnie Oświeconych musiały pierwéj wstąpić na latarnie, aby ich światło pokazało, co to jest za imię człowiek.*“ I to dzieło doczekało się w bardzo krótkim czasie (w r. 1792) drugiéj edycyi [2]). Prócz prac ory-

---

[1]) Wolskiego Uwagi ..... str. 92.

[2]) Odbicie to wyszło w Warszawie ma ten sam tytuł, format, i tę samą ilość stronnic co poprzednie.

ginalnych szerzył Jezierski przekonania postępowe tłumaczeniem dzieł obcych, mianowicie tłumaczył znane dzieło Sieyesa „*Co to jest stan trzeci we Francyi*“. Warszawa 1791 (8-vo) [1]). Wszystkie wspomnione tu pisma uważać można zaledwie za część jedną tego, co w czasie sejmu czteroletniego wydał z druku, wiele prac jego jest nam dotychczas nieznanych, wiele pewnie pozostanie na zawsze [2]).

Walcząc z przesądami nieprzebierał jednak Jezierski w środkach, i chwytał się nieraz broni, która w najlepszym celu użyta, nie przestaje być niemoralną i nieuczciwą — paszkwilu. Rozbudzone i rozgorączkowane życie polityczne, jak wszędzie tak i u nas obok wielkich i szlachetnych usiłowań i zacnych popędów poruszyło zarazem nienawiść, niską ambicyę i namiętności, słowem cały stek złych soków i nieczystości społecznych, które w paszkwilach i pamfletach wychodziły, na wierzch. Brak podstaw moralnych w społeczeństwie, brak sumienia publicznego, któreby środki takie stanowczo potępiło, sprawił, że u nas więcéj jak gdziekolwiek paszkwilami wojowano. Posługiwał się nimi i Jezierski, a można sobie wyobrazić, jak okropną była broń taka w jego ręku. Należy tu pomiędzy innemi pismo przeciw Branickiemu p. t. *Wypis z kroniki Witikindá* i t. d. [3]), pisane umyślnie stylem dawnych kronik, mianowicie Bielskiego.

---

[1]) Pisma tego niewidzieliśmy, wspomina o niém Sobieszczański.

[2]) Niejednokrotnie mieliśmy już sposobność wskazywać na pisma, które sądząc z różnych okoliczności przypisać można Jezierskiemu. Dodajemy tu dwie nowe broszury, będące także według prawdopodobieństwa jego utworu: *Katechizm narodowy* Warszawa 1791 (8-vo str. — drugie wydanie pomnożone w tym samym roku (8-vo str. 31) pisemko w formie pytań i odpowiedzi, zawierające „prawidła patryotyczne do użycia młodzieży narodowéj“ i „*Rozmowa Sołtyka biskupa krak. z Dekiertem prezydentem staréj Warszawy na polach elizejskich* (8-vo egz. brosz. niek.) w obronie żądań miejskich. W rękopiśmie pozostały jak wylicza Kołłątaj: Kazania, Podróż po Polsce i korespondencya z Krakowa.

[3]) Cały tytuł brzmi: *Wypis z kroniki Witykinda tłomaczony przez Grzegorza z Słupia decretorum doktora opata świę-*

Wysilenie umysłowe przyspieszyło skon Jezierskiemu: umarł w r. 1791 w domu Kołłątaja, nie doczekawszy się nawet konstytucyi 3 maja, do któréj ustanowienia działaniem na opinią publiczną niemało się przyczynił.

Obejmując całą czynność jego jako publicysty, przyznać trzeba, że w szerzeniu pojęć postępowych w walce z przesądami wieku, sprawie reformy wielkie oddał usługi. Gdzie słowo rozsądnego przedstawienia nie skutkowało, gdzie argument nie wystarczał (a w społeczeństwie trawionem wpływami obcemi, w którem ciemnota szła w parze ze złą wolą, zdarzało się to aż zbyt często), tam dowcip jego kartaczowym ogniem niszczył, palił, oczyszczał pole z przeciwnika, przechylając w opinii publicznéj zwycięstwo na stronę oświaty i postępu. Dowcipem, przystępną formą, sztuką zainteresowania publiczności był to jeden z najbardziéj wpływowych pisarzy, wyrabiający atmosferę polityczną, nietylko w saméj stolicy, ale w całym niemal kraju. Ale właśnie pisarz takiego wpływu i takich zdolności, wskutek skrajnych przekonań swoich, wywierał po części i wpływ szkodliwy. Wraz z czystem i zdro-

---

łokrzyskiego, który żył około 1375, z autografu na Łysej górze znajdującego się (4-to str. 11). Osoby działające są Wichropęd (Branicki), Drapiwór (Poniński), Krzyczysław (Suchodolski), Leszek (Stan. Aug.) i t. d., rzecz cała kończy się tem, że Wichropęd i Drapiwór idą na szubienicę. Wolski i Turski wspominają o kilku innych paszkwilach, które Jezierski miał napisać. Dodać jednak należy, że pisma te, jakkolwiek nie zasługują na inną nazwę jak tylko paszkwilów, różnią się o tyle od innych publikacyi tego rodzaju, że trafiały ludzi niesumiemych, podłych i nieuczciwych. Tamte zaś wychodziły przeważnie ze strony opozycyi, która uciekała się do najohydniejszych oszczerstw i potwarzy, aby obrzucić błotem sprawę reformy i stojących na jéj czele ludzi. Głośnemi w swoim czasie paszkwilami były: *Rozmowa Solona z Kadym* (8-vo str. 16). *Fragment z rękopismu arabskiego* (8-vo str. 31), oba pisma wymierzone przeciw Ignacemu Potockiemu i Kołłątajowi i podsuwające im jak najniegodziwsze cele i widok.) i *Basałyk pod imieniem Cwika na jestestwo dawniéj nieużyteczne sporządzony* 1791 Warszawa (4-to str. 25.). *Zwierciadło polskie dla publiczności,* 1790 (4-to str. 55) i t. d.

wem powietrzem prawdziwéj oświaty, przynosił z obczyzny i szerzył zarazę socyalizmu i wywoływał w kraju potrzebującym wśród wewnętrznych przeobrażeń całéj swojéj siły, całego skupienia, nienawiść stanów, jątrzenie umysłów i starcia wewnętrzne.

Równocześnie prawie z kwestyą mieszczańską poruszono i sprawę ludu wiejskiego. Sprawa ta, jakkolwiek ściśle z ogólną reformą rządu związana i niesłychanéj pod względem politycznym i społecznym doniosłości, niezdołała przecie zwrócić na siebie ogólnéj uwagi i stać się w tym stopniu przedmiotem dyskusyi, jak wspomniane powyżéj kwestye. Prócz przesądu, który jak wszędzie, tak i w téj sprawie stał postępowi na przeszkodzie, działał tu jeszcze drugi, silniejszy może czynnik: interes materyalny szlachty. Kwestya włościańska dotykała bezpośrednio stosunków majątkowych obywatelstwa: rozwiązanie jéj pociągnąć za sobą musiało w każdym razie pewne uszczuplenie w istniejących dochodach ziemskich, a choć dobrze zrozumiany interes nakazywał poprawą stosunków włościańskich ratować się zawczasu przed ogólną ruiną materyalną, choć stratę chwilową przyszłość niedaleka sowicie wynagrodzić obiecywała, to jednak ogół nie dość oświecony nie umiał się zdobyć na tyle rozsądku politycznego i patrzał niechętném okiem na sprawę, którą za zbyt niekorzystną i uciążliwą dla siebie uważał. Tak więc tylko grono najgorliwszych i najczynniejszych obywateli, którzy doniosłość jéj pojęć umieli, pracowało w tym kierunku, starając się wywierać wpływ na opinię publiczną, zarówno przykładem [1]) jak publicystyką. Praca taka jednak nieniesiona prądem szerszym, ale spoczywająca na barkach nielicznych jednostek, niemogła naturalnie rozwinąć się w należyty sposób. Liczba też pism i broszur w sprawie téj pisanych jest stosunkowo małą, publicyści traktując sprawę

[1]) Pierwszy przykład usamowolnienia dał na lat 30 prawie przed sejmem 4-letnim Andrzéj Zamojski. Za nim poszli: podkanclerzy Chreptowicz, referendarz Brzostowski, Stanisław Poniatowski, synowiec królewski i kilku innych. Do liczby ich należał także Kołłątaj (Do Małach. anom. list. kilka cz. II. str. 53 — 4).

mieszczańską, poświęcają zwykle słów kilka ludowi wiejskiemu, dzieł i broszur, któreby się wyłącznie nim zajmowały, znamy niewiele.

Jeśli sprawę uprawnienia miast poruszały pisma polityczne przedewszystkiem ze strony praktycznego jéj zastosowania, to tutaj większa część działania i pracy publicystyki ograniczać się musiała na usuwaniu i zbijaniu głęboko wkorzenionego przesądu, na ogólnem wyświeceniu kwestyi, na pracy niejako przedwstępnéj. Z wnioskami praktycznéj doniosłości występowano znacznie nieśmieléj i oględniéj. Wzgląd na niechęć szlachty i obawa, aby zbyt śmiałem wystąpieniem nie narazić sprawy reformy na niepowodzenie, — a kto wié, czy nie u niektórych pewna trwożliwość przed następstwami radykalnéj przemiany stosunków włościańskich, spowodowana buntami chłopstwa na Ukrainie, sprawiły, że ogół pisarzy reformatorskich stawiał nadzwyczaj umiarkowane żądania. Na stanowisku takiém, które w rzeczy saméj więcéj torowało dróg reformie społecznéj na przyszłość, niż ją w obecnéj chwili załatwiało, stoi większa część pism, traktujących sprawę włościańską. Pomiędzy niemi znajdują się jednak dzieła, które znajomością stosunków, zdrowemi postępowemi zapatrywaniami, a nareszcie jasnem wyłożeniem rzeczy zasługują w każdym razie na uwagę. Należą tu: *Uwagi praktyczne o poddanych polskich względem ich wolności i niewoli.* Warszawa 1790, (8-vo str. 178). Tadeusza Morskiego: „*Uwagi o chłopach.*“ Warszawa (8-vo, str. 52).— *Bunty ukraińskie czyli Ukraińca nad Ukrainą uwagi przez F. Matulskiego* 1790, (8-vo str. 206). *Zastanowienie się nad całego kraju własnościami z Uwag nad projektem JMci księdza Ossowskiego, ich urządzenie w starostwach przeznaczającym, wynikłe dnia 25 marca 1792.* (8-vo str. 47).

Staraniem pism tych było przekonać naród o potrzebie polepszenia losu ludu wiejskiego, wskazać na ogromne ze zmian tych korzyści, tak moralne jak materyalne, tak dla kraju całego jak osobiste. Nieprzestając na samych wywodach rozumowych, odzywały się do uczucia i jaskrawem wystawieniem nędzy ludu wiejskiego usiłowały wywołać u ogółu współczucie. Pod względem wniosków jednak ograniczają się one do reform najkonieczniejszych wymaganych już nawet nie względami polityki, ale

przez prostą ludzkość. Głównym żądaniem, które stawiają, jak oddanie włościan pod opiekę prawa, zabezpieczenie im wolności osobistéj i majątkowéj, i położenie tamy samowoli i krzyczącym nadużyciom ze strony dziedziców, którzy mając w ręku bezwzględny wymiar sprawiedliwości, są prawie panami śmierci i życia swych poddanych. W tym celu przemawiają gorąco za ustanowieniem sądów appelacyjnych dla włościan, ograniczeniem władzy dziedziców w poszukiwaniu i odbieraniu zbiegów a nawet i za pozwoleniem przesiedlenia się w pewnych wypadkach.

Wszakże znajdowali się w obozie pisarzy reformatorskich i tacy, którym zmiany tego rodzaju wydały się słusznie niedostatecznemi i niewystarczającemi, a którzy w przekonaniu, że od gruntownego załatwienia sprawy włościańskiéj zależy pomyślność kraju i wzrost siły narodowéj, nie wahali się sięgnąć w głąb rzeczy i zażądać znacznie daléj idących roform. Z koła ich wyszła podniesiona jeszcze przed sejmem 4-letnim przez Wybickiego myśl usamowolnienia włościan i nadania im nawet pewnych praw politycznych. Znajdujemy ją rzuconą mimochodem w kilku pismach; jako główny jéj obrońca występuje ów znany nam już anonim w książce pod tytuł. „*O poddanych polskich r. 1788.* (8-vo str. 115 [1]). Jestto nietylko

[1]) Z powodu książki téj wydał Dawid Pilchowski exjezuita, profesor akademii wileńskiéj późniéj sufragan biskupstwa wileńskiego, broszurę p. t. *Odpowiedź na pytanie: izali nieczułość w wyższych wiekach ku poddanym tak była opanowała serca Polaków, iż uczeni nawet nią zarażeni zostali czyli Dodatek do księgi o poddanych polskich r. 1789* (8-vo str. 147), p. życiorys Pilchowskiego napisany przez J. Kossakowskiego w Roczniku warsz. Towarz. Przyj. Nauk. t. IV. str. 39). Zgadzając się wogóle na zapatrywania poprzedniego autora dowodzi on w niéj, że w przeszłych nawet wiekach pomimo powszechnych przesądów, ludzie najoświeceńsi i uczeni występywali już w obronie ludu wiejskiego i zwracali uwagę narodu na potrzebę polepszenia jego losu. Mylnie przypisują niektórzy biografowie (Lesł. Łukaszewicza Rys dziejów pismien. polsk. Poznań, 1860 r. str. 451. Sobieszczańskiego życiorys w Encyklopedyi powszech. t. XX str. 711 i L. Rogalskiego Hist. lit. pol. II. str. 182. Pilchowskiemu także przytoczone wyżéj dzieło: *O poddanych polskich.* Wszak w piśmie swo-

najważniejsza z pism sprawę włościańską traktujących, ale w ogóle nawet jedno z najgruntowniejszych i najbardziéj na uwagę zasługujących dzieł całéj ówczesnéj literatury politycznéj.

Autor wystawiwszy w ostro i jaskrawo kreślonym obrazie stan ludu wiejskiego, jego nędzę materyalną i upadek moralny, okropne szkody, jakie kraj z tego powodu ponosi, a które się rok w rok w zatrważający sposób zwiększają, widzi jedyny skuteczny na to środek w zniesieniu poddaństwa. Żąda aby chłopom albo pooddawać grunta na własność wieczystą za roczną opłatą, albo przynajmniej oczynszować (zbożem) i uczynić ich dzierżawcami posiadanéj ziemi, a właścicielami wszystkich ruchomych sprzętów. Do téj kardynalnéj zmiany, którą uważa za niezbędny warunek trwalszego i sprawiedliwszego urządzenia stosunków włościańskich, dodaje szereg innych drobniejszych reform: żąda zupełnéj wolności przesiedlenia się z miejsca na miejsce, żenienia według woli, i lepszego wymiaru sprawiedliwości. W ostatnim mianowicie względzie uważa za najodpowiedniejsze, ustanowienie we wsi każdéj sądu z włościan złożonego, pod przewodnictem dziedzica, od któregoby apelacya szła do sądów miejskich. Komisyi edukacyjnéj poleca zajęcie się oświatą ludową. — Książka ta napisana z wielką znajomością stosunków krajowych, rzuca ogromne światło na stan ówczesny ludu wiejskiego.

W tym samym duchu przemawia i Staszyc w Przestrogach, choć przyznać trzeba, nie posuwa się tak daleko w żądaniach. Za konieczne zmiany uważa przemianę pańszczyzny na czynsz albo robotę wydziałową, w ogóle ścisłe oznaczenie stosunku rolnika do pana, daléj ustanowienie sądów włościańskich (z trzech osób złożonych: szlachcica, mieszczanina i chłopa), prawo przesiedlenia się w razie niewypełnienia ze

---

jem: *Odpowiedź na pytanie*, mówi on o autorze dzieła onego jako o osobie trzeciéj i nazywa go bardzo zasłużonym mężem, któremu potomność odda sprawiedliwość za gorliwe zajęcie się sprawą ludu. Widocznie tytuł dzieła: *Dodatek do księgi o poddanych*, wprowadził w błąd wspomnionych biografów, którzy nieznając treści pisma z tytułu zawnioskowali, że Pilchowski napisał zrazu dzieło: O poddanych, a następnie uzupełnił je dodatkiem.

strony dziedzica warunków ugody, dla dzieci zaś bezwarunkowe obsiadanie miast lub wsi według upodobania. Żądania swoje popiera gorącemi i niesłychanéj siły przemowami, w których bez wahania się wyrzuca szlachcie zgnębienie chłopów i zaklina, aby się na przyszłość przynajmniéj opamiętali i własną ręką niekopali grobu ojczyznie. — *Pięć części narodu polskiego* — woła on — *stoi mi przed oczyma, widzę miliony stworzeń, z których jedne wpólnago chodzą, drugie skórą albo siermięgą okryte, wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe, oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznie piersiami bezustannie robią. Posępne, zadurzałe i głupie mało czują i mało myślą, to ich największą szczęśliwością. Ledwie w nich dostrzec można duszę rozumną. Ich wierzchnia postać z pierwszego wejrzenia więcéj podobieństwa okazuje do zwierzęcia niźli do człowieka. Chłop — ostatniéj wzgardy nazwisko mają. — Dobrzy Polacy! oto roskosz tej części ludzi, od których los waszéj Rzpltéj zawisł, oto człowiek który was żywi! oto stan wolności w Polszcze! Macie wy miłość Ojczyzny? Nie obywatelami ale nieprzyjaciołmi Polski jesteście. Więcéj szkodzicie temu krajowi niżeli szkodzili i Moskale, Szwedzi, Niemcy, Turcy i Tatarzy. Tych okrucieństwo padało na niektórych i kończyło się w lat kilka. Wasze okrucieństwo, trapi nietylko żyjących, ale nadto kładzie przeszkodę wieczną do podobieństwa, aby Polska mogła ze sławą powstać. Bo tamuje ludność, wstrzymuje powiększenie urodzajów, rozciąga niewolę na pokolenia dalekich wieków. Upamiętajcie się. Nie bierzcie na złe cierpliwości nieba: widzę straszne nieszczęśliwości nad głowami waszemi. A gdy kocham Polskę, a gdy zapomnieć nie mogę, że rodziłem się Polakiem, jakby ten kraj uratować myślę ustawicznie. Są nieskończone sposoby. Odłóżmy tylko upór, chwyćmy się rozumu.* (Przestrogi str. 208 i 228).

Co najdziwniejsza, że pomiędzy tą garstką najdaléj idących reformatorów spostrzegamy — zażartego przeciwnika mieszczan, Jacka Jezierskiego. W wspomnianem dziele: *Nie wszyscy błądzą*, gdzie zwłaszcza w II części obok kwestyi mieszczańskiéj szeroko roztrząsa sprawę ludu wiejskiego, oświadcza się nie tylko za przemianą pańszczyzny na czynsz ale za zupełnem usamowolnieniem chłopów.

Usiłowania zwolenników reformy w sprawie włościańskiéj były zanadto drobnemi i zbyt mało jeszcze miały poparcia u ogółu, aby wywołać silniejszą reakcyę w stronnictwie przeciwnem. Mimoto nieomieszkało ono położyć i tu swego veto i stanąć w obronie dawnego stanu rzeczy. Dwa mianowicie pisemka posłużyć mogą za wyraz zapatrywań zwolenników nierządu w téj kwestyi.

Ogólny prąd reformatorski, dążący do rozwiązania żądań społecznych, dotknął nawet i kwestyi żydowskiéj. Przyznać jednak trzeba, że jeśli sprawa ludu wiejskiego niedość silne znajdowała poparcie, i w obec innych spraw, które uwagę ogółu skupiały, pobieżnie była traktowaną, to interes dla sprawy żydowskiéj był o wiele jeszcze słabszy i mniejszy. Opinia publiczna była jéj wprost nieprzyjazną i przeciwną. Praktyka życia ukazująca niestety w zbyt jaskrawych kolorach same tylko ciemne strony społeczeństwa żydowskiego, utwierdzała przeważną część narodu w dawnych uprzedzeniach i nie dozwolała jéj zająć w kwestyi téj słusznego i bezstronnego stanowiska. Wyjątek stanowiła bardzo szczupła garstka ludzi, którzy nie wahali się i na tem polu rzucać pierwszy zasiew dążeń reformatorskich.

Myśl uprawnienia politycznego żydów, podniosła po raz pierwszy jeszcze przed sejmem czteroletnim, broszurka pod tytułem: „*Żydzi czyli konieczna potrzeba reformowania żydów w kraju Rzeczypospolitéj polskiéj, przez obywatela bezimiennego.* Warszawa 1785, (8-vo str. 40), któréj autor przemawiał gorąco za zawarciem, *Czwartego i wiecznego concordatum między dwoma walczącemi dotąd w jednym kraju narodami*," podając w ogólnych zarysach warunki przyszłéj ugody i obustronnych ustępstw. Myśl tę zapomnianą i nieznaną przez ogół, podjął w czasie sejmu czteroletniego zasłużony finansista i poseł na sejm Mateusz Butrymowicz [1]). Zajęty bieżącemi kwestyami

[1]) Butrymowicz należał do dość licznego wówczas zastępu ludzi zajmujących się głównie podniesieniem dobrobytu materyalnego kraju. Budowaniem grobli i systematycznem osuszaniem powiatu pińskiego niepospolite położył zasługi około gospodarstwa narodowego. W czasie sejmu cztero-letniego obrany po-

polityki i chcąc jedynie obudzić interes dla sprawy żydowskiéj, ograniczył on się zrazu na przedrukowaniu wspomnionéj książki, z niektóremi odmianami i uwagami p. t. „*Sposób uformowania żydów w pożytecznych krajowi obywatelów.* Warszawa 1789, (8-vo str. 46). W rok potem wystąpił już z własnym projektem w piśmie p. t. „*Reforma Żydów*“ (4 ark. niel.), które jako wniosek podał do deputacyi, zajmującéj się ułożeniem przyszłéj formy rządu. Żąda on w niem dla stanu żydowskiego zabezpieczenia własności i osoby, wolności osiadania w miastach i na wsi i przypuszczenia do szkół; znosi jednak z drugiéj strony kompetencyę władz kahalnych w rzeczach cywilnych, zakazuje szynkowania we wsi i noszenia odmiennego stroju. Pismo to nie stoi wprawdzie odosobnione. W tym samym duchu przemawiał Kołłątaj w „*Prawie politycznem*“ a i w kilku innych pismach znajdujemy postawione żądanie, aby żydów wciągać powoli w interesa krajowe i obcy ten żywioł o ile możności starać się pozyskać. Ale były to pojedyńcze, nader rzadkie głosy.

Jak ogół narodu zapatrywał się na kwestyą żydowską i do jakiego stopnia ulegał jeszcze przesądom, świadczy nietylko pogardliwy ton, w jakim przemawia o żydach cała prawie ówczesna publicystyka, ale nawet kilka odpowiedzi, które pojawiały się z powodu pism Butrymowicza i roztrząsały wniesiony przez niego projekt. Przykro wyznać, że niektóre z nich wychodziły z pod pióra ludzi postępowych, niepoślednie nawet zajmujących stanowisko w pracach reformatorskich czasu onego. Należy tu mianowicie broszura Michała Czackiego p. t. *Reflexya na reformę Żydów* (8-vo str. 18) — i dwóch nieznajomych autorów pisemka: *Katechizm o żydach i neofitach, czem oni są i co z nimi zrobić należy dla poprawy formy rządu do deputacyi posłany* (8-vo str. 18). *List przyjaciela Polaka do obywatela warszawskiego wyjawiający sekreta neofitów poprawy rządu wymagające, pisany* (8-vo egz. brosz. niel. Pisma te —

---

słem z powiatu pińskiego zasiadał w deputacyi względem buntów ukraińskich i pracował w komisyi skarbowéj, gdzie wiele wnosił reform. Umarł w czasie księstwa Warszawskiego prawdopodobnie przed r. 1810 (p. ciekawy życiorys jego skreślony przez Jul. Bartoszewicza w Encykl. powsz. Orgelbr. t. IV. str. 701).

(z których dwa ostatnie z góry oświadczają, że zdaniem ich każdy prawie żyd jest: „*próżniak*, *matacz*, *złodziéj*, *oszust*,“) uważają złączenie między żydami i chrześcianami za niepodobne i twierdzą, że żyd nigdy obywatelem niebędzie. Podane przez nich sposoby załatwienia kwestyi żydowskiéj są raczéj środkami represyjnymi mającymi na celu zgnębienie ludności żydowskiéj, jak projektami reformy żydowskiéj.

DZIEŁA

wywołane ustawą 3 maja i następnemi wypadkami. Drobniejsze broszury i pisma wydawane w ciągu sejmu 4-letniego. Dziennikarstwo polityczne.

Po trzechletniem prawie sejmowaniu stronnictwo reformatorskie poparte tak dzielnie publicystyką, postanowiło nareście zrobić krok stanowczy i zamierzone reformy wprowadzić w życie. Był to rzeczywiście czas ostatni! Przyjaźny układ stosunków zewnętrznych, groził lada chwilę zwrotem, należało być przygotowanym do akcyi zewnętrznéj, a tu pominąwszy wytworzenie coraz silniejszéj opinii publicznéj w kierunku postępowym, kraj praktycznych korzyści nie odniósł jeszcze prawie żadnych. Aby nie wywoływać zbyt wielkiego starcia z opozycyą i żywiołami wstecznemi, którym obca intryga coraz widoczniéj rękę podawała, postanowiono przeprowadzić reformę szybko i niespodziewanie, z obejściem nawet formalności, nie dając przeciwnikom czasu do zorganizowania systematycznego oporu. W tym celu za porozumieniem się króla i głównych przewódzców stronnictwa patryotycznego, Ignacego Potockiego, Kołłątaja i kilku innych ułożonym został w największéj tajemnicy projekt konstytucyi. Projekt ten, wniesiony w sposobnéj chwili, kiedy część opozycyi wyjechała była z Warszawy, przeszedł na pamiętnéj sessyi 3 maja prawie jednomyślnością. Tak stanęło wreszcie dzieło reformy, w którem po wielu latach starcia i walki, oświecona większość narodo-

wa złożyła tak chlubny dowód zarówno miłości kraju jak i dojrzałości politycznéj.

Ustawa 3 maja w całym prawie kraju z niesłychanym zapałem i radością przyjęta, [1]) trafiła na zacięty opór stojącego na czele stronnictwa nierządu możnowładztwa. Przewódzcy opozycyi pobici w izbie prawodawczéj uchwałą większości nie dali za wygraną, ale przenieśli się z tem większą zaciekłością na pole intryg i agitacyi i wytężyli wszystkie swe siły do podburzenia umysłów przeciw przyjętéj ustawie. W chwili mających się zebrać sejmików, właśnie gdy uchwalone prawo wchodzić miało w życie, pojawiło się mnóstwo pism podżegających, które na sejm i uchwaloną konstytucyą najniegodziwsze rzucały potwarze. Do pism tych, z których większa część raczéj na nazwę paszkwilów zasługuje, należą: „*Dyzmy Bończy Tomaszewskiego komisarza cywilno-wojskowego województwa bracławskiego nad konstytucyą i rewolucyą dnia 3 maja r. 1791 uwagi* [2]) (8o str. 64) „*Jana Suchorzewskiego posła kaliskiego odezwa do narodu wraz z protestacyą dla śladu gwałtu i przemocy, do któréj w całym prawie sejmie zbliżano, a w dniu*

---

[1]) Objawiały się one w mnóstwie pism i świstków, które z tego powodu wychodziły: *Myśli radosne Ukraińca z przyczyny konstytucyi dnia 3 maja 1791 zapadłéj i z odebranych o niéj wiadomości.* (8-vo kart niel. 8) — *Polak w maju* (8-vo str. 20) — *Dzień 3 maja do najjaśn. króla JMci i narodu* (8-vo str. 17) — *Nad nową konstytucyą* (4-to kart niel. 1)— *Nad rewolucyą dwóch narodów w Europie* (4-to kart niel. 4) — *Dzień 3 maja 1791* (4-to kart niel. 4)— *Heynał na dzień 3 maja 1791* (8-vo str. 15) — *Pieśń na 3 maja Warszawa 1792* (8-vo kart niel. 2)— *Pieśń na trzeci dzień maja 1792* (4-to kart niel. 1) *i t. d.*

[2]) Dyzma Tomaszewski, późniéj sekretarz konfederacyi targowickiéj, zresztą człowiek prawy i uczciwy ale zaślepiony, był jednym z najżarliwszych przeciwników ustawy. W przejeździe do Jass, dokąd go wezwał Szcz. Potocki, rozrzucał i szerzył pismo swoje przeciw konstytucyi, rząd polski przytrzymawszy go znalazł przy nim prócz wielkiéj ilości egzemplarzy tego dzieła bardzo podejrzane listy, ale nie chcąc robić hałasu puścił mimo to na wolność (Bartoszewicza dodatek do t. II Hist. pam. Święckiego). — Tomaszewski znany jest prócz tego w literaturze jako autor kilku słabych komedyi i poematów, a mianowicie Jagiellonidy, tak ostro przez Mickiewicza skrytykowanéj.

trzecim maja 1791 dokonano. (8° str. 47) [1] „*Kopia responsu Stan. Szcz. Potockiego gen. art. kor. do króla, do Małachowskiego, do Ignacego Potockiego i Seweryna Potockiego* (4° str. 8) „*JW. Tomasza Dłuskiego podkomorzego generalnego woj. lubelskiego, tegoż woj. posła sejmu, usprawiedliwienie się przed publicznością z manifestu przeciwko ustawie 3 maja r. 1791*“ (4° kart. niel. 10) [2] „*O konstytucyi 3 maja 1791 do JJ. WW. Zaleskiego trockiego i Matuszewicza brzeskiego posłów* (8° str. 73) „*Do W. J. księdza Fraciszka Ksawerego Dmóchowskiego schol. piar. z okoliczności wydanego pisma p. t.: Do JJ. WW. pp. Tad. Czackiego starosty nowógrodzkiego i Mikołaja Wolskiego szambelana J. K. Mości* (8° str. 51) [3] i kilka innych.

---

[1] Znany powszechnie z tragikomicznego występu w czasie sesyi sejmowéj z d. 3 maja, na któréj dla wolności ofiarował się własne zabić dziecko. Przyjaciel i wielbiciel Szczęsnego Potockiego popierał przez cały czas sejmu czteroletniego dążności opozycyjne i szkodził niemało wichrzeniem swojem stronnictwu postępowemu. Wydał prócz powyższéj broszury kilka mów mianych na sejmie: *Głos J. W. Jana Suchorzewskiego wojskiego wschowskiego, posła kaliskiego w izbie senatorskiéj na sesyi d. 16 8bris a. 1788* (f. str. niel. 3) — *Głos J. W. Jana Suchorzewskiego wojskiego wschowskiego posła kal. na sesyi sejmowéj d. 17 kwietnia 1789 r. miana* Warszawa (f. str. 4), — *Głos J. W J Such. posła woj. kal. d. 3 maja 1791 w izbie sejmowéj miany* (f. kart 2).

[2] Tomasz Dłuski, głośny w swoim czasie prawnik, znany autor tranzakcyi Kolbuszowskiéj z r. 1758, należał do stronnictwa patryotycznego i taką miał między posłami powagę, że go nazywano dziekanem sejmu. Po ustanowieniu konstytucyi 3 maja, czy to przez obrazę, że do jéj układu użytym nie był, czy téż z miłości dla swobód szlacheckich przeszedł do opozycyi i podpisał manifest przeciw ustawie. (Pamiętniki K. Koźmiana Poznań 1858 t. I. str. 161).

[3] Dwa ostatnie pisma pochodzą od jednego autora. Gdy pierwsze z nich wyszło, przypisywano je jakkolwiek bez najmniejszéj podstawy, Mikołajowi Wolskiemu na wespół z Tad. Czackim. Dało to powód Fr. Ks. Dmochowskiemu do wystąpienia z ostrą odpowiedzią, którą zaadresował do tych dwóch mniemanych autorów i ogłosił p. t. „*Do J. J. W. W Tadeusza Czackiego starosty nowogrodzkiego i Mik. Wolskiego szambelana J. K. Mci z okoliczności wydanego pisma o konst. 3 maja J. J. W. W Zal. p. t. i Matusz.*

Dążeniem pism tych było przedstawić konstytucyę 3 maja jako spisek przeprowadzony przemocą i intrygami, a obrachowany na zgubę Rzeczypospolitéj. Jak przedtem, tak i teraz ograniczała się opozycya na obfitéj w słowach a czczéj w rzeczy retoryce, odezwała się do namiętności, rozsiewając między ciemnemi masami szlachty, potwarz i oszczerstwa. Aby zachwiać legalność uchwalonego prawa, nazywają wspomniane pisma sessyę 3 maja dniem gwałtu, twierdząc, że przed izbą sejmową kilkanaście tysięcy stało uzbrojonych mieszczan, gotowych na skinienie, że salę obrad napełniał krzykiem sprowadzony z prowincyi motloch, a sprzeciwiający się dziełu intrygi prawdziwi patryoci, zaledwie z życiem ujść zdołali. Przeciw ustawie saméj podnoszą zaś cały szereg najniedorzeczniejszych zarzutów; obwiniają ją o zaprowadzenie despotyzmu królewskiego, zgnębienie wolności, chęć zagłady stanu szlacheckiego i t. p. Przechodząc pojedyńcze jéj artykuły, jak najfałszywiéj je tłumacząc lub przekręcając wprost ich znaczenie, usiłują dowieść, że król jest teraz samowładnym narodu panem, że ustawa rządowa na miejsce *„najpiękniejszego jaki być może“* rządu republikańskiego, postawiła tyranię i absolutyzm. *Niema już Rzeczypospolitéj, zabitą została i tylko imię jéj istnieje“* woła z emfatycznem oburzeniem Szczęsny Potocki w liście do Małachowskiego, a wszystkie pisma opozycyjne wtórują mu chórem w narzekaniach nad wydartą wolnością i obelgach na rząd nowy. Jeśli w całym tym steku potwarzy, fałszów lub niedorzeczności, niemożna spotkać się ani z jednym słusznym zarzutem, ani z jedną rozsądną uwagą, to były one jednak zręcznie zastosowane do wyobrażeń szlachty nieoświeconéj i odpowiadały wprost zamierzonemu celowi. Wszystko cokolwiek na ciemne umysły wpływ wywrzeć mogło, każdy choć najniedorzeczniejszy zarzut, który drażnił namiętności lub dotykał głęboko wkorzenionych przesądów, podnosili i szerzyli skwapliwie autorowie pism opozycyjnych. Dość powie-

---

p. brz.-lit. poświęconego.“ Na tę odpowiedź wydał rzeczywisty a bezimienny autor owego pisma drugą broszurę: *Do W. J. X. Fr. Ksaw. Dmochowskiego*..... gdzie w jeszcze ostrzejszych wyrazach, ironią i dowcipami odciął się Dmochowskiemu, dając zarazem poznać, że on jest autorem owego

dzieć, że niektórzy z nich nazywają konstytucyą 3 maja (któréj Pius VI w osobnem breve przesłał błogosławieństwo swoje) niebezpieczeczną „dla wiary,“ a Tomaszewski nie waha się w dziele swojem rozpuszczać pogłoski, że każdy szlachcic będzie teraz musiał składać dowody szlachectwa swego i w razie niemożności utraci dotychczasowe przywileje, że rząd nowy sprzyja tajemnie chłopom, którzy rznąć będą swych panów! Szereg tych bezczelnych potwarzy, zamykają wszystkie pisma otwartem wezwaniem do buntu i zawiązania nowéj konfederacyi.

Propagandzie piśmiennéj towarzyszyła, czynna agitacya i knowanie między ludnością kraju. Na tajemne zabiegi opozycyi i środki któremi się posługiwała, rzuca jaskrawe światło „*List dziekana Winnickiego do JWP. Stan. Szczęsn. Potockiego w Winnicy dnia 29 marca 1792 r. p.*“ (4o str. 4.[1]) Jestto pełna oburzenia i wzgardy odpowiedź zacnego kapłana na pismo Szcz. Potockiego, namawiające go, aby w naukach kościelnych podburzał lud przeciw ustawie 3 maja i wystawiał szkodliwość jéj dla wiary i narodu.

Nie potrzeba dodawać, że wichrzeniom tym podawał rękę rząd rossyjski, który przez ajentów rozrzucał znów ze swojéj strony pisma przeciw nowemu rządowi (*Memoires sur la revolution de Pologne* (8vo str. 80). *Uwagi nad rewolucyą polską z francuskiego r. 1792* (8vo str. 92) [1]) i używał najobrzydliwszych potwarzy, aby nietylko w opinii kraju, ale i wobec Europy zohydzić ustawę „*dzieło intrygantów warszawskich.*

Ale niegodziwe zabiegi opozycyi popierane przez obcą intrygę znalazły dzielny opór w czujności i czynności stronnictwa postępowego. W lot za pismami i odezwami podburzającemi, ukazały się odpowiedzi zwolenników ustawy 3 maja, które zwycięsko odparły rzuconą na siebie potwarz, i fał-

---

pisma. Wolski ze swojéj strony w drukowanem „*Oświadczeniu*“ kategorycznie zaprzeczył pogłoskom, jakoby był autorem pisma przeciwnego konstytucyi 3 maja. Polemika ta skłoniła jak wiadomo Trembeckiego do napisania kilku dowcipnych wierszy pod imieniem Bielawskiego, a mianowicie humorystycznego artykułu p. t. „*Sen czyli Sąd,*“ w którym Bielawskiego wprowadza jako rozjemcę sporu (Biblioteka kieszonkowa klas. polsk. Lipsk 1836 t. XXIV str. 175 i 197).

[1]) Jestto tłumaczenie poprzedniéj książki.

szywe przeciw uchwalonéj konstytucyi zarzuty. Wszystkie prawie odcienia stronnictwa postępowego wzięły udział w obronie nowego rządu. Do dzieł, które wydane zostały w tym celu i z najróżniejszego stanowiska broniły ustawy, należą „*Antoniego Trembickiego posła inflanckiego Odpowiedź autorowi prawdziwemu Uwag D. B. Tomaszewskiego nad konstytucyą i rewolucyą 3 maja* (8vo str. 159) [1] „*Na pismo, któremu napis: „O konstytucyi 3 maja 1791 r. do JJ. WW Zaleskiego trockiego i Matuszewicza brzesko-litewskiego posłów odpowiedź* (8vo str. 36) — *Na usprawiedliwienia się J. W. P. Dłuskiego podkomorzego i posła wojew. lubelskiego z manifestu przeciwko ustawie 3 maja r. 1791 odpowiedź* (4o kart. niel. 8)“ — „*Do pewnego obywatela i posła zagranicą przebywającego* (4o str. 4)“ „*Nad pismem z druku wyszłem p. t. usprawiedliwienie się JW. Dłuskiego podkomorzego i posła lub. i t. d.* (4o kart. niel. 8).“ „*Do JJ. WW. Tad. Czackiego starosty nowogrodzkiego i Mikołaja Wolskiego szambelana J. K. M z okoliczności wydanego pisma o konst. 3 m. JJ. WW. Zal. p. i Matusz. p. b. l. poświęconego* (8o str. 31)“ [2] „*Do uprzedzonych względem konstytucyi dnia 3 maja 1791 r. zapadłéj od Kajetana Sierakowskiego kasztelana słońskiego w drukarni wolnéj* (8o str. 186)“

---

[1] Za właściwego autora uwag uważa Trembicki Szcz. Potockiego, który zdaniem jego podszył się umyślnie pod imię Tomaszewskiego, aby oszukać opinię publiczną. Prócz powyższéj broszury, jakoteż znanego zbioru praw, drukowanego p. t. *Prawo polityczne i cywilne polskie i W. Ks. lit....* wydał Trembicki kilka mów: *Zdanie J. P. Ant. Trembickiego posła inflanckiego na sesyi sejmowéj d. 4 lut. 1791 względem kupna pałacu dla posła rosyjskiego* (8-vo str. 14) — *Głos Ant. Tremb. posła z Ks. Infl. na sesyi sejm. 28 marca 1791 miany przy podaniu projektu względem stanu miejskiego* (4-to egz. niek.) — i ulotne pisemko: *Do publiczności* — (na końcu) *Antoni Tremb. poseł z Ks. Infl. o 27 maja 1794 w Warszawie* (f. str. 4.), w którem oczyszcza się z zarzutu, jakoby po upadku konstytucyi 3 maja popierał rząd targowicki. Zasługuje ono z tego względu na uwagę, że zawiera niektóre nieznane szczegóły z życia tego pisarza.

[2] Jesto właśnie owa odpowiedź Dmochowskiego, o któréj wyżéj wspomnieliśmy.

i nareszcie z polecenia króla przez Siarczyńskiego [1]) napisane dzieło p. t. *Dzień 3 maja r. 1791.* Warszawa (8º str. 260) [2])

W dziełach i pismach tych podało stronnictwo postępowe wierny opis sessyi z dnia 3 maja dowodząc, że ustawa rządowa stanęła uchwałą większości i jest legalnym wyrazem większości sejmowéj i przeważnéj części narodu, że zarzut przemocy i gwałtu — jest oszczerstwem, a oszczerstwem śmiesznem wobec szczupłéj garstki oponentów, którzy się uchwale stukilkudziesięciu posłów sprzeciwiali. Owszem za największą chlubę nowéj konstytucyi, najświetniejszy dowód jéj żywotności uważają autorowie pism wspomnianych to, że zmiana rządu, którą inne narody okupują rozlewem krwi i okropnemi katastrofami politycznemi, odbyła się w Polsce spokojnie, bez walki i wojny domowéj, witana przez cały prawie naród okrzykami radości. Na niedorzeczną a zjadliwą krytykę konstytucyi, odpowiadają odwołaniem się do wypowiedzianych przez nią zasad. Z tekstem uchwalonéj ustawy w ręku dowodzą oni, że konstytucya nie zaprowadza bynajmniéj jedynowładztwa, a jeźli dla wzmocnienia rządu dała królowi większą niż dotychczas władzę, to z drugiéj, licznymi a dzielnymi środkami zapobiegła wszelkim możliwym jéj nadużyciom; zarazem powołują się na powagę konstytucyi angielskiéj, która nowemu rządowi za wzór służyła i na pochwalne o niéj zdania najznakomitszych polityków ówczesnych [3]).

---

[1]) Wydał w czasie sejmu 4-letniego broszurę p. t. *Pochwała Stanisława Szczęsnego Potockiego gen. art. kor. Warszawa 1789* (8-vo str. 43).

[2]) Prócz tego rozrzucali zwolennicy ustawy wiele drobnych pism po powiatach, w celu udaremnienia agitacyi opozycyi i uspokojenia zaniepokojonych przez nią umysłów: *Do obywatelów mających się zjechać na na następujące sejmiki* (8-vo kart niel. 4) — *Do obywatelów po odbytych sejmikach na dzień 14 lutego 1792 zwołanych* (4-to str. 7) i t. d.

[3]) Konstytucya 3 maja zyskała jak wiadomo, uznanie najznaczniejszych polityków współczesnych i mężów stanu. Sławni mowcy Burke i Fox wystąpili publicznie z pochwałami jéj w parlamencie angielskim, a równie pochlebnie wyraził się o niéj cały szereg znakomitych pisarzy i polityków, jak to Payne, Sieyes, Volney, Makintosh, a nawet pruski minister Hertzberg.

Z pomiędzy tych dzieł, które spokojem i godnością dziwnie odbijają od namiętnych pism opozycyi odszczególnia się krótka ale znakomicie napisana broszura, o któréj wyżéj wspomnieliśmy p. t.: *Na pismo, któremu napis i t. d..... odpowiedź.* Autor jéj, według wszelkiego prawdopodobieństwa Kołłątaj [1]) z nadzwyczajną trafnością i siłą zbija punkt za punktem zarzuty opozycyi i kreśli stanowisko nowego rządu. Uchwalona konstytucya — twierdzi on — nie jest ani rzeczpospolitą ani monarchią; jest pośrednią formą rządu utrzymującą wolność przy silnym na zewnątrz rządzie, a zastósowaną przedewszystkiem do obecnych potrzeb chwili. Uznaje ona króla głową i ojcem narodu, ale nie samowładcą, chce go połączyć ściślejszym niż dotąd węzłem z narodem, ale nie ze szkodą i uszczerbkiem dobrze zrozumianéj wolności.

Nie należy jednak pominąć milczeniem, że prócz garstki magnatów, używających najniegodziwszych środków do obalenia nowego rządu, ustawa 3 maja miała także przeciwników a przynajmnéj budziła obawy w ludziach dobréj wiary, a nawet postępowych przekonań, którzy się jednak z dawnych wyobrażeń i przesądów nie ze wszystkiem jeszcze otrzęśli. Ci przyjmowali wprawdzie konstytucyę, jako fakt dokonany, ale rozumiejąc, że nadto sprzyja władzy królewskiéj, myśleli z góry o środkach ubezpieczenia zagrożonych zdaniem ich swobód obywatelskich. Śladem tych usiłowań, które objawiały się zresztą i w izbie sejmowéj, jest broszura p. t. *Do współziomków, o jedynym środku zachowania nadal wolności* (8vo str. 66). Nieznajomy jéj autor, zwolennik zresztą sukcessyi tronu, obawia się, aby król zapomocą stojącego pod jego dowództwem wojska nie uczynił się absolutnym panem narodu. Jako jedyny środek zachowania wolności wobec konstytucyi podaje myśl utworzenia obok wojska, milicyi, złożonéj ze szlachty, a poczęści i mieszczan, którąby prócz obrony kraju miała obowiązek czuwać nad swobodami obywatelskiemi i stawiać przeszkody zamachom przeciw wolności. W tym samym duchu działało także pisemko p. t. *Myśl obywatela o nowéj konstytucyi* (8-vo

[1]) Wnieść to można poczęści ze stylu poczęści ze wzmianek innych pism o autorze téj broszury, które wyrażają się o nim z wielkiem uwielbieniem.

str. 37) żądające, aby król na rzecz sejmu zrzekł się prawa nominowania ministrów. Dodać tylko trzeba, że pisma te z pojedynczymi punktami ustawy nie zgadzając się, zgadzały się zresztą zupełnie na ogólne jéj zasady i z góry zastrzegały się przeciw jakiejkolwiek myśli obalenia lub podkopywania nowo-postawionego rządu.

Prowadzona z powodu ustawy 3 maja polemika między stronnictwem postępowem a opozycyą, była ostatnią walką reformy z nierządem na polu piśmiennictwa. Zakończyła ona się jak najświetniejszem zwycięstwem. Dzieła publicystyki reformatorskiéj przyczyniły się nietylko do wyświecenia opinii publicznéj i utwierdziły w przekonaniu zwolenników ustawy, ale zjednały sobie prozelitów nawet w obozie przeciwnym. Ostatnie wypadki bowiem wykazały aż zbyt jasno całą przewrotność i złą wolę przewódców opozycyi, i nietrzeba było rzeczywiście wielkiéj znajomości rzeczy, aby poznać, że ludzie ci powodują się jedynie ambicyą i dla ambicyi wszystko poświęcić gotowi. Ktokolwiek był uczciwym i dbał choć trochę o dobro kraju, usuwał się teraz z obozu staroszlacheckiego, a nie brakło i na takich, którzy zapierali się publicznie wspólnictwa z robotami opozycyi wyznając otwarcie, że rumienią się teraz, iż znajdowali się *„w tak hańbiącem towarzystwie.“ (List odpowiedni pisany do przyjaciela względem ustawy rządowéj dnia 3 maja 1792 uchwalonéj przez J. K. S. szlachcica ziemi łukowskiéj.* Warszawa 1792 (8-vo str. 72.) [1]). Jeżeli do dnia 3 maja mieściły się jeszcze pomiędzy opozycyą jakie żywioły lepsze, przesądami i obłędem na fałszywe drogi sprowadzone, to teraz po tak jawném wyparciu się całego prawie kraju, pozostała mała tylko garstka ludzi najnieuczciwszych, zaprzedanych albo fanatyków.

Wszakże odniesiona wobec opinii narodu całego klęska,— jakkolwiek przekonała przewódców opozycyi dostatecznie, że nie mogą liczyć na poparcie w narodzie, nie przełamała ich zawziętości i ambicyi. Nie mając nadziei własnemi siłami podkopać i zniweczyć rząd nowy i ustanowiony przez niego

[1]) Autor pisma tego jest tym samym, który w sprawie dziedziczności tronu wydał broszurę p. t. *Bezstronne zastanowienie się nad projektowaną ustawą następstwa tronu.*

porządek rzeczy, w którego obronie stanął otwarcie cały prawie naród, wyciągnęli rękę po pomoc obcą i szereg przewinień swoich i nieuczciwości zakończyli ostatnią, najohydniejszą zbrodnią — zdradą kraju. Znany jest powszechnie dalszy ciąg smutnych tych dziejów: zawiązana w Targowicy konfederacya, na której czele stanął Szczęsny Potocki wraz z Rzewuskim i Branickim, siejąc postrach i teroryzm wkroczyła wraz z wojskiem rosyjskiem w granice państwa polskiego i w krótkim czasie stała się panią kraju, który oddała związany, bezsilny carowéj Katarzynie — na to tylko, aby w krótkim czasie od niéj jako nieużyteczne narzędzie być odrzuconą!

Łatwo pojąć, że chwila tak stanowczych wypadków nie była chwilą rozpraw i dyskussyi pismiennéj. Kończyła się tu rola literatury politycznéj, a wypadki wchodziły w nową fazę, w któréj już nie słowami ale czynem należało objawiać narodowi wolę swoją. Ale niestety, gdy przyszła ta stanowcza chwila działania, skutek nie odpowiedział wcale oczekiwaniom, które tak gorąco rozbudzony ruch i uczucie patryotyzmu zdawało się wróżyć. Nie naszą jest rzeczą zastanawiać się bliżéj nad błędami, jakie popełniło w ciągu pracy prawodawczéj stronnictwo reformatorskie, i roztrząsać o ile się stosunki i okoliczności do uniewinnienia jego przyczyniają; to pewna, że chwila walki zastała naród nieprzygotowany, bez środków i zasobów materyalnych, bez porządnéj administracyi i dostatecznéj ilości wojska. Poczucie własnéj słabości było powszechnem. Łudzono się tak długo, póki była nadzieja pomocy ze strony alianta; gdy ta zawiodła, upadek ducha, rozczarowanie i niepewność wystąpiły w jak najsmutniejszy sposób. Nim pierwsze strzały wymienione zostały z wojskiem rosyjskiem, wszyscy czuli się już pobitymi, zarówno armia, jak i wodzowie, którzy niechętnie, z przeczuciem niepowodzenia szli do walki. Wśród ogólnego upadku moralnego, znajdowali się wprawdzie ludzie, którzy widząc ważące się losy kraju, starali się podnieść i ożywić ducha i w gorących słowach wzywali naród do walki na śmierć lub życie (*Co teraz Polak myśli?* 8-vo str. 6) — *Doniesienie pilne obywatelom z Warszawy* 4-to kart. niel. 8)), ale głosy ich pozostawały bezskutecznymi. Gdy król nareszcie po próżnych usiłowaniach pojednania się z Katarzyną przystąpił także do konfederacyi Targowickiéj, sprawa

była już rozstrzygniętą: zrzucona na lat kilka hegemonia rosyjska napowrót narzuconą, dzieło reformy zniszczone.

Ale kiedy tak, wskutek nastającéj reakcyi zatarły się w jednéj prawie chwili ślady zmian dobroczynnych, które sejm wprowadził w życie, a obce mocarstwa w nowym rozbiorze myślały zbierać owoce nieuczciwéj swéj polityki, nie zniszczył i nieupadł przecie obudzony w ciągu sejmu 4-letniego duch narodu. Zbyt słaby, aby objawić się w czynie, wyparty ze stosunków życia rzeczywistego i skazany na prześladowanie, przeniósł on się i schronił napowrót na pole literatury i objawił zaraz w chwili upadku dzieła reformy w mnóstwie odezw, pism i manifestów, w których naród zaprotestował przeciw obcéj przemocy i piętnował hańbą tych, którzy nieszczęść kraju stali się sprawcami. Rozsnuwający się przed naszemi oczyma obraz literatury politycznéj sejmu czteroletniego, którego ogólne rysy staraliśmy się przedstawić, zakończa się też całym szeregiem ostrych i palących satyr, oskarżeń, wyrzutów i przekleństw — przeciwko hersztom Targowicy [1]). Pochodziły one przeważnie z pod piór rozproszo-

[1]) Oto najważniejsze i w swoim czasie najgłośniejsze z pism tych: *Forma prawdziwego wolnego rządu przez konfederacyę targowicką ułożona — w Tulczynie drukiem z Jaryszewa zabranym, nakładem Rzpltéj Targowickiéj — roku pierwszego podźwignionéj wolności i niepodległości* (8-vo str. 16) — *Fragment biblii Targowickiéj — księgi Szczęsnowe w Frankfurcie* (8-vo str. 16) — *Uwagi nad przysięgą J. W. Szczęsnego Potockiego. W Targowicy — drukarni wolnéj republikańskiéj* 1792 (4-to kart. niel. 4). *O rokoszu pod Targowicą rzecz krótka* (8-vo str. 24). Dwa pierwsze pisma są utworem Niemcewicza. — Do pierwszego z nich przyznaje się sam w pamiętnikach swoich (Pamiętniki czasów moich.... str. 189—190); manuskrypt zaś drugiego, pisany własną ręką autora znajduje się w bibliotece Kurnickiéj (Rocznik Tow. Przyj. N. Poznańskiego t. II. 1863. str. 413 i 705). „*Fragment biblii Targ.*“ zasługuje jeszcze o tyle na uwagę, że jestto pierwsza próba zastósowania w piśmiennictwie politycznem biblijnego stylu późniéj tak często używanego, a nawet nadużywanego. Drukowany właściwie nie w Frakfurcie, ale w Wiedniu, dostawał on się ciekawym sposobem do Warszawy — bo za pośrednictwem kobiet przez kuryerów moskiewskich. W. r. 1831 wydano go mylnie za utwór Kołłątaja p. t. *Fragment biblii Targowickiéj księgi*

nych zagranicą przewódzców stronnictwa postępowego, ale czytane i szerzone w kraju podtrzymywały przygniecionego ducha i były jakby zapowiedzią gotującego się ruchu, w którym rozpaczony naród bronić usiłował do ostatka niepodległości swojéj — powstania Kościuszkowskiego.

*

* *

Obok wspomnianych dotychczas dzieł, broszur i pism, które roztrząsając pojedyncze kwestye reformy, stawiając żądania i wnioski, podając szczegółowe projekta bezpośrednio niejako brały udział w dyskusyi politycznej nad reformą rządu, — wydał sejm czteroletni niezliczoną ilość ulotnych pisemek, książeczek, wierszyków i świstków politycznej wprawdzie treści i związanych nieraz ściśle z ówczesnymi wypadkami, ale stojących już nieco na uboczu głównego ruchu i działania. Kiedy zadaniem tamtych była poważna, samoistna, więcej szczegółowa praca nad kwestyami rządu, to drobna ta literatura zajmowała się ogólnem działaniem w kierunku postępowym, popularyzowaniem myśli reformatorskich między szerszemi masami. Były to niby placówki posuwającej się naprzód literatury reformatorskiej (z tego bowiem obozu wychodziły one prawie wyłącznie), które ułatwiały jej postęp, usuwały prze-

---

Szczęsnowe — przez X. H. K. Warszawa 1831 (12-mo str. 24) i odtąd pomyłka ta błąkała się w wielu dziełach historyi literatury. — Dorzucić jeszcze należy słów kilko o broszurze: „*O rokoszu pod Targowicą rzecz krótka.*“ Broszura ta wyświecająca zawiązanie się Targowicy, weszła późniéj prawie dosłownie w znane dzieło: „*O ust. i upadku konst. 3 maja*“ z tą różnicą tylko, że została rozwiązaną, uzupełnioną i otrzymała znaną i tak wybitną cechę stylu Kołłątajowskiego (porównaj tekst jéj ze str. 3—4, 9, 12, 30 32, 33—5 tomu II dzieła *O ust. i upadku konst.*). Zastanowiwszy się bliżéj nad tem wszystkiem, zdaje się, że z polecenia Kołłątaja została zrazu przez Dmóchowskiego napisana, później zaś, gdy Kołłątaj powziął myśl wydania dzieła: *O ust. i upadku konstytucyi*, przez tegoż przerobioną i wcieloną do wspomnianego dzieła. — Może na tem ograniczył się cały współudział Dmochowskiego przy napisaniu owego dzieła! —

szkody i jednały przychylne u ogółu przyjęcie. Przystępne dla każdego, dotykając najżywotniejszych spraw kraju, ale zawsze ze strony lekkiéj, zajmującéj, pełne humoru i dowcipu, a zwykle już tytułami ponętnymi w oczy bijące, rozlatywały się one z miast, a mianowicie z Warszawy po całym kraju, i wywierały nieznaczny na pozór, ale w rzeczy samej potężny wpływ na opinię publiczną. Każde mniéj lub więcej znaczne zdarzenie polityczne, każdy wypadek dotykający spraw narodowych, wywoływał roje takich efemeryd, w formie listów, wierszyków, dyalogów, powiastek i t. d.

W powodzi pism tych znajdują się obok utworów napisanych z talentem, mających rzeczywistą choć zapewne przechodową wartość, także najlichsze i najnędzniejsze ramoty. Inaczéj być jednak nie mogło: prąd reformatorski rozbudził takie u ogółu zajęcie, i poruszył do tego stopnia umysły warstw wszystkich, że każdy powołany i niepowołany rwał się do pióra, aby się wmieszać w dyskusyę piśmienną i wypowiadać zapatrywanie swoje o bieżących kwestyach; pisanie stało się modą, któréj hołdowali wszyscy, tak liberalnemi zasadami przejęty mieszkaniec Warszawy, jak konserwatywny szlachcic na prowincyi, przedewszystkiem zaś młodzież, która całą siłą gorącego uczucia brała udział w powszechnym ruchu politycznym [1]).

---

[1]) O olbrzymich rozmiarach ówczesnego życia publicznego i ogólnem zajęciu, jakie wzbudzały w całej publiczności sprawy bieżącej polityki — my dziś nie mamy nawet dostatecznego wyobrażenia.—Nietylko przewódzcy stronnictw, posłowie i publicyści, ale ludzie prywatni, stojący na uboczu życia politycznego, obywatele wiejscy, bankierowie, kupcy, mieszczanie — wszyscy bez wyjątku interesowali się żywo wypadkami, wszyscy brali w nich bezpośredni udział, przesadzając się nawzajem w szerzeniu myśli postępowych i w poruszeniu mas całych.— Król, aby oświecać szlachtę biedniejszą po prowincyach i prostować jej wyobrażenia polityczne, rozkazał na koszt własny rozsyłać do wielu osób gazety i pisma peryodyczne. (*Pamiętniki Kosmowskiego*... str. 5). — Szlachta majętniejsza utrzymywała umyślnych korespondentów w Warszawie, którzy ją regularnie w listach uwiadamiali o najświeższych wypadkach, z czego znów odpisy lub wyciągi kursowały po bliższych i dalszych sąsiadach. (Zbiór takich listów pisanych przez niejakiego Żdżeńskiego, a zawierających ciekawe szczegóły o ówczesnych spra-

Niepodobieństwem i bez celu byłoby zajmować się spisywaniem tytułów pism tego rodzaju, należących zresztą więcej do bibliografii niż do literatury; podajemy tu wszakże niektóre z nich, które bądź dowcipem i śmiałemi dążnościami, bądź też ciekawymi szczegółami malującymi fizyonomią czasu, odznaczają się od innych i na większą przeto zasługują uwagę: *Głos za suknią polską 1788* (12-o str. 27).—*Rozmowy zmarłego Piekarskiego posła rawskiego z tamtego świata na ten przysyłane* (Warszawa 8-vo str. 12). — *Odezwa matki obywatelki do syna posła* (8-vo str. 4). — *Tak będzie jak było* (8-vo str. 15). — *List z pożegnaniem do Jaśnie Wielm. hr. de Stackelberg ambasadora, dnia 24 maja z Podola* (8-vo str. 29). — *Przyjaciel dekretowanego Adama niegdyś J. O. Xcia Ponińskiego, podskarbiego wielk. kor.* (8-vo egz. brosz. niek.)—„*Uwagi wolnego obywatela w okolicznościach sprawy J. O. Xcia Ponińskiego podsk. wielk. koron. w sądach sejmowych sądzić się mających*“ (8-vo str. 61). — „*Podróż Józefa II do piekła i powitanie się z Rychardem Altonem z franc. przetłumaczone z drukarni Plutona 1790*“ (8-vo str. 31) — „*Żydoswaros, manuskrypt znaleziony na drodze prawdy*“ (8-vo str. 78) — „*Moje myśli przy kominku, Warszawa*“ (8-vo str. 40) — „*Sylena*

---

wach bieżących, znajduje się w bibliotece Ossolińskich w rękopiśmie p. N. 857). Nie brakło na takich, którzy nie wahali się łożyć znaczne wydatki na propagandę polityczną. Tak Jan Potocki, znany badacz dziejów Słowiańszczyzny, wówczas jeszcze rozpoczynający karyerę krajczyc, urządził w pałacu swoim w Warszawie obszerną z trzech pokojów złożoną czytelnię, w któréj znajdowały się wszystkie wydawane wówczas pisma, broszury i gazety, a dokąd wstęp dla wszystkich bezpłatnie był otwarty. *(Polska w r. 1793 według podróży Fr. Schulca w Kraszewskiego Bibliotece pamiętników i podróży, t. I. Drezno 1870*, str. 295).—Mówiąc o Janie Potockim, nie od rzeczy będzie dodać nawiasowo wiadomość, że pisał także w ciągu sejmu 4-let. broszury polityczne. Wskazać tytułów ich nie umiemy, ale w listach Stan. Augusta znajdujemy o nich wyraźną wzmiankę. *(Rocznik Tow. hist. lit. w Paryżu r. 1868* str. 276 i 278). Również i Bułhaków w Dzienniku swoim *(Kalinka. Ostatnie lata panow. St. Augusta, t. II.* str. 355) wspomina o jakiejś broszurze J. Potockiego, pisanej w obronie konstytucyi 3 maja.

dydaski o przywarach rządu krajowego i t. d., Warszawa 1790“ (8-vo str. 51) wierszem — „*Adwokat polski za cnotą, Warszawa 1791*“ (8-vo str. 150) — „*Cudzoziemiec ciekawy*“ (8-vo 38 kart niel. wraz z tyt.), wierszem — „*Postylion z trąbką warszawską 1791*“ (8-vo str. 68) — „*Dzwon staropolskiej fabryki, ulany w Warszawie r. 1791*“ (8-vo str. 43) [1]) — „*Rozmowa pani de-Sur-anrazc z dworzaninem o ustawie rządowej w Polsce dnia 3 maja zapadłej* (8-vo kart. niel. z tyt. 13) [2]) — „*Co słychać w Warszawie, donieś mi przyjacielu! Warszawa r. 1791*“ (8-vo str. 54) — „*Myśli patrzącego przez okno na ulicę, Warszawa r. 1791*“ (8-vo str. niel. 30) — „*Walka dwóch gorliwych Polaków mocno certujących odprawiona, a przez tam przytomnego opisana r. 1791 dnia 10 Juni*“ (8-vo str. 88) — „*Narodzie, także to i z nami będzie — powieść perska. Warszawa 1792*“ (8-vo str. 24) — i mnóstwo innych.

Tutaj policzyć także należy wierszyki i bajki polityczne: Niemcewicza *(Krety, Gmach podupadły)*, Trembeckiego *(Sarkasmus, Ma pan rozum, Do rządu sejmowego, Snycerz)* i Ignacego Krasickiego *(Organy)* [3]).

---

[1]) Broszurka ta doczekała się w tym samym jeszcze roku drugiego wydania p. t. „*Dzwon staropolskiej fabryki z wieloma nowemi dodatkami i addymentem o szulerach i lichwiarzach. Warszawa 1791*“ (8-vo str. 46).

[2]) Jestto pisemko w formie dramatu — osoby biorące w nim udział są: Pani Aworotarepmi (majętność jéj Suranrazc) — 1. Dworzanin Wokahłub, 2. Nikmetop Totumfacki, 3. Dawniejszy Greblekats. — Wszystkie imiona te należy czytać odwrotnie, więc Imperatorowa — Czarna Ruś — Bułhaków — Potemkin — Stackelberg.

[3]) Dotychczas uważano powszechnie Organy Krasickiego za utwór niedrukowany, zalegający w manuskrypcie, co też niedawno powtórzył Ł. Siemieński w Życiorysie Trembeckiego (Bibl. Ossolińskich 1866 t. VIII str. 65). Okazuje się to jednak mylnem. Broszurka ta, pisana wierszem i prozą, a zawierająca ostrą satyrę ówczesnych stosunków politycznych wyszła podczas sejmu 4 l. p. t. *Organy czyli odpowiedź na list przyjaciela z Warszawy* (8-vo str. 16) i wywołała nawet ze strony przeciwnej odpowiedź *(Wieśniak warszawskiemu organmistrzowi na Organy — z Myślewic* (8-vo str. 38). Egzemplarz drukowany Organów, teraz już zapewne rzadkość

Głównym przedstawicielem tego działu literatury politycznéj jest Franciszek Jaxyc Makulski. O osobie jego nie mamy żadnych bliższych wiadomości, prócz téj, że był nauczycielem szkoły kadetów założonéj w Niemirowie przez podkomorzego kor. Potockiego [1]). Sądząc jednak z pism jego, należał on do najczynniejszych publicystów sejmu czteroletniego i to przedewszystkiem w wspomnianym właśnie kierunku. Wydał ogromną liczbę pisemek, piosnek, bajek, opowiadań wierszem i prozą, w których w lekkiéj formie poruszał bieżące kwestye polityczne i społeczne, wykazywał potrzebę odrodzenia się, usuwał przesądy, zagrzewał do miłości ojczyzny i poświęcenia, słowem działał w kierunku postępu i reformy. Należą tu: *Polak odrodzony. Warszawa 1790*“ (8-vo str. 31) — „*List wieśniaka do dworaka przez F. M. r. 1790*“ (8-vo str. 20) za opodatkowaniem duchowieństwa. — *Sejmiki przez F. M. 1790* (4-o str. 24) wiersz przeciw nieporządkom w sejmikach. — *Czarny i biały z francuskiego 1790* (8-vo str. 44).— *Czamarka i Sarafan w czasie sejmu patryotycznego w Polsce uprowadzone.* Warszawa 1791 (8-vo str. 60) [2]). — *Balik Marwaniego r. 1791 F. M.* (8-vo str. 47) i wiele innych drobniejszych [3]).

---

bibliograficzna, znajduje się w bibliotece uniwersytetu lwowskiego w zakupionym niedawno zbiorze pism i broszur politycznych z 18 wieku.

[1]) Łukasiewicz. Historya szkół..., t. II. str. 95.

[2]) Pisemko to uderzające śmiało na nieład i nadużycia w administracyi, wojsku, sądownictwie, w ogóle każdéj prawie gałęzi służby publicznéj, — wywołało kilka odpowiedzi, mianowicie wymieniony już: *List Stan. Potockiego gen. maj. art. koronnéj do autora pisma p. t. Czamarka i Sarafan* (8-vo kart. niel. 15) i: *Na pismo p. t. Czamarka i Sarafan odpowiedne pismo przeciwko żądanemu skasowaniu cechów i konfraternii* i t. d. Warszawa (4-o str. 28).

[3]) Należą tu: *Nieprzyjaciel mężczyzn i kobiet. — Rocznica sejmu pod konfederacyą. — List do Adama ojca całego świata*, wierszem i proszą, o równości między ludźmi.— *List drugi do tegoż* wierszem i prozą, o obieraniu przyjacioł, miłości niewolnej, miłości wolnej. — *List trzeci o obieraniu stanu duchownego i sądach. — Radość Polski po smutku czyli po wielkim piątku Wielkanoc*, wierszem. — *Bajka i niebajka, czyli szczęśliwość ojczyzny przywidziana*, wier-

Prócz tego wydał Makulski kilka znaczniejszych broszur w pojedynczych kwestyach politycznych, o których już poprzednio była wzmianka, jaka to „Portret Moskwy“ i „Bunty ukraińskie.“

Dla uzupełnienia obrazu literatury politycznej z czasu sejmu czteroletniego, dodać jeszcze wypada słów kilka o dziennikarstwie.

Rzecz dziwna, że w czasach tak silnie rozbudzonego życia politycznego, wśród starcia się tylu, tak różnych a tak potężnych interesów, namiętności i dążeń, dziennikarstwo na tak nizkim stało stopniu. Kiedy równocześnie we Francyi, pod wpływem wypadków rewolucyi gazety podnoszą się od razu do niesłychanéj wysokości i stają się jedną z najsilniejszych dźwigni życia politycznego, u nas pozostaje dziennikarstwo przez cały czas sejmu czteroletniego zawsze jeszcze w stanie niemowlęctwa, bez znaczenia i wpływu na bieg wypadków i sprawy publiczne. Liczba wychodzących dzienników jest nietylko nadzwyczaj małą, ale co więcéj, i tych nawet dziennikami politycznymi w właściwem słowa znaczeniu nazwać nie można. Są to raczej suche spisy wiadomości krajowych i zagranicznych, kronikarskim podane sposobem, bez rozumowań, bez sądu i zdania. Brak w nich prawie zupełnie tendencyi, brak barwy politycznéj, i téj głębszéj myśli kierującéj, która stanowi niejako duszę dziennika i daje mu tak potężny wpływ na umysły ludzkie. Stoją one jakby na uboczu wypadków bieżących, tak, że toczące się koło najżywotniejszych i najważniejszych spraw krajowych prawie ich nie dosięga. Ktoby z gazet tych chciał sobie utworzyć wizerunek ówczesnego życia politycznego, ten doprawdy nie miałby o niem wyobrażenia!

Przyczyn zjawiska tego — tem dziwniejszego, że pierwsze zawiązki dziennikarstwa wcale się wcześnie u nas pojawiły [1]) — szukać przedewszystkiem należy w niezmiernym, nie-

---

szem i prozą. — *Marsze i pobudki Polaków.* — Ostatnie z utworów tych przypadają już na czas powstania kościuszkowskiego.

[1]) Pierwsze próby przypadają na wiek XV i XVI, od r. 1693

słychanym rozroście literatury politycznéj, a mianowicie téj literatury najdrobniejszéj, pojawiającéj się w formie ulotnych pisemek i świstków, które szerząc się od dworu do dworu, podawane z rąk do rąk, kraj cały jakby powodzią zalewały. Literatura ta broszurowa pochłaniała dziennikarstwo: w niéj skupiał się tak silnie cały ruch piśmiennictwa politycznego: ścierały się zdania, wyjaśniały sprawy bieżące, odbywała walka stronnictw i propaganda polityczna — słowem, ona wszystkie ważniejsze objawy, całą niejako treść życia publicznego wciągała do tego stopnia w zakres swego działania, że dziennikarstwo nie miało prawie warunków istnienia. Przyznać wszakże trzeba, że konkurencya z literaturą broszurową, jakkolwiek głównie wpływała na niski stopień rozwoju dziennikarstwa naszego, nie była jednak jedyną tego stanu rzeczy przyczyną. Leżała ona w znacznéj części także w braku oświecenia szerszych mas narodu i panujących w skutek tego przesądach przeciwko dziennikarstwu. Nigdzie może przy takim braku samoistności w przekonaniach i wytrawności w sądzeniu spraw publicznych nie panowało tak wielkie uprzedzenie przeciw wszelkiéj z góry postawionéj tendencyi, w ogóle przeciw prozelityzmowi politycznemu. Czytać rozumowane, „*naciągane*“ jak je nazywano artykuły, uważano powszechnie prawie za rzecz własnemu rozumowi ubliżającą a niebezpieczną. Żądano od dziennikarza tylko suchych wiadomości, prostego spisu wydarzonych faktów; prawo zaś tłumaczenia, wyciągania z nich wniosków, objaśniania należało wyłącznie do czytelnika. Objawiona choćby najsłabiéj chęć wpływania na opinię publiczną uważaną była za nadużycie i dawała powód do narzekań i pogardliwych wzmianek „*o gazeciarzach, tych cenzorach, co sobie prawo sądzenia przywłaszczają*“. Do jakiego stopnia przesąd ten już nietylko pomiędzy najmniéj oświeconymi, ale w szerszem nawet kole publiczności dochodził, i jak wielką była tamą dla dziennikarstwa, świadczy najlepiéj przedmowa jednego z redaktorów ówczesnych, który rozpoczynając wydawnictwo nowéj gazety [1]), wchodzi niejako w układ z pu-

---

zaczęły już wychodzić stałe gazety (Encykl. powsz. Org. p. Czasopismo i biblioteka warszawska 1869 listop. str. 295.)

[1]) Korespondent warszawski p. prospekt.

blicznością i przyrzeka dla zachęty, że „*nowiny najmniejszego nie będą zawierały rozumowania, żadnych zdań naciąganych, ani nawet z saméj rzeczy wypadających, tylko się oznajmi, gdzie się co stało, a czytelnik niech sam sądzi, gani, chwali, lub jak chce niech sobie wnosi.*“ — za to jednak prosi jako łaskę, aby mu pozwolono było od czasu do czasu zamieszczać sentencye i zdania moralno-filozoficzne „*choć nie swoje byle przecudne,*“ które zresztą w najgorszym razie będzie można przejrzeć. Prostym skutkiem takich uprzedzeń w publiczność, był ten dziwny a w historyi dziennikarstwa może jedyny fakt że więcéj i obszerniéj zajmowały się gazety nasze ówczesne sprawami zagranicznemi, niż własnemi, że śmielsze rozumowanie w sprawach politycznych, jeśli wyjątkowo kiedy się pojawiało, dotyczyło zawsze prawie spraw cudzych, obcych, nie tykając najżywotniejszych i najbliższych kwestyi ojczystych — dla tego jedynie, aby nie narazić się opinii pojedynczych osób i pozostawić czytelnikom sąd ich własny! Łatwo pojąć, że w takich stosunkach nie mogło rozwinąć się dziennikarstwo i zająć odpowiedniego wobec wypadków ówczesnych stanowiska.

Do gazet wychodzących w czasie sejmu czteroletniego, policzyć należy przedewszystkiem „*Gazetę Warszawską*“, założoną jeszcze w r. 1769 przez Bohomolca i kilku innych literatów pod nazwą „*Wiadomości warszawskich*“, a przezwaną w r. 1774 przez następnego redaktora ks. Łuskinę. Wychodziła ona dwa razy na tydzień, we środę i sobotę w 4ce. Gazeta Warszawska jest najlepszym dowodem niskiego stanu dziennikarstwa ówczesnego. Ksiądz Łuskina, człowiek nie bez pewnych dobrych chęci, ale niemający najmniejszego wyobrażenia o powołaniu dziennikarstwa, podawał w niéj wiadomości o ceremoniach i uroczystościach dworskich, o nominacyach, przyjeździe znaczniejszych osobistości do stolicy, często o narodzinach, zamieszczał anegdotki, nie troszcząc się zresztą wiele sprawami publicznemi kraju; nie o wiele lepiéj traktowaną była rubryka wiadomości zagranicznych. Wprawdzie gorący ruch polityczny w czasie sejmu czteroletniego oddziałał na gazetę o tyle, że pojawiły się w jéj kolumnach sprawozdania z odbywających się sesyi sejmowych, ale byłyto tak króciuchne i suche wzmianki, że niedawały nawet najogólniejszego wyobrażenia o toku spraw publicznych. Tendencyi politycznéj

i sądu napróżnoby kto w całéj gazecie szukał. Jeśli gdzie wyjątkowo ks. Łuskina wystąpił z zapatrywaniami swojemi i wyszła mu z ust jakakolwiek uwaga, to widać było w nim jak najmniéj zdolności na dziennikarza. Żarliwy obrońca zakonu Jezuitów patrzył z niechęcią na nastający nowy prąd czasu i usiłowania reformatorskie, a nie mogąc występować reakcyjnie w sprawach krajowych rzucał bezwzględne potępienia i gromy na odbywającą się wówczas rewolucyę francuską.

Smutno powiedzieć, że gazeta ta, wsparta z razu przywilejem królewskim, a w czasie sejmu czteroletniego już pewną ustaloną reputacyą utrzymywała się przez cały ciąg sejmu czteroletniego aż do r. 1793. Zwycięstwo Targowicy powitała z radością jako nową erę odrodzenia się [1]).

Nie wiele od Gazety Warszawskiéj różnił się „*Korespondent warszawski*“, który wychodził od 3 maja 1792 r. do 29 grudnia 1793 trzy razy na tydzień we wtorek, czwartek i sobotę w 8ce. Ograniczał on się także na ogłaszaniu krótkich i suchych wiadomości z sejmu i z zagranicy. Było to już rzeczą rzadką, że czasem podał treść znaczniejszego jakiego pisma politycznego, które zyskało w publiczności rozgłos.

Najwięcéj wartości i znaczenia miała „*Gazeta narodowa i obca*“, założona z początkiem 1791 r. przez Tadeusza Mostowskiego kasztelana raciążkiego, Józefa Weissenhofa i Juliana Niemcewicza posłów inflanckich. Byłto można powiedzieć krok pierwszy nieco samodzielniejszy na polu dziennikarstwa politycznego. Gazeta narodowa i obca nie wyszła wprawdzie jeszcze po za ciasny widnokręg pojęć ówczesnych o dziennikarstwie i nie odpowiedziała zadaniu dziennika politycznego tak jak je dzisiaj pojmujemy, ale znać w niéj przecie widoczny postęp ku lepszemu. Redaktorowie, ludzie zdolni, postępowi, biorący bezpośredni udział w sprawach publicznych, zamieszczali w niéj obszerne sprawozdania z posiedzeń sejmowych, podawali dosłownie cytowane mowy znakomitszych osobistości, mianowicie przewódzców stronnictwa patryotyczne-

---

[1]) Bliższe szczegóły w Gazecie Warsz. mieści w sobie ciekawa monografia J. Bartoszewicza („Gazeta ks. Łuskiny“), p. Znakomici mężowie polscy 18 w. Petersburg 1853 tom I. str. 261.

go, przeplatając je nawet niekiedy własnemi uwagami, nie rzadko pojawiał się list jaki z kraju, dotyczący spraw bieżących i odpowiedź na to redakcyi. W zakresie zaś spraw zagranicznych, a zwłaszcza wypadków rewolucyi francuskiéj spotkać się tu można już nietylko z dokładnemi wiadomościami, ale nawet wyraźnym sądem politycznym, równie umiarkowanym jak liberalnym. Słowem, w całem ułożeniu gazety, w sposobie przedstawienia wypadków, przezierać zaczyna w gazecie téj tendencya. Szlachta reakcyjna nie chętna jéj dążeniom postępowym nazywała ją dla wielkiego formatu „serwetą.“ Wychodziła ona przeszło półtora roku od 1 stycznia 1791 r. do 4 sierpnia 1792. Gdy konfederacya targowicka objęła ster rządu, zawiesił jéj wydawnictwo Szczęsny Potocki uniwersałem z d. 8 sierpnia 1792.

W zakres polityki wkraczał także „*Pamiętnik polityczny i historyczny*“ redagowany już od r. 1782 przez księdza Piotra Switkowskiego, exjezuitę, człowieka zdolnego i wielkich na polu wydawnictwa czasopism zasług. Pismo to właściwie naukowe, zamieszczając rozbiory a nawet przedruki pojawiających się dzieł i broszur politycznych, rozumowane artykuły z zakresu polityki, administracyi i skarbowości przyczyniało się więcéj może, niż gazety ówczesne do szerzenia pojęć postępowych.

Prócz gazet wydawanych w języku polskim, wychodziły także francuskie i niemieckie dzienniki, zawierające jednak przeważnie tłumaczenia lub wyciągi z polskich, jakoto: *Journal hebdomadaire de la diète. Varsovie* (1788—91 (4to) — *Gazette de Varsovie* 1791—2 (f.) — *Vaterländische Zeitung für Polen's Bürger* 1791 — *Mannigfaltigkeiten o. Warschauer Wochenschrift* 1891 (8-vo) [1]).

---

[1]) Encyklop. powsz. Orgelbr. pod wyrazem Czasopismo i Bibliografia Estreichera zesz. III. str. 240. Dzienników tych po większéj części nie znamy.

Roman Pilat.

WYKŁAD

Dra MACHALSKIEGO

O stowarzyszeniu międzynarodowém robotników

(l' Internationale).

w dniu 13 grudnia 1871, na korzyść Bratniéj pomocy Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Szanowni Panowie!

Dnia 6 grudnia p. Roszkowski z tego miejsca przedstawił teorye dążące do przekształcenia dotychczasowego pojęcia „Własności“ jakie się sformowało pod wpływem prawodawstw wszystkich narodów od najdawniejszych wieków; wyjaśnił dążenia *socyalizmu i komunizmu*, ich różnice, oraz wymienił najgłówniejszych reprezentantów naukowych tych doktryn.

W dalszem rozwinięciu jego myśli, oraz pragnąc przedstawić Szan. Panom *praktyczną stronę i skutki* tych teoryj, zamierzam na chwilę zwrócić uwagę Waszą na nowe zjawisko w życiu społecznem europejskiem; na stowarzyszenie, które liczbą członków, siłą organizacyi, nadewszystko zaś niezmiernem rozgałęzieniem w wszystkich niemal krajach europejskich stało się potęgą, zasadami, które wyznaje, stało się niebezpieczeństwem, a środkami, których używa, jest nieustanną groźbą nietylko dla spokoju i rozwoju społeczności, lecz nawet dla samego bytu, tak rządów, jak niemniéj wszystkich tych instytucyj, na których społeczności europejskie dotąd spoczywają; mówię tu o „*stowarzyszeniu międzynarodowem wyrobników*“ znanem pod nazwą francuską: „*L' association internationale des*

ouvriers," i pod angielską: „*International Working men's association.*"

Kiedy w maju t. r. wrzała bratobójcza walka zewnątrz i wewnątrz murów Paryża, połączona z przejmującem grozą zniszczeniem starożytnych gmachów, zabytków sztuki, pomników narodowéj i wojennéj sławy Francuzów; kiedy kobiety, niby furye piekielne, przyspieszając zniszczenie, lały oléj skalny w płomienie; gdy spłonęły Tuilerye, ratusz miejski, gmach legii honorowéj, ministerstwo skarbu i mnóstwo gmachów prywatnych; gdy zatoczono beczki z olejem skalnym do biblioteki narodowéj i do pałacu luxemburskiego; gdy obalono kolumnę Napoleona I. i posąg jego zdruzgotano w kawały; gdy zrabowano kościoły i obrócono je na zebrania klubów i orgij bezwstydnych; gdy rozstrzelano kilkudziesięciu księży z arcybiskupem paryzkim — wówczas mimowolnie zadawano sobie pytania, cóż to za nowa dzicz, co za nowy rodzaj barbarzyńców najechał stolicę Francyi? czy to prosta szatańska rozkosz w niszczeniu, upodobanie w pożarach i przelewie krwi ludzkiéj kieruje ich czynami, czyli też jest w téj wściekłości jakaś myśl przewodnia, jakaś dążność, jakieś wyrachowanie?

Niestety! okazało się następnie, że w tém szaleństwie był rozmysł, był system, była myśl i dążność jasno wyrozumowana.

Zgromadzenie narodowe francuskie pragnąc dojść do wiadomości o przyczynach i głównych pobudkach téj bezprzykładnéj w dziejach ludzkości rewolucyi, na posiedzeniu swojem w dniu 16 czerwca 1871, wyznaczyło komisyę do zbadania tych wypadków i zdania sobie sprawy.

Wywięzując się z tego zadania komisya w raporcie swoim, wyliczając różne przyczyny powstania, uorganizowania rządów komuny i walki jéj z wojskiem, a mianowicie składając w części winę na cudzoziemców, w części na brak zarobku po poddaniu się Paryża Prusakom, oświadczyła, iż *najgłówniejszą sprężyną tych wypadków było stowarzyszenie międzynarodowe robotników* (l'Internationale).

Cóż to więc jest za stowarzyszenie, które w tak straszliwy sposób objawiło swoje istnienie? Jaki jego początek, jaka dążność, jakie cele, jakie zasady i jakie środki do ich wykonania?

W najogólniejszem znaczeniu stowarzyszenie międzynarodowe robotników jestto *nowo uorganizowana forma walki*— walki równie dawnéj jak społeczności ludzkie, ubogich z bogatymi, albo raczéj nieposiadających z posiadającymi, lub mówiąc abstrakcyjnie, językiem ekonomii narodowéj, *jestto nowa forma walki „pracy z kapitałem,“* rozumiejąc pod kapitałem zasób rzeczy mających wartość i służących do produkcyi.

W tem znaczeniu więc nietylko zasoby pieniężne, lecz równie ziemia pod uprawę oddana, lasy, trzody, narzędzia, maszyny, domy, fabryki, kopalnie i t. p. rzeczy są *kapitałem*. Ktokolwiek posiada zasób takich rzeczy jest kapitalistą w ekonomicznem znaczeniu tego wyrazu. Kto nie posiada wcale takich rzeczy, lecz pracą rąk z dnia na dzień na życie zarabia, ten jest *wyrobnikiem*, również nazwany *proletaryuszem*. Pojęcie zbiorowe tego stanu oznacza się często wyrazem *proletaryat*, mówiąc n. p. o proletaryacie *miejskim* to i o wyrobnikach rzemieślniczych i fabrycznych, i o proletaryacie *wiejskim*, jakim są wyrobnicy używani przy gospodarstwach wiejskich n. p. komornicy, chałupnicy, parobcy. Nawet tacy do liczby poletaryuszów czyli wyrobników policzeni być muszą, którzy wprawdzie posiadają jakiś zasób kapitału, lecz niewystarczający do wyżywienia tego, który go posiada, wraz z rodziną. N. p. włościanin posiadający jednę morgę lub mniéj pola należy również do klasy wyrobniczéj; bowiem z tego kapitału, to jest z tego kawałka ziemi, który posiada, wyżywić się nie może i głównie pracą rąk na życie zarabiać musi.

Z tego przedstawienia wynika, że w zachodnich i środkowych krajach europejskich, z powodu rozwiniętego tamże przemysłu, proletaryat miejski przeważa liczbą nad proletaryatem wiejskim; u nas przeciwnie, proletaryat wiejski jest liczniejszym od miejskiego.

Otóż stowarzyszenie międzynarodowe wyrobników ma na celu skupienie, połączenie i zorganizowanie w silny zastęp proletaryatu wszelkiego rodzaju w wszystkich krajów europejskich, dla prowadzenia nieustannéj, różnorodnéj i systematycznéj walki z posiadającymi, dla zwyciężenia i wywłaszczenia ich z tego co posiadają; do podkopania i obalenia podstaw na których państwa i w ogóle społeczności ludzkie polegają, mianowicie zasad: własności indywidualnéj, prawa dziedzi-

czenia, religii i rodziny; dla przekształcenia społeczności wedle swych nowych zasad, o których później mówić będę.

Oto jest, jak powiedziałem, ta nowa forma *walki pracy z kapitałem*. Mówię *nowa forma*, bowiem ta walka jest odwieczną i zdaje się, że nie skończy się nigdy.

Przez całą historyę ludzkości ciągnie się, jak nić czerwona, wojna ubóstwa z bogactwem, nieposiadających z posiadającymi, pracy z kapitałem. Przybiera ona najrozmaitsze formy, i występuje to z większą to z mniejszą zawziętością, wedle teoryj w imieniu których się toczy, wedle stopnia oświaty panującéj właśnie w epoce téj walki, w końcu wedle mniejszego lub większego wpływu jaki wywierają wiara i pojęcia religijne na społeczności europejskie.

Wszelako w żadnéj epoce ta walka nie przybrała tak obszernych rozmiarów, nie była tak zaciętą i ujętą w tak ścisły systemat, dochodzący do tak dalekich, można rzec śmiało, do ostatecznych konsekwencyj zasady bezwzględnéj *równości, majątkowéj, społecznéj i politycznéj*, jak właśnie w obecnym czasie. Praktycznym wyrazem tych zasad i dążności, organizmem pragnącym wcielić te zasady w życie i przebudować na nich cały gmach społeczności europejskich jest właśnie stowarzyszenie międzynarodowe wyrobników.

Ponieważ w dziejach ludzkości nic nie dzieje się przypadkiem; ponieważ wydarzenia nie stoją każde z osobna, luźno; łączą się z sobą nieprzerwanym łańcuchem przyczyny i skutku; ponieważ teraźniejszość, będąc sama dzieckiem przeszłości, nosi w swojem łonie przyszłość; dzień dzisiejszy jest skutkiem dnia wczorajszego i tak daléj bez przerwy; dla tego równie ten nowy objaw w dziejach ludzkości, o którym mówię, nie jest i nie może być przypadkowym; ma on swoje uprawnienie historyczne, jest on skutkiem przeszłości, jest, że tak powiem, porodem poczętym jeszcze przed trzema wiekami.

Charakterem wybitnym wieków średnich był, jak wiadomo, duch *religijno-rycerski*, obecnie szyderczo nazwany *klerykalno-feudalnym*. Religijność w średnich wiekach przesiąkła wszystkie warstwy społeczności od najwyższych do najniższych. Wszelkie dążności, nauki, sztuki, wszelkie akcye polityczne i społeczne nosiły cechę religijną; nawet czynności codziennego życia odbywały się pod hasłem religii.

Obok tak silnego, dominującego ducha teologicznego, dla filozofii w średnich wiekach miejsca niebyło i być nie mogło. Dla tego też filozofia to jest nauka, mająca za cel badanie świata nadzmysłowego, początku wszech rzeczy, istoty i przymiotów Boga, istoty i władz ducha ludzkiego, stosunku świata do Boga, przeznaczenia człowieka i t. p. zadania, (o ile te prawdy rozumem czystym bez objawienia pojąć się dadzą) dla tego filozofia, mówię, obok teologii która wszystkie powyższe prawdy z objawienia wyprowadza, ostać się nie mogła. Zeszła też filozofia w wiekach średnich do czczéj dyalektyki, do próżnéj szermierki słów, do formalizmu bez treści, bez celu i bez pożytku dla tych którzy się tą igraszką wyrazów bawili, jak niemniéj bez owocu dla postępu nauki i dla ogółu ludzkości. Ten smutny okres filozofii średniowieczny nazywamy filozofią scholastyczną.

Wiadomo że przy końcu wieków średnich nastąpiła reakcya; na polu religijnem przez reformacye Hussa, Kalwina, Lutra i innych, zaś na polu naukowem przez pojawienie się *filozofii naturalistycznéj*.

Twórcą téj filozofii był kanclerz angielski pod panowaniem królowéj Elżbiety i króla Jakóba I, żyjący przykońcu XVI i na początku XVII wieku, Lord Bakon of Verulam.

Bakon utrzymuje, iż ostatni i prawdziwy cel nauk dotąd przez nikogo nie został odgadniony i jasno wytknięty. Dotychczasowa idealna filozofia, mówi on, nie wyjmując Sokrata, Platona, Arystotelesa i Seneki, a tém bardziej filozofia scholastyczna nie przyniosła ludziom najmniejszego pożytku, jest ona za szczytną dla natury ludzkiéj, pragnie ona przeistoczyć człowieka w Boga; wznieść go nad zwykłe codzienne potrzeby, przyjemności i cierpienia życia, wskazuje mu cel, którego człowiek osiągnąć nie zdoła. Zresztą czegóż nauczyła ta filozofia? Czyli po kilku tysiącach lat uczyniła ta filozofia najmniejszy postęp? Czyli dowiedzieliśmy się od niéj czegoś nowego o istocie i naturze Boga i ducha ludzkiego, o obowiązkach człowieka, o przeznaczeniu jego? Czyli ta nauka przyczyniła się w czemkolwiek bądź do uprzyjemnienia życia, do zmniejszenia cierpień ludzkich? Bynajmniéj! Podobnie, jak wół w kieracie, ta nauka wiecznie obraca się około zadań swoich, lecz żadnego z nich rozwiązać nie może. Jest ona,

jakby drzewo, wydające wprawdzie liście i wonne kwiaty, lecz nie rodzące owoców. Wedle Bakona, wszelka nauka powinna mieć za cel *pożytek i postęp*. „Pragnę“ mówi on, taką stworzyć filozofię, któraby przynosiła *owoce;* któraby pomnażała przyjemności ludzkie a zmniejszała i łagodziła ich cierpienia; któraby ród ludzki obdarzała ciągle i bez końca nowemi siłami, nowymi wynalazkami i odkryciami.

Starożytni filozofowie pogardzali podobnemi rzeczami, uważając zajmowanie się niemi za niegodne ludzi wolnych a tem bardziéj ludzi uczonych; pozostawiali oni takie zajęcia dla wyzwoleńców i niewolników, Przeciwnie Lord Bakon właśnie nowe odkrycia i wynalazki pożytek ludziom przynoszące, w ogóle badanie przyrody dla odkrywania jéj tajemnic i obracania ich na użytek i dla przyjemności ludzkiéj poczytywał za główny cel wszelkich nauk, i ten *charakter utilitarny* przebija w wszystkich jego badaniach naukowych, czyli to na polu filozofii, czyli to prawodawstwa, polityki, nauki moralności i t. d.

Aby uczynić tem wydatniejszą różnicę, jaka zachodzi między idealną filozofią Greków i Rzymian a nauką Bakona, przytoczę fakt następujący. Posydoniusz, znakomity pisarz z czasów Cycerona i Cezara, policzył między dobrodziejstwa jakie zawdzięczamy filozofii, wynalazek budowy sklepienia i użytek metali. Na to Seneka oburzony pisze, że filozofia wyprasza sobie podobne pochwały; nie ma ona wcale zadania uczyć ludzi, jak mają dachy budować. Prawdziwy filozof nie troszczy się wcale oto, czy ma nad głową dach sklepiony, czy inny, czy niema wcale żadnego. Filozofia równie nie ma zadania uczyć ludzi użycia metali. Uczy ona nas, jak się mamy stać niezawisłymi od wszelkich materyalnych substancyi i mechanicznych wynalazków. Mędrzec żyć powinien zgodnie z naturą. Żałuje on, że nie urodził się w owym wieku złotym, kiedy ród ludzki chronił się od zimna jedynie okryciem z skór dzikich zwierząt, a przed upałem słonecznym krył się w jaskiniach. Byłoby to największą obrazą dla takiego męża, gdyby mu przypisywano wynalazek albo poprawę pługa, okrętu lub młyna. Za moich czasów, mówi daléj Seneka, równie robiono różne wynalazki tego rodzaju, n. p. wynaleziono okna przeźroczyste; przeciągano rury metalowe po całym domu, dla rozprowadzania jednostajnego ciepła w wszystkich

mieszkaniach; byli i skoropisarze, posiadający taką wprawę, że mogli w pisaniu dotrzymać kroku mowcom, najszybciéj mówiącym. Lecz podobne wynalazki są drobnostkami, prawie dla najpodlejszych niewolników. Filozofia leży głębiéj. Jej zadaniem nie jest uczyć ludzi, jak mają używać rąk; przedmiotem jéj nauki jest kształcenie ducha. Inaczéj możnaby powiedzieć, że pierwszy szewc był również filozofem."

Na to Macaulay, znakomity historyk angielski i zwolennik filozofii Bakona taką czyni uwagę: „Co do mnie, gdybym był zmuszonym wybierać między pierwszym szewcem, a autorem dzieła w trzech księgach" „O gniewie" (to jest Seneką); niezawodniebym dał pierwszeństwo szewcowi. Wprawdzie gorszą jest rzeczą gniewać się, aniżeli nogi zamoczyć, lecz pewną jest, że obuwie ochroniło miliony ludzi od chorób a nawet od śmierci; kiedy wątpić należy, by traktat filozoficzny Seneki „de ira" kogokolwiek kiedy powstrzymał od gniewu."

Tak więc filozofia naturalistyczna Bakona wpadła w drugą ostateczność. Uprzyjemnienie życia, dostarczanie wygód, oddalenie przykrości i łagodzenie cierpień ludzkich oto jest hasło jego nauki! Środkiem do tego jest badanie natury, odgadywanie jéj tajemnic, wyzyskiwanie jéj praw i wydobywanie z niéj coraz nowych sił i zasobów. W łonie natury leżą skarby niepożyte, tam źródło nieprzebrane wszelkich bogactw, przyjemności i rozkoszy życia. Tylko w nauce przyrody jest *postęp* — postęp rzeczywisty bez końca, bez granic; bowiem sama przyroda jest wieczną, nieskończoną.

Konsekwencye téj nowéj filozofii musiały być takie, jaką była zasada. Na polu filozoficznem doprowadziła ona do systematu *materyalistycznego*, który znalazł swój wyraz przy końcu XVII wieku w Anglii w nauce Locke'go i Hobbesa, a przy końcu XVIII wieku we Francyi w doktrynie Condilacka, i encyklopedystów d'Alemberta, Diderota i innych — zaś obecnie szerzy się równie w Niemczech w dziełach Vogta, Moleszota, Büchnera; przesiąknął do klas najniższych i znalazł przyjęcie oraz praktyczne zastósowanie w Stowarzyszeniu międzynarodowem robotników. Obszerniejszy wywód zwrotu filozofii od Bakona do naszych czasów przechodzi granice wywodu popularnego i należy do historyi filozofii.

Nierównie ważniejszymi okazały się skutki filozofii Bakona na polu *ekonomicznem*. Duch ludzki, oderwał się od abstrakcyi i ideałów filozofii greckiéj, a idąc za wskazówką Bakona z całą energią rzucił się do nauk, mających za cel *badanie przyrody*. Powstał ruch i postęp nadzwyczajny i nigdy niesłychany we wszystkich gałęziach tych nauk. Wiadomo powszechnie, że nauki przyrodnicze dopiero od dwóch wieków wzmogły się i uczyniły tak olbrzymie postępy, jakich nie zrobiły przez tysiące lat poprzednich. Wiadomo, że fizyka, chemia, historya naturalna w wszystkich działach, geologia, geognozya, astronomia, daléj nauki badające organizm ludzki, anatomia, fizyologia i inne dopiero od siedemnastego wieku albo wzięły początek, albo dostąpiły rozwoju do owéj epoki nigdy w dziejach nie praktykowanego.

Ustępowały przesądy, prostowały się błędne pojęcia, odkrycia naukowe postępowały szybkim krokiem jedne za drugiemi, powstało współzawodnictwo obok łączności między przyrodnikami całego świata.

Za ludźmi nauki, za badaczami w zaciszy gabinetów i laboratoryów, którzy podsłuchiwali tajemnice natury, szli ludzie praktyczni, którzy odkycia naukowe wyzyskiwać i do potrzeb ludzkich zastósować umieli. Za odkryciami naukowemi postępowały w ślad odkrycia i wynalazki *przemysłowe* — aż w końcu stanęły *maszyny*; a w obecnym wieku odkrycie *siły pary* podniosło przemysł i fakrykacyę do nigdy dawniéj niewidzianéj wysokości.

Wspominając o maszynach doszedłem do przedmiotu, będącego w najbliższym związku z stowarzyszeniem, o którem mówię.

Zdawałoby się na razie, że wynalazek maszyn, zwłaszcza maszyn parowych, zastępując siłę ludzką, oszczędzi równie rąk pracujących, i że zmniejszy liczbę robotników.

Tym czasem wprost przeciwnie się stało. Użycie maszyn do fabrykacyi pozwoliło produkować taniéj i więcéj — a odbyt, zwiększony w skutku taniości towarów, oddziaływał znowu na powiększenie produkcyi. Przez to wzajemne oddziaływanie produkcya przybierała coraz większe i większe rozmiary, co raz większą ilość zatrudniała wyrobników; aż w końcu liczba ich urosła *do zastraszającéj* wysokości.

Praca wyrobników jest towarem, jak każdy inny, a cena jéj stósuje się, podobnie jak u innych towarów, wedle zasad ekonomii narodowéj, do żądania i ofiarowania. Podobnie jak n. p. zboże, jeżeli się jakiego roku zrodzi bardzo obficie, zatem ofiarowanem jest w wielkiéj ilości na sprzedaż, spada w cenie; zaś w latach nieurodzajnych, gdy go jest mało na sprzedaż, w cenie się podnosi; tak również cena robotnika podnosi się i spada wedle liczby robotników ofiarujących swą pracę, i wedle żądania téj pracy ze strony fabrykantów lub przedsiębiorców. Wolna *konkurencya* robotników stanowi miarę ich płacy dziennéj.

W czasach pokoju, przy odbycie łatwym, zapewnionym i korzystnym dla towaru, przy taniości materyi, surowych, n. p. bawełny, wełny, żelaza i t. p. fabrykacya się wzmaga, fabryki istniejące powiększają się, nowe powstają, robotnik jest poszukiwany — cena jego pracy idzie w górę.

Przeciwnie, gdy zachodzą przeszkody w produkcyi, czyli to z powodu wojny, czy zmniejszonego odbytu, czyli też niedostatku materyi surowych; produkcya się ogranicza, potrzeba robotnika staje się mniejszą; przedsiębiorcy albo zamykają fabryki, albo rozpuszczają część robotników — cena ich pracy spada; wielu robotników woli bowiem za niższą cenę pracować aniżeli zostać całkiem bez zarobku.

Tak więc cena dziennéj pracy wyrobnika, a tem samem los i życie jego i jego rodziny zawisło od najrozmaitszych okoliczności, wydarzeń politycznych, konjunktur handlowych, przemysłowych, finansowych, ekonomicznych, czasem od wypadków wydarzających się na drugiéj półkuli ziemskiéj. Właśnie przychodzi mi na pamięć rok 1862, w którym, z powodu wojny domowéj w Zjednoczonych Stanach północnéj Ameryki, a ztąd braku rąk do uprawy bawełny i zniszczenia znacznych jéj zapasów przez wojnę, okazał się brak wielki téj materyi surowéj. Wówczas fabryki wyrobów bawełnianych w Anglii stanęły nagle a około stu tysięcy wyrobników zostało bez chleba.

Podobne katastrofy powtarzają się dosyć często w krajach przemysłowych. Los wyrobników fabrycznych jest dlatego niepewnym, podlegającym najróżnorodniejszym fluktuacyom cen pracy, czasem są oni zupełnie bez pracy, bez zarobku, pozostawieni na łaskę towarzystw dobroczynnych i domów robo-

czych. Trafiają się wyjątki; wydarza się, że jeden lub drugi wyrobnik, czy to wrodzonym talentem, czy nadzwyczajną pilnością czy szczęśliwym jakimś wypadkiem zdoła się wznieść nad innych; że posuwając się do wyższych szczebli pracy, lepiéj wynagradzanéj zdoła coś odłożyć, zaoszczędzić z zarobku i przychodzi do posiadania kapitału; wszelako w powszechności los robotników fabrycznych jest opłakany, bliski nędzy, niedostatku, a przy ciągłéj pracy nie zostawiający robotnikowi czasu do kształcenia i wydoskonalenia się nawet w swoim zawodzie.

Ten smutny stan tak licznéj, i pracowitéj klasy ludności musiał obudzić w ludziach myślących pragnienie zbadania przyczyn tego położenia, oraz wyszukania środków do zaradzenia złemu.

Te badania i dążenia do poprawy losu wyrobników zrodziły teorye *socyalizmu*, a następnie *komunizmu*.

Dwie rzeczy mówią reprezentańci socyalizmu gubią wyrobnika; *przewaga kapitału i wolna konkurencya*.

Kapitał wyzyskuje pracę wyrobnika na swoją korzyść, przywłaszczając sobie zysk nietylko z dochodu od samego kapitału, t. j. procent, lecz nadto zysk z pracy wyrobników. Wolna konkurencya zniża cenę pracy do tak szczupłego rozmiaru, że nie wystarcza często na życie.

Kapitał t. j. właściciele fabryk, majątków ziemskich, przedsiębiorcy w ogóle nie powinni z ogólnego zysku, jaki przynosi przedsiębiorstwo, fabryka, gospodarstwo, pobierać nic więcéj, nad zwykły procent od kapitału zakładowego i obrotowego. Reszta czystego zysku powinna być rozdzieloną między wyrobników zatrudnionych przy przedsiębiorstwie stósownie do wartości pracy każdego. Właściciel wtenczas tylko mógłby żądać jakiegoś dalszego udziału w zysku, gdyby sam przy przedsiębiorstwie był czynnym; n. p. jako dyrektor fabryki, rządzca ekonomiczny, rachmistrz i t. p.

Jeżeli n. p. fabryka, lub gospodarstwo wiejskie wraz z maszynami, inwentarzem i kapitałem obrotowym oszacowanem jest na 100,000 złr. a przynosi czystego dochodu 15,000 złr.; wówczas właściciel otrzymuje z téj kwoty zwykły procent od swego kapitału t. j. 5—6000 złr., reszta zaś t. j.

9—10,000 złr. idzie na podział między wyrobników zatrudnionych przy fabryce lub przy gospodarstwie.

Tym sposobem kapitałowi odbierze się mówią reformatorowie socyalistyczni, moc szkodzenia; już on nie może się bogacić pracą wyrobników; musi on poprzestać na tem, co kapitał jako kapitał przynosi t. j. na zwykłym procencie. Reszta zysku, jako będąca wyłącznem dziełem wyrobników, im w udziale przypaść powinna.

Tym sposobem nastąpi spółka (societé) pracy z kapitałem, w któréj kapitałowi i pracy naznaczony jest taki udział, jakiego natura rzeczy, sprawiedliwość i dobro społeczności wymaga.

Oto jest w prostych zarysach główna myśl socyalizmu występującego w najłagodniejszéj formie.

Lecz to nie wystarczy jeszcze do zabezpieczenia losu wyrobników; nie uchroni ich od katastrof tak częstych w krajach przemysłowych, pociągających za sobą upadek fabryk, a za tym brak *pracy* dla wyrobników.

Dlatego socyalizm stawia drugą zasadę: „każdy człowiek *ma prawo do pracy* (droit au travail) a całość, państwo, rząd obowiązanym jest na żądanie dostarczyć pracy każdemu.“

„Rząd, powinien utrzymywać *warsztaty narodowe* (des atêliers nationaux), w których wyrobnicy w braku zatrudnienia gdzieindziéj, pracę i zarobek każdéj chwili znaleźćby mogli.“

Socyalizm więc nie neguje własności; lecz ogranicza jéj użycie; a jeżeli pragnie uchylić nadużycie kapitału i przewagę jego nad pracą uczynić niemożliwą; to z drugiéj strony upośledza on go tak dalece, że nabywanie kapitału pracą i oszczędnością traci swój powab, a tem samem i praca największéj pozbawiona jest ponęty.

Daléj nierównie idzie *komunizm*. Wedle téj doktryny nikt nie może i nie powinien nic posiadać na własność. Nie ma własności indywidualnéj! „*Własność jest kradzieżą!*“ powiedział Proudhon, główny apostoł komunizmu.

Własność wszystkich rzeczy, stanowiących kapitał w ekonomiczném znaczeniu, a zatem: własność ziemi, domów, maszyn, trzód i t. d. należy do ogółu, do państwa — jest zatem spólną własnością wszystkich członków państwa; lecz jest niepodzielną; z téj spólnéj własności nikt dla siebie szczegółowo

nic oddzielić i swojem nazwać nie może. Każdy członek państwa obowiązanym jest zarówno do pracy, państwo zaś a właściwie jego reprezentant, rząd, rozdzielać będzie owoce téj pracy między wszystkich pracujących zarówno.

Oto jest teorya *komunizmu* w ogólnych zarysach i w systemacie najdaléj posuniętym. Nie zapuszczając się w różne modyfikacye i odcienia tych doktryn, tyle przytoczę, że szerzyły one się między wyrobnikami w Francyi za panowania Ludwika Filipa i one głównie przyczyniły się do wybuchu i do nadania właściwéj cechy rewolucyi lutowéj 1848 roku.

Tu dopiero znalazły teorye socyalizmu i komunizmu pole otwarte do czynienia prób i experymentów. Ludność wyrobnicza, rzucona na bruk przez zamknięcie wielkiéj części fabryk, domagała się pracy od rządu na zasadzie, *droit au travail;* a zgromadzenie narodowe francuskie, w którem na zasadzie wyborów powszechnych zasiadali w pewnéj liczbie reprezentanci wyrobników, oraz zwolennicy doktryn socyalistycznych i komunistycznych na wniosek Louis Blanc'a założyło warsztaty narodowe.

Co każdy rozumny człowiek przewidział, iż się stanie, nastąpiło w rzeczy saméj. Robotnicy w warsztatach narodowych robili albo bardzo mało, albo nie robili wcale nic; lecz płacę pobierali ciągłą i wysoką. Zgromadzenie narodowe widząc, że hołdując teoryom socyalistycznym, dla zadowolenia chwilowych opinii, hałaśliwych i wymagających, pozwoliło się wprowadzić na błędną drogę; że dawało przytułek i płacę próżniactwu; że ten experyment socyalistyczny kosztuje Francyę około miliona franków dziennie — kazało pozamykać warsztaty narodowe.

Natenczas wyrobnicy chwycili za broń, a gdy w trzechdniowych walkach na barykadach w czerwcu 1848 r. jenerał Cavaignac, któremu zgromadzenie narodowe oddało dyktaturę położył trupem około trzydziestu tysięcy rokoszanów, gwałtowne wybuchy socyalizmu i komunizmu na jakiś czas powstrzymane zostały.

Wszelako doktryny bynajmniéj nie ustały. Przeciwnie rozchodziły się one w coraz szerszych kołach. Z Francyi przeszły do Belgii, Szwajcaryi, do Anglii, do Niemiec, gdzie

w r. 1850 Dr. Jacobi wydał pismo o „Solidarności wyrobników“ a z r. 1852 Diebneck o „Organizacyi klas roboczych.“

We Francyi po przytłumieniu siłą powstania w r. 1848 przywódzcy komunistyczni uznali potrzebę ukrywania swych dążności. Stowarzyszenia wyrobników, jakie powstawały pod panowaniem Napoleona III przybierały zewnętrznie pozory niewinne: n. p. przedstawiały się albo jako spółki zaliczkowe, konsumcyjne, produkcyjne (Societés cooperatives), albo jako stowarzyszenia mające na celu wzajemne wspieranie się lub oświecanie członków swoich; lecz w zaciszy i w ukryciu myśli i dążności socyalistyczne i komunistyczne nurtować nie przestawały.

W Niemczech głównie był czynnym w tym kierunku Karol Marx; w Szwajcaryi w Włoszech w Angli zaś Irlandczyk nazwiskiem Patrik Howell.

Sposobność do połączenia tych rozstrzelonych dążności i do związania w jeden węzeł tych różnorodnych, szczegółowych towarzystw wyrobników nastręczyła się przez wystawę powszechną przemysłową w Londynie w r. 1862.

Niektóre dzienniki francuskie podniosły myśl, jakby to było zbawiennem dla rozwoju przemysłu, gdyby wystawę londyńską mogli równie odwiedzać wyrobnicy francuscy; aby mogli podziwiać te cuda, które wystawa z całego świata zgromadzi a przez oglądanie i badanie znakomitych wyrobów przemysłowych wprowadzać mogli nowe pomysły i fortele do swych właściwych zawodów.

Ta myśl znalazła chętne przyjęcie w całéj Francyi, składki płynęły obficie z wszystkich stron; rząd francuski przyczynił się sam do tego uzyskaniem od Dyrekcyi kolei żelaznych znacznego zniżenia taksy od przewozu dla „tych interesujących podróżnych,“ a tak znaczny poczet wyrobników, jako delegowanych od towarzyszy swoich z głównych centrów przemysłu francuskiego, udał się do Londynu.

W dniu 10 Sierpnia 1862 r. nastąpiło zbratanie się wyrobników francuskich przybyłych z wyrobnikami angielskimi w sali wolnomularskiéj, i tam po odczytaniu wzajemnych adresów, wykazujących potrzebę połączenia się robotników w ścisły węzeł solidarności, dla wzajemnego wspierania się i wyszukania środków poprawienia losu klas roboczych

w wszystkich krajach, przyszło do porozumienia i rzucone były podstawy do zawiązania obecnego *stowarzyszenia międzynarodowego wyrobników;* z początku obejmującego wyrobników angielskich i francuskich, z których pewna liczba przesiedliła się do Anglii, następnie przyciągając do siebie wyrobników z innych krajów, jak to: z Belgii, Hollandyi, Szwajcaryi, Włoch, Niemiec nawet z Ameryki północnéj.

W roku 1864 ułożone zostały statuta stowarzyszenia i ustanowiono organizacyę jego taką, jaką dotychczas zachowuje.

Ta organizacya jest następująca:

W każdem mieście, wsi lub w ogóle w każdéj gminie (comune) wyrobnicy tego samego zawodu n. p. murarscy, stolarscy, wyrobnicy w metalach i t. p. tworzą korporacyę (un groupe corporatif).

Kilka korporacyi, czyli to, że są zbliżone do siebie zatrudnieniem, czyli też, że zamieszkują te same dzielnice miasta stanowią *dzielnice* (section) i ta jest właściwie najniższym szczeblem w organizmie International'a. Na czele sekcyi stoi *komitet wykonawczy*, wybrany głosami wszystkich członków sekcyi i mający wykonywać jéj uchwały.

Sekcye, znajdujące się w pewnéj okolicy (region) połączone są z sobą w *federacyę* (fédération), na czele któréj stoi *rada federalna* (conseil fédéral) pełniąca tesame funkcye w federacyi, co komitet sekcyjny w sekcyi.

Wszystkie federacye w pewnym kraju stanowią *gałęź* (branche).

W końcu, w Londynie zasiada *Rada centralna* albo ogólna (conseil central albo général) wybrana przez *kongres* jako władza naczelna i łącząca między sobą wszystkie federacye.

Tak więc ogół sekcyi w wszystkich federacyach i gałęziach wraz z Radą centralną stanowi stowarzyszenie międzynarodowe wyrobników.

Wedle téj geografii International'a, Francya podzieloną jest na cztery federacye; centrami są: Paryż, Rouen, Lyon i Marsylia.

W dniu 20 Maja 1871 r. w nadzwyczajnem zgromadzeniu stowarzyszenia w Paryżu znajdowało się, wedle „Dzien-

nika urzędowego komuny“ dwadzieścia ośm sekcyi, nie licząc sekcyi z pasa fortecznego (banlieue) Paryża.

Te dwadzieścia ośm sekcyi reprezentowały sto tysięcy zwolenników męzkich International'a.

W Belgii jest obecnie sześć federacyi; w Szwajcaryi i Hollandyi stowarzyszenie czyni nadzwyczajne postępy; w Włoszech liczba zwolenników wzrasta od dnia do dnia. W Austryi, gdzie to stowarzyszenie nie jest prawnie cierpianem, w samym Wiedniu liczba jego członków wynosi około dwunastu tysięcy.

W Hiszpanii w ostatnich trzech latach utworzyło się 185 sekcyi liczących razem przeszło czterdzieści tysięcy członków. Stowarzyszenie sięga aż do Rossyi, gdzie nihiliści wyznają te-same zasady, co Internationale; a proces Nieczajewa wykazał jasno związki, jakie między nimi zachodzą.

Szczególniéj zaś w Niemczech, a mianowicie w Bawaryi i Saksonii liczba zwolenników Internationalna jest wielką. Utrzymują, jakkolwiek ta wiadomość nie ma pewności, że liczba ich w Niemczech przenosi o wiele milion członków. Reprezentantem ich w Sejmie niemieckim jest obecnie p. Bebel.

Interesującem jest odkrycie, jakie uczyniono w Węgrzech w bieżącym miesiącu. Z odpowiedzi, jaką udzielił minister sprawiedliwości p. Bitto na interpelacyę deputowanego p. Helfy w izbie niższéj, dowiadujemy się następujących szczegółów. Z śledztwa prowadzonego z 28 wyrobnikami, przyaresztowanymi w Peszcie za urządzenie niepozwolonych demonstracyi, wyszło na jaw, że w Węgrzech istnieje równie gałęź International'a; że zostaje w związku z radą federalną genewską, a przez nią utrzymuje korespondencyę z komuną paryską; że zamierza obalić w Węgrzech obecną formę rządu i zaprowadzić tak zwane państwo czyli rządy ludu (Volksstaat). Jako środki do osiągnienia tego celu najprościéj prowadzące wskazuje list jeden z Paryża propagandę między wojskiem i zajęcie cytadeli w Budzie, zkądby można spalić Peszt bombami napełnionemi olejem skalnym. Zasady jawnie wyznawane tych rządów ludu są: „Wszelka własność staje się spólną i spólnie będzie administrowaną; szlachta, duchowieństwo i mieszczaństwo posiadające zostanie wytępionem, a w jednéj z proklamacyi znalezionych jest ustęp, że *nawet Bóg z tronu swego*

strąconym będzie. Po wsiach *parobcy dworscy* otrzymali rozkazy, aby już obecnie dokładną starali się nabyć wiadomość o *dochodach dóbr* w których służą, w tym celu, aby mogli udzielić potrzebnych wyjaśnień co do dochodów, gdy dobra na rzecz tego nowego państwa skonfiskowane i pod wspólny zarząd oddane zostaną.

Pisma schwytane przy aresztowanych dowodzą, że członkowie tego stowarzyszenia w Peszcie będącego utrzymywali korespondencye z International'em w Londynie, Genewie, Nowym-Yorku, Brukseli, Zurychu, w Kairze, Berlinie, Hamburgu Reichenbergu, Eisenach, Gracu, Wiener-Neustadt — a właściwie z komitetami sekcyi w tych miastach się znajdujących; daléj, że z Pesztu wychodzili apostołowie tego stowarzyszenia na prowincyę dla agitowania w duchu powyższych zasad i dla zakładania filii czyli sekcyi; że w istocie założone zostały sekcye International'a w Staréj Budzie, w Nowym Peszcie, w Kaposwarze, Sygecie, Orawicy, Temeswarze, Aradzie, Saroszpataku, Preszburgu, Oedenburgu, Klausenburgu, Eseku.

Tak więc, stowarzyszenie, o którem mówię, rozciąga ramiona swoje, jak olbrzymi polip po całéj Europie; z miast przenosi się na wsie i tam szerzy zgubne swoje zasady. Już jest blisko naszych granic — a może nawet przekroczyło je i rozgościło się między nami.

Domyśleć się łatwo można, że przy tak ogromnem rozgałęzieniu ogólna liczba członków International'a musi być bardzo znaczną. Dokładnie téj liczby oznaczyć z przyczyn bardzo prostych niepodobna; lecz z wiarogodnych dotąd szczegółów w przybliżeniu można przypuścić; iż wynosi dotąd 3 do 4 milionów w całéj Europie. Ile ta liczba w najbliższych latach wynosić będzie, można się domyśleć, zważając, w jak krótkim czasie stowarzyszenie do obecnéj liczby członków urosło; zważając daléj, że propaganda ułatwioną jest przez istniejące już dotąd w różnych innych celach towarzystwa robotników; tak, iż przyciąganie i łączenie się nie pojedynczo, lecz grupami postępuje.

Po przystąpieniu do Stowarzyszenia międzynarodowego wyrobników, członek otrzymuje kartę przyjęcia, wystawioną przez Radą centralną londyńską w języku angielskim, pod-

pisaną przez sekretarzy korespondentów wszystkich krajów, oraz przez skarbnika i sekretarza jeneralnego.

Oto jéj forma!

INTERNATIONAL

Working men's Association.

Association internationale des Ouvriers.

Card of Membership.

This is to certify, that..... was admittet a Member of the above association.... 187.. and paid his annual subscription.....

Eugène Dupont corresponding Secretary for France.

Bernardy cor. secr. for Belgium.	Iules Joannard cor. secr. for. Italy.
R. Schaw dto America	Antony Zabicki dto Holland.
Karl Marx dto Germany.	H. Jung dto Switzerland.

Cowell Stepney treasurer.

J. G. Eccarius sec. to general correspondance London.

Podpisane na powyższéj karcie osoby składają obecnie Radę centralną International'a. Rada centralna karty przyjęcia rozsyła do wszystkich federacyi.

Przy otrzymaniu karty przyjęcia członek płaci wpisowe w kwocie 50 centymów, z których 10 centymów idzie na Radę centralną; reszta zaś wpływa do kasy sekcyi, do któréj członek nowoprzyjęty należy.

Oprócz tego kasa sekcyjna otrzymuje zasiłki z składek miesięcznych, do których każdy członek jest obowiązanym. Wysokość tych składek miesięcznych jest rozmaitą i oznaczoną bywa szczegółowo statutami każdéj sekcyi. W Paryżu n. p. wynosi ta składka 10 centymów miesięcznie, w Rouen 50 cent. w Genewie 60 cent.

W końcu inna składka roczna w kwocie 10 centym. przeznaczoną jest w części na formowanie kasy centralnéj w części na opędzenie kosztów Rady w Londynie.

Kasy, tak centralna jak niemniéj kasy sekcyjne służą to na utrzymywanie propagandy, to na zasiłki dla robotników w czasie bezrobocia (grève), to na urządzenie kongresów.

Do miast, w których nie ma jeszcze sformowanych sekcyi, przybywają emisaryusze, organizują zebrania poufne, wykładają zasady stowarzyszenia, przygotowując pole i oczekując przybycia jakiéjś znakomitości International'a, któréj sława rozgłośna przyciąga wątpliwych a zastrasza upornych. Ci comisvoyagerowie stowarzyszenia bywają wybierani z pomiędzy najlepszych mowców i najgorliwszych stronników jego zasad.

Gdy wyrobnicy jakiego zawodu w porozumieniu z Radą centralną opuszczają warsztaty, by wymódz na przedsiębiorcach lub fabrykantach, czyli to podwyższenie płacy czyli téż zmniejszenie godzin roboczych, jak to się działo przeszłego lata n. p. w Berlinie, gdzie wszyscy murarze nagle porzucili roboty, w Brukseli, Gandawie, w Chemnitz, gdzie sześć tysięcy wyrobników jednego dnia wystąpiło z fabryk, i jak to się powtarza co chwila po różnych miastach fabrycznych; wówczas całe stowarzyszenie, wszystkie jego sekcye mają obowiązek tak długo dostarczać pieniędzy próżnującym wyrobnikom, dopóki cel bezrobocia osiągniętym nie zostanie.

Rada centralna, dla utrzymania przeglądu o wszelkich wydarzeniach tyczących się ekonomicznigo położenia wszystkich krajów, otrzymuje od wszystkich rad federalnych relacye tygodniowe, które obejmują:

1) wykaz liczbowy członków znajdujących się w federacyi;
2) raport szczegółowy o wydarzeniach politycznych i przemysłowych w okolicy;
3) wykaz zasobów pieniężnych w téj saméj okolicy;
4) wykaz głównych domów bankowych, przemysłowych i handlowych;
5) wykaz większych *właścicieli wiejskich* i *miejskich;* w końcu
6) raport o posiedzeniach Rady federalnéj.

Władzą prawodawczą oraz kierującą zasadami Towarzystwa całego są *kongresy.* Każda sekcya ma prawo wysłania na kongres delegowanego swego. Jeżeli jéj środki na to nie pozwalają, wówczas łączy ona się z innemi sekcyami są-

siedniemi, i cała grupa sekcyi wysyła spólnego delegowanego swoim kosztem.

Uorganizowanie kongresu i ułożenie programu czyli porządku dziennego dla kongresu należy do Rady centralnéj. Ten program przesłany być musi naprzód do wszystkich sekcyi za pośrednictwem federacyi i sekretarzy korespondentów. Rada centralna nadto ma obowiązek złożenia kongresowi raportu publicznego o pracach i o położeniu Stowarzyszenia w różnych krajach, wykazu kiedy, gdzie i jakie wydarzyły się bezrobocia; w końcu winna przedstawić obraz postępu Stowarzyszenia w ciągu upłynionego peryodu.

Kongres sam oznacza miejsce siedziby Rady centralnéj, mianuje jéj członków, i wyznacza miejsce i dzień następującego zebrania kongresu tak, iż dalszego zwołania delegowanych nie ma potrzeby.

Takich kongresów International'a odbyło się dotąd cztery: w Genewie w r. 1866, Lozanie w r. 1867, w Brukseli w r. 1868 i w Bazylei r. 1869. W roku 1870 kongres miał się odbyć w Paryżu, lecz wojna z Niemcami temu przeszkodziła.

Z tą organizacyą łączy się jeden z najdzielniejszych środków propagandy, liczne i rozgałęzione dziennikarstwo.

Ono zdaje regularnie sprawę o postępie ruchu roboczego; odbiera korespondencye od różnych sekcyi; szerzy zasady i rozwija teorye Stowarzyszenia; wskazuje nadużycia kapitału względem pracy; utrzymuje wykazy zaprzestania robót (greves), rozbiera kwestye ekonomii politycznéj z stanowiska wyrobniczego; w końcu broni doktryn socyalistycznych i komunistycznych od zarzutów na które są wystawione. Celniejszymi dziennikami na usługi International'a są:

L'egalité, wychodzący w Genewie, organ Stowarzyszenia międzynarodowego robotników Szwajcaryi francuskiej; jest on zarazem dziennikiem urzędowym całego Stowarzyszenia;

La Solidarité, wychodzący w Neuchatêl;

L'Internationale, organ sekcyi belgijskich wychodzący w Bruxeli;

La Reforme sociale, wychodzi również w Bruxeli;

Le Mirabeau w Verviers;

Le progrès du Locle w Locle;

Der Vorbote organ centralny sekcyi niemieckich w Szwajcaryi wychodzi w Genewie;

Der Werker dziennik socyalistyczny flamandzki wychodzi w Antwerpii;

Peper en Zoute (Pieprz i sól) w Bruges;

Le Devoir w Liège;

Demokratisches Wochenblatt, Organ der deutschen Volkspartei und des Verbandes deutscher Arbeitervereine — wychodzi w Lipsku;

La Fratellanza, dziennik sekcyi Neapolitańskich wychodzi od Czerwca 1869 w Neapolu.

La Federacion, dziennik sekcyj wyrobników Katalońskich, wychodzi w Barcelonie od 1 sierpnia 1869 r.

La Solidaridad, dziennik urzędowy sekcyi Stowarzyszenia międzynarodowego wyrobników w Madrycie;

El Obrero, organ federacyi towarzystw robotników na wyspach Balearskich wychodzący w Palmie na wyspie Majorce;

Justicia Social, przegląd miesięczny w Madrycie;

El Proletariado, tamże;

Der Volkswille, organ sekcyi Wiedeńskich (zawieszony);

Vooruit (Naprzód!) dziennik flamandzki;

Der Socialdemokrat, w Berlinie;

Der Beobachter, tamże;

Die Tagwacht, w Zurich;

Gleichheit, wychodzi w Villeneuve-de-Vienne;

Werkmann (wyrobnik) w Amsterdamie;

De Standaart des Volks, równie w Amsterdamie;

Volksblad, wychodzący w Rotterdamie;

Legalidad, w Garcia w Katalonii;

Arbeiter-Union po niemiecku redagowany w Nowym-Yorku;

The Workingman's advocate w Chicago;

Der Demokrat w Bazylii (Basel-land;

La Cause du peuple, dziennik sekcyi rosyjskich wychodzący w Genewie.

Der Arbeiter wychodzący w Bazylei (Basel-Stadt);

Der Volksstaat, wychodzący w Lipsku;

Gdy Stowarzyszenie, o którem mówię, nie ukrywa się wcale z swojemi zasadami, przeciwnie na kongresach i w dziennikach jawnie z niemi występuje, takowe rozbiera i broni; nie trudno też jest obeznać się z niemi i uczynić sobie w przybliżeniu obraz społeczności, jaka się pod panowaniem tych zasad ukształciéby mogła.

W ogólności International jest wcieleniem, w kieruku ekonomicznym, zasad i doktryn *socyalistycznych* i *komunistycznych*, o których dawniéj mówiłem; zaś w kierunku filozoficznym jest praktycznem zastósowaniem teoryi *materyalizmu* szerzącego się w naszym wieku coraz bardziéj.

Wszelakoko nie należy sądzić, że pierwsi założyciele tego Stowarzyszenia już mieli cały ten system gotowy przy zawiązaniu onego; że wyrobnicy francuscy, jadąc do Londynu w r. 1862 wieźli z sobą wszystkie te namiętności i nienawiści do klas posiadających, te marzenia i teorye, które w następnych latach na jaw powychodziły. Nawet w Statutach Stowarzyszenia ułożonych w r. 1864 nie ma o nich mowy. Artykuł pierwszy Statutu ogólnego Stowarzyszenia wskazujący cel założenia, opiewa następnie:

„Zawiązuje się stowarzyszenie wyrobników różnych krajów, dążących do jednego celu, t. j. do wzajemnéj pomocy, do postępu i do zupełnego wyswobodzenia klasy roboczéj.“ Co więcéj, w pierwszych dwóch kongresach odbytych w Genewie i Lozanie w l. 1866 i 1867 własność nie doznawała zaczepek i była szanowaną.

Dopiero na kongresie Bruxelskim w r. 1868 i następnie na kongresie Bazylejskim w r. 1869 wprowadzenie zasady komunizmu z wszelkiemi konsekwencyami zostało przyjęte za cel Stowarzyszenia.

„Kongres Brukselski uznał, że kamieniołomy, kopalnie węgla, równie jak wszystkie inne kopalnie, koleje żelazne, należeć mają do spólności zbiorowéj (collectivité sociale) reprezentowanéj przez państwo; lecz przez państwo odrodzone, które wypuszczać będzie takowe do używania, nie kapitalistom, jak dziś to się dzieje, lecz spółkom wyrobniczym;“ daléj uznaje kongres, że „rozwój ekonomiczny wymaga, aby *ziemia uprawna przeszła na własność spólną wszystkich;* i była oddaną pod uprawę i na użytek spółkom wyrobników rolniczych,

podobnie jak kopalnie spółkom górniczym, a koleje żelazne spółkom wyrobniczym;“ w końcu uznaje kongres „że drogi, telegrafy, i lasy powinny przejść na własność zbiorową społeczności!

Na czterdziestu dziewięciu delegowanych obecnych na kongresie, trzydziestu głosowało za przyjęciem powyższych zasad, czterech głosowało przeciwnie; piętnastu wstrzymało się od głosowania.

W ciągu roku następnego teorye komunistyczne dojrzały w zupełności. Kongres Bazylejski w r. 1869 zadekretował *jednogłośnie kompletne zniesienie i skonfiskowanie własności indywidualnéj*, jaka się sformowała od niepamiętnych czasów u wszystkich narodów cywilizowanych. Różnice w zdaniach objawiały się jedynie co do sposobu przeprowadzenia téj zasady, lecz nie co do rzeczy saméj.

Rozumie się, iż obok negacyi własności indywidualnéj *prawo dziedziczenia* ostać się nie może. Cóż bowiem można zostawić dzieciom lub krewnym, jeżeli się na własność nic nie posiada?

Bakunin, nihilista rosyjski, tę myśl dobitnie wyraził temi słowy: „Prócz odzieży nic innego w spadku dzieciom zostawiać nie wolno“ — a komisya wyznaczona z kongresu do zdania sprawy z tego przedmiotu przedstawiła wniosek, „że prawo dziedziczenia powinno być w zupełności i radykalnie zniesione; bowiem tego wymaga koniecznie wyswobodzenie pracy z pod tyrańskwa kapitału.“

„Gdy ten wniosek przyszedł pod głosowanie, okazało się, że uczucia rodzinne, przywiązanie do dzieci przeważyły w wielu delegatach nad sztuczną teoryą, nienaturalnym systematem, i nad nienawiścią do posiadających; bowiem na siedmdziesięciu dwóch delegatów, oświadczyło się tylko trzydziestu dwóch za wnioskiem komisyi; dwudziestu trzech było przeciwnych, a siedmnastu wstrzymało się od głosowania.

Tak więc zniesienie prawa dziedziczenia tylko nieznaczną większością głosów na kongresie przyjętem zostało.

W końcu, jakkolwiek kongres w r. 1870 nie przyszedł do skutku; wszelako z programu ogłoszonego przez Radę centralną można powziąść przekonanie, w jakim kierunku byłyby wypadły jego uchwały.

Pierwsza kwestya programu było: „O konieczności zniesienia długu publicznego. Rozprawa o wynagrodzeniu mającem się udzielić posiadaczom papierów publicznych.“

Trzecia kwestya odnosiła się do „wynalezienia *sposobów* praktycznych, jakby *własność ziemi zamienić na własność wspólną.*“

W piątéj rozchodziło się o to, „pod jakiemi warunkami można urządzić produkcyę na zasadach spólności we wszystkich krajach;“ w końcu postawiona była kwestya, jakich należy użyć środków, aby urządzić sekcyę Stowarzyszenia międzynarodowego między wyrobnikami przy *gospodarstwach wiejskich.*“

Kongres w r. 1870 wprawdzie nie przyszedł do skutku. Miał on się odbyć w wrześniu 1870 r. Za to odbył on się od 18 marca do 28 maja 1871 w Paryżu, w ratuszu miejskim, pod nazwiskiem „*Komuny Paryskiéj.*“ O ile mógł w tym czasie, wprowadzał on swe teorye w praktykę; w końcu nie mogąc skonfiskować wszystkich domów w Paryżu, pocieszył się tem, że spalił część ich znaczną.

To krótkie panowanie „Komuny“ w Paryżu daje wyobrażenie, jakiemi środkami International stara się przeprowadzić swoje zasady, przekształcać społeczności ludzkie i odbudować je na podstawach téj bezwzględnéj równości, którą za hasło swego bytu i wszelkich swych dążeń ogłosił.

Wytępienie wszelkiéj religii i wszystkich wyznań; jakkolwiek nie było zadekretowanem na kongresach, wszelako z dzienników, rozpraw i odezw różnych gałęzi tego Stowarzyszenia, zresztą z postępowania „Komuny“ z kościołami i księżami, jak niemniéj zamiar zniesienia *rodziny* jest widocznym. Dziennik l' Egalité z 12 września 1870 r. wymieniając zasady, jakich trzymać się winna nowo zaprowadzona Rzeczpospolita francuska, wskazuje za jednę z najważniejszych: „*zniesienie wszelkich wyznań i panowanie rozumu nad resztkami zabobonów utrzymywanych przez księży* (l'abolition de tous les cultes et le regne de la raison sur les debris des superstitions des calotins).

Program sekcyi międzynarodowych demokracyi socyalistycznéj w Genewie bez ogródki wypowiada: „*Stowarzyszenie bierze za hasło ateizm; dąży do obalenia wszelkich wyznań;*

do wprowadzenia nauki w miejsce wiary; sprawiedliwości ludzkiéj w miejsce sprawiedliwości boskiéj — w końcu do zniesienia małżeństwa, o ile ono jest instytucyą polityczną, religijną, prawną i społeczną."

Rodzina polega na małżeństwie i właśnie na takiem małżeństwie o którem filozofowie International'a wiedzieć nie chcą.

Charakter *prawny* małżeństwa ma to znaczenie, że małżeństwo rodzi *pewne prawa* i *obowiązki* między małżonkami, równie jak między rodzicami i dziećmi — a charakter *religijny* małżeństwa nadaje tym prawom i obowiązkom sankcyę wyższą, religijną, t. j. obowiązującą nietylko w obec świata i trybunałów ludzkich, lecz nawet w obec Boga i sumienia.

Ważność *społeczna* małżeństwa ztąd wynika, że uczucia przywiązania, miłości, wzajemnéj pomocy, poświęcenia, które się tak obficie rodzą z tego związku, nie pozostają między małżonkami i dziećmi; lecz rozchodzą się w dalsze koła *powinowactwa* i *pokrewieństwa*, ogarniając tym węzłem obce dotąd i odległe rodziny.

Dla tego, napomknę nawiasem, kościół katolicki przeciwnym jest małżeństwom między osobami nawet w dosyć odległych stopniach pokrewieństwa, opierając się nie wyłącznie na względach fizycznych; lecz pragnąc, aby te uczucia o których wspomniałem, mające swoje źródło w małżeństwie, nie zamykały się w ciasnych kołach małéj liczby rodzin; lecz coraz nowe tworzyły ogniwa, coraz inne łączyły rodziny, a tym sposobem aby panowanie tych uczuć szlachetnych stawało się coraz obszerniejszem, rozleglejszem i silniejszem.

Jeżeli małżeństwo pozbawionem będzie charakteru prawnego, religijnego i społecznego; jakiż charakter mu pozostanie? — Charakter *zwierzęcy*.

Dla uzupełnienia tego obrazu zasad, celów i dążeń Stowarzyszenia będącego przedmiotem obecnego wykładu, niech mi wolno będzie przytoczyć w końcu słowa jednego z publicystów francuskich, który w ciągu panowania „Komuny" w Paryżu ogłosił w Londynie pismo pod tytułem: „*Politicol notes of the present situation in France*" — a w którem bardzo trafnie i dokładnie skreślił teorye Internationala, będące ró-

wnież wyznaniem wiary tego zgromadzenia, które pod nazwą „Komuny“ przez dwa miesiące było wszechwładnym panem Paryża.

„Ich filozofią, mówi on, jest ateizm, materyalizm i negacya wszelkiéj religii; ich programem politycznym jest absolutna wolność osobista, przy obaleniu wszelkiego rządu i podzielenia narodów na gminy mniéj lub więcéj z sobą sfederowane. Ich ekonomia polityczna polega głównie na wywłaszczeniu posiadających i oddaniu zabranych im pieniędzy, narzędzi do pracy (maszyn, fabryk, domów) i ziemi spółkom wyrobniczym. Teorya historyczna tych ludzi zawiera się w tem zdaniu, że czasy szlachty i mieszczaństwa minęły; a przyszedł czas dla proletaryatu. Wedle ich zasady, ktokolwiek nie należy do klasy robotników, wyłączonym ma być z społeczności.“

Autor tych uwag dodaje: „Jeżeli członkowie „Komuny“ nie ogłosili tego programu, to jedynie dla tego, że uważali te doktryny jeszcze za nadto gwałtowne nawet dla stronnictwa rewolucyjnego; oczekiwali zatem chwili zwycięstwa, aby je siłą ludności narzucić.“

W końcu charakter *kosmopolityczny* tego stowarzyszenia pozbawia członków jego najszlachetniejszego uczucia, uczucia *patryotyzmu*. Uważanym jest nawet u nich patryotyzm za przeszkodę do wymarzonéj organizacyi narodów europejskich, którą sobie wyobrażają pod formą „Zjednoczonych Stanów Europy“ (Les états confedérés de l' Europe) czyli „Rzeczypospolitéj uniwersalnéj.“

Zwracając się do tego, co dawniéj wspomniałem o filozofii Bakona, śmiało rzec można, że ta filozofia w naszym czasie odniosła najzupełniejszy tryumf. Nowe odkrycia i wynalazki postępują z nigdy niesłychaną szybkością jedne po drugich; każdy z nich przyczynia się albo do uprzyjemnienia życia albo do złagodzenia cierpień ludzkich.

Ta filozofia w istocie przydłużyła średnicę życia ludzkiego; przyniosła ulgę boleściom; wytępiła zarody wielu chorób; podniosła urodzajność ziemi; uczyniła żeglugę bezpieczniejszą, dostarczyła nowéj broni wojownikom, połączyła brzegi rzek i odnóg morskich mostami niewidzianych dawniéj kształtów, sprowadziła gromy niebios bez szkody na ziemię,

spotęgowała siłę wzroku, wzmocniła dzielność muszkuł ludzkich, przyspieszyła ruch, zniosła odległość, ułatwiła obrót, zamianę myśli, załatwianie interesów; ona podała ludziom środki spuszczania się do głębi morza, unoszenia się w powietrze, zapuszczania się do wnętrzności ziemi bez szkody dla zdrowia i życia, jeżdżenia na lądzie wozami bez koni i przebywania wód oceanu w okrętach pędzących dziesięć węzłów na godzinę wbrew wiatrom. To jest dopiero jedna część jéj *owoców* — i to pierwszych jéj owoców. Jest to bowiem filozofia, która nigdy nie stoi w miejscu, nigdy nie osiąga celu, nigdy nie jest skończoną; bowiem jéj prawem jest wieczny *postęp*.

Wszelako ten powabny obraz ma również odwrotną stronę. W rzeczach ludzkich podobnie, jak cień towarzyszy światłu, tak złe postępuje za dobrem, jakby na dowód, że nic doskonałego na téj ziemi być nie może. Za filozofią, któréj błogie skutki dopiero co skreśliłem, postępuje w ślad materyalizm, wyprowadzający początek rodu ludzkiego już nawet nie od małpy, lecz od jakiegoś skorupiaka czy kręgowca najniższego rzędu, żyjącego gdzieś na dnie morza — postępują za nią w ścieśnionych szeregach, silnie zorganizowane, na wszystko odważne i zdeterminowane miliony zgłodniałych proletaryuszów, pałających zemstą i nienawiścią do wszystkich, co posiadają. Na mieszczaństwo francuskie, które w przeszłym wieku zgilotynowało i skonfiskowało arystokracyę, już nadeszła nemezys historyczna; bo miliony wyrobników czyha na jego majątki, wyczekując tylko sposobnéj chwili, by je rozszarpać i podzielić między siebie, wołając piorunującym głosem: „My jesteśmy *liczbą*, my jesteśmy *prawem*, a więc jesteśmy *potęgą;* do nas *przyszłość* należy!“

Maksymilian Machalski.

Błędy Cesarstwa i jego Spadkobierców.

I. Ma Mission en Prusse (1864—1870), p. le Comte Benedetti.
II. Rapports Militaires écrits de Berlin (1866—1870), p. le Colonel Baron Stoffel.
III. Un Ministère de la Guerre de 24 jours, (10 aout — 4 septembre 1870) p. le Général Cousin de Montauban, comte de Palikao.
IV. Gouvernement de la Défense Nationale, Simple récit d'un Membre du Gouvernement (30 juin — 31 octobre 1870), p. Jules Favre.

Równocześnie z zawarciem pokoju między Francyą i Niemcami posypały się we Francyi rozmaite publikacye, mające na celu, pod pozorem rzucenia wiernego światła na ubiegłe wypadki, oczyścić pewne osobistości z zarzutów, jakie im opinia publiczna głośno czyniła.

Zwykłą koleją w takich razach, ludzie wojennego rzemiosła upośledzeni od fortuny, jenerałowie pobici, pierwsi pospieszyli z tłumaczeniem przyczyn klęsk i niepowodzeń, z wytoczeniem własnych procesów przed trybunał opinii, w nadziei że bitwy przegrane przynajmniej w oczach strategików z amatorstwa i czytelników prostego ducha, ujdą za coś podobnego do zwycięstw i świetnych czynów militarnych.

W ślad za synami Marsa podążyli dyplomaci i mężowie stanu, dygnitarze cesarstwa i dostojnicy Rządu Obrony Narodowéj, ludzie którzy wpływali na bieg i rozwój wypadków, którzy brali czynny udział w kierowaniu okrętem państwa i losami narodu. Oni także mieli do opowiadania kampanie dyplomatyczne i kampanie rządowe, przygotowania Sedanu, kapitulacyi paryskiéj i pokoju w Frankfurcie.

I nic w tém dziwnego. Wrodzona naturze ludzkiéj słabość popycha człowieka w nieszczęściu do rekryminacyi,

skłania do zwalenia na cudze barki odpowiedzialności za błędy popełnione, robi czułym na dorywcze sądy współczesnych. Téj słabości oprzeć się umieją zaledwie wyjątkowe, silne charaktery, szukające przedewszystkiem nagrody w wewnętrznem przekonaniu dopełnionego obowiązku i w spokoju sumienia. Natury słabsze, wrażliwe, ulegają łatwo pokusie. Charaktery codzienne i tuzinkowe, żądne popularności i chwilowego poklasku, opanowane nieumiarkowaną chęcią mówienia o sobie i zajmowania świata sobą, dotknięte swierzbiączką języka i pióra, korzystają ze sposobności, aby za jednym zachodem, małym trudem szychowéj dobić się chwały. Skarłowacenie charakterów politycznych, idące w parze z wzrostem rogów miłości własnéj i próżności, coraz większy brak hartu duszy u ludzi publicznych, zrodziły niesłychaną i niepraktykowaną dawniéj czułość na głosy i sądy rozwielmożnionego dziennikarstwa. Doszliśmy do tego, że są ludzie publiczni, mężowie stanu, którzy żyją i działają jakby wyłącznie dla dzienników, dla których pochlebstwo dziennikarskie jest najmilszą strawą, wyrok bibulastego bożka najwyższą powagą i nagrodą lub karą. Niedawno w stolicy jednego z wielkich mocarstw Europy, widziano wielkiego kanclerza, który straciwszy równowagę w ekwilibrystycznych ćwiczeniach spadł nagle z wysoka, zagrzebanego w stosach bibuły dziennikarskiéj, aby się dowiedzieć co o nim mówi ten bożek któremu wiernie i wytrwale służył. Mąż ten jednak w okólniku urzędowym zapewniał w obec świata całego, iż jego następcy nie pozostaje nic innego, jak tylko trzymać się drogi przezeń wytkniętéj i daléj wieść sprawy państwa utorowanym szlakiem. Kto tak hardo przemawiać czuje się w prawie, ten zaprawdę mógłby nawet w *państwie nieprawdopodobieństw* nie troszczyć się ani o pochwały ani o naganę różnojęzycznéj prassy codziennéj.

Zaczepki dziennikarskie wywołały też bezpośrednio, albo co najmniéj pośrednio owe stosy broszur i książek, dotyczących ostatnich wypadków we Francyi. Z tych co wyszły z pod piór wojskowych, drobna część zaledwie ma wartość historyczną dla badacza działań wojennych; największa nie ma żadnego znaczenia, bo są to sprawy osobiste zajmujące tylko w pewnym szczupłym zakresie. Natomiast publikacye pewnych

osobistości politycznych zawierają fakta, przynoszą dane nowe i nieznane, urzędowe dokumenta pozwalające wejrzeć głębiéj w istotę rzeczy i w ukryte działania poprzedzające rezultata wiadome. Do takich należą cztery publikacye wymienione na wstępie.

Pod tym względem idziemy dziś szybko, podobno nawet za szybko. Dawniéj dziesiątki lat trzeba było czekać, zanim urzędowe dokumenta, z natury swéj nieprzeznaczone dla ogółu, oglądały światłe dzienne i przechodziły do wiadomości publicznéj. Teraz ludzie odgrywający czynne role na widowni świata, urzędnicy publiczni związani obowiązkiem do zachowywania tajemnicy stanu, drukują papiery urzędowe, stanowiące bezwarunkową własność państwa, które *jure caduco* przeszły w ich posiadanie. Gdyby nawet inne względy, nakazujące dyskrecyę i poszanowanie urzędowego obowiązku, nieistniały, to jeszcze samowolne rozrządzanie cudzą własnością pozostałoby uczynkiem mało godziwym i szkodliwym, bo naruszającym nadto dobrą wiarę i wzajemne zaufanie w stosunkach rządów i ich reprezentantów między sobą.

Niezapominajmy w końcu, iż takie gwałcenie prawa własności i obowiązku urzędowego przedsiębranem jest rozmyślnie w osobistym interesie, z pobudek miłości własnéj, z podszeptów ambicyi, próżności i chęci pomszczenia drobnych uraz, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność za popełnione lub tylko przypisywane błędy, i z oskarżonego zostać oskarżycielem.

Hr. Benedetti wyznaje, iż wydał swoją książkę dla tego, żeby zbić ubliżające jego honorowi twierdzenia „pisarzy wprowadzonych w błąd patryotyzmem i duchem stronnictwa“ którzy zarzucali mu między innemi niedbalstwo w dostarczaniu dokładnych informacyi co do polityki gabinetu berlińskiego, stanu siły zbrojnéj Prus, kwestyi korony hiszpańskiéj i zamiarów południowych państw niemieckich. Jakkolwiek „sam miał sposobność przekonać się o szkodliwości wyjawiania tego co Tacyt nazywa: *arcana domus*, dokumentów dyplomatycznych wyświetlających stosunki gabinetów“ — nie wahał się przecież drukować depesz „mogących uwolnić go od odpowiedzialności w kwestyi, która honor jego życia całego do takiego stopnia dotyka.“ Łatwo jest zaiste zasłaniać się honorem,

skarbem drogim każdemu człowiekowi, i wtenczas robić ofiarę całopalenia honoru urzędowego na cześć „honoru całego życia“ — lecz w tym razie trzeba przynajmniéj trzymać się ściśle w granicach konieczności, w granicach prawdy, wystrzegając się zbyt długich oracyi *pro domo* i wycieczek na pola obce. Wystarczyłoby proste zestawienie depesz odpowiadających wprost na zarzuty czynione ambasadorowi Francyi w Berlinie. P. Benedetti zaś wdał się w wywody, miejscami zbyt długie a poparte cytatami zanadto widocznie *ad usum Delphini* wybranymi, i oprócz tego pozwolił domyślać się, iż co do pewnych punktów, zamiast drażliwe materye przemilczeć, z świadomością starał się czytelnika w błąd wprowadzić. Jego honor czuły na dziennikarskie zarzuty tego nie wymagał; obrona niezmiernie przez to straciła na wiarogodności i sile.

Drugi z rzędu, pułkownik Stoffel, wojskowy *attaché* ambasady francuskiéj w Berlinie, pozwala ogłaszać jednemu z księgarzy paryskich kompletny zbiór rozpraw przezeń pisanych dla tego „że już poprzednio kilka z nich przedarło się wypadkowym sposobem do wiadomości publicznéj.“ Raporta te są nadzwyczaj ciekawe i nauczające, świadczą o znakomitych zdolnościach i bystrości umysłu autora, któremu chodziło wielce i zresztą słusznie o złożenie dowodu, iż rządowi swemu dostarczał ciągle ważnych wskazówek w zakresie powierzonéj mu misyi. Niemile jednak uderza w liście służącym za przedmowę, gorycz i obfitość rekryminacyi, pewna uraza za to że jego zasługi nie zostały ani ocenione ani wynagrodzone, a co główne, namiętne wycieczki przeciwko rządowi wersalskiemu, któremu służyć nie przestał i któremu winien był ze wszech miar szacunek i posłuszeństwo. Co warte pochwały, jakie pułkownik oddaje karności armii pruskiéj, kiedy sam publicznie przeciwko téj cnocie i temu obowiązkowi wykracza?...

Jenerał Palikao powiada na wstępie z żołnierską otwartością, że artykuł dziennika *le Nord*, mówiący o jego zeznaniach w komisyi śledczéj Zgromadzenia Narodowego, oraz o liście wystosowanym przezeń do prezesa tejże komisyi z powodu mowy jen. Trochu, skłonił go do wystąpienia ze zdaniem sprawy z dwudziestocztero-dniowego urzędowania w wydziale

wojny. Zwycięzca Chińczyków kładzie szczególny nacisk na to, że był wiernym a zapoznanym sługą niewdzięcznego i zaślepionego monarchy, i zapewnia współczesnych i potomność, iż marsz flankowy z Chalons na Metz był arcydziełem strategii, choć się skończył pod Sedanem.

Jules Favre, wielki adwokat, złośliwem zrządzeniem losów zagnany w zdradziecki labirynt czynnéj polityki, dotknięty hypertrofią narzędzi mowy i manią publicznych spowiedzi, gdy się zrobił niepodobnym w ministeryum spraw zagranicznych, na trybunie parlamentarnéj i nawet na ławie sądowych obrońców, postanowił choć w książkach osolonych niedyskrecyą, wygadać do dna wszystko co czuł, myślał i czynił w ciągu niefortunnego zawodu członka rządu i ministra. Rozpocząwszy to zadanie publikacyą depesz w sprawie rzymskiéj, która dostąpiła niemal skandalicznego rozgłosu, przeszedł do dziejów obalenia cesarstwa i dziejów rządu, zwącego się rządem Obrony Narodowéj, jak się zdaje z zamiarem doprowadzenia ich aż do niechwalebnego końca. „Proste opowiadanie“ doprowadzone do pierwszego zamachu wówczas jeszcze młodocianéj komuny, daje na pierwszym planie rzadkiéj wierności fotografię człowieka, z któréj pokazuje się jasno niestety, iż wielki mówca jako mąż stanu był olbrzymiem zerem.

Przechodząc od osób do rzeczy saméj, znajdujemy bądź co bądź w tych owocach słabości ludzkiéj, szacowny materyał do historyi strasznych wypadków jakim Francya w naszych oczach uległa; szkic pobieżny, lecz na teraz wystarczający, szeregu błądzeń rządców Francyi od Sadowy do dni niemal bezpośrednio poprzedzających ostateczną katastrofę. Odkrycia przyszłości posłużą kiedyś jedynie do utworzenia zupełnego obrazu epoki. Dziś, na podstawie danych powyższych, można już oznaczyć główne i wielkie winy Cesarstwa i jego spadkobierców w prostéj linii, udział i odpowiedzialność obu rządów w nieszczęściach kraju, a nakoniec wyciągnąć ztąd pewne nauki powszechne, dające się zastosować z pożytkiem w każdym czasie i na każdem miejscu.

I.

Szukając w niedalekiéj przeszłości punktu wyjścia sporu rozstrzygniętego ostatecznie pod murami Paryża, przychodzi się wprost do Sadowy i wyprawy przeciwko Austryi w r. 1866, przedsięwziętéj jeśli nie z wspólnictwem, to za milczącem zezwoleniem Francyi rządzonéj przez Napoleona III, którego tajnych myśli tylko wiernem echem był zapewne p. Rouher, gdy *post facto* téj wyprawie dał miano *nieroztropności pruskiéj*. Polskie pióro europejskiéj sławy, skreśliło w swoim czasie genezę dyplomatyczną dziejowego faktu, stanowiącego erę w historyi upadku drugiego cesarstwa i politycznego upadku Francyi, — przygotowania Sadowy, rodzicielki Sedanu i kapitulacyi paryskiéj. Jakby wieszczym duchem tknięty, kończy p. Klaczko swą pracę słowami, których głęboką prawdziwość wypadki stwierdziły: „Francya nieskończyła jeszcze płacić ceny nieroztropności pruskiéj.“

Przepowiednia spełniła się. Wiemy również, ile kosztowała Francyę owa nieroztropność mniemana, dla któréj Francya napoleońska uczyniła z swéj strony wszystko co było w jéj mocy, aby jéj ułatwić powodzenie i zapewnić zwycięstwo, aby nieroztropność zamienić w najczystszą mądrość. Co więcéj, ta sama Francya, gardząca wielką nauką Sadowy, znowu czyniła wszystko co mogła, pracowała całą siłą żeby się uiścić co do grosza z długu tak dziwnie zaciągniętego.

Herostratowéj sławy wygnaniec z Chislehurst szczególną rolę odegrał na widowni świata. Wznawiając niejako wielkie marzenie Henryka IV, chciał zmienić kartę Europy, zrobić Francyę wielką a Europę szczęśliwą, lecz nieumiał i niezdołał nigdy dać swoim zamysłom formy określonéj. Bawił się w kombinacye nie mające podstawy realnéj, łudził siebie i świat teoryami, konspirował przeciwko istniejącemu porządkowi europejskiemu, dotykał wszystkiego i burzył wszystko czego dotknął, — w rezultacie rozbił organizm Europy na bezwładne atomy, popchnął Francyę do zguby; z siebie, swego tronu i swego kraju zrobił posłanie dla cudzéj wielkości i cudzéj sławy.

Gdyby podobnem było rozebrać chemicznie na pierwiastki wielkość zjednoczonych Niemiec i chwałę męża stanu ks. Bismarcka, ujrzelibyśmy niezawodnie w jednéj i drugiéj niepośledni procent pierwiastku napoleońskiego. Szczęśliwa gwiazda kanclerza niemieckiego sprawiła zapewne, iż obok iskry geniuszu i innych darów złych i dobrych, jakich obfitość znalazł w kolebce, zastał jeszcze na tronie Henryka IV człowieka jakby stworzonego na narzędzie dla takiéj ręki, człowieka co mu służył za mentora, co otaczał macierzyńską opieką jego pierwsze kroki, torował drogę, usuwał w porę przeszkody, i chowając w głębi serca zamiar zduszenia kiedyś w wężowych pierścieniach, dał się w końcu ująć jak mucha w sieci pająka. — Niesława Napoleona III i sława ks. Bismarcka przejdą do historyi w nierozdzielnym związku, i współzawodnictwo ich zajmie miejsce obok najdramatyczniejszych walk ludzi streszczających w sobie dążenia i wybitne kierunki ducha swéj epoki. Olbrzym i karzeł w dziedzinie czynu, wędrować będą razem przez wieki jak bracia Syamscy.

Pierwsze wystąpienie p. Bismarcka na scenie czynnéj polityki datuje równocześnie z chwilą, gdy poczęto na dobre powątpiewać o sfinksowéj mądrości i politycznych przymiotach cesarza Francuzów. Peryodyczne „budzenie się lwa“ nie czyniło już wrażenia, bo lew za każdą razą zasypiał na nowo, a uspiony niewiele był straszniejszym od pospolitego kota. W ciągu jednéj z takich drzemek, były reprezentant Prus przy dworze paryskim został powołany do Berlina na prezesa rady ministrów. Z dyplomatycznéj karyery nad Menem, Sekwaną i Newą wyniósł p. Bismarck reputacyę człowieka dotkniętego chorobą uważaną za zabójczą dla ludzi jego rzemiosł, nadzwyczajną niepowściągliwością języka. Legenda, otaczająca już owe czoło potężne uzbrojone trzema włosami, milczy zupełnie w materyi osobistych stosunków lwa z junkrem pomorskim, który przychodząc do władzy miał — jak to ktoś słusznie zauważył [1]) — to szczęście niepospolite dla męża politycznego, że go długo zapoznawano, a tem samem nieprzeceniając przedwcześnie, ochroniono od zużycia przed czasem. W Berlinie

---

[1]) P. St. Koźmian w artykule: *Północny Związek Niemiecki.*

w sferach najlepiéj dlań usposobionych, uchodził co najwięcéj za osobistość energiczną i pełną odwagi. Co do jego widoków i opinii politycznych, wiadomem było, iż pragnął zapewnić Prusom przewagę w Niemczech i głównego nieprzyjaciela Prus upatrywał w Austryi. Z królem Wilhelmem stykał się na jednym punkcie: w kwestyi reorganizacyi armii wbrew parlamentowi i woli kraju; lecz król chciał armii dla armii, bo armię uważał za najpierwsze przykazanie królewskości w Prusach; minister zaś cenił dobrą armię jako środek do osiągnięcia wielkich celów politycznych i patryotycznych. Dzięki p. Bismarkowi, król rządził cztery lata bez regularnego budżetu i postawił na nogi ową armię, uznaną prędko za pierwszą pod słońcem.

Minister mający za sobą tylko koronę, przeciwko sobie silną partyę dworską z królową na czele, daléj parlament i cały naród, nawet w Prusach nie mógł się ostać bez jakiegoś czynu, stwierdzającego wartość słów i dążeń. Chroniczny spór o księstwa Nadelbiańskie przedstawiał wyborną ku temu sposobność, a nadto dogadzał szerszym zamiarom p. Bismarcka, bo Prusy wypowiadając wojnę Danii, brały w rękę sprawę obchodzącą cały Związek niemiecki i drogą wszystkim mózgom patryotycznym, z któréj w przyszłości mogły łatwo ukuć broń przeciwko Austryi.

Rozbiór Danii został postanowiony i dopełniony za czynnem przyłożeniem się Austryi, w oczach Rosyi, Anglii i Francyi. Pomoc austryacką okupiono obietnicą wzajemności w razie ataku na Wenecyę. Rosya w zamian za neutralność zyskała drobne usługi w sprawie polskiéj. Anglia chciała coś zrobić dla Danii, z mocnem postanowieniem jednak uniknięcia wojny. Francya trzymała się na uboczu i odrzucała wszelkie propozycye angielskie, dążące do podjęcia kampanii dyplomatycznéj na rzecz traktatu londyńskiego, — nieco przez zabobonną cześć dla zasady narodowości, którą starała się wprowadzić w prawo publiczne, — nieco przez poszanowanie miłości własnéj Niemców, oraz przez nieufność względem gabinetu londyńskiego, który nie chciał wiązać się niczem na wypadek wojny kontynentalnéj, sprowadzonéj nieudaniem się negocyacyi dyplomatycznych. Prócz tego, rząd cesarski, namiętnie lubujący się w abstrakcyjnych kombinacyach, marzył o po-

kojowém wytworzeniu się w Niemczech nowego czynnika między Austryą i Prusami, konfederacyi drobnych państw, która samą siłą rzeczy miała stać się sprzymierzeńcem Francyi. W końcu rachowano w Paryżu i na możebność konfliktu zbrojnego Anglii i Prus.

Wszystkie rachuby zawiodły co do jednéj. Dania została pobitą, Anglia nieruchomą; p. Bismark zgniótł konfederacyę w zarodzie; co gorzéj trzy państwa północne zbliżyły się do siebie i do Anglii. Odosobniona Francya jedne Włochy trzymała w szachu Wenecyą i Rzymem, i jako zadatek ściślejszéj przyjaźni ofiarowała im konwencyę wrześniową. Po raz nie wiem który a nie ostatni, w polityce napoleońskiéj odbiła się prawda często napotykana w życiu codziennem, że ludzie umiejący zyskać sobie otwartych nieprzyjaciół, zdobywają zarazem przyjaciół prawdziwych. Napoleon nie miał pierwszych, nie znalazł też i drugich; zraził i odsunął od siebie kolejno wszystkie państwa, i dopiero wtenczas trafił na wroga.

W celu rozbicia nowéj edycyi św. Przymierza, rząd francuski postanowił zbliżyć się do Prus, jako do jedynego mocarstwa z którem zbliżenie było przynajmniéj możebnem. P. Klaczko złotém i jak sztylet zaostrzonem piórem opisuje jak w Paryżu spekulowano na tajemne aspiracye Prus i charakter pruskiego ministra, jak Napoleon III sądząc p. Bismarka brał miarę z siebie i własnym mierzył go łokciem. Wiedziano dobrze, że on to osobiście pracował nad zbliżeniem trzech dworów, że z Austryą zawarł traktat gwarantujący posiadanie Wenecyi, że z budującem namaszczeniem mówił o prawie Bożem, o świętych podstawach europejskiego pokoju, — ale spodziewano się także, iż potrafi niemniéj łatwo władać nową nauką nowoczesnego prawa publicznego, bronić wszechwładztwa ludu, głosowania powszechnego, zasady narodowości i opatrznego posłannictwa pewnych państw.

Prusy pospieszyły nakłonić ucha. Król Wilhelm wracając z Wiednia zboczył do Schwalbach, aby powitać cesarzową Eugenię (wrzesień 1864), a w następnym miesiącu p. Bismark wybrał się w pierwszą podróż do Biaritz. W Paryżu chętnie mówił o polityce, zapewniał że Francya nie powinna obawiać się wzrostu Prus w Niemczech, bo linia Menu stanowi ostateczną granicę, poza którą zostaje dość miejsca dla Austryi;

przytem wyrzekając na złą konfiguracyę geograficzną swojéj ojczyzny, dowodził, że właśnie to nieszczęśliwe położenie zmuszało Prusy ciążyć w stronę Petersburga i Wiednia, krążyć nieustannie w orbicie św. Przymierza. Przeciwnie, Prusy zaokrąglone odnajdą wolność ruchów i swobodę sojuszów, a wtenczas zwrócą się ku Francyi, która opierając się na przymierzu interesów i sympatyi, będzie mogła śmiało podjąć kwestye wiszące, sprawę włoską, wschodnią, może nawet polską, zaokrąglić się z swéj strony, zrównoważyć nabytki Prus wzięciem *gniazda demagogii*, neutralnéj Belgii.

Ówczesny mieszkaniec pałacu Tuileries, konspirator z rzemiosła i nałogu, mający pretensyę do daru odgadywania ludzi i głębokiéj znajomości charakterów, znalazł, że bądź co bądź, p. Bismarck ma przecież pewne dobre strony. W mniemaniu cesarza, człowiek co miał tak mało przesądów a rozporządzał taką mnogością zdrowych poglądów i okazywał tyle popędu do karkołomnych przedsięwzięć, — taki człowiek zasługiwał na bliższą uwagę, jako materyał na powolne i użyteczne narzędzie przyszłości. Postanowił więc dodać mu za mentora dyplomatę nowéj szkoły „obeznanego z potrzebami wieku i aspiracyami narodowemi.“ W tym celu legacya berlińska została podniesioną do rzędu ambasady i powierzoną p. Benedetti (7 października 1864), który do powyższych warunków łączył giętkość i wierność wypróbowaną.

Ministrem spraw zagranicznych był wtenczas p. Drouyn de Lhuys, umysł spokojny, rozważny i umiarkowany, konserwatysta z temperamentu i przekonania; zwolennik przymierza austryackiego; dyplomata staréj szkoły, która — jak powiada p. Klaczko — miała przynajmniéj kroplę historyi ojczystéj we krwi, która umiała przez długie lata utrzymać Francyę na pewnéj wysokości znaczenia i wpływu. Nowy ambasador był jawnym przeciwnikiem ministra, niebawem zaś zyskał w łonie gabinetu sprzymierzeńca w osobie p. de Lavalette, z którym dawniéj już brał udział w machinacyach włoskich, i który nie krył się ani z zamiarem wysadzenia swego kolegi z Quai d' Orsay, ani z ambicyą objęcia teki spraw zagranicznych.

Pierwszym warunkiem dobréj służby publicznéj musi być jedność zapatrywań i opinii przełożonych i podwładnych. Narzucenie więc p. Drouyn de Lhuys otwartego antagonisty na

ajenta dyplomatycznego, rzuca podejrzenie że cesarz, jeśli nie prowadził ciągle na wzór Ludwika XV dwoistéj polityki, urzędowéj i prywatnéj, to przynajmniéj starał się na wszelki przypadek zapewnić sobie możność ukrytego działania za pomocą poufnéj dyplomacyi sekretnéj. Wprawdzie p. Benedetti w swéj książce utrzymuje, iż nieprawdą jest, aby w ciągu urzędowania w Berlinie odbierał podwójne instrukcye, z Quai d'Orsay i z Tuileries, znosił się z cesarzem bezpośrednio poza plecami swego naczelnika, lub służył za organ sekretnéj polityki cesarza, jednak gołosłowne protestacye nie zdołają tego podejrzenia usunąć. Obok tak nieharmonijnych żywiołów bowiem jak minister spraw zagranicznych i ambasador przy dworze berlińskim, stał jeszcze wszechwładny minister stanu, nazywany wice-cesarzem, powiernik i doradca monarchy, głowa i filar rządów osobistych, w rękach którego skupiały się nici tajemne wszystkich spraw państwa. Podczas wojny Prusacy zabrali z Cerçay, zamku p. Rouher, jego papiery, zawierające między innemi, ogłoszoną częściowo w *Staats-Anzeiger*, korespondencyę z ambasadorem w Berlinie, w przedmiocie skandalicznych negocyacyi o anneksyę cudzéj własności. Korespondując z p. Rouher w sprawach publicznych, niepotrzebował p. Benedetti pisywać wprost do cesarza. Trudno zaś przypuszczać, aby listy tak ciekawe zachowywał p. Rouher do osobistéj wiadomości, nie dzieląc się nimi z dostojnym klientem, albo też korespondentowi berlińskiemu odpowiadał nowinkami o pogodzie i deszczu.

P. Benedetti usiłuje dowieść, że z p. Rouher korespondował tylko w chwili bezkrólewia w wydziale spraw zagranicznych, że w ciągu swéj misyi był tylko prostym obserwatorem i dostarczycielem wskazówek o stanie rzeczy na miejscu, że przed Sadową nie brał najmniejszego udziału w negocyacyach między dwoma rządami. Leży to w sprzeczności z myślą przewodnią jaka go do Berlina zawiodła, z jego charakterem i ambicyą, wreszcie wzgląd pierwszorzędnéj wagi, w sprzeczności z czynnym udziałem gabinetu cesarskiego w przygotowaniach do wojny austryacko-pruskiéj. Między cesarzem Francuzów, p. Rouher, hr. Goltz i p. Bismarkiem miejsce dla ambasadora Francyi w Berlinie było z góry samą siłą rzeczy naznaczone, tem bardziéj że minister spraw zagranicznych

p. Drouyn de Lhuys był usunięty na drugi plan. Wszak w najkrytyczniejszéj chwili, 7 marca 1866, pisał do p. Benedetti: „Znajduję pańskie listy prywatne nader interesujące; „ale nie możesz pan tego powiedzieć o moich odpowiedziach. „Na teraz nie mam nic do dodania ani do zmienienia w mo- „ich instrukcyach.“

Ostatni frazes powtarza się i późniéj w listach i depeszach p. Drouyn de Lhuys. Treścią owych instrukcyi — jak mówi p. Benedetti — było: „obserwować i zdawać sprawę z spostrzeżeń.“ Z raportów sowicie przytoczonych przekonać się łatwo, iż skromną rolę w granicach powyższéj instrukcyi, p. Benedetti czujnie i wiernie wypełnił, informując rząd krok w krok o zamiarach, a nawet zamysłach p. Bismarcka, którego od początku mianuje niebezpiecznym człowiekiem. Dokładność informacyi zdaje się jednak wskazywać, iż bywał nieraz konfidentem niebezpiecznego człowieka, choć mu do tego instrukcye wyraźnego tytułu nie dawały. Natomiast skarży się często w depeszach na niedostatek wskazówek z ministeryum, co do zachowania się w obec naglących ewentualności, i na brak dokładnych informacyi w najważniejszych sprawach, stawiający go w trudnem i fałszywem położeniu.

Rozdział poświęcony przygotowaniom Sadowy, nie przynosi nic nowego w téj materyi; potwierdza tylko wszystko co już wiedziano z pracy p. Klaczki: *Les Préliminaires de Sadowa.* Najciekawszą stronę stanowią bezwątpienia konfidencye p. Bismarcka o stosunkach z królem, codzienne szczegóły pracy wytrwałéj i powolnéj na umyśle monarchy, którego nie łatwo przychodziło sprowadzić na drogę *awantur*, jak się wyraża p. Benedetti.

Mówiąc o misyi jen. Govone i układach poprzedzających traktat prusko-włoski, p. Benedetti broni się od zarzutu jakoby do układów rękę miał przyłożyć, i twierdzi, że stało się to nawet bez jego wiedzy. — Zapewne liczył na naiwność czytelników i twierdzenia jego w tym względzie wolno przyjąć z niedowierzaniem. Zresztą kwestya to podrzędna, kwestya osób, nad którą nie możemy się zatrzymywać, równie jak nad rozdziałem traktującym historyę pretensyi francuskich o wynagrodzenia terytoryalne nad Renem, w Luksemburgu i Belgii. Z częściowych niedyskrecyi gabinetu berlińskiego

trzebaby wnosić, że i na tym punkcie ambasador całéj nie powiedział prawdy. Do scharakteryzowania błądzeń polityki napoleońskiéj wystarcza pewność istnienia podobnych pretensyi i mętnych a szalonych kombinacyi, które zamiast złe naprawić, koniec końcem wyszły na szkodę Francyi.

Złemu należało pierwéj zapobiedz, niedopuszczając rozbioru Danii i Sadowy. Francya napoleońska nie uczyniła nic, aby te dwa ciosy odwrócić. Cesarz w Biarritz konspirował z p. Bismarckiem przeciwko porządkowi europejskiemu; podczas gdy ten zbroił się i gotował do czynu, wynalazł teoryę aglomeratów i wypowiedział ponownie traktat wiedeński. — Wybuchła wreszcie wojna długo i zawczasu przygotowywana. Była chwila, mniéj więcéj między 10 a 20 czerwca, kiedy *czerwone spodnie* spieszące na pomoc Bawaryi i jéj sprzymierzeńców, znalazłyby tam przyjęcie dobroczyńców i zbawców, — lecz władca Francyi uznał za lepsze zostać świadkiem boju i czekać co wypadki przyniosą. W mglistym jego umyśle majaczyła świetna i wielka kombinacya, gruntowna reforma karty środkowéj Europy odpowiednio interesom Francyi; kombinacya oparta, niestety, na kruchéj podstawie illuzyi branych za rzeczywistość. Podług niéj Austrya miała zwyciężyć na równinach Lombardyi i Czech, a Francyi przypadała wdzięczna rola rozjemcy. Bóg wojen inaczéj zarządził pod Sadową i cała kombinacya runęła w nicość. — P. Benedetti udał się do Nikolsburga, uzbrojony w pióro, aby pośredniczyć w zawarciu pokoju i utargować dla Francyi Moguncyę, Luksemburg, choćby piędź ziemi jakiéj.... Otrzymał podobno pewne względy dla Saksonii, tak przynajmniéj twierdzono w swoim czasie, ale i o tem drobniuchnem zwycięztwie wątpić wolno, albowiem pokój z Saksonią długo jeszcze kazał czekać na siebie, pomimo zawarcia traktatu Pragskiego.

II.

Przedugodne punkta pokoju pragskiego, podpisane w Nikolsburgu, zostały ułożone w Paryżu i imieniem Francyi przedstawione mocarstwom wojującym. W ciągu układów p. Benedetti zażądał (5 sierpnia) ustąpienia Moguncyi wraz

z lewym brzegiem górnego Renu. P. Bismarck twierdził w parlamencie berlińskim [1]), że owemu żądaniu towarzyszyła groźba natychmiastowéj wojny; na co on miał odrzec: „*Bien, alors nous aurons la guerre.*“ Do wojny jednak nie przyszło, bo cesarz uznał że dla tak drobnych korzyści nie warto całych Niemiec przeciwko Francyi wyzywać; bo zresztą Francya wtenczas, jak i późniéj, wojny prowadzić nie mogła dla braku wojska. Natomiast niebawem podniesiono kwestyę Luksemburga.

Obostrzone groźbą, czy słowami jedynie poparte żądanie kawałka ziemi niemieckiéj, postawione nadto w chwili gdy Prusy świeżo odniosły wielkie zwycięztwa, było niesłychanym błędem, nasieniem niezgody które z czasem owoców przynieść nieomieszkało, znakomitą usługę oddaną Prusom. Zyskiwały one talizman nieomylnéj potęgi, za pomocą którego w każdym momencie mogły zawiązać koalicyę wszystkich państw niemieckich przeciwko temu, co sięgał po Ren. — Był to pierwszy krok na drodze, która mając wieść do odwetu za Sadowę, zawiodła do Sedanu.

Gdyby cesarz nie złożył świetniejszych dowodów nieudolności, trudnoby przyszło wytłómaczyć sobie jego zaślepienie w tym razie. Wszak dość było pobieżnie przebiedz Niemcy, aby się przekonać jak opinia nie przypuszczała nawet myśli ustąpienia jednéj piędzi ziemi. P. Benedetti przestrzegał o tem wielokrotnie w swoich depeszach [2]), pisał wy-

---

[1]) Mowa kanclerza z 2 maja 1871.

[2]) Wczoraj p. Bismarck, wyrażając mi swoje obawy co do naszych intencyi, rzekł, iż radby przed rozpoczęciem wojny poznać zamiary pańskie (p. Drouyn de Lhuys), szczególnie na wypadek gdyby Prusy odniosły wielkie korzyści. Podniosłem jego zapewnienia, iż król niechce przypuścić myśli, by był zmuszony ustąpić jakiejś części terytoryum Prus. W mniemaniu JKr. Mości, przynajmniéj podług p. Bismarcka, kompensaty na rzecz Francyi powinnyby być wzięte tam na jéj granicach, gdzie mówią po francusku. Prezes rady miał sam zwrócić uwagę monarchy, iż aby rozrządzać jednem z tych terytoryów, trzeba je pierwéj posiadać. P. Bismarck rzekł jednak w ciągu rozmowy: „gdyby Francya żądała Kolonii, Bonn, albo nawet Moguncyi, wolałbym raczéj zniknąć z wi-

raźnie: „iż w Niemczech umysły *najmniéj uprzedzone odrzucają z oburzeniem wszelką myśl tranzakcyi pociągającéj za sobą utratę jakiejkolwiek cząstki terytoryum;* przytaczał dosłownie wyrażenia króla, następcy tronu i prezesa gabinetu. Pomimo to cesarz nie wyrzekł się illuzyi i chciał, aby Prusy zwycięzkie, na proste wezwanie i „dla pięknych oczów jego“ zgodziły się rozpocząć erę swego przodownictwa w Niemczech — rozbiorem Niemiec.

Wprawdzie p. Bismarck napomykał zlekka o możliwości sprostowania granic nad Mozellą [1]); łatwo jednak rząd francuski mógł przeniknąć w jakim celu Machiavel Berliński to czynił. Niepomylimy się zapewne sądząc, iż kusił paryzkich polityków, marzących o kompensatach nad Renem, dla tego tylko, by otrzymać sformułowane żądanie, a następnie użyć je za argument ułatwiający przeprowadzenie daleko sięgających zamiarów na polu niemieckiéj polityki. Jakoż w odpo-

---

downi politycznéj, niż przystać na to.“ — (Dep. p. Benedetti do p. Drouyn de Lhuys, z 4 czerwca 1866.)

W cztery dni późniéj p. Benedetti mówiąc o stanie opinii w Prusach i w Niemczech i usposobieniach względem Francyi, pisze: „....Stracono już z oczów odwiecznego nieprzyjaciela, widmo ambicyi francuskiéj. Wszyscy w końcu oddają hołd potędze rządu cesarskiego. Partya konserwatywna, urzędnicy, arystokracya i armia, wspólnie z organami rządowemi chwalą umiarkowanie polityki cesarza.... Norddeutsche Allg. Ztg. starała się niedawno wyrażać, że Prusy walcząc przeciwko rewolucyi francuskiéj popełniły fatalny błąd, którego skutki dotąd czuć się dają. *Gazeta Krzyżowa* odzywa się o nas z wyszukaną grzecznością. Liberalni nazywają nasze zachowanie się bez zarzutu.... Pomimo tego nie należy wnosić abyśmy stanowczo przezwyciężyli uprzedzenia ludu pruskiego i zdobyli jego sympatye.... Potrafiliśmy zaledwie uspokoić obawy żywione wszędzie w Niemczech przeciwko Francyi, lecz *istnieją one zawsze w głębi i obudzą się jednomyślnie z całą gwałtownością, skoro powstanie najlżejsze podejrzenie, że chcemy się posunąć ku Renowi.... Le Roi comme le plus humble de ses sujets, ne supporterait pas, en ce moment, qu'on lui fit entrevoir l'éventualité d'un sacrifice de cette nature.*

[1]) Depesza p. Benedetti z 4 czerwca 1866.

wiedzi na pretensye francuskie zawarł traktaty zaczepne i odporne z państwami południowemi wymierzone oczywiście przeciwko Francyi, któréj postawa nie mogła jak tylko tę pracę ułatwić. Zrozumie to każdy, kto wie ile nienawiści i bojaźni zostało się jeszcze w Niemczech z czasów wojen rewolucyjnych i napoleońskich. Wskrzeszeniem tego widma odniósł p. Bismarck niejedno zwycięztwo; prosta rzecz iż nie zaniedbał pokazać straszydła podczas układów o traktaty i odwołać się do uczuć patryotycznych, do poczucia niemieckiéj solidarności wczorajszych nieprzyjaciół. Taka Bawarya np. mogła w Nikolsburgu spekulować na posiadłości austryackie *(Innviertel)*, nie wstydzić się wniesienia na stół myśli rozbioru niedawnego sprzymierzeńca: — niemieckie wsie i miasta zmieniając pana, nie odpadały od wielkiéj ojczyzny, więc niemieckie sumienie pozwalało na taki handel. Gdy chodzi o Ren, wtedy Prusak, Bawar i Saksończyk zapomina o partykularnym antagonizmie i czuje się tylko Niemcem, powołanym do obrony wspólnéj własności.

Poprzednio już p. Bismarck wysłał (7 sierpnia) jen. Manteuffel do Petersburga „aby uspokoić dwór rosyjski, okazujący pewne niezadowolenie z powodu niedojścia projektowanego kongresu.“ Na zapytanie p. Benedetti: czy jenerałowi wiadome były propozycye francuskie, p. Bismarck odrzekł „iż nie miał sposobności mówić z nim o tem, ale nie ręczy, by król nie udzielił mu ich treści“ — kongres rozbił się jeszcze w czerwcu, w przyjście kongresu do skutku nie wierzył nikt, wypadki wojenne zatarły pamięć drobnego epizodu; po Sadowie dwór petersburski miał ważniejsze powody nieukontentowania, a misya jenerała ccl donioślejszy: zjednanie sprzymierzeńca na wypadek zawikłań z Francyą.

Przyznaje to p. Benedetti w znakomitym ze wszech miar raporcie, datowanym z Berlina, 5 stycznia 1868 r. „Obok „szybkości w postanowieniach — pisze — p. Bismarck odzna„cza się przezornością i czynną ruchliwością. Zrozumiał on, „że dla dokonania nowych projektów niedość zatrzeć we„wnętrzne niezgody i oprzeć się na zapale wznieconym przez „tryumf jego polityki; ujrzał nadto potrzebę zasłonięcia się „przed niezadowoleniem Francyi. W tym celu, nie tracąc „jednego dnia, postarał się w Petersburgu o przymierze, usi-

„łował ułatwić szybką reorganizacyę armii i stawiać wszędzie „trudności polityce cesarskiéj.“

„Jen. Manteuffel został nagle wysłany z misyą do cesa- „rza Aleksandra, bawił kilka tygodni w Petersburgu i odtąd „gabinet tamtejszy nie przestał w stosunkach z Prusami za- „chowywać postawy najwidoczniéj przyjaznéj. Poseł rosyjski „w Berlinie, w początkach żywo zaalarmowany powodzeniem „oręża pruskiego i niekryjący się z tem, był powołany do „Petersburga, zkąd wrócił po paru tygodniach zupełnie za- „spokojony i obojętny zarówno na los książąt niemieckich „spokrewnionych z domem rosyjskim, jak i na rozwój mili- „tarnéj potęgi Prus.“

Porozumienie z Rosyą miało na oku prócz Francyi i inne mocarstwo, podejrzane o zamiar odwetu za Sadowę, mianowicie Austryę, którą Rosya obiecała trzymać na wodzy. W zamian ks. Gorczaków otrzymał swobodę ruchów na wschodzie. Przynajmniéj p. Bismarck nie sprzeciwiał się widokom rosyjskiego kanclerza, unikał wszelkiéj rozmowy o kwestyi wschodniéj, utrzymując „że nigdy nie czyta korespondencyi swego ajenta w Konstantynopolu.“ Zapisawszy te spostrzeżenia, p. Benedetti dodaje: „Kanclerz związkowy wié, iż na „Wschodzie nie może zajść nic stanowczego bez pomocy lub „przyzwolenia Niemiec, jeźli Niemcy będą zjednoczone i silne. „Zaostrza więc bez obawy ambicyę Rosyi, byle zyskać w za- „mian przyjazną abstencyę względem zmian zamierzonych „w Niemczech. Znajduje w tem zresztą bezpośrednią korzyść „i niepokoi Austryę zapomocą Rosyi, i niedziwiłbym się wcale, „gdyby p. Bismarck był instygatorem nowego popędu, nada- „nego w lecie propagandzie panslawistycznéj.“

Podobna kombinacya powtórzyła się na wiosnę r. 1870, w przeddzień wojny z Francyą. — Wówczas w Nikolsburgu Francya własną ręką zburzyła wszelkie szanse szybkiego powetowania klęski, jaką poniosła wskutek *przyjaznéj neutralności* dotrzymanéj Prusom podczas zamachu na Austryę i związek niemiecki. Wprawdzie spełniło się marzenie Napoleona III, z traktatu wiedeńskiego którego *niecierpiał*, nie został już kamień na kamieniu.

III.

Prusy, owe mocarstwo problematycznéj potęgi, przez grzeczność wielkiem nazywane, rządzone przez męża stanu awanturniczéj śmiałości, *zaokrągliwszy* się przyzwoicie posiadłościami zdetronizowanych „dobrych braci“ króla Wilhelma, stanęły na czele Północnego Związku Niemieckiego. P. Bismarck z prostego szlachcica został hrabią, — z szaleńca geniuszem. Ambicya jego sięgała daléj. Zatrzymał się chwilowo aby wprowadzić w życie politycznie i militarnie konstytucyę związkową, czyli jak wyraził się w parlamencie: „Niemcy na siodle posadzić.“ Ostatecznym jego celem było i być musiało zjednoczenie całych Niemiec pod wodzą Prus, w chwili stosownéj, środkami w danym momencie wskazanymi.

Wiedzieli o tem wszyscy „mający oczy ku widzeniu i uszy ku słyszeniu.“ Pisał to wyraźnie p. Benedetti i pułk. Stoffel, dodając jednocześnie, że Prusy nie myślą Francyi wyzywać, ale przed wyzwaniem się nie cofną; że wojnę z Francyą uważają za rzecz nieuniknioną prędzéj czy późniéj i do wojny nieustannie się gotują.

„P. Bismarck nie zamierza atakować Francyi — pisał „p. Benedetti [1]), — powtarzam to raz jeszcze, choć wiem „jak wielką odpowiedzialność przyjmuję na siebie. Celem „jego jest przekroczyć Men i przyłączyć Południe do Północy „pod władzą króla pruskiego, chociażby miał wydobyć oręż „przeciwko Francyi, usiłującéj otwarcie tego niedopuścić.“

„Jak się to stanie i kiedy się to stanie? P. Bismarck „może sam nie wié, nie ma bowiem zwyczaju rzucać się w po„dobne przedsięwzięcia bez względu na okoliczności i nie za„pewniwszy poprzednio wszelkich warunków powodzenia.... „Oczekując sposobnéj chwili niegardzi niczem aby przysposo-

---

[1]) W przytoczonym już wyżéj raporcie z 5 stycznia 1868, który jest modelem bystrości poglądów i jasności stylu. W tym roku zajmowano się bardzo w Paryżu ruchem unitarnym objawiającym się w Niemczech i kwestyą wojny z Prusami.

„bić ku temu ludzi i rzeczy, aby zawczasu przygotować uko-
„ronowanie swego dzieła. *Zdaje on sobie dokładną sprawę*
„*z błędu jaki popełnił p. Cavour przyłączając przedwcześnie*
„*Neapol do królestwa włoskiego i w ten błąd nie popadnie;*
„*zanim rozedrze traktat pragski, czekać będzie chwili zupełnie*
„*stosownéj i wtenczas obierze odpowiedni sposób postępowania....*
„Wierzę mocno, że w dniu, w którym stan Europy na to
„pozwoli, a rzeczy w Niemczech dojrzeją, p. Bismarck wy-
„kona plan powzięty z szybkością, *i król Pruski zostanie*
„*ogłoszony monarchą całych Niemiec, czy to z tytułem Cesarza,*
„*czy też z tytułem czasowym Naczelnika Związku.*“

„Moim obowiązkiem jest zwrócić uwagę pańską na ziszcze-
„nie się prędzéj czy późniéj tak ważnéj ewentualności; rządowi
„cesarskiemu wypada zastanowić się nad skutkami i określić wła-
„sne obowiązki w téj mierze. Pozwolę sobie jednak przytoczyć
„parę krótkich uwag. Jakkolwiek trudno jest naprzód ozna-
„czyć ściśle przyszłą postawę Francyi, zjednoczenie Niemiec
„pod silnym rządem militarnym, zachowującym zaledwie ze-
„wnętrzne formy parlamentarne, stanowi fakt zbyt blisko ob-
„chodzący nasze bezpieczeństwo, aby nie postawić i z góry
„nie rozstrzygnąć pytania: Czy wypadek podobny zagraża nie-
„podległości Francyi i jéj stanowisku w Europie, oraz czy
„takie niebezpieczeństwo nieda odwrócić się inaczéj jak przez
„wojnę?“

Rzeczywiście w tem pytaniu streszczała się cała polityka Francyi względem Prus i Niemiec. Jeżeli rząd cesarski sądził, że Francya nie powinna się obawiać radykalnéj przemiany stosunków państw w środkowéj Europie, sprowadzonéj zjednoczeniem Niemiec, należało przyjąć postawę odpowiednią temu przekonaniu i złożyć czynne dowody pokojowych usposobień. — „Przypisują nam w Niemczech — ciągnie daléj ambasador — „zamiary nieprzyjazne, i nie pomylę się twierdząc, iż bliskie „starcie z Francyą uważane jest powszechnie za rzecz pewną „i nieuniknioną. Nadto, nieufność jakiéj przedmiotem jesteśmy, „stanowi jeden z głównych żywiołów władzy i uroku p. Bis-„marcka.“ Wiadomo z jaką zręcznością kanclerz umiał wywoływać widmo interwencyi francuskiéj w ciągu ważnych dyskusyi parlamentarnych, i wyzyskiwać poparcie całego stronnictwa umiarkowanego, bez różnicy odcieni. P. Benedetti radzi

więc wytrącić tę broń z ręki kanclerza „bo jednocześnie p. „Bismark napotka w stronnictwie liberalném, przeważającem „w Prusach i w całych Niemczech, silną wolę poddania dzia- „łań rządu surowéj kontroli, co pociągnie za sobą spory we- „wnętrzne i sciśnienie niezmiernych przywilejów korony.“ Dwuznaczne zachowanie się Francyi miało jeszcze inną stronę szkodliwą: scieśniało węzły łączące Prusy z Rosyą, która zyskiwała tym sposobem swobodę działań na Wschodzie i nad Dunajem siała komplikacye zdolne wywołać wojnę powszechną.

Jeźli przeciwnie rząd cesarski uznawał, iż Francya niemogła bez szkody dla siebie zezwolić na urzeczywistnienie jedności Niemiec, to w takim razie pozostawała jedna tylko droga: gotować się do wojny nieuniknionéj i czekać chwili najsposobniejszéj. P. Benedetti nie ukrywa niebezpieczeństw i trudności polityki wojennéj „w obec postawy Rosyi, osłabienia Austryi i anarchicznego stanu Włoch“ oraz ze względu na usposobienie ducha publicznego w Niemczech. Stara się wywieść swój rząd z illuzyi znalezienia sprzymierzeńców w Niemczech; przestrzega że cały naród pragnie najprzód jedności zostawiając czasowi zdobycie swobód wewnętrznych, że partykularyści znikną w masie i ucichną wobec wybuchu powszechnego. „Będzie to wojna olbrzymia, w któréj znajdziemy przeciwko sobie cały naród.... *Jeżeli los wojny przechyli się na stronę Niemiec, wymagania ich nie znajdą granic; dorównają pretensyom Prus, które po zwycięztwie zawsze okazywały się trudnemi do zaspokojenia.*

P. Benedetti nie mylił się, mamy tego dowody faktyczne. Zalecał Francyi dojrzałą rozwagę przed zrobieniem stanowczego kroku, radził „*zbroić się bez wytchnienia*,“ napominał rząd aby zawczasu *zdał sobie dokładną sprawę jakiéj pomocy spodziewać się może od Austryi*, aby starał się uporządkować inne kwestye sporne „bowiem aby zwyciężyć nad Renem, Francya nie będzie miała nadto wszystkich sił swoich.“

Wyraźniéj jeszcze przemawiał pełnomocnik wojskowy w Berlinie. Dostarczał on ciągle rządowi najdokładniejszych informacyi o potędze militarnéj Prus, a gdy cesarz zażądał opinii w kwestyi wojny z Prusami przesłał raport (z 12 sier-

pnia 1869) uderzający znajomością rzeczy, jasnowidzeniem i odwagą w wypowiadaniu prawd najdrażliwszych.

Pułkownik Stoffel, zasadzając się na głębokim antagonizmie narodów i rządów, uznawał że wojna musi wybuchnąć, przewidywał że będzie straszną i zawziętą. W jego przekonaniu Prusy również miały postanowienie unikać starcia i wyzwanie Francyi zostawić [1]). Daléj kładł szczególny nacisk na ciągłą gotowość Prus do wojny, na czujność i przezorność rządu, a następnie kreśląc obraz Francyi, poddawał surowéj krytyce: nieoględności swego rządu, spółeczeństwo francuskie, upadek ducha publicznego, nieradność Izb, niepatryotyczną postawę opozycyi, demoralizacyę prasy, wszystkie słabe strony charakteru narodowego i ustroju państwa.

Posłuchajmy go w streszczeniu.

— Francya nie zdoła nigdy najść znienacka na Prusy nieprzygotowane do boju. Cały naród, przejęty świadomością nieuniknionego starcia, czuwa nieustannie wraz z rządem. Organizacya militarna pozwala *skoncentrować na granicy Francyi, w przeciągu 20 — 25 dni, kilka armii, każda po sto tysięcy* żołnierza najlepiéj wyćwiczonego pod słońcem. Podczas kiedy Prusy poświęcają wszystko przygotowaniom wojennym, Francya niepomna na własne bezpieczeństwo osłabia się coraz bardziéj i jasnowidzeniu Prus dorównywa tylko zaślepienie Francyi.

— W Izbach pruskich rozmaite stronnictwa różniące się między sobą na polu wewnętrznem, jednoczy wspólna obawa Francyi i jéj chęci mieszania się w sprawy niemieckie. Zapominając o domowych swarach, wszyscy jednomyślnie popierają usiłowania rządu dążące do rozwoju armii i marynarki. We Francyi widzimy w Izbie, która szczyci się tem że reprezentuje kraj i która w saméj rzeczy streszcza w sobie lekkomyślnośc narodu, widzimy większość złożoną prawie całkowicie z mierności, z ludzi bez charakteru, bez wzniosłości poglądów i talentów prawodawczych; opozycyę mającą na czele

---

[1]) Przytacza słowa kanclerza: *Jamais nous ne vous ferons la guerre; il faudra que vous veniez tirer des coups de fusil chez nous, à bout portant.*

kilku adwokatów ambitnych i próżnych, silnych w języku, słabych sercem i ramieniem, których patryotyzm polega na zawiści, którzy kryją własną nieudolność i bezsilność, pod kwiatami retorycznymi i pod pozorem obrony interesów ludu, dla popularności targują się z rządem o każdy grosz i każdego żołnierza, a osłabiając Francyę zaprzedają ją tem samem nieprzyjacielowi.

— Prasa francuska zbywa najważniejsze sprawy czczemi frazesami, dyskutuje najwyższe interesa niemając o nich najmniejszego pojęcia, zamiast służyć Francyi jest narzędziem stronnictw, podkopuje zasadnicze instytucye kraju, stara się zasiać nienawiść i demoralizacyę w wojsku, dopomina się zmniejszenia stanu czynnego albo rozbrojenia, — i to w chwili gdy Francya wydobywając wszystkie siły zaledwie mogłaby podołać walce, może blizkiéj, w każdym razie olbrzymiéj.

— Porównywając stan moralny obydwóch krajów, trzeba przyznać, że ten naród pruski tak jasnowidzący, tak czujny, tak głęboko przeświadczony o własnem zadaniu, jest zarazem narodem najbardziéj oświeconym w Europie, najbardziéj karnym, pełnym życia, energii i patryotyzmu, niezepsutym jeszcze użyciem materyalnem, przejętym wiarą gorącą i poszanowaniem wszystkich rzeczy godnych szacunku. Francya śmiała się i śmieje z wszystkiego: cnota, rodzina, miłość ojczyzny, honor, religia uchodzą za przedmiot pośmiewiska u płochego i sceptycznego pokolenia. Teatr, pewna część dzienników, literatura najpopularniejsza uczy młodzież pogardzać wszelką świętością i drwić z wszystkiego. Zewsząd trucizna przenika w społeczeństwo, znikają resztki pięknych przymiotów narodu, tak, iż w końcu rasę francuską poznawać będą tylko po jéj wadach. Tymczasem inne narody wyprzedzają Francyę i spychają ją na podrzędne stanowisko. — W Prusach znajdujemy naród poważny, silny, wprawdzie szorstki, ale za to zamiłowany w pracy i nauce, w porządku, oszczędności, przejęty poczuciem obowiązku i godności osobistéj, poszanowaniem władzy i posłuszeństwem dla prawa; kraj wybornie administrowany, rządzony potężnemi instytucyami, kraj w którym każda rzecz jest na swojem miejscu, gdzie największy porządek panuje we wszystkich organach ciała społecznego.

„Nasze społeczeństwo — kończy — przypomina jedno „z owych arcydzieł architektury starożytnéj Grecyi, zburzonych „trzęsieniami ziemi od fundamentów do szczytu. Podróżnik „podziwia jeszcze pyszne i wdzięczne szczątki u stóp jego „w nieładzie rozrzucone, ale odchodzi ze smutkiem w sercu.“

Nieszczęściem mało kto między Francuzami widział i chciał przyznać z pułkownikiem Stoffel „że Francya w porównaniu z Prusami została w tyle o lat pięćdziesiąt pod względem oświaty i instytucyi, lecz za to wyprzedziła je o całe dwa wieki w rozkładzie społecznym.“

Jeźli te gorzkie prawdy, z rzadką otwartością wypowiedziane, nie wystarczały do otwarcia oczów cesarzowi i jego doradzcom, to powinny były wystarczyć cyfry. W razie wojny, Prusy mogły postawić na linii bojowéj milion żołnierza, Francya tylko 3—400 tysięcy. Przewaga liczebna leżała więc bezwarukowo po stronie Prus i była tak nieproporcyonalnie wielką, że osobiste męztwo, *furia francese*, turkosy i mitraliezy wyrównać szans w najlepszym razieby niezdołały. W prawdzie prawo z 1 lutego 1868 zaprowadzało we Francyi instytucyę gwardyi narodowéj ruchoméj w sile 500,000 ludzi, ale pułk. Stoffel wykazywał z góry nicość praktyczną téj reformy, która w swoim czasie tyle hałasu próżnego narobiła.

Art. 9. prawa, oznaczając tryb ćwiczeń gwardyi, stanowił, iż każde jednorazowe zebranie gwardzistów nie mogło trwać dłużéj nad dzień jeden [1]), czyli odejmował wszelką możność dania żołnierzom elementarnéj wprawy w robieniu bronią, nie mówiąc już o wyższem wykształceniu wojskowém. Tym sposobem cała instytucya została zwichniętą w zasadzie, i gwardya ruchoma skazaną istnieć tylko na papierze, zamiast obdarzyć Francyę równoważnikiem pruskiéj landwery.

Ostre nagany, jakich pułkownik nie szczędzi z tego powodu rządowi i Izbom [1]) nie mogły odnieść skutku, rząd bo-

---

[1]) Chaque exercice ou réunion ne peut donner lieu, pour les jeuner gens qui y sont appeles, à un déplacement *de plus d'un jour.*

[2]) On reste confondu quand on songe qu'une mesure aussi insensée ait pu être proposée et discutée serecusement par les

wiem wiedział dosknale co robi, dla czego zgniótł w jajku instytucyę gwardyi ruchoméj. Prawo miało cel wyłącznie polityczny, było manewrem rozbrajającym opozycyę, która domagała się uzbrojenia powszechnego, i manewrem obliczonym na omamienie opinii w kraju. Patryotyzm francuski zadawalniał się frazesem o półmilionowym zastępie, bez względu na rzeczywistość, a rząd więcéj nie pragnął; obawiał się zaś słusznie, że organizując na seryo gwardyę ruchomą, stworzy armię na usługi rewolucyi. W dwa lata późniéj, podczas wojny, jen. Palikao, jeżeli się nie mylę, wyrzekł pamiętne słowa, wybornie charakteryzujące sytuacyę: Chcecie aby rząd uzbroił całą ludność paryzką? Dobrze, damy broń, ale powiedzcie wprzódy kto tę broń będzie odbierać?... Podobne pytanie postawić sobie musi we Francyi każdy rząd, godzien tego nazwiska choć w najskromniejszem znaczeniu. I próżno się łudzić, uzbroić cały naród w kraju, gdzie bunt przeciwko wszelkiéj władzy istniejącéj jest pierwszym obowiązkiem obywatelskim, znaczy tyle co „szalonemu dać miecz w ręce.“ Niechcąc o tém pamiętać, rząd obrony narodowéj, złożony z szarlatanow politycznych i frazeologów, popełnił samobójstwo i przygotował panowanie komuny.

Cesarz stracił już podobno podówczas zmysł polityczny, nieopuścił go jednak jeszcze zwierzęcy instynkt zachowawczy; zlepił więc prawo śmiesznéj potworności, które przynajmniéj nie groziło dynastyi bezpośredniem niebezpieczeństwem. Przytem połechtał próżność Francyi, błysnął nową sztuką łamaną w oczach zagranicy, może sądził że Prusacy uwierzą w jego gwardyę papierową [1]). W Berlinie osądzono prędko podług

---

Chambres d'un grand pays, et qu'il se soit trouvé un gouvernement pour consentir à l'accepter et à l'introduire dans une loi.“ *Stoffel.* p. 291.

[1]) „Lorsque la loi fut promulguée, on jugea tout d'abord à Berlin que son application aurait pour conséquece d'augmenter les ressources militaires de la France, mais à la suite d'un examen plus approfondi, cette premiére appréciation se trouve aujourd'hui singulièrement modifiée.... En effet la loi ne permet pas de donner à la garde nationale mobile la moindre instruction militaire. Aussi est-elle regardée dans son ensemble comme un non-sens, ou comme une loi avortée, qui, loin

prawdziwéj wartości nową kreacyę napoleońską, która pomściła się srodze na swoim twórcy, wymawiając pierwsza posłuszeństwo cesarstwu w najkrytyczniejszéj chwili.

Chcąc czy niechcąc wojny, cesarz powinien był bezwarunkowo dążyć do postawienia armii czynnéj na stopie wskazanéj siłą zbrojną Prus, bo tylko wtenczas mógł traktować z sąsiadem jak równy z równym i spodziewać się, że wola Francyi będzie szanowaną i braną w rachubę. Cel polityki p, Bismarka był znanym; gabinet berliński stawiał rządowi cesarskiemu trudności na każdym kroku; w kwestyi luksemburgskiéj, we Włoszech, na Wschodzie; o rozbrojeniu mowy być nie mogło, na to bowiem niepozwalał system militarny pruski; w końcu niebezpieczeństwo wojny odwrócić była zdolną tylko bezwarunkowa zgoda Francyi na plany Prus w Niemczech. Wypadki pokazały, że cesarstwo zaniedbało nawet tak elementarnego obowiązku. Ulubionym argumentem bonapartystów są coroczne targi opozycyi o kontyngens i budżet wojenny, podług nich wina spada na lewicę Ciała Prawodawczego. Prawda; lewica widoki stronnictwa i doktryny ceniła wyżéj niż interes kraju, nawet pan Thiers niepotrafił wznieść się nad przesądy i być tylko Francuzem w kwestyi francuskiéj, ale większość szła bądź co bądź za rządem i uchwalała budżety bez zmiany, zostawiając nadto rządowi swobodę przenoszenia funduszów uchwalonych z jednéj pozycyi na drugą *(Virement)*. Ostatecznie więc rząd miał wolne ręce w granicach przez siebie nakreślonych, a gdy p. Bismark bez budżetu stworzył armię, Napoleon III z budżetem swoją zdezorganizował do takiego stopnia, że śladów rozrządzania groszem publicznym przeznaczonym na wojsko trzebaby szukać w najtajniejszych arkanach napoleonizmu.

Pomimo pokojowych oświadczeń i zapewnień rządu cesarskiego, od Sadowy wojna wisiała na włosku. Owoc błędu dojrzewał, sama siła rzeczy pchała dwa państwa do starcia. P. Bismark gotów w każdéj chwili w szranki wystąpić, czekał

---

de rien ajouter à la puissance de la France, ne produira, au contraire, qu'un affaiblissement de ses ressources.

Stoffel, p. 289.

rzucenia rękawicy i może wyglądał okazyi. Cesarz zawsze nieskory do czynu i decyzyi, z wiekiem tracił ostatnie resztki energii, podupadł na ciele i umyśle, brnął w trudnościach wewnętrznych, w kłopotach dynastycznych i finansowych, — w zimie snił o wojnie, na wiosnę namiętnie pragnął pokoju [1]), nie robiąc nigdy nic, coby pokój oparło na silnych podstawach, albo wojnę pozwoliło rozpocząć w korzystnych warunkach. Całą politykę europejską jego z téj epoki można streścić w krótkich słowach: pracował nad moralnem zjednoczeniem Niemiec, nad wzmocnieniem pozycyi Prus i stanowiska p. Bismarcka, nad odosobnieniem Francyi systematycznie demoralizowanéj i osłabianéj.

Raz jedyny, podczas zjazdu dwóch cesarzów w Salsburgu, błysnęło światło, zdające się zapowiadać alians Francyi z Austryą przeciwko Prusom. W pierwszéj chwili upatrywano pewne podobieństwo między Salzburgiem a Plombieres i Biarritz, znak na niebie wskazujący bliskość wielkich wypadków w Europie. Jednem słowem p. Beust miał odegrać przy cesarzu Napoleonie rolę Cavoura i Bismarka.

Rzeczywiście opinia miała niejako powody uważać zjazd w Salzburgu za punkt wyjścia wielkiéj kombinacyi politycznéj. Wszak Austrya bezpośrednio dotknięta Sadową, więcéj jeszcze niż Francya powinna była żywić chęć odwetu, wszak na czele spraw w Wiedniu stał p. Beust, o którym cesarz miał rzec kiedyś: „jaka szkoda, że tak wielki minister rządzi tak małem państwem,“ pan Beust ojciec Tryady zmarłéj przed narodzeniem, stary nieprzyjaciel Prus, zawzięty antagonista pana Bismarcka; wszak racyą przyjścia do władzy p. Beusta, nie mogło być co innego jak myśl „wprowadzenia Austryi na powrót do Niemiec... Czyż Austrya z p. Beustem, który świeżo zawarł ugodę węgierską i inaugurował rządy liberalne, nie była naturalnym sprzymierzeńcem Francyi napoleońskiéj na polu niemieckiem?

---

[1]) „Traverser le printems sans compromettre ni la paix de l'Europe, ni la dignite réciproque des deux Etats, tel était notre but,“ pisał p. de Moustier 4 maja 1868.

„Le Gouvernemet de l'Empereur a une politique, c'est celle de la paix, il la défendra, il l'imposera, s'il le peut, aux autres“ wołał p. de Lavalette w Ciele Prawodawczym 10 kwietnia 1869.

Przez kilka dni Salzburg ściągnął na siebie uwagę całego świata, mocarzy ziemi i zaściankowych polityków; armia raporterów chwytała każdy gest dostojnych gości, każde uściśnienie ręki i każdy szelest dochodzący z zamku biskupiego; telegraf oznajmiał codziennie Europie, ile godzin pan Beust *pracował* z cesarzem Francuzów. Zakulisowa historya wspólnéj pracy dwóch mężów stanu, stworzonych aby się wzajemnie zrozumieć, nie wyszła jeszcze na jaw, ale można się domyślać że wsłowach projektowano wielkie rzeczy, przywrócenie równowagi europejskiéj, strącenie w nicość hr. Bismarcka, świetną przyszłość dla Austryi i Francyi. W rezultacie „góra zrodziła mysz," zjazd Salzburgski doprowadził zaledwie do protokułu londyńskiego orzekającego neutralność Luksemburga, pod gwarancyą mocarstw.

„Zjazd w Salzburgu — pisze p. Benedetti — sprawa Lu-„ksemburga, kwestya odgraniczenia północnego Szlezwigu, za-„proszenia na konferencyę (w sprawie Rzymskiéj) wysłane do „niektórych państw niemieckich (między innemi Saksonii na-„leżącéj do Związku Północnego i na zewnątrz reprezentowa-„nej przez Prusy), wszystko to posłużyło p. Bismarckowi za „pretekst do przypisywania nam nieprzyjaznych zamiarów w obec „Niemiec, do alarmowania Rosyi, do podsycania namiętności „krańcowych stronnictw we Włoszech.... Stara się on zape-„wnić sobie jeśli nie pomoc, to sympatye Rosyi, żywo niepo-„koić Austryę, podsycać we Włoszech ognisko agitacyi, aby „tym sposobem zneutralizować naszą swobodę nad Renem."

W pierwszych miesiącach r. 1869 gabinet berliński uznał za stósowne miarkować popęd dawany dotąd dążeniom unitarnem, wypierał się wszelkiéj myśli wciągnięcia do Związku państw południowych; zamiast drażnić, uspokajał Francyę. P. Bismarck nie porzucił przeto ulubionéj myśli. Konwencye militarne i unia celna, ścieśniając węzły łączące południe z północą, przygotowywały powoli umysły do zjednoczenia politycznego, Prusy poświęcały się całkowicie asymilacyjnéj pracy wewnętrznéj i rozwojowi militarnéj potęgi. Czem był w oczach kanclerza traktał pragski, malują przypisywane mu słowa. — *Le traité de Prague n'est qu'une grille posée à travers le Mein, la grille reste et l'eau coule.*

We Francyi wybiła tymczasem ostatnia godzina rządów osobistych, i 2 stycznia 1870 roku przyszedł do władzy pierwszy gabinet parlamentarny pod prezydencyą Emila Ollivier „*au coeur leger*“ który erę liberalną rozpoczął redukcyą kontyngensu francuskiego i wnioskiem ogólnego rozbrojenia, pomimo pewności że Prusy rozbroić się nie mogą [1]), pod karą zupełnéj dezorganizacyi całego systemu militarnego i całego ustroju państwowego, a nawet społecznego, bo służbę wojskową rząd uważał za szkołę dla wszystkich klas ludności, w któréj naród czerpie uczucia przywiązania do króla i kraju, karności i patryotyzmu.

Względem nowego naczelnika w ministeryum spraw zagranicznych, p. Benedetti był równie jasnym i wyraźnym jak dawniéj. Do wielkiéj znajomości stosunków wewnętrznych w Prusach i Niemczech, łączył niepospolitą bystrość w ocenieniu ogólnéj sytuacyi, mianowicie doniosłości porozumienia między Berlinem i Petersburgiem [2]). Pochwalając politykę

---

[1]) „Les vues pacifiques qui animent le Roi et son principal ministre, ne les détournent nullement du soins qu'on a toujours mis à Berlin, à développer les forces militaires de la Prusse... La solidité de l'armée prusienne est envisagée ccomme une des garanties nécessaires à la conservation des conquêtes faites en Allemagne, et, durant le règne actuel du moins, on n'obtiendra de la Prusse aucune concession propre à en atténuer l'efficacité ou la puissance. M. de Bismarck me le déclarait sans détour dans notre dernier entretien, aprés m'avoir demandé si, comme les journaux l'ont annoncé, l'intention du gouvernement de l'Empereur était de réduire de 25,000 homes le contingent de cette année.“

Benedetti Dep. z 14 stycznia 1870.

[2]) „A moins de complications qu'il ne songe certes pas à provoquer, ou d' événements imprévus qui lui rendraient son entière liberté d'action il faut croire que le Chancelier ne suscitera en Europe aucun incident regrettable. Tout conflit en Orient le mettrait à la remorque de la Russie... La Russie est une carte dans son jeu pour les éventualités qui peuvent surgir sur le Rhin ou dans le Midi de l'Allemagne, et il tient essentsiellement à ne pas intervertir les rôles, à ne pas devenir lui même une carte dans le jeu du cabinet de St. Petersbourg.“

Benedetti, Dep. z 27 stycznia 1870.

arcy pokojową gabinetu, radził czekać jaki kierunek przybierze p. Bismarck przechylający się coraz bardziéj ku stronictwu narodowo-liberalnemu. W raportach ambasadora powracała stara zwrotka o ciągłéj tendencyi króla i kanclerza do przejścia Menu. *Le courant de notre eau nous y porte fatalement* mówił p. Bismarck, a jeżeli *bieg wody* wstrzymywał, to tylko przez wzgląd na Francyą i chęć unikania wojny. W konkluzyi p. Benedetti, który miał prawo w téj mierze przemawiać z pewną powagą, nalegał na stosowność nie mięszania się w sprawy niemieckie, ani w Berlinie, ani w Monachium, aby nieprzyspieszać rozwiązania, i stawiając swemu rządowi Prusy za przykład, radził utrzymywać się w ciągłéj gotowości na wszelką ewentualność.

IV.

Pomimo wyraźnéj odmowy Prus na propozycyę wzajemnego rozbrojenia, zrobioną w lutym 1870 r. za pośrednictwem lorda Clarendon, pokój nie przestał być urzędowem hasłem gabinetu cesarskiego. Na początku maja cesarz otrzymał nareszcie upragniony plebiscyt, który uświęcając poprawne wydanie konstytucyi napoleońskiéj, pozwalał skonstatować cyframi liczebną siłę czyli raczéj liczebną słabość armii francuskiéj. P. Bismarck na plebiscyt odpowiedział pocałowaniem w Ems Jedynym symptomatem do pewnego stopnia niepokojącym, była dymisya hr. Daru i wstąpienie do ministeryum ks. Grammont, przez długie lata ambasadora w Wiedniu, którego talenta i opinie nie wykluczały możliwości awanturniczéj polityki.

Pod koniec czerwca Ciało Prawodawcze dyskutowało projekt rządowy do prawa o kontyngensie rocznym,, tym razem zmniejszonym o 10 tysięcy ludzi. W ciągu dyskusyi, 30 czerwca, na kilka dni zaledwie przed pamiętną deklaracyą wojowniczą ks. Grammont, naczelnik gabinetu, p. Emil Ollivier, apostoł pokoju po wszystkie czasy, gorliwy rzecznik jedności włoskiéj i niemieckiéj, złożył w imieniu rządu oświadczenie, brzmiące pokojowo w sposób jak najbardziéj stanowczy.

„Rząd nie ma najmniejszéj obawy o przyszłość, utrzy-
„manie pokoju w Europie w żadnéj epoce nie wyda-

„wało się więcéj zapewnionem; w którąbądź stronę „zwrócimy oko, nie znajdujemy żadnéj sprawy dra„żniącéj [1]).

Zapytany o dokumenta w sprawach niemieckich, dodał że gabinet od przyjścia do władzy nie prowadził żadnéj negocyacyi ważniejszéj, więc téż dokumentów udzielić Izbie nie jest w stanie.

Na posiedzeniu z 5 lipca, kilku członków lewego środka zainterpelowało rząd o kandydaturę ks. Leopolda Hohenzollern do tronu hiszpańskiego, i zaraz nazajutrz rano, nie zniosłszy się poprzednio z większością Izby, ks. Grammot pospieszył odczytać ową bezprzykładną w dziejach deklaracyę, zawierającą otwartą groźbę wojny, rzuconą Prusom w obliczu całéj Europy, groźbę któréj Francya nie mogła cofnąć bez abdykacyi i ciężkiéj porażki moralnéj, ani też Prusy pominąć milczeniem.

Odczyt ks. Gramont większość przyjęła trzechkrotną salwą oklasków. Na krzyki lewicy, że to wypowiedzenie wojny Prusom, Emil Ollivier zawołał: „Rząd chce pokoju, pragnie pokoju namiętnie!“ Następnie Izba przeszła bez rozpraw do porządku dziennego.

Minister spraw zagranicznych twierdził, że układy z ks. Leopoldem były dla Francyi tajemnicą, i dawał do zrozumienia że przyjęcie korony hiszpańskiéj przez jednego z członków domu Hohenzollernów stanowiło wypadek nieprzewidziany, jak piorun spadający z pogodnego nieba. Twierdzenie z gruntu fałszywe, albowiem gabinet cesarski o kandydaturze ks. Leopolda wiedział od początku roku 1869. P. Jules Favre, który jako minister miał sposobność rzecz zbadać w archiwach, podaje nawet, iż „pierwsza myśl téj kombinacyi wyszła od jednego z książąt cesarskiéj rodziny francuzkiéj w marcu 1869 [2])“ lecz nazwiska ani źródła nie przytacza. P. Benedetti w pierwszéj depeszy w téj sprawie (z 27 marca 1869) donosząc o

---

[1]) „Le gouvernement n'a aucune inquiétude, à aucune époque le maintien de la paix en Europe ne lui a paru plus assuré; de quelque côté qu'il porte ses regards il ne voit aucune question irritante engagée.“ Odpowiedź p. Jules Favre.

[2]) Jules Favre p. 356.

przyjeździe do Berlina p. Raneès y Villanueva, niegdyś posła hiszpańskiego przy dworze berlińskim, świeżo akredytowanego w Wiedniu, i wyrażając swój domysł, że ta podróż może mieć cel polityczny, pisze: „W. E. wiadomo jednak iż ks. Leopold był już dawniéj wymienianym między kandydatami do tronu hispańskiego.“

W pierwszéj chwili podsekretarz stanu, p. Thile, ręczył że o kandydaturze mowy nie ma, ale zaraz z 11 maja t. r. znajdujemy długi raport, w którym p. Benedetti streszcza rozmowę mianą w téj kwestyi po powrocie z Paryża [1]) z kanclerzem. P. Bismarck przedstawiał, że rządy przypuszczalne (la souveraineté qui pourrait être offerte) księcia w Hiszpanii będą efemerycznéj trwałości, wystawią go na wielkie zawody i jeszcze większe niebezpieczeństwa, że król prawdopodobnie nie będzie księciu doradzał przyjęcia uchwały kortezów; że ojciec księcia nauczony doświadczeniem jakie ciężary wkłada korona Rumuńska na majątek rodziny, nie okazuje chęci dopomagania drugiemu synowi do wstąpienia na tron Hiszpański. Następnie dodał że i książe Fryderyk Karol miał myśl podobną (*aurait été disposé á courir une àventure en Æspagne;* własne słowa kanclerza), ale napotkał przeszkodę w religii, „zresztą książe, dzielny żołnierz, nie złożył nigdy dowodów politycznego uzdolnienia i nie umiałby kierować się pośród komplikacyi jakie zajdą w Hiszpanii. „W przekonaiu ambasadora kanclerz nie wypowiedział całéj prawdy, i albo będąc pewnym wyboru kortezów unikał przedwczesnego dotknięcia przyszłéj decyzyi króla, albo też chciał dać poznać w Paryżu, że w danym razie łatwo mu przyjdzie osadzić dynastyę Hohenzollernów w Hiszpanii.

---

[1]) P. Benedetti przytaczane słowa cesarza wyrzeczone doń przy téj sposobności (w końcu kwietnia lub początku maja 1869): La candidature du duc de Montpensier est purement antidynastique, elle n'atteint que moi, et je puis l'accepter; la candidature du prince de Hohenzollern est essentiellement antinationale, le pays ne la supportera pas, et il faut la prevenir.

Benedetti p. 307.

Zrazu w r. 1869, kandydatura upadła, ale bądź co bądź, czy myśl kandydatury wyszła z Paryża czy z Berlina, rząd francuzki w każdym razie był o tem zawczasu powiadomiony i mógł z łatwością śledzić bieg rzeczy w obu stolicach, mianowicie w Madrycie, zkąd też w istocie musiało przyjść pierwsze ostrzeżenie w początkach drugiéj fazy około połowy roku 1870. Tak przynajmniéj wnosić trzeba z tonu telegramu p. Mercier z 3 lipca [1]).

Z raportu ambasadora w Madrycie z téj saméj daty pokazuje się, że jen. Prim ofiarował koronę ks. Leopoldowi, nie mając innego wyjścia z bezkrólewia, ani innego sposobu uchronienia się od rewolucyi, po odmowie otrzymanéj w Lizbonie i Florencyi [2]), ale ofiarował wskutek propozycyi zrobionéj z zewnątrz, zapewne więc z Düsseldorf. Podług ministra hiszpańskiego w Berlinie przyjęcie korony przez księcia zostało udecydowanem w Berline już czterma miesiącami pierwéj, za

---

[1]) „L'affaire Hohenzollern parait fort avancée, sinon décidée. Le général Prim lui — même me l'a dit. „Telegram odnosi się oczywiście do sprawy bieżącéj, od jakiegoś czasu już traktowanéj w raportach ambasadora. Podaje go p. Benedetti, jako anneks do depeszy ks. Grammont z 7 lipca 1870.

[2]) „Vous connaissez notre situation; nous ne pouvons pas prolonger indéfiniment i'intérimité, ni même nous presenter devant les cortès sans avoir une solution á leur proposer. Vous savez tout ce que j'ai fait pour écarter celles qui n'auraieut pas convenu á l'Empereur. Je n'aurais eu qu'á lâcher un peu la main pour que Montpensier fût èlu; je n'ai cèdè á aucune des avances qui m'ont été faites pour m'attirer du côté de la République... Dérnierèment encore je suis revenu à la charge à Lisbonne et à Florence, mains tout a été inutile. Cependant, il nous faut un roi, et voila qu'au moment de notre plus grand embarras *on nous en propose un* qui a toutes les conditions que nous pouvons souhaiter.... Vous comprenez que je ne peux pas laisser échapper la seule chance qui nous reste de nous sauver de la revolution. „Słowa jen. Prim przytaczane w raporcie p. Mercier, z Madrytu, 2 lipca 1870.

przyzwoleniem ks. Antoniego Hohenzollern, a prawdpodobnie za zgodą króla i p. Bismarcka.

Na większą wiarę i zarazem na szczególną uwagę zasługuje wersya zamieszczona w raporcie p. Benedetti (z Ems, z 9 lipca 1870), streszczająca własne słowa króla Wilhelma, który zapewniał, że układy toczyły się wprost między rządem hiszpańskim i księciem; rząd pruski nie tylko był im obcym, ale nawet o nich niewiedział, król unikał mieszania się do całéj sprawy, odmówił przyjęcia wysłannika gabinetu madryckiego, przywożącego list jener. Prima, jednak udzielał tych szczegółów kanclerzowi. Dopiero za przybyciem do Ems, gdy książe zażądał zezwolenia królewskiego, król miał sposobność objawić swe zdanie i wtenczas ograniczył się do oznajmienia księciu „iż nie sądzi się w możności stawiać przeszkód jego zamiarom [1])". Przytem król kładł szczególny nacisk na to, że występował w téj okoliczności jako *naczelnik rodziny*, nie zaś jako *król pruski*, bez zasięgania rady ministrów, nie solidarując bynajmniéj rządu pruskiego z kwestyą kandydatury.

Zdaje się nieulegać wątpliwości, że kanclerz w gruncie sam osobiście sprawą kandydatury kierował. W każdym razie postawił kwestyę w sposób bardzo zręczny i logiczny. Jeśli wybór księcia Leopolda przechodził w kortezach, a Francya przyjęciu korony niesprzeciwiała się, to Prusy zyskiwały w Madrycie stracony posterunek i niejaką pomoc na wypadek wojny nad Renem. Jeśli Francya zakładała protest przeciwko kandydaturze, to kanclerz mógł z równą łatwością w danéj chwili wywołać wojnę, lub cofnąć się z honorem. Owo staranne rozróżnianie między naczelnikiem rodziny i naczelnikiem państwa było naprzód przygotowaną furtką do pokojowego wyjścia; król pruski bowiem cofając ze względów politycznych zezwolenie głowy domu Hohenzolernów, usuwał tem samem ze stosunków międzynarodowych powody zbrojnego starcia.

Tak dobra sposobność pokojowego załatwienia drażliwéj kwestyi, służyła zarówno Prusom i Francyi, która miała wolny

---

[1]) „Sa Majesté s'est bornée à déclarer au prince, qu'elle ne croyait pas pouvoir mettre obstacle à son dessein.

wybor między pokojem a wojną. Rząd francuzki uznając w zasadzie oddanie korony hiszpańskiéj księciu z rodziny Hohenzollernów, spokrewnionemu zresztą z domem cesarskim, za niezgodne z swemi widokami, albo szkodliwe dla interesów Francyi, słusznie dążył do usunięcia kandydatury, lecz cel ten mógł osiągnąć i osiągnął w istocie z wszelką łatwością, jeżeli zaś w bezpośredniem następstwie wojnę sprowadził, to tylko z własnéj a nieprzymuszonéj woli. Zwiększa jego,winę i charakteryzuje lekkomyślność ten wzgląd, że sam nieprzywiązywał ani wielkiéj wagi ani wielkiéj wiary do trwałości rządów ks. Leopolda w Hiszpanii, toczonéj chroniczną anarchią; wszak ks. Gramont w instrukcyi przesłanéj ambasadorowi francuskiemu do Ems dowodził że wojna domowa wybuchnie niezawodnie w chwili wstąpienia na tron młodego monarchy i nie wątpił, że tenże w kraju utrzymać się nie zdoła; wszak pisał wyraźnie [1]). *Quant au prince, son règne en Espagne ne durera pas un mois.*

Nie dość jednak było wolnéj woli i lekkomyślności, rząd francuski musiał jeszcze przywołać na pomoc niepospolitą niezręczność i fałsz, aby z dnia na dzień kwestyę korony hiszpańskiéj w *casus belli* przemienić, zniewolić Prusy do wojny i własny kraj za sobą pociągnąć.

Nazajutrz po deklaracyi ks. Gramont, deklaracyi mianowanéj przezeń umiarkowaną, lecz w całéj Europie przyrównywanéj do pierwszego wystrzału działowego, p. Benedetti otrzymał rozkaz udać się z Wilbad do Ems, rezydencyi króla Wilhelma.

Instrukcye przepisywały ambasadorowi otrzymać od króla, aby *doradził* ks. Hohenzollern *cofnięcie* przyrzeczenia danego co do przyjęcia korony hiszpańskiéj: obtenir que Sa Majesté *conseille* au prince de Hohenzollern de *revenir* sur son acceptation. Ks. Gramont w liście prywatnym obostrzał instrukcye urzędowe, kładł za warunek uniknięcia wojny natychmiastową odpowiedź kategoryczną téj treści:

„Rząd królewski nie aprobuje decyzyi księcia i rozka-
„zuje mu cofnąć przyrzeczenie dane bez jego pozwolenia.“

---

[1]) List prywatny ks. Gramont do p. Benedetti, z 7 lipca 1870.

Nadto żądał urzędowego i publicznego wyparcia się kandydatury ze strony księcia, oraz dodawał, że potrzebuje szybkiéj decyzyi, bo w razie odmowy już dwoma dniami późniéj (w sobotę 9 lipca), mają się rozpocząć ruchy wojska, przygotowujące otwarcie kampanii za dwa tygodnie.

Instrukcye i list nosiłę daty 7 lipca, doszły rąk ambasadora 8go w nocy, w chwili przybycia do Ems, a książe domagał się już nazajutrz ostatecznéj odpowiedzi, rozstrzygającéj o pokoju Europy i losie Francyi!

Gdyby p. Benedetti chciał wiernie wypełnić intencye ministra, niepozostawało mu jak tylko od pierwszego słowa postawić królowi ultimatum i natychmiast dać do wyboru między *tak* lub *nie*. Pokazał się jednak rozsądniejszym od księcia, nie wahał się wystawić na próbę jego niecierpliwości gorączkowéj i począł rzecz traktować z rozwagą i taktem, [nakazywanym zresztą umiarkowaną postawą i pojednawczemi usposobieniami króla Wilhelma.

Na audyencyi udzielonéj ze zwłoką kilku godzin zaledwie (9 lipca pod wieczór), spowodowaną przybyciem królowéj z Coblentz, król objaśniwszy szczegółowo ambasadora o roli, jaką w kwestyi kandydatury odegrał, wyraził zdziwienie z powodu wyzywającéj deklaracyi ks. Grammont w Ciele Prawodawczem, i przekonanie, że nieprzypuszcza, aby wojna mogła wyniknąć ze sporu tak małéj wagi. Następnie doradzał zwrócić się do Madrytu i tam wpłynąć na rząd Rejenta, by wyrzekł się zamiaru postawienia kandydatury księcia w Kortezach; oraz dodał, że w skutek wzburzenia umysłów we Francyi odniósł się już z własnego popędu do księcia Antoniego z zapytaniem, czy trwa wraz z synem w powziętéj decyzyi; że od odpowiedzi z Sigmaringen zależeć będzie postanowienie króla i rządu pruskiego [1]), pragnie więc dalszą dyskusyę do téj chwili niedalekiéj odroczyć.

P. Benedetti odniósł z audyencyi wrażenie, iż król zostawiając księciu inicyatywę zrzeczenia się korony, pragnął uniknąć osobiście odpowiedzialności za koncesyę, zdolną zranić uczucie publiczne w Niemczech. — Przedstawił królowi

---

[1]) Raport i list prywatny p. Benedetti z 9 lipca.

względy nakazujące rządowi francuskiemu starać się o szybkie rozstrzygnięcie rzeczy, nalegał wyraźniéj za pośrednictwem hr. Werther, lecz widział się w konieczności pójść za życzeniem króla i czekać odpowiedzi z Sigmaringen, bo inaczéj ściągał na siebie zarzut, że przybył do Ems jedynie po to, aby przyspieszyć zerwanie. Zresztą odpowiedź nadejść musiała w przeciągu dni paru, pierwéj zaś nadejść nie mogła, bo król niemiał cyfry do korespondencyi z księciem, bo Sigmaringen leży po za obrębem sieci kolei żelaznych i ks. Leopold bawił podówczas w Szwajcaryi.

Ks. Gramont niecierpliwił się; w niędzielę (10 lipca) po południu telegrafował, że przed końcem dnia musi wiedzieć, czy ma rozpocząć przygotowania do wojny; w *pięc minut* potem żądał depeszy przeznaczonéj do odczytania w Izbie, a obosiecznéj, oznajmiającéj, że król wiedział i upoważniał przyjęcie korony, ale chce znieść się z księciem, zanim poweźmie nową decyzyę. — Z telegramów widać, jak w Paryżu niemal z godziny na godzinę chorągiewka wskazywała na przemian to wojnę, to pokój. — Nazajutrz znowu przeważał zapał wojenny, rząd nie umiał oprzeć się prądowi opinii paryskiéj, którą sam rozburzył. O godz. 1 rano [1]) minister polecał ambasadorowi w przeciągu doby nadesłać wiadomość, czy król przyjmuje lub odrzuca ultimatum, i obiecywał za kilka dni stanąć nad Renem.

P. Benedetti zażądał powtórnéj audyencyi i usłyszał od króla obok dawnych argumentów, zapewnienie, iż odpowiedź z Sigmaringen nadejdzie wieczorem lub na drugi dzień rano, oraz przestrogę, iż Prusy w obec uzbrojeń Francyi myślą o własnem bezpieczeństwie. Hr. Werther wyjechał tego samego dnia do Paryża, a p. Benedetti otrzymał telegraficzne napomnienie, iż jego język nie odpowiada stanowisku zajętemu przez rząd cesarski: votre langage ne répond plus, comme fermeté, à la position prise par le gouvernement de l'Empereur. W depeszy téj, datowanéj o godz. wpół do siódméj wieczorem, Ks. Gramont powtórnie domaga się, aby król wzbronił ks. Leopoldowi starać się o koronę i dodaje: „jeżeli ju-

[1]) Dnia 7 lipca.

tro nie otrzymamy stanowczéj odpowiedzi, uważać będziemy milczenie lub wymówki za prostą odmowę.“

Przez noc, może wskutek rozsądnych uwag, jakich p. Benedetti nie szczędził, chorągiewka musiała zmienić kierunek, albowiem 12go o wpół do trzeciéj z południa ks. Gramont wypiera się wojowniczych zamiarów, chce tylko ocalić prawowity interes Francyi, pochwala zachowanie się ambasadora, nieodmawia królowi żądanéj zwłoki, wyrażając zarazem nadzieję, że cierpliwość gabinetu nie będzie wystawioną na próbę dłuższą nad dzień jeden, a nawet zgadza się na proste stwierdzenie faktu, iż odmowa ks. Hohenzollern została *oznajmioną*, *komunikowaną lub przesłaną przez króla* albo rząd pruski [1]) ambasadorowi Francyi.

W momencie wysłania telegramu, ks. Grammont i Emil Olivier byli już zawiadomieni *urzędowo* przez ambasadora hiszpańskiego o zrzeczeniu się ks. Leopolda z pretensyi do korony; prywatnie Emil Olivier udzielał téj wieści w korytarzach Izby, z dodatkiem, że wszelka obawa wojny odtąd ustąpi. Podług pewnéj wersyi, minister spraw zagranicznych ułożył był nawet z cesarzem komunikat w tym duchu, przeznaczony do *Journal Officiel*, ale z gabinetu cesarza udał się do cesarzowéj, która niedopuściła ogłoszenia. Bądź co bądź, w przeciągu *pięciu godzin* znowu wojna przeważyła, bo ks. Gramont o 7 wieczorem telegrafował do Ems, że król Pruski powinien nietylko przyłączyć się do zrzeczenia ks. Leopolda, ale nadto zaręczyć, iż w przyszłości na wznowienie kandydatury nie zezwoli.

Król podobnego zobowiązania przyjąć nie mógł na siebie i wręcz odmówił, lecz niebawem polecił swemu adjutantowi ks. Radziwiłłowi oświadczyć ambasadorowi, że odebra-

---

[1]) „Employez toute votre habileté à constater que la renonciation du prince vous est *annoncée, communiquée ou transmise par le Roi* ou son gouvernement. La participation du Roi doit à tout prix être consentie par lui ou résulter des faits d'une manière suffisante.“
Telegramme trés-confidentielle, 12 juillet 2 h. 15.

wszy od ks. Antoniego Hohenzollern wiadomość o cofnięciu kandydatury jego syna, postanowienie to aprobuje.

Wysłanie ks. Radziwiłła zamiast obiecanéj audyencyi, było niedobrym symptomatem. Spowodował to raport hr. Werther z Paryża, zdający sprawę z konferencyi ambasadora pruskiego z ks. Gramont i Emilem Olivier (z 12 lipca), którzy byli dość nierozsądni, aby proponować królowi Wilhelmowi napisanie listu upokarzającego do cesarza Napoleona.

Na prośbę ambasadora o audyencyę, król kazał odrzec przez ks. A. Radziwiłła, że wszelkie usiłowania co do gwarancyi na przyszłość są zbyteczne i do niczego niedoprowadzą. P. Benedetti ponowił raz jeszcze prośbę, z równem niepowodzeniem, w skutek polecenia z Paryża, z 13go wieczorem, danego zapewne w krótkiéj chwili opamiętania ks. Grammont, czy téż woli po za nim stojącéj. Książe zmiękł, przybrał ton umiarkowany, polecał ambasadorowi zrobić ostatnie wysilenie i już mu wystarczało jedno słowo królewskie [1]) Przytém zapragnął widzieć osobiście p. Benedetti, kazał mu wracać do Paryża jak najspieszniéj, *na piątek rano* (15 lipca) choćby nadzwyczajnym pociągiem.... P. Benedetti musiał pouczać swego naczelnika, że pociągi nadzwyczajne chodzą wolniéj niż zwyczajne.... Biedny książe, trawiony gorączką, stracił głowę do tego stopnia, że nigdy nie był w stanie obliczyć biegu telegramów i pociągów, stosować swoje wymagania do czasu i fizycznéj możności.

Skończyła się misya p. Benedetti, stósownie do rozkazu opuścił Ems; przed wyjazdem widział jeszcze króla na dworcu kolei. Król, który nazajutrz miał udać się do Berlina, powtórzył pełnomocnikowi francuskiemu, że osobiście nie ma

---

[1]) Faites un dernier effort auprès du Roi. Dites-lui que nous nous bornons à lui demander de défendre au prince de revenir sur la renonciation. Quil vous dise: „Je le lui défendrai“ et qu'il vous autorise à me l'écrire ou qu'il charge son ministre ou son ambassadeur de me le faire savoir, cela nous suffira....

Telegram ks. Grammont z 13 lipca godz. 9 m. 45 wieczorm.

mu nic więcéj do powiedzenia, a dalsze układy mogą się toczyć bezpośrednio między dwoma rządami.

Nie będziemy streszczać na tem miejscu pamiętnego posiedzenia Izby z 15 lipca, na którem rząd uciekając się do fałszu, bajką ukutą przez siebie o zniewadze wyrządzonéj Francyi w osobie jéj ambasadora, zdobył uchwałę Ciała Prawodawczego, dającą środki do rozpoczęcia walki. Lekkomyślność Izby w tym dniu złowrogim, równała się tylko bezmyślności cesarza i jego doradzców, ogołoconych nadto z wszelkiéj dobréj wiary i z wszelkiéj uczciwości. W cztery dni późniéj nastąpiło formalne wypowiedzenie wojny Prusom.

(Dokończenie nastąpi).

Henryk Lisicki.

Aleksander hr. Przezdziecki.

Stojąc przy grobie, do którego złożono świeżo zwłoki hr. Aleksandra Przezdzieckiego, nie zamierzamy podawać dat życia jego; ani wyręczając bibliografów, spisywać tytuły dzieł przez niego wydanych, zbyt powszechnie znanych, abyśmy je przypominać i wyliczać mieli. Boleść zaś ze straty tak wielkiéj, przepełniająca serce, wytrąciłaby nam pióro z ręki, gdybyśmy dziś już krytycznie rozpatrywać chcieli tę bogatą naukową spuściznę, jaka po zmarłym została. Raczéj zarysować pragniemy piękną postać, przypatrując się jéj bliżéj nieco.

Wzór niezmordowanéj pracy dla dobra publicznego wziął Przezdziecki tradycyą ze swéj rodziny; co najpierw na Litwie, a potem na Podolu, czynném życiem zyskała zaszczyty.

Zrodzony w r. 1814 (29 lipca) z Adelajdy hrabianki Olizarány, miał w ojcu swoim Konstantym Przezdzieckim, piastującym przez lat 30 urząd marszałka szlachty podolskiéj, przykład cnót obywatelskich, i téj energii życia, co nie zna spoczynku, chyba w grobie dopiero. Zaledwie téż przeszedł początkowe nauki w szkole krzemienieckiéj (do r. 1831), a następnie w filologii i historyi wykształcił się na uniwersytecie berlińskim, aliści już w r. 1833 dziewietnastoletni młodzieniec podróżuje po Szwecyi, rozpatruje tam zabytki sztuki, a śledzi polskie pamiątki. Po powrocie do kraju, rozkoszuje się tradycyami Litwy, szuka w dziejach ojczystych poetycznych postaci, próbując sił własnych, jużto w powieściowych zarysach, jużto rwąc się do dramatycznych kreacyj; znanych nawet na scenach obcych, jak: *Don Sebastien Portugal*, utwór sceniczny w r. 1836 w Petersburgu przedstawiany. Na te młodzieńcze lata Przezdzieckiego, przypadają *Wspomnienia Szwecyi* (wy-

dane r. 1836 w Warszawie, powtórnie w Wilnie 1845) wraz ze szkicami: *Trzy chwile*, *Ostatnia z Dolskich*, *Mazepa* i *Fenella*. Nieco późniéjsze dzieło: *Podole*, *Wołyń*, *Ukraina* (Wilno 1841, 2 tomy), to już poważniejsza praca; chociaż jeszcze nacechowana poetyczną wrażliwością, bo prawie współczesna z *Próbami dramatycznemi* (Wilno 1841), z dramatem *Jadwiga* (Wilno 1844), i z mnóstwem artykułów jego, jakie się wówczas w pismach peryodycznych *(Ateneum*, *Biblioteka warszawska)* pojawiać zaczęły. Wtedy jeszcze młodzieńcem będąc, bo w 28 roku życia, wydaje w Wilnie (1843) wspólnie z Michałem Grabowskim i Mikołajem Malinowskim: *Źródła do dziejów polskich*, zbiór krytycznie obrobionych dokumentów.

To, co się jako wrażliwość poetyczna, miłość sztuki i pamiątek, a zarazem skrzętne zbieranie zabytków ojczystych, zarysowało w owym piérwszym okresie działalności Przezdzieckiego; pozostało mu do śmierci — stało się kierunkiem.

Słusznie przypisują Kraszewskiemu wpływ na pierwsze kroki Przezdzieckiego. Przyznawał to sam.

Do odziedziczonych świetnych związków rodzinnych, przybyły mu przez ożenienie się (w r. 1842) z hrabianką Maryą Tyzenhauzówną, nowe znów krewieństwa, rozszerzające wpływ w kraju, a zarazem przydające środków do wielkich przedsięwzięć naukowych, których podjęciem stanął w szeregu nigdy niezapomnianych: Załuskich, Ossolińskich, Czackich, Działyńskich, Raczyńskich.

Rozumiał to dobrze Przezdziecki, że świetne krewieństwa i odziedziczony majątek, to raczéj łaska boża wzięta często bez zasługi osobistéj — złączył więc zyskane, z dorobkiem własnym. Gdy bowiem związki rodzinne skojarzyły go z pierwszemi domami w kraju, to sam połączył się z najcelniejszemi w Europie instytucyami naukowemi, które go w grono swoje przyjęły. Jeźli trudném jest wyrobienie sobie na polu nauki świetnego nazwiska w kraju; znakomite położyć potrzeba zasługi, aby je w świecie uzyskać. Imie takie, zdobył sobie w Europie Przezdziecki.

Zadanie wniesienia do skarbnicy wiedzy ogólnéj nabytków zapracowanych w ojczyźnie, a nawzajem gromadzenie dla badań rzeczy polskich, tych materyałów, jakie nam za-

granica dostarczyć mogła, stało się kierunkiem Przezdzieckiego — drogą, na któréj nie miał współzawodnika.

Po archiwach i bibliotekach obcych, zbiera wiadomości o rękopisach dzieje nasze obchodzących, rozpatruje kodeksa, kroniki, gromadzi przerysy pomników sztuki, na kongresach naukowych o naszych mówi zabytkach; zaczepia we wszystkich zakątkach obczyzny te nitki związków naukowych z siebie wysnute, pokrywając jakby misterną siatką wszystkie owe naukowe w Europie zbiorniki, gdzie się spodziewał korzyści dla studyów dziejów ojczystych.

Dziwną w tym kierunku rozwinął ruchliwość, pośpiech, któremu goniąc za nim choćby myślą, sprostać było trudno. Uważał sobie za obowiązek, czyto dla własnych zamierzonych i rozpoczętych badań, czy też na wezwanie współpracowników, bez wachania, zaraz, natychmiast, przebiegać z jednego końca Europy na drugi; a w mieścinie nieraz jakiéj, gdzie po przeszłości polskiéj pamiątki zostały, pracować długie czasy, w niewygodzie i z pośpiechem; w warunkach, które dla wielu byłyby równe przymusowéj pokucie.

Z takich trudnych, mozolnych, męczących prac po archiwach i z podróży ciągłych w kraju i po obczyźnie, urosły: *Wiadomości bibliograficzne o rękopisach do rzeczy polskich, po bibliotekach zagranicznych* (Warszawa 1850), *O Polakach w Bononii i Padwie* (Warszawa 1853), *Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach* (Warszawa 1853), *Listy Annibala z Kapui* (Warszawa 1852), *Sprawozdania z Kongresów archeologicznych* (w Bibliotece warszawskiéj ogłaszane), rozprawa *O włóczni św. Maurycego* (Warszawa 1861), *Rzecz o bożkach Prylwickich i kamieniach Mikorzyńskich* (Rocznik Tow. nauk. krak. XXXVIII), *O wykopalisku na wyspie jeziora Lednicy* (Rocz. Tow. nauk. krak. XL) *O pieśni Bogarodzica* (Warszawa 1866), *Pawełz Przemankowa* (Warszawa 1851), *O rękopisie historyi polskiéj Herburta* (Rocznik Tow. nauk. krak. XXXVIII), *O Mieczysławie pierwszym* (Bibl. warsz.), *Życie domowe Jadwigi i Jagiełły* (Warszawa 1854), *Mikołaj Przezdziecki* (Warszawa 1856), *O modlitwie św. Kazimierza: Omni die* (Kraków 1867), wreszcie pomijając mnóstwo artykułów i mniejszych rozpraw w pismach czasowych drukowanych, oraz materyały zawsze chętnie innym udzielane (n. p. *Kronika o Piotrze Duńczyku*,

wydana przez Mosbacha), wskażemy ogrom zasługi, gdy wspomnimy: o współudziale (z X. J. Koźmianem) jaki miał w wydaniu *Monumentów Theinera*, o edycyi *Kroniki Kadłubka* (Kraków 1862), *o Wzorach sztuki średniowiecznéj* (wspólnie z E. Rastawieckim), o odkrytych i opisanych (Intelligenz-Blatt Nr. 7 i 8 z r. 1870) *rękopisach kroniki Długosza*, użytych do monumentalnego wydawnictwa (rozpoczętego w r. 1858) wszystkich dzieł tego znakomitego historyka polskiego. Dośćby wreszcie zaszczytu było dla Przezdzieckiego gdyby tylko 5 tomów *Jagiellonek* po sobie zostawił.

Mimo tego ogromu dokonanych i w ruchu w wydawnictwach rozwijających się prac, śmierć oderwała go od stolika, gdzie leżały rękopisy nieledwie już gotowych, nowych książek i rozpraw: rzeczy *O bożkach słowiańskich*, *O runach*, *O pałafitach*, *Modlitwy Wacława* (zabytek polszczyzny z pierwszéj połowy XV wieku), *Studya nad wykopaliskami*, przygotowanie do wydania *mappy archeologicznéj* wielki tom *wiadomości o rękopisach w archiwach zagranicznych*, wreszcie teksty do dalszych zeszytów (począwszy od XVII, Seryi IIIéj) *Wzorów sztuki średniowiecznéj*, i materyał do edycyi oryginału *Kroniki Bernarda Wapowskiego*.

Autor, badacz, mecenas, czynny pracownik w gronach naukowych — te stanowiska Przezdzieckiego oceni krytyka — dla tych zasług, naród okrył imię jego zapracowaną sławą. My o człowieku powiedzieć pragniemy.

Ruchliwość umysłu, złączona z silną wolą, umiejącą przeprowadzać to co za dobre i konieczne uznawał, była główną cechą, wybitnem znamieniem charakteru jego.

Dobrze powiedział o Przezdzieckim Siemieński (pisząc nekrolog), że był podobny do owego zakonnika, co na rozkaz przełożonego przenosi się z brewiarzem pod pachą w najodleglejsze strony świata — z tą różnicą, że jemu nikt nie rozkazywał, gdy regułą była mu własna wola, podniecana żądzą poszukiwań i odkryć.

Zostawał zawsze Przezdziecki w świadomości wszystkiego co się działo w polityce, w nauce, w sztuce. Z biegiem tych spraw łączył się pilném czytaniem najcelniejszych utworów literackich, jakie świat zyskiwał, śledzeniem czynności akademij i ciał naukowych, a korespondencyą rozległą. W kraju

nie zapoznawał żadnego odkrycia z obszarów historyi, literatury i archeologii; starając się moralną lub materyalną pomocą poprzeć pracę; zaś zbliżeniem się do każdego pojawiającego się talentu, utwierdzić go, podnieść, zachęcić, zaopiekować się zdolnością.

Nawet temu, co zamierzy przedstawić szczegółowy obraz naukowych czynności Przezdzieckiego, trudno będzie zdobyć się na ów pospiech, z jakim zdążać przyjdzie za krokami jego, gdy biegnie bez wytchnienia po wytkniętéj drodze.

Nieznał on wytchnienia, ani odpoczynku — nie znał go nawet w chwilach gdy powtarzające się od czasu do czasu cierpienia artrytyczne, z łóżka wstać nie pozwalały. Na te czasy odkładał takie prace, które w przerwach boleści robione być mogły. I te dni chciał spożytkować, aby sprawdzić zasadę, powtarzaną często: *nulla dies sine linea.*

Gdy się zajął jaką sprawą naukową, nie było już rady — nic już przerwać nie mogło wątku pracy i gorliwości w jéj wykonaniu. Setka listów wybiegła, z takiego (jak mówił) stolika *Jagiellonek* — gorączkowo oczekiwał odpowiedzi, wyjaśniających studya skazówkami zyskanemi. Listonosz był wtedy najmilszym gościem.

Pisała żona: „przyjedź do nas na Święta Bożego Narodzenia — zostań przy synowéj — doczekaj się przyjścia na świat wnuka.“

Nie pomogło. Skończenie tomu *Jagiellonek*, było pilnym, było nałożonym na siebie obowiązkiem. Więc przyspieszał znów pracę, dla tego, aby jaknajprędzéj znaleść się w kółku rodzinném. Czuł życie familijne i umiał cieszyć się niem; przecież dla nauki, dla posług publicznych, miał odwagę pozbawić się nie raz i tych przyjemności. Szczęściem, że żona równie jak on spokrewniona ze światem sztuki i nauki, rozumiała poświęcenie męża, ciesząc się owocami pracy jego, a składając na wspólną ofiarę tęsknotę długiéj nieraz rozłąki.

Teraz, gdy mu konać przyszło, nie miała nawet téj pociechy, aby pospieszyć mogła do Krakowa z Heidelberga, zkąd dla choroby w czasie srogiéj zimy wyjechać nie mogła.

Pospiech stósował Przezdziecki nawet do kuracyi u wód (jeźli się nią dla częstych słabości nudzić musiał). Skracał lub przerywał wtedy wskazane przez lekarzy termina, choćby

ze szkodą zdrowia; jeźli pędzić wypadło do jakiego archiwum, lub stanąć na czas, tam, gdzie mu zdobyte badaniem wskazówki, obiecywały nowy plon dla studyów rozpoczętych. Potrzeba było na to pieniędzy — budżet naukowy obliczyć się nie dał — więc skąpił sobie, oszczędzał na sobie, aby nie ustała ani zwolnieć mogła, chojność w wydatkach na rzecz publiczną.

Różnych dochodów swoich, nie uważał nawet za własne, ale wprost, jak je odbierał, oddawał zaraz na cele naukowe. Tak cały dochód, jaki mu przynosił udział w Dyrekcyi kolei warszawsko-wiedeńskiéj, przeznaczał na wydawnictwo Theinerowskich *Monumentów* i *Historyi literatury* Wiszniewskiego.

Oszczędność czasu, chęć użycia pożytecznie każdéj chwili, dochodziła do ostatecznych granic.

Na parę dni przed śmiercią, kiedy senność z użycia morfiny i opium, utrzymywała go w przerywanem mrzeniu, wtedy chąc się z przytomnością własnego umysłu obliczyć, a strzeźwić i zsilić, aby duszę jedynie zwrócić ku Bogu, niecierpliwił się sam sobą, bronił przed ciągle a ciągle powracającą myślą o nieskończonym rękopisie *Jagiellonek*. Trapił się, że tom V daleko do końca, a dzień po dniu uchodzi bez zajęcia, bez pracy, bez pożytku, z utrudzeniem tych, co go w chorobie otaczali.

Oszczędny dla siebie, wyrzekający się wygód jakich bez skrupułu używają ludzie taką jak on, rozporządzający fortuną, nie skąpił na dobroczynność i potrzeby nauki; tak dalece, że był nieraz źle zrozumianym przez tych, co go widzieli gdy sobie odmawiał, nie zaś wtedy gdy innych obdarzał.

Straty materyalne, które go zbyt często spotykały, znosił z dziwnym spokojem, zwracając się wtedy do Boga tylko. W r. 1863, gdy go uwiadomiono o pożarze Ojcowa, o zniszczeniu tam wszystkiego co z wielkim trudem i nakładem powstało, odpisał:

„Stało się — dopełniło się. Niech będzie błogosławione Imię Pańskie w złéj i dobréj doli. Więc w moim Ojcowie zgliszcza! Jak po rozbiciu okrętu, tych ratować potrzeba, co ocaleni. Proszę tedy opatrzyć sługi i domowników moich, w to, co im niezbędne.“

Jak umiał spokojnie znosić klęski, tak téż powodzeniem nie upajał się wcale.

Stosunki świetne, odbierane zaszczycały z rąk monarchów, ani go olśniewały, ani były do pychy pobudką. Owszem, jeśli jaki wywierały skutek, to chyba ten: że podniecały wdzięczność dla Opatrzności, a prace zdwajały. Im wyżéj stawał, tém bliżéj umiał być względem cnoty, choćby się z nią w najniższych warstwach spotykał. Komukolwiek wypadło, chętnie spieszył z posługą.

Ufał każdemu, starając się o rozumny wybór ludzi, aby się z zawodem nie spotkać.

Urazy nie miewał do nikogo. Jeśli niechęć jaka wstrętna wzbudziła się w nim przeciw komu, pewno zgasła w sercu, zanim zapadające słońce dzień zakończyło. Uraz niepamiętał i przebaczał zawsze — dlatego odznaczał się swobodą w obcowaniu z ludźmi, łatwością w stosunkach, przymiotami dziś tém rzadszemi na świecie, im mniéj na nim miłości, a egoizmu więcéj.

Książki Przezdzieckiego zawsze czytane będą ze smakiem — bo wieje z nich spokój, prawda, twierdzenie — opinie i sądy, oparte nie na przechodnich wyobrażeniach o zasadach życia, ale na tych stałych przekonaniach z Wiary zaczerpniętych, których nie zmieniał nigdy a wyznawał zawsze. Jeźli ruchliwość i skłonność do inicyatywy, zmysł do skupiania sił dla przeprowadzenia zamiarów, pozwalałyby, tym, co go mniéj znali, widzieć w czynnościach jego gorączkowość niejaką; to książki po nim pozostałe, uwydatniają wewnętrzny spokój, złączony z powagą, godną wydawcy Długosza. Zapalczywe branie się do dzieła, w miarę postępu pracy, zmieniało się w stałą miłość do przedmiotu, a kończyło dojrzałem, bezstronném, przedstawieniem rzeczy. Widzieliśmy, jako w r. 1855 z miłością prawie młodzieńczą ukochał (że tak powiem) *Jagiellonki*. Autor dramatów, tłumacz *Poety i Świata*, pisarz wrażeń z podróży, pojął i wyobraził sobie żywo te postacie niewiast złotego wieku. Badacz, krytytyk, ze spokojem stawiał je na tle współczesnem — śledził każdą chwilę z ich życia — aż wreszcie wznosząc się sam z postępem pracy na coraz wyższe stanowisko, zamierzał poglądem ogólnym skończyć te dzieje domu Jagiellonów. Przygotował się trzynastoletniem badaniem do skreślenia owego obrazu, zyskawszy tak dokładne wiadomości o XVI u nas stóleciu, że się wuczył, wżył,

w te czasy, znał je jakby sobie współczesne. Sam wierzący, twierdzący, afirmacyjny, a człowiek co budować umiał; odgadywał i pojmował życie wieku, w którym reforma i rewolucya jeszcze synonimami nie były. Takie poważne zapatrywania się na zadania nauki, nacechowały wszystkie prace Przezdzieckiego, tym spokojem, który je niepożytą wartością zaleca.

W ostatnich czasach rzucił się do studyów archeologicznych w owych kierunkach, w których badania najodleglejszéj przeszłości prawie do ostatecznych krańców docierać pragną. Widząc tam niebezpieczeństwo rozwoju dążeń czysto materyalistycznych, chciał złe poznać, aby mu zapobiegać rozważnie. Spotkawszy się w Bononii obok wyznawców poważnych zasad, z koryfeuszami skrajnych pojęć, miał tę pociechę, że się uspokoił o przyszłość. Rezultat antropologiczno-archeologicznego kongresu odbytego tam przed paru miesiącmi, nie zatrwożyło go wcale; zaś ci, co szanują nawet w przeciwniku odwagę wyznania własnych przekonań, mieli sposobność słyszeć w Krakowie prelekcyą Przezdzieckiego, o owym kongresie; w któréj smiało oświadczył się przeciw opiniom Vogta i zwolenników hipotez podobnych.

Gdzie chodziło o wyznawstwo zasad, tam Przezdziecki nie szukał dróg pośrednich. To jednało mu szacunek u przeciwników nawet.

Słowa nasze nie są wonném kadzidłem — bo nie zwykliśmy z trybularzem przy trumnie stawać. Dyktuje je przeświadczenie — pewność tego, co piszemy, daleka od illuzyj wszelkich.

Od lat kilkunastu umiłował stary Kraków, do którego zawsze z serdeczną radością z dalekich podróży powracał — interesował się gorąco pomnikami tego miasta, dzieląc prace Towarzystwa nauk. krakowskiego. Tu po pożarze, wybrawszy sobie kaplicę Orlików w spalonym kościele OO. Dominikanów, wyrestaurował ją ku pamięci matki swojéj. W Krakowie chciał zamieszkać dłużéj, aby skończyć dzieło o *Jagiellonkach* i przyspieszyć wydanie dalszych tomów Długosza.

Tu pragnął piérwszą pracę swoją, *(Podróże do Szwecyi)* poświęconą matce przez młodzieniaszka, teraz po 40 prawie latach, wydać powtórnie, uzupełnioną, pomnożoną badaniami

nowemi. Było to zadosyćuczynienie sercu, chęć odświéżenia drogiéj pamięci ukochanéj Matki.

I zszedł się początek pracy z jéj końcem. Nie zdążył... brakło sił wyczerpniętych, nie latami, ale trudem dłuższym od przeżytego czasu.

Po krótkiéj chorobie skonał w Krakowie dnia 26 grudnia 1871 roku.

Spocznie w mieście pamiątek — w grobie kaplicy, którą był wzniósł dla pamięci swéj Matki.

Godło jego tarczy herbowej: *Candide et recte*, słusznie zapisać mu można na grobowcu, jako świadectwo czystego i prawego życia.

Jeszcze zwłoki leżały na katafalku, gdy żona zmarłego pisała z Heidelberga, do Krakowa polecając utrzymanie w ruchu wszystkich wydawnictw męża. — Obowiązek dokonania literackich przedsięwzięć ojca, przypadł synom, Konstantemu i Gustawowi Przezdzieckim.

Kraków d. 5 Stycznia 1872 r.

Łepkowski.

Przegląd literacki i bibliograficzny.

Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta króla polskiego popularnie napisał Henryk Schmitt. Z 8-ma rycinami rysunku J. Kosaka. W Eliasza. Kraków, Nakładem Czytelni ludowéj A. Nowoleckiego r. 1872, w 8-ce stron. 152.

Rozstrój polityczny i społeczny Polski przypisuje autor popierwsze królom, którzy jawnie lub skrycie konspirowali przeciwko wolności, nie kochali Polski i tylko dynastyczne widoki mieli na celu, co zmuszało niejako szlachtę dbałą o wolność co raz więcéj ograniczać władzę królewską, powtóre edukacyi Jezuitów i innych mnichów, którzy przytłumili wszelką prawdziwą wiedzę, któréj brak niepozwalał szlachcie wiedzieć i widzieć, jak daleko może iść w walce z rządem o swobody i jak je pogodzić z potrzebą utrzymania potęgi i siły odpornéj państwa.

Widocznie znać tutaj wpływ dzieła Koronowicza: „Słowo Dziejów Polski“ wyszłego w roku 1858 czy 59, który także wszelką winę nieszczęść naszych przypisuje królom i duchowieństwu. Według niego było niezbędnem liberum veto, bo król mógł większość przekupić, natenczas jeden cnotliwy znajdzie się zapewne, który wolność uratuje, koniecznemi były także konfederacye, zgoła, cały aparat anarchii, bo gdyby w sejmie nie było ani jednego cnotliwego, to poza sejmem znajdą się ludzie, którzy podniosą oręż w obronie wolności. Koronowicz był tak loicznym w swojem rozumowaniu, że dowodził nawet, iż szlachta powinna była na szablach roznieść Batorego, jako największego i najniebezpieczniejszego wroga polskiéj wolności. Autor szkicu 30-letniego panowania St. Augusta tak daleko nie idzie, Batorego nie każe roznosić na szablach, owszem przyznaje mu patryotyzm; jestto brak konsekwencyi, bo że Batory chciał wolność skrócić, to więcéj jak pewna, są na to bardzo jasne i jawne dowody. Ale na co dowodów niema, a o co P. Schmitt wszystkich królów elekcyjnych w czambuł obwinia, to że oni konspirowali przeciwko wolności, że uganiali się za absolutną władzą, że robili politykę li czysto dynastyczną, że niekochali Polski.

Dwóch ostatnich Wazów, Wiśniowieckiego, Sobieskiego o brak patryotyzmu posądzić nie można, ostatnich dwóch i Jana Kazimierza trudno obwiniać o konspirowanie przeciwko wolności; że każdy co chociażby na chwilę siadł na tym ciernistym polskim tronie, widział, że ta wolność prowadzi do zguby, że w interesie ojczyzny ukrócenie téj wolności musiał uważać za konieczne, to więcéj jak pewnem, tego wymagała nie dynastyczna ale narodowa polska polityka; znać słabość rządu i społeczności, i takową wytknąć i usunąć się starać, to nie konspiracya, to obowiązek patryotyczny, to pierwszy krok do naprawienia złego. Robić królów za wszystko odpowiedzalnym jest nietylko niesprawiedliwym, tendencyjnym wymysłem, ale nadto szkodliwym, bo utrudnia narodowi poznanie swoich wad i możność poprawiania się z nich.

Od wprowadzenia Jezuitów w Polsce datuje autor początek upadku Polski, doprawdy, trzeba nieznać albo dziejów, albo historyę uważać za środek do przeprowadzenia swych politycznych mrzonek, aby podobny sąd wydać. Początku upadku trzeba szukać daleko wcześniéj, datuje się on od pierwszych Jagiellonów, rok za rokiem, elekcya za elekcyą powiększa złe, każdy świetniejszy czyn na zewnątrz okupywali królowie osłabieniem rządu i społeczeństwa na wewnątrz, a wiek XVI, który p. Schmitta entuzyazmem napełnia dokonał złego, stargawszy wszystkie organiczne węzły, zakwestyonowawszy wszystkie czynniki społecznego ładu i karności. Radykalizm religijny zawsze szedł w parze z radykalizmem politycznym i na odwrót; każda karta historyi świadczy o tem wymownie. Wiek XVI był lepszym od XVII, to prawda, ale to nie zasługa zjazdów, dysput i broszur protestanckich ale dzięki pozostałym jeszcze w obyczajach i tradycyach okruchom pojęć XV i XIV wieku, gdzie powaga rządu i posłuszeństwo prawa istniały w całéj sile. Wiek XVI puścił wszystko na nice, wychowanki jego zrośli w jego zasadach i pod jego wpływem składali się swojemi czynami na dzieje XVII wieku. *Po owocach ich poznacie* mówi pismo, po owocach z XVII wieku da się osądzić wartość wieku XVI.

Świetność epoki ostatnich dwóch Jagiellonów była pozorną, świeciła szychem, kiedy robak toczył już korzenie pnia Rzeczpospolitéj, dosyć na dowód przytoczyć, iż już wówczas małe książątko wołoskie zamyślało o rozszarpaniu i podziale Polski. Nie wewnętrznéj sile ale słabości sąsiadów zawdzięczała Rzeczpospolita jakie takie powodzenie. Moskwa była podzielona na liczne księstwa i miała Tatarów na karku, marchia brandeburska ważyła tyle na szali ówczesnéj polityki europejskiéj, co dzisiaj Serbia lub Czarnogóra, dom austryacki zajęty był strawieniem Węgrów i Czechów, borykać się nadto musiał z Turcyą, Włochami i Francyą. Gdyby nie to, już w XVI wieku spotkać nas mógł ten sam los, co późniéj we dwa wieki się stało. Dodać do tego potrzeba, że osobista powaga Jagiellonów była jeszcze wielka w kraju i zagranicą, dziedziczność Litwy trzymała niesforne żywioły na wodzy, i nieraz groźby Kazi-

mierza Jagiellończyka, że porzuci Polskę i powróci do dziedzictwa ojców swoich, czyniła szlachtę powolniejszą na żądania królewskie. Postawienie Litwy w tym samym stosunku do panującego co i Polski, nareszcie wolna elekcya, która i współrodaków, a zatem zrodzonych w tychsamych warunkach co i rządzeni na tron powoływała, nawet osobistą powagę monarchów zniweczyła i ostatni czynnik rządzenia zaprzepaściła.

Jezuici Polski nie odrodzili, to prawda, ale do jéj upadku przyczynić się nie mogli, bo już przed wprowadzeniem ich do Polski wszystko było w rozprężeniu. Władza królewska była już zerem, stan włościański ujarzmiony, miasta bez politycznego i społecznego znaczenia, w skarbie były pustki, wojska nie było, a mała garstka kwarcianych pod władzą dożywotniego hetmana — stróża wolności, jak go szlachta nazywała — była więcéj skierowaną przeciw polityce królewskiéj, niżeli na jéj poparcie, w dyplomatyczne stosunki nikt z Polską wchodzić nie chciał, bo nikt nie miał rękojmi, że zobowiązaniom sprostać zechce i potrafi. Na ten stan Jezuici ani żaden inny zakon nie wpływali, nie zaprowadzili go, nie usiłowali go przedłużyć, przeciwnie Skarga w swoich kazaniach radził upamiętanie, przepowiadał nieomylny upadek. Przepowiadał go także Jan Kazimierz, którego również o jezuityzm posądzają — cóż to znaczy? oto już za ich czasów Polska była dojrzałą do upadku, tylko zaborców nie było.

To chydzanie władzy królewskiéj i powagi kościoła, jak w ogólności nie ma podstawy historycznéj, tak w książce dla ludu przeznaczonéj, który nie rozumuje i wszystko bierze za dobrą monetę, jest nadzwyczajnie szkodliwe i dziwi nas, jak niektóre dzienniki tak gorąco polecać ją mogły. Wszak ani w republice chociażby najskrajniejszéj ani w bezwyznaniowości nie tkwi siła odrodzenia.

Wszystko, cośmy dotąd powiedzieli tyczy się przedmowy, sama książka jest tylko streszczeniem ostatniego tomu obszerniejszego dzieła: Dzieje Polski w XVIII i XIX wieku, a o tem dziele wypowiedzieliśmy już nasze zdanie w swoim czasie.

Z przedmowy, w któréj autor powiada, że szkic ten pouczy wiele dzisiejszą generacyę, mianowicie czego się strzedz a co czynić powinna, podniesiemy jeszcze ustęp końcowy. Trzy było stronnictwa poucza autor pragnące naprawy Rzeczypospolitéj: jedno drogą powolną przez oświatę, ale ta droga wymagała wiele czasu, a tu wypadki gwałtownie następowały po sobie i czekać nie można było, wreszcie potentaci zagraniczni mieli już zwrócone oczy na usiłowania Polaków i mieli środki sparaliżowania tych usiłowań, drudzy gotowi byli przeprowadzić reformę nawet gwałtem, a że to wszystko zależało od siły, jaką rozporządzali, ta zaś nie była dostateczną, złe się przeto jeszcze powiększało, trzeci nakoniec chcieli naprawy tylko dawnych praw, co rzeczywiście niczego nie zmieniało.

Z takiego rozumowania nie wiemy zaprawdę, czego dzisiejsza generacya nauczyć się może, czego się ma strzedz, a co czynić, bo

czy tak, czy owak, czy inak koniecznie upaść potrzeba było, innego wyjścia autor nie wskazuje.

Tak ani założeniem ani przeprowadzeniem praca ta p. Schmitta na elementarne dzieło dla ludu bynajmniéj się nie kwalifikuje.

Galiciana Władysława Łozińskiego. We Lwowie nakładem Karola Wilda r. 1872, w 8-ce stron 132.

P. Łoziński w niniejszéj swojéj książce dał nam kilka szkiców z pierwszych lat panowania austryackiego w Galicyi. Nie znajdzie tam czytelnik systematycznego przebiegu działań austryackiego rządu, ale z tego, co nam szanowny autor podał, zdoła sobie zrobić jak najdokładniejsze pojęcie o tych czasach. Autor opiera się głównie na dokumentach, gdzie niegdzie tylko dla kolorytu pozwala sobie przytoczyć przechowaną tradycyę opartą na wszelkiéj wiarogodności. Skreślone obrazki a jest ich cztery: Hommagium, Pierwsi urzędnicy niemieccy, Józefinizm, Anonim odznaczają się wielką plastyką w przedstawieniu, traktują rzecz przedmiotowo i mimo, że historya tego peryodu życia naszego nadaje się szczególnie do rozjątrzenia umysłów, uniknął tego szkopułu, tak dla rządzących jak dla rządzonych nieprzyjemnego i bolesnego. Naszkicowane postacie dwóch pierwszych naczelników zabranego kraju hr. Pergena i hr. Brygido tchną życiem i prawdą i jeżeli pierwszy nie budzi odrazy, umiejąc wysokim rozumem i taktem przekonać o konieczności poddania się losowi, drugi swoją dobrodusznością i życzliwością dla nieszczęśliwego kraju jedna sobie zaraz na wstępie sympatyę i umie ją zachować przez cały czas swojego urzędowania. Natomiast niżsi urzędnicy począwszy od kreishauptmanów i distriktsvorsteherów zarówno jak urzędnicy i ludzie z małym wyjątkiem, należeli do najniższéj kategoryi zwierząt dwunożnych. Bez nauki, bez poloru, bez serca, zgraja awanturników wyuzdanych na wszystko złe, zarozumiała o swojéj misyi, znaczeniu i potędze, coś podobnego do dzisiejszych czynowników moskiewskich zalewających Kongresówkę, Litwę i Ruś, burmistrowała bez względu żadnego dla nikogo i niczego i bez kontroli. Nakładała samowolnie kontrybucye, zdzierała obywaleli, pastwiła się nad ludnością, kradła na wszystkie strony, nie szczędząc i kas cesarskich, tak między innymi hr. Strassaldo kreishauptmann lwowski skradł 20.000 reńskich i uciekł do Turcyi, gdzie przyjął Islam. Jacy-to musieli być ludzie można ocenić z anegdoty przypisywanéj pani kasztelanowéj kamińskiéj hr. Kossakowskiéj, która zapytana przez cesarzową Maryą Teresę, jak jéj się Wiedeń podoba, odpowiedzieć miała: „Od ostatniéj mojéj bytności Wiedeń się bardzo upiększył. Uważam osobliwie, że od czasu zajęcia Galicyi Wiedeńczycy kraty z okien powyjmowali, gdyż wszystkich tych, przed którymi się pilnie strzeżono, wysłano na urędników do Galicyi.“ Szlachta mściła się za doznane udręczenia i upokorzenia dowcipnymi uciskami, które ustnie i pisemnie kraj obiegały. I tak o panu von Kess, który przyjechał reformować sądownictwo krążyły wierszyki:

Przyjechał Pan Kess
Witałże go pies
Widział nieraz Lwów
Więcéj takich kpów.

Trzeba powiedzieć, że od tronu podobne nadużycia urzędników niemiekich w Galicyi zachęty nie miały. Cesarz Józef kilkakrotnie chciał im zapobiedz, wysyłano komisye z Wiednia, ponieważ jednak nowym poddanym nie dowierzano, starano się prawdę wybadać za pośrednictwem tychże-samych urzędników, rozumie się, że wszystko zaciszono, a raporta odesłane do Wiednia mówiły tylko, że to wszystko jest wymysłem fałszywego i podstępnego charakteru Polaków. P. Łoziński kończy swoję pracę na panowaniu Leopolda II, a i ten pierwszy okres panowania niemieckiego w Galicyi, jak już powiedzieliśmy nie jest wyczerpujący, życzyćby należało, aby albo on sam lub ktoś inny ją uzupełnił i doprowadził do ostatnich czasów, a zaprawdę historya Galicyi nietylko interesującym, ale i pouczającym będzie przyczynkiem do ogólnych dziejów naszego narodu. Pierwsze lody przełamane, dziś nie widzimy żadnéj trudności, żeby podobna praca nie mogła być podjętą i uskutecznioną. Co było, już przebolało, były winy z jednéj i błędy z drugiéj strony, szczere i lojalne wydanie sądu o téj nieodległéj przyszłości, posłuży za naukę obydwom stanom i ułatwi uniknienie na przyszłość kolizyi, któréj tak rząd, jak i kraj w dobrze zrozumiałym interesie obopólnym unikać winni.

— Lenartowicz Teofil wydał u Żupańskiego w Poznaniu nowy tomik poezyj in 8-vo str. 284 pod tytułem: Echa nadwiślańskie. Natchnienie czerpał poeta do tego utworu w wypadkach r. 1863. Nieprzeczymy, że w bolesnéj téj katastrofiie były w jednostkach objawy poświęcenia i zapału bez granic, przyznajemy, że co święte, poczcić się godzi, tem bardziéj, jeżeli jest nieszczęśliwe, z tem wszystkiem, wypadki ówczesne najmniéj dostarczyć mogą materyału do poezyi, którąby oddźwięk znalazła w sercu prawdziwego patryoty. Serce nasze jeszcze nie ostygło z bólu, strat niepowetowaliśmy w niczem, nierozsądkiem grzeszyliśmy wszyscy, stawiali na kartę losy ojczyzny i ktokolwiek w dobréj wierze działał w tych czasach, pewnie bez zgryzoty wspomnieć nie może tego, co było, tego, co być mogło i cośmy zaprzepaścili. Apoteozować téj epoki niepodobna; kilka udałych nawet wierszyków nie podniesie nas w oczach własnych, nie oczyści z wyrzutów, zaś my działali lekkomyślnie, a napawa trwogą, żeby dorastająca generacya nie chciała iść naszym torem i zamiast w trudzie i znoju zdobywać sobie ojczyznę piędź za piędzią, nawy ojczystéj nie powierzała marzeniom, ułudzie, szałowi, za jakie dziś pokutujemy.

Teodora Morawawskiego: Dzieje narodu Polskiego wyszedł tom III i IV. Dwa te tomy obejmują, okres dziejów od bezkrólewia po Zygmuncie Auguście, aż do śmierci Augusta III. Ważna i znakomita praca ta wymaga dłuższego studium, aby się w niéj rozpatrzeć, sprawozdanie zatem o niéj odłożyć musimy do przyszłego zeszytu.

— Pisma Józefa Supińskiego. Wydanie poprawione i pomnożone. Wydał funduszem poruczonym Jan Welichowski. We Lwowie w drukarni zakładu narodowego imienia Ossolińskich roku 1872, Tomów dwa, IVty o 308 stron i Vty o 228 stron in 8vo. Tom I, II i III myjść mają na widok publiczny do końca lutego b. r. Cena nadzwyczajnie niska bo tylko 5 złr. za wszystkie pięć tomów.

P. Supiński całe swoje życie oddawał się naukowym i piśmienniczym pracom. Pisma jego zawsze cenione były, wiał z nich duch umiarkowania i silnego przekonania, ale dopiero ogłoszona w r. 1864 i 65: Szkoła gospodarstwa społecznego w dwóch częściach postawiła go w rzędzie najznakomitszych naszych pisarzy w dziedzinie ekonomii politycznéj i rozniosła imię autora po całéj Polsce. Takiegoto pisarza wychodzi teraz kompletny zbior pism wszystkich i nie ma obawy, ażeby publiczność się niemi zainteresować nie chciała, tembardziéj, że autor dotknięty kalectwem na oczy nie będzie nas już mógł zasilać skarbami swéj wiedzy i głębokiego poglądu. Tom IV poświęcony jest wyłącznie zadaniom ekonomicznym, i traktuje najżywotniejsze kwestye. Tom V z popiersiem autora i krótkim życiorysem mieści w sobie płody belletystyczne mianowicie: dwie tragedye: Tatarzy w pięciu aktach i Arcez w czterech, oprócz tego drobne artykuły historycznéj, ekonomicznéj i politycznéj treści.

— Dr. Władysław Daisenberg wydaje dzieje filozofii „Prawo i Państwo na tle dziejów cywilizacyi“. Wyszedł dotąd zeszyt I 5-arkuszowy w drukarni „Kraju.“ Następne zeszyty mają wychodzić co miesiąc, każdy téjsaméj objętości co pierwszy.

— Dodatek miesięczny do Gazety Lwowskiéj poświęcony historyi, statystyce i ekonomii krajowéj. Rok. I, Zeszyt I obejmuje cztery arkusze druku i zawiera bardzo cenne artykuły odnoszące się do stanu oświaty i rolnictwa w Galicyi. Redaktorem jest p. Adolf Radyński.

— Służba zdrowia publicznego. Czasopismo poświęcone wszystkim gałęziom umiejętności lekarskiéj ze szczególnym względem na medycynę publiczną. Redagowane i wydawane przez Dra medycyny Zygmunta Dobiszewskiego inspektora szpitali powszechnych w Galicyi. Wychodzi we Lwowie. Zeszyt 1 za styczeń obejmuje 80 stronnic in 8vo. Papier i druk dobry. Ludzie fachowi zapewne wkrótce wydadzą sąd o niem, my się ograniczyć musimy tylko na zawiadomieniu publiczności o pojawieniu się tego pisma.

— Od nowego roku wychodzą następujące pisma: Kuryer lwowski we Lwowie pod redakcyą Bronisława Malisza, Kuryer Po-

znański pod redakcyą Żychlińskiego w Poznaniu; Świt i Promyk we Lwowie, pierwsze poświęcone literaturze i krytyce, drugie dzieciom. Promyk, redaguje p. Władysław Bełza znany nam już z udatnych swych wierszyków dla dzieci. W Krakowie wychodzić będzie pismo zbiorowe Na Dziś. Pierwszy zeszyt objętości 25 arkuszy druku niebawem opuści prasę. Redaktorem jego jest p. Kirkor były redaktor Kuryera Wileńskiego, znany równie z innych prac literackich.

— Osnowa, Pismo ruskie organ stronnictwa wicemarszałka Ławrowskiego wychodzi od stycznia b. r. w dawnym formacie.

Jak widzimy życie literackie w Galicyi i Poznaniu ustawicznie się wzmaga, bodaj tylko korzyści umysłowe odpowiadały trudom i nakładom, bodaj zbliżały i przyciągały do siebie zwaśnionych, a nie dodawały nowego fermentu w skład naszego społeczeństwa.

— Bolesław Maurycy Wolf, księgarz petersburgski i jeden z najczynniejszych i bardzo zasłużonych wydawców dzieł polskich, dzieła swego nakładu ponajwiększéj części wysokiéj naukowéj lub artystycznéj wartości wyprzedaje obecnie po bardzo zniżonéj cenie. Dział historyczny znakomicie jest reprezentowany. Między innemi znajdują się w tłomaczeniu polskiem: Sulikowski, Orzelski, Łasicki, Łubieński, Wassenberg, Heidenstein, Rudawski. Dla zbieraczy książek bardzo to dogodna okoliczność uzupełnienia swoich księgozbiorów. Ceny są bajecznie przystępne, a trzeba się spieszyć, aby książki te nie były rozerwane przez antykwarzy, którym potem będzie trzeba podwójną lub potrójną cenę za nie płacić, tém bardziéj, że nowego nakładu dzisiejsza generacya prawdopodobnie się nie doczeka. Z tego powodu polecamy naszym czytelnikom, aby w dołączonym do niniejszego zeszytu wykazie dzieł nakładu Wolfa po zniżonéj cenie, których główny skład na Galicyę w księgarni Gubrynowicza we Lwowie dokładnie się rozpatrzeć raczyli.

L. P.

Przegląd polityczny.

Kraków 31 stycznia.

Nie bez przykrości zapewne, czytelnicy nie znajdą tym razem pod rubryką niniejszą, nazwiska stałego kronikarza politycznego *Przeglądu*. Z powodu choroby p. Koźmiana, byliśmy zmuszeni niemal w ostatniéj chwili przyjąć na siebie trudny obowiązek zastępstwa, — z tem większą obawą, że potrzebaby wielkiéj bystrości umysłu i wytrawności sądu, aby rzucić wystarczające światło na zawikłaną i dość ciemną sytuacyę w Wiedniu.

Pod koniec miesiąca, sprawa galicyjska formalnie na nowo podjęta postawieniem w Izbie wniosku p. Zyblikiewicza, weszła w fazę przygotowawczą, któréj szczegóły otacza dotąd ścisła tajemnica. Dopiero z rezultatu narad toczących się obecnie w podkomitecie Wydziału konstytucyjnego, będziemy mogli powziąść wyobrażenie o zakresie koncesyi ofiarowanych Galicyi, oraz o stanowisku zajętem przez rząd i większość Izby względem uchwały Sejmu galicyjskiego. Dziś już za korzyść i pewną gwarancyę na przyszłość, można uważać oddzielenie sprawy galicyjskiéj od sprawy wyborów bezpośrednich, które to sprawy stronnictwo centralistyczne tak zdradliwie usiłowało związać razem w adresie Izby. Delegacya odnosząc ważne bez wątpienia zwycięztwo, zachowała sobie swobodę postanowienia względem dalszych zamiarów rządu, przeniosła podstawę rokowań na grunt właściwy interesów kraju.

Złudzeniem byłoby spodziewać się szerokich ustępstw na rzecz Galicyi w téj chwili. Dobra wola korony, tak wymownie wyrażona w mowie tronowéj, musi liczyć się tu ze złą wolą większości, która nie zdaje się być silnie przekonaną o potrzebie rzeczywistéj ugody z Galicyą. Obydwa powyższe kierunki streszczają się i istnieją obok siebie w łonie gabinetu. W naszém osobistem przekonaniu, gabinet ks. Auers-

perga nie jest dość jednolitym, aby był zdolnym pragnąć takiéj ugody lub taką ugodę przeprowadzić. Jeżeli okazuje się skłonnym do ustępstw, to dla tego, że ugoda z Galicyą była od początku jedną z jego racyi bytu, oraz dla tego, że bez porozumienia z Polakami nie może jednym krokiem naprzód postąpić. Bądź co bądź, ulega coraz bardziéj wątpliwości, czy gabinet bez pomocy Polaków zdoła uzyskać w Izbie większość głosów, potrzebną do przeprowadzenia projektowanéj nowelli do prawa o wyborach bezpośrednich z konieczności, nie mówiąc już o radykalnéj reformie istniejącego porządku, o owem wcieleniu w prawo „austryackiéj idei państwowéj,“ wyborów bezpośrednich do Rady państwa. Jakoż widzimy, że na sprawie galicyjskiéj zahaczyła się najzupełniéj cała czynność konstytucyjna Rady państwa. Stronnictwo centralistów, niedawno stawiające za warunek wzięcia pod obrady uchwały sejmowéj, połączenie jéj z kwestyą wyborów bezpośrednich, lub przynajmniéj z nowellą, oswaja się z myślą, że załatwienie żądań Galicyi musi poprzedzić sprawy, będące treścią programu zawartego w adresie, — programu, który może więcéj wymierzonym był na utrudnienie porozumienia z Galicyą, niż na wzmocnienie konstytucyi grudniowéj. Rząd powstrzymał się również z wniesieniem w Izbie nowelli, zajmującéj jedno z pierwszych miejsc wśród projektów rządowych, do któréj gabinet przywiązuje szczególną wartość, bo spodziewa się tym sposobem ochronić parlament od doraźnego zerwania i zabezpieczyć czasowo regularne funkcye głównych organów ustroju państwowego: Rady państwa i delegacyi wspólnych.

Tak więc, chociaż ważność ugody z Galicyą dla interesów Austryi, nie jest należycie ocenianą w Wiedniu, same względy praktyczne przemawiają za załatwieniem sprawy tak blisko nas obchodzącéj. Waży ona na szali pomimo wszystkiego i wszystkich, a gabinet powinien zrozumieć. że tylko koncesye rzeczywiste, umiarkowane ale szczere, jasno określone, raz na zawsze kładące tamę sporom konstytucyjnym Galicyi z Radą państwa, — że tylko takie koncesye zdolne są przynieść rządowi i całemu ustrojowi istotną podporę i siłę.

Inne nadto okoliczności doradzają, naszem zdaniem, gabinetowi starać się o przeprowadzenie ugody z Galicyą. Już rozprawy adresowe wykazały, jak znaczne różnice zachodzą w opiniach i widokach między rządem i większością. Odtąd widocznem jest także, że zgoda głównych czynników konstytucyjnych ma dość ciasne granice, że summa téj zgody nie wystarcza do przedsięwzięcia na seryo, choćby w najskromniejszych rozmiarach, téj pracy Syzyfa, zwanéj niegdyś w urzędowym stylu z pod *Schotten-Thor* „zjednaniem ogólnego uznania dla konstytucyi.“ Gabinet musi szukać sprzymierzeńców, a ma do wyboru żywioły, na których oparłszy się będzie mógł

rządzić, albo żywioły, które go będą pchać w kierunku nie zupełnie zgodnym z tym, w jakim postępować zamierza, i ostatecznie zgotują mu upadek jeszcze mniéj chwalebny, niż jego poprzednikom.—Nadto gabinet przyznając się do ojcostwa nowelli i „austryackiéj idei państwowéj, zabrnął w szereg trudności, do ominięcia których, nie będzie miał nigdy zbytku sił i poparcia. Nowella może zapewne wzmocnić chwilowo chwiejący się mechanizm konstytucyjny, ale rząd musi się posługiwać tą bronią nadzwyczaj ostrożnie, bo któż zdoła obliczyć, jaki płód wyda w przyszłości krzyżowanie stronnictwa wiernokonstytucyjnego z monstrualną nowellą? — bo ta sama nowella może doprowadzić całą konstytucyę *ad absurdum*, albo postawić rząd w obec wyłącznéj reprezentacyi mniejszości, któréj rola będzie bardzo zagadkową, a niemniéj podług litery prawa, legalną. — Co do wyborów bezpośrednich, obok pytania, czy summa zgody głównych czynników konstytucyjnych, o któréj mówiliśmy wyżéj, pozwala na wniesienie projektu do prawa w Izbie, obok trudności praktycznych w przeprowadzeniu przez sejmy tego prawa, pozostaje jeszcze wzgląd na następstwa. Bezpośrednio znika wszelka możność usiłowań na ogólnéj ugodzie, czego wprawdzie pragnie stronnictwo dziś w Izbie przeważające, ale czego pragąć nie mogą te sfery, którym słusznie leży na sercu obowiązek pieczy nad pokojem całéj monarchii. Daléj zaś próżnem byłoby się łudzić, ze konstytucya w dzisiejszéj formie potrafi ostać się długo obok wyborów bezpośrednich do Rady Państwa. Nie może to być obcem i nie jest obcem stronnictwu wiernokonstytucyjnemu, Wie ono doskonale, że w parlamencie powstałym z wyborów bezpośrednich, przywództwo wyśliznie się z rąk p. Herbsta i jego przyjaciół politycznych; że następnie sama siła rzeczy sprowadzi upadek systemu kuryi wyborczych i zawiedzie prostą drogą do głosowania powszechnego, czyli innemi słowy: do większości słowiańskiéj. Pomimo tego przeświadczenia, stronnictwo to jednak nie przestaje wołać o reformę, poświęcając własny interes dobrze zrozumiany zawiściom rasowym, wstrętowi do ogólnéj ugody i przedewszystkiem niechęci do układu z Galicyą, która to niechęć dziś jest podobno ostatniem słowem polityki wiernokonstytucyjnéj.

Fakt powyższy pozostanie charakterystyczną cechą parlamentarnych stosunków z Austryi, ale zaniem nabierze historycznéj wartości, jest niestety smutnym objawem, oraz przestrogą dla rządu, nauczającą, ile warte poparcie stronnictwa, co nie umie wznieść się nad namiętność, ani nad politykę wybiegów przedłużających jego sztuczny żywot zaledwie z dnia na dzień. Gabinet ks. Auersperga idąc ręka w rękę z takiem stronnictwem będzie musiał również przyjąć politykę niewyglądającą po za dzień jutrzejszy, a mimo to rzucić się w ot-

chłań eksperymentów, o wiele bardziéj awanturniczych i ryzykownych dla monarchii, niż eksperymenta ugody prawnopolitycznéj jego poprzednika.

Często spotkać się można z pytaniem: jaką rolę odgrywa obecnie hr. Andrassy w zawikłaniach przedlitawskich, oraz z wyrazem niejakiego zdziwienia, że dotąd nie wynalazł ani lekarstwa na wewnętrzne spory, ani heroicznego środka podnoszącego odrazu Austryę na szczyt znaczenia i wpływu w Europie. Szczególnie w kraju naszym uważano hr. Andrassego za rodzaj *Deus ex machina*, za istotę wszechmocną, któréj prosta obecność w Wiedniu miała wystarczyć, aby sprowadzić w mgnieniu oka ugodę z Galicyą i stworzyć wielkie kombinacye polityczne natychmiastowéj skuteczności. Bezwątpienia, tak śmiałe nadzieje hr. Andrassy zawiódł bezwarunkowo, ale téż niczém nie upoważniał do podobnych marzeń, owszem, przyszedł do władzy skromnie i cicho, jak na męża stanu i człowieka politycznego przystoi. Zdenuncyowany wobec zagranicy przez dzienniki wiedeńskie, przyjęty nieprzychylnie wewnątrz jako reprezentant węgierskiego wpływu, sól w oku dla licznéj gromady tych wszystkich, którym hr. Beust służył za narzędzie albo za protektora, minister spraw zagranicznych słusznie osądził, że najlepszą polityką dlań będzie, trzymać się na uboczu i dać zapomnieć Wiedniowi o swojéj obecności na *Baal-Platz*, gdzie jeszcze panowała duszna, miazmatyczna atmosfera stworzona przez jego poprzednika i udzielająca się po części całéj stolicy. Nie idzie zatém, aby miał się wyrzec stanowczo swego programu politycznego, na wprowadzenie w życie, którego tygodnie ani miesiące nie wystarczają. Nie mamy również żadnéj wskazówki, pozwalającéj wnosić, że hr. Andrassy zaparł się dawnych przekonań o konieczności ugody z Galicyą; zachował tylko nadal w téj kwestyi postawę skreśloną przez p. Koźmiana w grudniowym zeszycie *Przeglądu;* w ostatnich zaś dwóch miesiącach, sytuacya pozostała tąż-samą: dla nas przybył ustęp mowy tronowéj, odnoszący się do Galicyi, sprawa ugody poszła drogą przepisaną i z góry przewidzianą, a ministeryum ks. Auersperga znajduje się i znajdować się będzie w niebezpieczeństwie śmierci, dopóki kwestyi galicyjskiéj nie załatwi.

Zagraniczna polityka Austryi w téj chwili jest tak prostą, jak może nigdy. Utrwalić dobre porozumienie z Niemcami, oprzeć je na szczerości wzajemnych stosunków, otrzymać za pośrednictwem gabinetu berlińskiego powstrzymanie zapędów agitacyi panslawistycznéj, oto najważniejsze i główne punkta. Czynniejszéj roli nie sprzyja sytuacya wewnętrzna, ani też wymaga położenie Europy. Czy zaś Austryę za granicą będzie reprezentował Węgier czy Niemiec, to do rzeczy nie należy, byle to lub owo nazwisko nosił ajent zdolny i czynny.

Najnowsze nominacye wskazują, że ten wzgląd przeważa w urzędzie spraw zagranicznych.

Małą próbką trudności, jakiemi najeżone jest stanowisko hr. Andrassego, mamy w przedługiéj i przenudnéj komedyi, odegranéj przez politycznie zmarłego kanclerza. Po śmiesznym okólniku pożegnalnym, p. Beust, który gwałtem chce wmówić w siebie, że jest wielkim człowiekiem i że jeszcze żyje, przedsięwziął wędrówkę po stolicach Europy i rezydencyach równych mu upadłych wielkości, nie pominął Wersalu ani Chislehurst, znaczył swą drogę niezręcznością, doznał osobiście zimnego przyjęcia w Londynie i w końcu wrócił do Salzburga, podsłuchiwać, co się dzieje w Wiedniu, a przy téj sposobności wymieniając komplimenta z dawnymi wyborcami z Reichenbergu, ośmielił się ubliżyć państwu, któremu służy. Gdzieindziéj na świecie, urzędnik publiczny dopuszczający się podobnych wykroczeń przeciwko elementarnéj przyzwoitości, ani jednéj godziny nie pozostałby w służbie; ale w Wiedniu p. Beust puścił głębokie korzenie na niezdrowym gruncie, ażeby go uczynić raz na zawsze nieszkodliwym; jemu samemu pozostawiono zajęcie się własnym pogrzebem. Krótkiem wspomnieniem pośmiertnem, a nieczém inném, jest półurzędowe ostrzeżenie udzielone przed parą dniami ambasadorowi londyńskiemu, który odtąd wykreślonym został stanowczo z rzędu żyjących.

Przenosząc się od spraw domowych do obcych, widzimy niemal wszędzie, od Londynu do Madrytu, przerażające kłopoty wewnętrzne i trudności parlamentarne. W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca, na deskach teatru Wersalskiego, miała miejsce wcale nie budująca scena między Zgromadzeniem Narodowem i prezydentem Rzeczypospolitéj francuskiéj, z powodu uchwały odmawiającéj opodatkowania płodów surowych, według przestarzałego systemu protekcyi handlowéj. P. Thiers przeniósłszy się zapewne wyobraźnią w dawne dobre czasy, kiedy bywał naczelnikiem gabinetu i nie dzierżył władzy wykonawczéj, w uchwale Zgromadzenia ujrzał wotum nieufności i podał się jak prosty minister do dymisyi, czyli podług wyrażenia jednego z najznakomitszych publicystów francuskich, doskonale rzecz malującego: „Wyrzucił władzę przez okno, nie troszcząc się w czyje ręce ona popadnie.“ Szczęściem działo się to nie w burzliwym Paryżu, ale w spokojnym i obwarowanym Wersalu, więc władza tak lekkomyślnie do rzędu nieużytecznego sprzętu zdegradowana, wpadła w ręce Zgromadzenia, zamiast popaść w dłonie komuny, i wkrótce potem p. Thiers na usilne prośby reprezentantów kraju, zgodził się daléj kierować losami Francyi bez podatku żądanego. Nie chcemy przypuszczać, aby to była naprzód obmyślana komedya nowéj sankcyi paktu w Bordeaux zawar-

tego, ale niemniéj smutna to wróżba dla Francyi, kiedy doktryneryzm jednego człowieka, najlepszego z najlepszych, ale chcącego jednocześnie panować, rządzić i nadto pod osobistą odpowiedzialność podciągać nawet podrzędne kwestye, stawia na ostrzu miecza porządek i anarchię, normalny rozwój i wojnę domową. Tym razem niezgoda wewnętrzna panująca w Zgromadzeniu, uchroniła Francyę od wstrząśnienia; pytanie jednak, czy się to zawsze powtarzać będzie, ile razy p. Thiers uzna za stósowne grozić obosieczą bronią dymisyi... Sposobności po temu niezabraknie, bo cały system protekcyjny p. Thiers Zgromadzenie odrzuci pojedynczemi pozycyami, jak to miało miejsce z podatkiem od płodów surowych i jak się to dzieje w téj chwili z projektem do prawa o marynarce kupieckiéj. Minister finansów, podzielający handlowe zasady prezydenta, nie okazuje pomimo tego bynajmniéj chęci złożenia teki; odmawia wyjaśnień komisyi Zgromadzenia, lecz w urzędzie pozostaje. W logicznem następstwie więc, spór oprzeć się musi na nowo o osobę naczelnika władzy wykonawczéj. Jestto błędne koło, o włos graniczące z przepaścią nowéj katastrofy; dość ziarnka piasku, aby najniespodziewaniéj wykolejenie sprowadzić. Z takiego stanu rzeczy nie może wypływać nic innego, jak ciągła agitacya, torująca drogę komunie albo Bonapartyzmowi.

Niektóre dzienniki zagraniczne i krajowe na wiarę doniesień wychodzących z dość podejrzanych źródeł, utrzymują jakoby w skutek najnowszych zabiegów dworu rosyjskiego Stolica Apostolska miała się okazywać skłonną do ustępstw przynoszących szkodę narodowości polskiéj. Liczne dowody ojcowskiéj miłości Piusa IX dla Polski, stanowią w tym względzie rękojmię, że z téj strony przynajmniéj żądne nam niebezpieczeństwo nie grozi, i dla tego radzimy podobne doniesienia przyjmować z największą ostrożnością.

Kiedy mowa o Rzymie, trudno nie podnieść na tem miejscu pewnego ustępu korespondencyi z wiecznego miasta, zamieszczonéj w *Przeglądzie Lwowskim* z 1 stycznia b. r. Zarzucano tam jednemu z naszych ziomków, zostających w austryackiéj służbie dyplomatycznéj, udział w popieraniu rewolucyi włoskiéj, oraz uczynki mające „srom przynosić imieniowi polskiemu“ na równi z wspólnictwem Dąbrowskiego w komunie paryzkiéj. Żałować przychodzi że korespendent lwowskiego pisma, odznaczający się bardziéj źle zrozumianą gorliwością niż znajomością rzeczy, nie starał się zasięgnąć informacyi wiarogodniejszych nad podania“ dobrze powiadomionych o zakulisowych sprawach dyplomacyi “„dzienników; że niezastanowił się nad faktami, zaniem uznał za dobre rzucić się na dobrą sławę bliźniego. — Hr. Karol Załuski *nie przewodniczy* amba-

sadzie, ale sprawuje interesa w zastępstwie tytularnego naczelnika misyi. Już dawniéj urzędował jako radca ambasady w Florencyi, tam jeszcze, w skutek wyjazdu ministra, objął zastępstwo na mocy reguł hierarchicznych, i w takim charakterze przeniósł się do Rzymu. Pomimo powagi, nawet tak w oczach korespondenta wiarogrodnego dziennika, jak *Correspondance de Genève*, pozwalamy sobie wątpić, by staraniom hr. Załuskiego Włochy miały zawdzięczać „uznanie swoich czynów za rzeczy legalne“ ze strony Austryi. Podobne twierdzenie, nie wytrzymujące najlżejszéj krytyki zdrowego rozsądku, daje najlepszą miarę wiarogodności owéj korespondencyi i uwalnia nas od niemiłéj pracy podnoszenia innych zarzutów, opartych na téjże saméj wagi podstawach.

Zapiszmy w końcu, że w chwili kiedy to sprawozdanie kończymy, telegraf przynosi wiadomość, iż Najjaś. Pan potwierdził projekt Statutu Akademii Nauk i Umiejętności w Krakowie. Sprawa zatem jest wygrana i skończona. Za to należy się wdzięczność i Cesarzowi, którego dobra wola względem nas znowu się pięknie i wyraźnie objawiła, i tym z naszych rodaków, którzy wytrwałem staraniem dzieło do szczęśliwego skutku doprowadzili. Ale teraz zacznie się działanie Akademii: oby szczęśliwe, prawdziwie naukowe i polskie. Tego pragniemy, i nie wątpiemy o tem. Wybory, które wkrotce nastąpić muszą, powołają, jesteśmy tego pewni, do składu przyszłéj Akademii sam wybór i kwiat sił naukowych jakiemi naród nasz dziś pochwalić się może.

Henryk Lisicki.

Teatr. — W rocznikach naszego teatru nie pamiętamy podobno miesiąca tak obfitego jak ostatni w przedsięwzięcia bardzo śmiałe, w niemałe trudy i emocye dla dyrekcyi i artystów, w nowości dla znawców i miłośników sztuki nadzwyczaj ponętne. Gdyby który z wielkich teatrów europejskich, wiedeński Burg naprzykład, ze swoim licznym zastępem artystów i ze wszystkimi środkami jakie ma na usługi, przedstawił w jednym miesiącu trzy nowości, zwróciłoby to uwagę wszystkich jako rzecz rzadka i trudna. Cóż dopiero gdyby w rzędzie tych nowości była jedna z największych i najpiękniejszych tragedyi jakie są na świecie: drugą obok niéj utwór dziwny kapryśnéj fantazyi, pełen wdzięku, rzewności, smutku, nie w wielkim tragicznym stylu pierwszego, ale dramat który możnaby nazwać szczytem tego co ładne; a trzecia nowość wreszcie, to jedna z tych rzeczy do których teatra pojmujące swoje zadanie przystępować zwykły z religijną czcią, których przedstawienie jest zawsze wielkiem artystycznem świętem, ale świętem smutnem, rodzajem żałobnego obchodu z którego wychodzi się zawsze pod wrażeniem żalu, to fragment wielkiego poety, fragment na którym gienijusz jego wybił swoje nieśmiertelne piętno, a którego dokończyć nie miał czasu. Małe rzeczy tak przykrych, tak niecierpliwiących jak fragment, a im jest piękniejszy tem gorzéj, tem bardziéj tęskni się za straconą na zawsze całością. Ale teatra dobrze robią, że czczą takie relikwie po wielkich poetach, tak jak muzea przechowują ułomki rzeźb lub niedokończone płótna wielkich malarzy: i kiedy przed laty dziesięciu lub mało co więcéj teatr wiedeński przedstawiał po raz pierwszy pozostałe półtora aktu Dymitra Schillera, całe Niemcy oświecone, artystyczne i literackie, ze wzruszeniem tego przedstawienia czekały.

Nasz biedny mały prowincyonalny teatr krakowski, który ma fundusze skąpe, publiczność nieliczną, przybory i urządzenia sceniczne nader skromne, a grono artystów tak szczupłe, że po największéj części ci sami zawsze występować muszą w najróżnorodniejszych sztukach i rolach, w jednym i tym samym miesiącu zerwał się na trzy nowości takich rozmiarów i takiéj wagi, jak „*Wallenstein*,“ jedno z wielkich arcydzieł sztuki dramatycznéj, jak jedna z najdelikatniejszych i najpoetyczniejszych sztuk nowszego francuzkiego dramatu, Musseta „*On ne badine pas avec l'amour*“ — a wreszcie, rzecz nie dla krytyki artystycznéj ale dla polskiego teatru i polskiéj publiczności największa, przedstawił na scenie po

raz pierwszy jedyną próbę dramatyczną Mickiewicza, fragment niestety, „*Konfederatów.*“

Nic dziwnego może? Może to właśnie szczęśliwy przywiléj małych teatrów, że bez myśli i rozwagi zrywają się na wielkie rzeczy, że zmuszone ciągle zmieniać i coraz coś nowego drukować na afiszach, zapowiadają arcydzieła z których robią parodie: że spamiętawszy role jako tako, po dwóch lub trzech próbach, artyści przedstawiają osoby o których nic nie wiedzą, sytuacye, których nie rozumieją: takie przedstawienie jest karykaturą, profanacyą, ale mniejsza o to, byleby ponętny afisz znęcił publiczność. I jakiś krytyk, jakiś znawca i czciciel pięknych rzeczy, słysząc o takich trzech nowościach granych w tak krótkim czasie na naszym teatrze, naszemi środkami, pomyślałby zapewne z daleka, że zerwać się łatwo, ale że taka odwaga nie jest w obec sztuki zasługą, tylko właśnie zgorszeniem.

Bylibyśmy może myśleli jak ten krytyk, zdaleka. W teoryi, miałby on słuszność zupełną. W praktyce, zbliska pokazało się inaczéj. Musi być doprawdy wielka usilność i wielkie zamiłowanie sztuki tak w dyrekcyi jak w artystach, kiedy stało się rzeczą możliwą to co na największych scenach byłoby zadziwiającą, to jest, że takie trzy sztuki wystąpiły jedna po drugiéj, prawie bez przerwy, a nietylko że nie były grane źle, ale były grane dobrze, a dla widza który ma na uwadze nasze siły i warunki, zadziwiająco, nadspodziewanie dobrze.

Rezultat to, którym każdy kto zechce być sprawiedliwym, może się tylko bardzo cieszyć, a za którą dyrekcyi i artystom należy się prawdziwa wdzięczność.

Czy wiele jest na świecie rzeczy tak trudnych do przedstawienia na scenie jak Wallenstein: ma się rozumieć tak żeby w przedstawieniu nie zniknął Schiller? Jak pomyśleć ile tam rzeczy z których żadna zniknąć nie powinna, jak pomyśleć, jak strasznie, jak tragicznie i jak przyspieszonym pędem rozwija się ten dramat, ile tam nagromadzonéj patetyczności, ile rozdzierających kollizyi w każdéj postaci z osobna, ile wielkości i potęgi w jednych, ile wzniosłego poetycznego liryzmu w innych, jak w niektórych scenach to pathos kryje się pod jakimś na pozór potocznym realizmem, jak sobie przypomnieć że Wallenstein jest jedną z wielkich figur historyi, Maks i Tekla z rodziny najwznioślejszych, najeteryczniejszych ideałów poetycznych, i jak się zastanowić, że to wszystko powinno być w przedstawieniu nie tak, lecz bardziéj widocznem aniżeli w czytaniu, doprawdy dziwić się trzeba ludziom, którzy rozumiejąc co grać mają, nie przestraszą się ogromu swego zadania. Sceny niemieckie, z tą wysoką czcią Schillera jaką przechowują, i z tem wysokiem wykształceniem artystycznem jakiem się odznaczają, rozumieją dobrze tę trudność, to też, kiedy przychodzi grać Wallensteina, składają się na niego wszystkie najpierwsze siły tych teatrów: artyści, którzy w innych sztukach zbierają oklaski w pierw-

szych rolach, nie wstydzą się być szwedzkim pułkownikiem lub rotmistrzem w Wallensteinie. I słusznie: bo tu każda scena znaczy, każde słowo pogrąża bohatera głębiéj w przepaść, każda chwila zbiera nad jego głową coraz więcéj téj elektryczności z któréj wystrzelić ma piorun, postęp jest ciągły, stopniowanie nieprzerwane, w każdéj scenie, w każdéj osobie jest część tego fatum które bohatera ściga, téj Nemezis która go wiedzie do zguby. I w każdéj scenie, w każdéj osobie, to powinno być widocznem.

I taki ogrom, taki świat prawd i piękności, dramat wymagający tyle sztuki i tyle poetycznego uroku w tych którzy go grają, a tyle przyborów w przedstawieniu, na małéj prowincyonalnéj scenie nie był parodią? Doprawdy to samo byłoby już wielkim rezultatem, wielkim tryumfem. A rezultat był lepszy, bo nietylko w całem tem przedstawieniu nie było nic rażącego, nic śmiesznego, ale był pewien stopień doskonałości i harmonii nie najwyższéj zapewne, ale przyzwoitéj, dostatecznéj, a były chwile i sceny odegrane prawdziwie pięknie.

Rzecz naturalna, że jak w dramacie nad wszystkiem góruje tragiczna a wielka figura Wallensteina, tak w przedstawieniu ta rola powinna panować nad wszystkiemi, całe światło obrazu powinno skupiać się na niéj. Zdarzyło nam się czytać, a nawet słyszeć zdania, jakoby pan Rychter, (któremu winni jesteśmy to żeśmy Wallensteina widzieli, bo on zdecydował przedstawienie wybierając tę rolę na benefis), nie był miał tyle siły, tyle rozkazu w głosie i postawie, tyle panowania nad sobą i nad drugimi, ile ich potrzeba żeby być wodzem, wielkim człowiekiem, Wallensteinem, żeby cały interes dramatu skupić w swojéj osobie, i tak wyjść, wystawać z otoczenia, jak w obrazie figury wychodzą i wystają z tła. W wyroku tym, sądzimy, jest nieco prawdy, a wiele, za wiele surowości. Prawda, że ten charakter wodza i żołnierza w niektórych scenach nie był odznaczony dość wyraźnie i silnie. Ale zważmy powody: naprzód tłómaczenie, tłómaczenie straszliwe, w którem Schiller znika jak Szekspir w księdzu Kefalińskim, a które choć bardzo znacznie poprawione przez jednego z miejscowych literatów, jeszcze odejmowało siłę i energię najpiękniejszym właśnie słowom Wallensteina. Trudno żądać, i niesprawiedliwie, żeby aktor swoją grą zastąpił zupełnie to, co w jego słowach być powinno, a czego w nich nie ma. Kto z krzeseł tylko na Wallensteina patrzał, ten czując że w tem lub w owem miejscu czegoś brakuje, przypisywał to artyście, ale kto miał sposobność przejrzeć rękopism jego roli, ten musiał poznać, że wiersze twarde, zawikłane, często niezrozumiałe, często pospolite, nie dały się mówić z tym ogniem i z tą siłą, co przepyszny tekst niemiecki. A obrona ta odnosi się nie do téj jednéj roli i tego jednego artysty, ale do wszystkich, i wszystkich tłumaczy jeżeli nie oddali całéj piękności jaka w ich rolach jest.

Potem weźmy na uwagę fizyczne warunki pana Rychtera, choćby sam wzrost zwyczajny, średni, głos który się łatwo męczy a miał wystarczyć na rolę tak długą i nużącą, a zrozumiemy, że jemu było trudniéj jak innemu być tym imponującym kolosem którym Wallenstein być powinien. Wreszcie dodajmy do tego szkołę do któréj artysta należy, a która gestów i gry fiziognomii używa więcéj niż niemiecka naprzykład, dodajmy i rodzaj jego talentu, jego naturę wrażliwą, łatwą do wzruszenia, a będziemy musieli przyznać że w swoich warunkach fizycznych, w swoich tradycyach artystycznych i w swoim temperamencie, znajdował pan Rychter niemałe utrudzenia i przeszkody.

A przecież, kto powie że rola Wallensteina nie była pięknie graną?

Zdaje nam się, że aktorowi jak autorowi należy zostawić trochę swobody, nie przepisywać mu, jak ma pojąć rzecz którą pisze lub postać którą przedstawia, ale patrzeć na to i z tego go sądzić, czy wedle tego jak ją pojął, wykonał ją dobrze. Oczywiście aktor ma tu daleko mniéj wolności, ogranicza go zamiar poety, charakter przedstawionéj postaci. Ale byle tego nie zmienił, nie sfałszował, należy mu pozwolić cieniować ten charakter jak chce i jak rozumie, Prawda, Wallenstein pana Rychtera był niespokojny, porywczy, nerwowy, wrażenia odbijały się na nim bardzo widocznie i bardzo silnie. Prawda i to, że Wallenstein do którego jesteśmy przyzwyczajeni, tradycyjny, klassyczny Wallenstein artystów niemieckich, jest bardziéj panem siebie, skala jego ruchów i zmian twarzy jest ciaśniejszą: i gdyby nas samych kto zapytał, zapewne, wolelibyśmy takiego Wallensteina spokojnego.

Ale czyż tylko taki może być dobrym, prawdopodobnym, pięknym? czy taki Wallenstein nerwowy i burzliwy nie da się logicznie pomyśleć a pięknie przedstawić? Śmiałyby był ktoby tak twierdził: bo jak na jednym barometrze igła oscylluje w granicach bardzo ciasnych, prawie się nie rusza, na drugim za każdą zmianą zrobi skok duży i widoczny, a przecież oba barometry jednę i tę samą zmianę wskazują i oba prawdziwie, tak pomiędzy artystami jeden może pokazywać zmiany stanu duszy grą bardzo hamowaną i nieznaczną, drugi bardzo widoczną i czynną, a oba pokażą zmianę tę samą, charakteru postaci którą przedstawia, jéj stanu duszy, żaden nie przedstawi fałszywie.

Na barometrze pana Rychtera wskazówka robiła skoki duże i widoczne, to przyznajemy, i dodajemy jeszcze, że mniejsze byłyby lepiéj odpowiedziały naszemu własnemu wyobrażeniu o Wallensteinie. Ale teraz zapytamy tych wszystkich którzy artystę krytykują, którzy mu zarzucają za wiele ruchu, kroki szerokie, i t. d. kiedy to wskazówka pokazała coś fałszywo? w któréj scenie, w którem miejscu gra pana Rychtera była w sprzeczności z tem co Wallenstein w téj chwili czuje i myśli? która intonacya była fałszywa? która zmiana lub stopniowanie uczucia zatarte? w którem

miejscu pathos za silne a w którem nie dosyć? który ruch był przesadny, albo powszedni i płaski? Zapewne, kto się uprze, ten odpowiedź znajdzie, jak znajdzie zawsze kamień, kto chce psa uderzyć. Znajdzie się to naprzykład, że w zakończeniu trzeciego aktu głos nie miał dość energii i siły.... na pierwszém przedstawieniu, kiedy pan R. zmęczony próbami, niespokojny o przedstawienie, był od kilku dni bardzo cierpiący, bo na przedstawieniach następnych już tego nie było. Albo że był za rzewny, za czuły w swoich scenach z Maxem? kiedyśmy taki zarzut słyszeli, musieliśmy przypominać sobie, czy przypadkiem Wallenstein nie płakał nad Maxem?... nie, nie płakał, tylko on kochał tego człowieka, który „stand neben ihm, wie seine Jugend," a którego gdy zabrakło, „die Blume war hinweg aus seinem Leben;" i to było widać że go kocha, i było dobrze. Jakto, Schiller kładzie Wallensteinowi w usta do Maxa i o Maxie słowa tak rzewne i czułe (akt III i V), a aktor, który je mówi, miałby się nie rozrzewnić? Chybaby ich nie rozumiał.

A tu wszystko, co Wallenstein mówi, właśnie zrozumiane było wybornie: wszystko, aż do głowy bardzo charakterystycznéj, wszystko dowodziło, że artysta studyował swego bohatera z największą usilnością i sumiennością, a grał go z przejęciem, skoro wzruszenie jego własne niekiedy przez grę się przebijało. Niech mu za to rzuci kamień kto chce, nam się zdaje, że takie usterki powinny jednać artystom tylko sympatyę i szacunek, bo dowodzą, że to artyści prawdziwi, którzy czują co mówią i znają wielkość swoich poetów i swoich bohaterów. To przyznamy chętnie jeszcze raz, że Wallensteina spokojniejszego bylibyśmy woleli: ale przy tem znów obstawać będziemy do ostatka, że ten Wallenstein jaki był, był jednolitą i piękną całością, był zgodny z sobą i z wielką kreacyą poety. Niech tylko zawsze na polskich teatrach będzie taki Wallenstein, a będzie dobrze: najwybredniejszy krytyk będzie mógł być o los naszéj sceny spokojnym.

Wspomnieliśmy podobno, że przedstawienie Wallensteina było jednem z badzo starannych, że miało całość jaką, w tragediach zwłaszcza, nie zawsze widzieć można. Odnosi się to nietylko do strojów pięknych i historycznie wiernych, do malowniczego ustawienia osób i dobrego ułożenia rzeczy na scenie, ale i do rzeczy ważniejszéj, do gry artystów. Nie powiemy żeby ta gra była zawsze dochodziła do wysokości i piękności ról, po większéj części miała ona przyzwoitą średnią miarę: ale doprawdy to nieżart, to przy takich rolach wielka pochwała. Po nad tą miarą stał p. Benda (Octavio), który rolę trudną, niewdzięczną, niewielką, grał z bardzo trafném zrozumieniem i bardzo delikatném cieniowaniem. Jednéj rzeczy, zdaniem naszém, brakło, tojest w ostatniéj scenie wrażenia, wstrząśnienia na widok Hrabiny, a zwłaszcza na widok przenoszonego przez scenę ciała Wallensteina.

Pani Hoffman, ma oprócz innych zalet swojego talentu, jedną wielką wyższość nad większością artystek polskich: umié być natu-

ralną; kiedy mówi, otwiera usta, nie sznuruje ich, nie ściska zębów, głosowi swojemu pozwala wychodzić z piersi swobodnie, a z tego wynika, że ten głos niekrępowany robi wrażenie, że artystka która słów nie cedzi, robi złudzenie, zapomina się że to artystka, która myśli jak to lub owo powiedzieć, a widzi się przedstawioną rolę. W Wallensteinie, rola Hrabiny Terckiéj, jedna z najważniejszych i najtragiczniejszych, jak na złość przetłumaczoną była najgorzéj, a w najważniejszych właśnie ustępach zginęła w przekładzie nietylko piękność, ale nawet myśl oryginału. Rola na tém tracić musiała, artystka musiała się wyrzec jéj najpiękniejszych efektów. Pomimo to, rola była pojęta i odegrana tak, że niema jéj nic do zarzucenia: tylko jedno może. Ruchy, intonacye, gra fizyognomii, wszystko było dobre, trafne, dowodziło doskonałego zrozumienia charakteru, tylko wszystko powinno być o jeden ton wyżéj podniesione, był pewien brak wielkiego tragicznego stylu, którego ta rola koniecznie potrzebuje.

Pan Ładnowski, który niezaprzeczenie ciągle rośnie, i który niedawno jako ks. Marek zbierał tak obfite i tak zasłużone laury, Maxa, zdaje nam się, cokolwiek zaniedbał. Kto tak grał ks. Marka, temu niepowinnoby być rzeczą trudną grać Maxa; rola jest łatwa, potrzebuje tylko pięknéj deklamacyi i dużo uczucia. W niektórych chwilach, w rozmowie z ojcem naprzykład,albo w ostatnich słowach roli, pan Ł. znalazł tyle energii i tyle cierpienia, ile ich Max mieć powinien. Ale w innych, w scenach z Wallensteinem, w pożegnaniu z Teklą, mówił najpiękniejsze rzeczy, jak żeby one nie robiły mu wrażenia, jak żeby grał samą tylko rutyną i wprawą. Prawda, że te piękne słowa Maxa w tłumaczeniu brzydły okropnie, ale od tego niezależnie, dawał się czuć brak walki i cierpienia, zwłaszcza w tej chwili, kiedy Wallenstein, którego Max kocha z takim fanatyzmem, używa całej swojej przewagi, żeby go przy sobie zatrzymać.

Rola Tekli musi być straszną dla artystki próbą: w czytaniu ma ona urok poetyczny niezmierny, ale zachować ten urok w grze, kiedy się mało mówi, a najwięcej tylko patrzy, słucha, i rozpacza, musi być trudnością niesłychaną. Dodajmy do tego, że najpiękniejszy ustęp tej roli, monolog czwartego aktu jest okropnie zepsuty tłumaczeniem. Pani Parżnicka, która z temi trudnościami roli i przekładu walczyć miała, ma niektóre właściwości bardzo szczęśliwe — naprzykład ma bardzo trafny instykt effektów, bardzo dobrze rozmierza i utrzymuje pauzy, ma np. przy pożegnaniu z matką, szczęśliwe natchnienia prawdziwej rzewności. Że rolę i położenie Tekli pani P. dobrze zrozumiała, nie potrzebujemy mówić; jedną tylko zrobimy uwagę, to, że spokojność przed monologiem była zanadto dobrze udaną, można ją było wziąć za prawdziwą. Z tym wyjątkiem nie mamy nic do zarzucenia Tekli, ale chcielibyśmy zrobić artystce jedną uwagę, odnoszącą się nie do tej jednej roli tylko, ale do wszystkich. Gra pani Parżnickiej robi nam to wrażenie, że mogłaby ona nabyć rzewności prawdziwej, gdyby nie jedno nie-

szczęście, gdyby nie ta zbyt częsta niestety u naszych artystek, nieśmiała i nienaturalna wymowa. Ona to jest największą skazą na pięknym talencie pani Modrzejowskiéj, ona już psuje młody talent panny Bendównej; i panna Urbanowicz nie jest wolna od tego grzechu pierworodnego polskich aktorek: to zeszpeciło, skrzywiło talent pani Nowakowskiéj, to razi i bardzo w grze pani Bakałowiczowéj, to także szkodzi pani Parżnickiéj i jéj najlepszym rolom. Artystki niższego rzędu wyobrażają sobie, że nie będą wyglądały na kobiety dobrze wychowane i eleganckie, jeżeli nie będą cedziły słówek. Nie myślimy tego bynajmniej o pani Parżnickiéj, wiemy, że ma zbyt wiele intelligencyi i zdolności, żeby popaść miała w tak naiwne uprzedzenie. Ale ma nieszczęśliwe przyzwyczajenie, musiała zaczynać swój zawód przy złym dyrektorze. A gdyby raz chciała spróbować wymawiać śmiało i po prostu, całą gębą, że użyjemy tego potocznego wyrażenia, przekonałaby się zaraz, o ile więcéj wrażenia robiłaby jéj gra. Słuchacz, kiedy mu w uszach brzmi wymowa affektowana, mimowolnie, nie zastanawiając się nad tem, ma to wrażenie, że i uczucie jest udanem, nie wierzy, i zostaje zimnym.

Za tę uwagę, zrobioną w najlepszéj myśli i chęci, przepraszamy bardzo, a kończąc nasze sprawozdanie o Wallensteinie, zrobimy jeszcze drugą, która nam się w ciągu tych przedstawień nasunęła. Oto, tragedya tak wielka i tak trudna, poszła, wszystko razem wziąwszy, daleko lepiéj niż się można było spodziewać: a jednak o ile wiemy, przygotowania do niéj nie trwały zbyt długo, prób ogólnych było podobno tylko cztery czy pięć. A gdyby ich było dwa lub trzy razy tyle, czy wtedy przedstawienie nie byłoby poszło daleko lepiéj, zupełnie dobrze? Wiemy dobrze, że w téj konieczności, w jakiéj się dyrekcya znajduje, dawania sztuk coraz innych, pośpiech jest nieuniknionym, a doskonałe przygotowanie najczęściéj niepodobieństwem. Ale zdaje nam się, że kiedy chodzi o rzeczy wielkie, jak Wallenstein naprzykład, to możnaby przyjąć ten sposób postępowania, żeby role rozdać na długi czas przed reprezentacyą, a próby robić pomału, częściowo, choćby po parę scen tylko na raz, i na takich próbach uważać i poprawiać każde słowo, każdy szczegół w każdéj roli. Artyści bowiem, którzy po przygotowaniu krótkiem, mogli grać Wallensteina przyzwoicie, dowiedli, że potrafiliby grać go zupełnie dobrze, gdyby mieli dość czasu do przygotowania. Cóżby to szkodziło, jeżeli ma być graną jakaś tragedya téj miary i wartości, co Wallenstein, zapowiedzieć ją na trzy miesiące, choćby na sześć naprzód, i wtedy z każdym aktorem z osobna rolę jego studyować, a przedstawić sztukę wtedy dopiero, kiedy wszystko idzie już zupełnie dobrze.

Dla jakiejś komedyi, albo nowego francuskiego dramatu, tyle trudu zadawać sobie oczywiście nie warto: ale dla Schillera, dla Szekspira?.... a trud ten podjęty wyszedłby na dobre i artystom i publiczności, wynagrodziłby się podniesieniem sceny polskiej na wyższy stopień doskonałości.

Od Schillera do Musseta, od Wallensteina do Perdicana, przeskok wielki. Po takim kolosie, jak tragedya niemieckiego poety, trudno jest mówić o subtelnym kapryśnym utworze jedynego poety francuzkiego, o dramacie, który do wielkości nie ma pretensyi, a którego autor nawet na scenę nie przeznaczał, może nie myślał żeby to kiedykolwiek granem być mogło.

Zdaje nam się, że we wrażeniu jakie na publiczności zrobiło *Ostrożnie z ogniem*, (tak przetłumaczono francuzki tytuł: on ne badine pas avec l'amour), było wiele niepewności i sprzeczności. Niektóre sceny podobały się bardzo, całość wydała się dziwną, nieregularną i kapryśną, jako sztuka nie bardzo budującą, a niekiedy wprost gorszącą jako myśl. Sceny i sytuacye następują po sobie a nie mają z sobą związku, akcya rozwija się powoli, późno, niejasno: w charakterach mnóstwo rzeczy niewytłumaczonych i nieusprawiedliwionych, ośmnastoletnia dziewczyna z takiem pojęciem o świecie i ludziach, jakie ma Kamilla, jest i nieprawdopodobna i potworna: Blazius i Bridaine, żarłoki i pijaki w księżem ubraniu, są oburzający — słowem, sztuka szkaradna i bez wartości: tylko rozmowa przy studni ma jakiś urok, tylko ostatni akt jest jakiś smutny i wzruszający. A te wszystkie zdania dowodzą, że choć teorya i pojęcia Musseta mocno nas raziły, to jego poezya przecież na nas działała.

Nic naturalniejszego jak że ta sztuka widziana lub czytana po raz pierwszy zupełnie się komuś nie podoba. Sama jéj budowa tak niepodobna do wszystkiego cośmy widzieć przywykli, tak nieprawidłowa, zostawiająca tyle przerw i braków, które domysłem zapełniać trzeba: figury dziwne, nielogiczne jakieś, niekonsekwentne, nie wiedzieć czego chcą i dla czego co robią: to wszystko nie trzyma się siebie, to jakiś świat, jakiego nigdzie nie ma.

Trzeba oswoić się dobrze z Mussetem, żeby się jego kaprysom nie dziwić i na nie nie krzywić: trzeba go poznać dobrze, żeby mu wybaczyć nie jedno co się wydaje i jest na prawdę złem i gorszącem. Kto przeczyta kilka kartek i znajdzie na nich raz głęboką niemoralność w poetycznych kolorach, drugi raz cynizm wytarty, daléj znowu bluźnierstwo, ten rzuci kamieniem na biedne „dziecko wieku;“ powie, że to człowiek, który może miał talent, ale go stérał w życiu wcale nieprzykładnem, a w końcu szukał zapomnienia siebie i wszystkiego, wstyd powiedzieć, w absyncie, i więcéj troszczyć się o niego nie będzie. Ale kto sobie zadał pracę zobaczyć ile pod jego goryczą jest szlachetnego i dobrego uczucia, pod jego rozczarowaniem i zniechęceniem miłości wszystkiego co piękne, pod jego niedowiarstwem, tem niedowiarstwem tak gorszącem, ile jest „*Nadziei w Bogu*“ — taki nie odmówi swojéj sympatyi biednemu poecie, taki będzie go żałował, i zamiast gorszyć się z niego, pomyśli, że to jeden z tych, którym wiele będzie darowano, bo wiele kochali i wiele cierpieli.

Jego sztuki, z których nie jedna jest bardzo niemoralna, jak „Chandelier“ naprzyklad, w którym niewierność małżeńska ma taki urok poetyczny i idealny, pisane bez wszelkiéj myśli o scenie, nie znające innej reguły, prócz popędów kapryśnéj fantazyi, sprzeciwiają się często i naszym pojęciom moralnym i naszym nawyknieniom artystycznym, i dla tego często nas rażą. Co do pierwszego, prawda; za autora budującego Musset, nie uchodził nigdy: przecież jedno na jego częściową bodaj obronę powiedzieć można. Macaulay mówi o Byronie, że on zna tylko dwa przykazania: „będziesz nienawidził bliźniego twego, i drugie: „będziesz kochał żonę jego.“ Musset jest lepszy: bo jeżeli większość jego sztuk i powieści jest gloryfikacyą tego drugiego przykazania, to pierwszego przynajmniéj nie wyznaje on nigdy. Co zaś do strony artystycznej, prawda, że licencyi, samowolności, kaprysów u niego pełno; że wiele sytuacyi i postaci trzeba uzupełniać domysłem, bo on ich wykończyć lub wytłumaczyć nie raczył, tylko te mgliste niewykończone figury mają prawdę i rzewność uczuć, mają wdzięk poezyi, jakich nie miała nigdy żadna z kreacyi głośniejszego, niby to większego Wiktora Hugo albo Lamartina.

Co do naszego „Ostrożnie z ogniem“, godzimy się na to, że widok dwóch księży pijanych na scenie jest bardzo rażący i przykry. We Francyi mniéj niż u nas, bo tam publiczność czuje, że to nie jest ksiądz jako taki, ale światowy i zepsuty abbé zeszłego wieku. U nas ten typ nie jest znany ani zrozumiały, to bliższe określenie więc znika, a zostaje ksiądz. Byłoby dobrze, gdyby w następnych przedstawieniach te dwie figury w grze były cokolwiek złagodzone. Jeszcze lepiéj byłoby wyrzucić z roli Perdicana pewien frazes o hostyi, są rzeczy o których się w komedyi i na scenie nie mówi: i nie dziwimy się wcale, że poważna część publiczności przyjęła te rzeczy źle. Ale z tem zastrzeżeniem, nie widzimy co tam jest zresztą złego. To, że Perdican radzi swojéj narzeczonéj wziąć kochanka, jak on ją kochać przestanie? Rada zła niezawodnie, ale Perdican żyje za Ludwika XV, jest wychowańcem swego czasu, a potem, jest bardzo młody, jest fanfaronem złego, mówi daleko więcéj niż myśli. Kamilla? ośmnastoletnia dziewczyna, znająca świat i życie tak gruntownie z teoryi, jest i niemożliwa i oburzająca? Być może: Ale czegóż ona dowodzi? Tego jedynie, że istota ludzka staje sie nieszczęśliwą i oburzającą, jeżeli doświadczenie cudze, przelane w nią sztucznie a przedwcześnie, odbierze jéj wszelkie złudzenie wszelki prosty i naiwny pogląd na świat i ludzi, a to, to podobno prawda.

Dziwne to, zawikłane i przerafinowane istoty ta para kochanków; pod zeszłowiecznym pudrem istne dzieci naszego wieku, znać że wyszły z głowy poety, który także był jego synem. Ile tam w tych głowach subtelnych refleksyj, ile nerwów w tych organizmach, kiedy te dzieci miały czas tyle pracować wyobraźnią, a zarazem jéj wielką przeciwniczką refleksyą? W nich się to łączy, w całość nie

harmonijną i zgodną bynajmniéj, ale do istoty ludzkiéj XIXgo wieku bardzo podobną.

Ta Kamilla naprzykład, co za dziwne i niewytłumaczone stworzenie, co za anomalia! Serce w niéj szlachetne i czyste, więcej nawet, bo bardzo wzniosłe: ona takie tylko uczucie rozumie i takiego chce, któreby było zupełnem, jedynem, wielkiem. Pragnienie ideału jest samem tłem tej natury: tylko wyobraźnia tak ten ideał wypędziła w górę, tak go w swojéj cieplarni rozwinęła, że go skrzywiła a urzeczywistnienie jego zrobiła niepodobnem. Kamilla chce absolutnéj doskonałości, przynajmniéj miłości absolutnéj, pobłażać, przebaczyć, kochać pomimo niedoskonałości, mogłaby jeszcze, ale nie chce. Na taki umysł i na taką wyobraźnię padło ziarno doświadczenia cudzego, które mówiło, że takiéj miłości o jakiéj ona marzy nie ma, że kobieta wprawdzie tak ją czuje, ale mężczyzna daleko niżéj i gorzéj, że on zaniedbuje, opuszcza, zdradza: ciekawa, zatrwożona, Kamilla dowiadywała się wiele o tych wszystkich zdradach, dowiedziała się wiele, i bogata cudzem doświadczeniem, powiedziała sobie, że jéj uczucie na poniewierkę nie pójdzie; ono na to za piękne, a ona za dumna. I w ośmnastym roku jest najdziwniejszą i najnieszczęśliwszą anomalią: w sercu: w wyobraźni, w duszy, pozostały jéj najwznioślejsze ideały, a nie ma w nie wiary, złudzeń nie ma żadnych.

Pójdzie do klasztoru, Bóg nie zawodzi i nie zdradza.

Rozumowanie słuszne, a postanowienie, zważywszy stan jéj duszy, zapewne najmędrsze. Ale jest Perdican, towarzysz lat dziecinnych, brat stryjeczny, któremu oddawna przeznaczona była za żonę. Przez całe lata myślała tylko o tem, czy on taki jak wszyscy, przypuściła, że innym być nie może, i wróciła do rodzinnego domu, ze stałem przedsięwzięciem powrócenia do klasztoru zaraz i na zawsze. Ale kiedy zobaczyła tego narzeczonego, postanowienie osłabło, wola zmiękła, biedna dziewczyna, zrazu zimna i sztywna, chce się przekonać jaki on jest, czy szczęście, czy miłość są doprawdy zawsze tylko kłamstwem i niepodobieństwem.

I ztąd ta schadzka przy studni, ta prześliczna rozmowa, w któréj Kamilla chce poznać, czy jéj narzeczony takby miłość pojmował, czyby tak kochał jak ona. Zrozumieć się oczywiście nie mogą: on, mężczyzna, bardzo młody jeszcze, ale znający życie, trochę niem zepsuty nawet, ma więcéj niż ona doświadczenia, mniéj ideałów, ale ma zdolność złudzenia, wierzenia, kochania, jakiéj ona nie ma. On jéj wydaje się płochym i niegodnym, ona jemu sztucznie wyziębioną, suchą, z sercem sparaliżowanem.

Ona niby wraca do klasztoru, a przecież jest zachwiana w swoich wyobrażeniach, nie wie czy Perdican nie miał słuszności kiedy mówił, że jest na świecie jedna rzecz święta i piękna, to połączenie dwóch istot niedoskonałych i miernych: on próbuje wmówić w siebie, że jej nie kocha, ale żałuje i tęskni.

Miłość własna, duma, tak naturalna u tych istot zawikłanych, zawiązuje na nowo stosunek, który zdawał się przerwanym i gubi ich oboje.

Przez jedno z tych wydarzeń przypadkowych, które autorowi nieraz zarzucano, a które przecież wyglądają u niego tak naturalnie, Perdican przejmuje list, w którym Kamilla pisze o rozpaczy narzeczonego, kiedy ją stracił na zawsze. Urażony w swojej miłości własnej, dumny jak Kamilla, żeby ją przekonać, iż nie rozpacza, udaje że kocha wiejską dziewczynę, obiecuje ją zaślubić — (wszystko tak, żeby Kamilla słyszała). Zaczyna się walka tych dwóch miłości własnych; która ustąpi?

— Ty mnie kochasz, mówi Kamilla, ale ożenisz się z nią, albo jesteś podły.

— I zrobię lepiej, niż gdybym się z tobą ożenił, odpowiada Perdican.

Żadna duma nie ustępuje: ale kiedy Kamilla wszystkich środków użyła na próżno, a uporu Perdicana zwyciężyć nie mogła, kiedy ze łzami i wspazmach rozpaczy rzuciła się na kolana szukając ulgi i równowagi w modlitwie, zeszedł ją Perdican niespodzianie, jej łzy powiedziały to czego sama nie byłaby nigdy powiedziała: w uniesieniu szczęścia, w zachwycie miłości, wyznają oboje: my się kochamy!

Na te słowa za sceną odzywa się krzyk: ostatni śmiertelny krzyk owej wiejskiej dziewczynki. Pomiędzy Kamillą i Perdicanem jest teraz straszny wyrzut i straszne wspomnienie: ona wraca do klasztoru utwierdzona w swojem mniemaniu, że miłość musi się kończyć nieszczęściem, on zostaje z ciężkim grzechem na sumieniu, oboje przez resztę życia będą pamiętać i rozpamiętywać smutną naukę: nie trzeba żartować z miłością.

Otóż, ten mały dramacik, zbudowany przeciw wszelkim regułom sztuki, raz jak mówią niektórzy pierwotny jak szopka, to znowu subtelny i wyrafinowany do zbytku, ten dramacik, w którym są może ustępy piękne, ale sensu nie ma, ma jedną małą zaletę, ma wdzięk, ma poezyę, ma urok nieopisany. Prawda, że w oryginale francuzkim. Przekład polski jest wierny, dokładny, ale nieco ciężki: kolory wypełzły, zapach się ulotnił, z kwiatu został tylko kształt i kontury. To zważywszy, nie można się dziwić, że w przedstawieniu sztuka cokolwiek straciła. Postacie jej, zawsze do przedstawienia niezmiernie trudne, z winy tłumaczenia stały się jeszcze trudniejszemi. Kto te okoliczności słusznie zechce uwzględnić, przyzna, że Ostrożnie z Ogniem, wypadło ogółem dobrze. Pani Hoffmann, której benefis publiczność uczciła bardzo licznem zebraniem, bardzo sympatycznem przyjęciem, oklaskami i bukietami, była dobrą Kamillą. Powiedzielibyśmy może tylko to jedno, że gorżkich doświadczeń i oburzenia było w niej znać dużo, ale exaltacyi, ale idealnych aspiracyi, wreszcie miłości do Perdicana, nie tyle ile byśmy byli pragnęli. Gniewny i pogardliwy wykrzyknik „a ty niby wierzysz w miłość“

powiedziany był doskonale, ale ostatnie „żegnam cię“ dość chłodno. Nie tak się żegna na zawsze nawet obojętnego człowieka, cóż dopiero tego, którego się kocha. Pan Ładnowski jako Perdican był zimny w całej roli: mówią, że był chory; w takim razie trudno żądać od niego więcej jak zrobił. Pan Rychter w roli barona, pani Ekerowa jako Dama Pluche (guwernantka Kamilli), stworzyli wyborne dwie karykatury, z których pierwsza była może o włos za mocno naznaczoną. Panowie Fiszer i Zboiński (Blasius i Bridaine) grali bardzo dobrze: wszelako zważywszy nieprzyjemne wrażenie, jakie te figury robić muszą nawet na najmniej surowych, wolelibyśmy w przyszłych przedstawieniach grę cokolwiek mniej dosadną, mniej kolorowaną. Panna Baumann jako Rosette grała po prostu, bez pretensyi, zatem dobrze.

Jeżeli się nie mylimy było to pierwsze przedstawienie jednej z większych sztuk Musseta na scenie polskiej. Można tego poetę lubić albo nie, ale nawet kto go nie lubi, musi przyznać, że grać go, to przedsięwzięcie nie małe, to w dziejach teatru nie epoka zapewne, ale fakt znaczący. Kto zaś Musseta lubi, a do takich liczymy się śmiało i otwarcie choć pokornie, ten wdzięczny będzie dyrekcyi i artystom, że miał sposobność widzieć jedną z jego sztuk najładniejszych przeniesioną na scenę polską, w tłumaczeniu wprawdzie, które oryginału nie dochodzi, ale w przedstawieniu, które choć także nie dochodziło ideału doskonałości, widzieć się przecież dawało z przyjemnością i z zajęciem.

A teraz *Konfederaci*. Wspomnieliśmy o fragmencie Schillera, o tym Dymitrze granym po raz pierwszy w Wiedniu przed niezbyt dawnemi laty. Jak niecierpliwie publiczność niemiecka czekała tego przedstawienia, z jakiem przejęciem słuchała tych jak żeby wskrzeszonych słów swego poety! A czyż ten Dymitr może dla Niemców być tem czem dla nas Konfederaci? Choćby go niegrano, choćby go i nie było wcale, mniejsza dla nich strata, bo mieliby się zawsze czem pocieszyć, mają Marię Stuart, Don Carlosa, Wallensteina tego samego Schillera. A potem cóż ich obchodzi Dymitr? co im do tego carskiego samozwańca albo do polskiego sejmu? tyle tylko ile w tym fragmencie jest wartości artystycznej, sztuki. Konfederaci inaczej. Gdybyśmy byli bogaci jak Niemcy, gdybyśmy mieli choćby jeden tylko dramat Mickiewicza, moglibyśmy mniej dbać o ten ułamek. Ale kiedy on jest jedyną spuścizną dramatyczną jaką poeta zostawił, to patrzy się na niego z takiem uczuciem, z jakiem się stoi o jakąś drogą pamiątkę, o jakąś rodzinną relikwię, któraby zarazem była całym naszym majątkiem. A potem, jest w tych Konfederatach coś więcej jeszcze. Jenerał rosyski gubernatorem Krakowa, ojcowie i matki w jego przedpokoju z suplikami o uwolnienie synów, zagrożonych Sybirem lub śmiercią, te pierwsze początki naszych od stu lat dziejów, ten gorżki przedsmak tego co później stało się naszym chlebem powszednim, to nie dramat, to nie poezya, to historya sama. I kiedy się tak często pytamy jak to wtedy być

i wyglądać mogło, jak wyglądał ten świat polski kiedy po raz pierwszy na swoim gruncie zetknął się ze światem rosyjskim, jak wyglądał w kraju niepodległym Repnin albo Stackelberg a jak ci nieszczęśliwi obywatele kraju wolnego i niepodległego pod jego drzwiami — to możemy się zaspokoić, tam się to widzi. I dziwne zrządzenie, że w tym roku właśnie, po stu latach odsłonił się obraz tego co było przed stu laty. Nam przedstawienie Konfederatów robiło takie wrażenie jak żeby w teatrze zetknął się był początek tej wiekowej epoki z jej końcem, przedzielone tylko lampami stanęły na przeciw siebie przeszłość i teraźniejszość, jedna była na scenie, druga w sali, i patrzały na siebie ze strachem i zgrozą jak żeby jedna w drugiej poznawała siebie, jak żeby obie mówiły: jakżeśmy do siebie strasznie podobne.

To akt pierwszy: a drugi? akt drugi jeszcze bardziej przejmujący i jeszcze smutniejszy. Puławski, ksiądz Marek, Francuz ochotnik, kilkudziesięciu ludzi ze strzelbami, to pierwsze powstanie, z tych samych pierwiastków i z tym samym charakterem co wszystkie późniejsze, to naprzeciw Jenerał — Gubernatorów, i wielkorządców rosyjskich wielki ideał niepodległości, i ten stanął przed nami także w całej swojej wzniosłej postaci, a w całem przecież swojem do rzeczywistości podobieństwie, jak żeby się chciał skarżyć że po stu latach jest tylko ideałem, i pytać czy po latach stu jest przynajmniej jeszcze ideałem.

Boleśniejszego, nic nigdy w żadnym teatrze nie było. Antigona żegnająca słodkie światło słoneczne, Orest ścigany przez Eumenidy, żona Macbetha ścierająca krwawą plamę z ręki, Egmont wiedziony na śmierć bohaterską, i ten w Hamlecie zgniły świat, który sam na sobie wykonywa sprawiedliwość niechcący, wszystko to jest wielkie i przejmujące, rozdzierające, ale tu u nas nie może być tak rozdzierające jak ten dramat, który się nie na scenie odgrywa, w którym aktorami są wszyscy, a bohaterem nie człowiek jeden Puławski, Marek, lub ktokolwiek inny, ale naród i jego sprawa.

Kiedyś, jak ludzie na tym świecie albo będą szczęśliwi, albo spodleją i zapomną, może wtedy Konfederaci staną się dla nich dramatem, dziełem sztuki, pamiątką, obrazem i pomnikiem czasu, i może wtedy będą na nich patrzali spokojnie jak my patrzymy na Hamleta albo na Wallensteina. Ale dziś są one rzeczywistością tak żywą, tak blizką serca, że widoku i wrażenia ich prawie znieść nie można.

Kiedy przed sześcioma blizko laty pismo nasze miało ten zaszczyt wielki i niespodziewany — (który niech nam wolno będzie z chlubą przypomnieć) — że w swoim pierwszym zeszycie ogłaszało nieznany a bardzo piękny przekład Konfederatów, był ten fragment dla wszystkich podobno, dla nas jak dla innych, przedmiotem ciekawości i poszanowania, ale nie takiego, jakiego jest godzien podziwienia. Widzieliśmy w nim piękne ustępy tylko, po

prostu nie poznaliśmy się na jego wartości, i trzeba było dopiero przedstawienia, żeby się pokazała wyraźnie cała wielkość, cała głębokość, cała mądrość dzieła, żeby gienijusz poety objawił się w całym swoim blasku z tej strony dotąd nieznanej. Gienijusz dramatyczny Mickiewicza? tak jest i to gienijusz pierwszego rzędu: W czytaniu zdaje się, że jest tam tylko piękny liryzm w rodzaju Schillera, w przedstawieniu odsłania się i potęga dramatyczna taka jak u Schillera, jak u Göthego, taka że sam Szekspir mógł by się do niej przyznać. I dziś już wiemy, co jest największem nieszczęściem naszej poezyi — oto nieodżałowane, niepowetowane, przeklęte zatracenie trzech następnych aktów tragedyi.

Bo szerszego horyzontu, boimy się tego powiedzieć, ale zdaje nam się, że szerszego horyzontu nigdy Mickiewicz w swojej poezyi nie objął. Co do wzniosłości natchnienia, mianowicie natchnienia patryotycznego, jest w tych Konfederatach jedno kazanie ks. Marka i jedna jego modlitwa, które z pewnością mogą dotrzymać kroku widzeniu ks. Piotra, a jest tam kilka wierszy o dzieciach mordowanych przez kozaków, wierszy takich, że nie zbladłyby nawet przy samym „wywożeniu kibitek“. *Tadeusz* jest jednem z arcydzieł świata, ale Tadeusz jest tylko polski. Zakres konfederatów jest szerszy. W nich jest Polska naprzód, Polska dawna i teraźniejsza, z całą swoją naturą i z całą swoją historyą, z całą rozmaitością swoich typów społecznych i psychologicznych — potem jest w nich epoka, jest chwila historyczna oddana z najwierniejszem swojem podobieństwem, schyłek XVIII wieku jaki był w Europie i w Polsce — a dalej jeszcze, jest więcej, bo jest w kilku figurach charakterystyka czterech narodów, tych czterech, które robiły historyę polską ostatnich stu lat, Polaka, Francuza, Moskala i Niemca, a wreszcie niezależnie od wszystkich właściwości czasu lub plemienia, jest szeroki, wielki i niezmienny świat ludzki, wiekuista i powszechna prawda człowieczej natury przejrzana i ukazana z tą intuicyą genijuszu, która ma ten przywilej że bez trudu, od niechcenia przychodzą jej myśli i słowa, na które zdumiony człowiek zamyśla się tylko i pyta zkąd się biorą rzeczy tak mądre, tak głębokie, tak wielkie.

Gienijusz Mickiewicza, to rzecz nie nowa i nie dziwna, ale jego gienijusz dramatyczny, ta sztuka, żeby w kilku rysach zakreślić wielką akcyę tragiczną i należące do niej figury, to jest nowo odkryte, o tem jeszcześmy nie wiedzieli. Tymczasem zawiązanie jego dramatu jest tak wspaniałe, że nie powstydziłby się go ani Goethe ani Szekspir, a tak naturalne, tak proste, tak wolne od effektów i ich szukania, a w swojej prawie potocznej naturalności tak przejmujące, jak klasyczna prostota starożytnych.

Kilku wąsatych szlachciców, kilka kobiet zapłakanych, z prośbami w ręku, burmistrz na którym drży skóra, bo Gubernator ma nałożyć kontrybucyę na miasto, wszystko to czeka w przedkopoju Hrabiny, a ta Hrabina, to polka, „krakowskiego wojewody córka“

i .... „moskiewskiego Jenerała bella“ — W tych kilku słowach obraz zupełny. Wiele tysięcy ludzi czekało tak od tego czasu na posłuchanie od którego zależał los uwięzionego ojca, brata męża, syna mającego iść na rozstrzelanie: wiele tysięcy matek drżało tak jak ta starościna, i wiele tysięcy ojców tak zaciskało pięście jak ten starosta, że musi prosić, i kogo, i o co!... ci biedni ludzie w tym przedpokoju, jakich oni różnych cierpień są wyobrażeniem, żalu, trwogi, upokorzenia zwłaszcza gorszego jak wszystko! czekają od godzin całych na łaskawe przyjście kobiety, którą pomiatają w duszy, gotowi rzucić się przed nią na kolana i całować jej ręce, oni Polacy, w przedpokoju „Belli“ rosyjskiego Jenerała, pomiędzy jej służbą, i dla czego! dla tego że syn lub brat bił się w konfederacyi!

„Czybyś Pan uwierzył
„Że poczytują to za wielką zbrodnię?
„Cóż on zawinił? za cóż tu skazywać
„Na rozstrzelanie?...

woła biedna matka, która tego nie może pojąć, dziwi się... przed stu laty, istotnie, musiano się temu dziwić! Ale pod strachem i upokorzeniem odzywa się coś innego jeszcze. „Przyjdźcie do mnie w nocy“ mówi jakiś stary Litwin bez ręki; „Pułaski kawalerzysta tęgi, Choisy wyborny piechur, góry karpackie blizko Krakowa“ — to nitka z której się dalszy wątek dramatu wysnuje. To miasto trzymane w karbach postrachem i mocą, ono coś po cichu myśli, ono coś przewiduje, ono czegoś pragnie, obraz jest zupełny, nie brak w nim niczego, a scena tylko jedna, krótka, i same tylko podrzędne w niej figury.

Co za istota zawiła a zajmująca ta Hrabina, i co za typ swojego czasu, typ damy polskiej jakich było wiele w końcu zeszłego wieku, a jakiemi zrobiło je wychowanie zagraniczne i światowe, płoche otoczenie, i modne filozoficzne wyobrażenia tego czasu. Te damy ówczesnej Warszawy wyrzucone z naturalnej równowagi życia, zaniedbane przez swoich mężów lub z nimi rozwiedzione, nie złe, tylko pozbawione zmysłu moralnego, którego nikt w nich nie wyrobił, szlachetne z natury, a z wychowania, z mody, płoche i zalotne, polki w gruncie, a przyjmujące hołdy moskali przez nałóg towarzyskiego życia, przez brak zastanowienia, przez to że hołd jest zawsze hołdem a moskal ujmującym człowiekiem, te damy jak żeby z grobu powstały i stanęły przed nami żywe w postaci tej Hrabiny. Ojciec, przez dumę, przez jakieś wyrachowanie domowej polityki wydał niedorosłą jeszcze dziewczynę za jakiegoś sejmikowego potentata, „dzika, pijaka, że nie powiem więcej“ tak wydano Elżbietę Poniatowską za Klemensa Branickiego, Teresę Rzewuską za Radziwiłła Panie Kochanku, tak tyle innych... a kiedy zrażona do męża młoda kobieta rozwiodła się, rodzina chciała tę niesławę domu ukryć w klasztorze, i wtedy ona oddała się pod opiekę kogoś mocniejszego jak ojciec i krewni, pod opieką Jenerała, a ten Jenerał „poważa ją, i przywiązał się do jej doli.“

Biedna Hrabina! nie jest ona bez wymówki, i każda prawie z tych, które ona reprezentuje mogłoby podobnie przytoczyć nie jedno na swoją obronę.

Tylko, dla świata, biedna kobieta jest „moskiewskiego Jenerała bellą“: ojciec do niej nie mówi, panie polskie odwracają się od niej, zniosła już nie jeden afront publiczny: — tylko, kiedy trzeba kogoś wyprosić z więzienia lub od śmierci, wtedy jej przedpokój zapełnia się „spółziomkami“. Cóż dziwnego, że biedna kobieta ma żal i gorycz do tych, którzy „znieważywszy ją płaszczyć się przychodzą“ że pojona wzgardą, gardzi nawzajem tym patryotyzmem, który się popisuje i walczy nie bronią w boju, ale insultowaniem kobiety.

A przecież jak grunt jest polski u téj kobiety. Zdaje jéj się, że żyje na pustyni, nie może wytrzymać, bo nie widzi swoich, nie mówi swoim językiem, od niéj wszyscy stronią, a tylko „polskie łzy i prośby do niéj przychodzą“ — z jakiem oburzeniem wybucha na wspomnienie, że ktoś Moskali nazwał jéj przyjaciołmi, jak w obec jenerała oburza się w niéj godność polska na wzmiankę o królu, który jest tylko „waszym pełnomocnikiem, waszym parawanem“, a kiedy jenerał narzeka na Polaków, którzy i po śmierci konspirować muszą, jak się w niéj odzywa polskie uczucie w téj odpowiedzi:

Każdy ma prawo kochać swą ojczyznę,
Każdy ją kochać powinien. . . .

Ta scena z bratem, w któréj wybucha cały gniew Hrabiny do rodziny i do ziomków, i cała za nimi tęsknota, żal do nich, i żal za nimi, a w któréj brat, polak, konfederat, wyprasza uwięzionego ks. Marka z rąk gubernatora przez protekcyę siostry, to pod pozorem prostéj rozmowy, sytuacya dramatyczna jak rzadko. A przytem w niéj także skupiają się początki dalszéj akcyi: stosunek Hrabiny z ojcem, jéj dawna dziecinna miłość do Puławskiego, z którym w dalszych aktach oczywiście spotkać się miała, jéj sen, który może był przepowiednią końcowéj katastrofy dramatu, wszystko to mistrzowska ekspozycya, w pierwszéj scenie było ogólne tło, społeczeństwo polskie ze swemi uczuciami i stanem, w téj zaczyna się rysować wzajemny stosunek osób do siebie i ich charaktery.

Jeżeli Hrabina była skończonym typem, to nie mniéj jest takim Jenerał. I tu podziwiać trzeba nietylko twórczy gieniusz poety, ale i jego wykwintny takt i miarę. Jenerał ten to nie potwór wcale, nie jest ani okrutny z upodobania, ani szczególnie przewrotny, jest przytem cywilizowany i gładki. Tylko, gruntu moralnego żadnego, ani najmniejszego o niem pojęcia. Ten Moskal nie domyśla się, że nie ma prawa być i rządzić w Polsce, nie ma pojęcia, że to kraj nie jego ani jego Imperatorowéj: moje i twoje, słuszne i nie słuszne, to pojęcia, których w jego duszy nigdy nie było. Imperatorowa kazała, więc on ma prawo być w Polsce i rządzić nią, i rozstrzeliwać

Polaków, którzy się przeciw téj woli buntują. On ich na prawdę ma za buntowników. Imperatorowa to jedyne prawo, jedyne pojęcie moralne, jakie on ma: jak znowu dla siebie, ma tylko jedną myśl i jedną troskę, nie stracić swoich lat służby, nie wpaść w niełaskę. Z uczuć i wyobrażeń europejskich przejął jedno tylko, poszanowanie honoru wojskowego: że jest człowiekiem, a nie pionem tylko posuwanym na szachownicy przez rozkaz, i że głęboko na dnie jakiś prosty zmysł ludzki pozostał, dowodzi tylko jedna rzecz: jenerał się oburza na doktora, kiedy ten mu radzi, żeby z kobiety, którą kocha, starał się zrobić szpiega, tę myśl odrzuca ze wstrętem: dowód, że coś jeszcze szanować jest zdolny. Przecież, pod całą powierzchowną cywilizacyą, pod wykwintnemi manierami tego Jenerała, poskrobawszy, znajdzie się Tatara, i ten odzywa się wściekłą groźbą:

Biada wam Polacy,
Jeżeli przez was ja w niełaskę wpadnę,
Jużem nagotował
W myślach dla niego karę, coś lepszego
Od szubienicy... czekaj, dam ja tobie
Długo pamiętny przykład z ciebie zrobię
Zrobię pamiętnik dla twoich współbraci,
Że po dwudziestu pięciu latach drżenie
Przechodzić będzie po nich na wpomnienie
O konspiracyi....

Słyszy się w tych słowach ich wszystkich, od Suwarowa aż do Murawiewa.

Obok Jenerała, Doktór, Kurlandczyk, uczony, fizyolog i psycholog, z okiem wprawnem do obserwacyi, z naukowemi notami w téj tece którą nosi pod pachą, jeden z tych małych, którzy najczęściéj wszystko robią za wielkich, a sami nigdy wielkimi nie zostaną: jeden z tych ludzi, których się dodaje wielkim panom jadącym na ambasadę, żeby byli ich okiem, uchem i dozorcą. Doktór ajent gubernatora, jest oczywiście i jego stróżem, i raporta swoje posyła wprost do Petersburga. Bystry i przenikliwy, ułatwiający sobie znajomością fizycznéj natury człowieka poznanie jego natury moralnéj, doktór jest policyantem-artystą. Uprawia śledzenie jak sztukę, z zamiłowaniem, z passyą, jego nauka znajduje w tem tyle powabu i korzyści, co i jego podłość; szpieguje dla swego rządu, dla siebie robi przytem fizyologiczne i psychologiczne spostrzeżenia. Jeden z tych subalternów, którzy nie wiedzieć dla czego są subalternami, bo od swoich przełożonych mądrzejsi, jeden z tych łotrów cichych, flegmatycznych, w obejściu przyzwoitych i spokojnych, sekretarz Wurm Schillera na usługach wielkiego państwa i użyty do szczególnych poruczeń politycznych. Tak przebiegły, że nic jego uwagi nie ujdzie, a tak w swojem rzemiośle rozmiłowany, że lirycznie użala się nad barbarzyńskim krajem, w którym porządnéj policyi zaprowadzać nie

można, a jednéj tylko rzeczy nie rozumie, że wszyscy i wszystko temu rzemiosłu nie służy, że Jenerał naprzykład nie chce do niego użyć Hrabiny. Typ tych kosmopolitycznych Kurlandczyków i Estończyków w służbie rosyjskiéj, do którego chciałoby się zawołać, jak umierający Krasińskiego do Szatana: Tyś idealny Moskal, chybaś...

I on znowu posuwa expozycyę naprzód, uzupełnia ją, ostrzega że ludności dowierzać nie można, że uwięziony ksiądz jest czemś więcéj niż się wydaje, że oczy wojewody wróżą coś złego. Wreszcie Wojewoda sam przychodzi zamknąć akt swojem zjawieniem i swoją kolosalną, głęboką postacią.

I on także jak żeby z grobu powstał, podobny do nich wszystkich. Jest w nim i Wacław Rzewuski, i Klemens Branicki, i Salezy Potocki, wszystko co z dawnym magnatem polskim ma styczność i pokrewieństwo. Patryota, i wielki, bić się potrafiłby jak Sobieski, do Kaługi dać się wywieźć, także... ale przed Stolnikiem litewskim zdjąć czapkę, ale dać rej wodzić Czartoryskim, to co innego. Jak oni wszyscy dyplomata przy okazyi, jedździ do Wiednia, koresponduje z Francyą i Anglią, przed Moskalami tak się układa jak Brutus przed Tarkwiniuszem, miłość ojczyzny ma wielką, nienawiść wrogów jeszcze większą, największą dumę. O téj mówi ksiądz Marek, ta pokazuje się sama, kiedy Wojewoda „zdaje“ Pułaskiemu dowództwo, jak żeby je był miał, a Francuzów uwalnia ze służby imieniem Rzpltéj. I kiedy układny i zręczny Jenerał w rozmowie rzuca mu zdradzieckie słowo „u was tron elekcyjny“, to dreszcz przechodzi, bo zdaje się, jak żeby się było w gabinecie Repnina lub Stackelberga. Wiele razy oni w ten sposób rozmawiać musieli!

Akt drugi, to Pułaski, Choisy, ksiądz Marek, niedobitki konfederatów w karpatach noszący się z planem odebrania Krakowa. Jakim był rzeczywisty Kazimierz Pułaski? któż wie. Ale w pamięci, w wyobraźni narodu, pozostał otoczony takim blaskiem bohaterstwa, takim urokiem poezyi, że ten pierwszy partyzant, ten pierwszy powstaniec, został i ideałem powstańca. I takim zrobił go Mickiewicz w swoim dramacie: każdy inny byłby w sprzeczności z naszem uczuciem, żaden nie byłby prawdziwym. Ten Kaźmierz wydał się niektórym nadto lirycznym, nadto romansowym, witającym się za czule z górami i lasami, a za mało żołnierzem i partyzantem. Tak nie jest. On jest czuły, ma w duszy ten rys poezyi, zapału. uniesienia, ależ, bez tego, czy byłby bohaterem, czyby był bohaterem polskim, czy byłby tym ideałem powstańca, którym być powinien? nie. Jakto, macie Polaka, Polaka idealnego, i chcecie, żeby nie był czuły, cokolwiek marzący, choćby cokolwiek zanadto? ależ on wtedy nie byłby prawdziwy, i niech mówią co chcą, byłby gorszy, byłby brzydszy. A gdyby w deklamacyi więcéj prostoty, gdyby ton smutku tłumionego, a od czasu do czasu umyślna i udana chwilowa wesołość, przekonałby się każdy, że w tym liryzmie Puławskiego nie ma zbytku ni przesady, tylko wielki wdzięk, wielki urok poetyczny. A ileż go ma dopiero, kiedy tak pięknie i dumnie pomiata

„jakąś tam zamorską sławą“, albo w swojéj rozmowie z księdzem Markiem, ze swoim zapałem wielkim a sumieniem „czystem jak to źródło.“ Widzieliśmy takich, którzy na jego widok oczy zasłaniali z żalu, i pojmujemy ich zupełnie: widok jest rozdzierający. On robi to, co od lat stu robiło już tylu — on pójdzie i przegra i sprowadzi, przyśpieszy przynajmniéj pierwszy rozbiór, jak w sto lat po nim inni sprowadzą dzisiejszy stan Królestwa, Litwy i Rusi: on kiedy mówi, że góry wyjdą za nim w pole, łudzi się, jak się tylu w dobréj wierze łudziło, jak inni w złéj wierze wreszczeli, a my, my dziś nawet złudzeń nie mamy i wiemy, że na tupnięcie nogą legiony nie wychodzą z pod ziemi, — myśmy tyle razy tupali. I dlatego on jest tak bolesny do widzenia, że wiemy, jaki będzie koniec, dlatego słuchać go tak przykro, że słowa podobne do tych które on mówi, słyszeliśmy nieraz z ust niegodnych, że ten powstaniec pierwszy ma pewne podobieństwo z następnymi, ten prawdziwy z niejednym samozwańcem, ten ideał z niejedną parodyą, że tacy, którzy uciekali i udawali, wołali także „śmierć wrogom, hura“ i podobnie.

Ale cóż z tego? dla nas niejedno wspomnienie gorzkie i rozdzierające, prawda. Ale w czemże to jego zmienia lub jemu uwłacza? Nie o tych myślmy, którzy szli wywołując takie hasło głośno a potem wracali, ale o tych którzy je sobie powtarzali cicho i nie wracali, wtedy będziemy wprawdzie i wtedy ten Pułaski wyda nam się typem smutnym zapewne, ale bosko pięknym. A to podobieństwo, to powtarzanie słów i haseł, czegóż ono dowodzi? czy nie ciągłości i niezmienności uczuć tych samych, czy nie tego, że niejeden zły i niegodny musi używać i nadużywać imion świętych, żeby lepszych od siebie pociągnął? czy nie tego, że jak położenie, które się za jego czasów zaczynało, do dziś dnia zostało tem samem, tak dziś jest to oczucie, ten ideał jaki był wtedy? Nie na ludzi patrzmy, na tę lub ową twarz, głowę, nazwisko, ale na głębię serc, na to źdźbło dobrego, które jest w każdem sercu, choćby miękkiem, choćby niedołężnem, choćby zepsutem, a wtedy to podobieństwo idealnego Pułaskiego poezyi do nas rzeczywistych, biednych, i jego niegodnych, nie wyda nam się tak przykrem i smutnem, a on sam wyda nam się tem czem jest, wzniosłym typem bohaterstwa i patryotyzmu.

To co nas najwięcéj razi, to co nam przypomina smutnych fanfaronów i ich marne przechwałki, te góry, które mają wyjść w pole i żołnierze z pod ziemi, to się tłomaczy czasem w którym dramat był pisany. Gdyby po roku czterdziestym szóstym, czterdziestym ósmym, ah i po sześćdziesiątym trzecim, byłby Mickiewicz czuł, iż w usta bohatera nie należało kłaść słów nadużytych tak wiele razy i przez takich ludzi, że one muszą budzić niedowierzanie: ale w owym czasie, nie dziw, że tego nie czuł, był od nas o kilka smutnych doświadczeń uboższy. Jego Pułaski miał mieć zapał i wiarę w swoją sprawę, ale nie miał być człowiekiem chwytającym lekkomyślnie za broń, któréj długo dźwigać nie zdoła. Przecież ten

rys nieoględności, ten wstręt do rachuby, to polskie „jakoś to będzie“ jest w Pułaskim, i dobrze że jest. Przez to on, jak mówi Choisy, Polak prawdziwy, przez to podobny nie do niezdolnych i niedołężnych dowódzców, ale i do naszych wielkich rycerzy i bohaterów. U nich wszystkich jest coś partyzanckiego, jest ta pogarda arytmetyki i strategicznych planów, w największych nawet więcéj żołnierskiego instynktu jak wojskowéj umiejętności, i gdyby zapytać Czarnieckiego o plany i karty, zapewne odpowiedziałby jak ten Pułaski, „plan jest wyryty na moich piętach“ Zapewne, że to nie dobrze, i na radzie wojennéj Mickiewicz sam możeby Pułaskiego zbijał, ale tu chodziło mu o to, żeby zachować właściwą fizyognomię partyzanta, odmalować go takim, jakim być musiał.

A naprzeciw tego Polaka, który strategię i arytmetykę ma za nic, stoi Francuz, który znowu wierzy tylko w umiejętność, w dyscyplinę wojskową. Kontrast wspaniały. Ten Choisy, wychowany w jakiejś szkole oficerów, wyćwiczony służbą w wojsku regularnem, rusza ramionami na Polaków, że zasadzają jakieś nadzieje na ruchawce, a sam zasadza je na niedobitkach swojego pułku, myśli, że tą garstką Francuzów da radę Moskalom, bo choć to garstka, ale Francuzi i regularny żołnierz. Prześliczny jest ten Francuz, trzeźwy, praktyczny, oburzony i rozgoryczony tem co w Polsce widzi, wyrzekający na nią i o swojéj wyższości przekonany, a przecież na przekór swemu rozsądkowi „zakochany w obłąkanéj“, do któréj go przywięzuje instynkt i honoru i sumienia. Jak Jenerał jest wybornym obrazem tego co o Polsce myśli i co dla niéj czuje Rosya, tak znowu Choisy jest obrazem tego, co o niéj myśli i co dla niéj czuje Francya, są w nim wszystkie te pierwiastki, które były w długiéj i bądź co bądź drogiéj „sympatyi francuskiéj.“ Daj Boże, żeby on typem być nie przestał: dziś może to więcéj jeszcze dla nich jak dla nas do życzenia.

Jeżeli jest co do zarzucenia „konfederatom“ to jedno chyba, że po rozmowie Pułaskiego z ks. Markiem, po tej przepysznej groźbie Marka, która brzmi jak natchniona przepowiednia, następuje scena trzecia, w której góral w prostocie ducha mówi Pułaskiemu o Hrabinie, prawie go z nią swata... te wspomnienia lat dziecinnych, ta miłość, to wszystko w takiej chwili wydaje się małem i obniża wzniosły ton sceny poprzedniej, psuje wrażenie.

Ale to co dalej?.. Czy Mickiewicz pisząc swój dramat dla sceny francuzkiej pomyślał kiedy, że on może być granym i na polskiej? czy zdawał sobie sprawę z wrażenia jakie robić będzie na polskim teatrze to zakończenie aktu drugiego? Chwyta ono za najdroższe uczucia, podnosi serca tak że wyżej już się podnieść nie dadzą, a w tej samej chwili ściska je najsroższą boleścią. Na scenie jest powstanie w całej swojej idealnej wzniosłości, z całą swoją pięknością dążeń, uczuć, zapału, wiary, i z całą rzeczywistością także, z całem podobieństwem do tego co się widziało: kilkudziesięciu ludzi, jedni niby w mundurach, drudzy w siermięgach, inni, jak się zdarzy, uzbro-

jeni rozmaicie, rozdawanie broni i ładunków, przemowy naczelników, okrzyki hurra, naprzód, i podobne, w tem wszystkiem jest taki realizm, takie podobieństwo do wszystkich „punktów zbornych“, że nie jest się na teatrze, ale gdzieś w jakimś lesie na granicy, widzi się nie Pułaskiego i jego towarzyszy ale różne twarze znajome, odzywają się wszystkie wspomnienia, i odzywa się swoim szyderczym głosem doświadczenie wtórując słowom Francuza „otatni Polacy idą na śmierć“. A między tem co się dzieje na scenie, a tem co się wie z życia, jest taka straszliwa sprzeczność, serce jest tak rozdarte pomiędzy ich zapałem a naszem smutnem doświadczeniem, rzeczywistość tak ideałowi urąga, tak go przedrzeźnia, że wrażenie staje się innem zupełnie niż zwykle w teatrze: zwykle jest to udział tylko w cierpieniu istot fikcyjnych, wzruszenie; tu jest cierpienie, prawdziwe, i większe w sercu widza niżeli w sercu bohatera tragedyi, większe dziś niżeli w sercu poety kiedy to pisał. My, którzy na ten dramat patrzymy, a którzy jesteśmy nie jego widzami tylko ale i aktorami także, jesteśmy w sytuacyi smutniejszej, tragiczniejszej, niż Pułaski i ksiądz Marek. Tego nigdy od początku świata w żadnym teatrze nie było, jak nigdy nie było takiego zbliżenia i podobieństwa między tem co się gra na scenie, a tem co się dzieje po za nią.

I dla tego, wrażenie tej sceny jest tak wzniosłe, i tak smutne zarazem, że się z niczem nie da porównać, dla tego jest na teatr za prawdziwe, za wysokie i za wielkie. Co tu robią lampy, dekoracye, orkiestra, krzesła i loże i te wszystkie przybory kiedy ci ludzie broń nabijają? czy to teatr? czyż to nie świat prawdziwy i rzeczywisty? a cóż one robią dopiero kiedy Choisy mówi, że ci ludzie „na śmierć idą“? czyż te teatralne przybory chcą w nas wmówić że to teatr, udać że to wszystko udane tylko? któż im uwierzy! a zwłaszcza co robią lampy i dekoracye, kiedy ks. Marek modli się lub gromi, po co przypominają że to teatr, kiedy człowiek jest tak usposobiony jak żeby był w kościele i słuchał Skargi robiącego rachunek narodowego sumienia? Nie, takie słowa i wrażenia są na teatr za wielkie, nie mogą się w nim zmieścić, swobodnie i szeroko może im być tylko w trzech miejscach, w kościele, w bitwie, albo w głębi ludzkiego serca.

Ksiądz Marek... co za śmiałość wprowadzać w poezyę, zwłaszcza wyprowadzać na scenę, tę postać otoczoną przez wyobraźnię całego narodu, słusznie lub nie, mniejsza, takim blaskiem świętości, cudotworczej siły, natchnień proroczych. Jakże te natchnienia oddać zdoła w ich nadziemskiej potędze poeta który sam nie znał ich i nie miał? jak zrobić żeby ten Marek był tym proroczym cudotworcą, którym jest w naszej wyobraźni (bo inaczej nie byłby sobą), a żeby zarazem był człowiekiem z ciała i kości, nie abstrakcyą? Henryk Rzewuski utrafił go szczęśliwie, pod szorstkością i prostem słowem jego Marka czuje się wielką moc duszy, ale prorocze natchnienia i widzenia, ta druga i wyższa połowa jego natury,

ta znikła, i słusznie, bo w rozmiarach jego powieści, w ich tonie, ona zmieścić się mogła. U niego jest Marek rzeczywisty, ludzki, mnich i konfederat razem, i jako taki jest doskonały. Marek Słowackiego w Beniowskim ma ten sam typ, i także bardzo pięknie oddany: ale w tym poemacie który nosi jego nazwisko, jest jakimś mistycznym doktrynerem, głosicielem fantastycznych pojęć i marzeń (nauk i prawd niby to) autora samego, jest przebraną za księdza Marka chorobliwą myślą i burzliwą wyobraźnią Juliusza Słowackiego. U Mickiewicza człowiek z ciała i kości, mnich surowy i prosty, prawowierny i karny, katolik i zakonnik, w zwyczajnych chwilach mający wszystkie pozory zwyczajnego człowieka, w ważnych, w wielkich podnosi się do wysokości natchnień i zachwytów, a w tych jest groźnym i proroczym jak Skarga, natchnionym, jak Mickiewicz w swoich największych chwilach. I to jest dopiero prawda. Extaza jest i musi być zawsze chwilą, wyjątkiem, a ci święci którzy widywali niebo otwarte i robili cuda, w zwyczajnem życiu wyglądali na prostych mnichów jak ten ksiądz Marek. Zapewne gienijusz Mickiewicza byłby zdołał stworzyć taką postać bez pomocy, ale jego długie i głębokie zajmowanie się świętymi, mistykami, studiowanie ich pism, rozpamiętywanie namiętne ich exaltacyi i widzeń, to nie było bez wpływu na Marka, to pomogło do stworzenia tej postaci, która wygląda jak żeby wyszła na pół z konfederackich tradycyi, a na pół z Żywotów Świętych i Złotej legendy.

Prosty stary mnich kiedy wychodzi, żołnierz konfederacki kiedy mówi o planach na Kraków, człowiek kościoła, katolik, kiedy mówi o syzmatykach, Polak nawskróś, kiedy hamując Pułaskiego sam się zapali i unosi, mnich średnich wieków, kiedy tęskni za swoją celą (w której nieraz zapewne rozmawiał w extazie z aniołami i świętymi) — ma on wszystko co w jego postaci być winno a charakter najwyższy, namaszczenie świętego, natchnienie prorocze, objawia się w nim dwa razy. Raz, kiedy na odgłos salw tryumfalnych moskiewskich grozi im sprawiedliwością, w słowach nad które Mickiewicz sam nigdy może wznioślejszych nie napisał:

Oto ze złości waszych pełną miarą
Zstępując pańscy aniołowie znoszą
Wielką moc gniewu i t. d.

A potem w kazaniu, w tem kazaniu, któreby ustom samego Skargi przystało, pod którem się tylko głowę schyla jak pod ręką spowiednika, a które ze stanowiska patryotycznego jest może najwznioślejszem i najmędrszem słowem jakie Mickiewicz powiedział.

Tak surowym nie był on dla nas nigdy, dla nas wszystkich ile nas jest:

Dla czego prysła gdzieś na wiatrów cztery
Szlachecka szabla od moskiewskiej szpady?
Dla czego panów senatorów rady
Od tchów moskiewskich jak dym się rozbiły?...
Oto dla tego żeśmy Boga mieli
Na ustach tylko albo po kościołach...

To raz. A potem:

Płochością swoją jakżeście okropni?
Z czemże idziecie na mocnego wroga?
Z krzykiem? Spytajcie różnych prób krzykaczy
Co krzyk przeciwko Moskalowi znaczy...

I coś sroższego jeszcze.

Trzebaż przykładów jeszcze bardziej jasnych
Że te mścicielstwa i te bohaterstwa
Są to okrutne jedynie szyderstwa
I z duchów poskich i ze świętej sprawy...

a to wszystko kończy się najrzewniejszą modlitwą pełną łez żalu i prośby.

niech Bóg przebaczy, i niech już odwoła
którego posłał z gniewem swym anioła —

i zawiera naukę:

Na moc potrzeba mocy. Na moc złego
Jest moc dobrego.

Po tem wszystko maleje i znika, po tem kiedy przychodzi zakończenie aktu dramatycznie tak piękne i przejmujące, kiedy Wojewoda wydaje rozkaz *pozabijacie wszystkich* (a między tymi wszystkimi jest jego córka) — nawet się tego nie słyszy i nie zważa.

Ale, jeszcze raz, to na teatr za wysokie, za wielkie: sądzić tego nie można, bo te słowa nas sądzą — słuchać ich, nie wiedzieć jak, na kolanach chyba jak ci co klęczą na scenie, bo one do nas więcej jak do nich mówione, chce się na prawdę klęknąć i bić w piersi, a jest się w teatrze — to otoczenie jest w wielkiej z doznanem wrażeniem sprzeczności.

Pisarz jeden, którego zdolność i zalety wysoko cenimy człowiek z którego sądem i uczuciem najczęściej zdarza nam się być w zgodzie, (pan Leon Kapliński) zdziwiony, a nie za mało będzie powiedzieć zgorszony, chłodnem i jakoby obojętnem przyjęciem konfederatów przez naszą publiczność, dał niedawno temu swemu uczuciu wyraz bardzo wymowny i piękny, w odcinku „Czasu". Czy zupełnie słuszny? Oczywiście, jeżeli ta publiczność była obojętną i zimną. Ale na tem przedstawieniu, jednem z późniejszych, któreśmy widzieli, ona wydała nam się skupioną, cichą i smutną, a oklaski które się tu i owdzie słyszeć dały, zdawały się być w sprzeczności z jej uczuciem, z naszem przynajmniej były w sprzeczności zupełnej. To jest zbyt wzniosłe, i zbyt rzeczywiste zarazem, zbyt piękne i zbyt bolesne, żeby jak zwykły dramat podobać się, porwać i przyjętem być mogło. Po pierwszym akcie? jeszcze: choć i ten, ci biedni suplikanci w przedpokoju gubernatora, to zbyt do rzeczywistości podobne i zbyt smutne, żeby wrażenie tak się objawić mogło jak się objawiają zwykłe artystyczne wrażenia. Ale w drugim, lub po drugim?... kiedy się zapomina o wszystkiem, zapomina się, że to dramat, zapomina się nawet że Mickiewicza i że jego jedyny, a w duszy ma się za wiele smutku. Bo ten Pułaski i jego górale, my wiemy że oni idą na śmierć, myśmy ich idących widzieli — ich nadzieje: „pójdziem aż do Warszawy, choć liczbą „my karły" myśmy je słyszeli, a wbrew Pułaskiemu my musimy powiedzieć, że nie „myśl olbrzymia tylko" ale więcej, bo myśl sprawiedliwa, „stoi na liczbie." Nas tam wszystko boli i rani, bo każdemu z tych słów wzniosłych rzeczywistość zadała fałsz. Kiedy Francuzi wołają „Idziemy z wami" dobywa się z serca odpowiedź: nie! nie poszliście z nami, a za to tak się sprawdziło to co wam Choisy przepowiadał, że dziś nie wiedzieć kto komu, Francuz Polakowi czy odwrotnie, mógłby powiedzieć: zakochałem się w jednej obłąkanej." Kiedy Pułaski mówi, że przykłady były, że nie na liczbie myśl olbrzymia stoi, w głębi serc naszych głos jakiś odpowiada: nie, takich przykładów nie ma, są tylko przykłady Sadowy i Sedanu — kiedy mówi że dojdzie do Warszawy, ten głos mu odpowiada: nieprawda, Prusak zajdzie do Paryża, ale ty do Warszawy, zkąd... a kiedy Marek z taką pewnością i z taką wiedzą mówi że „Bóg nie ślepy i nie głuchy" to ten głos przeklęty, ta hydra pamięci stawia nam w oczach całe stuletnie pasmo dziejów od Dybicza do Murawiewa, od Frydryka do Bismarcka i jak szatańska pokusa szepcze straszliwe pytanie: a kto wie? bo po stu latach to wszystko zawiodło, wszystko pokazało się złudzeniem, a prawdą tylko to co mówi Moskal: „Że rosyjskie państwo, przeważa Polskę w sile i ogromie" to drugie że „Europa kona", i to przekleństwo które rzuca Choisy na cywilizacyę. To treść historyi tych stu lat, to ich nauka *moralna*. To smutne jak śmierć: dajcie nam pokój nie każcie nam klaskać, bo nam się chce płakać. A chcia-

łoby się może i rozpaczać, gdyby nie pokrzepienie i pociecha w tej prawdzie ostatniej, która uczy, że

na moc złego
jest moc dobrego, a ta moc ma w Bogu
Fabrykę główną i magazyn główny,

a w którą wierząc czerpie się z niej i nadzieję, że przyjdzie kiedyś czas na spełnienie przepowiedni Marka:

Wielkie wody
poczną się dźwigać w górę i rozwierać
paszcze ogromne. Oto z chmur całunów
zagra powszechna orkiestra piorunów.
Idą was topić, idą was pożerać
ze wszech stron razem wszystkie śmierci świata!

Tyle o tym ułamku, który jest najpiękniejszym dramatem polskim, który gdyby był całością, byłby jednem z arcydzieł dramatycznych świata, a taki jak jest, jest świadectwem gienijuszu Mickiewicza, jeżeli nie najwyższem, to nie mniejszem od Wallenroda i Dziadów, może nie mniejszem od Tadeusza.

Słowo tylko jeszcze o przedstawieniu. Porównywamy tak często aktorów polskich z zagranicznymi i dziwimy się dla czego tak rzadko tamtym dorównywają. Dajmy im dramat własny, polski, każmy im przedstawiać świat uczuć i pojęć swoich, w którym żyją i który znają, a będą tak grali jak tamci. Pokazało się to na przedstawieniu Konfederatów. Każda rola prawie była grana z trafnym instynktem, z intuicyjnem zrozumieniem charakteru, choć nie każda z dostatecznem wyrobieniem, wprawą. Pan Skąpski naprzykład, artysta młody i początkujący, który zapowiada talent ale szkoły jeszcze nie ma, zebrał oklaski bardzo zasłużone w trudnej roli Jenerała. Zbywało mu na wprawie, cokolwiek na ogładzie i elegancyi, ale on tego Moskala doskonale rozumiał, bo jego uczucia zna z praktyki. To jedno pamiętać by trzeba, że jenerał podoba się Hrabinie, uchodzi za jej kochanka, zdaje się, że nim jest na prawdę, — żeby ten stosunek wytłumaczyć, powinien Jenerał mieć pewien pozorny, zewnętrzny powab. Pan Fiszer, równie młody, ale daleko już więcej wyrobiony i w lepszej szkole. którego talentowi zawsze nam miło oddać sprawiedliwość, oddał doskonale typową postać doktora, wycieniował, wymodelował tego artystę szpiega z bardzo delikatnem artystycznem wykończeniem. Pan Zboiński miał do dźwigania tragiczną posągową figurą wojewody, i udźwignął ją, nie upadł pod ciężarem: można sobie wyobrazić Wojewodę lepszego, ale ten był dobry. Pułaski... trudno jest zrobić z siebie ideał powstańca, i urzeczywistnić taką postać

Pułaskiego jaką każdy z nas ma w swojej wyobraźni: a dwie role Choisy i Adolf potrzebowałyby koniecznie innego obsadzenia: wszystkie pomniejsze, Starościna (pani Wolska), Starosta (pan Ładnowski A.) Burmistrz (pan Zamojski), Miecznik (pan Eker), Zbroja (pan Siedlecki), nawet bezimienny Stary szlachcic (pan Lidke) były bardzo dobre. Ale komu należy się wszelki honor, to pani Hoffmann za Hrabinę. Wszystkie rysy i cienie tego zawiłego charakteru i tej trudnej fałszywej sytuacyi, patryotyzm, a przytem niechęć i żal do Polski i Polaków: romans z Jenerałem a wstręt do Moskali, żal do rodziny a tęsknota za nią, stłumiona ale żywa jeszcze miłość dla konfederata, szlachetna natura, a przytem duma i upór w złem, wszystko tam było, a nad wszystkiem górowało i najpiękniej było oddane, to uczucie goryczy do współziomków, którym Hrabina darować nie może, że ją krytykują, że ją upokarzają, że ją znieważają, ale najbardziej tego, że ją mają za przyjaciółkę Moskali. Ze wszystkich ról dramatycznych pani Hoffmann, ta jest może najlepszą.

Że ksiądz Marek jest najlepszą rolą pana Ładnowskiego, że jest przedstawiony z takiem głębokiem i wszechstronnem zrozumieniem postaci, a z takiem uczuciem, z takim ogniem, iż młody artysta dorównał wielkim rozmiarom téj postaci, na to jest zgoda powszechna. Być księdzem Markiem prawdopodobnym tylko, nie rażącym, musi być trudność niesłychana: ale być księdzem Markiem prawdziwym, żywym, pięknym, połączyć w sobie i mnicha i konfederata i natchnionego proroka, wcielić w siebie ten wzniosły ideał Mickiewicza, to dla artysty Polaka tryumf, jakiemu równego trudno znaleźć. Pan Ładnowski jest rzeczywistym mnichem, ruchem, chodem, zachowaniem, przypomina wszystkich bernardynów i reformatów, prawdziwa klasztorna figura, bardzo poważna naturalnie, ale bardzo prosta, nie wiedząca o sobie. Kiedy mówi o syzmatykach, wtedy ma taki głęboki akcent prawowierności i żarliwości, taki katolik, taki ksiądz, tak różny od wszystkich księży „politycznych“ naszego wieku, jak Mickiewicz chciał, żeby był Marek: a jego kazanie i modlitwa są powiedziane tak, że dreszcz przechodzi, że tchu brakuje, że kobiety płaczą, a mężczyźni robią prawie to samo. Pierwsze słowa są szorstkie, energiczne, rozkazujące, z gniewem na naród pijący i rozpojony. Następne opowiadanie o dzieciach wbijanych na piki, i kazanie, powiedziane są w wysokim patetycznym tonie, z drżeniem w głosie, z natchnieniem w oku, z postawą którejby każdy malarz mógł pozadrościć, a bez cienia przesady. Modlitwę zaś, w któréj się Marek najwyżéj podnosi, mówi p. Ł. cicho, z wielką prostotą, modli się prawdziwie nie deklamuje, a mówi tak rzewnie i gorąco, klęczy i wygląda tak pięknie, jak jaki święty mnich z hiszpańskiego obrazu, że doprawdy sam Mickiewicz mógłby być mu wdzięcznym za takie oddanie księdza Marka.

Wszystko razem wziąwszy, miesiąc ten ostatni z którego zdajemy sprawę, był podobno najpiękniejszą chwilą w życiu naszego

teatru, nie krakowskiego, ale polskiego, bo w nim przedstawił teatr to, co dramat polski ma najwyższego, najpiękniejszego, i położył tę wielką zasługę, że przedstawieniem dopomógł do należytego zrozumienia i ocenienia arcydzieła. I może on żyć długo i mieć najdoskonalszych artystów, a dnia tak pięknego nie dożyć. Bo na drugiego Mickiewicza i drugi dramat taki jak Konfederaci możemy czekać długo, a na to liczyć trudno, żeby się ich zatracone trzy akty jeszcze kiedy znalazły.

St. Tarnowski.

STEFANA GARCZYŃSKIEGO

„Wacław“ i drobne poezye.

Kto lat temu dwadzieścia kilka, dwadzieścia, może nawet mniéj, poznawał po raz pierwszy naszą poezyę i czytywał ją z zapałem umysłu świeżego, z wyobraźnią zaledwie przebudzoną, ten może zapamiętał stan ciekawości i niepokoju, w jaki wprawiało go imię poety, którego nie znał wcale, a o którym głos jeden niezrównanéj powagi, głos, któremu niewierzyć było niepodobieństwem, mówił, że to poeta ze współczesnych polskich największy. Tym poetą nieznanym był Stefan Garczyński — tym, który o nim dawał świadectwo, był Mickiewicz. On mówił w tych lekcyach Literatury Słowiańskiéj, słuchanych jak najwyższe słowa mądrości i natchnienia, że piękną rzeczą jest Malczewskiego Marya, że genialny pomysł miał młody autor Nieboskiéj Komedyi, ale żaden, dodawał, nie był tak natchnionym, ani tak głębokim, żaden tak polskim, jak autor Wacława. Czy to być może? czy doprawdy mamy poetę nad tamtych wszystkich większego? i jakiż on być może ten poeta? chyba Mickiewiczowi samemu równy? Wierzyć się niechciało, ale jakżeż było nie wierzyć, kiedy Mickiewicz zaręczał; on mówi, więc tak być musi. Rośliśmy więc w wierze, że jest poeta większy jak Krasiński, jak Słowacki, jak autor Maryi, wychowaliśmy się w czci nieznanego bóstwa poetycznego, w którego świątyni miały być złożone nieopisane skarby piękności, wyobraźnia wysilała się żeby te skarby odgadnąć, wystawić sobie: a do téj świątyni wejście było zamknięte, bóstwo niewidzialne i zakryte jak tajemniczy posąg w Sais. Wacław Garczyńskiego był na liście książek zakazanych, wydanie, w nie-

wielkiéj zapewne liczbie egzemplarzy, wyczerpane, do nabycia niepodobne, i kiedy zakazanego Wallenroda i zakazany Przedświt miał każdy, to można było, długo żyjąc, przez całe życie nie spotkać ani jednego szczęśliwego w którego ręku byłby tajemniczy Wacław. Wyszedł więc i poeta i jego bohater na jakąś postać fantastyczną, legendową, o któréj wszyscy mówili, a któréj nikt nie widział, wszyscy poznać pragnęli, nikt nie spotykał. Czasem to niecierpliwe pragnienie mieszało się z niepokojem, ciekawość z obawą: bo jeżeli raz odsłoni się ten wielki nieznajomy, jeżeli istotnie ujrzy się go takim, jak go opisują, czy on nie przewróci i nie zburzy wszystkiego co było dotąd naszą poetyczną wiarą i miłością? czy poznanie nowego boga nie będzie okupionem odstąpieniem dawnych? Może, przeczytawszy Wacława, nie będzie już można jak dotąd z fanatyzmem wyznawać i czcić Maryi, Irydiona, lub Tadeusza? Może tamten doprawdy wszystko zakasuje, przewyższy, zwycięży? Niejeden choć z gorączkową ciekawością wyglądał chwili, w któréj tego Wacława zobaczy, lękał się jéj przecież, bo przykro mu było myśleć, że sprzeniewierzy się Krasińskiemu lub Słowackiemu, żałował ich z góry, że będą musieli miejsc swoich ustąpić lepszemu od siebie, jak skoro ten się objawi.

Objawił się wreszcie: dawne zakazy i przepisy ustały, wyszły nowe wydania, Garczyński znany jest dziś nie z sądów Mickiewicza i z wyjątków, ale z pism swoich w całéj osnowie, a jakoś choć od tego objawienia także lata już przeszły, Malczewski stoi, i Słowacki się nie chwieje, i Krasińskiego nie widać żeby kto przerastał; Wacław może być w ręku wszystkich, a nie jest w niczyjem, lub raczéj, każdy go wziął do ręki skwapliwie, a położywszy, już po niego drugi raz nie sięgnął. Największy i najbardziéj polski z poetów, zdaniem Mickiewicza, jest najmniéj czytanym, najmniéj lubionym przez polską publiczność; ogół niepotwierdził wyroku poety, i po długiéj dręczącéj ciekawości, po różnych wysileniach wyobraźni, stoimy przed tym Wacławem, tak mniéjwięcéj, jak stał Hrabia z Pana Tadeusza w ogródku Zosi kiedy go zblişka zobaczył:

„Więc było po uroku, po czarach, po dziwie.
Niestety mało znalazł, nadto się spodziewał!“

Czy to my nie umieliśmy poznać się na wzniosłem natchnieniu i zrozumieć genialnych Garczyńskiego myśli, czy też Mickiewicz widział w nim to, czego nie było? Ta niezgodność, tak rzadka, pomiędzy jego sądem a instynktem wszystkich, nie jest rzeczą naturalną: poemat uznany przez niego za najwyższy i najpiękniejszy, nie powinienby nam być tak obojętnym jak jest, albo, jeżeli ta obojętność jest słuszną, nie powinien był jego tak złudzić. Jest to jak żeby proces o Wacława pomiędzy Mickiewiczem jako stroną jedną, a wyraźnie i powszechnie dla Wacława zimną publicznością polską jako stroną drugą. Kto ma słuszność? Czem jest naprawdę ten Wacław? Dla czego Mickiewicz wyniósł go tak wysoko, pod same niebiosa? pytania to, które roztrząsnąć warto, bo choć Wacław nie jest literacką nowością, choć krytyka jego przez Mickiewicza napisana jest już w ręku trzeciego pokolenia, choć zatem sprawa ta nie ma uroku teraźniejszości, przecież dla miłośników literatury może być zajmującą.

W licznym zastępie naszych poetów z ostatniéj epoki, wielu jest Litwinów i Rusinów, a czystéj krwi lackiéj mało. Czy mamy mniéj od tamtych poetycznego usposobienia? czy też to przypadek tylko? przecież pewna jest, że jedynym wielkim poetą Mazurem jest Krasiński, a do szeregów Apollina najmniejszy kontyngens ze wszystkich części Polski dostawiała zawsze jéj stara kolebka, Wielkopolska. Gdyby sąd Mickiewicza był słuszny, to za małą ilość byłby nagradzał niepospolitą jakością Wielkopolanin Garczyński, i chwałę swojéj prowincyi utrzymywałby na równi z poetyczną chwałą Litwy i Rusi. Nieszczęściem, nie był to człowiek potemu, a kraina Piasta i Chrobrego dotąd jeszcze winna nam jest wielkiego poetę,

Młodzieniec myślący i rozumny, wychowany na uniwersytecie berlińskim, i tam zagłębiający się z wielkim zapałem w różne systemata filozoficzne, sądzący je, jak mówi Mickiewicz, lepiéj od Niemców samych, miał może zdolności niepospolite, ale nie zdolność poetyczną. Czy natura jego umysłu, czy może nadany temu umysłowi kierunek filozoficzny, jakikolwiek jest powód, fakt jest ten, że myśli, refleksyi jest w Gar-

czyńskim wiele, wyobraźni nie ma ani krzty. Uczucie dobre i szlachetne, uczucie polskie było, dowodzi tego jego całe życie, jego służba wojskowa, jego otrząśnięcie się ze wszystkich czarów i rozczarowań filozofii pod wpływem miłości ojczyzny, — tylko uczucie to wystarczało dla obywatela, może dla bohatera nawet, nie dla poety; natchnieniem nie było nigdy. Może Garczyński miał w sobie materyał na wielkiego filozofa i mędrca, może mógł zostawić po sobie pamięć zasłużonego obywatela, dobroczyńcy swojéj ojczyzny lub przynajmniéj prowincyi, jak zostawił pamięć sympatyczną młodego żołnierza i przyjaciela Mickiewicza, ale materyału na poetę nie było w nim nigdy, i poszedł złą drogą, rozminął się ze swojem powołaniem, kiedy poetą być zechciał.

Dla czego się tak pomylił? Dla czego chciał nim być?

Dla czego? Może dla tego, że był młodym pomiędzy rokiem 1820 a 1830, że kiedy zaczynał czuć i myśleć, wpadł mu w ręką tomik poezyj, w którym były Ballady, Romanse i Dziady, że w lat kilka późniéj, kiedy młodość jego a z nią wyobraźnia i uczucie, rozkwitły zupełnie, zjawił się Wallenrod, że widział jak naokoło niego wszyscy próbowali swoich skrzydeł. Któż w tem pokoleniu poetą nie był, kto nim być niepróbował? byle raz serce zabiło do czegokolwiek, byle raz pomysł jaki przelotny zjawił się w głowie, byle cokolwiek łatwości, byle rym nie był zbyt opornym, młodzieniec z owych lat z przykładem Mickiewicza przed oczyma puszczał się śmiało drogą na Parnas, mówił sobie po cichu „anch'io," i marzył, że współzawodników wyprzedzi, że zbliży się może do tego, który ich wszystkich prześcignął. Wielu z tem złudzeniem rozpoczęło drogę życia, wiele imion dziś zapomnianych stoi pod wierszami i wierszykami wszelkiego rodzaju, których pełne są pisma ówczesne; wielu z tych powołanych, rozpocząwszy zawód z dobrą nadzieją, ustało w połowie drogi, upadło pod ciężarem mierności, kiedy za Mickiewiczem dobiegło do mety dwóch, na których nikt wtedy nie zważał, o których nie wiedziano że byli! Ta powszechna między młodzieżą epidemia poetyczna, ta naiwna illuzya, że kiedy ten mój rówiennik i kolega jest poetą, to i ja może zostać nim potrafię, ta musiała dotknąć i Garczyńskiego; i on, jak wielu podówczas, kiedy dostrzegł w sercu swojem uczucie, uwierzył może, że to coś

więcéj jak to, co czuje każdy prosty człowiek, i wziął to za natchnienie; kiedy w swojéj głowie znalazł jakąś myśl, w wyobraźni, jakiś kształt niewyraźny, myślał, że to twórczość. I dla czegóżby on nie miał być poetą, kiedy jest ich tylu! Tak zaś łatwo było w owych latach się złudzić, tak łatwo było, żyjąc wciąż w poezyi, kształty i pomysły które pamięć tylko podsuwała, wziąć za utwory własnéj wyobraźni. Był Byron, w którego ponurych bohaterach kochała się ówczesna fantazya, był Faust, był Mickiewicz, był Gustaw i Wallenrod, w których młody człowiek widział odbicie wszystkich tych uczuć, jakie tylko jego sercem poruszać mogły, a tak żył tą poezyą, tak nią przesiąkł, że w końcu sam nie wiedział gdzie się zaczynało to co sam czuł i myślał, a gdzie kończyło się to, co był czytał, i nieraz mógł wziąć za swoje to co było cudzem, reminiscencyą za oryginalność.

Uległ więc Garczyński epidemii, nie zawahał się, nie zapytał sam siebie czy jest naprawdę poetą, jak się o to nie pytali inni: a poezya którą się karmił w młodości, Byron i Mickiewicz, zostawiła w jego głowie jakieś blade odbicia kształtów i kolorów, z których on jak żeby ze swoich, zaczął składać jakieś postacie i obrazy.

I jeszcze jedno. Ile w Wacławie jest osobistych wrażeń i uczuć autora, jego zwierzeń, czy „Dzieje Wacława“ są z małemi zmianami dziejami Garczyńskiego, dojść trudno. Materyalnéj tożsamości zdarzeń oczywiście nie ma, może nawet poeta sam rozróżniał siebie od swego bohatera: a jednak wewnętrzna jednego i drugiego historya jest bardzo podobna. To samo zwątpienie, ten sam przesyt, jakie podług Mickiewicza dręczyły Garczyńskiego, są i w Wacławie: jeden jak drugi wchodzi w nowy okres życia pod wpływem miłości ojczyzny; jest więc w Wacławie, oprócz bezwiednego może naśladowania Byrona i Mickiewicza, i osobistość autora nie wybita na poemacie jak stempel, ale wcielona w bohatera jak jego dusza. A to, rzecz u młodych poetów ówczesnych bardzo zwyczajna, u tego było łatwiejsze do zrozumienia i usprawiedliwienia, tem, że jego własna osobistość odbita w poemacie, nadawała temu poematowi pozór jakiś głębokości filozoficznéj, i jakiejś patryotycznéj wzniosłości. Bohater, który zbadawszy naukę i Boga, bluźni Bogu a rozum przeklina, nie

będzież to postać wielkiego, głębokiego znaczenia? Naprawdę, ten Wacław wątpiący, przeczący i rozpaczający, to zaledwo zmniejszony i skrzywiony wizerunek Manfreda w zatartym dagierotypie; ale młodemu poecie zdawało się może, że on do Fausta podobny, kiedy jak tamten, całą mądrość ludzką posiadł i w niéj całéj dopiero prawdy i zaspokojenia nie znalazł. A ten Faust, odżyje, odmłodzi się, nie na widok uroczego zjawiska, ideału własnego szczęścia, czy rozkoszy, ale na dźwięk narodowéj pieśni, i odrodzony pójdzie nie do cichego ogródka Małgorzaty, ale na tajemną naradę, gdzie się gotuje oswobodzenie ojczyzny. Połączy się więc myśl filozoficzna z myślą patryotyczną w téj jednéj postaci, osobiste przejścia i doświadczenia jednego człowieka, staną się może typem i wyobrażeniem ogólnéj ludzkiéj prawdy. Czy ta prawda, to odrodzenie duszy przez patryotyzm, wychodziła z historyi jego własnéj lub z innéj, mniejsza o to, może się nad tem i nie stanawiał, tylko w przekonaniu, że ma do powiedzenia rzecz wielką, chciał ją ludziom powiedzieć.

Jest więc Wacław historyą człowieka, który zrazu we wszystko wątpi, na wszystkiem jest zawiedziony jak Faust — następnie przemienia się, jak Gustaw w Konrada, pod wpływem uczuć patryotycznych, jest wreszcie jak Manfred opanowany i dręczony miłością fatalną i zdrożną. W pomysłach, w treści, w wykonaniu, w szczegółach, jest więc wzięty z wspomnionych poematów, jest ich odblaskiem, jest może ciekawem świadectwem czasu, odbiciem jego wyobrażeń filozoficznych, jego dążności politycznych i jego upodobań poetycznych, ale jest czystem tylko naśladowaniem, i jest poematem nie jednym z najwyższych, ale owszem, jednym ze słabszych, jakie mamy w naszéj literaturze.

Rozpoczyna się on tą sceną przytoczoną przez Mickiewicza w obszernych wyjątkach, sceną, w któréj bohater wyzywając księdza na dysputę filozoficzną podczas wielkopiątkowego nabożeństwa, ukazuje się w swojéj pierwszéj postaci niedowiarka, człowieka, który z nauk swoich wyniósł przekonanie, że chrześciaństwo jest jakąś nowoczesną mithologią, wymysłem, kłamstwem, a słudzy religii, księża, oszustami. Scena to niezawodnie najpiękniejsza w całym poemacie, obiecująca; jedyna która ma pewien koloryt poetyczny, pewną ener-

gię w pomyśle i w wykonaniu. W Wielki Piątek pod wieczór, nabożeństwo się kończy, światła gasną jedne po drugich, kroki zakonników wychodzących z chóru dzwonią po posadzce, kościół prawie pusty, prawie ciemny.... Cała ta dekoracya jest wcale malownicza, wcale obrazowa. Ładny także jest ten kawałek pieśni o Męce Pańskiéj, który śpiewa ksiądz, schylony nad leżącym na ziemi krucyfiksem:

A gdy na krzyż przybili — sługi wszystkie w téj chwili
Suknie Pana porwali z pośpiechem,
I dział każdy chce stroju — czy przez zgodę, czy w boju
Bo to u nich zabijać nie grzechem.
Ale płaszcz tam był Pana, jakby chusta utkana,
Bo nietknięty ni igłą, ni nożem;
Więc mówili do siebie: by go nie psuć w potrzebie,
Losy wkoło na niego rozłożym,
I co rzekli to było — bo tak pismo mówiło:
Suknie łotrów rozszarpią mi zgraje,
Ale na płaszcz los padnie, jeden tylko płaszcz skradnie,
A tak dzisiaj to wszystko się staje.

Nietrudno wprawdzie domyśleć się zkąd się wziął pomysł do takiego wtrącenia pieśni kościelnéj w osnowę poematu, i nie trudno też zobaczyć, że nie jest ona tutaj ani tak znaczącą i potrzebną, ani tak piękną, tak po prostu kościelną i kantyczkową, jak pieśń Zmartwychwstania, którą słyszy Faust: bo ta zapewne natchnęła Garczyńskiego myśl napisania podobnéj. Ale odłożywszy na bok wspomnienia i porównania, tej nie można odmówić wdzięku, prostoty, jakiegoś prawdziwie kantyczkowego zacięcia.

Otóż, podczas kiedy drżący przeciągły głos starego księdza psalmodiuje ten rytm monotonny i smętny,

Śmiech jakiś niespodziany, gwałtowny i dziki
Przerwał śpiewy pobożne....

to Wacław, ukryty gdzieś w ciemnościach, obwinięty czarnym płaszczem, który przyszedł urągać księdzu, jego zabobonom i jego legendom. Co powié, odgadnąć łatwo: powié to, co

zawsze nieodmiennie kładzie ludziom w usta nienawiść wiary i kościoła, to, co mówili nowatorowie religijni XVI wieku, co mówił Voltaire i jego wyznawcy, co dziś powtarza najnowsza doktryna filozoficzna lub namiętność polityczna: Kościół katolicki skrzywił naukę Chrystusa: sztuką, omamieniem trzyma pod swoją władzą trwożliwe umysły, miłości w nim nie ma, nie ma wierności dobremu, jest tylko wyrachowanie, tylko chęć utrzymania siebie i rządzenia. Wszystko to nie nowe: Ale po energii, z jaką to Wacław mówi, znać, że to wyszło z duszy człowieka, który sam tak czuł i myślał; w téj nienawiści, w tych bluźnierstwach jest siła:

Chcecie, pokory suknie zawdziawszy na pychę,
Zamieniając pałace na ustronia ciche,
W duszy gmachach zarządzać — i chatą i tronem;
Mieszkańców ich jak ptaków łapiąc w szpon sokoli,
Sami zimni — bez serca — męczyć, gryźć dowoli?

Jezus Chrystus — znak krzyża — znak ofiar — znak święty!
(Z uniesieniem)
Czemuż krwi twojéj krople na ludzi nie prysły,
I mózgów im nie spalą wieczystem zarzewiem!
Ot twój sługa — tyś cierpiał, jak żaden z śmiertelnych,
A ten śmierć twoją święci w kantyczkach kościelnych.

Nienawiść, gorycz, zawarta w tych słowach, jest prawdziwa; to jest istotnie uczucie wielu, i wielu taką drogą jak Wacław doszło do takiego usposobienia. Dla tego jak typ młodzieńca, który przez filozofię odstąpił wiary, typ w czasach Garczyńskiego dość częsty, nie jest on bez wartości. A jest w jego słowach coś jeszcze, co go określa bliżéj, nietylko jako niedowiarka, ale jako niedowiarka polskiego: nie same studya filozoficzne lub historyczne odjęły mu wiarę i doprowadziły do nienawiści kościoła, ale i coś więcéj jeszcze. Wacław mówi:

Bo wy słudzy nikczemni, zamiast Boga słudzy,
Wy, kiedy ludzie giną, męczeni są drudzy —
Wy, jakby to nie ludzkie trafiało przygody,

Choćbyście jednem słowem krwi wstrzymali strugi,
Patrzycie zimnem okiem, jak giną narody,
Ledwie trupom oddając ostatnie przysługi,
Toż więc jest wiara wasza? na to macie władzę....

Czy w tem nie dźwięczy to uczucie zbolałe, które się odzywa parę razy w Kordyanie Słowackiego, w jego Dantyszku, a zwłaszcza w gorżkich narzekaniach Mickiewicza na kościół urzędowy? to nie jest niedowiarstwo filozoficzne tylko, to jest żal do kościoła, wywołany cierpieniem patryotycznem, i te słowa Wacława mogą się liczyć do świadectw opłakanego wrażenia, jakie na umysłach polskich sprawiła nieszczęsna bulla Grzegorza XVI. z roku 1832.

Jakkolwiekbądź, w scenie téj jest energia, jest zdolność poetycka, a przez nie staje się Wacław (w téj scenie) reprezentantem całego jednego kierunku uczuć i wyobrażeń. Ale i ta, choć najlepsza w poemacie, zasługuje na niejeden zarzut. Przedewszystkiem zarzut pewnéj niesprawiedliwości, stronniczości autora względem figur poematu i zasad, które one reprezentują. Stronniczość taka, spotyka się bardzo często w utworach wyobraźni, kiedy w dwóch postaciach ma być przedstawioną walka dwóch zasad, a trzeba mieć Krasińskiego geniusz i jego sprawiedliwość, żeby takim przeciwnikom dać tak równą siłę i wielkość, jak jest siła i wielkość Henryka i Pankracego, albo Irydiona i Ulpiana. Garczyński postąpił inaczéj. Po jednéj stronie człowiek młody, genialny, bo Wacław oczywiście ma być genialnym, występujący do walki w pełnéj zbroi zapału, geniuszu i nauki, a po drugiéj biedny ksiądz, stary, złamany, niewiele wiedzący, nie wymowny, który się broni samemi oklepanemi ogólnikami. Walka nie jest równa, a zwycięztwo łatwe. Gdyby poeta był chciał być sprawiedliwym, powinien był naprzeciw dzielnego i mądrego Wacława postawić równego jemu przeciwnika: niechby genialny i wymowny niedowiarek zmierzył się z genialnym i wymownym człowiekiem wierzącym, z księdzem takim, jak Lammenais przed swojem odstępstwem, jak Lacordaire albo Ventura, i niechby tego zwyciężył. Wtedy i walka byłaby równiejsza, słuszniejsza, i scena w poemacie piękniejsza, i zwycięztwo prawdziwsze. Tylko to zwycięztwo byłoby w takim ra-

zie trudniejszem, tylko poeta sam nie był pewnym, jakiby był téj walki równéj wypadek, i czy jego bohater nie wyszedłby z niéj mniéj pewnym siebie i dumnym, a w takim razie, nie byłoby poematu, nie byłoby Wacława. I dla tego ta dysputa w kościele przypomina szermierskie walki któregoś z Cezarów w cyrku rzymskim, gdzie Imperator miał w ręku miecz prawdziwy, a jego przeciwnik Gladiator miecz ołowiany.

Druga uwaga: Wacław, kiedy przypomina księdzu dawne czasy, kiedy był jego uczniem i wierzył jego słowom (bo ten młody Hegel zaczął jak Aloizy Gonzaga), wyrzuca mu, że rzuciwszy mu na duszę Boga i nieśmiertelność, strzaskał mu myśl tym ogromem, i on, Bogiem jedynie zajęty, wzgardził wszystkiem, co kochał przedtem, światem, ludźmi, miłością, ojczyzną... A któż temu winien? Jaka religia uczyła go gardzić ludźmi i ojczyzną? Opuścić ich, zapewne, pozwala tym, którzy mają powołanie do życia pustelniczego i kontemplacyjnego, ale przestać ich kochać? tego nie wymaga nawet od pustelników, a gardzić? gardzić zakazuje wszystkim. Więc, jeżeli Wacław tę wzgardę uczuł, jeżeli przestał świat i ludzi kochać, i jeżeli sobie w ten sposób duszę wysuszył i wyziębił, to niechże się skarży sam na siebie, ale nie na katechizm, który go tego nie uczył.

Możnaby jeszcze dodać, że cała ta scena jest sprowadzona cokolwiek sztucznie, że nie jest to naturalne i prawdopodobne, żeby ktoś, choćby zawzięty niedowiarek, przerywał księdzu nabożeństwo i wyzywał go na dysputy w kościele; że ten Wacław ze swoim śmiechem gwałtownym i dzikim tak wygląda, jak żeby do kościoła był przyszedł umyślnie na szukanie wrażeń, jak żeby sobie całą tę scenę w domu był przygotował. Tego poeta nie chciał: on miał świadomość, że Wacław w pierwszéj części poematu jest w błędzie, może wiedział, że jego bohater jest naturą chorobliwą, ale udającym, bawiącym się w tajemniczego poetycznego bohatera mieć go nie chciał z pewnością, bo go miał za naturę prawdziwie bohaterską i wielką. Tymczasem, ten Wacław, który w czarnym płaszczu i na czarnym koniu przelatuje po wsi strasząc dzieci— który kiedy bardzo cierpi, nie zostaje w pokoju, ale idzie w jakieś zwaliska starego zamku, który nie umié nawet poprostu powiedzieć, żeby mu zapalono na kominie, ale woła:

żeby „ogień buchnął całą siłą tam,“ który do wszystkiego, co robi, mówi, czuje, potrzebuje dekoracyi, jest takim bohaterem udającym, przypatrującym się sobie samemu, rozkoszującym się w poetyczności własnéj; a ta scena pierwsza, ten czarny płaszcz, to ukrycie się za filarem, ten w danéj chwili śmiech niespodziany, szyderski, szatański niby, to wszystko, bez woli autora daje go poznać i z téj strony, to wszystko dowodzi, że to człowiek, który wrażeń szuka i wywołuje je sztucznie, człowiek, który chce być Manfredem lub Larą — człowiek który udaje.

Pomimo tych usterków, jednak poeta i jego bohater przedstawiają się dobrze w téj expozycyi; jeden, sądząc po niéj, będzie miał coś energicznego w tonie, w kolorycie, w wierszu, coś dramatycznego w pomysłach, drugi będzie młodszym bratem bohaterów Byrona, ale może będzie zajmującą postacią, dobrze pojętym charakterem. Nieszczęściem, im daléj, tem bardziéj złudzenie znika, czar się rozwiewa, Wacław się psuje, ani bohater ani autor nie utrzymują się na pierwszéj wysokości.

Chciał Garczyński do swego poematu zastósować ten sposób kompozycyi, którego używa Byron: bohater i wypadki jego życia, zostają w jakimś tajemniczym pół-cieniu: kto on jest, jakie one są, niech się czytelnik domyśla, i niech mu wystarczy ponure złowrogie światło, które to wszystko otacza i oświeca, tyle, ile koniecznie potrzeba, żeby na czole bohatera rozpoznać piętno nieszczęścia, fatalności lub występku. Tak jakiś jeździec nieznany i nienazwany, „grzmi konno po skalistéj drodze,“ zaczaja się na innego również nieznanego, zabija go... dla czego? tego nie wiedzielibyśmy nigdy, gdyby łódka wypływająca nieznacznie na morze, gdyby plusk wody, w którą jakieś ciało wrzucono, nie pozwoliły domyślać się powodu, i gdyby tajemnicza spowiedź tajemniczego mnicha, nie odchyliła nieco zasłony z całego tego zdarzenia. Podobnie jak w Giaurze, postępuje Byron w Korsarzu, w Larze, w Oblężeniu Koryntu, w Manfredzie, prawie zawsze. Ale ten rodzaj kompozycyi, czy się nam więcéj czy mniéj podoba, wymaga wielkiéj zręczności i sztuki: żeby te obrazy oderwane, napozór z sobą nie połączone, przedstawiały najważniejsze chwile z powieści, stanowcze i charakterystyczne w życiu bohatera, i że-

by związek między niemi, napozór ukryty, na prawdę był, żeby się one tak nawzajem uzupełniały, iżby ciąg wypadków i całości postaci złożyć się z nich dały. Byron ma tę zręczność, ma ją Mickiewicz w Wallenrodzie i Malczewski w Maryi — Garczyński jéj nie ma. Po ekspozycyi, po scenie z księdzem, kiedy trzeba figurę bohatera lepiéj określić, wytłumaczyć, kto on był i jaki, zkąd i poco jego bluźnierstwa, jego zwątpienia i smutki, poeta szuka rysów śmiałych i wyrazistych, któremiby bohatera swego scharakteryzował, ale ich nie znajduje. Wacław, który wyszedłszy z kościoła pędzi cwałem na karym koniu i straszy wiejską dziatwę, który szarpany jakąś walką uczuć i myśli, chodzi po pokoju, woła o światło i jeszcze światło, i coraz więcej światła, który do służącego, który to światło wnosi, mówi: „Precz mi z oczu“ jak do wroga lub zbrodniarza, ten Wacław nietylko nie nabiera wyraźniejszéj fizyognomii, ale zbliża się do karykatury.

Sny jego matki: „o syna dziwnych losach, różne sny prorocze ostrzegały Wacława matkę przed połogiem“. te sny które mają być przepowiednią i wytłumaczeniem jego natury i życia, mają znaczenie tak głębokie i dobrze ukryte, że analogii i zastósowania dopatrzeć się trudno. Jeszcze ten pasterz młody, który wśród rozkosznéj łąki zbiera kwiaty, a one w jego ręku przemieniają się w osty i ciernie i ranią mu czoło, może być wyobrażeniem młodzieńca, który otoczony wszystkiemi warunkami szczęścia, miał cierpieć i dręczyć się przez całe życie. Ale drugi sen, ten w którym dwie czarne chmury podobne do dwóch czarnych byków na siebie nacierają, wśród nich zjawia się olbrzym z mieczem — Wacław — i coś ma począć w chwili kiedy widzenie znika, to już znaczenie tak głębokie i subtelne, że łatwiéj prawie było wytłumaczyć sen Faraona. A takie to ciemne zagadki mają nam tłumaczyć zagadkę duszy i dziejów Wacława.

Może on sam rozjaśni ją lepiéj?

Poeta opowiada, że wpadł mu w rękę dziennik, w którym Wacław zapisywał swoje myśli i uczucia, i przepisuje jego pierwszą kartę. Środeczek to właściwszy może w jakim romansie, aniżeli w poemacie. Ale ta karta z dziennika, ta melodya dzika

Ale silna, świadcząca o wewnętrznéj sile,

jak mówi sam poeta, te strofy obejmujące „całą przestrzeń, jaką przebiegła filozofia polska“ jak mówi Mickiewicz, czy ona naprawdę świadczy o wewnętrznéj sile?

Jest nią znana z kursów Literatury Słowiańskiéj Oda do Geniuszu.

Pomijając pierwsze zaraz słowa: „Geniuszu, ty jeden nie opuść mnie w życiu,“ słowa dość śmiałe, bo prosić, żeby mnie nie opuścił, mogę tylko takiego, który przy mnie jest; pomijając tę małą zarozumiałość, można w téj Odzie dopatrzeć się jakiegoś nerwowego niepokoju, jakichś urojeń i zachceń, jakichś fantastycznych pragnień, ale to wszystko to nie siła właśnie, tylko jéj przeciwny biegun, mdłość. Czy to człowiek silny, człowiek pan siebie samego i drugich, będzie marzył o tem, żeby wzbić się nad chmury i okiem tęczy w okrąg je ogarnąć, i unosząc się na powietrznych żaglach, wiatry deptać nogą? I to wszystko pod warunkiem, pod tym, że go geniusz nie opuści. Ale jeżeli o to tylko chodzi żeby nie opuścił, to on jest, czegóż czekasz, co ci przeszkadza ? daléj, porusz śpiewem siły tajemne choć w piekła ukryciu, zmuś wiatry do jarzma — geniusz cię jeszcze nie opuścił, więc korzystaj z niego, pokaż się... nie? i dla czego? na co czekasz? czemu się tym górnym lotem nie puścisz? bo twoja pieśń nie świadczy o wewnętrznéj sile, bo twój lot po wiatrach i chmurach, to senne przywidzenie, nerwowe zachcenie, którego nie wykonasz nigdy, bo ci brak skrzydeł, a sam twój geniusz, to urojenie, fantasmagorya, którą sam siebie łudzisz.

Może jest w téj odzie głęboka myśl filozoficzna, o któréj mówi Mickiewicz, ale siły w niéj nie ma; jest tylko jedno: jest daleki oddźwięk, blade odbicie Ody do Młodości. Ten popęd, ta tytaniczna siła, która jest w tamtéj, zrobiła wrażenie na umyśle Garczyńskiego i spłodziła w nim myśli nibyto inne, w gruncie podobne, tylko ściągnięte do małych, bardzo małych rozmiarów. Kiedy Mickiewicz wola: „dalej z posad bryło świata“ czuje się w jego głosie taką siłę, taką moc rozkazu, że można uwierzyć, przypuścić przynajmniéj, że on ją pchnie nowemi tory. Kiedy Garczyński obiecuje, że „Śpiewem poruszy siły tajemne i wstrząśnie cały świat uśpiony,“ myśl jego wychodzi na to samo, i on marzy o jakichś nowych to-

rach, ale na jego głos ludzie nie odwrócą nawet głowy, pewni że bryła ani nie drgnęła.

Aż dotąd mieliśmy Wacława w pierwszéj fazie: filozoficznego niedowiarka, umysł przywalony grubą warstwą sceptycyzmu i negacyi, pod którą kryje się wielki zasób uczucia i zapału: natura to uczuciowa, poetyczna, miękka, któréj z zwątpieniem i przeczuciem musi być źle i niewygodnie. To też wychodzi z niego; zaczyna się faza druga: Wacław, który dotąd niewierzył w Boga, w prawdy religii, teraz przestaje wierzyć w rozum, nie swój może, ale tych, którzy go wątpić nauczyli.

I on ma swoje monologi Fausta, i on posiadłszy wszelką mądrość ziemską, widzi że jest „dumm als wie zuvor“ — pyta:

Gdzie jest bóstwo, które ja w piersiach moich żywię,
I myśl, co człeka tworzy i różni od zwierza,
Gdzie jest Bóg stwórca świata?
....Książki nie wiedziały.

A więc skłamały, więc nie ma w nich mądrości i prawdy? bohatera opada czczość, nuda, zwątpienie; książki swoje rzuca w ogień, przeklina rozum i naukę, jak przeklinał niedawno wiarę. Mickiewicz, który w latach kiedy o Wacławie mówił w Collége de France, doszedł był właśnie do szczytu téj długo w nim wyrabiającéj się teoryi, która była pogardą rozumu i wszystkich spraw jego (w literaturze, w polityce, w nauce nawet), a gloryfikacyą intuicyi i jéj cudotworczéj siły, widzi w tym zwrocie właśnie moralną wielkość i filozoficzną głębokość Wacława. Wacław, czy Garczyński, znalazł połowę prawdy, kiedy uznał, że ziemski rozum, ziemskie działanie, ziemskie środki są niczem: od tego, do prawdy całkowitéj, téj, że źródłem wszelkiéj prawdy i wszelkiéj siły, wszelkiego zwycięztwa jest wieszcza, prorocza intuicya, już bardzo blisko. Nie wdając się nateraz w ocenienie téj teoryi, powiedzieć przecież trzeba, że ten „monolog Fausta,“ Wacława, taksamo nie obala rozumu i nauki, jak jego dysputa z księdzem nie obaliła religii. Jest

wprawdzie parę wierszy, które ładnie i trafnie opisują analityczną dążność nauki, która daje

Kreski planów, za gmachu węgielne kamienie,
Osobno mur do niego, dach, ściany, sklepienie,
A gmach? na powiązanie gmachu rąk nie stało.

Ale w gruncie, to Fauścik bardzo mały, który nie zawiódł się na nauce, tylko jéj objąć nie zdołał, a rozum przeklina dlatego, że go źle pojmuje. Bo zkądże to wielkie oburzenie na nauki, że „Komu serce drga w piersiach, temu je wykradły“ że rozkładają świat na pierwiastki i części, tłumaczą chmury i piorun, a jedności, piękności, cudowności świata widzieć nie dają. Zapewne, one rozkładają tę maszynę jak zegarek, ale jakże krótką musiałaby być pamięć, jak ciasną myśl człowieka, który widząc zegarek rozłożonym, zapomniałby, przestałby wiedzieć, że on zegarkiem jest wtedy tylko i dlatego że jest złożonym? który patrząc na różne kółka i sprężynki, straciłby nocyę całości i jéj przeznaczenia? Nie te części i pierwiastki byłyby temu winne, ani ludzie, którzy mu każdą z osobna pokazywali, ale on sam, że ich sobie w całości, w ruchu uprzytomnić nie umiał. A rozum? Czasby już był wyzwolić się z tego uprzedzenia narzuconego nam przez tkliwych i ckliwych poetów, jakoby rozum był tym wielkim antagonistą uczucia, za jaki go okrzyczał mdły sentymentalizm, nie wiedzący co czynił, nie domyślający się, że prawem wrodzonem i przeznaczeniem tych dwóch władz ludzkiéj duszy i natury, jest nie sprzeczność i walka, ale harmonia i zgoda. Kto je pojmuje inaczéj, ten jako normalny stan ludzkiéj duszy wyobraża sobie ciągłą, nieustanną, konieczną wojnę domową, a skutek takiéj wojny domowej w jednéj duszy musi być taki sam, jak w organizmie społecznym i politycznym: rozprzężenie; tam ona odejmuje siłę, krępuje działanie, i rozbija państwo, — tu oślepia i paraliżuje wolę, pozbawia ją kierunku, i rozbija jedność ludzkiéj duszy, charakteru i postępowania. I czy to rozum naprawdę uczy, że gdy „kochasz, patrz, co miłość przyniesie ci w zysku“ — czy on, kiedy „masz przyjaciół i ojczyznę,“ każe liczyć, ile się z nich ma pożytku? Czy to on wyklucza wszelki wzniosły

cel życia i szlachetne jego pojęcie? Że jakiś biedny tuzinkowy poeta, którego wierszy nikt czytać nie chce, skarży się na zimny świat, który ogniem jego uczuć zapalić się nie chciał i przeklina rozum ludzki dla tego, że sam nic mu nigdy rozumnego powiedzieć nie umiał, to nic dziwnego. Ale że człowiek myślący, jak Garczyński, człowiek, który był godzien przyjaźni Mickiewicza, mógł wpaść w ten błąd, że rozum, tę władzę, przez którą człowiek myśli i rozumié, pomieszał z negacyą i egoizmem (bo rozum, jak on go opisuje, nie jest niczem więcéj) i przypisał im jednakowe skutki, temu doprawdy mamy prawo się dziwić.

To téż kiedy Wacław niby zawiedziony na mądrości, bierze z nią rozbrat, nie budzi on ani podziwienia, ani współczucia, co najwięcéj niecierpliwi i gniewa: Przeklinaj kiedy chcesz, ale pierwéj poznaj, co przeklinasz i dlaczego, bo kiedy patrzysz krzywo i fałszywie rzeczy pojmujesz, a potem ciskasz na nie swoje gromy, to temsamem wchodzisz w kategoryę, zbyt liczną niestety, ludzi powierzchownych myślą, a charakterem słabych; nie Faustem jesteś, ale studentem z Fausta, któryby chciał naśladować zwątpienia i rozczarowania mistrza.

Jakkolwiekbądź, zwątpił w rozum i mądrość, jak niegdyś w Boga i wiarę. Cóż daléj? Rozkład jego istoty moralnéj jest zupełny; cóż ją napowrót złoży? Kiedy Faust przysuwa do ust puhar z trucizną, wytrąca mu go z ręki odgłos wielkanocnéj pieśni, kiedy Wacław spadł na samo dno przepaści zwątpień i rozpaczy, cuci go i dźwiga dolatujący zdala śpiew, tylko inny. Zrazu jakieś wesołe zwrotki młodych parobków, zabierających się do tańca. Wacław zazdrości, dziwi się zrazu: oni ubodzy, ciemni, pracujący cały tydzień, a mają wesołość i swobodę, a ja taki bogaty, taki mądry, nudzę się tylko i dręczę! ale niebawem śpiewy ustają, chór cały odzywa się inną pieśnią i na dźwięk téj nuty Wacław przeistoczony, zmartwychwstający niejako z dawnéj czczości, rozpaczy, nicości, podnosi się do nowego życia, znajduje jego cel i prawdę. W karczmie śpiewają „Jeszcze Polska nie zginęła,“ a wtedy on słuchając za oknem,

„Uczuł, że ma ojczyznę, wspomniał, że Polakiem.“

Dziwnie to trochę, że musiał dopiero „wspomnieć“ bo mógł był nie zapominać, ale dość że odtąd poczyna się nowe jego życie, ma w co wierzyć, ma co kochać, utracona jedność jego moralnéj istoty znajduje się na nowo. W tem przetworzeniu, w tem wskrzeszeniu człowieka przez miłość ojczyzny i dla niéj, widzi Mickiewicz wielkość Wacława, a daje do zrozumienia że on jest większym (moralnie zapewne, a nie poetycznie) od Manfreda, większym od Fausta. Zapewne, taka transformacya człowieka przez uczucie patryotyczne, mogłaby mieć wielką głębokość filozoficzną, wielką wzniosłość moralną, i wielką piękność poetyczną, ale na to trzebaby żeby poeta, który się na nią zerwał, nietylko ją dobrze był pomyślał, ale i dobrze wykonał, żeby był sam miał tyle potęgi i natchnienia, iżby swojego bohatera w téj chwili mógł był zrobić potężnym i natchnionym. Wacław Garczyńskiego tym nie jest. W jego słowach znać, że autor dobrze myślał, szlachetnie czuł, chciał pięknie żyć, ale te uczucia prawdziwie dobre, te szlachetne aspiracye, w jego sercu niezawodnie rzetelne i prawdziwe, w jego wierszu są tylko zimnym retorycznym wykrzyknikiem.

„Ojczyzna! — krzyknął Wacław — o dzięki wam, dzięki
Za znak życia nowego! — póki stanie ręki,
Ręka do niéj należy — póki myśli stanie,
Myśli jéj niechaj będą! — Zabłysło zaranie
Świateł nowych — Bóg w nowéj zabłysnął postaci,
Nie w księgach go wynaleźć: On w żywocie braci
Mieszka jak w swym kościele, jak w arce przymierza!
Niebo rodzinne — oto świątyń jego wieża;
Ziemia rodzinna — oto budowa kościoła;
A w piersiach tron jest jego — w piersiach tron anioła!
Posłyszałem — uczułem — rozumiem cię Boże!
Chcesz ofiar — ja mój żywot w ofierze położę.
Przyszły i teraźniejszy — chcę jak lud na puszczy
Łaknąć, byle ojczyźnie tem pomódz można;
Każda myśl moja, będzie jako hymn pobożna.
Język mój ustom, słowa saméj czci poduszczy,
W modłach noce przepłaczę, dni przemęczę w trudzie,
Tylko niech kraj mój wolnym — wolni będą ludzie!“

A prócz tego, zapytać jeszcze trzeba, czy ta przemiana człowieka przez miłość ojczyzny jest naprawdę Garczyńskiego pomysłem? czy przed nim już jaki inny bohater poetyczny nie odżył w ten sposób do nowego i wyższego życia? Czy w pewnéj celi pewnego Bazyliańskiego klasztoru, przerobionego na więzienie, nie umarł pewien Gustaw, żeby zmartwychwstać Konradem? Mickiewicz kiedy tak ten pomysł chwali, przypomina jedną anegdotę o pani Sand, która dziwiła się piękności jakiegoś ustępu, który przed nią czytano, a nie poznała, że on był jéj własny. Jak Kordyan Słowackiego, kiedy na szczycie Montblanc uczuł się powołanym do służenia ojczyznie, tak i ten Wacław Garczyńskiego kiedy „wspomniał, że ma ojczyznę, uczuł że Polakiem," są obadwa tylko synami Konrada z Dziadów, synami, którzy wielkości ojca nie odziedziczyli.

Takich rodowych znamion wspólnych Wacławowi z Kordyanem znajdzie się więcéj; ale zanim zobaczymy naszego przetworzonego bohatera w działaniu, którem jest, jak w Kordyanie, spisek koronacyjny, trzeba jeszcze rzucić okiem na jednę scenę i postać, scenę, która zamyka pierwszą część Wacława, postać oprócz niego jedyną w poemacie.

Kiedy w karczmie śpiewano: „Jeszcze Polska niezginęła," a Wacław uczuł że jest Polakiem, wszedł do izby obcy człowiek o bystrych oczach i rudych włosach, przechodzień gdzieś z Brandeburgii, i zaczął bratać się z wesołą gromadą przy śpiewie i szklance. A kiedy młodzież otoczyła go ciekawie, kiedy zaczęła śmiać się z jego żartów i prosić o więcéj, on zaśpiewał jedną piosnkę, w któréj się kryła aluzya do panów, drugą, któréj allegorya znaczyła, że księża są oszuści i wydrwigrosze, a ich nauki kłamstwem i głupstwem, wreszcie, bez figur i przypowieści zaczął szczepić zazdrość do bogatszych, społeczną nienawiść:

Wy, prawda, biedni ludzie — wy nie wiecie o tem —
Dla panów waszych z czoła pracujecie potem,
Dla drugich! — a ci drudzy! wściekłość mnie pożera!
Każdy z nich próżniak, skąpiec, obłudnik, kostera,
Robi z wami jak z młynkiem, co mu się podoba —
Ależ prawda — was święta uczyła osoba,

Choć świętość więcéj grzeszy niż wy wszyscy razem,
Że panów słuchać — wiecznym religii rozkazem —
Że —

kto on jest ten obcy człowiek? ten tajemniczy nieznajomy? czy go Garczyński pojmował poprostu jako wcielonego szatana, jako Mefistofelesa przy swoim Fauście, na pewno twierdzić nie można, bo poemat jest nieskończony, a w tych jego częściach, jakie mamy, poeta nie zdradza tajemnicy téj tajemniczéj figury. Ale w każdym razie jest on złym duchem Wacława, i nie jego tylko, ale Polski. Na wstępie demoralizuje lud wiejski, chce w nim rozbudzić materyalne instynkta, żądzę używania, zazdrość do bogatszych, żeby tym sposobem zrobić go nieprzyjacielem ojczyzny, narzędziem przeciwko niéj, i chce odjąć mu uczucie religijne, żeby go z moralnego wędzidła rozkiełznać; późniéj, on rozbija spisek koronacyjny, który podług poematu miał sprowadzić niepodległość Polski, i on przyczepia się do Wacława, mrozi jego zapał, odbiera mu odwagę, chce go „bądź co bądź, od czynu odwrócić.“

Postać taka, taki szatan przywiązany do polskich spraw i dziejów, mógł być niezaprzeczenie kreacyą głęboką, prawdziwą, i wielką; możnaby wyobrazić go sobie i przedstawić i w Warszawie w roku 1831, i na emigracyi, podniecającym spory marne w gorszące, i potem chodzącym trop w trop za emisaryuszami, wykładającym ich słowa na swój sposób i przygotowującym rok 1846, słowem, wielkim rzemieślnikiem wszystkich naszych politycznych błędów i naszego społecznego rozstroju. Ale i jego także nie dość było wymyśleć, trzeba było wykonać. A tego znowu Garczyński nie zrobił. Początek jest bardzo obiecujący. Szatan, który zaczyna od ludu, przykłada siekierę do korzenia, rzuca ziarna, które zejdą i dojrzeją w roku 1846, to szatan mądry, prawdziwy szatan, który robotę swoją zamierzył na wielką skalę. Ale daléj, kiedy się do Wacława tylko przyczepia, jego kroków strzeże, jego chce osłabiać i paraliżować, jak żeby myślał, że ten Wacław jest Atlasem Polski, dźwiga ją na swoich barkach, to biedny szatan krótko widzący, którego oszukaństwa i zdrady nie bardzo

są straszne. Postać ta słabnie, zaciera się, drobnieje, nie mówiąc już o tem, że tu i owdzie kładzie jéj poeta w usta takie słowa, których zły duch narodu nie byłby nigdy powiedział.

Po jednym jeszcze ustępie, krótkim i niewyraźnym, w którym opowiedziane jest że Wacław wpadł w obłąkanie, może je udawał tylko, potem żył wesoło i hucznie, bawił się, polował, pił z przyjaciołmi, może maskował się w ten sposób, żeby uśpić czujność wroga, i tém pewniéj, bezpieczniéj sposobić się do zamierzonego czynu, kończy się część pierwsza: a ogólne po niéj wrażenie jest to, że poeta miał jakiś pomysł dobry, którego dobrze ułożyć nie umiał, nie umiał odznaczyć stanowczych chwil w życiu swego bohatera, a bohater jest innym, niż poeta zamierzył. Chciał on wprawdzie w téj pierwszéj części przedstawić go błądzącym (w scenie w karczmie dopiero wchodzi on na dobrą drogę, znajduje prawdę), ale chciał go przedstawić potężnym, gienialnym, wielkim. To się nie udało: bohater jest słaby, nerwowy, nieświadomy czego chce, niekiedy tak przesadnie ponury i tajemniczy, tak teatralny, że przechodzi w karykaturę; lub znowu sam z sobą niezgodny i zmienny, bez żadnego tych zmian wytłumaczenia. Naprzykład: ten wielki niedowiarek, ten sceptyczny filozof, co w Wielki Piątek śmiał się w kościele z księdza i z Boga, w dzień Wielkiéj Nocy gromi „obcego człowieka“ za to, że ten ludowi wiarę chce odebrać. Zkąd ta zmiana? czy Wacław kiedy przestał wierzyć w rozum i nauki, zaczął odrazu napowrót wierzyć w Boga, stał się religijnym? Być może, ale należało ten zwrot w jego duszy choć jednem słowem oznaczyć.

Rzecz prowadzona niejasno, niedołężnie, charaktery wykonane inaczéj niż były pojęte, a i w takiem wykonaniu jeszcze z sobą niezgodne, oto wrażenie téj pierwszéj części Wacława, wrażenie, którego jedna scena dość szczęśliwie nakreślona i kilka rozsianych tu i owdzie szczęśliwych wyrażeń lub wierszy, naprawić nie zdoła.

W części drugiéj, Wacław który się uczuł powołanym do czynu, zabiera sie do działania. Jaki to będzie czyn? Zgadnąć łatwo, jak sobie przypomnimy czas, w którym to pisane, czas Wallenroda i Kordyana w poezyi, czas spisków przed i po rewolucyjnych w praktyce. Jest więc bal wielki w stolicy,

bal u dworu, tłum ludzi, światła, kwiaty, muzyka: to Mikołaj w Warszawie podczas koronacyi. Z tego balu wysuwa się cicho dwóch ludzi, i nocą, zaułkami dostają się na zebranie spiskowych. Bo Wacław, jak Kordyan, pisany jest w myśli, że gdyby spisek ten był się udał, gdyby był padł cesarz i jego żona, niepodległość Polski byłaby się stała sama z siebie, w żalu że zamiar ten wykonanym nie został. Jak żeby to zabójstwo mogło było zmienić stosunek sił polskich i rosyjskich na korzyść Polski!

Który z nich, Garczyński czy Słowacki, korzystał z pomysłu drugiego? Wacław pisany był w ciągu roku 1832, wyszedł w 1833 w lecie, Kordyan skończony był dopiero w listopadzie tegoż roku, a wyszedł w styczniu 1834. Rzecz prosta, że Garczyński znać go nie mógł, a na Słowackiego owszem mogłoby paść podejrzenie, czy przeczytawszy Wacława, nie wziął z niego pomysłu i na swój sposób go nie przerobił: podejrzenie tem cięższe, że jak wiadomo dzieła drugich były często bodźcem dla jego fantazyi. Że Wacława mógł czytać to aż nadto prawdopodobne, byłoby dziwnem, gdyby go nie był czytał, ale że z niego pomysłu do swego poematu nie wziął, to pewna, bo pomysł ten począł się dawno, zaraz po przeczytaniu trzeciéj części Dziadów, z niemi to, a nie z Wacławem miał Kordyan ubiegać się o lepszą. Od początku roku 1833 wspomina Słowacki w swoich listach o Kordyanie, że o nim myśli, że go pisze, a wtedy jeszcze Wacława znać nie mógł: nie da się więc nic innego przypuścić jak to, że się obadwa dziwnie w jednym pomyśle spotkali.

Pojęcie spisku koronacyjnego jest podobne, pojęcie bohaterów jest podobne, i podobna w nich pomyłka: Garczyński miał Wacława, jak Słowacki Kordyana za silną, prawdziwie bohaterską naturę, kiedy jeden i drugi wyszli z pod ręki swoich autorów istotami słabemi, chorobliwemi, nerwowemi: ale wykonanie jest inne. Prawda, że w dramatycznéj formie, i rozciągnięta na cały akt, ta sprawa spisku w Kordyanie z natury rzeczy musi robić większe wrażenie, aniżeli w opowiadaniu Garczyńskiego, i to opowiadaniu krótkiem, nierozwiniętem, ale też różnica jest niezmierna. Cokolwiek zarzuciłby kto trzeciemu aktowi Kordyana, a zarzucić mu można słusznie, że pojęcie całéj sprawy jest z gruntu fałszywem, że rola bo-

hatera jest inna niżeli chciał poeta, że argumenta przeciw spiskowi włożone w usta prezesa są może umyślnie stronniczo słabe: to przecież piękności poetycznéj nikt téj scenie odmówić nie może; w przemowie starca, który grzech zabójstwa chce przyjąć na głowę swoją i swoich dzieci, i w słowach Kordyana jest zapał, jest siła, jest ogień, jest poezya. W Wacławie? W Wacławie także starzec jakiś zagrzewa do wykonania zamiaru, ale jakiż on zimny, jaki suchy, jak rozumowanie i opowiadanie dziennikarza:

„Słuchajcież tedy bracia — codzień z słońca wschodem
Okropności zwiększają — pełne są więzienia
Ofiar, niewinnych ofiar, jak syn Abrahama.
Dzieci nam zabijają — z niemi ród za rodem —
Ojców w kajdany kują — giną pokolenia —
Ledwie że ziemia pusta ostoi się sama,
Prawa nasze zgwałcone, jako kiedyś ludu
Wybranego od Boga — podłość, nicią złotą
W tkankę ojczystéj sukni podstępem się wdziera;
Woła lud i ja wołam wszechmocnego cudu,
Wołam codzień do Boga, że niewinność gniotą
Że lud jego — że naród — ojczyzna — umiera —
Bóg cudów dziś nie czyni — a więc własnéj sile
Poruczeni jesteśmy — ratujmy — czas jeszcze
Wkrótce zapóźno będzie —

W Kordyanie, kiedy rzucono pytanie czy spisek wykonać lub nie, wszczyna się walka namiętna, zapalona, dramatyczna; znać, że tym ludziom idzie o wielkie rzeczy, znać że oni czują. Tu walki nie ma. Jeden człowiek wstaje, poddaje różne przeciw spiskowi wątpliwości, i wszyscy się rozchodzą, rzecz skończona. Prawda, że ten człowiek nie jest człowiekiem zwyczajnym: to tajemniczy nieznajomy z karczmy, to szatan.

Jakich on słów używa żeby rozbić spisek? czy szatańskich istotnie? Słów rozumu, prawda, wzgardzonego, podłego rozumu; on mówi, że robota, którą spiskowi zaczęli, dobra jest, ale wtedy, jeżeli udać się może; on ich pyta, czy zwyciężyć mogą, i pyta co się z ich ojczyzną stanie, jeżeli nie zwyciężą..

Chcecie czynów — a z działań czyż pewne wypadki?
Chcecie czynów — i śmiałych — a ze stu tysięcy
Ledwie jeden się uda, i ten jeszcze rzadki.
Cóż tedy! — broń zachwycić — zabić — zginąć łatwo,
A cóż po nas będzie — co z żonami, dziatwą.
Co z ojczyzną, jeżeli sprawa chybi celu? —

. . . . . .

Więc ja wam chcę odsłonić kraju przyszłe losy:
Zginiemy — to na wieki — jak wał jeden ginie,
Gdy szturm morze rozsadzi, wiatr tysiąc napędzi,
Porwiemy się i zginiem, jak ów głos łabędzi,
Który dźwięczy i kona w téj saméj godzinie.
Wojska ich niezliczone — a nasze orszaki
Garstka słaba — skarb u nich — u nas skarbu nie ma.

Więc to jest głos złego ducha? Zaprawdę, nie — i ten szatan wygląda jak wcielone sumienie. Piękna jest ta wiara w cuda i w intuicyę, piękna ta pogarda skarbu i wojska, u ludzi, którzy się zabierają do wojny, piękna jak frazes Pompejusza o legionach. Tylko kiedy na uderzenie nogą, legiony z pod ziemi nie wyszły, to wtedy co? wtedy następuje słowo drugie, a nie tak puste, słowo Cezara: alea jacta est. Pompejusz się schroni do Grecyi, do Egiptu, gdzie zechce; wreszcie padnie gdzieś, i w śmierci znajdzie zapomnienie wyrzutu i wstydu, jeżeli wyrzut i wstyd czuć jest zdolny. Ale w Rzymie co będzie? Kość rzucona i padająca szczęśliwie dla Cezara. Ta pogarda rozumu, pogarda przygotowania, kiedy się chce zbrojnego powstania, ona Garczyńskiemu, Wacławowi i wielu innym wydaje się apoteozą zapału i wiary w dobrą sprawę, ona jest tylko apoteozą niedbałości, spuszczania się na los i lekceważenia sprawy. Na spisek koronacyjny mógł Garczyński patrzeć jak chciał, mógł go uważać za mądry, skuteczny, potrzebny, ale mógł przynajmniéj wymyśleć lepszą jego obronę, mógł dla własnego interesu nie kłaść w usta swego przeciwnika słów, które nie przeciwnika potępiają, ale jego samego. Jak to? Wolno jest, i nie jest grzechem i podłością, nie narażać na szkodę siebie, swego zdrowia, majątku, wolno w chorobie nie narażać się na zaziębienie, wolno swego zboża nie zbierać póki nie dojrzeje, to nie grzech, i ten-

sam Wacław, tensam Garczyński gdyby widział człowieka, który nie umiejąc pływać, rzuca się w głębię, który swoje mienie trwoni i przegrywa w karty, powiedziałby mu: źle robisz! Ale kiedy chodzi o sprawę, o ojczyznę, to samo staje się grzechem i podłością — kiedy jéj zboże ma być zżęte zanim poszło w ziarno, nie broń, bo będziesz podłym — kiedy ona bez łodzi i wiosła ma być rzuconą w wodę, nie ostrzegaj, bo będziesz jéj złym duchem! Słowacki w Kordyanie był już dość niesprawiedliwym, kiedy z Niemcewicza i innych przeciwników spisku zrobił tchórzów albo dworskich podchlebników: Garczyński lepiéj, bo u niego w wilię zamierzonego powstania o wojsko i pieniądze pyta — Szatan.

A nie spostrzega się sam, że kiedy o Wacława chodzi, to rozsądek, ostrożność nie jest podłością i grzechem. Odebrawszy przestrogę, że ma być uwięzionym, Wacław wyjeżdża z Warszawy, a Polakiem, bohaterem być nie przestaje. Czy swoje bezpieczeństwo ceni więcéj jak Polskę, czy jest jednym z tych pospolitych krzykaczów, którzy nieustraszeni, gdy chodzi o drugich, chowają się, kiedy koło nich samych zaczyna być niebezpiecznie? Nie, i autor, i jego bohater są w dobréj wierze, a to przytacza się nie dla tego, żeby im urągać, ale żeby na tym przykładzie wymownym pokazać, ile jest prawdy i ile słuszności w téj pogardzie podłego rozsądku. Wacław, który ogląda się, czy za jego drzwiami nie stoi żandarm i nie zaprowadzi go do cytadelli, który w tym razie przewiduje jutro, a ma sobie za grzech przewidywać, jakie niebezpieczeństwo czyha na jego ojczyznę, staje się mimo wiedzy i woli swego autora najlepszą odpowiedzią na jego teoryę, na jego politykę, staje się postacią, która budzi politowanie, bo jest w niéj szlachetne uczucie, ale budzi i oburzenie, i staje się postacią bardzo nauczającą i charakterystyczną. Tym bohaterem, tym zbawcą, którym go poeta mieć chciał, tym nie jest, ale w ten sposób widziany, jest typem.

A jak przytem słaby, jak mdły, z całym swoim pozorem zapału i siły. Dość słaby i chorobliwy jest Kordyan, ale tamten przecie, kiedy nie doszedł spisek którego chciał, idzie wykonać sam, co wykonać mieli wszyscy, idzie zabić Mikołaja; jest jakaś w tym człowieku zgodność, jakaś zdolność postanowienia. Ten, wpatruje się tylko w swego nieznajomego, woła:

„To on, znam cię dumny podstępco,“ — i wylewa swoje żale na papier w drukowanym wierszu; a potem, kiedy mu doniesiono, że ma być aresztowanym, wyjeżdża z Warszawy.

Biedny, słaby bohater, i biedny poeta, który takiego mógł wziąć za bohatera; biedne pokolenie i społeczeństwo, w którem taki pozór, takie zachcenia bohaterstwa, mogły uchodzić za bohaterstwo rzetelne, za prawdę.

A dalsze „Wacława Dzieje“? Mało już o nich do powiedzenia zostaje. Nieznajomy, zły duch, choć udało mu się udaremnić spisek, nie opuszcza przecież Wacława, którego musi, „bądź co bądź od czynu odwrócić.“ Czy się jeszcze nie przekonał, że szkoda pracy, bo ten żadnego czynu złego ani dobrego nie wykona? Dziwny szatan, który tak mało zna się na ludziach. Dość, że chcąc odwrócić go od czynu, pokazuje mu w śnie magnetycznym różne widzenia, które mają być obrazem współczesnéj Polski, i obudzić w sercu młodzieńca niechęć do niéj i pogardę. Więc i tego nie wie ten szatan krótkowidzący, że co innego są Polacy, a co innego Polska, że Wacław, człowiek szlachetny, Polski kochać nie przestanie, choćby współczesni jego ziomkowie budzili w nim tylko wstręt i oburzenie? „Poznaj tych, dla których się chcesz poświęcić!“ — A czyż ja się dla nich poświęcam, powinienby odpowiedzieć Wacław — dla miłości tych wszystkich żyjących „des Lebens flach alltägliche Gestalten,“ nie dla miłości tych wszystkich, którzy byli i tych którzy będą, a nadewszystko dla miłości tego, co wiecznie piękne i dobre, Ojczyzny, słusznéj sprawy, i samego Boga?— Djabeł, który przyszedł z piekła na to, żeby Polaka skusić do wyparcia się miłości Ojczyzny, powinienby przynajmniéj wiedzieć, jak ten Polak swoją ojczyznę kocha i pojmuje, powinienby znać naturę tego uczucia. On tymczasem pokazuje mu w obrazach, że w Polsce są ojcowie, którzy nie pozwalają córkom iść za ubogich młodzieńców których te córki kochają, że są wojskowi, którzy dzień i noc pędzą przy kartach i hulance, a honor wojskowy przysięgę chorągwi, mają za jedyne swoje moralne prawo; że są literaci bez myśli, poeci bez talentu.... Wszystko to ma dowodzić umysłowéj i moralnéj nędzy polskiego społeczeństwa i reprezentować je w różnych jego typach. Jak żeby podobnych nie było wszędzie; jak żeby ta smutna, ale nieuniknio-

na nieszczęściem ułomność i powszedniość ludzi spadała na sprawę, choć jéj szkodzić może! Że tym sposobem szatan Wacława nie przekonał, nic dziwnego.

Obrazy te, w nawiasie powiedzieć trzeba, są najwidoczniejszem naśladowaniem „Dziadów.“ Dziewczyna umierająca z miłości, to Gustaw w kobiecéj postaci,

Księże wiąż prędzéj ręce — czy chcesz tego męża?
— Wy zawsze woli chcecie niedorzeczni księża?
Wiąż prędzéj, mówię, ręce — zimna twoja stuła
A dziewczyna ma serce — a dziewczyna czuła —

. . . . . .

Dzwonią — dzwonią — dzwonią? Ktoś umarł z okolic
Kto umarł! Jakiś obcy, nieznajomy pyta.
Toć zobacz! — Patrz — dziewczyna kirem jest okryta,
A kir nie jest kamieniem — nie przyrosłym do lic,
Odkrywa, zakrzyknął — czegoż krzyczysz bracie
Czy tę biedną dziewczynę, czy Ludmiłę znacie?
Umarła gdy ślub brała
Nazbyt, nazbyt kochała!
A on ściska i płacze i tuli do łona?
Ale darmo, zapóźno — nie żyje już ona!

Rozmowa wojskowych i literatów przypomina zupełnie scenę w salonie warszawskim, z trzeciéj części Dziadów:

(Biesiada).

Dama *do sąsiadki.*

Jutro bal u księżnéj.

Młody człowiek *do sąsiada.*

Czy panu znajoma
Świeżo przyszła broszura francuska z Paryża?

Inna grupa.

On został, panie hrabio, kawalerem krzyża —

Młoda dama *do drugiéj.*

Co za czułe małżeństwo — obok męża żona.

Druga.

Widać, że im nieznany obyczaj, świat wielki,

Młody człowiek *do towarzysza.*

Nudy okropne, gdyby nie było butelki!

Inna grupa.

Ależ tak panie pośle — sprawiedliwość, prawo,
Jest najświętszą człowieka i ludów ustawą
Pereat mundus, fiat justitia divina!

Druga grupa.

Patrz, patrz, otóż znów swoje formułki zaczyna.

Poseł *na ucho drugiemu.*

Konstytucyi chcę uczyć dzieci przed pacierzem.

Drugi.

A jak królów nie będzie? —

Poseł.

Cicho tylko, cicho!
Przynajmniéj krząknij mocno, lub brząknij talerzem.

Inna grupa.

Cóż pan za książki czyta? —

Drugi.

Jak zwykle, Woltera;
To pisarz, to poeta!

Pierwszy.

Dowcip nie umiera.

Literaci starzy.

W tak młodym wieku jeszcze, a już z taką pychą,
Powstaje na prawidła nieśmiertelne sztuki,
Nam odmawia talentu, zdatności, nauki.
A jego czemże dzieła?

A daléj? Daléj Wacław zrażony, nieszczęśliwy, rozpaczający nad nieszczęściami własnemi i niedoszłym spiskiem, zjawia się w domu ojca na krótko, jak błyskawica — wyjeżdża? gdzie, dla czego — czy szukać bezpieczeństwa za granicą, czy uciekać od wspomnień, cierpień, może od zbrodni — nie mówi, ale nieszczęśliwy jest bardzo. A że są ludzie, którzy nie umieją być nieszczęśliwymi poprostu, cierpieć naturalnie, płakać w ukryciu, albo wewnątrz, w skrytości serca, ale nawet do cierpienia, nawet do nieszczęścia potrzebują sceneryi, dekoracyi, więc i Wacław żeby rozpaczać, nie może zostać w pokoju, ale musi pójść w ruiny starego zamku, i tam wśród

zwalisk, czarnych jodeł, chmur gnanych wiatrem, w złowrogiem oświeceniu księżyca, tam dopiero może mu przyjść natchnienie do cierpienia.

Opis tego zamku jest wcale ładny:

Po lewéj widać było w ruinach zamczysko.
Wspaniałe może kiedyś przed stu, dwustu laty.
Dziś jako szkielet pusty, sterczy tam na górze.
Znać jednak po wyniosłym i kamiennym murze
I po wale — po mostach — wpółzapadłéj wieży,
Że pan jego, że dziedzic był z owych rycerzy,
Którzy ufni w moc własną i warownię grodu
Z łaski tylko słuchali króla i narodu.
Dziś inaczéj — dziś jodła swojemi konary
Mur zdobyła, ramiona wychyla przez szpary;
Dziś, jakoby czas zmienił ród ludzki w rośliny,
Bluszcz skromny pnie się w górę między rozpadliny,
Dziś tylko strumyk mruczy pod ciężkim kamieniem,
Który z wieżycy spadły przydusza bieg źródła,
I tam gdzie ludzie grzmieli całem pokoleniem,
Szemrze strumyk — bluszcz rośnie — i chwieje się jodła!

W takiem więc otoczeniu puszcza Wacław wodze swojemu natchnieniu i rozpaczy, w monologu, który jest... słabą kopią improwizacyi Konrada. Jak Oda do Geniuszu, była odbiciem Ody do Młodości, tak to jest dalekiem echem Improwizacyi, tylko echem daleko wierniejszem, a daleko jeszcze słabszem.

Duch mój — czuję jak leci, jak się niebios czepi —
Widzę gwiazdy! — nie gwiazdy — to stworzenia głoski
Pierwsze które Bóg skreślił — czytam w nich jak w księdze!
Czytam! czuję! — kto mojéj zaprzeczy potędze?
Uciekajcie? — Napróżno — ja za wami pędzę
Na lżejszych myśli skrzydłach — chcę — zrobię was niczem
Chcę — ze wschodu w zachód wszystkie, woli mojej biczem
Jak drogą trzodę błędną, po mlecznym obszarze
Poprowadzę, i w wieczną przepaść was utopię! —
. . . . . .

Nie słuchacie? jam silny — jam w wieku młodzieniec —
W myśli jest dusza stwórcy! — Nie słuchacie pana?
Dobrze, a więc zginiecie — w kroplę mętnéj wody
Ścisnę was — albo skinę — i na rozkaz duchy,
Niższe duchy, jak wiatry ostrozębne z rana
Rozchwieją was na strzępki — na pierze — na puchy,
I bez śladu zginiecie! — Nie słuchacie jeszcze?
Wy więc duchy nadziemne sługi méj potęgi,
Posłuszne mi jak oku abecadło księgi,
Jak sercu czującemu są natchnienia wieszcze —
Was wzywam — tu stawajcie — ziemim, prawda, synem,
Ale wyższym od innych, bom wolnym człowiekiem.
Mnie piersi macierzyńskie nie karmiły mlekiem;
Męczarniami jam wyrósł — myślą — czuciem — czynem,
I tak jak cerber piekło, wrzaskiem trójpaszczęki
Obszczekiwał przed laty, stróżem będąc czujnym,
Tak ja was grzmiącą piersią, zaklęciem potrójnem
Wyzywam do stawania — znak daję méj ręki!

Kiedy Wacław „czyta w gwiazdach jak w stworzenia księdze“— kiedy je woli swojéj biczem obiecuje pędzić po firmamencie, kiedy mówi, że w myśli ma duszę stwórcy, i gwiazdom, chmurom, duchom piekielnym i nadziemskim słuchać się każe, a gdy nie chcą, wyzywa do walki, musi się czytelnikowi przypomnieć Konrad, jego uczucie własnéj wielkości, jego równanie się z Bogiem i bunt, a oprócz tego musi się przypomnieć i coś innego jeszcze, bajka Lafontaina o żabie i wole, albo polskie przysłowie o żabie i koniu, bo można pisać improwizacyę, ale pisząc ją, trzeba być albo Konradem, albo karykaturą, trzeciego nie ma nic; pomiędzy szczytnością a śmiesznością w tych rzeczach nie ma ani jednego kroku.

Czy na tem koniec? Wszakże brak jeszcze jednéj rzeczy tradycyjnéj, koniecznéj: miłości. Poemat bez miłości, bohater niezakochany, jakże to być może? Gdybyż nie był zakochanym, byłoby dla niego lepiéj. Bo Wacław się kocha, ale oczywiście jako organizacya wyjątkowa, jako poeta, jako geniusz, nie może kochać jak wszyscy ludzie: jego miłość musi być jakaś ponura, straszna, fatalna, „bez gwiazd, Boga, nieba....“

Gdyby tylko ponura, tajemnicza, lub wreszcie poprostu, po ludzku, występna, byłoby pół biedy — ale jest gorzej.

Jestto fenomen nie ogólny zapewne, ale doświadczeniem wiele razy stwierdzony, że poeci, którzy instynktem nie czują w sobie siły i możności do oddania uczuć ludzkich w ich przyrodzonéj prostocie i prawdzie, w ich przyrodzonéj piękności i poezyi, lubią wymyślać sytuacye niezwykłe, nienaturalne, owszem, naturze przeciwne; myślą, że brak prawdy i żywości uczucia wynagrodzi sowicie okropność, zdaje im się, że im wstrętniejsza sytuacya, tém dramatyczniejsza, tém większe będzie wrażenie i wzruszenie widza lub czytelnika, silą się więc na fatalizmy, dziedziczne przekleństwa, kazirodztwa, w miłem złudzeniu, że one zastąpią, ba przewyższą, prostą ludzką miłość Romea albo prostą ludzką zazdrość Othella. W epoce romantycznéj zaraza ta grasowała silnie między poetami, zwłaszcza odkąd Byronizm, padłszy na prozaiczny grunt trzeźwych umysłów francuskich, zrodził na nim przesadę zamiast poezyi, konwulsye zamiast patetyczności, jednem słowem teatr Wiktora Hugo. Kto wié, czy nie temu dobroczynnemu wpływowi romantyzmu francuskiego, rozwiniętego właśnie najbujniéj około roku 1830, przypisać trzeba i to, że nasz bohater Wacław kocha się w swojéj siostrze. Dlaczego Garczyński wybrał dla swego bohatera ten rodzaj miłości? Nie z logicznéj konieczności, nie żeby wymagała tego konsekwencya jego charakteru, bo taka anomalia nie może być nigdy istotną częścią żadnego charakteru, a dopieroż jeżeli charakter ten miał być typem, to właśnie należało nie dawać mu uczuć, które w ludzkości ogółem wziętéj, są zawsze wyjątkiem, anomalią. Nie w psychologicznych więc powodach szukać trzeba tłumaczenia tego pomysłu, ma on swój powód inny, przykład Manfreda, a cała mniemana okropność i tragiczność téj sytuacyi, jest tylko naśladowaniem nieusprawiedliwionem ani potrzebą ani pięknością, tylko „libidine“ naśladowania.

Pomysł nieszczęśliwy, a wykonanie uratować go nie zdołało. W chwili kiedy Wacław na ruinach zamku deklamuje swoją improwizacyę, odzywa się gdzieś pod murem śpiew, i ukazuje się Helena (w bieli oczywiście, jak on w czerni, z arfą w ręku). Czego tam chce — poco przyszła? Chce powiedzieć Wacławowi, że jest nieszczęśliwa, że on jéj unika,

kiedy dawniéj szukał u niéj pociechy.... może niewinna dziewczyna nie domyśla się dlaczego on jéj unika, nie wié jaka jest natura jego uczuć? Gdzietam, wié doskonale. I kiedy Wacław próbuje przeczyć, tłumaczyć inaczéj słowa które kiedyś do niéj mówił, ona dowodzi, że je zrozumiała dobrze, przypomina mu:

„Czyś mi sam lilii nie dawał w przykładzie,
Która kochanków ma w jednéj łodydze....

i dodaje:

Miłość, czy przyjaźń — cóż mi słowo znaczy,
Miłość, czy przyjaźń, jam ciebie kochała....

W rozmowie téj, wstrętnéj w najwyższym stopniu, Wacław ma jeszcze rolę piękniejszą, ale otwartość Heleny wygląda na zupełny brak zmysłu moralnego. Kiedy Wacław pyta, coby powiedzieli ludzie, gdyby ich tak razem spotkali, boi się niepotrzebnie: ludzie w przecięciu lepsi są od nich, i pomyśleliby tylko, że oboje muszą być romansowi, kiedy po nocach błądzą po ruinach. Ale my, którzy znamy ich rozmowę, to co innego; my mamy prawo pomyśleć, że ta Helena jest oburzająca.

A przecież Garczyński chciał, żeby była istotą szlachetną i piękną.

Wacław jest stały. Konieczność, wyższe cele, służba ojczyzny, każą mu jechać w świat; poemat urywa się na téj scenie.

Ale się nie kończy. Miała być część trzecia, a w niéj konkluzya, esencya całéj Garczyńskiego filozofii, którą podług świadectwa Mickiewicza było „rozwiązać zagadkę, któréj nikt nie rozwiązał: zagadką tą było pogodzić entuzyazm z rozumem; ten entuzyazm co tworzy nadzieje, co goni za przyszłością, z tym rozumem, co wiecznie te nadzieje rozstrąca, co wszystko krępuje w obecność; „którego źrenica, kiedy zwróci się na ognisko uczuć, żeby je zbadać, zciemnia się i łzą zabiega, jako oko patrzące na słońce“.

Może gdybyśmy mieli tę część trzecią, sąd wypadłby inaczéj, ale z dwóch istniejących, wnosić można, że téj zagadki autor Wacława nie byłby rozwiązał, że ona na tym przykładzie rozwiązaną być nie mogła. W pierwszéj części kieruje się Wacław niby rozumem samym, i błądzi; autor mu słuszności nie przyznaje. W drugiéj wierzy w sam tylko zapał; czy autor wié że ten zapał jest chorobliwy i mylny? nic tego nie wskazuje. Ale przypuściwszy i to, i to jeszcze, że w trzeciéj części dopiero Wacław miał znaleźć się wprawdzie, to i w takim razie jego historya nie byłaby rozwiązała problemu. Bo w pierwszéj części, Wacław nie jest tym umysłem filozoficznym, badawczym, którym go Garczyński mieć chciał: rozum jest tylko pokostem na naturze nie poetycznéj nawet, ale sentymentalnéj, romansowéj, rozmarzonéj, jest jej nerwowem zachceniem, a nie jéj gruntem, treścią i prawdą. W części drugiéj zapał Wacława, z wiedzą autora lub bez niéj, jest znowu tylko aspiracyą, zachceniem; gdyby innego dowodu niebyło, wystarczyłoby to, że Wacław marząc na ruinach zamku w poetycznem uniesieniu woła broni, chce rzucać się na wroga, którego tam nie ma:

Widzę krew! głowy lecą ludzi stu tysięcy —
To bracia moi! — gdzie kat? — pomszczę się krzywd braci
Broni! broni! chcę — muszę — ręka moja dzielna. —
Dusza wolna — olbrzymia — wielka — nieśmiertelna —
Gdzie oni? — gdzie ludzkości krwią spryskani kaci? —
Co za orszak żałobny kurzem z ziemi krwawéj....

a po chwili robi mu się tak lekko i miło na sercu, że „usypia jak piosnka,“ to nie zapał, to tylko nerwy.

Otóż, z urojonego rozumu i umówionego zapału, pogodzenie ich prawdziwe wyniknąć nie mogło; co najwięcéj, mogło wyjść to, którem jedno z drugiem godzi Wacław kiedy ucieka z Warszawy przed aresztowaniem.

Ale jest w tem jedna strona ukryta, i niepokojąca: to te pomyłki naszych poetów, którzy biorą istoty mdłe i słabe, złożone z fantazyi i z nerwów, za potężne i dzielne, aspirantów bohaterstwa za bohaterów, zachcenie i udanie za prawdę. Pomyłka to charakterystyczna. Powiedziano o nas, że pomimo

całéj naszéj klasycznéj otwartości i szczerości, mamy w sobie wiele fałszu, nie żebyśmy byli zdradliwi i podstępni z drugimi, ale że jesteśmy nierzetelni z sobą, że fałszujemy swoje uczucia, siebie samych, sobie i drugim przedstawiamy inaczéj jak jesteśmy. Może tak nie jest, daj Boże żeby nie było, ale jak w naszéj historyi, tak w naszéj literaturze, są rzeczy które to spostrzeżenie stwierdzają, a fakt, że równocześnie dwóch poetów mogło stworzyć dwóch bohaterów udających i udanych (Kordyana i Wacława), dwa studia patologiczne, według mądrego określenia pana Małeckiego, w przekonaniu, że to bohaterowie prawdziwi; fakt, żeśmy ich wszyscy dobrodusznie za takich przyjęli, że sam Mickiewicz dał się złudzić, mógłby służyć nie za dowód może, ale za znaczącą wskazówkę, że zmysł prawdy, zdolność poznania i wykrycia jéj, przyzwyczajenie i przywiązanie do niéj, bardzo się w nas przytępiły.

Jeszcze raz, daj Boże żeby tak niebyło.

O wartości estetycznéj Wacława i zdolności poetycznéj jego autora, wiele powiedzieć niemożna; kilka ładnych ustępów, jedna scena, ktora od biedy uchodzić może za ładną w całości, a obok tego całe ustępy ciężko prozaiczne, budowa poematu niewyraźna i niezgrabna, charaktery pomyślane może dobrze, ale wykonane inaczéj niż były pomyślane, z sobą niezgodne, wiele naśladowania wreszcie, nietylko w rzeczach dodatkowych ale i w postaciach (bo Wacław jest zlepiony z Fausta, Manfreda i Konrada), nawet wiersz często niezgrabny, wszystko to wystarczy do przekonania, że Garczyński nie był wielkim poetą. Czy był tym wielkim filozofem, za którego go Mickiewicz uznaje? Człowiekiem myślącym, niezawodnie, ale ta filozofia (o ile się z istniejących dwóch części Wacława da wyciągnąć), filozofia serca w przeciwieństwie do rozumu, jest tak fałszywa w odniesieniu do jednostki ludzkiéj i do polityki, jak teorya, podług któréj „jedynie ludzie namaszczeni szczególnem posłannictwem, mogą pracować dla wielkiéj sprawy,“ fałszywą jest w odniesieniu do polityki i historyi. Nie jest więc Wacław, ani tak natchnionym i pięknym, ani tak głębokim i mądrym, jak twierdzi Mickiewicz — a czy jest tak bardzo polskim, jak on mówi? Gdyby nim był, to zapewne byłby nam więcéj znanym, nie tak obojętnym, jak jest. Uczucie

powszechne w takich razach niezwykło się mylić, a dotąd jakoś nikomu jeszcze nie zdarzyło się pomiędzy Tadeuszem, Psalmami Przyszłości, Beniowskim, wymienić Wacława.

Kilkanaście drobnych wierszyków, stanowią obok Wacława całą poetyczną spuściznę po Garczyńskim. Wierszyki te, o poecie nie dają wyobrażenia lepszego, jak jego wielki poemat, ale mają jedną stronę zajmującą. Tytuł, pod którym zostały wydane, „*Wspomnienia z wojny Narodowéj*,“ tłumaczy dobrze ten rodzaj zajęcia. Oto młody żołnierz-poeta musiał mieć nieodstępny w swojéj ładownicy papier i ołówek, i w chwilach wytchnienienia notował swoje wrażenia, pisał wiersze, które są odbiciem niezawsze pięknem, ale zawsze wiernem tych uczuć, tych nadziei, tych złudzeń niestety, a wreszcie i tych rozpaczy, przez jakie przeszedł naród i jego wojsko, od 29go Listopada do 7go Września. Wszystko tu jest, i pierwszy zapał, i radość i duma z pięknych czynów wojennych, i ślad wewnętrznych niesnasek, nieufności i niechęci pomiędzy klubami a Rządem Narodowym i Sejmem; jest i nadzieja obcéj pomocy, i to uczucie, tak słuszne, że sprawa Polski jest sprawą pokoju i wolności Europy całéj, jest oburzenie, rozpacz, przekleństwo gdy ta pomoc nie przychodzi, a wreszcie kiedy już wszystko stracone, jeszcze przez cały ten smutek przebija nadzieja, że nie na zawsze.

„*Zapaleniec młody*“ który ten zbiór otwiera, to jak żeby echo tego, co się mawiało u Honoratki. Wielka ironia i pogarda dla „ludzi zgody,“ a wielka wiara w „prawdę, ducha i siłę młodzika,“ choć obraz jego prozaiczny bardzo, dowodzi, że wyobraźnia poety na nieszczęście do zapaleńców nie należała.

Uciekajcie ludzie zgody,
Bo to zapaleniec młody.
Każda, choć najdrobniejsza o kraju przemowa
W oczach żar mu obudza i lica płomieni,
Tworzy wnioski z słów błahych, ciało tworzy z cieni;
Przewrotna — zawichrzona — bezzasadna głowa —
Niezgodny, niespokojny, gardzi nędzną radą.

U niego czyny wszystkiem, i nie patrząc końca
Co tylko u nas widzi, chrzci, nazywa zdradą.

To jak żeby początek, jak przegrywka do wybuchu. Następuje wiersz „*Na dzień detronizacyi*,“ w którem autor woła w uniesieniu, że:

od wieków tysiąca
Dzieje podobną nie zabłysły kartą,

i cieszy się:

Że słowem jednem, jak kiedyś prorocy
Ze szponów orła i cara północy
Wybili berło wolności narodu. —

Wiersz bolesny, nie przez swoje złudzenie tylko, ale i przez to dobrowolne łudzenie siebie samych, które wnich być musiało, kiedy po uchwale sejmowéj, która zwycięztwem przecież nie była, mówili słowa, jakie tylko po ostatecznem zwycięztwie mówić byłoby przystało. Podobne złudzenie, podobny tryumf w wierszu „*Na dzień pospolitego ruszenia*“ i ten napisany w takiem uczuciu, jak żeby zamiar był już dokonanym czynem!

Daléj, wspomnienia kilka bitew: Stoczka, Wawru, wyprawy na Litwę, wiersz jeden większy poświęcony bitwie Grochowskiéj, naśladowanie, a słabe, Reduty Ordona, a potem, kiedy coraz gorzéj, kiedy wyprawa litewska spełzła na niczem, Paszkiewicz zbliża się ku Warszawie, a w Europie nikt nie rozumié co to będą z tego za skutki, młody poeta odzywa się głosem Kassandry „do Ludów:“

Patrzcie, o patrzcie, jako bez miary
Krew nasza płynie strumieniem;
Już pokolenie za pokoleniem
Ginie jak w ogniu ofiary,
A wy placzecie! — marne płakanie,
Gdy działać trzeba z zapałem,
Upadniem — wieczność naszym udziałem
Ale cóż z wami się stanie?

Jak krwią twarz zbawcy, na chuście świętéj
W wieczne się czasy odbiła,
Tak i wam, ludy, cud niepojęty,
Tajemna krwi naszéj siła,
W pamięci nasze męczeńskie życie
Obraz mąk naszych wytłoczy;
Każda myśl wasza mieć będzie oczy,
I każdą na nas spojrzycie!
Zabitych matek tysiące, matka,
Brat, tysiąc braci przypomni,
A wasze dzieci, wnuki, potomni,
I aż do wieków ostatka,
Jak my za wolność giniemy razem,
W jarzmie upadną pod mieczem,
I umrą dla was z klątwy wyrazem,
Bo my wam dzisiaj złorzeczem!
Patrzcie, duch reszty wolnych rycerzy
W siódméj się pracy wysila;
Siódmy już miesiąc prac u połowy
Lecz słyszcie, ósmy nie minie,
Świat wielki, wolność, wszystko zaginie
Jak płomyk lampy grobowéj!
Jeden-li tylko na martwym tłumie,
Na trupach licznéj czeladzi
Tron swój żelazny, ciężki osadzi,
Tron wyniosłości i dumie.
Ztamtąd — o zgrozo — resztki narodu,
Szkielety w człeka postaci
Zarządzać będzie, aż w więzach z głodu
I mordów, reszty nie straci!
To wasza przyszłość! — płaczcież więc ludy
Nie nas, lecz własnéj kolei.

A gdy się już wszystko skończyło, tensam poeta ogląda się smutno za siebie i pyta „wchodząc do Prus:“

Gdzie wojsko nasze bitne! gdzie Wawru rycerze!
Gdzie Grochowa zwycięzcy, Warszawy obrońce?
Ich sława w burzy tonie jak skrwawione słońce
Zaszło — na tamtym świecie miejsce swe zabierze!

Szczęśliwy kto schronienie już wynalazł sobie,
Jak pielgrzym, co przed burzą w ciemną grotę bieży;
Tak on wszedł w grób przed hańbą! Ojczystych pacierzy
Uczyć będą ojcowie synów na twym grobie!
Nam inaczéj! — zwycięzcy stoim zwyciężeni,
Napróżno piersią pełną wzmaga się głos wojny,
Żołnierz na kij żebraka broń swoją zamieni,
I prosząc chleba rycerz — pójdzie w świat spokojny.
Tylko jeszcze ostatni raz paść na kolana,
Raz ostatni ucałuj prochy matki twojéj,
I teraz w pochód — patrzaj! — graniczny słup stoi!
Tyle ofiar — krwi tyle! napróżno przelana!
Rozłam broń — rzuć daleko — wbij nogą proch w ziemię,
Gdzie nas wiodą, tam zbrodnia pokazać się z bronią;
Kusiło się napróżno krocie wrogów o nią,
Dzisiaj — może na wieki — już senna zadrzemie!

Ale kiedy po krótkim czasie odetchnął nieco z rozpaczy, znajduje on to uczucie, z którem emigracya wyszła i którem tak długo żyła, i w pierwszą rocznicę 29 listopada tak wróży:

Bracia moi — nadzieja! — jeźli głosy wieszcze
Nie uwodzą, czas przyjdzie *Zmartwychstania* jeszcze,
Przyjdzie czas *Wniebowzięcia* — laur z krzyża wyrośnie,
Tułacze znów się zbiegną na *Pańską wieczerzę;*
Jak kiedyś apostoły Chrystusa radośnie,
My Polskę powitamy! i Polak zabierze
Miejsce między ludami, i na siłach dzielny
Jak dwa razy zrodzony — będzie nieśmiertelny!

Niektóre z tych wierszy mają istotnie wiele rzewnego uczucia, jak to pożegnanie przyjaciela (Stanisława Grabowskiego poległego pod Wilnem):

Kiedym cię raz ostatni żegnał przy rozstaniu,
Do zobaczenia! Wyrzekliśmy razem,
Dziś, znowu smutny tymsamym wyrazem,
Tylko na dłużéj — dłużej żegnam ciebie,

Do zobaczenia — kiedyś w zmartwychwstaniu
W wieczności — przy Bogu — w niebie!
Do zobaczenia! z czasem i ja płynę,
Będziemy razem po chwili;
Może zabiją, jak ciebie zabili,
Twoim przykładem niech ginę;
Twoją modlitwą urosną zdarzenia,
Mój Stasiu! do zobaczenia.

Trzynaście sonetów zamyka ten zbiór „wspomnień wojennych“. Sonety te wyrobione widocznie na wzór krymskich, opisowe, za śmiałym przykładem Mickiewicza, który pierwszy formy Sonetu użył do obrazów, i tem podobno odgadł właściwe jego przeznaczenie. Naśladowanie jest wcale szczęśliwe, a Sonety Garczyńskiego istotnie tak obrazowe, że niektóre z nich należą niezaprzeczenie do najpiękniejszych rzeczy jakie napisał, naprzykład ten: „*Posterunek na stracenie.*“

„Wy idźcie! — ja z wyborem zostanę młodzieży,
Duszą naszą i ciałem będziecie nakryci,
Na znak ogień rozłożem i zapalim wici,
Teraz idźcie, niech bęben do marszu uderzy.
Jeśli jutro z nas który do was nie przybieży,
Dajcie na mszę, niech kapłan ołtarze wyświci,
I za tych modły wzniesie, co w polu zabici!“
Zamilkł — poszli — i ogień błysnął jaśniéj — szerzéj.
Długo błyskał — żołnierze maszerują drogą —
Znikł — łunę tylko widać w chmurze malowaną
Może i oni w niebo przyjęci zostaną!
Świta — jeżeli żyją — wnet powrócić mogą —
Przeszedł dzień — przeszło jutro — nowe błysło rano!
Na mszę dajcie! — Zabici — niewidać nikogo!

Przecież, czy te wiersze drobne, z których najpiękniejsze wyjątki tu przytoczono, choć może piękniejsze od Wacława, dają swemu autorowi prawo liczyć się do wielkich poetów?

A więc dlaczegóż Mickiewicz stawia go na szczycie naszéj poezyi. Jak wytłumaczyć pomyłkę tak grubą człowieka,

który był nietylko genialnym, ale zazwyczaj bardzo trzeźwym w swoich sądach? Kiedy miewał swoje Kursa Literatury Słowiańskiéj, już wtedy była na świecie Nieboska Komedya i Irydion, Kordyan, Anhelli, Szwajcarya, Ojciec Zadżumionych, Beniowski, a jemu najpiękniejszym, najgłębszym, najbardziéj polskim z poematów, o których mówił — (nie mówił o swoich) wydaje się Wacław, Garczyński największym z polskich poetów? Zagadka to, która musiała uderzyć każdego, kto się nad „kursami“ zastanawiał.

Czy samo złudzenie przyjaźni tłumaczy ją dostatecznie? Że Mickiewicz miał serce gorące, dla uczuć przyjaźni otwarte, że przyjaźń lub niechęć dla autorów mogła bezwiednie na sąd jego wpływać, na to są dowody, a przynajmniéj wskazówki: w jego zdaniu o poezyach B. Zaleskiego jest nieco złudzenia i przesady, a milczenie o Słowackim, może także nie jest zupełnie bezstronnem. Jednak dysproporcya tak wielka pomiędzy jego sądem a wartością sądzonego dzieła, trafiła się ten jeden raz przy Wacławie. Czy dla tego, że pomiędzy jego przyjaciółmi ten był najmilszym, ukochanym nad wszystkich, wybranym? Nie było to zapewne bez wpływu. W przyjaźni Mickiewicza dla Garczyńskiego była jakaś dziwna i dziwnie ujmująca czułość, coś opiekuńczego, troskliwego i serdecznego, jak w uczuciu ojca lub starszego brata dla młodzieńca, którego się kocha, z którego się jest dumnym, dla którego się marzy jakąś wielką przyszłość, a któryby przytem potrzebował opieki i podpory. Więcéj nawet, bo jak się pokazuje z listów, miał Mickiewicz w swoim stosunku z Garczyńskim jakąś staranność czułą, jakąś wyrozumiałość delikatną, jaką w sercach męskich, twardszych z natury, rzadko można spotkać. Jak pięknie wygląda ten Mickiewicz, wielki Mickiewicz, autor Wallenroda i Dziadów, kiedy do Garczyńskiego pisze jak równy do równego, kiedy mu mówi, „że nie znał nigdy uczucia zazdrości, ale Wacława zazdrościłby, gdyby kto inny był jego autorem“ — albo, kiedy pisze, że w jego głowie myśli lepiéj się wyrobiły, ale przez głowę Garczyńskiego przeszło ich więcéj. Jak ostrożnie, jak delikatnie robi mu uwagi i nasuwa poprawki: może byłoby lepiéj odmienić ten lub ów wiersz, pozwoliłbym sobie przestawić wyrazy albo użyć innych, na-

myśla się długo, nie śmie, boi się popsuć, dopiero po naradzie, zachęcony przez Witwickiego odważa się na zmianę, a potem wiersz ten cytuje jako najbardziéj znaczący w całym Wacławie, i jest przekonany, że to wiersz Garczyńskiego.

Potem, kiedy Wacław poszedł do druku, a Garczyński chory, rozdrażniony, nerwowy, niecierpliwiwi się na każdą zwłokę i niepokoi o pomyłki drukarskie, Mickiewicz, sam niezbyt cierpliwy podobno i niezbyt do mechanicznych zajęć skłonny, porzuca wszystko i sam dogląda wydania. Zaczęty Tadeusz idzie na bok, musi czekać, bo pierwsza i ważniejsza jest korrekta Wacława. W takiem poświęceniu nie ma heroizmu zapewne, ale jest jakaś delikatna, prawie kobieca czułość, jest dobroć matki, siostry, albo siostry miłosierdzia, rzadka a dziwnie piękna w połączeniu z taką potęgą i wielkością. Że żaden może z przyjaciół nie był mu tak sympatycznym i drogim, jak „kochany Stefek“ to zdaje się być pewnem; a sympatya ta łatwa jest do pojęcia. Naprzód, Garczyński miał być człowiekiem nietylko bardzo szlachetnéj natury, ale i wielkiego wdzięku; współcześni świadczą, że na wszystkich znajomych wywierał dziwnie pociągające wrażenie; był w nim jakiś urok, jakiś dar przyciągania i przywiązywania ludzi. Dla Mickiewicza nadto mógł mieć ten jeszcze urok, że zrobił to, czego on nie był zrobił, a że nie zrobił, skrycie żałował. Wacława on mu nie zazdrościł, to mała przesada epistolarnego stylu, ale tego zazdrościć mu musiał, że w roku 1831 poszedł na wojnę i bił się świetnie, z odznaczeniem, że kiedy jeden wybierał i zbierał się długo, aż było po czasie, drugi choć chory na piersi, poszedł.... Mickiewicz, który w skrytości serca gryzł się sam, że nie wziął za broń, mógł sobie mówić, że oba to samo kochali, ale jeden tylko narażał życie dla swojéj miłości, że było więcéj prawdy i siły w téj miłości, więcéj u niego jedności i zgody pomiędzy uczuciem a uczynkiem, i mógł go poniekąd w téj jednéj rzeczy sądzić wyższym od siebie. Ta cześć dla postępku Garczyńskiego, pod wpływem przyjaźni, mogła się rozciągnąć i na jego talent i zrodzić w umyśle Mickiewicza złudzenie, przez które Garczyński, i jako poeta, wydał mu się większym niż był. Dodajmy do tego, że ten przyjaciel, którego bardzo ko-

chał, umarł w 27 roku życia, a w śmierci tak wczesnéj jest coś tak przeciwnego i nienaturalnego, że człowiek schodzący młodo ze świata, i dla obojętnych nawet staje się zajmującym, dodajmy, że Garczyński do niego nawzajem przywiązany był serdecznie, i to wreszcie, że człowiek często przywiązuje się do drugiego tem mocniéj, im więcéj mu jest potrzebnym, im więcéj dla niego robi, i to, że Mickiewicz był poetą, a nie będziemy się dziwić, że pamięć Garczyńskiego otoczona była dla niego taką aureolą tęsknoty i wdzięku, iż sama jego postać mogła w tem świetle przybrać odmienne od rzeczywistości rozmiary.

Ale to tłumaczyłoby pewien stopień pobłażliwości, złudzenia, przesady, przecież nie taki. Musiało w tym Wacławie być coś zgodnego z wewnętrznem usposobieniem Mickiewicza, jakiś ukryty, a silny między nimi węzeł, kiedy go Wacław tak oczarował i podbił.

Takich tajemniczych węzłów, możnaby domyślać się dwóch.

Przypomnijmy sobie stan, w jakim był Mickiewicz za swego pobytu w Petersburgu, a zwłaszcza późniéj, po roku 1831. Gustaw już dawno był umarł, na świecie został tylko Konrad, pytający Boga i ludzi, co zrobili z jego ojczyzną, patrzący tylko, w któréj stronie nieba ukaże się sprawiedliwość i jak zstąpi na ziemię. Dawne spory i kwestye estetyczne, literackie, dawne tryumfy poety, znikły z jego umysłu, jak zeszłoroczny śnieg: o walce, o klassykach i romantykach tak zapomniał, jak Herkules dorosły zapomniał o wężu, którego zdusił „dzieckiem w kolebce“, kiedy przed sobą widział lwy i centaury. „To tylko dzieło coś warte, pisze on w tych czasach,“ które człowieka do Boga „zwraca i prawdziwéj mądrości nauczyć go może“ — z niechęcią téż, z pogardą patrzy na swoją dawną poezyę, a myśli o tem tylko, żeby wykraść Bogu i ludziom podać tajemnicę dziejów i przyszłości świata. W „Dziadach“ ma jakoby mistyczne jéj objawienie, w „Księgach Pielgrzymstwa“ chce uczyć, jak znaleźć owo upragnione królestwo Boże na ziemi.

A kiedy on tak daleko zaszedł, poezya polska została na miejscu, została tam, gdzie była podczas walki romanty-

ków z klasykami. Wódz odszedł, armia rozłożyła się wygodnie na placu boju i żyła daléj temi samemi literackiemi i artystycznemi zajęciami. Jego dawno zaczęty przekład Giaura mierzi i nudzi, jak rzecz błaha i bez celu; jego podkomendni czytają, przekładają, wielbią Byrona, myślą o nim, jak żeby warto było w takich czasach myśleć o takich rzeczach: inni szczęśliwi, że za młodu usłyszeli dogmat o odrodzeniu poezyi artystycznéj przez poezyą ludu, przez rodzime uczucia, wyobrażenia lub postacie, silą się na coraz nowsze poemata o tych samych Kozakach; ballady, romanse, dramata fantastyczne, powieść poetyczną, poezya gminna, Byron, Schlegel, wszystko to jego korci, wszystko to wydaje mu się mdłem i marnem, a jak na złość cała poezya polska, prócz niego, w tem grzęźnie i tem się tylko zajmuje.

Naraz wpada mu w ręce poemat, o formie błędnéj i niewyrobionéj, ale poemat, który śmiało stawiał wielkie zagadnienia, który mówił, że rozum człowieka i świat rozkłada tylko, zapał sam i exaltacya złożyć go w całość nie zdołają, i który chciał szukać pogodzenia tego obojga — który mówił, że wielkość ludzi i ich dzieł płynie nie z rozumu ale z natchnienia; że nie filozoficzne spekulacye rozumu, ale miłość ludzi i ojczyzny i poświęcenie za nich są prawdą i celem życia, jak wolność i życie narodów jest prawem i celem historyi. Gdyby ten poemat był pisany przez człowieka obcego i obojętnego, i w innych czasach, Mickiewicz byłby dostrzegł łatwo, że wprawdzie chciał wielkich kwestyi dotykać, ale dotykał powierzchownie, że autor sam sobie ich nie był rozwiązał, kiedy chciał rozwięzywać je dla drugich, że poemat był mozaiką złożoną z kamyczków odpadłych od Fausta, od Manfreda, i od Trzeciéj Części Dziadów.

Ale Wacław wyszedł z głowy ukochanéj wybranego przyjaciela, i wyszedł w chwili, kiedy on takiego zwrotu w poezyi najbardziéj pragnął, kiedy sam dał do niego hasło. Pochwycił go więc skwapliwie, rad temu, co w nim zastał, mniéj dbał o to, czego w nim nie było. Niedoskonałości artystycze były może właśnie wdziękiem i zaletą Wacława w jego oczach, odwracających się ze wstrętem od literackich kwestyj, zajęć i prawideł. Że zaś Wacław więcéj zamierzył,

jak dotrzymał, że nie artystycznie tylko, ale filozoficznie i psychologicznie był niewyrobiony, sam z sobą sprzeczny, poetycznie często niedołężny, na to on znalazł radę, on na wszystkie kwestye w Wacławie postawione odpowiadał sobie sam; on go uzupełniał, budował na podstawie danéj przez Garczyńskiego, malował podług jego konturów, i w ten sposób wykończony, ten Wacław był zapewne głębokim i wielkim, tylko ten pozostał w jego myśli; a do nas dostał się tylko niedokształcony płód Garczyńskiego, i komentarz Mickiewicza, zastósowany i stosujący się raczéj do Wacława, jak on go sobie wyobrażał, może jak go Garczyński pomyślał, aniżeli do tego, którego napisał.

A nietylko dlatego, że był poematem filozoficznym i patryotycznym, trafił Wacław do serca Mickiewicza i zmylił jego sąd, ale dlatego zwłaszcza, że cała jego filozofia, całe pojęcie człowieka i historyi, jakie jest w Wacławie, odpowiadały zupełnie pojęciom Mickiewicza, tak dalece, że nieraz zapytać się trzeba, czy Garczyński znalazł je sam, czy też nie jest Wacław przypadkiem zbiorem i wcieleniem tych myśli, które w nim Mickiewicz obudził. Od młodości, od chwili, kiedy pisał pamiętne swoje słowo „rozumni szałem“ przez pierwsze porewolucyjne czasy, kiedy z taką pogardą pisał „o ludziach rozumnych“, a z taką wiarą „o ludziach szalonych“, kiedy w Księgach Pielgrzymstwa tak dumnie urąga ludzkim staraniom i działaniom, a odrodzenie ojczyzny czyni zależnem od skupienia uczucia, od cudotworczéj siły intuicyi i natchnienia, aż do ostatniego kursu literatury, w którym te pojęcia rozwija niby systematycznie, aż wreszcie do swojéj włoskiéj wyprawy, która miała być tych teoryj urzeczywistnieniem i zwycięztwem, nosił Mickiewicz w duszy wiarę w egzaltacyę, w intuicyę, w natchnienie; pogarda, jaką miał dla polityki naszego wieku, nienawiść, jaką powziął dla tego co nazywał kościołem officyalnym, pochodziły w wielkiéj części ztąd, że polityka i kościół nie działały tym środkiem, nie umiały sprawić cudu. W latach, kiedy zawiązał przyjaźń z Garczyńskim, w latach Dziadów i Ksiąg Pielgrzymstwa, ten kierunek jego myśli przez długie lata uśpiony lub nierozwinięty, obudził się i wyrobił już prawie w system. Więc kiedy znalazł w Wa-

cławie rozbrat z książkami, które niewiedziały gdzie jest Bóg, z rozumem, który tylko świat na części rozkładał, a ziębił zapał, walczył z egzaltacyą, wstrzymywał czyn, przez który zapał i wiara miały niby zbawić Polskę, znalazł w nim myśl swoją własną, tę, która w nim górowała nad wszystkiemi, którą miał za najistotniejszą prawdę i za kardynalne prawo ludzkiéj natury i historyi. Wacław wydał mu się wielkim i prawdziwym, bo mówił to, co on sam miał za mądrość i prawdę; późniéj, kiedy zbudował całe rusztowanie pojęć z temi pokrewnych i wziął je za jakąś rzeczywistą, nową, i najwyższą filozofię, którą nazywa polską, słowiańską, widząc w Wacławie istotę tych samych pojęć, wziął go za intuicyjne przeczucie, za pierwszy wyraz téj filozofii, i uznał najgłębszym z poematów polskich.

Zgodność pomiędzy Wacławem a późniejszemi wyobrażeniami Mickiewicza nie kończy się na tym punkcie głównym i podstawnym, ale utrzymuje się w dalszych wnioskach, w zastósowaniach. Teorya o działaniu przez wyższe natchnienie, przez intuicyę, doprowadziła Mickiewicza logicznie do wiary w szczególne misye wielkich ludzi. Oczywiście, ten stopień potęgi może być dany tylko wyjątkom. Ztąd to uwielbienie Napoleona, ta wiara w ludzi opatrzności i przeznaczenia, którzy sami za całą ludzkość działają, ztąd daléj, już w epoce Towianizmu, wiara w bezpośredni stosunek ludzi takich z Bogiem, ztąd wreszcie wiara w szereg coraz nowych objawień, coraz nowych wcieleń „Słowa“ w takich ludzi. A Garczyński? Ten wiersz, tyle przez Mickiewicza sławiony, przez niego samego poprawiony:

Tylko ten wielki....
Który śród głosów mylnych, wśród wrzasków tysiąca
Uchem duszy rozpozna przeznaczeń kół grzmienie
Wskoczy w rydwan wyroków i zajmie siedzenie
I po czasie przejedzie jako przeznaczenie...

czy to nie jest stwierdzeniem doktryny Mickiewicza o ludziach, którzy są „Słowami Epok“? On sam określa filozofię Garczyńskiego, jako przeciwniczkę „materyalizmu i sił ziemskich“

zadaniem jéj miało być „pogodzenie entuzyazmu z rozumem „przez rozwinięcie wielkiéj narodowości, bo narodowość jest „czemś rzeczywistem, materyalnem, bytem swoim odpowiada „nawet wymaganiom filozofii, a nie może żyć i działać bez „entuzyazmu.“ Jako jeden z aksiomatów Garczyńskiego przytacza Mickiewicz „że jedynie ludzie naznaczeni szczególnem „posłannictwem, mogą pracować dla wielkiéj sprawy,“ wreszcie dodaje, że Garczyński jako poeta „czuł się powołanym do „spełnienia misyi otrzymanéj z nieba, nie pisał jako artysta, „jako literat, ale jako człowiek rozpoczynający walkę.“ Wszystkie te pojęcia i przekonania, dałyby się wydobyć jako pojęcia i przekonania Mickiewicza z tychsamych Kursów, w których mówi o Wacławie. Tego on żąda od poezyi wogólności, a wszczególności od polskiéj, tak rozumie jéj zadanie, tak patrzy na historyę, tak wreszcie pojmuje człowieka, jego przeznaczenie i jego związek z Bogiem. Nie tu czas i miejsce wchodzić w rozbiór tych wyobrażeń i pytać, czy i w czem one są błędne, tu chodzi tylko o zgodność, o tożsamość wyobrażeń Garczyńskiego z wyobrażeniami Mickiewicza. I ona to zapewne wpłynęła stanowczo i na jego sąd. Zważać nawet warto, że kiedy Wacław wyszedł, Mickiewicz mówi o nim w swoich listach z pochwałami wielkiemi, ale tak wielkiéj wagi do niego nie przywięzuje, jak późniéj w Kursach. Dopiero kiedy to wszystko w nim samym rozwinęło się już zupełnie i ułożyło w system, wtedy dopiero tak wielkim wydał mu się poemat, w którym widział tych wszystkich prawd jakoby przeczucie.

Wszystko inne, przyjaźń jego z Garczyńskim, to że Wacław jest w gruncie naśladowaniem Dziadów i w głównéj myśli i w wielu szczegółach, to są rzeczy, które na sąd Mickiewicza wpływać mogły, z wiedzą jego lub bez niéj, ale ubocznie tylko, pomocniczo. Powodem stanowczym jego zdania o Wacławie było to, że ten Wacław był napisany w duchu i kierunku jego własnych myśli, że znajdował w nim rzeczy, które miał za fundamentalne prawdy i prawa świata.

A przecież, mimo to, zrozumieć trudno, jak mógł pomylić się tak grubo, powiedzieć, że najgłębszym, najobfitszym w myśli i prawdy najbardziéj filozoficznym poematem polskim

jest Wacław, kiedy był już Irydion i Nieboska Komedya, kiedy, bo tych nawet nie trzeba, Anhelli, Kordyan, nie mówiąc o piękności poetycznéj, ale myśli filozoficznéj, mają pewnie nie mniéj, jeżeli nie więcéj jak Wacław.

Ten może być zajmującym, jako pomnik swojego czasu, jako odbicie dość wierne ówczesnego kierunku umysłowego, literackiego i politycznego. Jako człowiek myślący, jest Wacław filozofem, w swojem działaniu patryotycznem jest konspiratorem, wreszcie jest jednym z tych bohaterów tajemniczych i rozpaczających, jednym z pogrobowych synów Byrona. Wszystkie te jego cechy znajdują się we współczesnéj Polsce i we współczesnéj Europie: epoka Wacława jest epoką panowania Hegla i największego jego wpływu, jest epoką tajnych towarzystw i spisków, wreszcie jest epoką romantyzmu, byronizmu już wyrodzonego i przechodzącego w karykaturę. Jako odbicie zatem dążności i usposobień całego jednego pokolenia, jest Wacław ciekawym i może ciekawym zostać nawet na przyszłość. Ale filozoficznie prawdziwym i głębokim, ale poetycznie pięknym, nie jest i nie będzie nigdy.

Jego autor będzie zapewne szczęśliwszym: człowiek niezaprzeczenie myślący, ale z kierunkiem umysłu przeważnie refleksyjnym, z wyobraźnią zdolną przerabiać tylko to co stworzyli inni, a i to jeszcze nie świetnie, poetą on nie był, i potomność nie przyzna mu prawa do tego lauru, którym go Mickiewicz chciał uwieńczyć. Ale wpleciony w życie Mickiewicza, grający w tem życiu rolę niepoślednią, od zapomnienia zabezpieczony jest nazawsze. Dopóki Mickiewicz nie przestanie ludzi obchodzić, to jest dopóki stanie polskiego języka i literatury, zawsze ludzie będą wspominać, że w pierwszych latach po strasznym zawodzie przegranéj roku 1831, pociechą Mickiewicza była przyjaźń, jego pierwszem potem cierpieniem śmierć Stefana Garczyńskiego; będą podziwiali zawsze troskliwość i czułość, jaką go Mickiewicz otaczał, będą opowiadali, że swojego Tadeusza odłożył na bok, żeby robić korektę jakiegoś zapomnianego poematu umierającego przyjaciela.

I tak, jeżeli przyjaźń Mickiewicza nie zdołała zapewnić wiecznéj sławy poematowi Garczyńskiego, to jemu samemu zapewniła długotrwałą pamięć. Wiedzieć o nim będą w Polsce

zawsze, a znając i wspominając go jako przyjaciela Mickiewicza, pomyślą, że kto tę przyjaźń sobie zjednał, ten musiał mieć wartość. To o nim wiedząc i myśląc, czytać będą z uszanowaniem i sympatyą w napisie położonym przez Mickiewicza na Garczyńskiego grobie, że był żołnierzem, oficerem jazdy Poznańskiéj, wygnańcem — tylko jednego słowa z tego napisu nie potwierdzą nigdy — słowa „Vates.“

St. Tarnowski.

Historyczna wędrówka

po Krakowie.

Cztery prelekcye w Muzeum techniczno-przemysłowém krakowskiém.

I.

Niemoże być mojém zadaniem podanie krótkiéj historyi miasta Krakowa w kilku lekcyach. Raz dla tego, że mógłbym wpaść w suche wyliczenie faktów dziejów miasta naszego się tyczących, drugi raz dla tego, że streszczona historya miasta opieraćby się musiała na pracach obszernych, a my takich prac dotąd niemamy. Z przykrością wyznać należy, że miasto, do którego tyle okazujemy przywiązania, nie znalazło jeszcze swego dziejopisarza, że roboty przygotowawcze nawet, mimo liczby znacznéj i mimo wartości niektórych, bardzo są jeszcze niedostateczne. Co zrobiono, główna w tém archeologów zasługa: zamiłowanie też archeologiczne wiodło dotąd do poszukiwań, które musiały pozostać obcemi zadaniu właściwemu historyi.

A przecież jeżeli jakie miejsce w Polsce, to niezawodnie Kraków najściśléj złączony jest z dziejami naszemi. Gniezno i Poznań prowadzą nas w zamierzchłą przeszłość, Warszawa w wiek XVII i XVIII, Kraków sam jeden, sięgając w przedhistoryczne gdzieś czasy, zaczepiając o wiadomości geograficzne rzymskie świeci zarówno w piastowskich, jak jagiellońskich wiekach, a gdy go nawet Zygmunt Trzeci w r. 1610 opuścił, przenosząc ognisko państwa do bliższéj swoich wielkich planów Warszawy, dzieli z narodem czynnie najpamię-

tniejsze jego losy, zachowuje w upadku majestat miejsca koronacyi i pogrzebów królewskich, czuje się po dziś dzień nietylko nekropolą przeszłości, ale i spadkobiercą niejednéj myśli wielkiéj, która po przeszłości pozostała i z martwych kamieni do żyjącego przemawia pokolenia.

Niemogąc służyć streszczeniem historyi naszego miasta, chciałbym w tych kilku lekcyach odżywić niektóre wspomnienia wiążące się z jego murami, uprzytomnić kilka chwil których był świadkiem, wprowadzić w kilka epok, na grobach których żyjemy dzisiaj, przywiązani instynktowo do starego miasta, ale często niezupełnie wtajemniczeni w jego przeszłość. Przyczyniła się do tego panująca u nas do niedawna mania tworzenia lub przerabiania tradycyi, pociągająca, że się tak wyrażę, romantycznym pokostem to, co tylko prawdą starożytnéj swéj barwy bić w oczy powinno. Na rzeczywistości Kraków niestraci, owszem zyska tylko, jak wogóle wszystko co ludzkie, zyskuje na rzeczywistości. Natrącam to dla tego, aby uprzedzić naprzód, że w ciągu opowiadania mego nieraz przyjdzie mi potrącić o utarte wyobrażenia i zapatrywania, niemające historycznéj podstawy.

Dwie mogiły w okolicach Krakowa, które w tym wieku zyskały do symbolicznego towarzystwa trzecią, mogiłę Tadeusza Kościuszki — oto niezawodnie najstarszy pomnik faktu, że od zamierzchłych gdzieś wieków mnoga ludność garnęła się ku bujnemu i pięknemu Powiślu krakowskiemu. Czém te mogiły są, kurchanami grobowemi czy ołtarzami pogańskiego nabożeństwa, o tem rozprawiać rzecz nie nasza. Powiemy tylko, że najpiękniejszy myt rozpoczyna historyę Krakowa, mniejsza, czy religijny, czy historyczne w sobie wspomnienie mieszczący, czy, co także być może, podnoszący historyczne wspomnienie do religijnego mytu. Smok we wszystkich prawie znanych mitologiach uchodził za symbol złego, ciemności, śmierci, bajeczny założyciel Krakowa jest jego pogromcą. Jego ołtarz czy grobowiec, niezbadany dotąd patrzy na miasto i zdaje się wzywać naukę, która w niém zawsze była czczoną i uprawianą, aby zbadała ten najstarszy pomnik przeszłości, zajrzała umiejętnie do jego wnętrza. Być może

że nic tam nieznajdziemy, ale i to będzie zdobyczą, bo wtedy mogiła Krakusa jest w istocie ołtarzem, ołtarzem bóstwa światła, zwalczającego smoka zimy, śmierci i ciemności, podobnie jak mogiła Wandy może być ołtarzem bogini zstępującéj w zimne fale rzeki, z nastającą u nas porą jesienną.

Dwa razy do roku ciągnie wierna swoim tradycyom publiczność krakowska odwiedzać mogiłę Krakusa i Wandy. Z Krakusa wita śpiew skowronka nad rozoranym zagonem, przypatruje się krajobrazowi budzącemu się do żywota nowego tchnieniem wiosny i słońca wiosennego promieniem — z Wandy rozkoszuje się w owych uroczych światach, jakie po sprzątniętych już łanach naszych jesienne rozlewa słońce. Kto wié, czy ta krakowska publiczność nie idzie śladem rzeszy pogańskiéj, obchodzącéj wiosenną i jesienną uroczystość, powitanie i pożegnanie słońca? Kościół w mądrości swojéj i wyrozumieniu natury ludzkiéj wiązał zwyczajnie pogańskie uroczystości z chrześcijańskiemi obrzędami, przeczucia religijne pogan użytkował dla wielkich prawd chrześcijaństwa, na uroczyskach pogańskich stawiał świątynie; w miejscach, do których wiązała się cześć bałwochwalcza, krzyż wznosił i przed krzyżem modlić się kazał. W Mogile stanął w XIII wieku klasztor Cystersów, zwany Mogiłą Jasną, *Clara tumba*, na Krzemionkach (inaczéj górze Lassoty, Sylwestra) mały kościółek ś. Benedykta w bardzo odlegle zdaje się sięgać czasy. Podobnie kościół ś. Trójcy (Dominikanów), ś. Salwatora, najstarsze parafie krakowskie, wiążą się z podaniami o kulcie pogańskim. Sama okoliczność, że nazwisko Krakowa odnajduje się w całéj Słowiańszczyźnie, bądź jako nazwisko osób, bądź jako nazwa miejscowości i to starych, przemawiać się zdaje silnie za mitologiczno-religijnym raczéj niż historycznym początkiem téj nazwy, za przypuszczeniem w téj pięknéj równinie nadwiślańskiéj jednego z odwiecznych ognisk życia, którego łącznikiem był kult religijny, przypominający żywo inne znane nam kulty sił przyrody.

Podanie o Krakusie i Wandzie spisał pierwszy Kadłubek w początkach XIII wieku, z widoczną chęcią przebrania go w historyczne kształty. Alemański książę napadający państwo Wandy, niepojętą jakąś siłą, nie bronią zostanie pokonany. „Niech Wanda nad morzem, nad lądem, nad niebem

panuje, niech nieśmiertelnym bogom ofiary niesie za lud swój, a ja za was wszystkich uroczystą podziemnym bogom sprawiam ofiarę“ — woła, rzuca się w miecz i zabija. Wanda umiera dziewicą, nie topiąc się w Wiśle. Ta najstarsza wersya podania o Wandzie, zbliżająca ją do czeskiéj Libuszy a mająca cechę religijną, zdaje się wskazywać, że tradycya ówczesna, z którą rachować się musiano, wyobrażała sobie Wandę jako istotę nadprzyrodzoną, a być może iż Kadłubek pierwszy dał jéj kształty historycznego podania.

Dla historyi jeden pewnik podają te zamierzchłe czasy a tém jest, że podania wiążące się z Krakowem nic nie mają wspólnego z podaniami Gniezna i Wielkopolski, że stanowią odrębny świat mytów, który następnie w nieudolny sposób zeszyty został w całość z wielkopolskiemi tradycyami. Pierwostanem historycznym jest rozdzielenie siedlisk ludzkich i szczepów, a owa wielka, sentymentalnie pojmowana jedność słowiańska, którą w bajeczne przenoszą czasy, należy do marzeń żadnéj niemającéj podstawy. Pomiędzy dzisiajszą Polską nizin nadwiślańskich i nadwartskich a Polską, wyżyny sandomiersko-krakowskiéj, którą dzisiaj jedno ożywia uczucie, zachodziła od zamierzchłéj starożytności aż w historyczne już i widne czasy, różność stanowcza, która ucierając się czasem obok Wielkiéj (staréj) Polski postawiła Małą (młodszą) i związała je wspólną obręczą piastowskiéj Chrobrego i Łokietka korony. Wbrew nazwie Małopolska ma starsze o sobie wiadomości: boć sąsiadowała bliżéj z teatrem dziejów starożytnych, a mianowicie rzymskich. Niepodobna wprawdzie twierdzić z pewnością, że wspomniane w Ptolomeusza geografii II wieku Carrodunum jest Krakowem, skoro między uczonemi są takie różnice, iż niektórzy chcą je mieć Czerniowcami, ale przypuszczać można nie bez słuszności, że *Karpiowie* występujący w wojnach Marka Aureliusza i Kommoda mają związek z Karpatami i Chrobacyą. Ogólna nazwa Bastarnów i Peucynów nadawana przez pisarzy rzymskich mieszkańcom Zakarpacia i fakt że Bastarnowie i Karpiowie w znacznéj liczbie — źródła podają krocie — szukali przytułku u cesarzy rzymskich, zapewne przed naciskiem ludów niemiecko-gotskich — fakt że ich przyjmował Probus i Konstantyn W. jako rolników i osiedlał na południu, za Duna-

jem, świadczy iż Zakarpacie miało znaczną rolniczą ludność, że krewnych pierwotnych mieszkańców téj ziemi szukaćby należało w Słowianach macedońsko-trackiego i greckiego półwyspu, którzy osiedliwszy się tam, zmienili do niepoznania stare tamtych stron zaludnienie — świadczy nareszcie jak obszerne są ramy w których legendową przeszłość téj ziemi pomieścić można. Licznym zmianom losu, przez jakie w tych zamierzchłych czasach przeszła ta ziemia i Kraków, świadczy sama etnograficzna rozmaitość jéj dzisiejsza, od Słowaków Rusinów, Halan tatrzańskich aż do tego charakteru pełnego ludu krakowskiego, poglądającego z góry na Mazura galicyjskiego, który go w koło osadami swojemi otoczył.

O migracyach z Chrobacyi słyszymy jeszcze w wieku VII. Cel wędrówki ten sam, południe. Mimowoli nasuwa się wyobrażenie, że Zakarpacie było ludne, że uprawne być musiało, że nęciło niewiadomych zdobywców, poruszających ludność do wychodźctwa. Tak docieramy do wieku dziewiątego, w którym pierwszym promykiem historycznym, jest nam niewiadomego nazwiska książe Wiślicki, którego książe wielkomorawski Swiętopełk chce skłonić do chrześciaństwa, a którego podbija r. 883. Wielka potęga słowiańska sięgnęła za Karpaty, sięgnął też wpływ chrześciaństwa rzymskiego, głoszonego za pozwoleniem Stolicy Apostolskiéj w języku ojczystym. Spadkobiercą upadającéj pod razami Węgrów WMorawii są Czechy i one to sięgają polityczną i kościelną opieką po Białochrobacyę, po Kraków. Granica archidyecezyi pragskiéj sięga Bugu i Styru, tak więc daleko mogły sięgać i granice siedlisk Białochrobackich, sąsiadujące z Czerwoną Rusią, podówczas już pod władzą Waregów Rusów zostającą.

Lepiéj podobno od tego oznaczenia zakreślą nam indywidualność odwieczną ziemi chrobackiéj granice historyczne dyecezyi krakowskiéj. Zbliżamy się do jéj ustanowienia jako do właściwego progu pewniejszéj historyi Krakowa. Jeszcze w r. 985 miał odwiedzić Kraków Wojciech święty, burząc

---

[1]) Wspomnienie Galla o Łacinnikach i Słowianach w państwie Bolesława Chrobrego, odnosi się zapewne do chrześcian słow. obrządku w Krakowie i Chrobacyi.

pogańskie ołtarze, każąc pogańskiemu ludowi i porządkując obrzędy kościelne, które się zapewne wedle słowiańskiego rytuału Cyrylla i Metodego odbywały. W 995 na Kraków jedzie Wojciech ś. do Gniezna, szukając Bolesława Chrobrego opieki i pomocy do nawracania Prus — a już 999 więcéj chytrością jak orężem zdobywa Bolesław Chrobry Kraków, przyłączając go do swojego państwa. W rok potem słyszymy o biskupie krakowskim Popponie poddanym archidyecezyi gnieźnieńskiéj.

Był więc Kraków i otaczająca go Chrobacya ziemią niegdyś samodzielną, zostającą pod władzą książąt dzielniczych na Krakowie, Wiślicy, Sandomierzu, Sieciechowie siedzących pod zwierzchnictwem państw słowiańskich Wielkiéj Morawy w IX, Czech w X wieku, z początkiem zaś wieku XI lat temu 872 wchodzącą w organizm wojskowéj monarchii Lachów wielkopolskich, którzy stworzyli tu pierwszą kolonię swojéj potęgi, kolonię niebawem górę biorącą nad podbijającym krajem, odbierającą mu przodownictwo w Polsce, współzawodniczącą z uboższą, mniéj urodzajną i mniéj w cywilizacyi posuniętą ziemią.

Odwieczne granice dyecezyi krakowskiéj, jak powiedziałem, mogą uchodzić za granice tego nabytku bolesławowskiego miecza. Na północy Istwarta i Warta po Mstów, Pilica i Radomka odgradza krakowską od dyecezyi gnieźnieńskiéj — na Zawiślu Łuków, Ciemierniki, Parczów, Łączna, Biskupice, Bychowa, Targowiska są najdalszemi punktami względem płockiéj na północ, łuckiéj i chełmskiéj na wschód dyecezyi, około Rzeszowa, na Trzcianę i biegiem rzeczki Jasiółki idzie granica od dyecezyi późniejszéj przemyślskiéj, Karpatami z objęciem porzecza Popradu granica od arcybiskupstwa ostrzychomskiego, linią na Zator i Żarki od dyecezyi wrocławskiéj.

Kilkodziesięcioletnie milczenie pokrywa dzieje Krakowa po owem przyłączeniu do Polski. W głuszy téj historycznéj ukryły się dzieje gospodarstwa książąt lackich w świeżo zdobytéj bogatéj ziemi. W drożynie rycerskiéj wielkiego Chrobrego spotykamy wszakże opata Tuni, jego nadwornego sekretarza i dyplomatę, a tradycya wiąże fundacyę opactwa Benedyktynów w Tyńcu, opactwa o stu wsiach z postacią

wielkiego króla. Z namiętnéj niechęci, którą w późniejszych dziejach Małopolska, wielkopolskim instytucyom okazywała, z usiłowań, aby się uwolnić od danin i obowiązków polskiego prawa, można wnosić, że w Chrobacyi i Krakowie długo trwał bój pomiędzy dawnemi wolniejszemi i luźniejszemi instytucyami a żelaznym absolutyzmem wojskowym naszych pierwszych Piastów. W zamieszce dni Mieczysława II, który mimo dzielności nie podołał wielkiemu zadaniu, odziedziczonemu po ojcu, Kraków zrabowanym został przez książęcia Czech Brzetysława — dzieje Kazimierza Restauratora niestety ciemne i skąpe, chcą go mieć restauratorem zniszczonéj stolicy a Długosz nawet wiąże z jego imieniem podniesienie chwilowe biskupa krakowskiego, podówczas Aarona Opata Tyńca do godności arcybiskupiéj. Dopiero za dni Bolesława Śmiałego objawia się Kraków, jako widownia faktu, pełnego znaczenia na przyszłość, faktu zabójstwa ś. Stanisława i idącego za nim wygnania Bolesława Śmiałego.

Najbliższe tego faktu świadectwa, Gallus i Kadłubek, bardzo skąpe o nim podają wiadomości, obszerniéj rozpisuje się dopiero Długosz w XV wieku, autor „Życia świętego biskupa.“ Zarzut zdrady stanu, który biskupowi czyni najstarszy kronikarz dworu jego synowca Bolesława Krzywoustego, Gallus, zarzut wyzyskiwany namiętnie przez tendencyjną historyę, pozostaje skazówką historyczną ówczesnego Małopolski do polskich książąt stosunku. Czyn biskupi, ekskommunika króla rzucona za jego uciski i okrucieństwa, których się dopuszczał po powrocie z Kijowa, uważaną była za bunt jeszcze na dworze jego synowca, jak tenże sam czyn i męczeństwo biskupa w krakowskiéj ziemi a następnie w całéj Polsce podniesionemi zostały do znaczenia najwyższego poświęcenia, ofiary za powierzone pieczy pasterskiéj owieczki. Płaskością niegodną historyi jest posługiwać się tém dworskiém zdaniem, wypowiedzianem z trwożliwością, aby obrzucać pamięć tego, co z pastorałem w ręce wypowiedział moralną wojnę świeckiéj potędze i zginął przy ołtarzu ofiarą zapalczywości bez granic.

Z poćwiertowaniem ciała ś. Stanisława wiąże Długosz proroctwo, że jak to ciało, tak Polska podzieloną być miała. Łączy on z żywotem świętego opisy jego cudów, które oparł

na protokółach spisywanych w XIII wieku. Protokóły te, pełne nazwisk i szczegółów rzucających światło na życie społeczne zachowane są poczęści dotąd. Powieść jego o kolejnem napominaniu króla, o klątwie rzuconéj przez biskupa, o zaprzestawaniu nabożeństwa podczas jego obecności w kościele, o przeniesieniu tegoż nabożeństwa z zamku do kościoła na Skałce, nosi na sobie cechę wiadomości w duchu czasu i wieku, które każą przypuszczać, że miał przed sobą nieznane dziś źródła. Na szczególną uwagę zasługuje udział ludu w wyborze ś. Stanisława na biskupa, wspomnienie, że przeciążenie daninami mieszkańców było jedną z przyczyn upomnienia, jak niemniéj i owe srogie kary wymierzone za współudział w ruchu ludowem, który powstał podczas pobytu Bolesława w Kijowie.

Udział ludu w obradach o sprawach publicznych zdaje się wedle kilku świadectw właściwem Krakowowi i Chrobacyi a wstrętnem monarchicznéj Polsce gnieźnieńskiéj. Sieciech, wojewoda Władysława Hermana, wszechwładny za jego rządów, posługuje się ludźmi gminu, Mieczysław Stary, przedstawia matce i opiekunce Leszka, że siedząc na krakowskiéj dzielnicy, od hałaśliwego gminu zależy. Tymczasem Lelewel na *jednym tekscie* Kadłubka uczynił Bolesława Śmiałego obrońcą ludu przeciw szlachcie, zapominając o tekstach przeciwnych tegoż Kadłubka i starszego Żywota ś. Stanisława, gdzie Bolesław z drużyną wojenną pustoszy łąki i pola rolników, powiadając, że to prawo pospolite.

Zdaje się niepodlegać wątpliwości, że hasło wolności od starego piastowskiego prawa, od żelaznych jego wymagań wyszło od Krakowa i Chrobacyi, wyszło w naturalnéj konsekwencyi téj pierwszéj walki którą ś. Stanisław krwią oblał. Po krótkich rządach syna Bolesławowego Mieczysława, którego Władysław ś. do Krakowa prowadzi, rządach o których nic prawie nie wiemy, oprócz szczegółu Galla że go trucizną w młodocianym zgładzono wieku, jeden ze starszyny chrobackiéj Sieciech podobno z Starzów rodu chwyta na dworze Władysława Hermana najwyższą władzę, opanowuje umysł księcia, upada wreszcie w walce, która zwać się może śmiało walką gnieźnieńskiéj Polski z krakowską. Spadkobiercą jego władzy jest za Bolesława Krzywoustego Skarbimierz — i oto

odsłania się ten sam widok: walka Gniezna z Szląskiem i Krakowem, prowadzona przez Zbigniewa z jednéj, Bolesława Krzywoustego z drugiéj strony. Krzywousty zdobywać musi kolejno grody wielkopolskie, stojące mu oporem a w sojuszu z pogaństwem pomorskiém. Śmierć jego i rozporządzenie ostatniéj woli rzuca nam wielkie, niespodziewane światło na wewnętrzne wypadki lat ostatnich: państwo idzie w dział między synów, ale najstarszy, jedynie do rządów zdolny, otrzymuje Kraków i Szląsk z prawem zwierzchnictwa nad braćmi, Kraków więc ma być obecnie stolicą Polski, punkt ciężkości ma być przeniesiony do ziem zdobytych, nie-gniazdowych.

Co to znaczy? Znaczy zdaniem naszem, że Kraków najsamodzielniejszy, najzuchwalszy, potrzebował ręki dojrzałego człowieka, znaczy, że Kraków najbardziéj rozwinięty, najbardziéj kwalifikował się na stolicę.

Ale cóż się dzieje? Władysław ów syn Bolesława, ustanowiony zwierzchnik, pragnący rozpostrzeć władzę swoją nad braćmi, znajduje opór w dzielnicach a nie znajduje podpory w Krakowie. Swoim wierzyć nie mógł, powiada kronika. Krakowowi nie uśmiechało się zwierzchnictwo, jemu uśmiechało się uwolnienie z pod twardych ustaw polskich. Własny wojewoda Wszebór, staje na czele niechętnych, ruskiemi i węgierskiemi posiłkami wojować musi Władysław. Trafia go klątwa arcybiskupia, pod Poznaniem biją go bracia. Idzie na wygnanie, z którego nie wraca. Śladu najmniejszego nie ma, aby Krakowianie odznaczyli się w boju o jego niezawodne prawa. Ale i względem następcy jego Bolesława Kędzierzawego zachowują się równie dwuznacznie. Spojrzenie ich padło na najmłodszego z książąt na Kazimierza, który otrzymał Sandomierskie po Henryku. Wzywają go, aby objął Kraków. Kazimierz odmawia, nie chce bratu stać na zdradzie. Ale zaledwie po jego śmierci zasiadł w Krakowie Mieczysław Stary, pan Wielkopolski i z całym naciskiem gnieznieńskiéj tradycyi monarchicznéj władać począł, oto biskup krakowski Gedko herbu Gryf wyrzuca mu na oczy jego despotyzm, a Kazimierz z pomocą możnych zabiera najstarszemu bratu dzielnicę krakowską.

Inny teraz w Krakowie staje rzeczy porządek. Kazimierz sprawiedliwym zwany jest książęciem po myśli Krakowian:

zwołany do Łęczycy synod, powściąga wymagania książęcego prawa i idący za niem ucisk ludu, mianowicie dostarczanie podwód dróżynie książęcéj, zapewnia duchowieństwu wieczystą własność dóbr kościelnych. Najpilniejszą téż sprawą Kazimierza jest przywrócenie kościołowi wydartéj w ostatnich czasach własności a istnieje po nim ciekawy dokument, który świadczy, jak różnemi były małopolskie i wielkopolskie stosunki. Do najpowszechniejszych praw książęcych, należało prawo polowania — obostrzone srogiemi przepisami, a strzeżone przez osobnych dygnitarzy—łowczych. Kazimierz Sprawiedliwy wyjednywa sobie pokorną prośbą pozwolenie polowania w lasach chropskich, do kapituły należących!... Za tę to uległość było możnowładztwo duchowne zdecydowanem, uważać jego linię za dziedziczną na Krakowie i Sandomierzu, jak to wyraźnie wypowiada b. Pełka po jego śmierci, przewracając porządek Bołesława Krzywoustego.

W obronie staréj, monarchicznéj Polski, do końca żywota, walczył Mieczysław stary, bronią i przebiegłością, zwracaniem uwagi Leszka białego na zależność, w któréj zostawał. Walczył Kraków i Sandomierz z gnieźnieńską Polską w krwawéj pod Mozgawą 1196 bitwie. Mieczysław umarł jako pan Krakowa, ale po krótkich jego syna rządach, wraca z Leszkiem białym najmłodsza linia, aby zapanować nad Krakowem, Sandomierzem i Mazowszem.

Odtąd na długie lata jedność Polski polityczna niknie, zastępuje ją kościelna. Dzieje są raczéj dziejami pastorału, jak berła książęcego, jakby w wykonaniu tego zwycięztwa moralnego, które po śmierci odniósł święty Stanisław. Kolejno przesuwają się przez Kraków: Leszek biały, zbrodniczy Konrad mazowiecki, prawy i gospodarny Henryk brodaty, książę wrocławski, opiekunowie dziecięcego Bolesława wstydliwego, ale ta barwista drużyna ustępuje pierwszego miejsca postaciom biskupów, następcom Gedeona i Pełki: Wincentego Kadłubka, Iwona Odrowąża, Wisława z Kościelca, Prandoty z Białaczowa. Wiek nasz, który tak wiele mówi o pracach cywilizacyjnych i gotów obok nich na drugi plan odsunąć interes narodowy — winien w tych ludziach uczcić przedewszystkiem ich działalność cywilizatorską. W stósunkach z władzą świecką, okazywali ci ludzie wszędzie ową niezależność, śmia-

łość, jaką daje moralna i intellektualna przewaga, byli apostołami wolności przeciw prawu rycerskiéj pięści, obrońcami słabych przeciwko możnym; rozjemcami zajadłych sporów i namiętności; w działaniu łączyli pracę około utwierdzenia chrześciaństwa z pracą około oświaty, uczyli rolnictwa przez rolnicze zakony i rzemiosł przez sprowadzanie rzemieślników, stawiali domy boże i szpitale. Ich postacie dopiero prowadzą nas do Krakowa dzisiajszego, bo oni pierwsi prawie pozostawili trwające dotąd ślady swojéj pracy w mieście naszém.

Z istniejących w Krakowie budowli wieków piastowskich, zaledwie dwie wyprzedzają w kształcie niezmienionym lub przypominającym żywo stan pierwotny — budowle XIII wieku wspomnianych powyżéj biskupów krakowskich: kaplica grobowa (krypta) św. Leonorda na zamku i kościół św. Andrzeja na ulicy Grodzkiéj, obie w stylu romańskim sięgające czasów Władysława Hermana lub Bolesława Krzywoustego. Krypta św. Leonarda daje nam zarazem wyobrażenie obszaru pierwotnéj małéj katedry romańskiéj, która na Wawelu stać mogła. Drewnianemi, a w każdym razie małych także rozmiarów musiały być kościoły na Skałce, św. Wojciecha, zwierzyniecki, św. Salwatora, św. Idziego, związane z czasami przed 1139 rokiem. Budowy, na większy przedsięwzięte rozmiar, wiążą się dopiero z postaciami Gedeona (kościół św. Floryana, któremu dziś nic z dawnego kształtu nie zostało); Pełki (ś. Krzyż przebudowany w XVI wieku), Iwona Odrowąża (dawny kościół parafialny św. Trójcy, oddany przezeń OO. Dominikanom i kościół Najśw. Panny Maryi w rynku, gdzie od św. Trójcy parafia przeniesioną została). Budowano je w przejściowym z romańskiego w gotycki stylu XIII wieku, a wiadomości o ich ostatecznem wykończaniu w wieku XIV i XV, dadzą się może tak rozumieć, że w owych wiekach wadliwe i walące się sklepienia pierwotne zastępowano sklepieniami czysto gotyckiemi trwalszemi i mniéj ciążącemi na ścianach. Najwięcéj cech tego stylu przejściowego zachował spółczesny, bo także Iwonowi początek swój zawdzięczający kościół Cystersów w Mogile.

Wielkie budowy to szkoły rzemiosł, to naturalne bodźce zakwitnienia miasta. Czemuż innemu przypisać brak odległych, z XI, XII wieku zabytków w naszym kraju, jak nie nadzwyczaj niskiemu stanowi potrzeb i kultury? Budowano z drze-

wa, okopywano się ziemią. Wieca książęce odbywają się nie w miastach, ale gdzieś na wsi, gdzie drużyna książęca na żywność liczyć mogła. Jeńców wziętych w boju osadza książę w miejscach na drodze jego leżących, przeznaczając im obowiązki rzemieślnicze od pieczenia chleba (Piekary), do gotowania żywności przeciągającéj drużynie wojskowéj (Kuchary). Słowiańska natura przeciwną była bliższemu kupieniu się i można z pewnością przypuścić, że Kraków XI i XII wieku wyglądał jak rozległa sadyba wiejska, nad którą sterczał gród wawelski, a któréj jedyną ochroną mógł być wał ziemny. Przez taki kraj ciągnął na boje w różne strony świata książę piastowski, objadając kraj wojskiem i wiodąc swoich *puklerznych* i pospolite ruszenie *tarczowych* żołnierzy za granicę, na Ruś, Czechy, Węgry — toż jeżeli w skarbnicy książęcéj były złote łupy, jeźli niewiasty rycerskie uginały się pod ciężarem klejnotów, bogactwo to niestanowiło jeszcze bogactwa kraju, wycieńczanego wojennością swych książąt. Drużyny rycerskie zbierały laury wojenne, przywoziły łupy, osadzały jeńców niewolników do swojéj usługi, ale nie mogły kraju podnieść do wyższego stanu kultury. Co więcéj, dążenie do podniesienia kultury, idące głównie od duchowieństwa, musiało pójść w zapasy z wojennością Piastów, z ich absolutyzmem militarnym, a faktem jest, że gdy po wiekach pierwszych Bolesławów nie zostało nic, prócz wielkiéj myśli politycznéj; po wiekach podziałów, wiekach politycznego upadku, pozostało mnóstwo pomników kultury, od gmachów do osad rolniczych, które poprzedziły czasy króla Kazimierza Wielkiego.

Przeważne, groźne w obec książąt stanowisko episkopatu ówczesnego — to stanowisko cywilizatorów w obec barbarzyńców, ludzi ducha, w obec ludzi krwi. Oni to umieją skruszyć tych ludzi żelaznych, gwałtowych, że z korną głową pisać pozwalają na czele przywileju słowa, jakie znajdujemy na czele przywileju Konrada dla Opactwa tynieckiego: Król wielki i straszny, który rządzi niebem i ziemią, postanowił z miłosierdzia swego, że wszyscy staniemy przed jego trybunałem, aby otrzymać zapłatę za złe i dobre żywota: należy nam zatem ten dzień straszny uprzedzić czynami miłosierdzia i siać na ziemi, abyśmy zbierali w niebie. Dla tego my Konrad na odpuszczenie grzechów naszych i pomoc duszną naszemu synowi Zie-

momysłowi — dajem wiedzieć i t. d. — Oni to stoją w sojuszu z oświatą zachodu, sprowadzając zakony rolnicze i nawracające, Benedyktynów, Cystersów, Dominikanów, i zakładając przy nich i kościołach szkoły. Że takowe już w r. 1230 w Krakowie licznych uczniów mieć musiały, świadczy bulla Grzegorza IX do opatów dominikańskiego i Premonstratensów, nakazująca im powściągnąć zbytki i rozpustę, któréj się dopuszczali. Oni to sami jedni są w posiadaniu nauk, których nie chowali pod korcem, owszem bezpośrednio, z młodzieńczym zapałem stosowali do życia. Któż téj naiwności nie dostrzeże w Kronice biskupa Wincentego Kadłubka, który z skwapliwością popisuje się frazesami, wziętemi z znanych sobie autorów klasycznych, a napuszystością stylu odbija bardzo wyraźnie od współczesnych sobie zagranicznych kronikarzy.

Oprócz świątyń krakowskich, pozostały nam też zabytki źródeł, z których duchowni owego czasu czerpali swoją wiedzę i natchnienie. Istnieją na okładkach starych homilij XII i XIII wieku, katalogi ówczesnéj biblioteki kapitulnéj krakowskiéj, jeden z r. 1110, a więc z pierwszych lat Bolesława Krzywoustego, drugi z r. 1290. Obok lekcyj ewangielicznych wysokiéj starości, obok homilii św. Grzegorza, Augustyna, obok innych ojców kościoła, znajdują się tam Salustyusz, Terencyusz i Perzyusz, pontyjskie listy Owidiusza, Boecyusza o pociesze filozofii, Stacyusz, Klaudyan, prawa Longobardów, dekretalia Graciana. Niektóre z tych ksiąg, romańskim charakterem na pargaminie rylcem liniowanym pisane, zachowały się dotąd. Pomniki te starsze są od najstarszych naszych dyplomatów — a katedra gnieźnieńska chyba równe wykazaćby mogła zabytki.

Wielki napad Tatarów niszczący miasto w r. 1240, jest naturalnem zamknięciem epoki pierwszéj jego dziejów. Kraków poszedł w perzynę, Lignica zatrzymała Tatarów, bo Lignica miała już mury niemieckim obyczajem, Kraków ich nie miał. Napróżno lała się krew rycerska pod Chmielnikiem i Turskiem, jedna fortyfikacya mogła być skuteczną. Doświadczenie to wołało o podniesienie miast, przemawiało głosem owych biskupów fundatorów i kolonizatorów; którzy nie mieczowi samemu, ale sile moralnéj, sile cywilizacyi ufać kazali. Z pożogi tatarskiéj nie zostało nic, prócz murów rozpoczętych

świątyń Pańskich, prócz śladów zabiegliwości duchownej. Dopominał się podniesienia miast, jako punktów obronnych, handel, przemysł, dopominało się osłabione już stanowisko dzielniczych książąt. Nie mogąc po dawnym obyczaju prowadzić wielkich wojen, zmuszeni byli zwrócić uwagę na podniesienie, skolonizowanie, większe dzielnic swoich zaludnienie. Już od r. 1175 rozpoczęła się kolonizacya Niemców na Szląsku, po napadzie Tatarów 1242, otrzymał Wrocław prawo teutońskie, 1244 mamy pierwszy ślad kolonizacyi na prawie niemieckiem w Krakowie, w 1257 otrzymuje miasto lokacyjny przywiléj, który nową, inną otwiera mu przyszłość.

Chcemy mieć miasto w Krakowie, odzywa się przywilej nadany w r. 1257 w Kopaszynie przez Bolesława Wstydliwego. Wójcia nasi (advocati) Gedvitz zwany Gilviz, Jakób, niegdyś sędzia z Nisy, Dytmar zwany Woth, mają sprowadzić ludzi obcych, którzy przez lat sześć żadnego nam czynszu płacić nie będą, a przez dziesięć towary bez cła sprowadzać mogą. Po sześciu latach od każdego placu płacić będą połowicę wagi niemieckiéj srebra. Miasto otrzymuje wieś Rybitwy, Krowodrzę, grunta między miastem i rzeką Prądnikiem, rybołostwo od Zwierzyńca do Mogiły, las Chwacimiech. Sądzić i rządzić się będzie prawem magdeburskiem takiem, jak w Wrocławiu. Pozwany mieszczanin, sądzić się ma według prawa miejskiego; pozywający, według prawa pozwanego.

Taka jest treść kopaszyńskich postanowień. Wyłuszczyć wypada w krótkości, co pociągało prawo niemieckie za sobą.

Wśród powszechnych rządów prawa rycerskiego, jakie wniosły ludy barbarzyńskie, pierwszą oazą, gdzie się schroniła praca, nauka, przemysł i handel, był kościół, klasztor i miasto. Municypalności po rzymskiem cesarstwie pozostałe w Gallii, można, chociaż temu w ostatnich czasach zaprzeczać się starano, uważać za pierwowzory starożytnych miast; a formacya ta wiąże się nie bez przyczyny w północnych Niemczech z romanizującymi Ottonami z domu saskiego. Im dokuczliwszem prawo było pięści rycerskiéj, tem głośniéj odzywała się potrzeba ochronnych ognisk życia, pracy rękodzielniczéj, przemysłowéj, handlowéj, któreby rządząc się same i broniąc się same, w tych wolniejszych warunkach, mogły wznieść głowę wsród powszechnego panowania miecza. Wolność jest najsil-

niejszą dźwignią bogactwa, praca pod batogiem nie przynosi wiele korzyści. Zaprzodowali też we Francyi i Niemczech nadawaniem przywilejów miastom biskupi, następnie książęta, a wiadomo, że w szczególności we Francyi, w tych uprzywilejowanych miastach wytworzył się ów stan trzeci *tiers-etat*, który takiemu Karolowi VII, Ludwikowi XI pozwolił otrząść się z zależności od feudalnych panów i wytworzyć monarchię, że do dzisiaj dnia nie czemu innemu, jak duchowi instytucyi komunalnych miejskich zawdzięcza Belgia swój porządek, poszanowanie prawa i wolność.

Miasto na prawie niemieckiem, było z przyznanem mu w lokacyi terrytoryum wolną, zaokrągloną całością, która sama się rządziła, sama sądziła i sama broniła. Na czele administracyi miejskiéj stawała wybrana rada (consules Rathmanne), która była także sądem w sprawach niespornych (zapisach długu, testamentach, układach), na czele sądownictwa spornego i karnego, wójt z ławnikami (scabini). Obok rady i ławy stawało pospólstwo (Communitas civium), które przez wybrańców rzemiosł zawiązanych w cechy (confraternitas) i kupców, radziło o sprawach miasta i ogłaszało postanowienia swoje jako wilkierze (Wilkör plebiscita). *Communitas* ta broniła miasta, każdy cech miał swoją broń, swoją basztę lub bramę poruczoną swojéj opiece. Wójt (advocatus) był według przywileju kopaszyńskiego jedyną osobą książęcą w mieście.

Zamiast zwyczajowego, na mnogie tłumaczenie narażonago prawa krajowego, sądzili się mieszczanie prawem pisanem, skrzętnie przestrzegającem własności i ostremi karami obostrzającem jéj naruszenie, sprawom, które niemniéj srogo powściągało zbrodnię, zbytki i rozpustę. Prawu temu podlegał każdy, kto mieszczanina pozywał. Mógł przeto mieszczanin nazwać się wolnym człowiekiem, gdyż prócz Boga i księcia, nie znał nikogo, a byle zapłacił czynsz temu książęciu, nie potrzebował się nikogo obawiać.

Jak się rozwijał Kraków po kopaszyńskim przywileju w najbliższych latach, wiadomości nie mamy. Musiało to jednak, mimo klęsk, które z krajem dzielił, iść szybko, skoro już za Leszka Czarnego, długowłosego księcia Sieradza, który mieszczan krakowskich i obyczaj niemiecki lubił, spotykamy ich odgrywających polityczną rolę, a w nieprzyjaznym z ry-

cerską bracią szlachtą stosunku. Gdy Konrad książę czerski z szlachtą i biskupem krakowskim Pawłem z Przemankowa w sojuszu, Kraków obległ, powierzył Leszek żonę Gryfinę opiece mieszczan, którzy się w zamku zamknęli, czekając, rychłoli książę z posiłkami węgierskiemi na odsiecz się przybliży. Ale inna jeszcze zasługa mieszczan krakowskich zapisaną jest w przywileju danym im przez tego księcia r. 1288. „Walcząc z dzikim nieprzyjacielem tatarzynem, odnieśli oni świetne i ratujące kraj zwycięstwo“ — za co ich książę uwolnieniem od ceł na wieczne czasy wynagradza.

Leszek też Czarny miał pierwszy murem dawne drewniane około miasta zastąpić fortyfikacye. Podniosły się duchy mieszczan krakowskich, a skoro Leszek w Dominikańskim kościele grób znalazł, postanowili sami o księciu i to wbrew szlachcie pomyśleć. Henryk książę Wrocławski, „der mülde Fürste“ zwany, długowłosy minstrel i rycerz, był dla mieszczan, a w szczególności Niemców rzeźników krakowskich ideałem książęcia. Niegdyś sojusznik Przemyśla Otokara, był on teraz wiernym lennikiem Rudolfa Habsburga, pan możny i świetny, lubiony przez Wrocławian. Ten Henryk, gdy Bolesław mazowiecki przez szlachtę wezwany, o Kraków walczyć nie chciał, objął miasto a i szlachta poddać mu się musiała, ale nie na długo. Wyszukała ona przyszłego bohatera odrodzenia w Władysławie Łokietku, bracie Leszka, i powiodła go w sojuszu z Konradem czerskim i Lwem halickim pod Kraków. Pod Siewierzem zwalczono hufce Probusa, ale rzeźnicy krakowscy nie zapomnieli długowłosego ulubieńca. Wyprawiono po pomoc do Probusa, a gdy nadciągnął właśnie z hufcami jego Henryk książę lignicki pod miasto, mieszczanie rzucili się na załogę Łokietka, a przyszły zbawca Polski schronić się musiał do franciszkańskiego klasztoru. Już, już docierali zajadli mieszczanie, szczęście, mur klasztorny sięgał za miasto — a drobna postać księcia dozwalała na fortel, który go uratował. W koszu spuszczono księcia za mur, gdzie go czekała długoletnia walka i tułaczka, zanim wrócił w bramy miasta, jako pan i władca.

Jak do Henryka, tak do Wacława czeskiego pociągły Niemców krakowskich niechęć ku rycerskim Piastowiczom Kujaw i towarzyszącéj im szlacheckiéj drużynie, sympatya dla

życia zachodu którego byli kresowymi, wojownikami. Wacław opatrzył miasto silnemi murami. Tymczasem właśnie ów nielubiony przez mieszczaństwo Łokietek, po licznych kolejach losów, zapukał w te mury po śmierci obu Wacławów, a mieszczaństwo bramy otworzyć musiało! Chcąc je pozyskać, bogaci je Łokietek przywilejem składu towarów (emporium) drogą węgierską od Sądcza idących, postanawia, że kupcy obcy wysprzedawać je mogą wszystkim, co do Krakowa w tym celu przybędą, z wyjątkiem jednéj *miedzi*, „którą samym mieszczanom sprzedawać mają.“ Czy postanowienie tego przywileju, otwierające kupcom obcym bramy miasta, było zupełnie w interesie kupców miejscowych krakowskich, wątpić należy; jakoż pomimo, a może z przyczyny przywileju, tleje niechęć między książęciem a mieszczanami. Wawelska stolica ma nieprzyjaciółkę w stolicy wójta krakowskiego Alberta, obronnym gmachu przy ulicy Mikołajskiéj, który dzisiaj jest klasztorem pp. Dominikanek. Tam, gdy Łokietek Wielkopolskę o Henryku Głogowskim zajmuje i urządza, knuje się zamach przeciw jego władzy, na wspólkę z Henrykiem, bratem wójta, opatem Muchowskim. Wzywają oni Bolesława księcia Opola, otwierają mu bramy, dobywają zamku, który zachował wiarę książęciu. Władysław zebrawszy wojsko z kraju, wezwał Bolesława do ustąpienia, jakoż odstąpił, niedufając sile Bolesław, zabierając z sobą Alberta wójta i kilku wspólników. Zaciężyła ręka Łokietka na mieszczanach. Odebrano Albertowi dziedziczne wójtowstwo i ów dom warowny, wybór rady miał odtąd zależeć od wojewody krakowskiego. Zawieszono też wolność od ceł niedawno przez Leszka nadaną. Wspólników zdrady dosięgły okrutne kary w duchu wieku. Zdaje się, że przywilejowanie Sądcza, współzawodniczącego z Krakowem, należało także do użytych przez Łokietka represaliów.

Duszą buntu mieli być bogaci kupcy, handlujący z Flandryą z jednéj, wybrzeżami czarnego morza z drugiéj strony, a nazwiska, które się przechowały Zurdmana z Pisar, Jana z Radziszowa, Jakóba z Kojanowa, świadczą, że okolica była także w ich posiadaniu jako dzierżawców i właścicieli.

Na tem skończyła się na długo polityczna z narodem oporna rola mieszczan niemieckich w Krakowie. Rok 1319 widział pierwszą koronacyę na Wawelu, 1331 witało ducho-

wieństwo i magistrat zwycięzkiego pod Płowcami Łokietka. W wielkiéj radości stajało serce króla-bohatera, który świeżo Zakonowi krzyżackiemu dał zapowiedź Grunwaldu; na cóż było trwać w gniewie dłużéj na spokorniałych mieszczan krakowskich? Potwierdził im przywileje, nie wyjmując ich jednak z pod władzy wojewodów. Przy boku starca stał młodzieniec dziwnéj urody, następca tronu: ten lepszą jeszcze obiecywał im przyszłość! Umysł trzeźwy i głęboki, nie łudził on się świeżem szczęściem wojennem ojca, wiedział, że Polska uboga, anarchiczna, na szlacheckim tylko oparta mieczu, wcześniéj lub późniéj zginie w rozpacznéj walce z pancernemi zastępy i potężniejszemi od nich grody Zakonu, że jedna tylko rzecz zapewni jéj zwycięztwo: podjęcie napowrót pracy około dźwigania miast, przemysłu, handlu, bogactwa krajowego, aby murowana Polska stanęła w oczy murowanéj zagranicy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Małżeństwo Kościoła Katolickiego

na tle historycznem

ze stanowiska filozofii prawa

skreślił

Dr Franciszek Kasparek,

Docent filozofii firawa w Krakowie.

WSTĘP.

Jeżeli z jednéj strony swoboda myśli i wolność objawienia swego zdania, należy do najdroższych zdobyczy nowszych czasów, jeżeli takowa jest najgłówniejszą podstawą postępu nauki i umiejętności, matką rzeklibyśmy nowoczesnych odkryć i zdumiewających wynalazków, dokonanych w krótkim przeciągu czasu we wszystkich dziedzinach wiedzy ludzkiéj — to z drugiéj strony zaprzeczyć nie można, że przyczynia się ona częstokroć do rozszerzenia fałszywych zdań i wyobrażeń, mogących na społeczeństwo ludzkie wywrzeć wpływ szkodliwy. Jedyną, według mego zdania bronią skuteczną i dozwoloną przeciw nadużyciom wolności słowa jest broń prawdy i nauki, która opierając się na sumiennych badaniach, łatwo zwycięży łudzące pozorami prawdy doktryny fałszywe, zwłaszcza, że najczęściéj zmysł zdrowy lndności, mającéj wrodzony instynkt rozróżnienia ziarn od plewy, wkrótce błędne i niewłaściwe zdania potępi. Te zdania ogólne zastosować się dadzą także do *instytucyi małżeństwa*. Małżeństwo w formie dzisiejszéj jednożeństwa i dożywotniego związku, miało od

czasów najdawniejszych (Platon) swoich przeciwników, a jednakże do dziś dnia wśród burz światowych, wstrząsających całym porządkiem społecznym, utrzymało się u narodów ucywilizowanych jako najistotniejsza podwalina ich potęgi i dobrobytu, jako podstawa zdrowego życia familijnego. W nowszych czasach pojawiły się nowe — na pozór doktryny, w szczególności niektórych komunistów i socyalistów, zalecające wspólność żon i mężów, jako środek najzbawienniejszy dla schorzałego, według ich zdania społeczeństwa ludzkiego — a nawet niektóre obałamucone mrzonkami rzekomej emancypacyi kobiety w Ameryce i Europie, wyzuły się tak dalece z wszelkiéj czci i wstydliwości niewieściéj, że uważają małżeństwo za ubliżające swobodzie niewiasty, i głoszą zasady wolnéj miłości, żadnemi względami niepowściągnionéj, jako jedynie odpowiednie wolności i równości kobiety. Do jakiéj przewrotności pod tym względem doprowadzić można, okazuje dobitnie n.p. dzieło pani *Luise Ditmar:* „Das Wesen der Ehe," Lipsk 1849, przepełnione doktrynami zgubnemi. Dzięki Bogu — społeczeństwo nasze i literatura nasza od téj zarazy dotąd się uchroniły, a nasze stosunki rodzinne i małżeńskie tak silnie są utwierdzone na zasadzie obyczajowéj i religijnéj, że mrzonki zachodniéj ewangelii zmyłowości do naszego życia rodzinnego się nie zakradły i ich zatruć nie są w stanie. Zawsze jednakowoż — właśnie w obec podniesionych zarzutów przeciw istocie małżeństwa — lub jéj następstwom, w obec zaprojektowanego w „traktacie o małżeństwie domniemanem" (Kraków 1872) znanego już u Rzymian konkubinatu, jako pożądanéj przez społeczność nowelli obyczajowéj — zastanowienie się nad istotą związku małżeńskiego i nad głównemi tegoż zasadami, będzie rzeczą, mogącą każdego myślącego człowieka zająć i zadowolnić, jeżeli się z badania sumiennego przekona, że dzisiejszy ustrój instytucyi małżeńskiéj odpowiada naturze ludzkiej i wszelkim wymaganiom ludzkości.

Pojmujemy małżeństwo jako połączenie dożywotnie mężczyzny i niewiasty do wyłącznego i wspólnego pożycia. Opierając się na naturalnym pokładzie odwrotności płciowych, małżeństwo ma cel naturalny w zaspokojeniu popędu płciowego i płodzeniu dzieci i cel obyczajowy w wychowywaniu dzieci i wzajemnem wsparciu małżonków w różnych bądź sprzyjających,

bądź nieszczęśliwych kolejach życia. Będąc podstawą rozmnożenia rodu ludzkiego — małżeństwo jest pierwszym najnaturalniejszym związkiem społecznym — podstawą rodziny, pierwszym zawiązkiem państwa, źródłem szczęścia i dobrobytu ludzkości. Już od czasów najdawniejszych, religijna wiara otoczyła tę instytucyę aureolą poważnéj świętości — a prawodawstwa wszystkich narodów ujęły ją w karby porządku prawnego, czuwając nad jéj zawiązkiem, trwałością i rozwiązaniem, aby pod opieką prawa mogła swobodnie się rozwinąć. Łatwo wyrozumieć, że na małżeństwo ze stanowisk różnych, zapatrywać się można; ma ono swoją stronę naturalną, fizyologiczną, ma znaczenie społeczne, prawne, moralne, religijne i państwowe — a wszędzie tyle zajmujących stron przedstawia, tyle nastręcza przedmiotów do badania, że zaiste trudno przedmiotu w zupełności wyczerpać. Słusznie *Bentham*, przejęty wszechstronną ważnością téj instytucyi powiada: „Sur „quel point de vue, que l'on considera l'institution du ma„riage, on est frappé de l'utilité de ce noble contrat, lien „de la societé, base fondamentale de la civilisation."

Zastanawiając się nad małżeństwem ze stanowiska filozofii prawa, trudno odszukać odpowiedniejszéj do rozumowania podstawy od ustaw kościoła katolickiego, który od pierwszych swych początków szczególnie troskliwie instytucyą małżeństwa się zajął; prawodawstwo kościoła katolickiego albowiem jest nietylko pod względem prawniczym arcydziełem rzeklibyśmy spiżowem, uderzającem tak konsekwentnem przeprowadzeniem myśli głównych, jak mistrzowskiem wykończeniem szczegółów — nietylko podstawą niezaprzeczoną wszystkich prawodawstw nowszych o małżeństwie — ale poniekąd punktem środkowym w dotychczasowym rozwoju dziejowym instytucyi małżeństwa. Wykazać główne zasady tego prawodawstwa, jest przedmiotem niniejszéj rozprawy — aby je zaś poznać dokładnie i należycie ocenić, wypadało się przedewszystkiem zastanowić nad rozwojem dziejowym instytucyi małżeńskiéj u rozlicznych narodów przedchrześciańskich, albowiem tylko przy pochodni dziejów zasady kościoła katolickiego w należytem przedstawią się świetle. Co do przedmiotu samego, ograniczamy się tylko do najistotniejszych zasad prawa małżeńskiego kościoła katolickiego, o ile takowe zawiera przepisy materyal-

ne, pomijając kwestyę zawarcia związku małżeńskiego i postępowania w sprawach małżeńskich, również spór głośny a nierozstrzygnięty dotychczas o właściwość ustawodawstwa i sądownictwa w sprawach małżeńskich; albowiem chodzi nam głównie o to, aby przedstawić materyalne zdobycze, przez kościół katolicki w dziedzinie ustawodawstwa małżeńskiego przeprowadzone; oczywistą tedy jest rzeczą, że kwestye formalne i spór o właściwość ustawodawstwa i sądownictwa, leży po za obrębem naszego zadaniaa. Przytem nie chcielibyśmy być tylko referentami pozytywnego prawa kościelnego, lecz wskazać także jego strony ujemne, podać wskazówki rozsądnéj reformy, na zasadzie nowszéj nauki filozofii prawa, otworzyć drogę postępu, bez którego żadne prawodawstwo na długo utrzymać się nie może, jeżeli nie chce być zaporą cywilizacyi i nie pozostawać w sprzeczności z usprawiedliwionemi dążeniami ducha czasu. Zdania przez nas w téj mierze podane, mogą być błędne, niemają też bynajmniéj pretensyi do oryginalności, ale wypływają z uprawiedliwionéj dążności wykrycia prawdy. Instytucya małżeństwa wyjdzie zwycięzko z walki podniesionéj przeciw niéj z licznych stron, przeżyje owe skażone doktryny roznamiętnionych marzycieli, niedowarzonych nowatorów. Mając tę niezachwianą nadzieję — przewodniczyła nam jedynie ta myśl na wstępie wyrażona — że tylko nauka nastręcza najodpowiedniejszą broń przeciw zdaniom przewrotnym, i że przy świetle nauki zginą owe niepokojące mary i mgliste widziadła zaślepionych, jak chmury znikają przed obliczem słońca.

Czytelnik łaskawy przyjąć tedy zechce z pobłażliwością ową drobną cegiełkę, dorzuconą do znakomitych wywodów piewszorzędnych myślicieli ludzkości w obronie małżeństwa, owej najważniejszéj instytucyi społecznéj.

I.

Pogląd historyczny i etnograficzny na instytucyę małżeństwa.

Caeca sine historia jurisprudentia.
Balduin.

W żadnéj instytucyi prawnéj, nie odbija się tak wymownie cały charakter narodowy, żadna nie stoi w tak ścisłym związku z powodzeniem państw i narodów jak małżeństwo. Dziwić nas to nie może, jeżeli zważymy, że życie rodzinne, oparte na trwałym związku płciowym jest podstawą ustroju państwowego, że małżeństwo już pod względem materyalnym, o ile jest warunkiem rozmnażania i rozrostu rodu ludzkiego, staje się dźwignią dobrobytu, że dopiero przy stałych i trwałych związkach płciowych okazuje się pierwszy pomrok cywilizacyi, że wreszcie zwierzęcy popęd płciowy bezwzględnie i bezwiednie zaspakajany, niszczy człowieka umysłowo, fizycznie i dopiero ujęty w karby porządku różni go od zwierzęcia. To też najdawniejsi prawodawcy (Mojżesz, Zoroaster, Menu, Lykurg, Solon i t. d.) ze szczególną troskliwością zajęli się uporządkowaniem stosunków płciowych, albowiem nawet najpłytszy pogląd na sprawy ludzkie już od najdawniejszych czasów musiał naprowadzić na myśl, którą *Portalis* przy sposobności obrad nad ułożeniem Kodeksu Napoleona tak trafnie wyraził: „że, gdyby w sprawach, w których zmysłowość władzę nieograniczoną nad nami może osiągnąć, użytek sił naszych i zdolności ciągle przez ustawy nie był regulowanym, ród ludzki dawno byłby zaginął przez nadużycie tych samych środków, które mu są dane do jego utrzymania i rozmnażania.“ Instytucya małżeńska zrosła się też z życiem narodów, ona też jeszcze dziś stanowi jedną z najwybitniejszych cech różniących cywilizacyę Europejską od cywilizacyi narodów wschodnich, ona jest niejako skalą i miarą cywilizacyi i postępu. „W instytucyi małżeńskiéj,“ zauważał trafnie Bluntschli „wyraziły narody swoje przekonanie o obyczajowéj konieczności tego połączenia płciowego.“

Pogląd na dzieje przekonywa nas że główną osią, około której dzieje małżeństwa się obracają, jest wielożeństwo i jednożeństwo, i połączone z temże poniżenie lub równouprawnienie płci żeńskiéj. Nie wyprzedzając atoli samego przedmiotu zacznijmy od określenia najpierwotniejszych stosunków płciowych spotykanych u narodów na najniższym szczeblu oświaty stojących.

a) *Stosunki barbarzyńskie.*

Jakkolwiek różnica płci i potrzeba wychowania dzieci już oddawna naprowadzić musiały ludzkość na potrzebę zawiązania trwałych związków płciowych, to jednakowoż twierdzenie (między innemi A. Homego: Sketches'of the History of Man), że małżeństwo jest tak dawne jak ród ludzki — historycznie nie da się udowodnić. I owszem, dzieje wykazują nam, że istniały między narodami najrozmaitsze związki płciowe, częścią chwilowe tylko, że istniały wspólki płciowe, że wielomęztwo także nie było bez przykładu. Już starożytni pisarze, ułożyli sobie piękne powiastki o rodzie amazonek, które nawet według Herodota miały być matkami Sauromatów czyli Sarmatów. Miał to być ród niewieści, zupełnie oddany zawodom męzkim, polowaniu i wojnie, stojący pod rozkazami królowéj. Celem utrzymania rodzaju spółkowały z mężczyznami szczepów sąsiednich, ale tylko dzieci płci żeńskiej były wychowywane, dzieci płci męzkiéj zaś zaraz po urodzeniu tracono. Jakkolwiek wszystkie te opowiadania krytyka historyczna przekazała do dziedziny mytów, to jednakowoż, o ile wierzyć możemy opisom podróży, szczególnie na wybrzeżu Malabar znachodzą się uorganizowe państwa niewieście. Niewiasty mają tylko prawo do następstwa tronu „dziedziczenia majątków prywatnych i utrzymują sobie haremy złożone z najpiękniejszych mężczyzn. Los mężczyzn pod wszechwładztwem kobiet częstokroć (np. na wyspach ladrońskich, na wyspie wielkanocnéj) jest losem niewoli i poniżenia, a niewiasty z barbarzyńską nieludzkością nad nimi się pastwią. W ogóle wielomęztwo rozpostarło się na zachodnio-południowym krańcu Azyi, u niektórych barbarzyńskich szczepów Ameryki i Afryki. W górach Himalajskich zwykle kobiety miewają czterech mężów, w Tybecie wybiera najstarszy brat żonę wspólną dla wszystkich mężczyzn w skład rodziny wchodzących,

u Butanów zdarza się, że kilku braci, niemających dostatecznych środków do utrzymania żon, pojmuje jedną wspólną żonę, a dzieci z takiego małżeństwa (jeżeli tu jeszcze o małżeństwie mówić można) należą do najstarszego brata. Zwyczaj wielomęztwa miał istnieć także u starożytnych Medów.— Wspólność kobiet i mężczyzn, napotykali nowsi podróżni na wyspie Otahaiti, na wyspie Ceylon i na wielu wyspach oceanu południowego. Wszystkie te związki płciowe (wielomęztwo, wspólność kobiet i mężczyzn), znamionują najniższy szczebel cywilizacyi. Szczepy, u których takowe napotykamy, nie zaważyły swojem istnieniem na szali rozwoju rodzaju ludzkiego, a pogrążone w nocy ciemnéj barbarzyństwa, nie zerwały jeszcze z zwierzęcością, nie obudziły u siebie iskierki poczucia ludzkości. Ze szczególną odrazą przejmują nas związki wielomęzkie. Są one wraz z towarzyszącą im niewolą płci męzkiéj, rzeczywistym przewrotem naturalnego porządku rzeczy. Twórczość i działalność męzka, poddana wyuzdanéj samowoli niewiast! czyż można nawet wymarzyć coś potworniejszego? To też słusznie najznakomitsi myśliciele ludzkości potępiają te związki płciowe najprzewrotniejsze, i najochydniejsze. A wspólność mężczyzn i kobiet, czyli może zasługuje na nasze uznanie? Czyli można zaprowadzenie takowéj nazwać „rajem dzieci bożych.“

Napotykamy ją na najniższym szczeblu oświaty, w towarzystwie dziczy i barbarzyństwa, — gdzie człowiek jest-li tylko zwierzęciem. Że na tém stanowisku zwierzęcem nie możemy pozostać, że po pracy dziejowej kilku tysięcy lat około wydoskonalenia rodu ludzkiego, nie należy nam się cofać wstecz, i szukać zbawienia ludzkości w odtworzeniu praktyki barbarzyńskiéj, zdaje sie nie wymagać dowodu. Odwracamy się tedy ze zgrozą od téj religii mięsa, i jéj proroków nowszych ze szkoły Saint Simona (Enfantin) i Komunistów (George Sand, Fourier), którzy wspólność płciową kobiet i mężczyzn wskazują jako ideał doskonałości i chcą do téjże doprowadzić ludzkość. Rzeczywiście niepodobna nam wznieść się do téj rzekomej wysokości poglądu na stosunki prawa i moralności, głoszonéj także przez nowszą filozofię realną w Niemczech, która nam prawi, że na wyższych stopniach oświaty wywiążą się nowe formy małżeństwa, że dwóch przyjaciół (dla czego nie więcéj) pojmie dwie przyjaciołki za małżonki, i że w tym

pięknym związku wszystkim przysługiwać będą równe prawa i obowiązki. Za daleko też posuwa Hugo nienawiść przeciw związkowi małżeńskiemu, jeżeli na zakończenie swéj polemiki przeciw jednożeństwu zapytuje: „Czyż nie należy przyznać pierwszeństwa połączeniu kilku mężczyzn i kobiet, aby śmierć rodziców naturalnych nie osierocała dzieci?“ Zdaje się więc, że każdy przyzna nam słuszność, jeżeli opisane związki płciowe gdziekolwiek je napotykamy, uważamy tylko jako owoce barbarzyństwa.

b) *Stosunki narodów wschodnich na wyższym stopniu oświaty stojących.*

1. Chiny.

Jeżeli zapytamy jak się rozwinęły stosunki małżeńskie w „państwie środkowém ziemi albo w państwie niebieskiem“ jak Chińczyk swoją ojczyznę nazywa, to zdawałoby się, że najtrafniejszą odpowiedź winien nam podać wzgląd na okoliczność, że u Chińczyków alfą i omegą całego życia społecznego jest rodzina. Państwo jest u nich wielką rodziną, w któréj z nieograniczoną władzą panuje cesarz „syn słońca i ojciec wszystkich poddanych;“ rodzina znowu jest miniaturą państwa. Atoli to zidentifikowanie państwa i rodziny, właśnie jest powodem, że ani państwo, ani rodzina nie mają u Chińczyków w sobie właściwéj wewnętrznéj treści moralnéj i są tylko zewnętrznym mechanizmem, wśród którego wszystkie kółka życia po formie i według zewnętrznych prawideł się obracają. U Chińczyków cecha indywidualna pojedynczych ludzi jest zatarta, wszystko jest jednostajne. Chińczyk nie ma wewnętrznego przekonania o dobrem i złem, a brak treści wewnętrznéj zastępują formy zewnętrzne, przepisy szczegółowe, w których religia, moralność, prawo, miłość są ze sobą pomieszane. Wśród téj ciasnéj sfery bez świadomości własnéj, Chińczyka zmysł chłodny i praktyczny jest zadowolonym i tak maluje sobie według słów jednego z mędrców szczęście swoje: „O jakżem szczęśliwy, żem się w Chinach rodził! O jakim jest szczęśliwy! Mam dom, w którym sobie mieszkam! Mam sobie co jeść, mam co pić! Mam wszystkie życia wygódki! Mam i suknie, mam i czapki! O jakież błogie szczęście stało się udziałem moim.“

Ten charakter ogólny ludu chińskiego objawia się także w prawie małżeńskiem. Chińczyk nie wybiera sobie sam żony, według własnéj woli, kupują ją za niego i dla niego rodzice. Rodzice mężczyzny i niewiasty, które mają żyć w małżeństwie umawiają wszystkie dotyczące punkta, a gdy cena kupna za niewiastę jest ugodzoną, można małżeństwo uważać za zawarte, tak, że samowolnie, pod karą chłosty trzciną bambusową nie można od niego odstąpić. Dzieci muszą bezwzględnie ulegać postanowieniom rodziców, a oblubieniec nie widzi pierwéj swéj przyszłéj żony dopóki mu jéj nie odstawią do domu. Zakazane są małżeństwa między krewnymi, między mandarynami lub jego krewnymi, a niewiastą, która pochodzi z prowincyi jemu podległéj, nieważne są małżeństwa kapłanów, niewolnika z niewiastą wolną, małżeństwa zawarte z kobietami, które zbrodnię popełniły, wreszcie małżeństwa zawierane w czasie przepisanéj trzechletniéj żałoby po śmierci ojca, męża lub dziada. Zachodzi róznica zdań między pisarzami, czyli w Chinach małżeństwo z istoty swéj jest jednożeństwem, lub wielożeństwem. Jestto atoli tylko spór o słowo nie o rzecz samą. Chińczycy uważają w ogólności małżeństwo jako instytucyę do płodzenia dzieci, a wszczególności do płodzenia synów. Wielka ilość dzieci, albowiem już wedle przekonań religijnych narodów wschodnich w ogólności, a wszczególności także Chińczyków przyczynia się do szczęśliwości pośmiertnéj. Im więcéj dzieci płacze nad grobem, tem większe szczęście czeka zmarłego. Lecz także ze względów egoistycznych pragnie Chińczyk mieć synów, albowiem syn, przy nieistniejącéj różnicy stanów, może dojść do najwyższéj godności w państwie, a zawsze ma obowiązek starania się o utrzymanie ojca. Jeżeli do tego celu przysparzania dzieci a względnie synów, wystarcza jedna żona, Chińczyk upadłby w opinii publicznéj, gdyby, czego zresztą ustawa nie zabrania, miał nałożnice, jeżeli zaś niema synów, oprócz żony głównéj przybiera sobie żony uboczne. W każdym razie wymaga albowiem tego już rygor rodzinny, a właśnie Chińczycy są narodem chłodnego zewnętrznego porządku, żona pierwsza ma pewne przywileje i prawa w rodzinie. Jéj ulegają inne żony, ją uważają w rodzinie spłodzone dzieci za swoją matkę i okazują jéj cześć winną, jéj po śmierci męża nie mogą zniewolić krewni do powtórnego zamęścia. Żony

poboczne, czyli żony drugiego rzędu są tylko środkiem do płodzenia dzieci, niewolnicami stojącemi pod rozkazami męża, i żony głównéj, prostym towarem, na który nawet własne dzieci spoglądają z pogardą. Ta okoliczność jedynie, to jest przewaga, a raczéj despotyzm domowy jednéj żony wobec innych nadaje instytucyi małżeństwa w Chinach pewien pozór jednożeństwa. Ale nietylko stan żon drugiego rzędu, lecz wogóle stan kobiet w Chinach nie jest zadawalniający. Wypływa to już poniekąd z ogólnéj zasady, że u Chińczyków rodzina jest państwem w małym formacie. Jak w Chinach wszystko korzy się pod despotyczną bezwzględną władzą cesarza, tak ojciec w swéj rodzinie jest panem samowładnym. Co do niewiast przyjętą jest zasada ciągłéj zawisłości tychże przed ślubem od ojca, a po ślubie od męża, po śmierci męża od syna. Mąż może żonę chłostać, a wrazie cudzołostwa zabić. Niewiasta stanów wyższych przykuta jest do domu, nie śmié swego pokoju opuszczać, i jest raczéj do usługi, aniżeli do towarzystwa męża, a według twierdzenia *Barrowa*, nie śmié nawet jadać u jednego stołu z mężem. Jeżeli *Unger* twierdzi, że zazdrość małżonków uwalnia niewiasty w Chinach od robót polnych i innych zajęć ciężkich, to zapewne ma na myśli tylko mężatki stanów wyższych, albowiem kobieta stanów niższych musi podejmować prace najwięcéj uciążliwe. Tak niewiasta w życiu publiczném niema najmniejszego znaczenia. Mimo poniżenia płci niewieściéj atoli mąż nie może bez powodu żony wypędzić, uprawniają go atoli do rozwodu ustawy, jeżeli żona jest niepłodną. rozwiozłą, nie okazuje czci krewnym męża, jest gadatliwą, zawistną lub niedowierzającą, ma skłonność do kradzieży, wreszcie jeżeli ją sobie mąż znienawidzi. Na wypadek cudzołostwa mąż musi żonę odepchnąć. Żona może się rozwieść z mężem tylko, za jego zgodą i zezwoleniem, gdyby go zaś samowolnie odbiegła, może ją sam sprzedać. Powtórne zamęście po śmierci męża lub w razie rozwodu jest uświęcone ustawą i obyczajem, wdowy drugiego rzędu krewni męża po śmierci męża znowu za mąż wydają a raczéj sprzedają. Majątku żona nie posiada żadnego, albowiem wszystko co ma lub nabędzie należy do męża. W ogóle małżeństwo u Chińczyków ma cechę interesu czysto prywatnego, jest kupnem zwykłym, i nie ma znaczenia religijnego.

2. Indye.

W Chinach panuje zimny rozsądek, w Indyach wybujałość fantazyi, tam jednostajność wszechwładnego pierwiastku rodzinnego, tu rozmaitość stosunków, która się przedewszystkiem objawia w podziale narodu na kasty. „W Indyach, jak słusznie Kremer mówi, ludzkość przemarzyła wiek swego pacholęstwa, poranne dzieje swoje!“ Uderzony wszechmocą otaczającéj go przyrody, człowiek, nie mógł się wyzwolić z jéj więzów, wszędzie musiał upatrywać nieznane sobie potęgi, wobec których czuł się bezsilnym, a nie przyszedłszy do poczucia siebie samego, mógł tylko chyba oddać się marzeniom. Ztąd w wyobrażeniach religijnych zapanował panteizm, we wszystkich stosukach życia zaś fantastyczność, która pod wpływem przewagi świata zewnętrznego, przejętą jest atoli zmysłowością. Jeżeli zaś wszystko jest boskiem, toć i małżeństwo mysi być rzeczą boską, i tak przybiera ono w Indyach charakter religijny. Ale jak wogóle religia panteistyczna uświęca wszystkie sprzeczności, tak fantazya senna marząca nie wyradza rozumowych pojęć i mięsza wszystko. Tak napotykamy wszędzie w Indyach ostateczności, z jednéj strony wyuzdane chęci zmysłowe, podniesione do kultu religijnego, z drugiéj strony zabicie wszelkiéj cielesności i uczuć zmysłowych. Właśnie te sprzeczności odpowiednie dziecinnemu charakterowi Indyan objawiają się także w stosunkach płciowych. Wyrodziły z jednéj strony rozwiozłość Bajaderek, które każdemu muszą się poddać, z drugiéj zaś strony ascetyzm, wymagany n. p. od wdów po śmierci męża. Lecz przejdźmy do szczegółów.

Chłodna rozumowść Chińczyków zadowoliła się jedną formą zawarcia związku małżeńskiego, to jest kupnem, wielokształtna fantazya Indyan wyrobiła sobie 8 form związków małżeńskich.

Według księgi ustaw Menu, która stanowi podstawę prawodawstwa indyjskiego, są takowe: 1) forma Brahmy, gdy ojciec obleka córkę w jednę tylko szatę i oddaje ją braminowi, którego uprosił i przyjął; 2) Daiva gdy ojciec ustroiwszy córkę wspaniale wręcza ją kapłanowi pełniącemu ofiarę, 3) Rishisa albo Arsza (oblubieniec daje ojcu oblubienicy 2 krowy); 4) Asura (oblubieniec daje więcéj niż 2 krowy i wybiera sobie

sam żonę); 5) Gandharva (małżeństwo zawarte na zasadzie wzajemnego przywiązania); 6) Prajapartya (ojciec oddając córkę błogosławi związek słowy, obyście wspólnie wypełniali wasze religijne i świeckie obowiązki); 7) Ratschasa (mąż zdobył żonę w wojnie); 8) Paisacha (jeżeli mąż pojmie za żonę kochankę, z którą w sposób niedozwolony spółkował). Błogosławione małżeństwa są te, przy których ojciec sam córkę oddaje (Brahma, Daiva, i Prajapatya) małżeństwo zaś w innéj formie zawarte jest małżeństwem złem. Widzimy że te różnice związków małżeńskich polegają po większéj części na formach i małoznaczących przedmiotach, a zapatrywanie się Indyjskie na małżeństwo cechuje okoliczność, że właśnie małżeństwa, polegające na wzajemnem przywiązaniu, na miłości (Gandharva), które według naszych wyobrażeń są najszczytniejsze, u nich nie są uświęcone. Są to małżeństwa złe, z których, jak się wyrażają księgi Menu powstaną „synowie okrutni, kłamliwi.“ Wiek do zawarcia związku małżeńskiego uzdalniający był u mężczyzn zwykle 16, u niewiast 8 rok życia. Głównym celem przy zawarciu związku małżeńskiego jest spłodzenie syna. Spłodzenie przynajmniéj jednego syna jest obowiązkiem religijnym mężczyzny tak ze względu na przodków, jak na własne zbawienie, albowiem tylko pośmiertne ofiary (Sraddha) syna mogą uwolnić ojca z piekła. Ta konieczność religijna posiadania syna stała się podstawą niektórych instytucyj prawnych, które dozwalały w sposób oryginalny przysposobienia synów obcych (np. córki). Z tego powodu dopiero ścisłe połączenie małżonków następuje przez urodzenie syna. Co się tyczy pożycia małżeńskiego, to księgi Menu oznaczają związek małżeński za związek najściślejszy. „Mąż i żona są tylko jedną osobą, których ciało i kości tak łączą się w jedną całość, jak rzeka, która wpływa do morza.“ To też w poezyach indyjskich napotykamy rzadkie uszanowanie dla płci pięknéj, stosunek małżonków przedstawiony w barwach idealnie pięknych. Kobieta nie ulega karze śmierci, nie można jéj się dotknąć nawet krawędzią szaty; niewolno jéj uderzyć nawet kwiatem, choćby sto błędów popełniła. Według ksiąg Menu, małżonek winien się starać o dobrobyt i uprzyjemnienie życia żony, ma sprawiać jéj perły i klejnoty, a w przepisach ogólnych czytamy, że cześć dla kobiet podoba

się bogom, gdzie zaś kobiety są przedmiotem pogardy, nie przydadzą się na nic obrządki religijne. Jeżeli tym sposobem może stan płci niewieściéj jest pomyślniejszy niż w Chinach, to jednakowoż także w Indyach napotykamy ogólną cechę prawodawstw wschodnich to jest zupełną zawisłość niewiasty od mężczyzny. Kobieta niema rozrządzalności, musi w mężu upatrywać istotę najwyższą, kochać go, jakkolwiek tenże obowiązków swych niedopełnia, jeżeli chce przejść do nieba. Do téj zawisłości kobiet przyczynia się także wielożeństwo, które prawnie jest dozwolone. Wprawdzie wskazują księgi Menu jednożeństwo jako urządzenie doskonalsze, czytamy tamże, „że wtedy tylko mąż jest doskonałym, jeżeli składa się z trzech osób: z żony, z siebie i ze syna“ (Cap. IX. 45) daléj: „że gdzie mąż żoną, a żona mężem się zadowolni, w takim domu szczęście zawsze trwale przemieszkiwać będzie (Cap. II. 60) jednakowoż prawodawstwo nie było wstanie przełamać zmysłowéj natury narodów wschodnich i dla tego wielożeństwa dozwoliło. Żaden mężczyzna nie śmié pojąć za żonę niewiastę z kasty wyższéj, atoli małżeństwa mężczyzn 3 kast wyższych z niewiastami kast niższych jest dozwolone, jeżeli mąż już ma żonę z kasty własnéj. Tylko żona z téj saméj kasty, do któréj mąż należy, może być żoną główną, a dzieci z nią spłodzone należą do téj saméj kasty. Jednakowoż wolno pojąć sobie kilka żon z téj saméj kasty. U trzech kast wyższych zabronione są także małżeństwa z powodu pokrewieństwa. Kastowość tedy nie wyklucza w ogóle małżeństw między osobami należącemi do różnych kast, tylko je ogranicza. Ztąd prócz kast głównych różne kasty mieszane powstały.

Przejdźmy teraz do postanowień o rozwiązaniu małżeństwa. Musimy uważać za postęp prawodawstwa indyjskiego, że także żonie w pewnych przypadkach przysłuża prawo żądania rozwodu od męża i że na wypadek, jeżeli mąż stał się przyczyną rozwodu, odzyskała swój majątek. Męża prawa są jednakowoż rozleglejsze, a w szczególności może rozwieść się z żoną jeżeli jest niepłodną (jednakże dopiero po trzech latach) lub rodzi same córki. Mąż pod rygorem utraty majątku nie śmie żony bez przyczyn prawnych oddalić, ale zawisłość zupełna żon od mężów charakteryzuje ta okoliczność, że mąż może rozwieść się z żoną, jeżeli takowa okazuje zły humor.

Charakterystyczną cechą prawa małżeńskiego indyjskiego jest: że małżeństwo dla kobiet, jest nierozwiązalnem. Mąż mógł mieć żon kilka, żonie nie było wolne po rozwodzie powtórnie pójść za mąż. Nawet po śmierci męża nie odzyskała żona wolności, i owszem, odtąd rozpoczyna się dla wdowy życie pełne smutku, rozpaczy, pokuty. Powtórne zamęźcie jest najsurowiéj zakazane, a wdowa jest w ogóle, w szczególności zaś jeżeli niema dzieci, przedmiotem pogardy. Nic dziwnego tedy, jeżeli wdowa po śmierci męża woli z nim razem spłonąć na stosie niż prowadzić daléj żywot rozpaczliwy, ma bowiem nadzieję, że z mężem na świecie drugim tak ściśle się połączy w jedną osobę, jak za życia. Zestawiając wszystkie przytoczone powyż przepisy małżeńskie u Indyan, znachodzimy tak, jak w ogóle w całém życiu tego narodu sprzeczności które pogodzić się nie dadzą. 1) Małżeństwo jest rzeczą świętą i religijną, ale ta religijność ogranicza się tylko do formułek zewnętrznych bez treści, nie wnika w istotę rzeczy i ztąd pochodzi potępienie małżeństw z miłości powstałych. 2) Wyższość jednożeństwa uznają ustawy, w praktyce zaś panuje wielożeństwo. 3) Kobieta jest przedmiotem szacunku, a jednak korzy się przed wszechwładztwem męża. Tych sprzeczności duch indyjski nie mógł pogodzić, przeczuł atoli, i to rzeczywiście z przyjemnocią zapisać należy, iż teoretycznie przynajmniéj uznał zasady zdrowe, które dopiero pod wpływem religii chrześciańskiéj u narodów europejskich praktycznie i ze świadomością zostały przeprowadzone.

Ramki skromne naszéj rozprawki nie dozwalają nam ten obraz dziejowy małżeństwa u narodów wschodnich z wszelką przytoczyć dokładnością, musimy przeto ograniczyć się do najważniejszych narodów i w tym celu pomówimy jeszcze tylko o Persach, Mahometanach i Żydach.

3. Persya.

Nie zamierzamy tutaj bynajmniéj skreślać dziejów małżeństwa w potężnem, prawie wschód cały obejmującem państwie Cyrusa i Kambyzesa; chodzi nam tylko o przedstawianie kilku rysów charakterystycznych z pięknéj religii Zoroastra, przedstawionéj w księdze Zend-Avesta. Świat cały według Zend-

Avesty, jest walką, państwa światłości (Ormuzda) i państwa ciemności (Ahrimana), życie ludzkie przedstawia tę samą walkę, a zadaniem człowieka wśród walki życia, dążyć do czystości, do zwycięstwa geniuszu światła i czystości, nad demonem ciemności i przewrotności. Ten duch czystości objawia się także w małżeństwie. Małżeństwo nie jest jak w Indyach już samo przez się rzeczą boską, nie jest daléj jak w Chinach instytucyą czysto państwową, lecz środkiem do doskonałości, przejściem do nieskazitelności światła. Ztąd napotykamy postanowienia, odnoszące się do zachowania czystości obyczajów, zakaz wszelkiéj rozwiozłości i niemoralności płciowéj, albowiem rozwiozłość według prawa, jest źródłem wszelkiego złego, zgwałcenie zaś jest występkiem, którego niczem nie można zmazać. Dorzućmy do tego wyobrażenie o związkach płciowych, wysokie poważanie kobiet, w których upatruje zwolennik nauki Zoroastra, także istotę dążącą do doskonałości, a wytłumaczymy sobie łatwo, że nauka Zoroastra potępia wielożeństwo i jednożeństwo surowo nakazuje. Tylko w jednym wypadku dozwolone jest wielożeństwo, jeżeli żona nie jest płodną, albo niema synów; albowiem bezdzietny nie może przejść przez Tszinevad, wiodący do nieba. Pojęcie drugiéj żony atoli, jest tylko wówczas dozwolone, jeżeli w małżeństwie po pożyciu 9-letniem niema dzieci. Ponieważ małżeństwo niema według nauki Zoroastra pierwiastku zmysłowego, niema u Persów pojęcia o kazirodztwie, i owszem małżeństwa między krewnymi najbliższymi, między siostrzenicami i bratanicami, a nawet między rodzicami i dziećmi są dozwolone, a Zend-Avesta uważa takie małżeństwa między najbliższymi krewnemi za najdoskonalsze (Kethudas). Form do zawarcia związków małżeńskich, które wszystkie otrzymują błogosławieństwo kapłańskie, jest pięć. Nigdzie na Wschodzie z taką dobitnością nie widzimy podniesionéj zasady jednożeństwa i poszanowania dla płci niewieściéj, jak w nauce Zoroastra; atoli zarody wielożeństwa tkwią w jednostronnem, charakterowi wschodniemu odpowiedniem podniesieniu celu płodzenia dzieci. Ta „świetlana“ rzeklibyśmy nauka, nie poskromiła wszelako zmysłowości wschodniéj, a jak straciwszy treść wewnętrzną stała się w ciągu wieków zmysłowem światłobożeństwem; tak zmysłowość także w stosunkach płciowych przemogła suro-

wość postanowień dotyczących i doprowadziła do wielożeństwa i wyuzdanéj rozwiozłości w państwie Perskiem.

4. Żydzi.

Chcąc skreślić zarysy prawa małżeńskiego narodu żydowskiego, rozróżnić trzeba prawo Mojżesza od uzupełnienia i przeobrażenia tegoż w Talmudzie. Pierwsze, jakiekolwiek o czasie powstania pięcio-księgu Mojżesza, mogą być wyobrażenia powstało niewątpliwie, gdy naród żydowski jeszcze zamieszkiwał na ziemi obiecanéj i był połączonym węzłem państwowym, drugi powstał późniéj, nosi na sobie cechę wieków późniejszych, gdyż wyrażenia jego i niektóre urządzenia okazują, że redaktorom znane było prawo rzymskie i greckie. Jakkolwiek naród żydowski ze wszystkich narodów starożytnych najlepiéj poznał istotę Boga i ducha, to jednakowoż w prawie małżeńskiem jeszcze przeważa typ wschodni. Już tradycya religijna (Abraham, Jakób) wskazywała, że ojcowie narodu żyli w wielożeństwie; prawodawstwo Mojżesza, tego tradycyjnie uświęconego i narodom wschodnim właściwego zwyczaju nie mogło przełamać. Przepisów co do ilości żon prawo Mojżeszowe nie zawiera i owszem mąż względem zaspokojenia swego popędu płciowego nie jest ograniczonym. Dość wskazać na przykład Dawida i Salomona, aby uchylić wszelką wątpliwość, że wielożeństwo nie było zabronione. Jakkolwiek prawodawstwo żydowskie dopuszcza wielożeństwo, to jednakowoż uważa jednożeństwo za stan doskonalszy, a Mojżesz z téj przyczyny nakazuje przyszłemu królowi Izraela, aby nie miał wiele żon (Deuhron XVIII, 17). Dalszą cechą prawodawstwa małżeńskiego żydowskiego jest kupno żony (Genesis 34, 12. Exod XII. 15, 19. Deuchron XII, 29), który wedle Gansa jest jedynym sposobem otrzymania żony. Cena kupna za żonę, która ojcu albo braciom musiała być zapłaconą, wynosiła 15 do 50 srebrników (12 do 42 talarów). Odtąd stała się żona własnością męża i całéj jego rodziny. Stanowisko ojca jako naczelnika rodziny tłumaczy nam także, że ojciec wybiera żonę dla syna; tem też bardziéj córka przy zawarciu związku małżeńskiego żadnego nie ma głosu i idzie za tego, któremu ją ojciec sprzeda. Talmud, który w téj materyi, jak

wogóle wszędzie okazuje zbliżenie się do zapatrywań europejskich, zatrzymuje wprawdzie kupno jako sposób zawarcia małżeństw; ale to kupno podobnie jak *coemtio* w prawie rzymskiem, jest aktem tylko symbolicznym. Oprócz tego zna także dwa inne sposoby zawarcia małżeństwa, to jest przez umowę i spółkowanie; uwydatnia więc brakujące we wszystkich prawodawstwach wschodnich znamię zezwolenia niewiasty do zawarcia małżeństwa.

Co do przeszkod małżeńskich, musimy szczególną zwrócić uwagę na przeszkodę *pokrewieństwa i powinowactwa*. Prawo Mojżeszowe nie zna stopni pokrewieństwa, tylko wylicza szczegółowo osoby, z któremi małżeństwa zawierać nie można. Tak zakazuje małżeństwa z następującymi krewnymi i powinowatemi z ojcem i matką, z żoną ojca, z siostrą z ojca albo z matki, córką syna albo wnuczką z córki, z siostrą rodzoną albo przyrodnią, z siostrą ojca albo matki, ze stryjem i jego żoną, z żoną syna, z żoną brata, z pasierbicą, z córką pasierba i z córką pasierbicy. Tylko jeżeli brat umarł bezdzietnie, drugi brat (lewir) musiał wdowę pozostałą pojąć za małżonkę, gdyż inaczéj ulegał karze hańbiącéj (chaliza) i był przedmiotem pogardy. Syn pierworodny z takiego małżeństwa nosił imię zmarłego brata. Oprócz małżeństw między krewnymi, zabronione były ze względów religijnych małżeństwa z córkami narodów sąsiednich. Już sposób nabycia żony, to jest kupno, wskazuje, że kobieta wobec męża zajmowała bardzo podrzędne stanowisko i zostawała w zupełnéj uległości dla męża. Jednakowoż stała kobieta poniekąd pod opieką prawa. Prawo Mojżeszowe ze szczególną troskliwością czuwa nad dziewiczością; kto dziewicę uwiedzie, musi ją pojąć za żonę i nie będzie jéj mógł opuścić przez wszystkie dni żywota swego, w każdym razie zaś zapłacić ojcu 50 srebrników. Żadna z córek Izraela nie śmié się oddawać nierządowi. Jeżeli mąż zaprzeczył pojętéj żonie dziewictwa, a twierdzenie jego się stwierdziło, żona ulegała karze śmierci; jeżeli zaś to oskarzenie było potwarzą, musiał ją za karę trzymać przez całe życie i rodzicom 100 srebrników wypłacić.

Te przepisy jakkolwiek surowe, świadczą wymownie, jak wysoko prawa Mojżeszowe cenią i chronią cześć niewiasty, i przybierają tem większe znaczenie, jeżeli się zważy, że na-

rody w sąsiedztwie Żydów zamieszkałe, oddawali cześć bożyszczom, które wymagały poświęcenia czci dziewiczéj i rozwiozłość wyuzdaną podnieśli do znaczenia kultu religijnego, bogom przyjemnego. Wobec tych przepisów słusznie twierdzić można, że prawa Mojżeszowe podniosły kobietę do zuaczenia osoby. Z szczególną troskliwością opiekuje się daléj prawo żydowskie pożyciem małżonków, a Talmud zawiera np. nawet szczegółowe przepisy względem obcowania cielesnego małżonków.

Głównym celem małżeństwa także według prawodawstwa żydowskiego, jest płodzenie dzieci, a mnogość dzieci uważa Izraelita za największe błogosławieństwo boże. Ta okoliczność tłumaczy nam poniekąd wielożeństwo. Z wielożeństwa wynika także zasada wszystkim narodom wschodnim wspólna, że tylko żona może złamać wiarę małżeńską. Cudzołostwo ulega karze najsurowszéj, karze śmierci. Nawet obcowanie cielesne z narzeczoną innego, jest zabronione pod karą śmierci, któréj ulegają mężczyzna i niewiasta, lub tylko mężczyzna, jeżeli występek został popełnionym w polu. Żona, którą mąż podejrzywał o cudzołostwo, a nie miał na to dostatecznych dowodów, musiała się oczyścić przysięgą wobec kapłana z czynionego jéj zarzutu.

Jak mąż wogóle miał wszelką władzę nad żoną, tak mógł też samowolnie z żoną się rozwieść, „jeżeli nie znajdzie łaski przed obliczem jego dla jakiego plugastwa,“ i tylko na znak rozwodu ma jéj napisać list rozwodowy. Żona zaś nie mogła żądać rozwodu od męża, albowiem wobec męża nie miała praw żadnych. Żona, któréj mąż dał list rozwodowy, może powtórnie pójść za mąż. Tę samą zasadę, że rozwód zależy od woli męża, znachodzimy także w Talmudzie; jednakowoż uznać należy dążność tegoż do ograniczenia samowolnych rozwodów: *a)* przez przepisanie utrudniających formalności, wymaganych do ważności listu rozwodowego; *b)* przez naganę rozwodu z żoną pierwszą (żoną młodości). Wogóle kwestya, czyli mąż może rozwieść się z żoną zupełnie samowolnie, lub tylko dla pewnych przyczyn była sporną. Szkoła *Hillela* uważała rozwód za akt samowoli męża, gdy tymczasem szkoła *Szameja* przyjęła zasadę, że mąż tylko dla przewrotności żony może jéj dać list rozwodowy. Były także prze-

widziane pewne wypadki, w których żona mogła zniewolić męża, aby jéj dał list rozwodowy.

Z powyższego przedstawienia do którego tylko dodać należy, że według prawa mojżeszowego i talmudu małżeństwo jest aktem cywilnym (kupnem rzeczywistym względnie symbolicznym) — i dopiero później pod wpływem prawa kanonicznego, przy zawarciu związku małżeńskiego zaczęto zachowywać pewne formy religijne, wynika, że małżeństwo według praw żydowskich zupełnie opiera się na zasadach praw wschodnich. Mimo to już w samym zawiązku prawa małżeńskiego u żydów tkwi pierwiastek wyższy. Małżeństwo jest podstawą rodziny, a rodzina według pojęć żydowskich jest świętą, gdyż cały naród żydowski jest rozrostem jednéj rodziny, którą Jehova sobie upodobał. Ztąd znaczenie wysokie rodziny u żydów i dążność utrzymania jéj w nieskazitelności. Małżeństwo nie jest tedy u nich wynikiem zmysłowości, tylko instytucyą bożą do rozmnożenia rodu ludzkiego (Genesis 1, 27, 28), a w szczególności do utrzymania narodu wybranego, z którym Jehova zawarł przymierze. Pojęcie wyższe małżeństwa, „dla którego człowiek opuści ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swéj i będą dwoje w jednem ciele“ (Genes. II, 24), zostało wprawdzie poniekąd zatarte obyczajem wschodnim, jednakowoż duch rodzinny utrzymał żydów, rozproszonych po całym świecie, podczas gdy inne narody nie wytrzymały burz wieków i znikły bez śladu. Zwolna i u żydów szczególnie pod wpływem cywilizacyi europejskiéj zatarły się pierwiastki wschodnie, mianowicie wielożeństwo, które już po powrocie z niewoli babilońskiéj nie było częstem, w 12 stuleciu po narodzeniu Chrystusa zupełnie ustało.

5. Ludy mahometańskie.

W religii Mahometa odżył na nowo i spotężniał duch wschodu. Pojęcie Boga u Mahometa jako czystéj abstrakcyi, wobec któréj wszystko, a więc także osobistość, rodzina, małżeństwo niknie i niema znaczenia, nie zawierało w sobie tyle dodatności i treści, aby mogło podać zasady zdrowe do uregulowania stosunków życia. Zaczerpnął tedy Koran, o ile zawiera postanowienia (częstokroć sprzeczne) dla stosunków

życia treść swoją ze zwyczajów staréj Arabii, i trzymał się ściśle właściwości narodów wschodnich. W sprawach małżeńskich musiała tedy zapanować owa narodom wschodnim właściwa zmysłowość, która nie jest ujętą w karby rozumu. Zmysłowość jest rzeczywiście podstawą postanowień przypadkowych, o prawie małżeńskiem, które Koran zawiera. Wszak sam prorok nie uznaje żadnych granic dla swéj wyuzdanéj zmysłowości, wszak przyrzeka swym wiernym niebo, pełne zmysłowych słodyczy, w którem wśród pięknych ogrodów pod cieniem drzew rajskich obcować będą z huryskami dziewiczemi. Takie wyobrażenia, wypływające z zmysłowości niepohamowanéj musiały przedewszystkiem uświęcić wielożeństwo. Ilość żon, które Mahometanin według Koranu może posiadać, wynosi cztery. To ilościowe ograniczenie odnosi się atoli tylko do żon głównych. Oprócz tych posiadać może Mahometanin prawem nieograniczoną liczbę niewolnic, względem których przysługują mu bezwzględne prawa własności. Zabronione jest małżeństwo z powodu pokrewieństwa między temi samemi osobami jak w prawie mojżeszowem, a oprócz tego między wujem i siostrzenicą, spółwychowańcem i spółwychowanicą, niedozwolone jest małżeństwo z wnuczką, wreszcie niewolno równocześnie mieć za żony kilka sióstr lub ciotkę i siostrzenicę. Dozwolone są zaś małżeństwa z żydami i chrześcianami, zabronione z poganinami. Koran nie zawiera przepisów szczegółowych o sposobie zawarcia związku małżeńskiego. Kobiety, które prawa ręka posiada, t. j. nałożnice nabywa Mahometanin albo kupnem na własność nieograniczoną, albo wynajmuje je sobie na czas ściśle oznaczony (Kabin), żonę prawowitą w państwie ottomańskim otrzymuje mąż przez umowę, którą najczęściéj zawierają rodzice oblubieńców, tak, że mąż swéj żony przed zawarciem małżeństwa nawet nie widzi. Mąż ma obowiązek zapisania i zapłacenia oprawy (mihr), dla żony. Część takowéj należy jednakowoż do rodziców i męskich krewnych żony, reszta żonie, któréj na wypadek śmierci męża lub rozwodu żądać może. Okoliczność, że część oprawy przy zawarciu małżeństwa umówionéj przypada krewnym żony, że daléj mężowi, którego żona z powodu różnicy wiary opuści, oprawa musi być zwróconą, nadaje tejże, jak słusznie Gans i Unger zauważali, cechę ceny kupna. Mąż ma obowiązek

utrzymywania żony. Trudność utrzymania żon kilku, daléj konieczność zapisania dla niéj oprawy, jest powodem, że wielożeństwo jakkolwiek jest prawnie dozwolone w nowszych czasach stało się rzadszem, tak, że według Ungera na 100 mężczyzn ledwie jeden ma dwie żony, a na 500 mężczyzn nie ma żadnego, któryby miał więcéj niż dwie żony. Natomiast panuje taka łatwość rozwiązania małżeństwa, rozwody i zawieranie ponownych związków małżeńskich w niektórych krajach tak się zagnieździły, że według świadectwa *Lanego* przeważająca ilość mężczyzn co miesiąc inną ma żonę.

Koran potępia wprawdzie lekkomyślne rozwody, naucza, że lepiéj się pogodzić jak rozwieść, lecz te przepisy ogólnikowe nie mają znaczenia wobec uznanéj prawnie samowoli męża, który bez podania powodów z żoną rozwieść się może i tylko zachować musi pewne prawem przepisane formalności, pod rygorem nieważności. Żona żądać może rozwodu tylko w pewnych przypadkach, jednakowoż prawo rozwód na żądanie żony tak utrudniło, że wypadki w których żona by rozwodu żądała, są bardzo rzadkie. Mężatka rozwiedziona lub wdowa, może po upływie pewnego czasu, powtórnie wyjść za mąż.

Z tego ogólnego zarysu prawodawstwa mahometańskiego o małżeństwach widzimy już, że małżeństwo nosi na sobie cechę wszystkim narodom wschodnim wspólną. Kobieta jest w poniżeniu. Sam prorok uczy, że Bóg dał mężczyźnie przewagę nad niewiastami, że mężczyźni mają władzę nad kobietami, że kobieta ma tylko połowę wartości mężczyzny, że mąż wszelkiemi środkami, nawet chłostą cielesną zniewolić może żonę do posłuszeństwa. Mahometanin, jak Unger podaje, wątpi nawet o tem, czy kobieta ma duszę i czy wnijdzie do raju, lub przypuszcza przynajmniéj, że raj dla mężczyzn jest innym. Kobieta, skazana na życie zamknięte, w haremie, w którym prócz męża i krewnych najbliższych żadnego mężczyzny widzieć nie może bez zasłony, odbiera w ogóle tylko wychowanie odpowiednie swemu poniżającemu przeznaczeniu, jako narzędzie dla zmysłowości mężczyzny. Tylko w téj sferze odosobnienia od świata zewnętrznego, ma kobieta pewne poważanie, a jak w ogóle ród niewieści jest według pojęć mahometańskich, niższym od męzkiego,

tak przyznać trzeba, że Koran poleca mężczyznom, aby ze swojemi żonami łagodnie się obchodzili i im nie wyrządzali krzywdy.

6. Charakterystyka ogólna instytucyi małżeństwa u narodów wschodnich.

Na zasadzie powyższego, jakkolwiek tylko pobieżnie naszkicowanego obrazu stosunków małżeńskich u narodów wschodnich, możemy uwydatnić kilka rysów charakterystycznych, wszystkim narodom wschodnim wspólnych.

I. Instytucya małżeństwa uważaną jest częścią jako środek do zaspokojenia chuci zmysłowych, częścią jako instytucya do płodzenia dzieci. Narody wschodnie, mimo uderzających częstokroć wyrażeń, zdradzających przeczucie wyższych celów małżeństwa, zatrzymały się przy urządzeniu małżeństwa na stanowisku zupełnie zmysłowem. Małżeństwa takiego, któreby było połączeniem osób rożnopłciowych do wzajemnego uzupełnienia odwrotności płciowych, tak fizycznych, jak umysłowych, narody wschodnie nie znają. I nie mogło też być inaczéj, gdyż

II. Kobieta na wschodzie jest w poniżeniu, bo wschód wogóle jest ojczyzną despotyzmu, gdzie tylko jeden panem, a reszta korzy się przed nim w prochu. Otóż na wschodzie mąż jest owym panem wszechwładnym, niewiasta służebnicą, która wobec mężczyzn niema prawa. Ztąd pochodzi ów prawie wszędzie na wschodzie napotykany sposób zawierania małżeństwa przez kupno żony, ta ciągła zawisłość niewiasty od mężczyzn, przy któréj niema własnéj woli, tylko ulega przewadze rodu męzkiego, tak, że co do małżeństwa jéj wola, jéj postanowienie żadnego niema znaczenia. W ciągu małżeństwa ulega zupełnie mężowi, a od jego woli zależy ją odepchnąć.

Obyczaj, przestrogi religijne mogą ten stosunek zupełnéj zawisłości złagodzić, zawsze jednak kobieta na wschodzie nie dojrzała do osoby w obec męża uprawnionéj. Nie stanęła więc obok męża jako równa mu towarzyszka życia, tylko jako sługa i niewolnica. To poniżenie kobiety uważamy za najistotniejszą cechę prawodawstw wschodnich. Uważają je zwy-

kle za skutek wyłączny wielożeństwa, my atoli tak ścisłego związku przyczynowego między wielożeństwem a poniżeniem kobiet nie możemy się dopatrzyć, gdyż wielożeństwo jakkolwiek na wschodzie ogólnie prawie jest uznane, przecież, jak to widzieliśmy u ludów mahometańskich, nie jest tak częstem, a mimo to zawsze kobieta w zupełnéj pozostaje zawisłości od męża, nawet u tych narodów wschodnich, które żyją w jednożeństwie jak np. u Czerkiesów. Wypływa to raczéj ze zmysłowego pojmowania małżeństwa, przy którem kobieta także tylko ze strony swéj właściwości płciowéj, cielesnéj uwzględnioną została. Jéj znaczenia właściwego dla ludzkości nie rozwinęły narody wschodnie. Jeżeli zaś poniżenia kobiet nie przypisujemy wyłącznie

III. Wielożeństwu, które stanowi dalszą cechę prawodawstw wschodnich, to mimo to uznajemy, że i wielożeństwo wpłynęło poniekąd na ten stan dla kobiet niekorzystny, albowiem, ażeby już o innych następstwach przemilczeć, wielożeństwo sprowadziło haremy, ograniczyło kobiety do zacisza domowego, i pozbawiło je tym sposobem wpływu właściwego na stosunki społeczne.

Wykazawszy najgłówniejsze cechy prawodawstw wschodnich o małżeństwie, śledźmy dalszego rozwoju téj instytucyi u narodów *europejskich.*

c) *Małżeństwo u narodów europejskich przed rozpowszechnieniem wiary chrześcijańskiéj.*

1. Grecya.

Na samym wstępie Europy wita nas młodzieńcza Hellada — ojczyzna klasycyzmu — piastunka piękna. U Greków niema rozbratu między przyrodą i duchem, i owszem panuje harmonia natury i ducha, a przeprowadzić ten harmijny ustrój we wszystkich stosunkach życia jest zadaniem Grecyi. „Przedstawić piękno w świecie umysłowym, tak jak „takowe jest wyrażone w świecie zmysłowym, mówi trafnie „Stahl, jest w Grecyi zadaniem człowieka i państwa.“ Grek widzi w świecie natury fizycznéj samoistną piękność, je-

dność, harmonię. Tę samą piękność przenosi w świat umysłowy i moralny „Kossmos staje się przewodniczącą zasadą umysłowego i moralnego ukształtowania bytu.“ W dziedzinie przyrody panuje harmonia, wszystko mimo wielkiéj rozmaitości zlewa się w piękną całość. Tak samo w życiu społecznem powinien panować porządek piękny, wszystkie krzyżujące się i sprzeczne interesa pojedyńczych ludzi, powinny zlać się w jeden ustrój, a tym na wzór przyrody utworzonym zestrojem jest państwo. W państwie dopiero jednostka ma swoje właściwe znaczenie, w niem tylko żyje i oddycha, a pojedyńczy człowiek ma prawa tylko w charakterze obywatela państwa.

Ztąd rozwinęło się w Grecyi głównie państwo i byt państwowy; ztąd też instytucya małżeńska stała się przeważnie instytucyą państwową. Ta charakterystyczna cecha małżeństwa u Greków, objawia się przedewszystkiem w Sparcie. Tam państwo stało się ową wszechmocną potęgą, które w sobie zamykało wszystkie cele bytu ludzkiego. Małżeństwo, według prawodawstwa Lykurga, miało tylko służyć do tego, aby państwu przysporzyć obywateli dzielnych, zdrowych i bitnych. Niewiasta miała tylko znaczenie jako matka obywateli, i do tego też jéj właściwego przeznaczenia, stać się matką, zmierzało jéj wychowanie. Niewiasta wyrastała wspólnie z mężczyznami, wspólnie z nimi i nago— wykonywała ćwiczenia gimnastyczne, *a)* aby jéj ciało nabrało hartu i siły do rodzenia, *b)* aby daléj także młodzieniec uderzony plastyczną pięknością niewiasty, nabrał ochoty do małżeństwa. Młodzieniec dziewicę, którą chciał pojąć za żonę, wykradał i porywał, a z żoną w ten sposób nabytą schodził się tylko ukradkiem, co według Ksenofonta miało się przyczynić do płodności małżeństwa. Państwo stało się tak alfą i omegą całego życia Spartanów, że poświęcali mu wszystko, nawet wiarę małżeńską. Jeżeli możemy wierzyć Plutarchowi, małżonkowie żony swe nawzajem sobie wypożyczali dla poprawienia rasy i z tego powodu też mawiano, że w Sparcie nieznają cudzołostwa. Wobec téj wszechmocy państwa nie ma w Sparcie właściwego życia rodzinnego, rodzice nie troszczą się o dzieci, bo wychowanie należy do państwa. Państwo nakazuje mężczyznie się żenić, przepisuje czas i wiek do tego przydatny; państwo

chce mieć tylko obywateli zdrowych i z tego powodu nakazuje ojcu zabijać dzieci przy narodzeniu wątłe. Nie można atoli twierdzić, że los kobiet w Sparcie jest równy losowi niewiast na Wschodzie. Na Wschodzie kobieta jest niewolnicą, mężczyzna jéj panem; w Sparcie kobieta wolna, ale razem z mężczyzną stoi pod władzą wszechmocną idei państwa. Ta idea państwa staje się także dla Spartanki bożyszczem, ona zachęca i zagrzewa mężczyznę do bitności, dzielności; jéj charakter przybrał tensam hart i surowość jak u mężczyzn, O ile idea państwowa pozwala, jest kobieta wolną, ma poszanowanie, otrzymuje wspólne z mężczyznami wychowanie, i dopiero gdy wyjdzie za mąż, usuwa się do zacisza domowego. Można nawet twierdzić, że kobieta w Sparcie zajmuje względnie stanowisko wyższe niż w Atenach, o których nam obecnie pomówić wypada. Także w Atenach wszystko odnosi się do państwa, lecz duch szczepów jońskich swobodniejszy nie dał się ująć tak silnie mechanizmem państwa jak w Sparcie. Dla osobistości pojedynczéj pozostaje rozleglejsza dziedzina do działalności samoistnéj. Ta swoboda większa stanowi też różnicę charakterystyczną prawodawstwa Solona od prawodawstwa Likurga. W Atenach mąż sobie swobodnie żonę wybiera, niema też obowiązku bezwzględnego wstępowania w stan małżeński, z tego powodu ustają środki przymusowe przeciw bezżennym. Małżeństwo jest w Atenach, tak jak w Sparcie, jednożeństwem, jednakowoż tę cechę jednożeństwa zaciera ta okoliczność, że oprócz żony prawowitéj mógł Ateńczyk utrzymywać nałożnice. Jednożeństwo miał zaprowadzić Cekrops. Wprawdzie twierdzi Unger, że to prawo wkrótce utraciło powagę, lecz wiarogodność Ateneusza, którego powołuje, już w starożytności została zachwianą, a mniemane dwużeństwo Sokratesa, który jednę ze żon swoich Ksantypę, miał pożyczyć nawet Alcybiadesowi; znakomici badacze starożytności zaliczyli w poczet baśni. Zalety jednożeństwa podniósł też pięknie Euripides. Słusznie Gans twierdzi, że wielożeństwo nie dałoby się pogodzić z pojęciem wolnéj obywateki. To też i tutaj okazuje się przewaga żywiołu państwowego w małżeństwie, prawodawstwo uważa tylko związki małżeńskie między obywatelami i obywatelkami ateńskiemi zawarte jako małżeństwo atyckie, i tylko dzieci

spłodzone z takich małżeństw dopuszczano do wszystkich praw obywatelskich. Małżeństwo obywatela z obcokrajową i odwrotnie obcokrajowego z obywatelką, były zabronione i ulegały karze. Prawo miało szczególnie na uwadze zachowanie majątku dla rodziny; a ponieważ w braku synów, córki dziedziczyły, najbliższy agnat miał prawo i obowiązek taką córkę, która spadek odebrała po ojcu, pojąć za małżonkę i z tego powodu nawet mógł żądać rozwiązania małżeństwa, jeżeli córka już poprzednio za innego wyszła za mąż. Ten wzgląd polityczny taką miał przewagę nad względami moralnemi, że w Atenach były nawet dozwolone małżeństwa między rodzeństwem przyrodnem z ojca. Wogóle ze względów familijnych, dawano pierwszeństwo małżeństwom zawieranym między krewnymi, i tylko pokrewieństwo wstępne i zstępne stanowiło tutaj granicę. Córka nieposiadająca majątku, mogła żądać od swego krewnego najbliższego, aby albo ją pojął za żonę, albo odpowiednio wyposażył. Zezwolenie niewiasty do zawarcia związku małżeńskiego nie było potrzebnem; ojciec, dziad ojczysty lub brat, którzy mieli prawny obowiązek wyposażania należycie oblubienicy, zaślubiają ją.

Te zaślubiny, stanowią jedyną formę zawarcia związków małżeńskich; kupno żon, które prawie wszędzie u narodów wschodnich napotykamy, w Atenach zupełnie znika. Rozwody są bardzo ułatwione. Mąż może z domu żonę wydalić bez podania powodów, albo żona skarżyć o rozwód z mężem; w razie zaś, jeżeli mąż bez powodu rozwiedzie się z żoną, może takowa żądać zwrotu posagu, lub wypłaty odsetków od kapitału posagowego. Ten pobieżny zarys prawa małżeńskiego attyckiego, przekonywa nas już, że Ateńczycy nie otrząśli się jeszcze zupełnie z „azyatyzmu.“ Nie dziwić się temu, gdyż styczność z ludami wschodniemi przez obficie rozsiane kolonie szczepu jońskiego w małéj Azyi, musiała sprowadzić pewne podobieństwo obyczaju. Tak widzimy, że w Atenach wychowanie kobiet było zaniedbane, a Solon, który z taką troskliwością zajmuje się płcią męzką, bardzo po macoszemu traktuje płeć niewieścią. Niewiasta wychowana przez niewolników, nie rozwinęła należycie swych zdolności, nie brała też udziału w towarzystwie mężczyzn, tylko prowadziła swój żywot w zaciszu domowem w gynekejach, gdzie ją strzegł mąż z zazdrością wschodnią. Życie

publiczne było dla niéj zamknięte, a ta okoliczność tem większe miała znaczenie w Grecyi, gdzie właśnie życie publiczne absorbowało prawie zupełnie życie człowieka. Niewiasta wprawdzie w Grecyi była wolną obywatelką, nie była atoli jeszcze zupełnie równieniczką męża. Z całego stosunku do płci niewieściéj widać, że Grecy przeważnie jéj stronę tylko zmysłową, jéj piękność plastyczną cenili. Wymownym tego dowodem słowa Sokratesa, u Ungera zacytowane: „Zwracamy uwa„gę tylko na te niewiasty, z których spodziewamy się otrzy„mać dzieci piękne, i te potem pojmujemy za żony.“ Tak Grecya, mimo zachwycające piękno swych dziejów, stoi jeszcze poniekąd na rozdrożu między wschodem i zachodem. Poniżenie atoli płci niewieściéj i pojmowanie małżeństwa jako instytucyi czysto państwowéj, nie mogło być dla Grecyi zbawieniem. Ateńczyk wykształcony, uznając potrzebę towarzyskiego pożycia z płcią niewieścią, a nieznalazłszy dzięki zacofanemu wychowaniu odpowiedniego towarzystwa u własnéj żony, któréj wyobrażenia obracały się tylko w sferze poziomych bawidełek i strojów, szukał go gdzieindziej u Hetery. *Hetery*, celujące dowcipem i wykształceniem, posiadające ujmujące talenta towarzyskie, były dla mężczyzn o wiele ponętniejsze, niż zacofane w wychowaniu żony. Znany jest np. wpływ Aspazyi na Peryklesa, największego męża stanu w Atenach. W towarzystwie z Heterami, jak mówi Demosthenes, mógł Ateńczyk wykształcony prawdziwą znaleźć przyjemność i dla tego zwyczaj utrzymywania sobie takich przyjaciołek staje się powszechnym.

Ten zwyczaj atoli podkopał obyczajowość, a jak mąż nie uważał na żonę, tak żona w czasach późniejszych szukała związków zakazanych. Wprawdzie mąż miał prawo cudzołożnika schwytanego na gorącym uczynku zabić; jednakże w czasach upadku moralności, mścił się mąż raczéj na kieszeni niż na życiu swego rywala, zniewalając tegoż do zapłacenia sum znacznych za naruszoną cześć domową. Rozpasana indywidyalność, która według nauki sofistów w sobie znachodziła tylko miarę wszystkich rzeczy; przełamuje wszystkie karby porządku zewnętrznego i jak we wszystkich stosunkach życia, tak w stosunkach płciowych, nie zna żadnych granic; zmysłowość wyradza się w wyuzdaną swawolę; i tak towarzyszy

śmiertelnéj chorobie Grecyi, podobnie jak upadkowi wszystkich narodów, rozwiozłość obyczajów.

Jeżeli na zakończeniu tego obrazku przypatrzymy się jeszcze, jak filozofowie Greccy pojmują życie rodzinne i małżeństwo, to przekonamy się, że oni zupełnie stoją na dnie wyobrażeń greckich. *Platon*, jakkolwiek mu przypisywano mylnie wynalazek idealnéj tak zwanéj platonicznéj miłości, jednakowoż właściwie w miłości upatruje tylko pierwiastek zmysłowy, a w swojem państwie idealném ustanawia wspólność żon. Nie dziwi nas to u filozofa, u którego państwo jest wszystkiem. *Arystoteles* zbija wprawdzie twierdzenia Platona, jednakowoż zupełnie zgodnie z wyobrażeniem Greków, uważa kobietę za istotę niższą: mąż jest silniejszym, niewiasta słabszą, aby niewiasta przez bojaźń była przezorniejszą, mąż przez odwagę wytrwalszym. Arystoteles twierdzi daléj, że niewiasta dla życia publicznego jest za słabą, a porównywając jéj zdolności ze zdolnościami niewolnika wykazuje, że niewiasta niema silnéj decydującéj woli.“ Platon i Arystoteles uznają potrzebę zabijania słabych dzieci lub spędzania płodu, a u Arystotelesa również jak u Platona przeważają w małżeństwie tylko widoki państwowe. Tak i filozofia grecka nie dotarła do właściwego naszym pojęciom odpowiedniego znaczenia małżeństwa.

2. Rzymianie.

Przejdźmy teraz do drugiego najznakomitszego narodu świata starożytnego, do Rzymian. Jak Grecyę nazwaliśmy ojczyzną piękna, harmonii — tak Rzym nazwać możemy ojczyzną prawa prywatnego. I nie mogło być inaczéj. Państwo rzymskie nie jest tak jak Greckie organiczną, harmonijną budową — którąby powstała, tak jak dzieło artysty — już zawiązek jego wskazuje, że przy utworzeniu działała silna wola, potęga indywidualności. Rzym powstał z mieszaniny rozlicznych plemion — z silnéj ich walki. Charakter narodu takiego musiał zatem już od samego początku zwrócić się do walki z życiem, przybrać cechę „chłodnéj wyrachowanéj rozumowości.“ W charakterze Rzymianina przeważa tedy „rozum i silna wola.“ Charakter narodu, który powstał z mieszaniny kilku żywiołów

narodowych — mówi trafnie Ihering — odznacza się powagą, surowością, hartem i roztropnością — niema zaś naiwności i wesołego dziecinnego poglądu na stosunki życia. „Takie narody muszą pożyczać u innych narodów dzieła fantazyi — oddają zaś za to innym w zamian urządzenia społeczne i prawa. Albowiem — mając trzeźwy pogląd na stosunki życia — usposobienie, chroniące od porywczości i chwiejności są przedewszystkiem powołane do wydoskonalenia prawa. Dowodem tego urządzenie państwowe Anglii — prawo prywatne w Rzymie.“ Naród posiadający już od początku swego bytu — bystry rozsądek i zmysł porządku formalnego i karności — zwrócony przeważnie ku zewnętrznym praktycznym celom życia — mógł przedewszystkiem w dziedzinie prawa — doprowadzić do doskonałości, mógł nieugiętą siłą woli, rachubą rozumu — wytworzyć jednolitą budowę prawa ścisłego — nieubłaganego w swych następstwach — które mechanizmem żelaznym panuje nad uczuciem. A jak praktyczne zwrócenie się do celów życia — ciągły wzgląd na utylitarność — stanowią cechę charakterystyczną narodu rzymskiego, tak indywidualność pojedyńcza musiała dążyć do tego, by dla siebie zdobyć samoistną dziedzinę działania, by odłączyć interes państwowy od interesu osobistego — i tak powstało w Rzymie dopiero prawdziwe prawo prywatne w odróżnieniu od prawa publicznego. Ta dążność indywidualności do usamowolnienia od przemocy porządku państwowego — w pochodzie dziejowym nie mogła się odbyć bez walki — i tak w dziejach Rzymu napotykamy ciągłą walkę krzyżujących się interesów osobistości z interesem ogółu. W życiu politycznem ścierają się Patrycyusze — reprezentanci ustalonego porządku istniejącego z Plebejuszami, dążącymi do uznania swych praw, w dziedzinie prawa walczy tak zwane jus civile — ze swobodniejszem wolności indywidualnéj więcéj sprzyjającem jus gentium. Ta walka — cechująca dzieje Rzymu przeniesiona do dziedziny prawa małżeńskiego przedstawia nam z jednéj strony małżeństwo ścisłe, z drugiéj małżeństwo wolne,— w którem indywidualność zrzuca — ze siebie więzy surowego jus civile. Małżeństwo bądź ścisłe, bądź wolne było w Rzymie monogamiczne. Ścisłe małżeństwo (conventio in manum) miało ten skutek, że żona zupełnie wchodziła do rodziny męża swego, tu zostawała w stosunku podobnym do córek (filiae

loco apud maritum erat), a jéj majątek razem z prawem rozporządzenia nim przechodził bezwarunkowo na męża. Żona nie może dla siebie nabywać własności, nie może sporządzać testamentu, żona podlega sądownictwu męża, który łącznie z radą familijną może ją nawet ukarać śmiercią, wogóle żona wstępując w małżeństwo ścisłe, staje się osobą inną (capitis diminutio minima). Małżeństwo ścisłe u patrycyuszów, reprezentujących w Rzymie wogóle żywioł konserwatywny, miało cechę religijną, a forma zawarcia zwała się confarreatio. Tylko z takiego małżeństwa spłodzone dzieci mogły zostawać Flaminami. Małżeństwo w ten sposób zawarte (przez confarreatio) tylko pod pewnemi ściśle oznaczonemi warunkami mogło być rozwiązane. Dawne prawo Romulusa „jus divortendi ne esto“ przyzwalało na rozwód tylko wrazie cudzołostwa, spędzenia płodu i zaniedbania domu. Prawo rozwodu przysługało tylko mężowi, a wrazie gdyby nieprawnie żonę porzucił, karanym był utratą majątku. Przeciwieństwem tego małżeństwa ścisłego było małżeństwo wolne plebejuszów, przedstawicieli partyi ruchu w dziejach rzymskich. Mąż i żona zostawali w zupełnéj niezawisłości, żona nie stawała się członkiem rodziny męża, nie miała prawa do spadku po nim, jéj majątek był całkiem od majątku mężowskiego oddzielnym. Małżeństwo to bywało zawiązywane bez formalności, a jak małżonkowie połączyli się ze sobą, tak za wspólnem porozumieniem (mutuo disscussu) mogli się rozejść. Ta wolność rozwodu przysługała tak mężczyznie jak kobiecie.

Jakkolwiek prawo dwunastu tablic nie dozwalało jeszcze małżeństw między patrycyuszami i plebejuszami, jednakowoż plebejusze otrzymali możność zamiany swych małżeństw wolnych na małżeństwa ścisłe przez używanie (usus). Ta forma małżeństwa powstaje, jeżeli żona przez rok cały bez przerwy trzech nocy po sobie następujących (usu capio — trinoctii) żyje z mężem. Wówczas nabywał mąż względem żony te same prawa, jak przy confarreatio, żona była quasi sua filiae loco i tylko w tem różniła się ta forma małżeństwa od confarreatio, że rozwód do którego zresztą wyłącznie mąż miał prawa, nie był ograniczony do pewnych przyczyn prawnych. Późniéj, gdy przez ustawę Kanulejską (lex Canuleja) małżeństwo między patrycyuszami i plebejuszami zostało dozwolone,

weszła w zwyczaj trzecia forma małżeństwa przez kupno pozorne — wobec pięciu świadków, obywateli rzymskich i trzymającego wagę (libripens) tj. małżeństwo per coemptionem. W téj formie zostało dokonanem stopienie się i pojednanie małżeństwa patrycyuszów i plebejuszów. Ustawą Kanulejską został tedy rozbrat między patrycyuszami i plebejuszami w sprawach małżeńskich zniesiony — żywioł plebejuszów zwyciężył, naród dawniéj rozdzielony począł się zlewać w jednolity silny szczep Kwirytów, który podbił świat cały.

Atoli w samem małżeństwie przemógł duch patrycyuszów, małżeństwo ścisłe odniosło w téj pierwszéj epoce rozwoju dziejowego małżeństwa w Rzymie, zwycięstwo nad wolnem — surowa władza męża zawładnęła nad kobietami. Popadlibyśmy jednakowoż w jednostronność, gdybyśmy wnosić chcieli, że ta surowa władza męża, jaka wypływała z conventio in manum, była w Rzymie połączona z poniżeniem płci niewieściéj. Kobieta była przedmiotem ogólnego poważania. Nawet porwane Sabinki nie mogły się żalić na swą dolę i miały wszelką swobodę. Naruszenie czci niewieściéj sprowadza przewroty polityczne, upadek królestwa i decemwiratu. Cnotę kobiecą czci Rzymianin napisem „Univirae et castissimae.“ Kobiety niewolno przymusowo do sądu odstawiać, a liktor, który przed konsulem za sobą idącym nawet tegoż ojca własnego może z drogi usunąć, nie śmie tknąć się niewiasty. Władza prawnie prawie nieograniczona męża znachodziła w Rzymie wszędzie naturalne ograniczenie w panującym obyczaju, jednakowoż zawsze dzisiejsze nasze poczucie prawne wzdryga się na postanowienia, według których mąż prawa względem żony nabywa bądź kupnem, bądź przez zasiedzienie, równie jak przy rzeczach ruchomych, — według których mąż żonę wrazie cudzołostwa nawet śmiercią może ukarać. To też w dalszym rozwoju dziejów, w drugiéj epoce aż do powstania jedynowładztwa pod Augustem, kobiety coraz bardziéj wyzwalają się z pod wpływu mężczyzn. Małżeństwa ścisłe stają się coraz rzadszemi, i wreszcie ustępują zupełnie małżeństwom wolnym. Już kilka lat po ukończeniu drugiéj wojny punickiéj (r. 557 od z. m.) kobiety wpływem swoim wyjednały sobie zniesienie ustawy lex Oppia, która zmierzała do ograniczenia zbytku w strojach. Pierwszy raz wtedy kobiety wystąpiły publicznie,

starały się, zgromadziwszy się licznie na forum, zjednać sobie konsulów i senatorów — a to wystąpienie, oraz zwycięstwo płci niewieściéj stanowi, jak słusznie Unger podniósł, stanowczy zwrot pod względem stanowiska niewiast w Rzymie. Odtąd została samoistność kobiet publicznie uznaną — a rzymska niewiasta — wierna charakterowi rzymskiemu, wyzyskuje tę samoistność nawet w sposób ubliżający czci niewieściéj. W miarę, jak niknie surowy obyczaj, wyradza się swawola i samowola pod względem płciowym, która objawia się szczególnie w bachanalskiem stowarzyszeniu tajemnem. Daremnie prawodawstwo walczyło przeciw rozpuście. Senatus consultum Marianum wprawdzie zniosło to stowarzyszenie, lecz rozpusta i rozwiozłość coraz groźniéj szerzyć się poczynały.

Rodzinne węzły dawniéj tak silne rozchwiały się, rozwody stały się prawie codziennem zjawiskiem (quotidiana repudia); cudzołostwa bardzo często się zdarzały. Przy końcu téj epoki obrona o cudzołostwo oskarżonego Klodyusza odsłoniła jego sędziom głęboki straszny upadek małżeńskiego pożycia. Nastały czasy, gdzie prawie wszystkie idee obyczajowe zniknęły z wszystkich stosunków życia, a natomiast rozwielmożyło się sobkostwo. Nic dziwnego, że za czasów Juliusza Cezara, mógł powstać nawet projekt do ustawy o wielożeństwie, który jednakowoż został cofniętym. Wprawdzie jednożeństwo tym sposobem zostało utrzymanem, jednakowoż oprócz małżeństwa prawnego (justum seu legitimum matrimonium) pozostały i utrzymały się konkubinaty. *Konkubinat*, który w dawniejszych czasach był przedmiotem pogardy, stał się związkiem dozwolonym, zawiązanym między mężczyzną i kobietą na całe życie, a różnił się od małżeństwa tem, że nałożnice nie miały godności żon, a dzieci z niemi spłodzone (libri naturales) nie były uważane za prawe, nie zostawały pod władzą swego naturalnego ojca i nie używały przywilejów dzieci w małżeństwie poczętych. Rozwód z nałożnicą oczywista zależał tylko od samowoli. Istnienie takiego prawnie dozwolonego związku płciowego obok małżeństwa wskazuje nam dobitnie upadek obyczajowy, połączony z pokrzywdzeniem kobiet i dzieci. Tak przy końcu rzeczypospolitéj rzymskiéj spotykamy w państwie rzymskiem rozprężenie ogólne, okazującc się także w małżeństwie i związkach płciowych.

Także silna jednolita władza imperatorów rzymskich, która się wzniosła na gruzach rzeczypospolitéj — nie przyniosła zbawienia. Już rozwiozłe pożycie prywatne imperatorów rzymskich, musiało zgubnym przykładem resztki czci i obyczajności zniweczyć. Dzieje imperatorów przekazały nam tyle przykładów cudzołostwa (Augustus), nałożnictwa, kazirodztwa z matkami i siostrami, z synami i braćmi, u imperatorów ich żon i matek (Messalina, Agrippina), że możnaby zapełnić całe karty opisem owych przekazanych nam przez dziejopisarzy (Dio Cassius, Tacytus, Suetonius etc.) oburzających wybryków niepohamowanéj zmysłowości. Odblaskiem tego życia imperatorów było także pożycie pojedynczych obywateli rzymskich. Że w czasach obyczajów tak podupadłych związek małżeński mógł być tylko słabą zaporą wciskającego się zewsząd zepsucia — nie wymaga dowodu. Małżeństwo — ścisłe znika prawie zupełnie, confarreatio — jakkolwiek utrzymuje się u rodzin kapłańskich, staje się tak rzadkiem, że za czasów Tiberyusza było tylko troje dzieci, które z takiego małżeństwa pochodziły (Tacyt. Ann. IV. 16). Zresztą conferreatio staje się tylko formą, która nie pociągała za sobą skutków małżeństwa ścisłego — i nie poddaje żony pod władzę męża (in manum mariti). Małżeństwo przez usus już za czasów Gajusza wyszło zupełnie ze zwyczaju, a o koemcyi, jakkolwiek się jeszcze najdłużéj utrzymała — niema już wzmianki ani w kodeksie Teodozyusza, ani w kompilacyi Justyniana. Małżeństwo wolne staje się tedy ogólnem, ale pozbawione jest wszelkiéj treści moralnéj — i dlatego Rzymianin woli żyć w konkubinacie lub pozostać w stanie bezżennym, niż zawierać małżeństwo. Prawodawstwo sili się nadaremnie ogólnéj demoralizacyi zapobiedz. Augustus, dopuszczając się sam cudzołostwa, przez lex Julia de adulteriis coercendis chce powściągnąć cudzołostwo — przez lex Julia et Pappia Poppaea (r. 762 od z. m.) przełamać niechęć przeciw związkom małżeńskim, pozbawiając nieżonatych mężczyzn mających 25 do 60 lat, i niezamężne kobiety liczące lat 20 do 50 wolności dla nabywania czegokolwiek przez testamenta. Z równą surowością ściga także prawodawstwo małżonków bezdzietnych (coelebes). Konkubinat nie ustaje, owszem staje się nawet na mocy lex Julia licita consuetudo. Rozwody w czasach ostatnich rzeczypospo-

litéj rzymskiéj tak się zagęściły, że według twierdzenia Seneki, żony lat swoich nie podług konsulów, lecz podług liczby swych mężów liczyły — a *Martialis* (Epigr. VI. 7) cechuje ten stan smutny słowy: „Aut minus aut certe non plus tricesima lux „est, et nubit decimo jam Telesina viro.“ Wogóle według zdania Rzymian zależał rozwód zupełnie od woli jednego z małżonków lub obu — i był aktem samowoli. Lex Julia de adulteriis przypisała dla rozwodów pewną formę tj. oświadczenie przez wyzwoleńca wobec siedmiu świadków i utrudniła tym sposobem rozwody, wogóle ustawy w dziedzinie majątkowéj nakładają kary na tych, którzy się bez słusznéj przyczyny rozwiedli — jednakowoż zasada rozwiązalności małżeństwa aż do ostatnich czasów prawodawstwa rzymskiego się utrzymała, a dopiero Justynian w Novelli 117 znosi rozwody na wzajemnem porozumieniu polegające.

Wogóle można powiedzieć, że w Rzymie u schyłku ich bytu politycznego — tak rozchwiały się wszystkie spójnie społeczne i moralne, zgorszenie ogólne tak zapanowało, tak przesiąkło wszystkie stosunki życia, że nawet nauka chrześciańska nie mogła wlać nowego życia w ten schorzały, zupełnie zbutwiały ustrój społeczny. Wprawdzie rzymscy imperatorowie, którzy przyjęli naukę chrześciańską, starali się ustawami nowemi ustrój społeczny — naprawić, jednakowoż złe zbyt się zakorzeniło, naród cały zanadto był przesiąknięty zgnilizną moralną, aby te usiłowania mogły odnieść pożądany skutek. Wskazana dążność zastósowania przepisów prawnych do zasad nauki chrześciańskich okazała się także w sprawach małżeńskich, a to tembardziéj o ile właśnie prawa małżeńskie mianowicie co do rozwodów sprzeciwiały się nauce chrześciańskiéj. Chrześciańscy cesarze starali się tedy przedewszystkiem ograniczyć samowolne rozwody i ustanowić pewne prawne powody, dla których jedynie rozwód mógł nastąpić — prawa zaś, które ze względów na pomnożenie ludności powstały i zawierały w sobie poniekąd przymus do zawarcia związków małżeńskich, zostały zniesione (lex Julia et Pappia Poppea). Przez te ustawy, których szczegółowe wyliczenie zbyt daleko by nas odwiodło od naszego założenia — starali się cesarowie rzymszy — instytucyę małżeństwa napełnić duchem obyczajowym, jednakowoż, jeżeli zważymy, że konkubinat jeszcze

zawsze obok małżeństwa istniał — że mężczyzna i według najnowszego prawa rzymskiego właściwego cudzołostwa tylko wówczas się dopuszcza, gdy utrzymuje związek niedozwolony z żoną cudzą — mąż zaś, który złamie wiarę małżeńską, nie ulega karze równéj, jak cudzołożnica, i tylko żona jego może żądać rozwodu — jeżeli się uwzględni, że wszystkie urządzenia zmierzające do podniesienia małżeństwa dotyczyły obywateli rzymskich — między niewolnikami zaś nie było małżeństa, tylko istniało połączenie płciowe faktyczne (contubernium), które nie stało pod opieką prawa — że wreszcie także zasada rozwiązalności małżeństw nie została przełamaną — można śmiało twierdzić, że duch wiary chrześciańskiéj nie sprowadził stanowczego w prawodawstwie małżeńskim u Rzymian zwrotu, nie wykorzenił złego, które praktykowane od kilku wieków stało się nadto miłém przyzwyczajeniem. W ogóle reforma małżeństwa pod wpływem nauki chrześciańskiéj przeprowadzona, nie jest wypływem ducha rzymskiego, nie jest zasługą Rzymian — musimy zatem, chcąc należycie ocenić właściwe stanowisko narodu rzymskiego wobec instytucyi małżeństwa, właśnie owe najnowsze z zasad chrześciańskich wynikłe reformy pominąć.

Jak już na wstępie niniejszego ustępu wskazaliśmy naród rzymski, — przedewszystkiem odznaczał się trzeźwą, chłodną rozumowością, silną i energiczną wolą, natomiast brak mu było uczucia. Z tego powodu Rzymianie odznaczyli się w dziedzinie prawa formalnego abstrakcyjnego, stali się twórcami prawa prywatnego, odłączywszy prawo prywatne od państwa, od moralności, od religii, lecz właśnie ta cecha czysto prawna nie mogła być wystarczająca przy uregulowaniu stosunków społecznych, przy których prawo tylko jedną stanowi stronę. Oczywistem tego dowodem instytucya małżeńska, w obu, w ciągu dziejach występujących formach małżeństwa ścisłego i małżeństwa wolnego. Pierwsze tj. małżeństwo ścisłe, polegające na konsekwentnem przeprowadzeniu władzy naczelnika rodziny (patria potestas) razi przesadą, gdyż poddając żonę pod władzę męża, sprowadza nierówność małżonków wobec prawa, przy małżeństwie wolném zaś, znowu mąż i żona tak luźno stoją obok siebie, ich prawa, tak mało mają łączności, że małżeństwo nie staje się jeszcze owem wyższem moralnem

połączeniem, ową silną spójnią, któréj przy dzisiejszych wyobrażeniach o małżeństwie wymagamy. Kobieta staje się wolną, od męża niezawisłą, kobieta w Rzymie, także pod wpływem społecznym doznaje ogólnéj czci i poważania, nie jest już więcéj tak, jak w Grecyi wykluczona z towarzystwa, a jeżeli prawo ogranicza jéj rozporządzalność i według wyrażenia źródeł poniekąd stanowisko prawne kobiet jest pośledniejsze, to przeważa jedynie wzgląd konieczności opiekowania się prawami niewiast, nie zaś rzeczywista nierówność prawa. Atoli ta bezwzględna równość, odrębność prawnicza męża i żony przy małżeństwie wolnem, wyklucza ściślejszą jedność, a prawo tak przestrzega téj oddzielności, że nawet zabrania darowizn między małżonkami. Teoretycznie wprawdzie brzmią definincye rzymskie o małżeństwie bardzo pięknie i trafnie, wzgląd atoli na okoliczność, że właśnie wówczas, kiedy te definicye powstały, dowolne rozwody, które uważać musimy, jako ścisłe konsekwencye wyłącznie prawniczego pojmowania małżeństwa, były bardzo często, doprowadza nas do wniosku, że duch rzymski nie był wstanie praktycznie przeprowadzic owéj niepodzielnéj jednolitéj wspólności życia między małżonkami. Stronę prawniczą małżeństwa, mianowicie następstwa wynikające z umowy, niemniéj jak stronę naturalną tegoż związku, prawodawstwo rzymskie ze znanem przeprowadziło mistrzostwem, atoli brakuje w prawodawstwie Rzymian wyższego rzeklibyśmy namaszczenia moralności, które dopiéro nauka chrześciańska małżeństwu nadała.

Religia chrześciańska, jak wspomnieliśmy, na spruchniałym ustroju społecznym Rzymu, nie zaszczepiła nowego życia, albowiem społeczeństwo Rzymskie nie miało już w sobie dość sił żywotnych, by odżyć nanowo i niejako odmłodnieć. Wszystkie stosunki rzymskie zbyt już były ustalone; systemat prawa już zanadto wyrobiony, aby nowe wyobrażenia religijne mogły je nowym napełnić duchem. Koncesye i ulepszenia, które rzymscy imperatorowie dla nauki chrześciańskiéj zrobili, były raczéj tylko łataniną, która niestosowała się do starego, już w podwalinach swych podkopanego gmachu, przeto ten gmach runął, a nauka chrześciańska zwróciła się ku narodom świeżym, na gruzach państwa rzymskiego powstałym, i u tych narodów dopiero się wytwarzających zasady chrześciańskie

prawdziwie żywotne przybrały znaczenie. Przypatrzyć nam się więc należy, jak te narody, a mianowicie szczepy germańskie i słowiańskie, zanim zetknęły się z nauką chrześciańską instytucyę małżeństwa, o którą nam przedewszystkiem chodzi, u siebie pojęły i przeprowadziły.

3. Szczepy Germańskie.

U Germanów starożytnych małżeństwo nawet w czasach najdawniejszych było jednożeństwem, a Germanowie w swych stosunkach płciowych odznaczali się według świadectwa Tacyta szczególną, rzadką u narodów barbarzyńskich surowością i czystością obyczajów. Tylko wyjątkowo w szlacheckich rodach, u książąt napotykamy wielożeństwo. Związek familijny był wielkiéj doniosłości, a w braku silnéj opieki państwowéj, stał się instytucyą zmierzającą do wspólnéj pomocy i obrony tak w czasie pokoju, jak w czasie wojny. Członkowie rodziny związkiem krwi połączeni w czasie wojny walczą razem, dzielą razem dolę, chronią część rodziny, mszcząc wspólnie wszelkie pokrzywdzenia wyrządzone jednemu z członków rodziny, rozpościérają opiekę nad członkami rodziny, którzy nie mogą sami się obronić. Do osób wymagających szczególnie opieki troskliwéj, należą przedewszystkiem także niewiasty. Niewiasta, zwłaszcza jeżeli się zważy, że w owych czasach obrona praw polegała przedewszystkiem na dzielności osobistéj, na sile oręża, oczywiście, musiały pozostawać pod opieką płci męzkiéj, i z tego powodu niewiasty nawet po dojściu do lat pełnoletności zostają ciągle pod opieką (mundium) bądź ojca lub najbliższych krewnych płci męskiéj, bądź pod opieką męża. Z téj opieki, pod którą niewiasta ciągle a więc także przed zamęściem pozostaje także wypływa, że bez zezwolenia opiekuna małżeństwo nie może być zawarte, że zatem niewiasta nie może sobie samowolnie wybierać męża. Mężczyzna zaś, który chce uzyskać opiekę nad żoną swoją i władzę naczelnika rodziny nad nią, musi te prawa odkupić od dotychczasowych opiekunów żony (mundium acquirere albo facere) i tylko w takim razie dzieci należą do rodziny męża. Tym sposobem małżeństwo zawierało się przez kupno, a cena kupna, która zwykle przy zaręczynach (desponsatio) małżeństwo wyprzedzających była

umawiana, u pojedynczych szczepów germańskich różni się bądź wysokością, bądź nazwą (wittemon, nuptiale pretium, mundium). Po zaręczynach, których dopełnienie pod zagrożeniem kar surowych pieniężnych, a nawet u niektórych szczepów pod utratą wolności było nakazane, następowało właściwe zawarcie małżeństwa, w czasach najdawniejszych zwykle publicznie wobec krewnych. Żona mężowi oddawała broń na znak, że odtąd pozostaje pod jego opieką, a następnie odprowadzono uroczyście żonę do domu męża. Właściwe skutki prawne małżeństwa u starych Germanów, szczególnie pod względem majątkowym, rozpoczynają się od połączenia płciowego małżonków (Beilager) i pod tym względem różne istniały zwyczaje.

Według świadectwa Tacyta, Germani dopiero w wieku dojrzalszym zawierali związki małżeńskie; u Longobardów oblubienica musiała mieć 13 lub 12 lat, a u Wizygotów znajdujemy przepisy, że pod rygorem nieważności małżeństwa, żona musi być młodszą od męża. Jakkolwiek wykazaliśmy, że zezwolenie opieki u niewiast do zawarcia małżeństwa było potrzebne, te już dawne ustawy germańskie unieważniają małżeństwo pod przymusem rodziców lub opiekuna zawarte. U niewolnych należało do ważności małżeństwa zezwolenie panów i od samowoli panów zależało także rozłączenie takiego małżeństwa. Stan poniżony niewolnych doprowadził także do surowych zakazów małżeństw między osobami wolnemi a niewolnikami. Przekroczenie tego zakonu karze prawo saskie utratą życia. Prawa germańskie ogniem (np. u Wizygotów) i mieczem walczą przeciw takim związkom, a gdzie kara śmierci jest wykluczoną, tam przynajmniéj wolny, który zawarł małżeństwo z osobą niewolną, staje się niewolnikiem. Inne przeszkody małżeńskie dopiero powstały pod wpływem ustaw kościelnych.

Małżeństwo w powyż opisany sposób zawarte, poddawało żonę pod opiekę (mundium) męża. Ta opieka była początkowo połączona z przeważającą władzą męża. Mąż, jako naczelnik domu, jako przestrzegacz czci domowéj, może w razie przewinienia żonę karać, sprzedać, odepchnąć na wypadek cudzołostwa wobec gminy i krewnych, a nawet zabić. Późniéj ten stosunek został złagodzonym, żona stała się towarzyszką

życia, przechodzi wprawdzie pod względem majątkowym, i osobistym pod władzę męża, lecz natomiast mąż ją chroni i zastępuje we wszystkich stosunkach życia.

Na wypadek rozwiązania małżeństwa przez śmierć męża, przechodzi żona albo pod opiekę (mundium) krewnych męża, albo wraca do dawniéjszéj rodziny. Rozwody w pojedynczych prawach ludowych, różnie bywały traktowane. Samowolne rozwody zwykle ulegały surowéj karze, wypadki, kiedy rozwód jednostronnie mógł nastąpić, były poniekąd z zastrzeżeniem praw rozleglejszych dla mężczyzn (u Burgundów, Longobardów) prawnie określone, a u Burgundów mąż tylko wówczas mógł żonę bez powodu porzucić, jeżeli jéj zostawił dom i cały dobytek, tylko u Franków były rozwody bardzo ułatwione i jak w prawie rzymskiem za wzajemnem porozumieniem dozwolone. Małżeństwo powtórne wdów, według Tacyta podobnie jak w Indyach u niektórych szczepów germańskich było zabronione; późniéj przestrzegano tylko tego, aby wdowa przez jakiś czas po śmierci męża (u Franków tylko przez dni 30) nie wstępowała w powtórne związki małżeńskie. Różnica stanów, która w prawodawstwie germańskiem tak ważne za sobą pociąga następstwa, stała się także powodem, że u Niemców istniały konkubinaty, jako trwałe związki płciowe, szczególnie między osobami stanu nierównego. Konkubinaty były rozwiązalne, dopiero późniéj, pod wpływem kościoła katolickiego, z tych konkubinatów wyrobiły się małżeństwa połowiczne, nierówne, ad legem morganaticam, które właściwy skutek wywierały tylko w prawie majątkowem i względem dzieci, które przy takich małżeństwach nie posiadały stanu ojca.

Z tego ogólnego zarysu starodawnego prawa germańskiego małżeńskiego wnosićby wypadało, że u Germanów niewiasty były w poniżeniu, gdyż były pod ciągłą opieką, pod surową władzą męża, jednakże wniosek ten byłby mylnym. Za świadectwem Cezara i Tacyta, Germani starożytni właśnie odznaczali się szczególniejszem poszanowaniem kobiety, którą chronią tylko z powodu słabości fizycznéj. Pod względem umysłowym uważali kobiety za wysoko uzdolnione, przypisywali im dar wieszczy, zasięgali ich rady w najważniejszych sprawach narodowych, upatrywali w nich coś boskiego. Kobieta dzieli z mężem lub ojcem wszystkie trudy wojny, za-

chowuje czystość i nieskazitelność obyczaju tak, że cudzołoztwa należą do bardzo rzadkich wypadków (paucissima in tam numerosa gente adulteria). Cześć niewieścia była tak wysoko ceniona, że żadne dobra zewnętrzne nie mogły jéj zastąpić, a kobieta będąc przedmiotem ogólnego poważania, jest we wszystkich stosunkach życia wierną towarzyszką męża. Ta wysoka cześć dla kobiet, owa ścisła jedność i wspólność w pożyciu małżeńskiem wykazują nam, że starożytni Germanowie byli szczepem młodzieńczym i świeżym, moralnie nieskażonym, u którego zasady chrześciaństwa prawdziwie przyjąć i należycie rozwinąć się mogły.

4. Narody Słowiańskie.

U narodów słowiańskich, mówi profesor Burzyński [1]), przed zaprowadzeniem chrześciaństwa, kobiety przypuszczone były do współudziału w wszelkich prawach z mężczyznami. Mogły sprawować i najwyższe urzędy, były uważane za zdatne do świadczenia w sądzie w każdym rodzaju spraw i uczestniczyły w kapłaństwie; co właściwie Wacław Maciejowski (Hist. prawodawstwa słow. III, 4) poczytuje za przyczynę, dla któréj niewiasty słowiańskie tak wysokie zajmowały stanowisko. Pod względem małżeństwa nie odróżniały się ludy słowiańskie, póki jeszcze były pogańskiemi od innych narodów i żyły w wielożeństwie; przytacza wszakże Nestor, że jeszcze przed rozkrzewieniem wiary chrześciańskiéj, już niektóre szczepy słowiańskie, a mianowicie Polanie Kijowscy, zaczęli u siebie jednożeństwo upowszechniać, a z niem i inna forma zawierania małżeństw nastała. Poprzednie bowiem porywanie, pogonienie, czyli pożenienie (od czego „żona“) ustąpiło najprzód kupnu, a następnie, przynajmniéj u wszystkich szczepów rolnictwu się oddających umowie, wskutek któréj rodzic wprowadzał swą córkę w dom zięcia i odsyłał z nią jéj statek.

Ogłoszenie tego faktu, wspólne pożycie i uznanie ważności związku przez zwierzchność, pociągało za sobą, nie

---

[1]) W rozprawie: „Kobieta w obliczu prawa“ (Czasopismo pr. Kraków 1863 str. 306).

potrzebując błogosławieństwa kapłańskiego, już nierozwiązalność tego związku, bez ważnych przyczyn, między które cudzołostwo liczono. Z postępem czasu, z rozkrzewieniem się wiary chrześciańskiéj, któréj opowiadacze idąc z południa tamtejsze obyczaje przynosili, wojny krzyżowe dające poznać obyczaje Wschodu, i coraz liczniejsze stosunki Słowiańszczyzny z Zachodem sprowadziły zmianę w nadmienionych stosunkach prawnych, kobiet słowiańskich, a rozszerzona nauka prawa rzymskiego reszty dokonała.

I tak w Polsce w szczególności, ciężkie próby władza duchowna przejść, wiele trudów zażyć musiała, nim stary obyczaj ugiął się pod wyobrażeniem nauki kościelnéj o przeszkodach małżeńskich, błogosławieństwie (benedictio) i sakramencie, nim uległ nadzorowi duchownemu i pozbył się cech grubéj cielesności. Arcybiskup Gnieznieński Henryk Ketlicz r. 1219 zmarły, wielkie w tym względzie położył zasługi i od jego czasów prawo kanoniczne stanowiło regułę co do małżeństwa w Polsce, a sprawy małżeńskie pod władzę duchowną przeszły.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LIST MICKIEWICZA

DO DWÓCH MŁODYCH PRZYJACIÓŁ *).

16 grudnia (183 (Paryż) S. Nicolas 73.

Moi mili przyjaciele. Do obudwu razem piszę, bo obadwa razem mieszkacie w mojem sercu, listy wasze odebrałem chory obłożnie. Długo prawie ciągle cierpiałem, teraz mię kaszel opuszcza, zaczynam wierzyć, że przyjdę do zdrowia. Dla tych cierpień nie pisałem do was, chociaż często myślę o was i byłem wyzwany do pisania. Znalazłem w tem wezwaniu wielką pociechę i nagrodę i zachęcenie. Nie nazywajcie mnie proszę nauczycielem; jestto tytuł straszny i ciężki na moje barki. Serce wasze potrzebuje kochać i szuka doskonałości; więc ubieracie w doskonałości bliźnich waszych, złocąc ich i zdobiąc promieniami. Strzeżcie się tego, zachowajcie złoto i blask Bogu i Kościołowi, a dla bliźnich, miejcie tylko zawsze, dla wszystkich, suknię miłosierdzia, aby okryć ich nagość. Uszyjcie i dla mnie tę sukię, nic więcéj od was nie żądam. Napisano jest: nie nazywajcie się, ani Pawłowi, ani Appolowi, ale Chrystusowi. Nie wierzcie ślepo żadnemu z ludzi i moje każde słowo sądźcie, bo dziś mogę prawdę mówić, jutro fałsz, dziś dobrze robić, jutro źle. Słusznie powiedziano (de Imit. Chr.) Homo mendax, i daléj: Homines sumus et nihil aliud quam homines fragiles, etiamsi angeli putemur ab aliis. Jeżeli które sło-

*) List ten dopiero teraz wynaleziony, drukowany będzie w drugim tomie korespondencyi Mickiewicza.

wo z ust moich przyjęło się na sercu waszem, to słowo nie było moje ale tylko przechowane i przesadzone. Poznacie po tem słowo prawdy, że pada cicho i leży długo (sine strepitu discussionum et argumentorum) a potem powoli wschodzi; owocem jest miłość i zgoda. Göthe powiedział: *Was ist am heiligsten? Das, was die Menschen verbindet.* Przeciwnie słowo fałszu, słowo ludzkie, wypada z hukiem jak kula, a zostawia zaraz po sobie ranę lub śmierć. Więc kule wymyślili i zrobili ludzie, ale ziarna zboża dotąd nie umieją zrobić tylko je przechowują i sieją. Nie jestem tedy nauczycielem. Przyjdą może na was chwile, że będziecie gniewać się na mnie i na *słowo:* chwile które wyraził Garczyński:

„. . . . . na słowo
„które jak miecz na włosku, wisi nam nad głową.“

Nieraz kręcimy głowami, chcielibyśmy go nie widzieć, a przecież coś woła na nas jak ów głos na Pawła św. „Pawle próżno chcesz przeciw ościeniowi (prawdzie) wierzgać.“ Każdy z nas nieraz wierzgnie i drugich zrani! Bo póki człowiek żyje, póty trwa walka; różne myśli, różne uczucia przewiewają głowę i serce. Podaję wam sposób na rozeznanie dobrych od złych, prawdziwych od fałszywych. Kiedy powezmę jaką myśl religijną lub polityczną, dochodzę czy w tym dniu kiedy ją powziąłem, jestem zgodny z sobą, czy nie zrobiłem czego złego, czy mową lub myślą bardzo nie zgrzeszyłem. Jeśli rachunki źle stoją, pewnie wtenczas i w głowie zamęt. Sumienie jestto żołądek duszy. Nie myślcie, że słowo prawdy uwolni was od tentacyi, od walki. Owszem im żołnierz czujniejszy i tęższy, tém częściéj wódz go posyła na niebezpieczeństwa. Hultajów i tchórzów zostawiają w obozie, ale oni prędzéj od mężnych giną. Ciężka to jest walka życie! Doświadczycie sami rzeczy dziwnéj; rozkosze i przyjemności, które uciekają od nas, kiedy goniemy za niemi, skoro zaczniemy wyrzekać się ich, zaczną gonić za nami. Człowiek może przyjść do téj strasznéj potęgi, że ledwie okiem rzuci na błyskotkę, na twarz piękną, znajdzie je wnet przed sobą; cisnąć się będzie świat do niego przez drzwi zamknięte. Ludzie sławni u ludzi są to ludzie gardzący sławą i ludźmi, ale

skuszeni nakoniec od świata. Im kto wyższy tém łatwiéj niżéj spaść może. Napisano jest: „kiedy wypędzisz ducha nieczystego, tedy on duch widząc dom wyczyszczony i wymieciony, błąka się po miejscach pustych i przyzywa siedem duchów w pomoc i uderzają znowu na człowieka, a wtenczas czyny późniejsze owego człowieka bywają gorsze od pierwszych. Ale w téj walce są chwile, których czas skończony, ziemski, dać i zmierzyć nie może.

Piszę to wam, bo wiem waszę miłość ludzi, ojczyzny, wolności. Lękam się abyście nie myśleli, że walka wewnętrzna jest stratą czasu, jest niepożyteczna światu zewnętrznemu. Od walki wewnątrz i od zwycięztwa zależy cała siła zewnątrz. Kraj i człowiek wewnątrz bezładny, upada. Ludzie wewnętrzni, często jako sternik śród burzy, rzucają się do rudla. Patrzą w niebo, ruszają się mało, ledwie ręką czasem skiną, a los łódki jest w ręku ich. Drudzy biegają po pokładzie, krzyczą i mięszają tylko porządek, a cały krzyk ich jednéj fali nie odwróci, jednego wiatru nie opanuje. Tylko nie myślcie, że to pisząc mam siebie na widoku. Piszę o ludziach, których nam potrzeba, których żebyśmy mieli, toby łódka nasza nie zatonęła. Największą pomocą we wszystkiem są: (de Imit. Chr.) Evangelium et Corpus Christi. Pamiętajcie co napisano jest: że Apostołowie spotkawszy w drodze Chrystusa zmartwychwstałego i długo z nim mówiąc, nie mogli poznać go, aż zaczął chleb łamać i dał im. Powiem wam własne zdarzenie. Dysputowałem raz z księdzem prostakim i przerozumowałem; on mi powiedział: „appeluję do Chrystusa, pomówiemy o tém nazajutrz po komunii.“ Rzeczywiście ujrzałem potem że miał słuszność.

Rozpisałem się do was szeroko i może tonem nieskromnym; spodziewam się że to wszystko zachowacie u siebie. Czy macie de Imitatione Christi i Confessiones Sancti Augustini? Chciałbym żebyście czytali po łacinie. Nie wiem jeszcze gdzie wiosną wyjadę, jeszcze o tém wam napiszę. Bądźcie zdrowi.

Przegląd literacki i bibliograficzny.

— *J. Łepkowski.* Sztuka, zarys jéj dziejów, zarazem podręcznik dla uczących się i przewodnik dla podróżujących. Kraków. W drukarni „Czasu“ 1872.

Ponętna i pożyteczna książka zamknęła drugą seryę Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych, pana Franciszka Trzecieskiego. Daje ona pierwsze wyobrażenia o znamionach stylów, przegląd ich historyczny i zarys dziejów sztuki, żywoty najznakomitszych budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy, w końcu wykaz miejscowości, w których są cenne zabytki sztuki. Dobre drzeworyty służą do objaśnienia tekstu. Nową i pierwszy raz u nas traktowaną rzeczą, jest ustęp o budownictwie i ornamentyce drewnianéj (161—175) ozdobiony pełnemi dobrego smaku i oryginalnego charakteru rysunkami kościołów i cerkiewek naszych i węgierskich z drzewa wykonanych. Jestto kartka w dziejach sztuki naszéj niezawodnie najbardziej rodzima a po panu Łepkowskim należy się spodziewać obszernego gdzieindziéj jéj rozwinięcia.

Książka pana Łepkowskiego powinna się znaleźć na biórku naszych pań, tak dzisiaj garnących się do encyklopedycznego wykształcenia. Ogrzeje ona je i zabawi lepiéj, właściwszą dla nich będzie, niż sporadyczne wiadomości z dziedziny nauk ścisłych, którym zwyczajnie brak uprzedniéch przygotowań. Przydać się ona może i szerszéj publiczności, aby jéj otworzyć oczy na zabytki domowéj sztuki i odżywić przygasający kult piękna. W obec tego, że tak powiem propagatorskiego celu, gotowiśmy ją rozgrzeszyć od jedynéj wady, jaką w niéj dostrzegliśmy, od pewnego zacięcia lirycznego, które w książce dydaktycznéj mniéj jest właściwém. Poco na stronnicy szóstéj ten ustęp o *liberum veto* i niebiańskości Polski, niemający z sztuką polską żadnego stosunku, a należący do tempi passati fantastycznych zapatrywań na historyę? Polska w epoce *liberi veto* tak mało dbała o sztukę, a niebiańskie jéj podrywy na prozę historyczną przetłumaczone, to tylko wybujanie niwelacyjnego szlacheckiego kierunku, który społeczeństwo doprowadził do antytezy pana i chłopa, usunął przemysł i godność indywidualną mieszczaństwu odebrał. W ogóle z książek dydaktycznéj treści należa-

łoby wykluczyć ile możności piękne i ponętne, ale dydaktyzmowi wprost przeciwne poetyzowania z czasów niedawnych jeszcze, gdzie bez przyprawy ducha poetyckiego nic przyjmować niechciano. Książka pana Łepkowskiego w przeważnéj części trafia w szczęśliwy ton dydaktyczny, jasny, prosty i przejrzysty, a ta właśnie jéj zaleta natrąciła nam uwagę co do niektórych ustępów, niedosyć dydaktycznie trzeźwych.

Kończymy, wyrażając życzynie, aby i dla archeologii właściwéj, przedmiotu naukowych zajęć pana Łepkowskiego, znalazł dosyć czasu i przedstawił szerszéj publiczności zarysy jéj w tak ponętnym i zajmującym kształcie, jak to uczynił z Sztuką.

J. Sz.

— Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie, przez Paulinę z L. Wilkońską. Poznań, czcionkami Merzbacha, r. 1871 in 8vo, str. 430.

Pani Wilkońska obdarzyła nas miłą i interesującą książką. Jak w kalejdeskopie przeciągają w niéj różne postacie, jużto pracujących na polu literatury osób i tych jest najwięcéj, jużto z literatami i artystami zostających w stosunku przyjaźni i życzliwości. Nikt z oddających się piśmiennictwu między rokiem 1845 a 1854, nie został w tych wspomnieniach pominięty. Autorka niewiele wdaje się w ocenę charakteru i talentu osób wzmiankowanych, ale z przytoczonych o nich anegdot, charakterystykę tę można sobie bardzo wygodnie utworzyć. Świat literacki ówczesny, zbierał się wówczas u pani Lewockiéj u pani wojewodziny Nakwaskiéj, Krajewskiéj z domu, u państwa W. Kaźmierzów Wójcickich, Aleksandrostwa Maciejowskich i w domu autorki. Widywano się kilka razy w tygodniu to w tym, to w owym z powyżéj wzmiankowanych domów, znano się też nawylot i umiano ocenić trafnie.

Wspomnienia o Henryku Rzewuskim, Aleksandrze Miniszewskim, dwóch jak wiadomo utalentowanych ludziach, ale wśród swoich uważanych za odstępców, są szersze od innych i zawierają niejeden charakterystyczny rys ich życia, który od przyszłych ich biografów, jeżeli tacy się znajdą, pogardzonym nie będzie. Wyborna jest anegdota dotycząca Rzewuskiego, który długo męczył wojewodzinę Nakwaską, aby uczyła się języka rosyjskiego. Szanowna matrona dawała mu wymijające odpowiedzi, nakoniec aby go się pozbyć, powiada mu: dobrze, będę się uczyła, jak pan będziesz u mnie w przyszłą niedzielę, to już w tym języku będziemy rozmawiać. Pan Henryk nie zaniedbał w oznaczonym terminie dopytywać się wojewodziny o postępie w nauce; a jakże, odrzekła, trochę już mówię: Paszał won durak. Wyborny początek, odparł niezmięszany Rzewuski i z galanteryą pocałował ją w rękę. Druga anegdota dotycząca także Rzewuskiego, jest następująca: Pan Ćwierciakiewicz opowiadał rozmaite dowcipy Rzewuskiego, między innemi, jak drwił sobie nielitościwie z jedne-

go z Polaków oddanych duszą i ciałem Moskwie; pan Leon Łubieński, świadek tego opowiadania powiedział na to półgłosem: Są ludzie, którzy słyszą jak trawa rośnie, ten pan nie dosłyszy jak konopie rosną. Tę samą anegdotę słyszeliśmy przed laty z małym waryantem, brzmiała ona: Rzewuski ma słuch dobry ale węch tępy, słyszy np. jak trawa rośnie, a nie czuje zapachu tuż obok rosnących konopi.

W młodości naszéj słyszeliśmy również anegdotę o Rzewuskim, malującą dosadnie cyniczny charakter tego znakomitego pisarza. Było to w Neapolu, Rzewuski znajdował się w towarzystwie ś. p. Zygmunta Krasińskiego i kilku innych Polaków, mówiono dużo o nieszczęściach Polski, Rzewuski brał żywy udział w rozmowie i łzę miał w oku, mówiąc o tylu bolesnych przejściach i zawodach, nagle wstaje, bierze za kapelusz i powiada: Dosyć już napłakałem się nad nieszczęściami Polski, teraz muszę iść do ambasadora moskiewskiego cieszyć się z wielkości Rosyi. Pani Wilkońska nadmienia także, jaka była genesis Pamiętników Michałowskiego, dzieła, które dobiło Rzewuskiego w oczach i sercach Polaków. Jest jeszcze jeden epizod z życia Rzewuskiego, którego całéj doniosłości autorka nie wyjaśnia, a tylko domyślać go się każe: że on to nie mogąc się zgodzić z swoim współpracownikiem Augustem Wilkońskim, mężem autorki, co do ducha i tendencyi wydawanego wspólnie pisma, postarał się u ks. Paszkiewicza, aby nakazano Wilkońskiemu wyjechać z Królestwa.

Miniszewskiego pokazuje nam autorka przy pierwszem wystąpieniu w Warszawie i za powrotem z zagranicy. Blaga i chęć ściągnięcia uwagi na siebie, stanowiły główną treść jego wewnętrzną, gdy go ktoś raz ze znajomych zagadał: Miniszu, czemu ty tak kłamiesz? Dla tego, aby się prawda niezponiewierała, odpowiedział. Autorka przyznaje mu dobroć serca i lekkomyślność bez granic. Bogdaj ten sąd o Miniszewskim mógł się ostać wobec potomności. Zdaje się jednak, że w późniejszem życiu próżność i rozmiłowanie w wygodach, lekkomyślność na gorszą stokroć wadę przeistoczyły.

Widzimy tam w pierwszych występach Deotymę i wrażenie jakie wywołała, młodziutkiego Dembowskiego, który w r. 1846 poległ na Podgórzu, i tylu innych znanych nam osób i pisarzy, jak Syrokomla, Korzeniowski, Kraszewski etc. Ale nietylko literatura i literaci zostali w wspomnieniach p. Wilkońskiéj pomieszczeni, są tam epizody z życia politycznego i społecznego ówczesnego, słowem wszystko, co wówczas Warszawę zajmowało, interesowało lub oburzało. Co podwyższa urok tej książki, to wielka delikatność w sądach, tam nawet, gdzie autorka ganić musi i bezpretensyonalność w opowiadaniu. Z całą też dobrą wiarą książkę tę wszystkim polecić możemy, i jesteśmy przekonani, że każdy przy ostatniéj kartce z przykrością sobie powié: Szkoda, że już koniec. Jedno tylko można autorce zarzucić, to brak pewnego symetrycznego i systematycznego układu w swoich wspomnieniach. I tak naprzy-

kład czytamy nn stronnicy 185 o zgonie Jachowicza, a na stronie nie 188, iż biedny leży chory i narzeka na brak pokupu „Wieńca.“ Należało przytoczone listy według porządku dat zamieścić, a nie byłoby takiego chaosu i książka na tem pod względem artystycznym wieleby zyskała.

— Hieronim Sawonarola, przez Klemensa Kanteckiego. Nakładem Richtera, r. 1872, stron. 158. Interesująca ta postać z XV wieku, dotąd u nas mało znana, a wszędzie prawie fałszywie oceniana, znalazła w p. Kanteckim, jeżeli nie oryginalnego, to wymownego, a nawet pod wieloma względami bezstronnego historyka, Dotąd zapatrywano się na Sawonarolę z dwóch wprost przeciwnych sobie stanowisk: jedni widzieli w nim poświęconego prawdzie i cnocie zakonnika i czcili go jako świętego, drudzy uważali go za ambitnego mnicha, wypowiadającego wojnę władzy świeckiéj i duchowéj zarazem, aby w miejscu ich ustalić swoją własną, zaprowadzając w Florencyi rząd, nakształt rządu w Izraelu za czasów sędziów, w którym rządził Bóg za pośrednictwem proroków, a za takiego proroka narzucał się Florencyi przeor Dominikanów od Śgo Marka; taka bowiem była godność kościelna Sawonaroli. I jedni, i drudzy mieli wiele słuszności w swych sądach, te jednak były jednostronne, bo nie brały życia i usposobienia Sawonaroli w całości, ale tylko tę część, która stosownie do swego założenia uwydatnić chcieli. P. Kantecki poniekąd także takiéj jednostronności nie uniknął, wziąwszy przeważnie na uwagę moralną i dogmatyczną stronę w jego kazaniach, i skonstatowawszy, że kościół w nich nic zdrożnego nie dopatrzył, a nawet autora ich w rzędzie błogosławionych umieścić polecił; przytem uwzględniając czystość jego obyczajów i surowość życia, daje mu absolutorium z jego czynności politycznych i woła z Mickiewiczem: Klątwa ludom, co swoje proroki mordują. A jednakowoż, gdyby p. Kantecki na seryo był badał usposobienie i potrzeby społeczeństwa w ogóle, a ówczesnéj Italii i Florencyi w szczególności, musiałby był uważać śmierć Sawonaroli jako niezbędną i nieubłaganą konieczność, nad którą można płakać, ale któréj potępić a tem mniéj dziwić się nie można. Przyznajemy, że grzechy Italii były wielkie, zgadzamy się, że rządy Piotra Medycyusza nie były najlepsze, chociaż tak bezwzględnie i dosadnie polityki jego zewnętrznéj potępić nie poważylibyśmy się, jak to uczynił autor, to jest sojusza jego z królem Neapolitańskim przeciw Karolowi VIII królowi francuskiemu, zważając, że nietylko przyjaźń polityczna ale i familijna istniała między temi dwoma domami, że król francuski w posiadaniu Neapolu groził niepodległości Włoch i wszystkim familiom panującym w poszczególnych księstwach, tak i polityka dynastyczna i narodowa taki sojusz nietylko doradzała, ale nawet nakazywała— a Sawonarola korzystając z przykrego położenia Piotra i wyzyskując je dla swojéj idei, dowiódł, że bardziéj był człowiekiem

stronnictwa niż Włochem — uznajemy, że Aleksander VI był zakałą kościoła, ale kto przyczynił się do wywrócenia rządów Piotra, zamyślał o detronizacyi Papieża, opierając się wyłącznie i jedynie na motłochu ulicznym w przeprowadzeniu swoich projektów; ten w śmiertelnych wrogów zamieniał tych, przeciw którym występował, a niepokoił wszystkich umiarkowanych i konserwatystów, którzy drżeć musieli tak o swój osobisty majątek, jak i o ocalenie owoców cywilizacyi. Jeżeli do tego przyszło, że chodzono od domu do domu, żądano wydania sobie wszystkiego, co tchnęło elegancyą i zbytkiem, aby to wszystko znieść na jeden stos i publicznie spalić w asystencyi procesyi pod przewodnictwem Dominikanów, których O. Hieronim był przeorem, los Sawonaroli był już prawie rozstrzygnięty. Nikt nie mógł żądać i pragnąć zostawania na łasce ulicy; nic też naturalniejszego, że nawet ci, którzy z początku gorliwymi byli stronnikami żarliwego kaznodziei i przyklaskiwali śmiałemu jego występowaniu przeciw zdrożnościom wieku, odwrócić się od niego musieli i szukać punktu oparcia tam, gdzieby go wśród innych okoliczności nigdy nie byli szukali, jak u Aleksandra VI, od którego każdy uczciwy człowiek ze zgrozą się odwracał. Ale strach musiał pokonać wstręt. Gdy do tego Sawonarola ani rozkazowi papieża stawienia się w Rzymie, ani zakazowi kazania publicznie zadosyć nie uczynił, nic dziwnego, że go Papież postanowił zgubić, wołając rozwścieklony: ten człowiek musi zginąć, chociażby był Janem Chrzcicielem, chodziło tylko o wydanie kaznodziei Papieżowi; z początku signoria wybierana pod wpływem idei przez Sawonarolę głoszonych, wydania odmówiła; gdy jednak terroryzm ulicy coraz bardziéj konserwatywny obóz wzmacniał i do zgodnego postępowania zmuszał, udało się konserwatystom w r. 1498 większość w signoryi swoim stronnikom zapewnić; ta nic nie miała spieszniejszego do zrobienia, jak zadosyć uczynić woli Papieża. Zwłóczono jeszcze czas jakiś z obawy przed rozruchami pospólstwa, ale gdy temu w czasie głodu oświadczono, że to Sawonaroli sprawa, że fabryki i rzemiosła ustały, i biedny lud nie może nigdzie pracy znaleźć, gdy nierozsądne oświadczenie przyjaciela Sawonaroli ojca Domenica da Pescia, że gotów dla stwierdzenia słów mistrza przejść próbę ogniową i w ostatniéj chwili się zawahał, a pospólstwo zniecierpliwione nadaremnem wyczekiwaniem wzruszającego widowiska, zwróciło się przeciw Sawonaroli, napadło klasztor, tak że siłą zbrojną musiano zakonników przed rozwścieklоną tłuszczą bronić, przyczem Sawonarolę wraz z dwoma przyjaciołmi uwięziono, obawy nie było żadnéj pozbyć się niebezpiecznego zakonnika. Wytoczono mu proces, akta podobno sfałszowano i na téj podstawie skazano na śmierć; dekret 23go maja wśród złorzeczeń motłochu dla tego, którego przed niedawnem ubóstwiał, wykonano. Zdaniem naszem z tego stanowiska koniecznie potrzeba się zapatrywać na życie i czyny Sawonaroli, aby tę postać wszechstronnie ocenić. Styl autora jest po-

ważny i pełen elegancyi, wydanie ozdobne; sądząc z téj pierwszéj próby, możemy rokować p. Kanteckiemu piękną przyszłość.

— Wyprawa kijowska Bolesława Wielkiego, napisał Jan Karłowicz. Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego r. 1872 8-vo 32.

Chodzi autorowi głównie w niniejszéj rozprawie o sprostowanie tekstu kroniki Nestora, co do téj wyprawy. Dwa są główne źródła do wyprawy Bolesława na Ruś r. 1018 Dytmara i Nestora. Obaj zgadzają się co do porażki Jarosława nad Bugiem przez rycerstwo polskie i o zajęciu Kijowa, co do dalszych wypadków, Dytmar tylko okólnikowo powiada, że król Bolesław dokonawszy swego, to jest, osadziwszy na tronie kijowskim zięcia swego Świętopełka, szczęśliwie powrócił, Nestor zaś pisze: „Bolesław siedział w Kijowie, a głupi Świętopełk rzekł: „ile tylko jest Polaków po grodach, zabijajcie, i pobili Polaków. Bolesław tedy uciekł z Kijowa, zabrawszy dostatki i bojarów Jarosławowyeh i siostrę jego, a Anastazego dziesiętnego przystawił do skarbów, albowiem pochlebstwem ufność jego pozyskał i mnóstwo ludzi prowadził z sobą i zajął dla siebie grody czerwieńskie, przyszedł w swój kraj.“ Autor polemizuje z Nestorem i mniema, że trudno, aby Bolesław w ucieczce mógł jeszcze zabierać siostrę, skarby i jeńców Jarosławowi, a nawet po drodze odnosić zwycięztwa i zdobywać grody czerwieńskie, tembardziéj że Dytmar o ucieczce niewspomina, ale okólnikowo powiada, że szczęśliwie do domu powrócił. Za Nestorem poszli prawie wszyscy historycy krajowi i obcy. Morawski najświeższy z historyków i bardzo sumienny niepowtarza wprawdzie za Nestorem, że Bolesław z Kijowa uciekać musi, ale idąc za Marcinem Galem, powiada, że król polski 10 miesięcy w Kijowie bawił; owoż, autor nasz i z tem podaniem Gala polemizuje, dowodząc, że Chrobry dziesięć miesięcy w stolicy Rusi przebywać nie mógł, bo natenczas musiałby był wracać w maju lub czerwcu roku 1019, czegoby znowu Dytmar zapisać był nie mógł, bowiem zgon jego przypada na 1 Grudnia 1018. Owoż ostatecznie autor broszury „Wyprawa kijowska Bolesława Wielkiego,“ przypuszcza, że Nestor i Galus, obaj piszący w 100 lat po wypadkach, pomięszali, czerpiąc z legend ludowych materyał do swojéj kroniki, wyprawy Bolesława Wielkiego i Bolesława Śmiałego. Przyznać musimy, że przypuszczenie to jest logiczne, ale jeszcze wszystkich wątpliwości nie usuwa. Naprzód mogli Rusini napaść na pojedyncze garnizony i takowe wyciąć, straty te jednak nie osłabiły o tyle Bolesława, aby w Kijowie niemógł był się skoncentrować skarby, jeńców i siostrę Jarosława z sobą uwieść, następującego nań Jarosława pobić i w odwrocie grody czerwieńskie zająć i obsadzić. Dla kronikarza niemieckiego, jakim był Dytmar, lub dopełniacz jego kroniki, było dostatecznem zapisać, że Bolesław wesoły czy szczęśliwy powrócił do domu; o zajściach w Kijowie mógł niewiedzieć ani jeden ani drugi. Zachodzi druga trudność w zrozumie-

niu wypadków. Jeżeli napad na Polaków był rzeczywiście wykonany, natenczas trzeba przypuścić podanie Gala, że Bolesław istotnie 10 miesięcy bawił w Kijowie, ale wtenczas Dytmar zmarły w r. 1018, nie mógł wiedzieć co się stało w r. 1019, lecz i tu możnaby zrobić przypuszczenie, że zapisek o wesołym powrocie do Polski Bolesława, dopełniony został po jego śmierci, jak i cały przebieg kampanii ruskiéj Bolesława, co témbardziéj jest prawdopodobniejszem, że wynik téj kampanii przy ówczesnych drogach, nie mógł być wiadomym Dytmarowi przed zgonem; uwzględniając nawet tę okoliczność, że rycerstwo niemieckie dane Bolesławowi w pomoc, natychmiast po zdobyciu Kijowa, co przypadło w sierpniu do domów powróciło. Domysł o tyle uzasadniony, że ustęp o kampanii ruskiéj zamieszczony jest w książce VII, którą autor zakończył w r. 1017, jak sam o tém powiada. Pan Karlowicz odwołuje się wprawdzie na własne słowa Dytmara, że wypadki późniejsze, późniéj wpisywał, trzebaby jednak mieć pewność, że za oryginalny miany rękopis, zachowany w Dreznie, istotnie własnoręcznie przez Dytmara był poprawiany i również, że i wszystkie późniejsze dopiski i dopełnienia są własnoręczne. Nie piszemy tego w celu zaprzeczenia wywodom autora broszury, może on mieć zupełną słuszność, zwrócić tylko pragniemy uwagę, że i to co Gal i Długosz o téj wyprawie podali, niekoniecznie z prawdą rozmijać się musi, a témsamém stwierdzić, że ani podania Dytmara, ani Gala i Długosza nie są dostatecznie, aby z całą pewnością i ścisłością, przebieg wyprawy kijowskiéj oznaczyć można było.

— Niewolnik. Poema z pieśni wygnańca. Rodakom upominek na wigilię 100-letniéj rocznicy pietwszego rozbioru Polski. Kraków, nakładem W. Tomaszewicza r. 1872 8-vo stron. 60.

Treść odpowiednia dedykacyi, traktowaną jest poważnie; nie ma szamotania i szumnych frazesów, ale też nie ma natchnienia i rzewności, nie ma też ani świeżych myśli, ani nowéj formy. Całość nie odpycha, ani nie przyciąga; znać wszędzie chęci najlepsze, autor wyraża się poprawnie i zrozumiale, ale to niestety istoty poezyi nie stanowi. Bez natchnienia można być znakomitym pisarzem, ale poetą już zostać trudno. O pracach podobnych powiedzieć tylko można: przybyła nam jedna książka czy broszurka rymowana, ale poezyi Polsce nie przybyło.

— Stanowisko praktyczne dawnych niewiast przez Władysława Chomętowskiego. Warszawa w drukarni Jana Jaworskiego r. 1871 8-vo stron. 72.

W cywilozowanem społeczeństwie wpływ kobiet na życie familijne, obyczajowe, moralne i intelektualne był po wszystkie czasy wielki. Nie rzadko umiały one wpłynąć i na życie polityczne i to wtenczas kiedy teorya o niższości kobiety była powszechnym artykułem wiary. W Polsce kobieta nie błyszczącą może ale stanowczą odgrywała rolę

w życiu domowem i familijnem. Ony to podbijały wdziękami płeć męzką, złagodziły zbyt szostkie obyczaje, wprowadziły w zycie towarzyskie polor i elegancyę, czuwały nad czystością obyczajów swoich mężów, synów i braci. Co w nas jest lepszego, szlachetniejszego, zacniejszego zawdzięczamy naszym matkom. Bojaźń utraty jéj pieszczot byle dla nas silniejszym bodźcem do dobrego i do zaniechania zdrożnego jakiego czynu niż groźna postać zagniewanego ojca. Dokąd ten stosunek potrwa nie potrzebuiemy bardzo obawiać się o przewrot w społeczności i w famili. Kobieta wychowana w dawnych obyczajach szczepi je w dalszem pokoleniu i utrzymuje ciągłość idei między jedną a drugą generacyą. Ona z natury rzeczy jest konserwatystką, nikt w jéj obecności nieodważy się wystąpić przeciwko Boga, kościołowi, familii, własności i dobrym obyczajom. Jedno jéj słowo, jedno spojrzenie mięsza przeciwnika dzisiejszego porządku, łagodzi jego pojęcia a jeżeli sobie zada trochę pracy spropaguje go łatwiéj na stronę swojéj wiary i przekonań niżby to zdołał zrobić najwymowniejszy kaznodzieja, najbystrzejszy dialektyk, mistrz słowa i pióra. Widzą jasno tę prawdę rewolucyoniści i zwolennicy materyalistycznéj szkoły, dla tego to pod hasłem emancypacyj kobiet starają się z niechęcić je do dzisiejszych cywilizacyi pojęć, zarazić nihilizmem, skłonić do zerwania z obyczajami tradycyą wyrabianych. Istotnie praca ich dotąd będzie marną i bez podstawy dopóki kobiety dla swojéj teoryi nie pozyskają. Biją więc w jéj najsłabszą stronę: próżność, powtarzając jéj aż do przesytu, że ona ma równe zdolności a nawet większe niż mężczyzna, że ona równe powinna mieć z nim prawa tak cywilne jak polityczne. Pierwsze lody już przełamane, do szkoły téj zgłosiły się naprzód kobiety dwuznacznéj moralności po części odepchnięte, po części tolerowane tylko w towarzystwie, i te które jeszcze z drogi cnoty nie zboczyły wprawdzie, ale które pragnęłyby zboczyć i szukają do tego sposobności. Przyłączyły się nawet takie, które nie widząc dalszych następstw, emancypacyę uważają za rzecz słuszną i naturalną. U nas rozpoczynają walkę od najniewinniejszéj w świecie rzeczy, od żądania, aby kobiety odbierały tesame nauki co mężczyzni, pomijając już tę stronę, że wspólne uczęszczanie na wykłady uniwersyteckie nie będą z korzyścią dla jednéj i drugiéj płci, które mimowolnie jedynie przez krewkość wieku będą wzajemnie więcéj sobą zajęte niż wykładem, że przy dzisiejszym prądzie materyalistycznéj szkoły, straci kobieta wiarę, otrzaska się z pojęciami i wyrazami, które dotąd rumieniec wstytu na jéj lica wywoływały, ale tego pominąć nie można że nauka systematyczna trwa do 24 — 26 roku życia, a w tym wieku kobieta jest już kilka razy matką, a często owdowiała, w tym wieku prowadzi na własną rękę dość znaczne interesa, że kobieta między rokiem 24 — 26 nieuchodzi już za pierwszą młodość, i że kobiecie któraby chciała ze szkół publicznych, dotąd tylko mężczyznom przystępnych korzystać, musiałaby się wyrzec familii i macierzyństwa, rzeczy, które jedynie są zdolne wypełnić życie i aspiracye kobiety.

U nas w Polsce do nowszych czasów mowy o emancypacyi nie było, a kobieta odgrywała zawsze w niéj znaczną i poczestną rolę. Nie mówimy o nowszych czasach, o takim objawie przewagi polskiéj kobiety, jak memoryał hr. Pergena przesłany rządowi do Wiednia, zaraz w pierwszych chwilach zajęcia Galicyi, a w którym szczególny kładzie nacisk na wpływ kobiety w Polsce, ale wiek XVI, XVII i XVIII przechował nam przekłady wielkiego wpływu kobiety na domowe, familijne, obyczajowe a nawet polityczne życie. Pan Chomentowski skreślił nam szkice kilku takich kobiet, które bynajmniéj nie były wyjątkami, lecz o których przypadkowo więcéj niż o inych pozostało piśmiennych współczesnych świadectw.

Znamy już wspaniałą, posągową postać Reginy Żółkiewskiéj skreślony mistrzowskim piórem Szajnochy, téj nasz autor nie tyka ale rozpoczyna zaraz od jéj wnuki Teofili Sobieskiéj, matki króla Jana. W Teofili niejeden rys przypomina babkę Reginę; kasztelanowa krakowska wdowa po Jakóbie, ma na swojéj głowie zarząd ogromnego majątku i wychowaie dwóch synów Jana i Marka, który późniéj zginął pod Batohem. Jak się z jednego i drugiego wywiązała, odsyłamy czytelnika do książki Chomentowskiego, daléj pokazuje nam autor Alojzę z Ostrogskich Chodkiewiczową, Barbarę z Zawiszów Radziwiłłową, z Lubomirskich Sieniawską Adamową, hetmanową z Poniatowskich Branicką herbu Gryf. Najciekawszą z tego zbioru jest postać Anny z Sapiehów Jabłonowskiéj, wojewodziny bracławskiéj, która nietylko trudni się zarządem majątku, stawia kościoły, upiększa miasta, ale w dobrach swoich występuje jako kodyfikatorka, układa ustawy dla zarządu majątku, dla mieszczan, wieśniaków swoich i to w własnéj drukarni drukuje. Dzieło to uważane było za tak stosowne, że je przedrukował Gröll jako wzór do naśladowania. Pozwalamy sobie zacytować z książki p. Chomętowskiego niektóre ustępy dotyczące organizacyi majątku włościan.

„Wskuku uczynionego niedawno podziału gruntu, każdy gospodarz ma wydzieloną równą część. Włościanin osiadający na roli, staje się jéj właścicielem wraz z sukcesorami na lat pięćdziesiąt; wczasie tym nawet dziedzic wyrugować go nie ma prawa. Po wyjściu terminu może zażądać przedłużenia umowy na drugie lat 50, ale winien opłacić złotych sto. W pewnych tylko wypadkach, może gospodarz sprzedać lub ustąpić grunt swój komu innemu, mianowicie: gdy jest stary i bezdzietny, lub gdy dowiedzie że ma dzieci występne, zasługujące na wydziedziczenie, w każdym zaś razie winien postawić na swe miejsce innego odpowiedzialnego włościanina. W trzech wypadkach zabiera się grunt na własność dworu: po bezdzietnych, którzy za życia nie sprzedali swego gruntu, po zbiegłych z dziećmi gospodarzach i po bezdzietnych złoczyńcach, którzy wypędzeni zostali za zbrodnię. W przedmiocie spadkobierstwa podana jest ustawa następująca: Najstarszy syn odziedzicza majątek ziemski po ojcu, z obowiązkiem spłacenia braci i sióstr. Dwór wyznacza młodszym synom nowe grunta. Dozwala się ojcu za życia podział majątku,

wszakże nie inaczéj jak za potwierdzeniem dworu. Żona otrzymuje po śmierci męża swój wniosek z czwartą częścią jego majątku. Mąż ma prawo do czwartéj części dziedzicznego gruntu żony. Opiekunką małoletnich dzieci jest matka. Traci ona prawo do opieki skoro dowiedzionem będzie, że nie dba o wychowanie dzieci i ich majątek. Wtedy wójt i najbliższy krewny odbierają dzieci i czuwają nad ich wychowaniem. Panna wychodząca za mąż otrzymywała posag w pieniądzach; połowa téj kwoty składała się w kasie publicznéj, procent zaś od tego kapitału pobiera zamężna niewiasta aż do śmierci; po najdłuższym jéj życiu rozdzielono posag pomiędzy dzieci.

Wspóluy majątek włościan stanowią: kasa publiczna, magazyn publiczny i pasieki.

Następnie wyłuszczone są powinności włościan, daléj ustanowione zwierzchności i ustawa sądów wiejskich.

Wójt, ławnicy i wiejscy składają zwierzchność administracyjną i sądową. Wójt jest prezydującym sędzią w pierwszéj instancyi i zarazem dozorcą sumiennego wykonania poleceń dworu. W zakresie obowiązków wójta jest czuwanie nad porządkiem i bezpieczeństwem magazynu publicznego, kasy wiejskiéj i nad potrzebami włościan. Każdy z urzędników znajduje w ustawach jak najdokładniejsze określenie swych powinności. W sądach, na których zasiadają wójt, ławnicy, wiejscy i jeden z dziesiętników, rózstrzygają się sprawy większością głosów.

Zasługują na wyszczególnienie instytucye wiejskie. Najprzód kasa, urządzona głównie w celu zapomożenia, w wypadkach pożaru, choroby lub jakiéj innéj klęski. Dotknięty klęską włościanin otrzymuje zapomogę sposobem pożyczki, z warunkiem płacenia jednego grosza procentu od złotego rocznie. Drugą instytucą, jest magazyn publiczny, w myśli zapomożenia włościan w czasach nieurodzaju; trzecią jest ustanowienie domu akuszerek, czwartą: szkoła ogrodników wiejskich, piątą: dom przytułku dla starców. W ustawie téj zwraca uwagę ks. Jabłonowska na niemoralny stosunek dzieci względem podeszłych rodziców. Dotąd mówi ona; „z mojem i publicznem zgorszeniem, dzieci mało znając w téj mierze powinności, ważą się starych rodziców wypędzać i pozwalać im na żebraninę. Owóż wcelu odwrócenia tak gorszącego przykładu, ustanawia dozór miłosierdzia przy grubarni, w téj nadziei, że pani guberuatorowa, chętnie pełnić będzie chrześciański miłosierny uczynek, nawiedzania starców rano i wieczorem. Daléj następują przepisy dotyczące utrzymania domu miłosierdzia.“

Zaliczymy jeszcze do rzędu wzmiankowanych postępowych urządzeń ustanowienie domu dla umarłych, w celu zapobieżenia wypadkom, w razie pozornéj śmierci. Również wyczerpujące jest rozrozporządzenie względem miast, ustanawia tam najzupełniejszą administracyę, sądownictwo, policye, instytucye dobroczynne i naukowe, niezapomina nawet dodać przepisu jak się ubierać mają.

„Odtąd nikt z mieszczan i mieszczanek nie powinien nosić nic bławatnego, ani białogłowy wymyślnych kornetów używać do ubrania swego. Mężczyźni mają nosić sukna, kamloty, lub inne wełniane materye, równie jak białogłowy, którym dla łatwiejszego ubrania dozwala się nosić dymy mohilewskie, płótna i kartony!“ W końcu ustawy powiedziano: „żeby zaś emulacyi nawet względem formy ubrania niebyło, wszystkie mężatki i dziewki według przybitego modelu na ratuszu ubrane być mają. Jeżeli białogłowy mężatki zechcą kamizelki i spodnice używać, będzie wolno, lecz zawsze równy na głowie ubiór z dziewkami mieć mają i gatunek wełniany, lub lniany na odzieniu swojem, a nie bławatny.“

Kobieta w Polsce umiała zjednać sobie powagę nawet wśród bardzo trudnych okoliczności, dowodem tego żona Teodora Lubomirskiego, wojewody krakowskiego. Wojewoda ożenił się z Komieżanką córką mieszczanina krakowskiego, rozumié się, że związkowi temu była nietylko familia męża, ale i cała arystokracya niechętna. Położenie wdowy było trudne, w towarzystwie, w którem się znajdowała była intruzem, jeden z współopiekunów był przemożny wojewoda ruski książe August Czartoryski, który nietylko okazywał wdowie lekceważenie, ale widocznie chciał ją skrzywdzić na rzecz syna brata mężowskiego, któremu zaręczył własną córkę. Mimo tego wojewodzina krakowska wyszła cało z opałów; wojewoda Ruski musiał ze wstydem ustąpić.

W takiem społeczeństwie, pytamy się co ma znaczyć emancypacya w tym duchu w jakim ją proponują agitatorowie. Czegóż tu może chcieć i życzyć sobie kobieta, w wykształceniu jéj nikt nie stawia trudności, zarobkowaniu nikt się sprzeciwia, wpływ kobiety wielki jak już widzieliśmy wiekach ubiegłych, zwiększył się jeszcze. Nie, agitacya za emancypacyą niewiast nie jest w interesie kobiety, pojmujemy ją tylko jako środek wywrotu, dla tego też w kobietach naszych wywołuje tylko albo oburzenie albo pogardę.

— Idea. Bruksela, Drukarnia I. H. Dehu roku 1871, 8vo, stron. 230. — Traktat o małżeństwie domniemywanem, skreślił Juliusz Ozdoba Florkiewicz, r. 1872, 8vo, stron. 15.

Połączyliśmy obydwie te prace razem, bo mają jednę i tę samą dążność: walkę ze społeczeństwem. Pierwszeństwo w tym względzie należy się Idei; autor jéj pseudonim Synpolski, radzi w niéj zastąpić wiarę objawioną przez filozofię natury, inaczéj grozi nam zupełną zagładą, zniszczeniem wszystkiego co polskie, przepowiada, że staniemy się łupem tych, którzy pierwéj złożą hołd najczystszemu racyonalizmowi. Pan Synpolski (pseudonim najniewłaściwszy), widać, że dopiero z wierzchu liznął racyonalizmu, bo rozmiłowany jest w narodowości, familii, małżeństwie, własności, kiedy racyonalizm wszystko to uważa i uważać musi za tyle przesądów i przeszkód w uszczęśliwieniu rodu ludz-

kiego. Bez religii nie ma ani społeczeństwa takiego, jakie dzisiaj jest, ani familii, ani własności. Kto tego nie widzi, temu ani loiki, ani bystrości przysądzić trudno, ten jest albo człowiekiem ograniczonym albo własność i familia, są dla niego szyboletnem, aby nie odstraszać i przerażać wszystkich naraz. Racyonalizmu ostatniem słowem musi być socyalizm i falanstery, narodowość wobec racyonalizmu musi być rzeczą albo arcy-śmieszną albo podrzędną, że o niéj mówić niewarto. International, który praktycznie chce racyonalizm wprowadzić we wszystkie stosunki życia, powiada to jawnie i otwarcie, a gdyby zresztą nie mówił, to sama loika bezwiednie nawet tamby go zaprowadzić musiała.

Nasz pseudonim, chciałby nawet Boga ludziom zostawić; pytanie tylko jakiego, czy on go chce światu objawić, czy każdemu wolno go sobie tworzyć jak mu się podoba.

Natenczas Bóg ten będzie fetyszem dobrym dla jednego, nie obowiązując zresztą nikogo. Gdyby trójkąt umiał myśleć, wystawiłby sobie Boga jako trójkąt, i to nietylko co do zewnętrznych kształtów, ale i co do wewnętrznéj treści, powiedział Libelt. Ciekawiśmy bardzo, jakaby też moralność wypływała z takiego pojęcia Boga. Nie chcemy autora Idei zbijać punkt po pukcie, bo to pracy i zachodu nie warto, chcemy mu tylko wskazać, że to co napisał, z własnego jego stanowiska, sensu nie ma, i niepotrzebnie trudził się powtarzaniem tego, co dawno już przed nim inni jeżeli nie mędrzéj, to zawsze logiczniéj napisali. Autor wystąpił z nauką dla narodu, cenimy jego dobre chęci, chociaż z nich korzystać nie będziemy, pozwoli nam atoli zacytować dwa cztero-wiersze W. Pola, które mu zgłębić i strawić radzimy:

Co rozum rozdwaja
Wiara ludu spaja,
Kto wierzy
Ten dzierży!

Gdzie wiara, tam czary,
Bez czarów ni wiary,
Ni szczęścia, ni cudu,
Ni życia, ni ludu.

Jeżeliby autorowi trudno z przytoczonych wierszyków domacać się moralnego sensu własnym rozumem, to za dobre chęci dla narodu odpłacić mu chcemy również dobremi chęciami i ułatwimy mu pracę. Dopóki Rzym opierał się na tradycyach, był silny i potężny nazewnątrz, na wewnątrz kwitnęły cnota i poświęcenie obywatelskie, kiedy augur zaczął śmiać się z augura, a Lucan zaczął drwić sobie z Olimpu; w Rzymie wichrzyła anarchia, panowała korupcya, zgasły cnoty prywatne i publiczne, a potężny Rzym stał się łupem dzikich ale wierzących narodów. To samo stało się z wy-

kwintną i racyonalną Grecyą, a dzisiaj taki sam przykład mamy na Francyi.

Juliusz Ozdoba Florkiewicz mniéj groźny społeczności. Rozmaite względy społeczne nie pozwalają mu iść za bardzo daleko, pragnie on tylko zmiany pojęć obyczajowych co do osób żyjących z sobą na wiarę, żąda bowiem, aby dzikie małżeństwa, czyli życie na wiarę znalazło sankcyę w naszych obyczajach, aby konkubinę traktowano jak prawowitą małżonkę. Chociaż ludzie praktykują takie życie już dawno, mimo, że je kościół, prawo i obyczaje potępia, a w dawnym Rzymie, w czasie upadku rzeczypospolitéj i zezwierzęceniu, konkubinat był prawie instytucyą społeczną, jeżeli nie legalną to faktyczną; zdaje mu się, że stworzył nową ideę i w pokorze ducha porównywa się do tego, co odkrył pierwszy parę. Lubimy, że się ludzie cenią, chociaż to porównanie zanadto ryzykowne, a nawet wprost przeciwne z rzeczywistością, bo pan Juliusz Ozdoba miał już fakta przed sobą i tylko sili się na teoryę, wynalazca pary pragnął natomiast, aby ktoś jego ideę w fakt zamienił. My mu tylko powiemy, że łatwość rozwodu poniża małżeństwo, rozpuszcza cugle namiętności i swawoli, i że Kościół w wypadkach prawdziwie ważnych rozwodu nie odmawia; mniejsza o tytuł prawny, jaki im nadaje, ale otworzyć chuciom i namiętnościom drzwi na ścieżaj, przygłuszać w członkach katolickiéj społeczności panowanie nad sobą, ułatwiać przenoszenie zachcenia i kaprysu nad obowiązek i prawo moralne, tego uczynić nie może i nie powinien, i tego samego zdania mniéj więcéj są wszystkie chrześciańskie społeczności. Pięknie wyglądałoby małżeństwo, piękniéj jeszcze familia, gdyby się miało żyć w ustawicznéj obawie, czy jutro żona będzie miała męża, mąż żonę, dzieci ojca lub matkę, gdyby najmniejszy szał, spotkana na drodze żywota pierwsza lepsza zalotnica, pierwszy lepszy uwodziciel i rozpustnik mieli wnieść żałobę do domu. Jakie byłyby następstwa teoryi przez p. Florkiewicza apostołowanéj a w Rzymie praktykowanéj, można zobaczyć w historyi tego narodu. Trudność rozerwania związku małżeńskiego trzyma zachcenia i zmysły na wodzy, nie pozwala kaprysowi rozbujać i rozwielmożnić się i chwilowego chociaż zawsze karygodnego zajęcia zakazanym owocem nie zamienia w stały stan, którego skutki zabijają familię, a częstokroć po przejściu szału napawają tego, który mu się oprzeć nie umiał zgryzotą i wyrzutami sumienia po koniec żywota.

— Księgarnia F. H. Rychtera we Lwowie nabyła od I. J. Kraszewskiego dzieło pamiątkowe z powodu pierwszego rozbioru Polski, które ma wyjść na widok publiczny jeszcze bieżącego roku. Ma to być historya ducha i obyczaju polskiego, jako téż dziejów politycznych od roku 1772 do roku 1872.

— W drukarni Leona Paszkowskiego w Krakowie rozpocznie się niebawem druk aforyzmów ś. p. Jana Fedorowicza posła na sejm rakuski w r. 1848 i 1849. Ś. p. Jan Fedorowicz znany był z gorliwości patryotycznéj i znakomitéj bystrości umysłowéj.

— Kodeks dyplomatyczny miasta Wieliczki wyszedł staraniem redakcyi Gazety Lwowskiéj z polecenia J. E. hr. Gołuchowskiego namiestnika Galicyi. Obok tekstu orginalnego, znajduje się tłumaczenie i 25 podobizn najstarszych dokumentów.

— Pan Izaak Karamstück wydał w Warszaawie w języku polskim: Prawda wieczna czyli zasady religii Mojżeszowéj.

L. P.

Z Warszawy. Luty.

Karnawał się kończy — a zwykle szalejąca podczas niego Warszawa bynajmniéj się nie bawi. Bale publiczne w Resursach nie udają się, prywatne, do których inicyatywę wproszeniem się podał Namiestnik (jak u hr. Zamoyskiego), robią także zupełne fiasco. Maskarady bywają nieliczne. Na pierwszych pięciu było osób 3486, to jest tyle prawie, ile w latach zeszłych bywało na jednej ze środkowych maskarad.

Już to wszystko w roku bieżącym nie udaje się w Warszawie. Nowe czasopisma, o których tyle mówiono i pisano, sprawdziły tylko przysłowie: z wielkiéj chmury mały deszcz. Czasopism tych ukazało się trzy: „Niwa," „Wieniec" i „Przyroda i Przemysł." O ostatniem, jako o specyalnem nic nie donoszę, zaznaczam tylko, że specyaliści nie są z niego zadowoleni.

„Niwę" wywołał upadek Biblioteki Warszawskiéj, która zapomniawszy o tem, czem była dawniéj, coraz więcéj traci na swéj powadze i coraz mniéj znajduje poparcia u publiczności. Stawszy się wyłącznym organem kilku ludzi, czemkolwiekbądź zapychających jéj karty, straciła swój naukowy charakter i znagliła, że tak powiem, do założenia czasopisma, któreby ją zastąpić mogło. Celem więc powstania „Niwy" było zastąpienie Biblioteki. Czy celu tego redakcya „Niwy" dopięła, czy stała się tem, czém stać się miała?— oto jest pierwsze pytanie, na które ze smutkiem musimy dać odpowiedź przeczącą. „Wiedza, to potęga" mówi „Niwa," przyjmując to zdanie za godło swoje. A gdzież téj wiedzy szukać w „Niwie?" Czy może w artykule wstępnym, wzorze frazeologii zajmującym trzecią część pierwszego numeru „Niwy," lub może w korespondencyi z Krakowa, w któréj jest wszystko: i Jezuici i ultramontanie, i zgubne działanie szkół zakonnych, i opisanie awantury Döllingerowskiéj, i ubolewanie nad dewotkami, i nad porwaną przez popów pannę Wandę N. — słowem wszystko — prócz „wiedzy," prócz nauki; prócz rozsądku nawet. Jedyną ozdobą wyszłych dotąd numerów „Niwy," jest studyum J. Ochorowicza, młodego psychologa, zwracającego pracami swemi powszechną uwagę. Prócz tego studyum nie widzimy do téj chwili nic, coby mogło dobrze o przyszłości „Niwy" rokować.

„Wieniec," ów „Wieniec," który miał zabić „Kłosy" i „Tygodnik illustrowany" — bardzo licho na świat wystąpił. Drzeworyty powiększéj części liche, treść nieszczególna. Z wyszłych do téj chwili numerów „Wieńca," nic o duchu tego pisma powiedzieć nie możemy. Jest ono czemś, ale czem, to pewno same o tem nie wié. Z artykułów poważniejszych, tylko dwa wyliczyć możemy: Romantyczność przed Mickiewiczem, Dra Adama Bełcikowskiego i Życiorys Karpińskiego, przez Wincentego Korotyńskiego.

Jużto w ostatnich czasach, ni ztąd ni z owąd rozkarpińskowano się ogromnie. Jednocześnie w trzech czasopismach podano jego biografie. Jestto zadziwiającem doprawdy. Oprócz „Wieńca" wystąpił ze studyum o Karpińskim p. M. Rzętkowski w „Tygodniku illustrowanym." Oba wymienione artykuły podnoszą bardzo wysoko zasługi i talent Karpińskiego na przekor „Tygodnikowi Wielkopolskiemu." W piśmie tem dostającem się do nas ukradkiem, p. Walery Przyborowski ze skalpelem chłodnéj krytyki, rozbiera żywot i utwory śpiewaka Filona i idąc za zdaniem Bartoszewicza, przychodzi do wniosku, że ani sam Karpiński, ani jego pisma nie zasługują na zbyteczne zajmowanie się niemi. Po któréj stronie prawda, nie chcę rozsądzać, ale w każdym razie przychylam się więcéj do zdania p. Przyborowskiego, gdyż w artykule swoim faktami dowodzi swych w téj mierze przekonań, nie bawiąc się w czyste frazesa i unoszenia się, któremi prace pp. Korotyńskiego i Rzętkowskiego są przepełnione.

Tutaj chcę zrobić małą uwagę. Są ludzie, których celem prawie życia jest podnoszenie na piedestał wysokości, którego ze znanych imion w literaturze lub historyi. Piszą oni o ulubionéj przez siebie osobistości całe niemal życie, nie wchodzą w to, czy zasługuje ona lub nie na ciągłe zajmowanie się nią. Jestto trud bezpotrzebny, jeżeli bowiem osobistość ta jest uznaną za wielkość, to poco powtarzać o niéj utarte frazesy — jeżeli przeciwnie i to frazesy górnolotne nie zdołają podnieść tego, co stoi nisko. Uwagę tę nastręczył nam artykuł p. Korotyńskiego, który wciąż pisze o Syrokomli i Karpińskim. Dobrze przynajmniéj, że zdania o Syrokomli i Karpińskim są sporne, można więc przynajmniéj o nich się kłócić. Inaczéj się ma z innymi pisarzami. Zmarły w roku zeszłym Dmochowski ciągle wynosił klasycyzm, ciągle za największych ludzi uważał swego ojca i Osińskiego, ciągle walczył z romantyzmem, do ostatniéj chwili życia nie mógł się pogodzić z Mickiewiczem. Wójcicki z kilkanaście razy opisywał pobyt Kościuszki w Ameryce, Baliński zawsze studyował życie Śniadeckich, ks. Krupiński wciąż kruszy kopije o Konarskiego i Karpińskiego etc. etc. Uwagę na to zwróciliśmy dla tego, iż uważamy podobne zajmowanie się jednymi osobistościami, o których zawsze jedno i to samo się mówi — za szkodliwe dla literatury. Czas bowiem, który mógłby być obrócony na inne badanie, trawią niektórzy z naszych literatów na powtarzanie jednego i tegosamego.

Dzieje się zaś to nietylko pomiędzy literatami, całe czasopisma nawet ulubią sobie czasami kogoś i tylko o nim się rozpisują. Tak np. „Kuryery“ Warszawski i Codzienny, także „Tygodnik illustrowany,“ ciągle tylko zajmują się Deotymą i Modrzejowską. Niech którą z tych pań zaboli paluszek, niech która znajduje się na jakimś wieczorze, lub sama wieczór u siebie wydaje — zaraz usłużne czasopisma doniosą to publiczności. O tem, że chorował Szajnocha, Helcel, Bartoszewicz, Przezdziecki, dowiedziała się publiczność dopiero z nekrologów; o tem zaś, że p. Modrzejowska miała lub ma parodniowy ból głowy, wié z gazet cała Warszawa. Usłużność w donoszeniu tak wielkich i ważnych wiadomości posunięto nawet do tego stopnia, iż któryś z „Kuryerów“ podczas lekkiéj słabości p. Modrzejowskiéj donosił, iż znakomita artystka jadła w dniu poprzedzającym udko kurczęcia. Jakto wzruszające!

Wspomniałem o Deotymie. Poetka ta pisze obecnie dramat p. t.: „Narzeczona z Ogrodzieńca“ i ma go odczytywać na zebraniach sobotnich, odbywających się w jéj domu, a będących dla jednych przedmiotem podziwu, dla drugich zaś żartów i gorżkiej ironii. U „wieszczki“ (to jest urzędowa nazwa Deotymy), niewolno być bez stroju balowego — opowiadają, że raz stary poeta Odyniec nie został przez lokaja wpuszczony do pokojów Deotymy, jako nie mający białego krawatu, ku czci którego „wieszczka“ powiedziała razu pewnego improwizacyę. Na wieczorach tych bywa arystokracya żydowska, młodzież uniwersytecka, a z literatów Odyniec i Tyszyński, wieczni wielbiciele talentu poetki. Prawda: jest talent, talent wielki. ale jak użyty?

Przez Bóg żywy!
Poetko młoda, jeden promień *łaski*
Stanie za wszystkie malowane dziwy
I ziemi całéj oklaski i wrzaski —

powiedział Bohdan, ale poetka żąda tylko „oklasków i wrzasków,“ a to jéj talent marnuje.

Deotyma tworzy dramat — Moniuszko napisał operę. „Beata,“ taki jest tytuł nowego płodu znakomitego kompozytora, parę dni temu była przedsawioną na scenie teatru Wielkiego. Zdania o niéj są rozdzielone, krytyka wyraża się ogólnikowo.

Oczy i uszy miłośników muzyki są teraz zwrócone na bawiącego tymczasowo w Warszawie Hansa Bulowa, którego krytyka uważa za najznakomitszego z europejskich fortepianistów. Pierwszy jego koncert w tych dniach się odbędzie.

Z teatru i literatury przenoszę was do kościoła Panien Wizytek (urzędowo Opieki Śgo Józefa), gdzie dnia 17 stycznia, jako w 52gą rocznicę urodzin ś. p. Juliana Bartoszewicza odbyło się żałobne nabożeństwo, po którem odsłoniono i poświęcono pomnik wzniesiony wspólnemi składkami ku czci zmarłego historyka. W napeł-

nionym przez publiczność kościele odbywało się jednocześnie pięć mszy. Amatorzy odśpiewali mszę żałobną, a znakomity wiolonczelista Szabliński, wykonywał stosowne do uroczystości utwory. Po skończonem nabożeństwie ks. kanonik katedralny Dziaszkowski, przyjaciel nieboszczyka, poświęcił odkryty pomnik, a ks. Knapiński wypowiedział stosowną mowę, w któréj główny nacisk kładł na stronę religijną Bartoszewicza. „Nie będę chwalił, powiedział między innemi mówca, nauki ś. p. Juliana, bo to byłoby niepotrzebnem i zbytecznem, ale będę go chwalił jako chrześciańskiego męża, chrześciańskiego ojca, chrześciańskiego syna, który żył wiarą sprawiedliwego, wreszcie jako uczonego chrześcianina-katolika, który mając od Boga dany talent nauki, nie skaził go nigdy pychą rozumu, ale zdobił wiarą swoją — nie obrócił go na wywyższenie siebie, lecz na chwałę Boga i sławę kraju.“ Jeszcze ostatnie słowa mowy, udzielonéj mi łaskawie do odpisania przez ks. Knapińskiego: „Dałby Bóg, aby ten pomnik nie był prostym głazem, ozdabiającym ściany tego kościoła. Niech on będzie tylko prostem świadectwem naszego uznania dla pracy i nauki z wiarą połączonéj — niechaj nie służy tylko ku pustéj chlubie narodu, który takich mężów oceniać potrafi, ale niech zarazem przypomina obowiązek modlitwy za naszych braci, a modlitwy tem gorętszéj, im większe oni zasługi położyli dla oświecenia naszego, niechaj przypomina obowiązek pracy sumiennéj, wzorowego życia domowego, miłości kraju i kościoła, niech zachęca wszystkich do udania się tą samą drogą, co ś. p. Julian Bartosiewicz i zasłużenia sobie na wieczny odpoczynek, o który Panie dla duszy Juliana prosimy.“

Sam pomnik stanowi portret marmurowy dziejopisarza, otoczony wieńcem i emblematami i tablica z napisem: „Julianowi Bartoszewiczowi, zasłużonemu dziejopisarzowi, ur. dnia 17 stycznia 1821 w Białéj, zm. 5go listopada 1870. — Rodacy.“ Całość pomnika jest łatwa: szczegóły, dzięki p. Pruszyńskiemu, który nie żądając wynagrodzenia za pracę swoją, poprzestał na zwróceniu kosztów poniesionych; są starannie wykończone. Drzeworyt pomnika podał „Tygodnik illustrowany.“

Na zakończenie smutne wam donoszę nowiny, tyczące się młodzieży polskiéj w Petersburgu. Młodzież ta, wzorem dla Moskali być mogąca, pełna pracy i poczciwości, według zdania powracających ze stolicy Carów, coraz więcéj zaraża się nihilizmem moskiewskim. Brak wiary pomiędzy nią jest przestraszający — dałby Bóg, aby to była tylko przemijająca epidemia, czego sobie i wam życząc, zakończam moją korespondencyę.

K. S. B.

— „Na Dziś“. Pismo zbiorowe nakładem Jana Waligórskiego, wyszło w drukarni „Kraju.“ Między artykułami odznaczają się Dziewica Orleańska, przez Dr. Liske i rzecz o Kadłubku przez Bielowskiego. Dział bibliograficzny jest nadzwyczajnie obfity. Krótkość czasu nie pozwala nam dać szerszego sprawozdania, na jakie ta książka zasługuje, a co odłożyć musimy do zeszytu przyszłego.

Przegląd polityczny.

Kraków 29 lutego.

Niespełna w trzy lata, po wystąpieniu delegacyi galicyjskiéj z Rady państwa, doczekaliśmy się ustawy o wyborach bezpośrednich z konieczności, nie otrzymawszy ani jednego punktu rezolucyi. Doczekaliśmy się téj ustawy uchwalonéj większością dwóch trzecich głosów, w obecności delegacyi galicyjskiéj, która przeciw ustawie głosowała. Jest to niewątpliwie bardzo przekonywujący dowód, że ówczesne wystąpienie delegacyi z Rady państwa, nie było ani najprostszą, ani najkrótszą, ani najbezpieczniejszą drogą, prowadzącą do osiągnięcia rezolucyi. Rezolucyi nie zdobyła ona dla Galicyi, ale doprowadziła do bezpośrednich wyborów z konieczności w Austryi. Ograniczamy się na téj uwadze.

Co się jednak tyczy kwestyi ogólnéj, to widocznem było, że wszelkie secessye, występowania i opuszczania Rady Państwa, albo winny były ją rozbić, albo też logicznie prowadziły do bezpośrednich wyborów; to jest do postawienia ponad grą stronnictw, Rady Państwa, koniecznéj w dzisiejszym porządku rzeczy instytucyi, do regularnego biegu spraw publicznych. Można być za lub przeciw Radzie Państwa, można wierzyć, że bez niéj Austrya istniałaby i może byłaby szczęśliwszą i silniejszą niż obecnie, ale to przyznać należy, że dopóki Rada Państwa jest częścią składową prawa publicznego Austryi, że dopóki jest kołem w legalnie urządzonéj machinie państwowéj, dopóty niepodobna, aby jéj zebranie i istnienie było na łasce kaprysów i ambicyi pojedynczych stronnictw i narodowości. Oczywiście, nie jesteśmy ani wielbicielami ani zwolennikami ustawy o bezpośrednich wyborach z konieczności, któréj przejście w Izbie rozwiało tyle złudzeń o dominującéj pozycyi delegacyi w Radzie Państwa i posłużyćby powinno do trzeźwiejszego w kraju zapatrywania się na położenie; wiemy bowiem,

że ta ustawa nie zmienia w niczem rzeczywistego położenia rzeczy, strony, że tak powiemy moralnéj wewnętrznych stosunków, nie zmienia ani niezadowolnienia pojedynczych narodowości, ani rozdrażnienia stronnictw, ani stosunku rzeczywistéj większości do fikcyjnéj, ale uważamy ją jako skutek, jako następstwo, polityki opuszczania Rady Państwa i ciągłego kwestyonowania jéj postanowień przy jednoczesnem uznaniu jéj legalności. Ustawa o wyborach bezpośrednich z konieczności, ma tylko znaczenie i doniosłość, że się tak wyrazimy mechaniczną, tak jak opuszczanie Rady Państwa i powracanie następnie do niéj, było także tylko mechanicznem ćwiczeniem; to jednak pewna, że owa mechaniczna ustawa, kładzie poniekąd koniec owemu mechanicznemu ćwiczeniu.

Po uchwaleniu ustawy téj, pomimo opozycyi delegacyi galicyjskiéj, sprawa nasza w Wiedniu, wezła oczywiście w inną zupełnie fazę i inaczéj się nam przedstawia; inaczéj też kraj i opinia publiczna u nas winny się na nią i na położenie delegacyi zapatrywać.

Przedewszystkiem sprawa galicyjska przestała być przedmiotem targu, tak między rządem i delegacyą, jak między delegacyą a większością Rady Państwa. Rząd obecnie nie ze względów mechanicznych, nie ze względów otrzymania $^2/_3$ głosów dla téj lub owéj ustawy, zapatrywać się będzie na sprawę galicyjską, ale jedynie i wyłącznie ze stanowiska państwowego i politycznego, ze stanowiska ważności ugody galicyjskiéj, nie pod względem parlamentarnym, ale austryackim. A kiedy mówimy zapatrywać się będzie, to raczéj powinnibyśmy powiedzieć, zapatrywać by się powinien, bo o rzeczywistych, szczerych jego zamiarach, dotąd nic stanowezego powiedzieć nie możmy. A jednak pomimo odniesionego zwycięstwa, pomimo, że bez poparcia delegacyi ministeryum, może mieć większość, a nawet dwie trzecie głosów potrzebnych do zmiany do konstytucyi, to przecież nie zmieniła się w niczem strona polityczna i austryacka kwestyi galicyjskiéj; zawsze jest to pierwszorzędnym obowiązkiem rządu, aby załatwioną była jak najspieszniéj, nie dla tego, aby pozyskać lub zadowolnić delegacyę, ale dla tego, aby zabezpieczyć jeden z najżywotniejszych interesów monarchii, aby ustalić byt narodowości, któréj losy najściśléj są związane z potęgą Austryi. Dla ministeryum zaś i stronnictwa, które je wspiera — załatwienie sprawy galicyjskiéj jest znowu jedynym środkiem ustalenia się, bo jedyną rzeczą do zrobienia. Jedynie tylko w załatwieniu sprawy galicyjskiéj, może ministeryum znaleźć dla siebie moralną podstawę; bez tego istnienie jego będzie czysto mechanicznem, opartem na sztucznéj i wrzekomej większości w Radzie państwa; i nie przestaniemy twierdzić; że ministeryum, które nie chce ugody z Czechami, nie może mieć ża-

dnéj przyszłości, jeżeli nie potrafi przeprowadzić ugody z Galicyą, jezeli nie zdoła jéj jako konieczność polityczną narzucić własnemu stronnictwu.

Że najwyższe sfery i korona pojmują całą doniosłość polityczną sprawy galicyjskiéj, o tem nie wątpimy i tego mamy namacalne dowody; bo to pewna, że bez pressyi z owych sfer dziś może sprawa galicyjska nie stałaby już na porządku dziennym. Na pozór, tak dobrze większość w izbie jak i ministeryum, zdają się chcieć iść do pewnego stopnia w kierunku życzeń wyrażonych w mowie tronowéj, skoro w komisyi konstytucyjnéj ani wiernokonstytucyjni ani ministeryum nie chciało słyszeć o przejściu do porządku dziennego nad sprawą galicyjską. Ale, bo to też jest sposób nierównie wygodniejszy i zręczniejszy, dojścia do tego samego celu. Czyżby nie można pokierować tak całą sprawą, iżby nie odmawiając wszystkiego, przecież, czy to mierząc zbyt skąpo ustępstwa, czy też odwlekając ich przeprowadzenie, zmusić delegacyę do przyjęcia na siebie odpowiedzialności, za zerwanie wszelkich układów i przecięcie nitki ugodnéj. Wtedy miałoby się wymówkę wobec świata a przed przychylnemi nam sferami, możnaby się zasłonić owem wiecznem niepodobieństwem dojścia do końca z niepoprawnemi Polakami. Wtedy przyszłaby może chwila, nietylko odmówienia wszelkich nowych koncesyj, ale także odebrania tych, które kraj nasz otrzymał za czasów hohenwartowskich i rozpoczęcia nawet rządów wedle recepty, którą obecnie spisują w Berlinie dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Bo kto ręczyć może, czy pod tym względem, świeżo zebrane laury przez ks. Bismarka nie zakłucają snu takiemu p. Lasserowi! Wszystkie te przypuszczenia, które przecież nie są czczym wymysłem fantazyi, stawiają w bardzo trudnem położeniu naszą delegacyę, a nakazują nam i krajowi bardzo ostrożnie wyrażać się o jéj postępowaniu.

A potem napozór i w faktach, nic takiego nie zaszło jeszcze, coby pozwalało wątpić ostatecznie o wszelkiéj ugodzie. Dyskusya, nad elaboratem podkomitetu, zdaje się zmierzać nie ku zerwaniu, ale ku połowicznemu przynajmniéj rozwiązaniu. Można wiele zarzucić elaboratorowi, nie to, że nie uszanował dogmatyczności rezolucyi, ale to że w wielu punktach nie odpowiada rzeczywistym potrzebom kraju a szczególniéj, że nie dość jasno określa naturę niektórych ustępstw; ale przecież wyznać należy, że są w nim rzeczy nie do pogardzenia i które rzeczywiste przynieść mogą naszemu krajowi korzyści. Nie w elaboracie więc widzielibyśmy punkt do zerwania, ale raczéj w sposobie w czasie i w intencyi, z jaką przez ministeryum i większość ostatecznie załatwionym zostanie. Przyszłość niedaleka oświeci nas pod tym względem. Położenie zaś naszéj delegacyi, po przejściu nowelli, o tyle jest upro-

szczonem, że gdyby na seryo przyszła na stół kwestya ugody, nie byłaby ona już teraz krępowaną, wstydem targu, przeniewierzenia się zasadom lub mrzonkom federalistycznym a nawewet sympatyom dla Czechów i wszystkich w monarchii Słowian. Zdrady niktby jéj zarzucić nie mógł, bo po przejście nowelli, sprawa przeniosła się na zupełnie inne pole a jeżeli jaka taka ugoda ma przyjść do skutku, to nie dla tego, żeby przeniewierzenie się delegacyi jakimś tam zasadom, potrzebnem było ministeryum, ale pomimo tego, iż to przeniewierzenie już jest niepotrzebnem.

Kiedy u nas nic jeszcze stanowczego powiedzieć nie można o przyszłości, która nas czeka, a przeczucia nie są i nie mogą, pod tym względem być najlepszemi; w Ks. Poznańskiem teraźniejszość już jest nader trudną i przykrą dla żywiołu polskiego i religii katolickiéj. Ks. Bismark pała w téj chwili świętym gniewem niemiecko-liberalnym przeciw wszystkiemu, co katolickie i polskie!! Ta wściekłość jest tak nienaturalną i nieproporcyonalną do przedmiotu, że nasuwa myśl komedyi odegranéj w innych zupełnie celach. Że ks. Bismark jak każdy prawowity Prusak, nie ścierpi polonizmu w granicach państwa pruskiego; o tem nigdy nie wątpiliśmy, tak jak nie przestaniemy twierdzić, iż inaczéj zapatruje się on na ten żywioł, poza granicami państwa swojego Cesarza i Pana: lecz czego pojąć niełatwo możemy, oto nerwowość, z jaką się do dzieła bierze, a która go popchnęła aż do napisania listu do redaktora nędznego, wydawanego w Poznaniu dziennika i do wymyślenia zamachu na własne życie. W każdym razie jest coś obrzydliwego i wstrętnego w widoku tego wielkiego męża stanu, walczącego tak zażarcie ze słabymi i oddawna pokonanymi. Każdy ruch olbrzyma na téj maléj i ograniczonéj scenie zdaje się śmiesznym, każdy krok bezrozumnym. Prawdziwych jednak powodów tego postępowania szukać należy gdzie indziéj, w każdym razie poza granicami dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj. Oto właśnie odbieramy z Berlina list, który rzuca niejakie światło na całą tę sprawę.

„Z nadzwyczajnem zajęciem śledziłem rozpraw nad prawem o wychowaniu, które z takiem zajęciem broniono i atakowano w Berlinie. Otóż tym już razem ks. Bismark rozdrażniony spokojną dyskusyą deputowanego Windhorsta, przekroczył granice umiarkowania i w swojem rozdrażnieniu zelżywszy nieparlamentarnemi słowy deputowanego Hanowerskiego, zwrócił się następnie do szlachty polskiéj i równie gniewnie jak szczerze zapowiedział, że jeżeli przez lat sto rząd pruski cierpiał w swoim łonie tę szlachtę, zawsze o narodowość swoją dobijającą się, to dziś nie łagodnie, ale chociaż najsurowszemi środkami potrafi ją poskromić i uniemożebnić jéj działanie wspólne z duchowieństwem katolickiem.

Te dwa bowiem elementa, szlachta polska i duchowieństwo katolickie, stoją w pierwszym rzędzie zawad w organizacyi i koncentracyi wielkiego państwa niemieckiego, a to z tych głównie powodów, że ich wspólna robota jest tak żywotną i wpływową, że obecnie włościanin w Prusach zachodnich czuje się być bardziéj członkiem społeczeństwa polskiego, jak przed czterdziestu laty. Zaiste, spodziewać się nie można było, ażeby rehabilitacya szlachty polskiéj wypadła z ust tego potężnego przeciwnika. Ks. Bismark po przemówieniu deputowanego Wierzbickiego, wygłosił wobec parlamentu pruskiego, że on stanowczo odróżnia lud polski, który w biernem zachowaniu się okazuje tylko wdzięczność rządowi za udzieloną mu opiekę, gdy przeciwnie niesforna i niepoprawna szlachta, acz korzystając z dobrodziejstw prawa i cywilizacyi, stoi ciągle na wyłomie z ręką na kordzie.

Fakt to nader ciekawy. Ks. Bismark podjął się odeprzeć i uciszyć okrzyki niedorostków z band powstańczych, którzy wychylając do dna zapleśniałe butle wina z piwnicy szlacheckiéj, wywoływali, że szlachta obwiana duchem moskiewskim, zdradzała i zdradzać będzie; że to jest pień spruchniały, który wyciąć trzeba, ażeby z płynącéj posoki wyrosły nowe latorośle; a rozsiadłszy się następnie w Londynie, Paryżu, Zurichu, Lwowie, ciż niedorostki nie przestają błotem szlachtę obrzucać. A czyż z nieszczęsnéj tradycyi wypadków w kraju naszym zaszłych, nie okazuje się jawnie, że od kościuszkowskiego powstania, lud nasz w niczem nie przyłożył ręki do sprawy polskiéj. Chłopek nasz zacny, ale obojętny na niedolę kraju; jego ojczyzna to ciasny okolnik zawarty między strzechą jego i gumnem. Stuletniéj zaś roboty, która w takiéj żywotności zachowała dotąd narodowość polską, podjęła się szlachta polska, która tak przeważny procent ofiar wydała na pastwę Sybirowi.

Zwracając się do ogólnéj rozprawy w Berlinie przeprowadzonéj, to mam jeszcze tę uwagę do uczynienia, że ks. Bismark w swéj niepohamowanéj krewkości zamierza używać takich środków do dopięcia swoich celów, które w innych okolicznościach uważałby zapewne za niebezpieczne. Ten potężny umysł, który tak wielkich rzeczy dokonał, obecnie dla uorganizowania świeżo spojonego społeczeństwa, potrzebuje pomocy silnéj partyi w izbach reprezentowanéj, a dla chwilowego przypodchlebienia się jéj, chce, jeżeli mu się to uda, tępić zasady, które są kardynalną podstawą każdego dobrze zorganizowanego społeczeństwa. Wypowiada on w téj chwili zacięty bój równie ortodoxyi protestanckiéj jak wierze katolickiéj; ale jeżeli w téj walce odniesie zwycięstwo, to stanowcze podkopie ideę państwową, bo otworzy szluzy natarczywym prądom Ko-

muny i coraz wzmagającego się stowarzyszenia Internationalu, które Europę społecznym potopem zaleją.

Nie zasłyszałem jeszcze o żadnéj odezwie organu partyi konserwatywnéj protestanckiéj, ale śmię przewidzieć, że nie zamilczy i silnie zaprotestuje przeciw robocie Bismarka, który jak powiadają, upojony powodzeniem, stracił pojęcie prawdy i zdrowych zasad, a tak jest pewien siebie, że najspokojniéj objawia to przekonanie, że jak to zauważy za potrzebne, zatrzyma się w danym czasie na téj ślizgiéj pochyłości. Inni już przed nim kierownicy ludów tak samo sądzili, ale zawsze prądem rewolucyjnego wiru porwani zostali."

St. Koźmian.

Teatr.— Przedstawienie Beatryx Cenci Słowackiego należy do najtrudniejszych i najryzykowniejszych przedsięwzięć dyrekcyi w zimowym kursie. Słyszeliśmy wielu niedowiarków, czyli przedstawienie Cinci w ogóle jest możebnem, i w istocie, trzeba widzieć, aby ostatecznie uwierzyć. Z ciężkiéj próby wyszli i artyści i dyrekcya prawdziwie tryumfalnie i niesprawdziło się tym razem polskie tłumaczenie przysłowia: Audaces fortuna juvat.

Treść dramatu Słowackiego jest w zarysach głównych ściśle historyczną. Bogata rodzina Cencich należała do najstarszéj arystokracyi rzymskiéj i wywodziła się od Krescencyusza, słynnego w zamieszkach rzymskich za czasów Ottonów saskich. Franciszek Cenci w końcu XVI wieku miał wszakże tylko smutną sławę potwornego rozpustnika. Rozpasana namiętność jego zwróciła się w końcu ku córce cudownéj piękności, Beatryczy. Żona jego a macocha Beatryczy, Lukrecya i syn Jakób postanowili wreszcie zgładzić potwora a Beatryx w obronie czci własnéj wykonała zamach. Rzecz mimo głębokiéj tajemnicy wydała się; skazano wdowę z pasierbicą i dwoma synami na wleczenie rozhukanemi końmi. Papież Klemens VIII miał już ze względu na nieszczęście rodziny złagodzić wyrok, gdy drugie ojcobójstwo, w tymże czasie w Rzymie dokonane, zażądało przykładu ukarania Cencich. Wśród nadzwyczajnego wzruszenia ludu wykonano wyrok, przez ścięcie. Zabójstwo Cencego przypada na rok 1599, śmierć winowajców na rok 1600. Obraz przedstawiający wykonanie wyroku, przypisywany Guido Reniemu, znajduje się w pałacu Collona.

O traktowanie dramatyczne tego przedmiotu kuszono się kilkakrotnie. Oprócz francuskiéj sztuki małéj wartości: *Guido Reni ou les artistes*, mamy dramat Shelleya. Rodzina Cencich (The Cenci), który Słowackiemu zapewne znanym być musiał. Shelley; Byronista bez talentu Byrona, poszedł jak na lep w okropności kazirodczych myśli Cencego, zawahał się jednak przed ojcobójstwem ręką Beatryczy wykonaném i kazał spełnić zbrodnię facchinem najętym przez matkę i córkę. Bohaterstwo Beatryczy polega u niego na wypieraniu się morderstwa, na mężnem stawaniu w oczy śmierci. Prócz kilku pięknych ustępów, dzieło Shelleya niema zalet, a nadewszystko niema warunków dramatu.

Słowacki z prawdziwą genialnością chwycił podany przez historyę przedmiot, spostrzegł, gdzie jego piękność, odsunął, ile mógł, haniebną stronę tematu. Piękność tkwiła tam, gdzie ją czuła tradycya Rzymu, do dziś dnia przechowującego pamięć Beatryczy, w młodości, w wdziękach skazanéj na śmierć dziewicy, w tragiczności tego młodego żywota, który tak nieprzystawał do zbrodni popełnionéj, jak nieprzystawał do kary za spełnioną zbrodnię, w tych antytezach niewinności dziewiczéj i najstraszniejszego czynu, rozkwitującéj młodości i okropnego zgonu. Jak bohatera dramatu Gianiego tak i Słowackiego musiała znana głowa Beatryczy pociągnąć ku sobie i kusić, niby psychologiczna i artystyczna zagadka. Pod wpływem portretu i tradycyi urosła fabuła dramatu, przenosząca trafnie właściwy punkt ciężkości na dzieje Beatryczy po spełnionéj zbrodni. Kilka śmiałych rysów, kilka słów między ojcem zbrodniarzem, matką i córką wystarczyło Słowackiemu, aby zbrodni ojca nadać tę cechę ogromu, bezdenności złego, jakiéj wymagała groza moralna, aby ją zarazem jak najspieszniéj sprzątnąć ze sceny z tym, że się tak wyrażę, delikatnym wstydem, jaki prawdziwy artyzm cechować powinien. Ekspozycyę Beatryx Cenci, w obec trudności, jakie były do zwalczenia można też nazwać arcydziełem szczęśliwéj inwencyi artystycznéj zwyjątkiem wiedźm, o których zaraz mówić nam przyjdzie.

Ekspozycya ta stwarza od razu ową atmosferę straszną, tragiczną, która ciężyć nieprzestaje na umyśle widza. Scena przygotowań zabójstwa, scena po spełnionym czynie niepozostawia nic do życzenia. Podziwiać należy ekonomię słów, szybkość okropną działania. Nawet trudna scena odegranéj na ulicy z trupem Cencego komedyi, scena któréj towarzyszy „strętwiała“ morderczyni, nieumniejsza nic wrażenia, które sprawił akt pierwszy.

Zdawałoby się, że genialne poprowadzenie tego aktu winno było Słowackiemu wystarczyć. Zdawałoby się, że chcąc nawiązać nawet romans z Gianem w tym akcie, mógł to uczynić wyprowadzając go w usposobieniu Romea na świadka nocnéj sceny przed domem Cincich. Byłoby to po ludzku i dałoby się psychologicznie przeprowadzić, Jeżeli kiedy Beatryx była demonicznie piękną, to podczas sceny kłamanego lamentu matki nad trupem ojca. Ale pomysł Cenci wiązał się widocznie w głowie Słowackiego z mistycznemi teoryami o działaniu nadprzyrodzonego świata, czarownice Makbeta zanadto go nęciły, aby ich nieużył, a i przedmiot sam miał w sobie stronę, która koniecznie tego środka użyć nakazywała.

Mamy więc w expozycyi wiedźmy, zjawiające się w strasznym domu Cencich, spotykające Tomasa jadącego do domu, stające na zawołanie matki, czekające w kórytarzach na spełnienie zbrodni, zapalające pokazywaniem głowy Beatryczy miłość nieznającego jéj dotąd malarza. Możnaby je zrazu brać za upostacione myśli nieszczęśliwéj matki, ale zkąd zjawiają się przed powracającym Tomasem? zkąd przygotowują romans Gianiego? Wiedźmy Makbeta, to jego

własne ambitne myśli, Eumenidy Aischylosa, to srogie wymiary sprawiedliwości boginie, wiedźmy Słowackiego możnaby nazwać swawolnicami złego, tak dalece w rękach ich spoczywa cała sieć straszliwa dramatu. Straszą Tomasa, aby niezostał ojcobójcą, aby potrzebował godziny do ochłonięcia i pogodzenia się z strasznym zamiarem, aby ten zamiar wykonała piękna, dziewicza Beatryx. Ideał, który im się uśmiecha, głowę uciętą Beatryczy pokazują Gianiemu, aby tę naturę Romea związać pięknością i okropności wdziękiem. Niesyte zbrodni, wiodą do niéj Gianiego, chcąc bratobójstwa; wiodą ojca Gianiego, chcąc wyroku śmierci ojca na dziecię. Nawet sens moralny wypowiedziany przez ojca Anzelma Gianiemu, aby go upamiętać, staje się przyczyną nowéj zbrodni: samobójstwa z rozpaczy. Wiedźmy niosą więc sztukę całą, niosą od pierwszéj do ostatniéj chwili, a zapytać się przychodzi, czém są, skoro nie są ani wytworami jednéj w sztuce indywidualności, ani fatum greckiém wymierzającém sprawiedliwość?

Zdaje się, że Słowacki pod wpływem mistycznych teoryj, które dowolnie snuł i przerabiał, chciał w wiedźmach swoich przedstawić potęgę złego, jako potęgę samodzielną, opatrzną, twórczą, która nie może wprawdzie wykroczyć z granic przeznaczonych jéj przez sprawiedliwość bożą, ale która w tych granicach na dowolną pozwala sobie orgię, mści w genialnych kombinacyach grzechy ojców na dzieciach, wciąga w epidemię złego wszystko, co jakąkolwiek słabą podało stronę. Wobec téj opatrzności i twórczości przyznanéj złemu, niknie prawie odpowiedzialność indywidualna wobec odpowiedzialności niedocieczonéj, tajemniczéj, któréj jednostka za dawne winy pokoleń podlega. Ludzie przesuwają się jak senne marzenia, wymykające się z pod sądu udziału, żalu lub potępienia świata. Ten grunt dramatu, to tło moralne jest niezawodnie przyczyną, że Beatryx Słowackiego olśniewa, denerwuje, zadziwia, pozostawia wrażenie cudownego a strasznego snu, ale budzi ostatecznie myśl jednę: Nie! Pan Bóg tak świata nie stworzył, Pan Bóg tak nim rządzić nie pozwala! sprawia, że gdy nazajutrz po przedstawieniu, spojrzy się na światło dzienne, wrażenia teatralnego wieczoru zdają się snem pięknym, ale tak męczącym, że się prawie niechętnie wraca do myśli o Beatryczy.

Ba! ale jakże trudno zapomnieć obrazów na tem tle pozostałych, obrazów tego romansu, który się począł tam, gdzie kończyć się zdają ludzkie uczucia, na krwawym tle najstraszniejszéj z zbrodni, tem namiętniejszy, tem piękniejszy, im w okropniejszych okolicznościach powstały; obrazów téj miłości, otoczonéj trumnami i szafotem, tem bujniejszéj, im krótszą być miała. Jak zapomni téj sceny Beatryczy z Piotrem, gdzie ta miłość przychodzi do świadomości swego żaru, téj sceny u ojca Anselma, gdzie niemający czasu kochankowie powiadają sobie od razu wszystko, téj sceny w więzieniu, gdzie pocałunek dwojga skazańców i rozmowa ich stanowią obraz równający się piękności piątéj części Dantego? I mimowoli

zapytać się znowu przychodzi, czyby to wszystko było mniéj tragicznem, gdyby nadprzyrodzony pierwiastek z sztuki usuniętym został, gdyby nam oszczędzono jednego z dwojga, albo wiedźm, albo szekspirowanego Pietra, który wystarcza sam za wiedźmę, jeżli dramat miał być czysto ludzkim, a niepotrzebnie je wyręcza, jeżeli miał zostać z przyborami nadprzyrodzonemi.

Skoro po dwakroć już nasuwało się nam to pytanie, należałoby spróbować odpowiedzi, tem bardziéj, że potrąca o kilka kwestyj estetycznych, o granice piękna, o stosunek jego do prawdy. Odpowiedź to niełatwa. „Cenci“ z samym Pietrem, jako czarnym charakterem, byłaby o tyle chybioną, że groza zabójstwa zacierać by się musiała, wobec głównego zbrodni knowacza, a rola Pietra, choćby podniesiona do wyższéj tragiczności, niedorostałaby tragiczności sztuki. Taki, jakim jest, Piotro jest najsłabszą kreacyą, prawie rażącą, ale ratuje go jego drugorzędność. Tę drugorzędność daje mu tło dramatu i wiedźmy. Wiedźmy zatem o ile są fałszywe i moralnie przewrotne, o tyle są konieczne. Bez nich fakt ojcobójstwa nie spłynąłby się z następstwami w jednę całość, bez nich rozpoczynający się romans odrywałby się od tła tragicznego pierwszéj zbrodni. Gdyby nie było wiedźm, nie byłoby dramatu o Cenci. Fakt w rodzinie Cencich tak jest wstrętnym, wyjątkowym, oburzającym do gruntu, że niktby nie przyjął dramatu, gdyby był bez fantastycznego przyboru nadprzyrodzonych duchów podanym. Rzymianie żałowali Beatryczy, bo była cudownie piękną, a szła na szafot, publiczność zachwycała się dramatem Słowackiego, bo — wiedźmy, acz niestraszne, obudziły w niéj uczucie grozy, które na placu tracenia Cencich panować musiało. W tym fakcie, że „Beatryx“ bez wiedźm ostaćby się nie mogła, a wiedźmy są estetycznie chybionem tłem dramatu, jest potępienie wyboru przedmiotu, potępienie wprawdzie z przykrością tylko wypowiedzieć się dające, jeżeli się tyle widzi piękności, ale sprawiedliwe i wobec powagi sztuki konieczne! Jeżeli krytyka estetyczna oświadczyć się musiała przeciw fatalistycznym dramatom, przeciw wybujałościom fantastycznym Victora Hugo, musi ona oświadczyć się i przeciw Beatryczy Słowackiego, podający sytuacye cudownéj piękności, ale na niezdrowym stojące gruncie. Musi ostatecznie powiedzieć, że to zboczenie poezyi, szukające wrażeń w przystrajaniu wstrętnych sytuacyj najpiękniejszemi kwiatami swemi, burzącéj harmonię świata, aby kaprysowi twórczemu dogodzić; musi powiedzieć, że to pozyskiwanie a raczéj terroryzowanie czytelnika lub widza środkami, których niedozwala kodeks moralny sztuki, bo łechtaniem wyobraźni a potłumianiem głosu serca i rozumu.

Prawdziwa też to biesiada wyobraźni; przedstawienie, które dała dyrekcya. Jakby z portretu Guida Rénego wykrojona bohaterka sztuki p. Hoffmann może policzyć rolę Beatryx do najświetniejszych ról swoich. W pierwszym akcie wyborna, w scenie pogrzebowéj, w scenie z Pietrem umiała p. Hoffmann utrzymać władzę prawdzi-

wie poetycznego zjawiska. Z dziedzińca należało trochę spieszniéj, szaleniéj uciekać, w scenie z Gianim u ojca Anselma ciszéj wyznać: Lecz ten ojciec mnie hańbił! Obcięta scena grobowa, mniéj korzystna dla artystki, miała wyborne zakończenie; a raszta dramatu, w szczególności scena przed sądem i przecudna scena w więzieniu, nie pozostawiały nic do życzenia. Beatryx pani Hoffmann ma ciągłość gry, cechującą zdolność, która daleko wyszła poza rutynę sceniczną.

Od Gianiego (p. Ładnowskiego), który stworzywszy ojca Marka, bardzo wiele od siebie żądać każe, żądano w kołach znawców, więcéj niż dał, na co z mojéj strony zgodziłbym się tylko pod warunkiem, aby przedstawieniu roli przyznać przynajmniéj to, czem niezaprzeczenie była, to jest niepsującą nigdzie harmonii, a w ostatniéj scenie silną i piękną kreacyę. Więcéj rzewności i zupełnego zmożenia uczuciem w głosie, więcéj rozpacznéj namiętności w scenie pożegnania byłoby niezawadziło. Giani jest kochankiem nad kochankami — Romeem podniesionym o kilka tonów wyżéj: nietrzeba żałować wylania i zapału.

Edmund - Ryszard - Pietro (p. Benda), acz ostro narysowany był zupełnie dobrym, umierając wybornym. Pani Wolska o jeden ton wyżéj podnosząc patetyczność, nie byłaby przesadziła wcale. Stary Cenci (p. Skąpski), przyczynił się bardzo skutecznie do harmonii przedstawienia. Role Orsiniego, Anselma, zasługują na uznanie, które należy się także p. Urbanowicz za wdzięcznego Aza.

Wiedźmy robiły co mogły, aby się z trudnego wywiązać zadania. Pomysł ubioru był szczęśliwym.

Drugą nowością przedstawioną na naszéj scenie w ciągu ubiegłego miesiąca, był (oprócz „*Hrabiego Horna*“ Weilena, o którym „zamilczeć wolę,“ nie z powodu przedstawienia, ale z powodu nader małéj wartości sztuki), „*Wildfeuer*“ Halma, który u nas na afiszach figuruje jako „*Hrabia Réné.*“ Zważywszy, że należy do obowiązków dyrekcyi, dać poznać naszéj publiczności te przynajmniéj utwory zagranicznéj literatury dramatycznéj, które na siebie zwróciły uwagę, zważywszy, że ten „Wildfeuer,“ (któregobyśmy nazwali raczéj Paliwodą niż Hrabią Réné), miał przez lat parę prawo obywatelstwa i powodzenie na wszystkich scenach niemieckich, nie podnosimy głosu przeciw przyswojeniu go scenie polskiéj. Niech też u nas zobaczą, co się tam nowego pisze i co się podoba: choć to, doprawdy, nie wiemy czemu i dla czego podobać się im mogło.

Sztuka cała dorobiona do jednéj sytuacyi, która się autorowi wydawać musiała oryginalną, zajmującą, i poetyczną dla téj jednéj sytuacyi wymyślona, nie zbyt doprawdy zręcznie i szczęśliwie, a ta sytuacya sama, wyczerpana przez poetę do samego dna, wyciśnięta jak cytryna, może się komu wydawać poetyczną, albo oryginalną, ale jest tak niedorzeczna i nieprawdopodobna, że się nią zająć ani w nią uwierzyć nie można.

Jest to młoda dziewczyna, która dorosła do lat ośmnastu, a chowana była od urodzenia jak chłopiec. Ona sama ma się za mężczyznę, ludzie przezywają ją „Paliwodą," bo jest gwałtowna, prędka, zuchwała, despotyczna, nieustraszona, słowem na chłopca byłaby jeszcze niepospolitym hajdamakiem.

Ale suknia widać, nie czyni nikogo mężczyzną, jak nie czyni mnichem. „Wildfeuer," Hrabia Réné, ma giermka, nauczyciela jazdy konnéj i fechtunku.... Z tym giermkiem lubi jeździć, chodzić, polować, śpiewać, rozmawiać — kiedy giermek oddala się bez pozwolenia, panicz, panienka raczéj gniewa się i dąsa, wracającego przyjmuje ze wszystkiemi oznakami złego humoru, upokarza go, kaprysi, a potem ze łzami za swoje kaprysy przeprasza... już wiecie, młody Hrabia jest dziewczyną i kocha się w giermku.

Giermek także czuje jakiś pociąg, z którego sobie sprawy zdać nie umie, do swego dziwnego panicza, a przestrzeżony przez świadomego rzeczy starca o istotnéj prawdzie, wystawia mniemanego Réné na różne próby, żeby koniecznie dojść tajemnicy. Więc go drażni umyślnie, gniewa, budzi w nim zazdrość, umizga się w jego oczach do jakiejś wiejskiéj dziewczyny, wreszcie w rozmowie istotnie ładnéj, uczy swego ucznia co to jest miłość, co pocałunek, a prawda pokazuje się jasno i niewątpliwie, kiedy mniemany chłopiec pocałowany przez giermka, omdlewa w jego objęciu.

Otóż zdaje się, że ta dziwaczna sytuacya podobała się niezmiernie poecie, że on mniemał, iż dokaże wielkiéj sztuki i zrobi coś bardzo pięknego, kiedy przez strój, ułożenie, i zwyczaje zepsutego chłopca swawolnika, pokaże przebijającą się naturę kobiecą. Cała sztuka jest dla tego napisana: sprzeczność tych pozorów, tego wychowania, z tą naturą, to cała treść dramatu, to odzywa się we wszystkich scenach, pod coraz nowemi postaciami i pomysłami. Żeby to było zupełnie brzydkie, nie można powiedzieć, są nawet pewne wcale ładne wiersze o pocałunku — (ładne przynajmniéj w oryginale niemieckim) — ale tem mniéj powiedzieć można, żeby to było ładne. Naprzód, nikt temu nie uwierzy, żeby płeć dziewczęcia do lat ośmnastu dała się ukryć przed całym światem, nawet przed tą dziewczyną samą: nieprawdopodobieństwo takie nawet najzręczniéj traktowane, musi być dla każdego widocznem i tak rażącem, że złudzenia być nie może. Powtóre, jakkolwiek Halm daną sytuacyę traktował dość zręcznie, jakkolwiek charakteryzował dość trafnie sprzeczność pomiędzy kobiecą naturą a męzkiem wychowaniem swojéj heroiny, to rozlał w całéj swojéj sztuce tę konwencyonalną, mdłą, płytką poezyę, która mu jest właściwą, a która sprawia, że z wyjątkiem może jednéj może Gryzeldy, choć i ta nosi na sobie widoczne cechy miernego talentu, wszystkie jego dramata nie zdołają ani rozrzewnić, ani zająć, ani przerazić, ani zdobyć współczucia widza dla którejkolwiek figury lub sytuacyi.

Tutaj, téj poezyi zużytéj, oklepanéj, konwencyonalnéj, spłowiałéj, zwietrzałéj, wyszarzanéj a ckliwéj, jest może więcéj jak

gdziekolwiek. Co za fabuła dorobiona do głównéj sytuacyi! Odwieczna miłość, dziedziczne zemsty, familijne nienawiści, starzy słudzy, którzy ratują prześladowanych, przechowują ich majątki.... i tajemnice, a w danéj chwili oddają im klucze od obojga; wszystkie te przybory zużyte w tysiącznych romansach, dramatach, a nawet powieściach dla dzieci, „a dla większéj parady razem i ozdoby," przeniesione gdzieś w wiek czternasty to jest „*Wildfeuer.*" Bohaterka chowana jest jako chłopiec przez zemstę. Matka jéj, jakaś hrabina zawzięta i mściwa, kiedyś za młodu kochała się w jakimś rycerzu, który ją porzucił i ożenił się z inną. Opuszczona poszła za jego starszego brata. Młodszy, ów niewierny, miał syna, na którego spadłby cały majątek rodziny, gdyby starszy nie miał potomka płci męzkiéj. Hrabina, któréj się jakoś nie wiedzie, jak na złość ma córkę: ale mądra kobieta, poradzi sobie, a na przeniewiercy pomści się choć w ten sposób, że go nie dopuści do majątku. Cóż łatwiejszego, powiedzieć o córce, że to syn, i rzecz skończona! Ale jest Opatrzność, która czuwa nad niewinnie skrzywdzonymi, prawda zawsze wyjdzie na wierzch jak oliwa, złe musi ponieść zasłużoną karę: więc jest stary sługa, burgrabia zamkowy czy coś podobnego, który wie całą prawdę, czuwa nad prawym dziedzicem majątku, owym synem młodszego brata.... tym naturalnie jest mniemany giermek, i wszystko kończy się szczęśliwie hymenem, majątek zostaje w familii; czy „Hrabia René" ze swoim giermkiem mieli dużo dzieci, tego już poeta nie mówi.

Słowem, rycersko-romantyczna historya o zagubionym dziedzicu mnogich włości i zamków, któraby przypominała „*Astrologa*" Walter Scotta, albo „*Białą Damę*" Boieldieu, gdyby była ładniejsza jak jest, a *Henrysia von Eichenfels* albo *Różę z Tannenbergu*, gdyby była naiwniejsza i prostsza. Tak jak jest, cała wymyślona jest na to, żeby ów niby poetyczny romans miał jakieś ramy, jakieś tło, na którem mógłby się rozwinąć; wszystkie figury poboczne, to lalki w różnych średniowiecznych ubiorach, jedna ubrana za damę, druga za astrologa, trzecia za starego burgrabię, inna za wiejską dziewczynę, jeszcze inna za jakiegoś przesadnego rycerza-eleganta, „un petit crevé" z czternastego wieku (figura najfałszywiéj w świecie pomyślana i zupełnie niepotrzebna) — wszystkie bez życia, bez wyrazu, maski i ubiory pod któremi nie ma nic, możnaby myśleć, że się jest w gabinecie automatów. Bez figur, bez charakterów, bez dramatycznego zajęcia, bez podobieństwa do prawdy, sztuka wartości ma bardzo mało, a kilka ładnych wierszyków uratować jéj nie może. Ale jeżeli przy głębszem zastanowieniu zupełnie krytyki nie wytrzymuje, to za pierwszem widzeniem, w przedstawieniu, może wydać się jako tako i widzów zabawić.

Grywają się jeszcze słabsze: a kiedy jest dość znana w świecie literackim, kiedy niemieckie krytyki o niéj pisały, a niemieckie teatra ją przedstawiały, kiedy niedawno jeszcze była nowością dość

głośną, uważamy za rzecz naturalną, a nawet dobrą, że dyrekcya chciała ją naszéj scenie pokazać.

Zwłaszcza, że przedstawienie było staranne i dobre. O rolach pomniejszych trudno nawet mówić: zajmującego nikt z nich nic zrobić nie może, a artyści mieli prawdziwą zasługę, że wlali trochę życia w te martwe woskowe figury. Ról właściwie jest tylko dwie: giermka, którą bardzo dobrze grał p. Ładnowski, i „*Hrabiego Réné*,“ którą grała pani Parżnicka. Przyzwyczajeni widzieć ją zwykle w poważnych rolach „tragedyi bohaterek smutnych nie bez ciekawości i zdziwienia zobaczyliśmy ją w postaci rozpustnego chłopaka, który łazi po drzewach jak kot, gości szczuje psami, jest najswawolniejszym hajdamakiem pod słońcem. Otóż ta strona roli była grana tak śmiało, tak energicznie, z takim obfitym zasobem krnąbrnéj samowoli, że złudzenie było zupełne. A ta druga strona ważniejsza i trudniejsza, ta sprzeczność między wychowaniem a naturą, te przejścia, w których natura kobieca przebija przez męzkie przyzwyczajenia, wreszcie ta miłość nieświadoma siebie, to wszystko było oddane bardzo ładnie, z bardzo delikatnem cieniowaniem. Niezawodnie jest to jedna ze szczęśliwych ról pani Parżnickiéj, bardzo trafnie pojętych i bardzo wykończonych. Publiczność widać miała to samo wrażenie, bo przyjmowała gradem oklasków i bukietów artystkę, któréj to był benefis, a na której grze polega cała sztuka i jéj powodzenie.

J. Szujski.

Ekonomiczne sprawy krajowe.

Dwa walne zgromadzenia odbyły się w ubiegłym miesiącu we Lwowie: zebranie delegatów towarzystwa kredytowego i rady ogólnéj galicyjskiego towarzystwa rolniczego.

Najważniejsza uchwała, jaką powzięło pierwsze, jest niewątpliwie polecenie dane Dyrekcyi, ażeby wyrobiła projekt zaprowadzenia krótkich okresów. Od dawna i niejednokrotnie przemawialiśmy na tem miejscu za potrzebą téj zmiany, możemy jéj zatem tylko przyklasnąć — niestety musimy jednak wyrazić obawę, czy nie przyjdzie ona za późno?

W ostatnich zwłaszcza czasach pozaciągano w Galicyi tak dużo pożyczek z Banku hipotecznego i w różnych zakładach kredytowych wiedeńskich, iż nawet przy lepszym kursie swych listów zastawnych, nie może się towarzystwo kredytowe spodziewać bardzo znacznego rozwoju czynności.

Z drugiéj strony też nadzwyczajne pomnożenie różnych akcyj i innych papierów, nęcących wysokim procentem lub z innych powodów musi przeszkadzać podniesieniu się kursu listów zastawnych, które gdyby dawniéj ta przeszkoda do obecnych rozmiarów urosła — były poszły w górę, nie tak łatwo spadłyby teraz.

Mimo tych ważnych trudności, których przyczyny szukać należy w spóźnionem postanowieniu, sądzimy jednak, iż wywrze ono korzystny wpływ na działalność towarzystwa, jeżeli będzie spiesznie i umiejętnie przeprowadzone, czego się spodziewać możemy po doświadczeniu dyrekcyi, która, chociaż niechętna inowacyom, uznawszy raz korzyść zaprowadzonéj przez siebie, zechce zapewne i niewątpliwie potrafi, wywiązać się zaszczytnie z włożonego na nią obowiązku.

Z obowiązku naszego zmuszeni jesteśmy objawić nasze ubolewanie nad sposobem, w jaki się odbywają narady delegatów towarzystwa kredytowego. Przedewszystkiem zadziwia ponawiające się i bogdaj czy nie w zwyczaj weszłe, powoływanie prezesa dyrekcyi do przewodniczenia. Pomijając okoliczność, że w liczniejszych zebraniach bardzo dużo od prowadzenia toku rozpraw zależy, że nawet najzasłużeńszy i najlepszy prezes dyrekcyi może nie posiadać talentu przewodniczenia ogólnemu zebraniu, i że narady zakładu finansowego w żadnym razie nie powinny się odbywać po gospodarsku, lecz po kupiecku — nie możemy ukryć zdziwienia na widok, że prezes dyrekcyi, zdającéj z swych czynności sprawę, przewodniczy zgromadzeniu odbierającemu od niéj rachunek, sądzącemu jéj postępowanie, wyrokującemu o dobrem lub złem prowadzeniu przez nią interesów. Jest to rażąca anomalia, którą wszyscy czują i tylko przez grzeczność wypowiedzieć tego nie chcą. W sprawach finansowych, a do tego kraj cały obchodzących, nie wolno jednak powodować się grzecznością i obowiązkiem jest każdego wypowiedzieć prawdę w celu usunięcia praktyki szkodzącéj powadze tak poważnego grona obywateli i sprzecznéj z dobrem instytucyi, która to grono reprezentuje. Nie wolno i nam było spychać z siebie na innych tego niemiłego obowiązku, a czyniąc naszą powinność możemy tylko dodać, iż nie powodowały nami żadne osobiste lub prywatne względy, lecz tylko wzgląd na dobro jednéj z najpożyteczniejszych instytucyj naszych.

Rozwój téj instytucyi leży nam bardzo na sercu, gdy jednak nie mamy nadziei, ażeby towarzystwo kredytowe zechciało wkrótce rozszerzyć swoją działalność na miasta i na mniejszą własność wiejską, musimy przeto ze względu na potrzeby kraju, przemawiać za otwarciem innych źródeł, któreby je zaspokoić mogły.

Za główne z tych źródeł uważamy galicyjską Kasę oszczędności, powołaną, zdaniem naszem, w pierwszym rzędzie do utworzenia zakładu kredytowego na takie rozmiary, jakich interes kraju wymaga i tak silnego, ażeby z wszystkiemi bankami wiedeńskiemi mógł konkurencyę wytrzymać. Gdyby galicyjska kasa oszczędności wyrobiła sobie pozwolenie udzielania pożyczek w listach zastawnych, mogłaby dać im w posia-

danych sześciu milionach kapitału doskonałą gwarancyę i utrzymać w dobréj cenie. Gdyby zaś oprócz tego wydawała listy z krótkim (np. 10cio- lub 15to-letnim) terminem losowania, można prawie zaręczyć, iż listy te stałyby blisko *pari*. Ale czy kasa oszczędności, która nie może się zdecydować na udzielanie pożyczek na realności w Krakowie, i która nie postarała się jeszcze o pozwolenie udzielania ich na domy nowo postawione (1), zechce starać się o pozwolenie wydawania listów zastawnych? Zapewne nie zaraz przyjdzie do tego — a nadto wątpliwą jest rzeczą, czy rząd pozwoliłby na to, doświadczenie bowiem uczy, iż kasy oszczędności nie mają w Wiedniu takiego poparcia jak banki i nie łatwo otrzymują upoważnienia do rozszerzania swych czynności.

Najważniejszym z przedmiotów, którymi zajmowała się Rada ogólna towarzystwa rolniczego, było przez krakowski Bank dla handlu i przemysłu poruszone, uregulowanie handlu wołmi. Z Galicyi i przez Galicyę wychodzi rocznie około 120.000 wołów, reprezentujących kapitał mniéj więcéj 20-milionowy — warto więc zastanowić się nad sposobem zapewnienia sobie dobrego odbytu na ten towar.

Dziś tylko Wiedeń i inne miasta monarchii można uważać za targi dla naszych wołów. Reszta Europy jest dla nich zwykle zamknięta, z powodu prawie ciągle panującego księgosuszu. Pierwszem i głównem zadaniem musi więc być przeszkodzenie wybuchowi téj zarazy i natychmiastowe jéj stłumienie, gdy wybuchnie.

Wprawdzie mamy na granicach kontumacye, a po kraju komisye księgosuszowe. Mimo to rząd wydaje corocznie krocie na wynagrodzenie za wybite bydło, fundusz krajowy płaci tysiące za asystencyę wojskową, a właściciele bydła i kraj ponoszą straty ogromne, nieobliczone, częstokroć trudne do powetowania. Ależ, bo przemytnictwo kwitnie w najlepsze, urządzenie kontumacyi ma być, jak twierdzą, nie odpowiedne, wykonanie przepisów niedbałe. Nie będzie też inaczéj

---

(1) Za podstawę do wyrachowania wartości, służą fasye z lat sześciu, więc dopiero w sześć lat po skończeniu domu, można zaciągnąć pożyczkę. *(P. A).*

dopóki cała ta sprawa będzie spoczywała w ręku urzędników, a nie obywateli, bezpośrednio interesowanych. W sprawach takich najlepszym bodźcem do gorliwości jest własny interes. Czynności takie należy więc poruczać tym, których to najbliżéj obchodzi. Zrozumiały to inne rządy i nawet w Kongresówce rząd rosyjski poleca tłumienie zarazy komitetom obywatelskim.

Gdyby nasz rząd wszedł na tę drogę, gdyby chciał pojąć interes kraju, swój własny i interes mieszkańców stolicy, zapewne wkrótce przestalibyśmy być postrachem dla państw ościennych, a przeto otwarłyby się granice i moglibyśmy szukać odbytu w Prusach, Francyi i Anglii. Wtedy przestalibyśmy narzekać na zdarzające się często przepełnienie targów wołowych w Wiedniu, i moglibyśmy oddać się spokojnie przychowywaniu bydła i jego wypasaniu, moglibyśmy podnieść znacznie ilość wywożonych wołów i ich wartość, na czem zyskałyby chów bydła i rolnictwo krajowe z jednéj, a Wiedeń zaś i rząd z drugiéj strony.

Tak pożądany rezultat nie da się, zdaniem naszem, osiągnąć bez zmiany systemu, nawet przy znanéj sprężystości Naczelnika kraju. Dopóki zaś tego nie dopniemy, nie na wiele się przydadzą wszystkie środki do uporządkowania handlu wołmi zmierzające.

W ubiegłym miesiącu powitaliśmy założenie nowego banku we Lwowie i ukonstytuowanie się spółki kolei Stryjskiéj.

Co do pierwszego, możemy tylko powołać się na dawniéj wypowiedziane przez nas zdanie, według którego mnożenia się banków nie uważamy za znak rozwijającego się przemysłu i handlu, ani za środek do tego prowadzący, jak długo eskontowane weksle nie pochodzą z rzeczywiście zawartych tranzakcyj, lecz są tylko skryptami wystawionymi dla ułatwienia pożyczki. Taki sposób robienia interesów może przecież przynieść pewną korzyść krajowi, chociaż jest połączony z niebezpieczeństwem na przypadek przesilenia.

Bezwzględnie jednak szkodliwem jest zakładanie banków w większej ilości nad rzeczywistą potrzebę, z powodu, że takowe dla pomnożenia swych czynności i zysków, ułatwiają grę giełdową, która nam dotąd na dobre nie wyszła i wyjść nie

może, jako zbyt oddalonym od puntków centralnych spekulacyi.

Jeżeli zaś nie możemy pochwalać zakładania banków, dopóki takowe nie zmienią swego zakresu działania, za to musimy się cieszyć każdą nową koleją, która jak arterya w ciele ludzkiem, rozprowadza soki żywotne po całym kraju aż do ostatecznych jego kończyn.

Wprawdzie nie każdą koléj możemy uważać za równie ważną i pilną; w końcu jednak nie możemy odrzucić żadnéj i wolimy mieć te, jakie nam dają, jak czekać bez końca na te, których budowy sobie szczególniéj życzymy. Koléj Stryjska i Naddniestrzańska, mogą niezawodnie być policzone do ważnych dla kraju naszego, lecz połączenie ich z Węgrami okaże dowodnie, jak potrzebną była koléj Łupkowska, zwłaszcza, że dalsze połączenie ku zachodowi, musi także przyjść do skutku.

Dotąd budują się u nas koleje luźne, jakby na wyrywki, bez naprzód obmyślanego planu. Straci na tem skarb państwa, gdyż będzie musiał dawać subwencye, kraj zaś straci o tyle, iż będzie do tych subwencyi część swoją dokładał, za co jednak zyska mniéj więcéj ważną komunikacyę.

Rząd powinien więc, w interesie własnym przygotować cały plan kolei budować się mających i przystępować do budowy systematycznie, mając na oku nietylko względy strategiczne, lecz także potrzeby rolnictwa, przemysłu i handlu. Z tego powodu winien rząd zwrócić uwagę na północną część kraju, niemającą dotąd dróg, ani kolei i ułatwiać budowanie kolei pobocznych, tanich, dla wewnętrznego użytku przeznaczonych.

Pomimo robót kolejowych i innych znaczny zarobek nastręczających, daje się już teraz w niektórych okolicach czuć przednowek. a poczęści należy się nawet obawiać głodu. Brak przezorności, lenistwo, pijaństwo i oglądanie się na pomoc cudzą — oto przyczyny tego smutnego stanu. Źródła tych przyczyn szukać zaś musimy w stuletnem opiekowaniu się włościanami, których zawsze za małoletnich uważano i w których wpajano przekonanie, iż sami o sobie myśleć nie potrzebują.

Kiedy się teraz rozbudziła chęć krzewienia oświaty, powinniśmy pamiętać, iż ludowi naszemu nie tyle potrzebna

nauka czytania, pisania i t. d., jak wyrobienie w nim poczucia swéj godności, przekonania o równości w obec prawa, dającéj wszystkim równe swobody i wkładająca na wszystkich równe prawa. Uczucie to da się wyrobić tylko przez umoralnienie i wpojenie młodzieży dobrych zasad. Do tego dążyć potrzeba przed wszystkiem, lecz dążyć potrzeba powoli, ciągle, niezmordowanie — takie przeobrażenia nie mogą bowiem być dziełem jednéj chwili, ani lat kilku. Ażeby dojść do tego celu, nie tyle potrzeba pieniędzy, ile poświęcenia i pracy.

Pomimo to, nie myślimy potępiać zamiaru zbierania składek na cele oświaty, i owszem pragniemy, ażeby jak największy plon przyniosły.

Co do ich użycia, pozwolimy sobie rzucić myśl następującą. Fundusze, jakie się zebrać dadzą, nie będą dostateczne, ażeby z nich utworzyć kapitał żelazny, zapewniający znaczny dochód roczny taki, iż nim dużo dla oświaty ludu w całym kraju zrobić można. Sądzimy jednak, iż będą dość znaczne, ażeby z nich utworzyć kapitał dla podrzutków.

Kraj utrzymuje dwa zakłady dla tych nieszczęśliwych istot: lwowski i krakowski, i wydaje na nie około 60,000 złr. rocznie. Dzieci w nich umieszczane, oddane bywają na wieś i wychowują się tam jak być może najgorzéj.

Większą część podrzutków krakowskich przyjmują włościanie biorący je do siebie za swoje; reszta idzie do rzemieślników lub w służbę. Podrzutki lwowskie, za które kraj płaci od lat dziesięciu, giną potem bez śladu i pojawiają się późniéj, żeby zapełnić domy karne lub dostarczać nowego pokolenia podrzutków. Słowem, kraj ponosi wydatek 60.000 złr. dla wychowania istot pozbawionych wyobrażenia o powinnościach człowieka względem Boga i bliźnich, istot skazanych z góry na potępienie.

Tak użyte pieniądze są gorzéj jak zmarnowane i lepiéj byłoby zaiste zostawić te dzieci losowi, jak opiekować się niemi w podobny sposób.

Gdyby jednakże prywatne stowarzyszenie, posiadające pewien fundusz, chciało wziąść w ręce sprawę podrzutków, — gdyby, przy pomocy, jakiéj sejm nie odmówiłby zapewne, mogło nietylko utrzymywać ich do pewnego wieku na wsi, pod ciągłym i bacznym dozorem, lecz nadto zajęło się późniéj ich

Biblioteka Śląska w Katowicach
ID: 0030002007729
II 4501/6/3-4/1872